

N. Ł U K I N

DZIEJE
PEWNEGO WYNALAZKU

• NASZA KSIĘGARNIA •

N I K O Ł A J Ł U K I N

DZIEJE PEWNEGO
WYNALAZKU



N A S Z A K S I Ę G A R N I A • W A R S Z A W A
1 9 5 3

Dzieje pewnego wynalazku

Tłumaczyła z języka rosyjskiego
ALICJA MALINIAK

Tytuł oryginału: *Sud'ba otkrytija*

Okladkę projektował: *St. Wielgus*

Ilustrował: *N. Koczergin*

(przedruk ilustracji z wydania radzieckiego)

Redaktor: *E. Toeplitzowa*

Terminologia chemiczna uzgodniona z magistrem Bernardem Maliniakiem

*Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia“
Warszawa 1953*

*

Nakład 15 000 + 160 egz. Objętość 38¹/₂ ark.

Papier druk. mat. kl. VII, 61 × 86 cm, 70 g

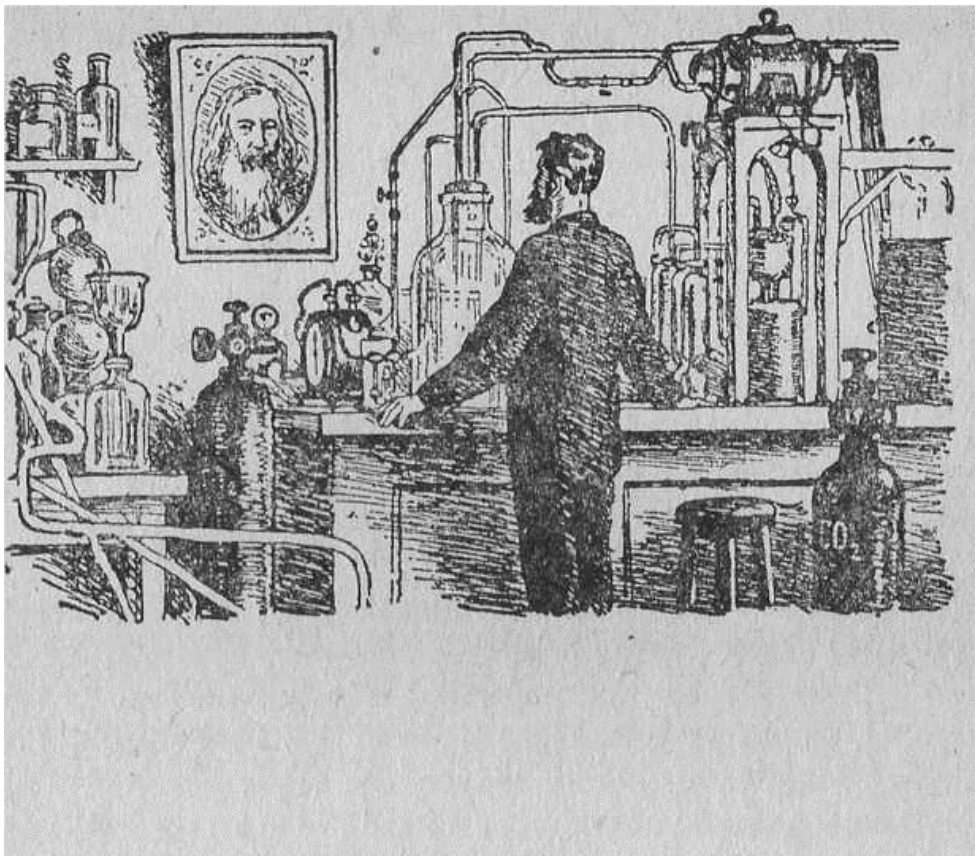
Toruńskie Zakłady Graficzne

*Nr zam. 2754 z dn. 4. 11. 1952 r. Druk ukończ.
w lutym 1953 r.*

E-4-15509 — Cena zł 17,—

Część pierwsza

ZBURZONE NADZIEJE



ROZDZIAŁ I
RURECZKI

Niebo nad Petersburgiem było szare i zachmurzone. Mżył drobny deszcz; z dachów spadały na chodniki ciężkie krople. Lisicyń odprawił dorożkarza i podszedł do starego, parterowego domku. Długo stał na ganku, pociągając za rączkę dzwonka. Rozległ się stuk kopyt uderzających o bruk: dorożkarz odjechał. Wreszcie za drzwiami dał się słyszeć szcęk otwieranych zasuwek. Przez szparę w uchylonych drzwiach wyjrzała służąca Warwara. Mignęły jej siwe włosy i rozradowane oczy.

— Władimir Michajłowicz! Co za gość! — Zadzźwięczał łańcuch i Warwara otworzyła drzwi na oścież. — Zawitaliście do nas, dzięki Bogu...

Uśmiechając się szeroko, gość wszedł do przedpokoju, postawił w kącie laskę z kościaną gałką, zdjął palto z potężnych barów, po czym wyjął chusteczkę i wytarł nią mokrą od deszczu, rudą brodę.

Z pokojów dał się słyszeć drżący głos:

— Czy to Wowoczka?

— Tak, to panicz! — krzyknęła Warwara. — Nasz panicz, proszę pani!

Za portierami zaszurały pantofle, zaskrzypiały deski podłogi. Na progu ukazała się sama Kapitolina Andriejewna, drobniutka, schludna staruszka w czarnej kaszmirowej sukni z koronkami.

— Dobryś sobie, kochaneczku, nie ma co mówić! — rzekła, sztucznie przeciągając słowa. — Tyle lat cię nie było... Hulaleś gdzieś, ty ladaco?

Uśmiechnawszy się jeszcze szerzej, Lisicyń pochylił się i ucałował jej pomarszczoną rękę.

— Wesołych świąt, ciociu Kapeczko!

— Daj choć popatrzeć na siebie, nicponiu...

Staruszka musnęła go wargami w czoło, żartobliwie poklepała dłonią zarośnięty policzek i rzekła wzruszonym głosem:

— Ale brodę zapuściłeś! Schudłeś trochę, mój drogi. W oczach, tak jak dawniej, diabliki... A żony jeszcze sobie nie znalazłeś?

Bratanek potrząsnął głową i roześmiał się:

— Skądże, ciociu, co też ciocia opowiada!

— Takiś nieokiełzany! Ale już czas, kochaneczku, wielki czas. Masz trzydzieści lat, prawda? Nie można być wiecznie kawalerem. — Kapitolina Andriejewna odsunęła portierę: — No, wejdz do salonu... Waria, nastaw samowar i przygotuj coś do jedzenia.

W salonie znajomym dźwiękiem zaskrzypiały pod nogami deski podłogi. Lisicyń przystanął rozglądając się

dookoła. Nic się tutaj nie zmieniło: obraz „Bitwa połtawska” w pozłacanej ramie, przed oknami duże fikusy w niebieskich doniczkach, miękkie meble w pokrowcach, stolik do kart o wygiętych nóżkach. Nawet zapach ten sam, co dawniej: pachnie szałwią i odrobinę wanilią.

Lisycyn usiadł i przypomniał sobie, że tutaj, na tej samej kanapie, siedział już jako czteroletni chłopczyk. Było to wieczorem, słońce zachodziło. Cały pokój wydawał się czerwony od przesuwających się po ścianie purpurowych pasów gasnącego słonecznego światła. Dorośli rozmawiali, a jemu strzeliło do głowy, by dotknąć Japończyków namalowanych na wielkiej japońskiej wazie stojącej obok kanapy na bambusowej podstawie. Ale dlaczego tak się stało? Ledwie dotknął, waza zsunęła się z podstawki, spadła na podłogę i rozsypała się w drobne kawałki. Chłopczyk krzyknął głośno ze strachu i rozpłakał się. Ciocia Kapeczka zaczęła go pocieszać, wycierała łzy, głaskała po głowie, dała mu nawet kogucika z czekolady. Była wtedy taka zgrabna, piękna, miała wysoką fryzurę... Jakże zgarbiła się i przygasła od tego czasu.

Kapitolina Andriejewna pomyślała na pewno o tym samym.

— Jak ten czas leci — powiedziała smutnie. — Patrzę na ciebie i nie wierzę własnym oczom: wyrosłeś na takiego zucha.

Podniosła nabrzmiąte w stawach ręce z uwypuklającymi się żyłkami i poprawiła kosmyki śnieżnobiałych włosów.

— Przecież ja i ty, Wowoczka, jesteśmy ostatnimi z rodu Lisycynów. Nie zwlekaj i ożeń się jak najprędzej! Chcę wnuki niańczyć!

Ciotka na stare lata żyła skromnie i samotnie, w otoczeniu rzeczy, które służyły jej jeszcze w młodości — wspaniale rozrosłych fikusów i drogich sercu fotografii. Z ludźmi nie stykała się prawie wcale. Gdy była piękna pogoda, odbywała przechadzkę do najbliższego rogu

ulicy i z powrotem, a poza tym wcale nie wychodziła z mieszkania. Służąca Warwara była jej jedyną stałą współtowarzyszką.

Codziennie, gdy Warwara krzątała się w kuchni, Kapitolina Andriejewna spoglądała na gałęzie drzew za oknami. Gdy pokrywał je śnieg lub chwiały nimi wiatr, starszycy robili się smutno i zasłaniała okno firanką. Przeglądała wtedy album z wyblakłymi fotografiami lub przekładała w szkatułce stare guziki, klamerki, kokardy i odznaki oficerskie. Te znajdujące się w szkatułce drobiazgi przenosiły jej myśli w daleki świat, który już nie powróci. Dotykała ich ostrożnie, poruszała je, przeglądała z zadumą, a czasem nawet szeptem z nimi o czymś rozmawiała.

Mając lat dwadzieścia Kapitolina Andriejewna postąpiła, jak mówiono o niej, „nierozważnie”: rodzice chcieli ją wydać za starego, bogatego ziemianina, a ona uciekła z domu z człowiekiem, którego od dawna kochała — młodym podporucznikiem Tatarcewem — i bez ślubu kościelnego została jego żoną. Dowódca brygady bowiem z bliżej nie określonych powodów nie udzielił podporucznikowi pozwolenia na wzięcie ślubu. Wtedy młody oficer postanowił wystąpić z wojska, lecz nie zdażył, gdyż brygadę wysłano w celu stłumienia powstania, które wybuchło przeciwko władzy carskiej w Polsce, na Białorusi i Litwie. Jewgenij Iwanowicz Tatarcew, człowiek uczciwy i wolnomyślny, przeszedł na stronę powstańców. Został jednak po miesiącu schwyty, zdegradowany i stracony. Powstanie zostało stłumione. Tysiące powstańców padło w boju lub zginęło na szubienicy.

Dawni znajomi przestali się kłaniać Kapitolinie Andriejewnie. Wytykano ją palcami, mówiono o niej „nieślubna wdowa”. Często zdarzało się jej usłyszeć jeszcze gorszą obelgę, a święte dla niej imię skazanego na śmierć Jewgenija Iwanowicza nawet krewni wymieniali z ohydny uśmiechkiem, dodając zawsze „zdrajca”, „sprzedawczyk”, „dobrze mu tak”.

Dokładnie czterdzieści lat temu Kapitolina Andriejewna osiedliła się na Wyspie Wasilijewskiej. Jej ból był wówczas jeszcze świeży. Wynajęła obecne swoje mieszkanie. Nikogo nie chciała widzieć. Odwiedzał ją tylko brat Misza. Miał on dobre serce, więc nie czynił jej wyrzutów jak inni. Przychodził, dzwonił ostrogami, śmiał się hałaśliwie i starał się rozerwać owdowiałą siostrę.

Wkrótce jednak trzeba się było rozstać nawet z Miszą, gdyż przeniesiono go jako dowódcę pułku na prowincję. Tam, w jakimś gubernialnym mieście ożenił się — jak napisał w liście — „z najpiękniejszą dziewczyną guberni”; w rok po ślubie żona jego otrzymała niespodziewanie znaczny spadek. Potem Kapitolina Andriejewna dowiedziała się, że bratu urodził się syn. Po kilku latach Misza z żoną i czteroletnim Wowką przyjechał na urlop do Petersburga. Czy to było tak dawno? Dziwne, jak ten czas leci!

„Dziwne... — myślała staruszka. Przed nią na kanapie siedzi teraz bratanek: wielki, barczysty mężczyzna w obszernym surducie. — Co z niego wyrosło! A czy ma mądre, wesołe, jak niegdyś Misza”.

— Wowoczka, dlaczego nie poszedłeś w ślady ojca?

O to powinna była zapytać go co najmniej dwanaście lat temu.

— Twoja rodzina — to rodzina oficerska... Byłbyś już dziś dowódcą pułku. A co ty wymyśliłeś! Powiedz, co ci się właściwie spodobało w tej Akademii Górniczej. Gdyby ojciec i matka żyli, nigdy by na to nie pozwolili. Nigdy!

Mówiąc to Kapitolina Andriejewna z wyrzutem kręciła głową. Uważała za swój obowiązek dać bratankowi przy każdym spotkaniu burę. Przecież ona jest też Lisicyna i w dodatku starsza. Niech więc wisus wie, że ktoś nad nim czuwa. A przydałoby mu się trochę dozoru, przydało!

„Wisus”, gładząc brodę, zasłaniał dłonią pobłażliwy uśmiech. Wreszcie rzekł krótko:

— Jeden woli mundur, a inny naukę. Różne bywają upodobania.

— „Upodobania”! — zaburczała Kapitolina Andriejewna. — Boże mój! Gdybyś przynajmniej dzięki swojej nauce otrzymał jakieś stanowisko. Jeżeli nie w wojsku — to chociaż w cywilu, w departamencie... Doprawdy masz pstro w głowie! — Przymknęła oczy i głęboko westchnęła: — Cóż mam z tobą zrobić, jak mogę być za ciebie odpowiedzialna...

„Tak, tak — myślała — byłby oficerem, jak nieboszczyk Jewgenij... Ale, gdzie mu tam!”

Lisycyn pochylił się naprzód, rozwichrzył włosy i wybuchnął wesołym, chłopięcym śmiechem. Chytrze mrużąc oczy, spojrzął na ciotkę i potrząsnął obydwoma rękami, jak gdyby zrzucając z nich coś na podłogę.

— Ale, kochana ciociu Kapeczko, gdyby ciocia wiedziała, jakie ja jeszcze cuda stworzę! Niech ciocia słucha: obecnie mam w moim laboratorium przyrządy...

Kapitolinie Andriejewnie od razu wydłużyła się mina.

— Wciąż jeszcze majstrujesz nad swoimi rureczkami?

Ach, nieszczęście... Nie zapomniałeś jeszcze? Nie porzuciłeś ich?

— Ależ niech ciocia posłucha...

— Nawet słuchać nie chcę! Cóż to znowu! — zawołała staruszka płaczliwym głosem. — Był urwisem i pozostał nim. Broda mu tylko wyrosła. Cóż to?... Och, ty moje nieszczęście!

...W dzieciństwie dokuczano Lisycynowi „rureczkami”. I to dokuczali mu właśnie dorośli, gdyż był jedynym dzieckiem w rodzinie i w pierwszych latach swojego życia nie stykał się prawie wcale z rówieśnikami.

Wowka miał pięty rok. Kupiec Wawilow przyozdobił swój sklep niezwykłą wystawą: za lustrzanym szkłem stał wielki brunatny niedźwiedź — z butelką w

jednej łapie, a szklanką w drugiej. Poruszając miarowo łapami, niedźwiedź nalewał wino z butelki do szklanki, podnosił do pyska, wypijał, opuszczał szklankę w dół, znowu nalewał, wypijał i tak bez przerwy od rana do wieczora. Widowisko to oczarowało Wowkę. Matka wołała, ciągnęła go za rękę, ale chłopczyk opierał się, jak gdyby przyrósł do chodnika, i pożądliwymi oczami patrzył na nadzwyczajnego niedźwiedzia. Dopiero po upływie godziny, dzięki obietnicy kupienia ołowianych żołnierzyków, udało się matce nakłonić synka, by wsiadł do dorożki.

Lecz ołowiani żołnierze wkrótce znaleźli się pod stołem, a Wowka codziennie prosił z płaczem, ażeby zaprowadzić go przed wystawę z niedźwiedziem. Kilkakrotnie ustąpiono mu; wtedy, wyprzedzając przechodniów, podbiegał do wystawy, wspinał się na palce i zamierał z zachwytem.

Pewnego razu, gdy już do syta napatrzył się pracy zręcznych niedźwiedziich łap, zapragnął dowiedzieć się, jak niedźwiedź wygląda z tyłu. Matka pozwoliła mu wejść do sklepu i wtedy nastąpiło nieoczekiwane i okrutne rozczarowanie: zamiast kosmatego futra ujrzał Wowka skomplikowany mechanizm, złożony z dźwigni, kółeczek i rurek. Był tym tak wstrząśnięty, że od razu przestał interesować się niedźwiedziem.

Nikt nie rozumiał, dlaczego w dziecku zaszły pewne zmiany. Czasem chłopczyk stawał się nagle milczący, boczył się i patrzył na wszystkich spode łba. „Głupstwo” — myśleli dorośli. Ale Wowce, od tego czasu, otaczający go świat wydawał się jakiś straszny. Ciągłe mu się zdawało, że dorośli go oszukują. Gdy spojrzął na krawcową, która siedziała w pokoju matki i szyła, a ręka jej poruszała się miarowo, unosiła i opuszczała, Wowce przechodziło przez myśl, że ta krawcowa udaje tylko żywego człowieka. A może z nią jest tak, jak z niedźwiedziem na wystawie: krawcowa jest odwrócona do patrzącego stroną „na pokaz”; a z tyłu, niewidoczne dla oka, ukryte są poruszające ją maszyny z miedzi i szkła?

Chłopczyk przeląkł się swojej myśli i uciekł. Wpadł do dziecinnego pokoju i spojrzał w okno. Za oknem przez otwartą bramę ujrzał rekrutów ustawionych na ulicy w szeregu i ćwiczących „na ramię broń”, „do nogi broń”. Ruchy te powtarzają się bez ustanku.

„A jeżeli ci rekruci — wydawało się Wowce — także tylko udają? A jeżeli i oni — tak jak niedźwiedź?”

W jaki sposób dowiedzieć się, kto jest prawdziwy? Czy dorośli go okłamują, czy też wszystko jest „naprawdę” takie, jak wygląda? Czyżby tylko on jeden na całym świecie był żywy, a nie fałszowany?

Czasami Wowka zapominał o tym, lecz straszna myśl powracała kilkakrotnie; dopiero po upływie tygodnia zrozumiał, że ludzie nie mają kóleczek i rurek.

Kiedyś wieczorem, gdy matka wzięła go na ręce, Wowka nabrał śmiałości i powiedział jej szczerze o swoich niedawnych obawach. Matka wybuchnęła śmiechem i pobiegła do ojca i gości. Wszyscy śmieli się do upadłego, a Wowka najgłośniej ze wszystkich. Jednak poczucie swojej wyjątkowej, specjalnej pozycji pomiędzy ludźmi pozostawiło pewien ślad w jego duszy. Trzeba tutaj dodać, że w dużej mierze przyczyniła się do tego również jego matka.

Życie jej wypełniały kłopoty o wieczorne przyjęcia i nowe, modne suknie. To przebywała w tłumie nie znanych mu gości, to noce spędzała na balach, aby potem spać do obiadu, to wreszcie wyjeżdżała z wizytami do przyjaciółek lub do teatru. Wowka lubił jej głos, dotknięcie palców, nawet, odgłos kroków, ale rzadko udawało mu się spędzać z nią cały dzień. Częściej zdarzało się, że matka w pośpiechu wpadała do dziecinnego pokoju, pytała niani, czy dziecko jest zdrowe, zaglądała synkowi w oczy i zabawnym, miłym ruchem dotykała noska Wowki; chłopczyk nie zdażył jeszcze odezwać się do niej, a już matka mu przerywała, prosiła, żeby był grzeczny, i spieszyła do swoich niekończących się „zajęć”.

Czasami miała napady gwałtownej czułości. Trzaskając drzwiami wpadała do pokoju i pośpiesznie, jak gdyby ktoś jej odbierał syna, tuliła go do siebie, obsypując pocałunkami jego złotaworudą główkę.

— Mój śliczniutki — szeptała do niego w takich chwilach — mój jedyny... Ludzie są wstrętnei... Nie ma na świecie takiego drugiego, jak ty!

I zwracając się do niani, dodawała:

-- Na spacerze trzymajcie się z daleka od innych dzieci. Pamiętajcie! Jesteście za to odpowiedzialni!

Przecież ja zawsze, proszę pani... — mówiła niania.

Ojciec za każdym razem gniewał się, gdy to słyszał: Zepsujecie w końcu chłopaka. Chowacie go przecież jak pod szklanym kloszem! Jak to nazwać? Do czego tu podobne?

Wtedy matka zaczynała sprzeczać się z ojcem, ojciec machał ręką i wszystko pozostawało po staremu. Michaił Andriejewicz z bólem serca godził się z tym, że wychowanie dziecka — to sprawa kobieca. „Na razie niech będzie tak — myślał. — Gdy jednak Wowka wyrośnie, oddam go do korpusu kadeckiego. Wówczas wszystko będzie tak, jak trzeba”.

Michaił Andriejewicz był człowiekiem bardzo zajęтым i nie mógł codziennie poświęcać czasu Wowce. Należał do tych nielicznych oficerów, którzy nieustannie pracowali, stawiając służbę ponad własne interesy. Był zazdrosny o honor swego pułku, troszczył się o podwładnych, szczyił się sławą oręza rosyjskiego i lubił prostych rosyjskich żołnierzy „cud-bohaterów”, jak mówił o nich słowami Suworowa. Rzecz prosta, że taki oficer miał niewiele wolnego czasu.

Z synem spotykał się przeważnie w jadalni, przy obiedzie. Wysoki, z wąsami, w mundurze z epoletami, Michaił Andriejewicz mrugał do niego po przyjacielsku i zadawał zawsze to samo pytanie: „No, jak tam, zuchu?”

W święta, w czasie poobiedniego odpoczynku, ojciec wzywał syna do swojego gabinetu. Ani ojciec, ani syn nie

umieli ze sobą rozmawiać. Ojciec spoglądał z wysokości swojego wzrostu, szarpał wąsy i mówił: „No, opowiedz coś!”

Syn, przestępując z nogi na nogę, milczał. Wtedy ojciec gładził złociste włosy chłopca, prznosił fotel, siadał plecami do okna i rozkładał na kolanach książkę. Od tego momentu zaczynała się najbardziej interesująca część rozmowy z ojcem. „Tatusiu, można?” — pytał syn. Michał Andriejewicz kiwał głową potakująco. Wowka rzucał się do szuflad biurka. Odkrywały się przed nim skarby niedostępne w powszednie dni. Gipsowe popiersie Suworowa z rozbitą podstawką, związane w węzeł akselbanty, kawałki ołówków we wszystkich kolorach, tekturowe pudełka z brelokami, naboje rewolwerowe, złamany przycisk.

Niania Wowki nazywała się Pelagia Anisimowna. Ani na chwilę nie zostawiała „pańskiego” syna bez dozoru. Jej maleńka twarzyczka, w zawiązanej pod brodą, czarnej chustce, migiała przed nim przez cały dzień. Jej pół-buciki z kozłowej skóry skrzypiały od rana do wieczora. Gdy zdarzyło się, że Wowoczka nic nie zbroił, nie uderzył się, nie przeziębził i nie skaleczył, że w odpowiedniej porze zjadł i poszedł spać, to wieczorem, otulając dziecko kołderką, starowina siadała na brzeżku łóżka i mruczała:

„Dzięki ci, Matko Przenajświętsza, dzień minął. Gdyby tak zawsze, sokoliku, nóżki moje miały taki spokój..”

Rodzina Lisicyńów mieszkała niedaleko koszar w murowanej willi z dziedzińcem i ogrodem. Na podwórzu i w kuchni krzatali się żołnierze-ordynansi. Żołnierze nigdy nie rozmawiali z synem pułkownika, gdyż pułkownikowa surowo im tego zabraniała. Pelagia Anisimowna zaś pilnowała, ażeby chłopcu, zachowaj Boże, nie zachciało się bawić z dziećmi na ulicy. „W żadnym wypadku! — nakazywała jej pani, grożąc palcem. — Nauczają go tylko jakichś obrzydliwości!”

I Wowka rósł jak na bezludnej wyspie.

Stopniowo powstało w nim mniemanie, że ich dom jest najważniejszym miejscem na świecie, a najważniejsi ludzie to niania, matka i ojciec. I że dom, rzeczy i ludzie — wszystko to powinno służyć jemu, istocie jeszcze bardziej ważnej i najlepszej, tak aby życie jego było interesujące i wesołe, aby spełniały się wszystkie jego zachcianki, aby nikt mu się nie sprzeciwiał, aby częściej dostawał podarunki i nowe zabawki, aby mógł objadać się cukierkami i ciastkami.

Pewnego razu Pelagia Anisimowna postanowiła pojechać na wieś w odwiedziny do zameężnej córki. Pani zwolniła ją na trzy dni. Wowka zauważył wtedy, że niania chowa do swojego koszyka jakieś przedmioty, których jeszcze nie widział, drewniane korytko i jaskrawo pomalowaną lalkę. Podbiegł ucieszony i zawołał ze śmiechem:

— I tak widzę! Daj!

Tymczasem staruszka zatrzasnęła wieko koszyka:

— To nie dla ciebie, sokoliku. Kupiłam to dla mojej wnuczki.

Wowka najpierw nie zrozumiał. Potem skrzywił się i rozplakał. Nie spodziewał się takiej obrazy. Jak ona śmie komuś innemu, a nie jemu... Wydawało mu się to dziwne i niesprawiedliwe. Długo, prawie przez całą godzinę boczył się na nianię i piąstkami rozmazywał łzy na policzkach.

W ogóle Pelagia Anisimowna była dla niego przyczyną wielu przykrości. Zmuszała na przykład do noszenia wełnianych rajtuzów — po cóż one, jeżeli nie ma jeszcze mrozu! Czyżby robiła to na złość? Naumyślnie?

Sarkał, narzekał, ale w końcu dawał się przekonać. Wciągał niechętnie rajtuzy spoglądając spode łba na staruszkę. A Pelagia Anisimowna zaczynała przymilnie przemawiać: „Ach, ty mój zuchu, inne dzieci są kapryśne, a ty, mądralo, sam wszystko rozumiesz!...”

Wiadomo, dlaczego mu tak schlebiała. Ale Wowka nie mógł oprzeć się pochlebstwu. Gdy niania tak mówiła, godził się, choć z bólem serca, na rajtuzy i ciepłe buciuki, a nawet pozwalał owinać sobie szyję grubym, puszystym szalem.

Chciał, ażeby go zawsze chwalono, ażeby dorośli ciągle się nim zachwycali.

Zaczął więc przechwalać się nieprawdopodobnymi czynami: twierdził, że nieraz już wdrapywał się na dach po rynnie i że to dla niego drobnostka; opowiadał, że będąc na spacerze spotkał wielkiego tygrysa i wcale się nie przestraszył; że naprzeciw ich domu przewrócił się naładowany wóz, a on wybiegł, podniósł go jedną ręką i postawił na koła.

Historie te jednak jakoś nikomu nie imponowały. „Wowoczka, nie trzeba kłamać — powstrzymywała go niania. — To grzech!” Wówczas Wowka milkł obrażony, lecz już po upływie minuty znowu zaczynał opowiadać, jak to wystrzelił na ulicy z prawdziwej strzelby — a nawet nie ze strzelby tylko z armaty — albo jak rozpędził się i przeskoczył przez najwyższy płot.

Nie wiadomo kiedy Wowka nauczył się czytać. Matka przynosiła mu wiele książek z obrazkami; gdy znudziły się obrazki, chłopiec zaczynał przyglądać się napisom. Niania umiała czytać i pokazała mu litery. W dniu ukończenia pięciu lat Wowka, nieoczekiwanie dla siebie samego, przeczytał od razu całą stronicę z bajki o Czerwonym Kapturku. Chłopiec promieniał ze szczęścia: wszyscy — ojciec, matka, goście — patrzyli na niego, mówili o nim, uśmiechali się i głaskali po głowie.

Po upływie dwóch lat zaczęła przychodzić nauczycielka Walentina Aleksandrowna, nieśmiała starsza pani w czarnej sukni. Chłopiec zaczął uczyć się rosyjskiego, francuskiego i arytmetyki.

W lecie lekcje odbywały się rzadko, tylko dlatego aby Wowka nie zapomniał, czego nauczył się zimą.

Pewnego letniego dnia pojechał z ojcem za miasto, do pułkowego obozu. Jechali pociągiem. Droga zajęła niewiele czasu: dwadzieścia minut tam i tyleż z powrotem.

Jazda ta pozostawiła w pamięci Wowki ślad na całe życie. Zobaczył las, wyłoczone pszenicą pola, które falowały za każdym podmuchem wiatru, damki wiejskie kryte słomą, a w obozie — białe namioty żołnierzy. Najważniejsze jednak, że po raz pierwszy przyjrzał się z bliska lokomotywie. Było to zajmujące, a zarazem straszne: syczy, wypuszcza bokami parę...

— Tatusiu, dlaczego ona jedzie bez koni!

Ojciec roześmiał się:

— Drzewo pali się w palenisku... Spójrz, iskry lecą z komina!

Przez cały miesiąc Wowka mówił o tym, co widział. A potem przycichł i zaczął myśleć o budowie własnej lokomotywy.

„Niech sobie będzie — myślał — mała lokomotywka, choćby taka, jak krzesło. Ale żeby w niej palił się prawdziwy ogień i żeby poruszała się. Można na przykład wstawić lampę naftową: nad ogniem będzie kółko, które zacznie się kręcić i poruszy cztery koła umocowane na dole; wtedy one także zaczną się kręcić i lokomotywa popędzi naprzód”.

Postanowił wybudować swoją maszynę w tajemnicy. Zdziwią się wszyscy, gdy zobaczą go jadącego na lokomotywie z dziecinnego pokoju do jadalni. Najważniejsze, ażeby na razie nikt się nic nie dowiedział o lampie. Trzeba będzie ją wstawić, gdy wszystko już będzie gotowe.

Pelagia Anisimowna była bardzo zadowolona: chłopiec bawi się tak cicho, wycina koła z grubego kartonu, związuje sznurkiem jakieś kijki, okleja je papierem. Może karetkę robi?

Po kilku dniach, gdy staruszka wieczorem poszła do kuchni na kolację, w dziecinnym pokoju rozległ się

krzyk. Parowóz nie wytrzymał próby. Palił się papier, palił się sznurek, rozlała się i płonęła na podłodze nafta.

Wszyscy, nawet ojciec, przybiegli do dziecinnego pokoju. Pożar ugasili kocem, a Wowkę zabrali do gabinetu ojca „na rozprawę”.

Chłopiec odważnie przyznał się do winy: tak, zapomniał przykleić tekturową rurkę, ażeby iskry mogły ułatywać. Dlatego na pewno zapalił się papier. Bo jeżeliby ogień wydobywał się przez rurkę...

— Wowoczka! — załamała ręce matka. — Boże mój, jaką znów rurkę... Boże! Co on mówi!...

Niania stała w drzwiach wystraszona i blada. A ojciec poczerwieniał i zastukał palcem w stół.

— Jeżeli ośmielisz się — rzekł — jeszcze raz dotknąć lampy... albo w ogóle bawić się ogniem... czy wymyślać jakieś rurki...

Matka obydwoma rękami chwyciła się za głowę i



wyszeptała:

— On wtedy także... rureczki... pamiętasz?

— ...wymyślać — ciągnął ojciec jeszcze groźniej — jakieś lokomotywy i rureczki, to ja ciebie... — podniósł głos — za takie sprawki...

W tym momencie Wowka zachlipał i rozplakał się głośno. Właściwie na tym skończyła się cała kara. Od tego czasu jednak matka spoglądała niekiedy na syna z trwogą w oczach, a ojciec śmiał się głośno i dokuczał mu „Jureczkami”. Zamiast zwykłego: „No, jak tam, zuchu?” Michaił Andriejewicz mówił teraz: „Co słyhać z twoimi ru-reczkami?”

Jedynie nauczycielka Walentina Aleksandrowna inaczej odniosła się do tego, co zaszło. Gdy dowiedziała się o spalonej tekturowej lokomotywie, odłożyła na bok wypisy i przystępnymi słowami opowiedziała, jak zbudowana jest prawdziwa lokomotywa i statek parowy. Następnego dnia przyniosła książkę, w której były narysowane maszyny, statki parowe i żaglowce. Wowka chciwie oglądał tę książkę. Oglądał i wykrzykiwał: „Aha, więc to taki”

Nie bawił się już więcej drewnianymi konikami i pluszowymi niedźwiadkami. Zaczął marzyć o szczękających żelazem cylindrach i tłokach, o stalowych gigantach mknących przez stepy z szybkością wiatru, o okrętach prujących burzliwe morza.

Historia rozpoczęła się znowu od wystawy sklepowej. Chłopiec miał wówczas dziewięć lat. Spacerując z nianią po mieście — w tym czasie niechętnie już chodził z nianią — zauważył model żaglowca.

Wśród mozaikowych kałamarzy i figurek z brązu stał prawdziwy dwumasztowy bryg, ze wszystkimi żaglami, olinowaniem, okienkami kajut, z kilem, sterem, wszystkimi blokami i urządzeniami, tylko że długość statku od dzioba do rufy wynosiła niewielej niż łokieć.

Życie straciło dla Wowki wszelki urok: chciał, ażeby mu koniecznie kupiono ten model. Pobiegł najpierw do matki, potem do ojca, naprzykrzał się i prosił.

— A czy wiesz, ile kosztuje ta zabawka? — rzekł ojciec. — Pisarz, który pracuje u mnie, człowiek mający na utrzymaniu rodzinę, zarabia tyle w ciągu całego roku.

Wowka oburzył się:

— Czyż taki okręt to zabawka?

Patrzył błagalnie:

— Ta - tu - siu — nie przestawał prosić — kup!

— Nie — odpowiedział Michaił Andriejewicz — nie kupię. Obejdiesz się bez tego.

Matka wzruszyła ramionami, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Był to pierwszy wypadek, że Wowce tak szorstko odmówiono.

Nie można było dać za wygraną. Z uporem maniaka chłopiec szukał wyjścia z trudnej sytuacji, szukał, dopóki nie znalazł jasnego i prostego wyjścia. Wiedział już teraz, co ma zrobić. Codziennie wieczorem szybko odmawiał szeptem przed ikoną „Ojcie nasz”, a potem dodawał ułożoną specjalnie modlitwę: „Boziu, każ im — to znaczyło ojcu i matce — każ im kupić dla mnie ten model”. Czas jednak mijał i cierpliwość chłopca była na wyczerpaniu. Po dawnemu model stał za szybą wystawową. Ojciec i matka byli, jak przedtem, nieubłagani, a Chrystus obojętnie patrzył na niego z ikony.

„Czyż to możliwe — myślał Wowka — żeby on mi tego nie zrobił? Przecież nic go to nie kosztuje, ma tylko kazać. A może on mnie wcale nie słyszy?” Do modlitwy wieczornej dołączyła się poranna i jeszcze kilka w ciągu dnia. W końcu Wowką owładnął niepokój: dostanie model czy nie dostanie?

W przystępie rozpaczony wlaź na krzesło, zdjął z gwoźdźca ikonę i rzekł niemal z pogróżką: „Niech natychmiast zjawi się tutaj model żaglowca! Słyszysz? Niech się zjawi!”

Ale w dzieciennym pokoju nic się nie zmieniło. Od ikony pachniało woskiem. Wówczas Wowka nieoczeki-

wanie dla samego siebie pokazał Chrystusowi pięść: „Ja ci pokażę!”

Zrobiwszy to chłopiec zatrząsł się ze strachu. Co teraz będzie? Oczekiwał gromu, jakiegoś ciosu, czyjś straszliwego dotknięcia.

— Co ty robisz, niegodziwcze?! — krzyknął ojciec, który przypadkowo zajrzał do pokoju.

Ikona wysliznęła się z rąk i upadła na podłogę.

— Pytam się ciebie, co robisz?

Wowka stał na krześle i milczał.

„To już wykracza poza ramy wszelkich dziecinnych wybryków — pomyślał Michaił Andriejewicz. — Na to już nawet brak nazwy: wygrażać pięścią ikonie i rzucać nią o podłogę!”

Winowajcę zamknięto w pustej komórce. W południe ojciec oznajmił mu swoją decyzję: po pierwsze, każe go ordynansowi Fiedce wychłostać; po drugie, natychmiast odda do korpusu kadetów. Tam potrafią go nauczyć rozumu, tam odechce mu się głupich figlów. Dostyc zbijania bąków. Doszedł do bezceństwa.

Nawet łzy matki nie pomogły Wowce.

W takich to przykrych okolicznościach zakończył się pobyt chłopca w domu rodzicielskim. Od grożącej chłosty ocaliło go wstawiennictwo cioci Kapeczki, która w samą porę przyjechała z Petersburga. Wówczas to Kapitolina Andriejewna stwierdziła, że jej bratanek — to nieznośny psotnik i łobuz; opinia ta zachowała się u niej na długo.

Po upływie przeszło dwudziestu lat postarzała już nieco ciotka powracała do dawnych spraw:

— Ciągłe majstrujesz coś rureczkami? Byłeś wisusem i jesteś nim nadal!

„Boże mój — myślała — w kogo on się wdał? Bywają ludzie jak ludzie i bywają opętańcy. A to przecież jedyny potomek... Ani dziad, ani ojciec nie byli szaleńcami. Może jak się ożeni, to się odmieni?”

I myśląc tak, ze smutkiem spojrzała na brodatego bratanka. W wyblakłych, starczych oczach błysnęły łzy.

Lisycyn siedział przed nią na kanapie i uśmiechał się.

Kapitolina Adriejewna przypomniała sobie, że dwa lata temu, wiosną, postanowiła pojechać na Wielkanoc do swojego Wowoczki. I cóż tam zobaczyła — wstyd powiedzieć — dwa pokoje, całe zapchane butelkami i szklanymi rurkami.

Toteż i teraz spojrzała na niego załzawionymi oczami i westchnęła ze smutkiem:

„Ciagle się tylko bawi, takie zabawki nie przyniosą dorosłemu nic dobrego! A przecież ani ojciec, ani dziadek... Ach, mój ty Boże!”

— Spadek — zapytała — przyznaj się, cały przepuściłeś?

Lisycyn wsunął ręce do kieszeni surduta i odpowiedział:

— Wódki nie piję, w karty nie gram...

— Pamiętaj! Przepuścisz pieniądze, pójdiesz z torbami w świat. Na mnie, gołąbku, nie licz!

„Gołąbkowi” nawet broda rozdziwiła się od uśmiechu, a powieki wydłużyły się tworząc wąskie szparki. Wyjął z kieszeni dwa okrągłe, przezroczyste flakony z jakimś białym proszkiem czy ziarnkami, postawił je przed ciotką i rzekł:

— Proszę!

Staruszka cofnęła się w głąb fotela.

— Co to takiego?

— Towar, ciociu Kapeczko. Próbki. To cukier, a to — krochmal. Mam zamiar handlować.

Kapitolina Andriejewna nie zrozumiała, że to żart, załamała ręce i zawołała:

— Czy ty już całkiem zbzikowałeś?! Lisycynowie nigdy nie byli kupczykami. Co za hańba!

„Nie — pomyślała — Jewgenij nigdy by tego nie przeżył...”

Lisycyn przysłonił oczy powiekami i poważnie pogłodził brodę:

— Dlaczego zaraz kupczykami? Możliwe, że dokonam wielkiego wynalazku.

— Oszukają cię przecież! — jęknęła ciotka. — Nieściągaj na siebie hańby, kochanie, uszanuj choć pamięć ojca!

Ale bratanek mówił dalej żartobliwym basem:

— Będą mnie tytułować: „Sławetny kupiec pierwszej gildii...*”

— Ach, co za nieszczęście... Cóż ty znowu wymyśliłeś najlepszego? — złamanym głosem zawodziła staruszka. — Syn pułkownika, oficera...

Wyciągnęła zmiętą batystową chusteczkę i bezradnie, po dziecinnemu skrzywiła usta. Wówczas Lisicyń, zanosząc się ze śmiechu, klasnął w dłonie i rzekł zagładając ciotce w oczy:

— Ciociu, ja przecież tylko żartuję! Niech się ciocia zmiłuje, jaki tam ze mnie kupiec. Nie zamierzam wcale handlować. Ja to sam zrobiłem.

Kapitolina Andriejewna opuściła na kolana rękę z chusteczką i nasrożyła się. O nauce miała mgliste wyobrażenie, handel zaś wydawał się jej zajęciem wstrętnym, niegodnym tego, kto mógłby nosić mundur oficerski.

— Co zrobiłeś?

— Ten oto cukier i krochmal.

Uśmiechnęła się przez łzy:

— Ach, ty łobuzie jeden!

— Zrobiłem — ponownie ożywił się Lisicyń — naprawdę sam zrobiłem! Codziennie tylko nad tym pracuję.

— A kupić nie możesz?

— Robię to nie dla siebie.

— A więc jednak — ręka z chusteczką uniosła się i drgnęła — to znaczy na sprzedaż?

Lisicyń zaprzeczył gwałtownie.

* *Gildia* — kategoria ustalona dla kupców w carskiej Rosji na podstawie dochodów przedsiębiorstwa.

Zaskrzypiały drzwi i weszła Warwara. Miała śnieżnobiałą fartuch i koronkowy czepiec na siwych włosach. Wystroiła się tak z okazji przybycia gościa.

— Proszę do stołu — rzekła śpiewnie i, krocząc naprzód, dorzuciła szybko:

— A Władimira Michajłowicza... to po prostu poznać trudno. Tfu, żeby nie uroczyć... tak wyrósł!

Ciotka, spoglądając z ukosa na bratanka, bojaźliwym ruchem wskazała na flakony:

— To na co ci to było potrzebne?

— Ażebym ludzie nie byli głodni.

— Rozdajesz biednym?

— Nie, nie rozdaje. — Oczy Lisicyna stały się duże i poważne; wziął jeden z flakonów i popatrzył nań pod światło. — Widzi ciocia, chcę nauczyć wszystkich ludzi, co mają robić, ażeby pożywienie nic nie kosztowało. Przynajmniej chleb i cukier...

Kapitolina Andriejewna patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem. Wreszcie pomyślała: „Na pewno znowu żartuje”.

— Ach, urwisie! — zachichotała. — Widzicie, jaki kuchmistrz się znalazł! — Lecz natychmiast znowu westchnęła i zamruczała: — Ciągłe ci tylko psoty w głowie, zabawki... Boże mój, gdybyś się chociaż ożenił!

— Proszę do stołu — przypomniała Warwara.

— Chodźmy — opamiętała się ciotka i podniosła się z fotela. — Cóż ja... Chodźmy, Wowoczka!

A Lisicyn siedział i milczał, jak gdyby nagle przestał słyszeć, co do niego mówią. Ze zmarszczonymi brwiami oglądał białe ziarnka w przezroczystym flakonie. Flakon obracał się powoli w jego ręku, a drobniutkie kryształki przesypywały się, słabo połyskując matową bielą.

ROZDZIAŁ II

ŚNIEŻNE SZCZYTY

Pułkownik Lisicyń prosił o przyjęcie swego syna Władimira do korpusu kadetów. Była jesień i lekcje odbywały się już od dwóch tygodni. Generał-porucznik Suchowiejko napisał czerwonym atramentem: „Przyjąć bez egzaminu na koszt państwa”.

Po jasnych promieniach słońca, po jaskrawożółtych, szeleszczących pod nogami liściach, w starym gmachu wydawało się zupełnie ciemno. Dyżurny oficer-wychowawca spojrzął na spóźnionego kandydata, pociągnął go za długie rudawe włosy, wezwał żołnierza-piastuna i kazał natychmiast chłopca ostrzyć i ubrać w mundur.

Mroczone korytarze rozbrzmiewały echem kroków. Żołnierz ponuro kroczył naprzód. Od fryzjera czuć było machorkę, ostrza nożyc drapały w głowę. Gdy jednak Wo-wka włożył długie czarne spodnie i bluzę z surowego płótna, z białymi sukiennymi naramiennikami, od razu wszystko ujrzał w jaśniejszych barwach: stał się prawdziwym wojskowym!

— Kadet Lisicyń! — zawołał wychowawca.

„Kogo wołają?” — pomyślał Wowka, lecz w tej samej chwili drgnął: przecież to on teraz jest kadetem Lisicyńem!

— Idź na plac, Lisicyń. Hej, niech ktoś mu pokaże drogę!

Była to pora poobiedniego spaceru. Kadeta-nowicjusza przyprowadzono na podwórze, gdzie biegało, krzyczało, goniło jeden za drugim trzystu, czterystu chłopców w jednakowych jasnych bluzach z naramiennikami.

Lisicyń nigdy w życiu nie widział jeszcze takiego zbiorowiska chłopców, toteż przystanął z przestraczem.

„Jak ich tu dużo! I jacy oni duzi!”

Zauważono nowicjusza i tłum chłopców rzucił się ku niemu. Wowce mocniej zabiło serce. Jak wichur migały dookoła różne twarze, oczy, ręce. Już jest otoczony ciasnym kołem: śmieją się, patrzą na niego ze wszystkich stron.

— Rudy! — zdziwił się ktoś.

— Co za nos, wsadź go w sos... A uszy! Popatrzcie, co za uszy!

Wowka cofał się i żałośnie mrugał powiekami.

„Nieprawda! — pomyślał — I o nosie, i o uszach — wszystko kłamstwo!”

A tymczasem chłopcy pokazywali na niego palcami i chichotali — jedni piskliwymi głosami, a drudzy basem.

Miłe poczucie, że jest wojskowym, rozplynęło się bez śladu. Miał ochotę skryć się w jakiejś mysiej dziurze. Ogarnęło go przerażenie: „A więc z takimi będę musiał przebywać?”

— Rudy, dać ci sera?

Wysoki, białorzęsy kadet, z kwadratowym podbródkiem, przyskoczył i boleśnie przejechał mu paznokciem po karku, z dołu do góry.

Było to dla Wowki tak nieoczekiwane, że krzyknął i łzy pociekły mu z oczu. Gdy otarł je pięściami, kadeeci stali już w pewnej odległości i grzecznie rozmawiali między sobą. Przez podwórze szedł nie spiesząc się dowódca kompanii.

Siwa broda nieznanego oficera wzbudzała zaufanie. W dodatku Wowka nie znał miejscowych zwyczajów. Nie widział więc powodu do ukrywania swojej krzywdy; przeciwnie, uważał, że sprawiedliwości powinno stać się zadość. Spazmatycznie szlochając opowiedział o wszystkim, co zaszło, i wskazał palcem chłopca o białych rzęsach: „O, ten!”

— Mikulski! — zawołał dowódca kompanii.

Białorzęsy wybiegł naprzód i wyprężył się przepiślowo.

Oficer obrzucił go surowym spojrzeniem i rzekł:

— Za łobuzerstwo będziesz przez godzinę stał pod lampą.

„Stanie pod lampą”, jak dowiedział się później Lisicyń, było zwykłą karą za przewinienie dla kadetów z młodszych klas. Stali na „spocznij”; miejsce pod dużą lampą naftową, pośrodku sali, znajdowało się naprzeciw pokoju dyżurnego-wychowawcy, który od czasu do czasu zerkał na ukaranego. Jednym słowem — stój i milcz.

Od tego dnia w ślad za Wowką szły szepty:

— Donosiciel... Skarżypyta... Skarżypyta na kopyta...

Mikulski miał czternaście lat. Pomimo tego że przedtem uczęszczał na przygotowawcze kursy, w pierwszej klasie korpusu został na drugi rok. Miał silne pięści i gwałtowne usposobienie. Niewielu spośród kadetów ośmielało się mu sprzeciwiać.

Wieczorem, w ciemnym korytarzu, Mikulski chwycił nowicjusza za rękę i zawołał:

— Proś o przebaczenie, Lisie!

Nowicjusz oburzył się:

— Ani mi się śni! Sam proś!

— Sa-am? — groźnie zasyczał Mikulski i ścisnął Wowce palce. — Wbij to sobie do głowy: za długi język-koc na głowę... Wygrzmocą, czym popadnie, a potem możesz beczeć i skarżyć się, ile chcesz! Won!

I pchnięty w plecy, Wowka na łeb na szyję przeleciał przez próg, uderzając głową o framugę drzwi.

Czuł swoją zupełną bezbronność! Gorzkie było uczucie, że nie wróci już więcej do dzieciennego pokoju, w którym Pelagia Anisimowna troskliwie nastroszała pierzynę na łóżku. W ogromnej nieprzytulnej sypialni wiało chłodem. Wowka spojrział dookoła i policzył: osiem razy dziewięć... plus trzy razy sześć... dziewięćdziesiąt łóżek. Obok — druga taka sama sypialnia. Obydwie noszą nazwę — trzecia kompania. W korpusie jest jeszcze druga kompania i pierwsza; tylko że do nich należą star-

sze klasy. Wowka widział w jadalni cały korpus. Na modlitwie także widział wszystkich. Wszyscy wstrętnei, wrodzy, obcy!

— Panowie! — krzyknął Mikulski na całą sypialnię.

Na pryczach siedzieli rozbierający się kadeci.

— Kto się zadaje ze skarżypyta — sam jest skarżypyta!

O szóstej rano przeraźliwie trąbił trębacz. Potem słychać było rozkazy: na modlitwę, na śniadanie, do klas. Wowka stawał w szeregu i szedł zatopiony w smętnych myślach, kuląc się na krzyki dyżurnych oficerów.

Najtrudniejsze, oczywiście, były dla niego pierwsze miesiące w korpusie. Wtedy nawet chorowity Sotnikow, z którym siedział w jednej ławce, wypinał pierś i cedził przez zęby:

— Ty-y, Lisie! Odwał się!

Początkowo Wowka próbował zbliżyć się do kadetów: porozmawiać, wziąć udział w grze, ale próby te kończyły się smutno. Jedni zbywali go milczeniem i odwracali się, a drudzy przytkali go nieoczekiwanie w nos lub klepali dłonią po karku i chichotali. Czasami w jego czyścym zeszytcie, zjawiała się, nie wiadomo skąd, grudka błota, czasami w kieszeni żywa mysz, niekiedy w nocy, gdy spał, ściągali z niego koc.

Ale im bardziej się przestraszył, im boleśniej uderzył, tym głośniej śmiał się w swoim kącie Mikulski.

Szron pokrył szyby okien i wieczorami, w świetle lamp, mienił się różnokolorowymi ognikami. Wowka już nie płakał, gdy potykał się o przeciągnięty pomiędzy ławkami sznur, nie uśmiechał się, jak winowajca, gdy opryskiwano go atramentem. Wzruszał ramionami, unosił brwi i milcząc odchodził na bok. Jakoś zupełnie nagle pojawiła się w nim duma. W ciągu kilku tygodni wydorośłał. Przygryzał język, ażeby nie odpowiadać, i zmuszał się do myślenia o czymś innym — o ojcu, matce, niani albo po prostu o zadanych lekcjach.

Gdy Wowka rozglądał się dokoła, przed oczyma zawsze stawał mu Mikulski. Twarz jego widział nawet poprzez ścianę, z drugiego pokoju, nawet gdy zamknął oczy. Ta twarz, uśmiechająca się, z opuszczonymi kącikami ust, ze znienawidzonym szerokim podbródkiem — prześladowała go wszędzie. Inni kadeci byli lepsi, ale każdy z nich wydawał się wiernym sługą białorzęsego. Gdy czuł ich obecność obok siebie, robiło mu się mdło ze wstrętu. Jednak rzadko przychodziła mu do głowy chęć, by pobić się z którymś lub cichaczem przycisnąć komuś drzwiami palec. Wowka tłumił w sobie takie odruchy. To byłoby poniżające — robić tak, jak oni.

„Tchórz” — zawyrokowali kadeci.

Wowka milczał i myślał, że wszyscy są podobni do siebie, tylko on jeden jest inny. Toteż musi bez końca cierpieć, bo jego otoczenie i tak nie jest w stanie go zrozumieć.

Nawet piętnaście, dwadzieścia lat później — gdy został już inżynierem — marszczył czoło na wspomnienie korpusu kadetów; jedynym przyjemnym wspomnieniem były wakacje.

Gdy przechodził z klasy do klasy — najpierw do drugiej, a potem — z drugiej do trzeciej, przyjeżdżał po niego ojciec.

Jazda koleją do domu trwała całą dobę; czas ten spędzali razem.

Podczas pogodnych letnich dni ojciec kazał przyprowadzać wierzchowce i uczył syna trzymać się dobrze w siodle. Nikt nie przypuszczał, że chłopiec okaże się taki zręczny i odważny. Wowka doznawał niezwykłej radości — mknąć na spienionym koniu na spotkanie wiatru, odczuwać sprężystą grę mięśni, słyszeć w uszach szum powietrza, ledwo poruszać cugłami i widzieć, jak koń zmienia kierunek biegu, a z tyłu lecą spod kopyt grudki ziemi.

W czasie wakacji wszystko wydawało się Lisicynowi wspaniałe. Jeździł często z ojcem do obozu, a z mat-

ką spacerował po mieście, trzymając ją pod rękę jak dorosły. Gdy spotykali znajomych, matka mówiła:

— Wowoczka jest najlepszym uczniem w swojej klasie.

A Wowka starał się przybrać obojętną minę, lecz nie udawało mu się to i czerwienił się z zadowolenia. Matka mówiła prawdę. W korpusie, dawnym zwyczajem, wywieszano spis kadetów ułożony w taki sposób, że nazwiska lepszych uczniów były na górze, a gorszych na dole; spis kadetów klasy, w której był Wowka, zawsze zaczynał się od nazwiska „Lisicyń Władimir”. W stosowanym tam dwunastostopniowym systemie ocen nigdy nie dostawał stopnia niższego niż dziesięć.

W takich właśnie momentach doznawał złośliwej radości, gdyż wtedy wychodziła na jaw różnica: Mikulski z żadnego przedmiotu nie otrzymywał stopnia wyższego niż sześć.

W książce z baśniami Kryłowa Wowka podkreślił ołówkiem zdanie: „Idź i nie oglądaj się za siebie; poszczekają i przestaną”.

Zimą, gdy Wowka był w trzeciej klasie, Mikulskiego wydalono z korpusu. Wyrzucono go sromotnie za drobną kradzież. Gdy Lisicyń dowiedział się o tym, poruszył tylko brwiami, jak gdyby go to wcale nie obchodziło.

Tej samej zimy wydalono, w ślad za Mikulskim, także i z klasy Wowki jednego z gorszych uczniów, Iwanowa. Lisicyń nie darzył go specjalną sympatią, jednak wypadek ten wzburzył go, gdyż wydawał mu się niesprawiedliwy i niedorzeczny.

Wykładowca języka niemieckiego Otto Karłowicz Trauwen wynalazł specjalną metodę nauczania. Napisał gramatykę wierszem i wymagał, ażeby uczyć się jej na pamięć. Kadeci wkuwali:

*An, auf, hinter, neben, in,
Uber, unter, vor und zwischen,*

*Stehen mit dem Akkusativ, Wenn man fragen kann
„wohin”,*

Mit dem Dativ stehen sie so,

*Wenn man nur kann fragen „wo”**

Iwanow nie mógł tego opanować, a Otto Karłowicz często znęcał się nad nim na lekcjach. „Wy jest próżniak — mówił. — Wy jest dębowy pień”.

Pewnego wieczoru „dębowy pień” bąknął przy kolegach, że zabije „przekłętego Niemca”. Następnego dnia nauczyciel wezwał go do tablicy. Kadet ledwie uniósłszy się odpowiedział basem:

— Nie umiem.

— Ależ proszę, proszę — zjadliwie pokpiwał Niemiec i kiwał na niego palcem.

Wówczas Iwanow otworzył scyzoryk, skierował go ostrzem naprzód i wybałuszywszy oczy, ruszył pomiędzy ławkami w stronę katedry.

— A nóż... po co? — wybełkotał Karłowicz.

Idąc ciągle w stronę katedry, Iwanow krzyknął:

— Krede zaostrzyć!

Otto Karłowicz przewrócił kałamarz i uciekł z klasy. Po kilku minutach wrócił razem z inspektorem klasowym, pułkownikiem Łuńko, oficerem-wychowawcą i dwoma żołnierzami. Iwanow stał przy katedrze i dłubał w niej ostrzem scyzoryka.

— Rzucić nóż! — wrzasnął wychowawca.

— Ma kościaną rączkę — rozłupie się.

— Powróż! Brać go! Do karceru!

Żołnierze rzucili się na stojącego, wykręcili mu ręce do tyłu i wypchnęli na korytarz.

Po upływie dwóch dni, gdy stało się wiadome, że Iwanowa wydalają, Lisicyń w tajemnicy przed wszystkimi udał się do oficera-wychowawcy. Zapukał do drzwi:

* *Wierszowane reguły gramatyki niemieckiej: „Do, na, za, przy, W, nad, pod, przed i między rządzą czwartym przypadkiem, gdy można zapytać »dokąd«, a trzecim, gdy pyta się »gdzie«.*

— Czy można, panie pułkowniku?

— Wejdz — odpowiedział wychowawca. — Czego chcesz?

— Pozwoli pan — zaczął Wowka oglądając się, gdyż z jakichś powodów nie chciał, ażeby inni kadeci usłyszeli tę rozmowę — pozwoli pan, panie pułkowniku... Iwanow oczywiście... nie usprawiedliwiam go w zupełności. A jednak to było niesprawiedliwe. Tym razem on nie był winien.

— Co-o?

— Mówię, że nie był winien.

— Jak to, nie był?

— On nie chciał zamordować Ottona Karłowicza.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Cóż to, postanowiłeś wyrazić swoje zdanie? Wynoś się stąd! — krzyknął podpułkownik. — Nie, stój i poczekaj! Zapamiętaj sobie raz na zawsze: twoja rzecz — słuchać i być karnym. Słuchać, być karnym i nic więcej. Na pierwszy raz — będziesz stał pod lampą. Pomyśleć tylko... — zaśmiał się sarkastycznie — pomyśleć tylko... nie zapytano go o radę! Ale jeśli kiedykolwiek jeszcze ośmielisz się na coś podobnego... Marsz stąd! Powiedziano ci już. W tył zwrot!

...Nastaly mrozy. Śnieg zasypał plac. Gdy na pauczach otwierano lufciki, do klasy wpadały kłęby białej zimnej pary. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Pewnego razu ktoś zawołał głośno:

— Kadet Lisicyn! Do inspektoraj

Takie wezwania zdarzały się w korpusie dość rzadko. Nie zwiastowały one nic przyjemnego. Żaden zwierzchnik, nawet wychowawca klasowy podpułkownik Teriechow, nie rozmawiał nigdy z kadetami bez wyraźne-

go powodu. Rozmowy zwykle bywały krótkie: kadet zawinił — należy go ukarać.

W pokoju inspektora siedział sam generał-porucznik Suchowiejko — postrach korpusu, którego Wowka widział dotychczas tylko z daleka i tylko podczas uroczystości. Na policzkach jego widniały wspaniałe wąsy z bokobrodami, podobnie jak u cara Aleksandra II.

— Lisicyń Władimir?

— Tak jest! — odpowiedział Wowka trzaskając obcasami.

— Znałem twojego ojczulka, znałem.

Generał wyjął binokle ze srebnego futerału.

— Widzisz, Lisicyń, otrzymałem niedobłą wiadomość. Twój ojciec zachorował niebezpiecznie...

Wowka stał wstrzymując oddech. Generał spojrział na jego twarz i zaczął przecierać binokle chusteczką.

— Matka twoja także zachorowała. Rozumiesz, tyfus...

Generał nałożył binokle i westchnął:

— Obydwoje zmarli, daj im, Panie, królestwo niebieskie. Mam nadzieję, że po męsku zniesiesz tę ciężką stratę...

Wowka odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Kolegom w klasie nic nie powiedział. Ale w pół godziny później szeptali jeden do drugiego, że Kotow, kadet z pierwszej kompanii, podsłuchiwał rozmowę w pokoju dyżurnego-wychowawcy, w czasie której mówiono o śmierci rodziców Lisicyńa.

— Co za człowiek! — zdziwił się Sotnikow. — Z kamienia czy co?

Mnóstwo oczu śledziło zachowanie się Wowki.

Wieczorem, gdy usiadł na parapecie okna i zgarbiony patrzył na płomień lampy, obstąpili go kadeci:

— Lisicyń, czy to prawda, co mówią?

Wowka wzruszył ramionami, zeskoczył na ziemię i odsunawszy kogoś poszedł wzdłuż ściany. Odchodząc

zauważył wzrok Sotnikowa pełen niepokoju i współczucia.

Wzrok ten czuł na sobie także i w sypialni, gdy położył się do łóżka. Sotnikow zatupotał bosymi nogami w przejściu pomiędzy pryzcami, nachylił się i zaczął szeptać:

— Wiesz... nie gniewaj się już na mnie...

— Odczep się! — krzyknął Lisicyń i naciągnął koc na głowę.

Nie pamiętał, co się z nim działo przez szereg dni. Wszystko rozplynęło się jak we mgle, szarej niby zimowy poranek. Z Petersburga przyjechała ciocia Kapeczka. Przyszedł z nią jakiś pan w czarnym, błyszczącym cylindrze i futrze z bobrowym kołnierzem. Był to adwokat, który miał się zająć sprawą spadku.

— Spadku? — zapytał Wowka ze zdziwieniem i jak gdyby po raz pierwszy usłyszał o tym, co zaszło, oparł czoło o kolumnę przedpokoju i rozplakał się.

Życie w korpusie biegło swoim torem. Mijał tydzień za tygodniem.

Wieczorem, pomiędzy szóstą a ósmą, kadeci odrabiali lekcje. W klasie zapalano duże lampy. Dla pilnowania porządku obecny był oficer-wychowawca; przynosił ze sobą grubą książkę (lubił powieści Dostojewskiego), siadał na miejscu wykładowcy i pograżał się w czytaniu. W klasie panował hałas: jedni uczyli się głośno, inni po prostu rozmawiali.

Sotnikow, wysunawszy z wysiłku koniec języka, przepisywał na czysto dopiero co rozwiązane zadanie. Nagle Lisicyń — co się nigdy przedtem nie zdarzało — położył mu rękę na ramieniu:

— Pomyliłeś się. O, popatrz. Kupiec sprzedał siedem łokci perkalu pierwszego gatunku...

Ołówek szybko posuwał się po papierze. Zarobek kupca okazał się dwukrotnie większy, niż wyliczył to Sotnikow.

— Daj, jeżeli jeszcze coś potrzebujesz!

Z tyłu rozległ się głos Tichomirowa:

— A mnie nie pomożesz?

— Ja? No, chodź tutaj! Niech będzie!

Od tego czasu aż do końca swego pobytu w korpusie Lisicyń sam wyszukiwał kolegów, którym trzeba było wyjaśnić twierdzenie, sprawdzić zadanie lub wytłumaczyć trudną lekcję. Wieczorami Wowka siadał pośrodku ławki, Sotnikow na prawym jej brzegu, a na lewym — kolejny słuchacz.

— Dlaczego nie rozumiesz? — gniewał się Wowka i ponownie powtarzał dowód, kreśląc ołówkiem po papierze. — To właśnie trzeba było udowodnić. Teraz rozumiesz?

Przestawał mówić i spoglądał wzrokiem kuglarza, który z kieszonki od kamizelki wypuścił dziesięć żywych gołębi.

Wowka lubił matematykę. Podręczniki do algebry i geometrii wydawały mu się książkami ładnymi i interesującymi, które warto przeczytać „od deski do deski” i do których warto od czasu do czasu zaglądać w wolnych chwilach. Wyszukiwał sobie trudniejsze zadania i uparcie myślał nad sposobem ich rozwiązania: często, nawet w łóżku, zasypiając, spoglądał spoza przymrużonych powiek na sufit lub ścianę, rysował w myśli sześciiany i graniastosłupy lub wyciągał pierwiastki z dużych ułamków.

Słuchając muzyki — korpus słynął ze swojej orkiestry dętej — Lisicyń przymykał oczy. Wówczas dźwięki wydawały mu się strumieniem płynących w ciemności figur — zygzaków, spirali, rozmaitych kątów, rozchodzących się i poprzecinanych na części kół.

— Będziecie dobrym artylerzystą — chwalił go Siemion Nikiticz, nauczyciel matematyki.

Pochwała ta jednak nie osiągała swego celu, gdyż nauczyciel mówił to ziewając i pocierając powoli grzbiet nosa.

Wowka spoglądał na jego zaróżowiony nos i w duchu krzywił się pogardliwie. Nawiasem mówiąc, inni kadeci także nie lubili Siemiona Nikiticza. Był to niemłody już człowiek, z twarzą obrzękłą od ukrywanego pijaństwa, w niechlujnym, obsypanym tytoniem, i popiołem surducie. Nadano mu przezwisko „Odtąd dotąd”, gdyż nie pozwalał nigdy zaglądać poza temat zadanej lekcji.

„Jeżeli będziecie za dużo umieć — mawiał — szybko się zestarzejecie”.

Codziennie wieczorem Lisicyń pomagał Sotnikowowi i Tichomirowowi odrabiać lekcje. Gdy na wykazie postępów klasy nazwiska ich przesunęły się o kilka numerów w górę, Wowka poczuł dumę i radosną wiarę we własne siły. Zrozumiał, że przyjemnie jest być pożytecznym dla ludzi i odczuwać ich wdzięczność.

Pewnego razu otworzył na chybił trafił tomik wierszy Puszkina i przeczytał:

*Tyś król — pozostań sam. Nie chyląc dumnej głowy,
Wolności drogą idź za wolnej myśli blaskiem,
Owoce lubych dum w kształt doskonaląc nowy —
I wzniosły pełniąc trud wzgardź laurem i oklaskiem*.
„Tak — pomyślał — dobrze”.*

I westchnąwszy głęboko, ujrzał przed sobą wizję przyszłości: jakieś wielkie czyny okrywają go sławą pełną blasku; Sotnikow i tysiące, tysiące innych pozostają daleko w tyle; wszyscy są szczęśliwi, lecz szczęście to zawdzięczają jemu, Lisicyńowi... Oby to się spełniło!

*Owoce lubych dum w kształt doskonaląc nowy —
I wzniosły pełniąc trud wzgardź laurem i oklaskiem.*

Wowka zamknął książkę, przycisnął ją do piersi i długo siedział spoglądając na Sotnikowa pochylonego nad pulpitem. Potem szybkim wzrokiem obrzucił ścianę, na której wisiał spis nazwisk, ledwo dostrzegalnie uśmiechnął się i oczy mu rozblęły.

...Ciocia Kapeczka zaprosiła go na lato do Petersburga. W czasie podróży Wowka od rana do wieczora stał w otwartym oknie wagonu. Koła pod nogami wystukiwa-

ły wesołą pieśń. Wysoko na błękitnym, niebie płynęły puszyste obłoki, mknęły nad szarymi wsiami, lasami, po-

** Lutnia Puszkina — wydanie IV „Czytelnik” 1952 r. str. 91, tłumaczył J. Tuwim.*

lami, jak gdyby na wyścigi z pociągiem. Silny, porywisty wiatr bił w twarz.

Wowka przymrużył oczy i szeptał:

Pędź, statku, nieś mnie ku dalekim lądom.

Po groźnej samowoli złudnych mórz...

Ktoś położył rękę na jego ramieniu:

— Jedziesz do Petersburga?

Obok niego stał prawie dorosły kadet, śniady, o niebieskich oczach i wystających kościach policzkowych; Lisicyń widział go w jadalni korpusu przy jednym ze stolów pierwszej kompanii.

— Jak się nazywasz? — zapytał kadet nie zdejmując ręki z ramienia Wowki.

— Ja? Lisicyń. A pan... — Wowka zawahał się: mówić „pan” czy „ty” — a ty?

— Glebow — odpowiedział śpiewnie nowy znajomy. — Posuń się trochę, stanę przy oknie.

Obydwaj wysunęli głowy przez okno. Lisicyń zerkał z ukosa: „O co mu chodzi?” Teraz nie przychodziły mu już na myśl wiersze.

Przed oczyma przesuwwały się słupy telegraficzne, drzewa, budki dróżników. Glebow wodził wzrokiem za oddalającymi się przedmiotami. Po upływie pół godziny ziewnął, przeciągnął się tak, że aż zatrzeszczały mu kości i rzekł:

— Ech, bracie! Żeby tak już prędzej... skończyć z tym korpusem czy co... Już mam tego powyżej uszu!

Myśl ta wydawała się Wowce słuszna.

— Wiesz co, napijmy się herbaty — zaproponował Glebow.

Wowka zastanowił się chwilę i odrzekł:

— Napijmy się.

Koła wagonu stuknęły rytmicznie, wagon kołysał się.

W koszyku z prowiantami dużego kadeta leżała paczka książek z niezrozumiałymi napisami na okładkach.

Lisicyń zapytał ciekawie:

- Co to za książki?
- Gramatyki. Grecka i łacińska.
- To w korpusie tego uczą?

Glebow rzucił okiem na tłusty, pofałdowany kark śpiącego na górnym łóżku pasażera (jechali w trójkę w przedziale drugiej klasy) i roześmiał się cicho. Jego twarz o wystających kościach policzkowych stała się pod wpływem śmiechu jeszcze szersza; kąciki ust drgały zabawnie.

- Niemądry jesteś! Oczywiście, że nie uczą.

Rozłożył na stoliku czystą serwetkę, postawił szklanki i nie wiadomo dlaczego powiedział szeptem:

— Czy ty myślisz, że mam ochotę maszerować jako junkier, a potem jako podporucznik? Nie-e, bracie, to nie dla mnie. Zrozumiałeś?... Cóż tak patrzysz na mnie, jak wilczek?

Nikt jeszcze nigdy nie rozmawiał z Lisicyńem w ten sposób. Wowka oparł się o kanapę i patrzył z niedowierzaniem na dziwnego kadeta. Kadet uniósł nad stolikiem czajnik, ażeby napęłnić szklanki ostygłą wodą, ale zapomniał o nim i zwróciwszy się ku Wowce ciągnął dalej szeptem:

— Wiesz, wstąpię na uniwersytet. Nauczę się języków starożytnych — już niewiele mi zostało — zdam egza min...

Wowka zmienił pozycję — oparł się łokciami o kolana — i w końcu uśmiechnął się:

- Ale czy to tak można?

Śpiący pasażer zachrapał. Glebow przypomniał sobie, że trzyma w ręku czajnik, postawił go na ziemi i spojrzał na Wowkę.

— Wilczek... — pokiwał głową. — Słowo daję, że wilczek. — Znowu zadrgały mu kąciki ust. — A dlaczego by nie można?

— A bo to mało powodów... Po prostu nie pozwolą!

— Gdzie tam, bratku, głupstwo! — rzekł Glebow. — Mnie tak łatwo nie zabronią! E-e, bracie, jeżeli człowiek naprawdę coś chce... Już taki jestem, bracie!

— A po co?

— Jak to, po co?

Obydwaj w jednakowych płóciennych bluzach z białymi sukiennymi naramiennikami — patrzyli sobie w oczy. Po chwili Glebow przeniósł wzrok na swój koszyk.

— „Po co” to poważne pytanie — powiedział cicho i zaczął wyjmować z koszyka paczki owinięte w gazetę. — Ty, na przykład, pójdziesz z korpusu tam, dokąd wszyscy idą... Zdaje się z konfiturą — zaczął rozwijać paczkę z ciastkami. — Spróbuj, smaczne... Ja mam w życiu swoją własną drogę.

Lisycynowi bardzo podobał się nowy znajomy, ale to ostatnie powiedzenie wydało mu się obraźliwe: dlaczego sądzi, że on, Wowka, musi iść tam, gdzie wszyscy? „A może ja mam też własną drogę? Przecież nie wie, co ja za jeden. Nie wie, a mówi!”

Wsuwając do ust słodkie ciastko myślał, w jaki sposób mógłby pokazać Glebowowi swoją nieprzeciętność. Przypomniało mu się przy tym trudne zadanie matematyczne.

— Umiesz — zapytał po drugim ciastku — rozwiązywać zadania geometryczne?

Glebow skinął głową. Lisycyn wyjął z kieszeni ołówki i spiesznie zaczął rysować na skrawku gazety.

— Ten kąt — mówił — jest mniejszy od kąta prostego... prostopadłe zatem przetną się. A czy wynika z tego — Wowka spojrzał podstępnie — że kąt prosty jest równy ostremu? No, gdzie jest pomyłka?

Glebow stwierdził od razu, że punkty A, B i C leżą na jednej prostej; pomyłka polega na tym i na tym. Poklepał Lisicyna po ramieniu:

— Chciałeś mnie nabrać? Nie, bratku, to ci się nie uda!

Wowka odwrócił się i aż wargi przygryzł ze złości.

Rozmawiali do wieczora. Po wypiciu herbaty stali w korytarzu przy otwartym oknie. Następnego dnia rano

— a było to już w Petersburgu na Dworcu Nikołajewskim — Glebow rzekł:

— Wiesz, że z ciebie jeszcze mogą być ludzie. Jednym słowem, interesujący z ciebie chłopak.

Wsiadł do dorożki i krzyknął:

— Zobaczymy się w korpusie i jeszcze z sobą pogadamy!

Dorożki uwiozły ich w różne strony: Glebow spieszył na drugi dworzec, stąd miał jechać dalej; w Petersburgu tylko przesiadał się.

Petersburg początkowo oszołomił Lisicyna. Wszystko tutaj wyglądało inaczej niż w mglistych wspomnieniach wczesnego dzieciństwa, kiedy to przyjechał z ojcem i matką i rozbił u cioci Kapeczki japońską wazę. Okazało się, że dom, w którym mieszkała, był niziutki, parterowy. Za to samo miasto objawiło się teraz Wowce w całej swojej krasie.

Przez cały tydzień laził po szerokich prospektach *, oglądał kolumnady pałaców, patrzył na wytwornych przechodniów, na obfite wody Newy, na mosty, granitowe bulwary, lustrzane wystawy sklepów. Długo zachwycał się wspaniałym jeźdźcem na rumaku z brązu. Potem przeczytał napis na cokole: „Petro Primo Catharina Secunda”. „Po łacinie” — pomyślał. Przypomniał sobie Glebowa i udał się na poszukiwanie księgarni. Kupił w niej stos książek: podręcznik do nauki greckiego i łaciny, mowy Cicerona przeciwko Katylinie, komedie Arystofanesa oraz kilka grubych słowników. Książki przyniósł do salonu cioci Kapeczki i rozłożył je na stoliku do kart.

Ciotka zaniepokoiła się:

— Wowoczka, czy ty nie jesteś chory?

♦ *Prospekty* — nazwa głównych, szerokich prostych ulic w Petersburgu (Leningradzie).

Bratanek przestał chodzić na spacer, stracił apetyt i codziennie siedział nad książkami, jak gdyby nie zdążył w ciągu zimy nauczyć się zadanych lekcji.

Wszystko to jednak nie dało rezultatów. Wakacje zbliżały się ku końcowi, a Cicero z Arystofanesem pozostali niemal tak samo niezrozumiali, jak przedtem. Wówczas Wowka doszedł do wniosku, że widocznie ma zdolności tylko do matematyki, a nie do języków. Machnął więc ręką i zabrał się do czytania książki „Ivanhoe” Waltera Scotta.

Gdy wrócił jesienią do korpusu, nikomu nie powiedział, że w lecie uczył się greckiego i łaciny.

Kadeci przypatrywali mu się i dziwili: zawsze strojący od ludzi dziwak, zaczął odbywać częste spacer po korytarzach z siódmoklasistą Glebowem. „Co to za para? — myśleli. — Cuda się dzieją”.

Nowi przyjaciele rozmawiali półgłosem.

— To znaczy, że chodzi ci o rolę jednostki podczas wojny? — zapytał pewnego razu Glebow.

— I Aleksandr Wasilijewicz Suworow, i Kutuzow — wyliczał Wowka z podnieceniem — i Aleksander Maceoński...

— No, a żegluga morska, przemysł, w ogóle nauka?

— Czyż nie Piotr otworzył drogę rosyjskim okrętom?

A zresztą, wszędzie gdzie spojrzysz... A Łomonosow? Archimedes? Widzisz, ja tak się na to Zapatruję... — Lisicyń jąkał się, z trudem dobierając słowa... — Jak gdyby czarna noc. Tysiącletnia. Bezkresna... W ciemności... jakaś równina... Gdy się ją oświetli — śmiecie, wióry. Rozumiesz? A każdy geniusz... wyrasta z mroku jak śnież-

ny szczyt. Ci, którzy budowali dzieje ludzkości, tworzyli historię... swoją wolą tworzyli, swoim rozumem...

— Nie ma co mówić: mocno! Tylko trochę przesadziłeś — uśmiechnął się Glebow. Milczał chwilę, a potem ostro spojrział Wowce w oczy: — Żaden człowiek nie jest śmieciem ani wiórem — rzekł. — Na przykład, ty sam — czy ty jesteś wiórem?



Wowka, ze spuszczoneymi oczami, kręcił guziki przy mundurze.

— Jest jeszcze inny punkt widzenia — ciągnął Glebow — właściwy, nie taki, jak twoje śnieżne „górki”. Posłuchaj: nie bohaterowie tworzą historię — potarł dłonią wystające kości policzkowe — lecz jest inaczej. To naród wydaje bohaterów i posuwa historię naprzód. Każdy geniusz i bohater, choćby nawet miał „aż

siedem klepek w głowie", znajdzie się w śmiesznej sytuacji, jeżeli nie zrozumie, czego potrzebuje społeczeństwo, i jeżeli ludzie go nie poprą. Interesujący punkt widzenia, prawda?

Lisicyń, rozważając słowa Glebowa, podniósł brwi.

— Rzeczywiście interesujący.

Doszli do końca korytarza i zatrzymali się. Glebow przypomniał sobie zeszłoroczne lato, małą stację kolejową, kiedy bawił u swojej zamężnej siostry Ksenii. Blade północne niebo, w ogródkach — krzewy żółtej akacji, na brzegu rzeki — drewniany domek.

Jedną tylko Ksenia chyba wiedziała, o czym marzył Glebow od lat dziecięcych, o czym myślał, jeszcze gdy wstępował do korpusu. Plany jego były wielkie, tajemnicze — ukrywane przed wszystkimi. Chciał znaleźć nowych dekabrystów i pójść z nimi na plac Senacki, wyobrażał sobie, że będzie jednym z atamanów w wojsku nowego Stiepana Razina. Słyszał, że gdzieś są ludzie, którzy rzucają bomby na carów: zabili przecież niedawno Aleksandra II! Gdzież są ci ludzie? — myślał. — Jak ich znaleźć? Czy przyjmą go w swoje szeregi?

I oto nastąpiło lato, którego nigdy nie zapomni.

Okazało się, że w sprawach konspiracji siostra wiedziała dużo więcej, niż Glebow przypuszczał. Do męża jej, Piotra Iljicza, przychodzili czasem znajomi, którzy zamykali się w ostatnim pokoju, dużo palili, mówili półgłosem i rozchodzili się pojedynczo. W czasie ich rozmowy Ksenia siadała na ganku, szydełkując lub szyjąc. Siedziała i rozglądała się dokoła.

Wkrótce Glebow zrozumiał, jacy ludzie tam przychodzą. Serce rozpierało mu pierś: „Obok — pomyślał — tuż za ścianą znajduje się to przeznaczenie, którego szukam”.

Poszedł prosto do Piotra Iljicza. Ten tylko uśmiechał się i zbywał go żartami; wydawało się, że nie uda się wyciągnąć z niego żadnego rozsądnego słowa. Przyjacielem Piotra Iljicza, Azarij Daniłowicz Marków, nauczyciel z

osady fabrycznej, w binoklach, z ostro przystrzyżoną bródką, z początku także milczał i ciągle spoglądał na białe kadeckie naramienniki. Wtedy Ksenia przysłała z pomocą. Szeptem powiedziała coś do Markowa i głośno dodała z naciskiem: — Korpus daje bratu jedyną możliwość uczenia się; inaczej nie miałby pieniędzy na naukę. — Wówczas Azarij Daniłowicz pomyślał chwilę i skinął głową. Od tego czasu wzrok jego stał się cieplejszy i nie zatrzymywał się już na naramiennikach kadeta.

Noce spędzał Glebow na sianie, pod gołym niebem.

Przypomniawszy sobie teraz jasne, blade niebo, ledwo widoczne gwiazdy i szum pobliskiej rzeki. Za rzeką — bagno, ciemniejący skraj lasu. Siano pachnące, szeleszczące, miękkie.

Zdarzyło się parę razy, że przychodził tam także nocować Azarij Daniłowicz.

Bywało, że okrywszy się kożuszkim, błyskając spod baranicy szklami binokli, nauczyciel zaczynał mówić cicho, powoli, jak gdyby niechętnie. Potem zapalał się, zrzucał z siebie kożuszek i siadał; mówił już zupełnie głośno, podnosząc rękę. Opowiadał — a Glebow słyszał to po raz pierwszy — o przyczynach nędzy i bogactwa, o dochodzie i pracy, o wielkiej filozofii sprawiedliwości. Wymieniał nie znane Glebowowi nazwiska Marksa, Engelsa, Plechanowa. Wreszcie — głos nauczyciela nabierał uroczystego brzmienia — i Azarij Daniłowicz przechodził do opowiadań o Północnym i Południowym Związku Robotników Rosyjskich*, o śmiałych bojownikach o szczęście ludzkości, o jasnych dniach przyszłości.

Przed Glebowem otwierał się nowy świat. Oczyma wyobraźni widział Chałturina, Obnorskiego, strajki w Oriechowie-Zujewie i Józowce. Leżał i słuchał z zapartym tchem. Zrozumiał raz na zawsze: oto, gdzie jest prawda!

Zza rzeki dolatywał głos jakiegoś ptaka, jak gdyby wołanie. Na połowie nieba, przez całą noc jaśniała zorza...

A teraz znowu — spojrzął wokoło — korpus, korytarz, oszronione okno. I ten rudy chłopczyk stoi i patrzy nań pytająco.

„Powiedzieć mu to wszystko jak Azarij Daniłowicz — mnie? Nie, on na pewno nie zrozumie. Cóż mu więc powiedzieć?”

Glebow wyprostował się. W źrenicach jego błękitnymi ognikami rozbłysło światło lampy.

— Dzieło geniusza — rzekł śpiewnie — dzieło prawdziwego geniusza powinno zawsze przynosić pożytek ludzkości. Rozumiesz? — Pochylił lekko głowę; po twarzy przesunęły mu się ostre cienie: — Inaczej, to wcale nie bohaterstwo. Tak — zakończył szybko — jeżeli chcesz, możesz sobie wysnuć z tego własne wnioski.

Wowka pomyślał: „Inaczej, to wcale nie bohaterstwo. Chyba rzeczywiście tak jest”. Spojrzął pytająco: „Ale jak stać się pożytecznym dla wszystkich?”

— A jak... — zaczął.

W tej chwili zabrzmiał głos trąbki. To trębacz dał sygnał „odtrąbiono”. Przez drzwi runęła lawina kadetów, zjawił się dyżurny oficer i Glebow, skinąwszy głową, pobiegł po schodach na swoje piętro.

Później Lisicyń często wspominał tę rozmowę. Z biegiem lat myśli pogłębiały się, lecz obraz ciemnej, bezkresnej równiny, nad którą lśniąco stożkami wznoszą się śnieżne szczyty, na długo pozostał w jego pamięci.

Tyś król — pozostań sam. Nie chyląc dumnej głowy,
Wolności drogą idź za wolnej myśli blaskiem.

„Pewnie, ludzie to nie wióry — myślał. — Czy jednak wszyscy mają powołanie do wielkich czynów, głęboką wiarę we własne siły, jak ta, która wiodła młodego Łomonosowa do Moskwy, a Kopernika — ku gwiazdom?”

Glebow miał zupełną słuszność: dzieło geniusza, praw-

** W roku 1875 powstał w Odessie „Związek Robotników Południowej Rosji”. W 1878 w Petersburgu — „Północny Związek Robotników Ro-*

syjskich", na czele którego stali stolarze Chałturin i Obnorski. Były to dwa najdawniejsze zrzeszenia rewolucyjne robotników w Rosji.

dziwego geniusza, powinno zawsze należeć do ludzkości. A im więcej ofiaruje zwykłym ludziom człowiek wybrany — przy tej myśli Lisicyn kładł sobie rękę na piersi — tym wyżej cenić go będą ludzie, tym jaśniej rozbłyśnie płomień jego sławy".

W wyższych klasach Wowka stał się bardziej towarzyski, weselszy. Był już roslym, barczystym młodzieńcem, z grzywą złocistorudych włosów i ciemnymi, pobłażliwie uśmiechającymi się oczami.

Gdy kadeci sprzeczali się o coś poważnego, zawsze ktoś w końcu mówił:

— Chodźmy zapytać się Lisicyna.

O losie Glebowa niewiele wiadano w korpusie. Opowiadano, że jest rzekomo w Petersburgu studentem Akademii Górniczej, do której musiał wstąpić, gdyż „ściął się" przy egzaminie na uniwersytet, na wydział języków starożytnych.

Pewnego razu Sotnikow zauważył, jak jego sąsiad z ławki, Wowka, zakleja kopertę i pisze na niej adres: „Glebow Paweł Kiryłowicz, St.-Petersburg".

— Dostajesz od niego listy? — zapytał Sotnikow wyciągając ciekawie szyję.

— Nie — odpowiedział Lisicyn. — Piszę na chybił trafił. — I szybko schował zaadresowaną kopertę.

Na wiosnę 1895 roku, gdy Tichomirow przygotowywał się już do wyjazdu do nikołajewskiej szkoły jazdy, a Sotnikow — do szkoły piechoty w Tambowie, Lisicyn nieoczekiwanie dla wszystkich złożył drogą służbową następujący raport:

„Jego Ekscelencja

Generał-porucznik Suchowiejko

Uważając, że będę mógł przynieść ojczyźnie więcej pożytku w służbie cywilnej, najpokorniej proszę o pozw

lenie złożenia egzaminu konkursowego na Akademię Górniczą w St.-Petersburgu".

ROZDZIAŁ III

CHLEB I CUKIER

— Bałwan! — wymyślał szeptem za drzwiami metrdo tel *. — Powiedziano ci przecież: jedenaście nakryć. Widzisz, że czeka jedenastu panów? Zupa a la Windsor, pasztet z łososia... Szampan... ależ nie ten, tylko ten! Osioł! Weź najgorszy! Leć do kuchni zamrozić!

W sali bezszelestnie poruszali się kelnerzy niosący tace z talerzami i zakąskami. Zsunęli stoliki tworząc z nich jeden duży wspólny stół i nakryli go świeżym obrusem.

Nakrochmalone serwetki były ułożone w kształcie trójkątnych kapeluszy. Z napelnionych lodem, srebrnych wiaderek wystawały szyjki butelek.

Tymczasem ci, dla których przygotowano obiad, zgrupowali się przy ścianie i rozmawiali.

— Twierdę — huczał stamtąd czyjś bas — że nie ma takich przypadków! Chcecie przykładu? Proszę bardzo! Po odkrycie Mendelejewa sięgał Lothar Meyer. Nawiasem mówiąc, nie udało mu się. A Marconi już całkiem jawnie przywłaszczył sobie aparat do rejestrowania wyładowań atmosferycznych Popowa. I to wprost na naszych oczach. Przywłaszczył i opatentował w Londynie. No, ale to już, wybaczcie, nie jest przypadek. To

jest bezczelność! Członkowie Rosyjskiego Towarzystwa Fizyko-chemicznego wiedzą...

— W Rosji w ogóle — wmieszał się czyjś tenor — los uczonych... opowiadał mi Rybkin...

— Jaki Rybkin...

— A słyszeliście już — zachłystywał się z pośpiechu tenor — ostatnią nowinę? Coś fantastycznego po prostu! Tak jak po drutach telegraficznych, przekaza-

** Maitre d'hôtel (franc.) — starszy kelner.*

no powietrzem sygnał elektryczny z Petersburga na Hogland *. Było to tak: oderwała się kra i ruszyła na pełne morze...

— To wtedy, kiedy uratowano pięćdziesiąt osób?

— Właśnie! Właśnie! A Popow, widzicie, przekazał wtedy na łamacz lodów „Jermak”...

— Ta wasza nowina liczy sobie już cztery miesiące! Wyglądając dłonią czarne atlasowe klapy kołnierza, wszedł metrdotel, pochylił z godnością głowę i rzekł:

— Wielmożni panowie, proszę do stołu!

Obserwował przy tym z ukosa gości, którzy obstąpili stół. Zastukały odsuwane krzesła. „Nie — zdecydował metrdotel — to nie są przyjezdni. I nie wyglądają na kupców. To z tych wykształconych”.

Lisicyń, siadając, lekkim ruchem obciągnął surdut, do którego po studenckiej kurtce nie mógł się jeszcze przyzwyczać.

Przy drugim końcu stołu krępy, o czerwonych policzkach człowiek, z jasnymi brwiami i łysiną, kilkakrotnie zadzwonił widelcem w talerz, wstał i podniósł kieliszek z szampanem.

— Uwaga, panowie, uwaga! — zaczął niskim, jak gdyby przytłumionym głosem; był to ten sam bas, który przed chwilą mówił o Meyerze i Marconim. — W tym znamienym roku... W roku... na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego stulecia... rozjeżdżamy się po niezmiernych przestrzeniach państwa rosyjskiego... by rozpocząć owocną pracę inżynierów. Proponuję wzniesienie toastu za Akademię Górniczą, którą opuszczamy... za wszystkich profesorów, których wykładów słu-

chaliśmy: za Romanowskiego, Karpińskiego, Timie'go, Muszkietowa, Łutugina Leonida Iwanowicza...

— Hura-a! — krzyknęli nieskładnie biesiadnicy.

Obok Lisicyna siedział Terentiew, który zajadał, wymachiwał nożem i przygadywał:

** Hogland — mała wysepka w Zatoce Fińskiej.*

— Co za pasztecik... Taki dają chyba świętym pańskim w królestwie niebieskim! Wasze zdrowie!

Lisycyn milcząc spoglądał kpiąco na sąsiada.

Wznoszono toast jeden za drugim. A po upływie godziny, przerywając sobie nawzajem i rozlewając wino z kieliszków, młodzi inżynierowie wykrzykiwali:

— Postęp myśli technicznej — to bity gościniec dla ludzkości!

— A kto z was, panowie, był w Gosudariewo-bajrak-skich kopalniach?

— Inteligencja — jak mówił jeszcze mój ojciec — ma obowiązki wobec pozbawionego praw ludu! Cokolwiek powiecie — ma obowiązki! Jesteśmy powołani...

— Jesteśmy powołani do powiększania dochodów przedsiębiorstw. I uważam za sprawę honoru...

— Nie ma porównania z naftą w Baku. Tam szyb daje na czysto rubla za rubla!

— Powodzenie rosyjskiego przemysłowca jest twoim powodzeniem! To gwarancja cywilizacji!

— Przemysł... i zagadnienia socjalne... tworzą...

„I będą tak hałasować — pomyślał Lisycyn. — O rentowności... Rubel za rubla... — Znowu rozejrzał się dokoła: — Ten to syn właściciela kopalni miedzi, tamten — sam posiada kopalnie na Uralu? wśród nich tylko Terentiew jest niezamożny”.

„Co innego — myślał dalej — gdyby zebrał się tutaj cały rocznik, wszyscy absolwenci. A tu — jak gdyby się dobrali! Nie trzeba było brać udziału w tym obiedzie” — rozżłościł się sam na siebie. Przyszedł tutaj jakby chcąc odgraniczyć się od tych, którzy przygotowywali strajk studentów, jako protest przeciwko nowej ustawie. „Nie-

dorzeczna ustawa" — pomyślał Lisicyń: „O poborze studentów do wojska za spowodowanie masowych rozruchów”.

— Wyśmienite! — przymrużył oczy Terentiew i wytarł serwetką usta.

Do Lisicyńa podszedł krępy jegomość z jasnymi brwiami, który początkowo siedział na drugim końcu stołu. Był w czarnym fraku, a w zębach trzymał cygaro.

— A wy dlaczego milczycie? — zapytał. — Na jaką posadę się wybieracie? Pewnie szukacie czegoś bardzo korzystnego?

Lisicyń machnął ręką, odganiając dym z cygara:

— Na razie nie śpieszę się. Każdy ma swoje dziwactwa. Ja, widzicie, jestem wrogiem zyskownych transakcji.

Krępy jegomość spojrział przez przymrużone powieki, wypuścił nową chmurę dymu, odwrócił się, przechodząc klepnął po ramieniu Terentiewa i skierował się do swojego krzesła.

W sali restauracyjnej zrobiło się bardzo głośno. Terentiew zaśpiewał dźwięcznym głosem:

Kram-bam-bim-bam-buli,

Kram-bam-buli...

Ktoś mu zawtórował. A za stołem inni wykrzykiwali

— to o kopalniach Azowskiego Towarzystwa Węglowego, to o nieróbstwie państwowych urzędników nadzoru górniczego.

Lisicyń, nie pożegnawszy się z nikim, wstał i wyszedł.

Po wypitym winie kręciło mu się z lekka w głowie.

Hen, daleko za dachami domów zachodziło słońce i czerwonym blaskiem odbijało się w oknach górnych pięter; kopuła Isaakijewskiego soboru połyskiwała złotem. Po Newskim Prospekcie spacerowali ludzie — jacyś panowie w letnich ubraniach, strojne damy, urzędnicy. Lisicyń westchnął, niezgrabnie poprawił wysoki cylinder i powoli poszedł brzegiem chodnika.

— Lisicyń! — zawołał go ktoś. — Lisicyń, niech cię wszyscy diabli!

Jakiś oficer, z opaloną twarzą i z zakręconymi do góry jasnymi wąsikami, biegł ku niemu dzwoniąc ostrogami i pobrzękując szablą. Zanim Lisicyń opamiętał się,, oficer z rozmachem pocałował go w usta:

— Ach, do diabła! No i spotkaliśmy się...

„Sotnikow” — poznał go Lisicyń i także ucieszył się ze spotkania.

— Ale się zmieniłeś!

— I ty się zmieniłeś!

Sotnikow bawił w Petersburgu służbowo i w nocy miał wyjechać. Toteż wypytywał z pośpiechem:

— No, jak ci się powodzi? Pewnie chcesz zostać ministrem. Nie masz jeszcze posady? Taak, zapomniałem, że jesteś przecież bogaty!

— Gdzie tam bogaty...

— Nie udawaj skromnego — wiem! A ten... także był w Akademii Górniczej... jakże mu tam... pamiętasz, ciągle z nim rozmawiałeś?,

— Glebow?

— Tak, tak Glebow! Co się z nim dzieje?

— Glebowa nie ma — ostro rzekł Lisicyń.

— Jak to, umarł?

— Nie. — Lisicyń zniżył głos: — Aresztowany i zesłany na Sybir.

Oczy Sotnikowa zaokrągliły się.

— Co ty mówisz! — wyszeptał. — Za politykę? Oj-oj-oj! — Chwycił za rękaw swego byłego sąsiada z ławki szkolnej.

Ten zmarszczył czoło: może nie trzeba było opowiadać o Glebowie. Ale Sotnikow dopytywał się z zaciekawieniem:

— Na katorgę czy zwyczajnie?

— Skądże ja mogę wiedzieć? — odpowiedział Lisicyń gniewnie. — Nie mam pojęcia. Zresztą to już było dawno.

Skręcili na Admiralskie Bulwary. Liliowe niebo odbijało się w Newie, a na drugim jej brzegu ciemniał gmach Senatu.

— To już było dawno — powtórzył Lisicyń, gdy milczenie stało się uciążliwe. — A twój pułk bierze Waz udział w manewrach? Jeżeli dobrze cię zrozumiałem?

Sotnikow wyjął z kieszeni zegarek z łańcuszkiem, krzyknął, że pułkownik kazał mu być na dworcu, potrząsnął rękę byłemu koledze i, dzwoniąc ostrogami, szybko poszedł, a właściwie pobiegł niemal w kierunku Newskiego. Z ciemności doleciał jego głos:

— Doróżka! Doróżka!

Miasto spowiała jasna petersburska noc.

Lisicyń nacisnął guziczek dzwonka. Drzwi otworzyła sama Frau Scheffer, gruba Niemka, u której wynajmował umeblowany pokój z pełnym utrzymaniem. Frau Scheffer ujrawszy lokatora podniosła ręce:

— O-o, pan być ubrany jak hrabia!

Lisicyń zdjął cylinder, uśmiechnął się i powiedziawszy gospodyni „Gute Nacht” *, udał się do swojego pokoju.

Obiecał, że następnego dnia pójdzie do właściciela kopalni, Charitonowa, który przybył do Petersburga, ale teraz nie chciało mu się myśleć o nudnych sprawach. W szafie, za szklanymi drzwiami, ustawione były w ciasnych szeregach książki; nie widać było w mroku ich tytułów na grzbietach. Lisicyń zapalił lampę, spuścił w oknie storę i podszedł do książek. Kochał je i zbierał dzień po dniu, wyszukując w księgarniach rzadkie wydania. Niemal połowę szafy zajmowały prace z zakresu geologii i badań paleontologicznych. Świat z bajki: ste-gocefały, dinozaury, archeopterixy. Wystarczy wysilić wyobraźnię, a już mgła unosi się nad prastarymi, ciepłymi morzami, poruszają się potworne jaszczury, rosną lasy gigantycznych paproci. Widzi się, gdzie powstawały pokłady węgla, rozumie się, w jaki sposób tworzyły

się złoża minerałów, jak w ciągu milionów lat zmieniało się oblicze Ziemi.

„No tak, każdy po swoje!” — przypomniał sobie Lisicyn uczestników dzisiejszego obiadu i wziął z półki książkę.

W pokoju i na ulicy było cicho. Gdzieś z daleka dobiegał stuk kopyt końskich.

Przeglądając stronicę książki, Lisicyn zatopił się w swoich zwykłych rozważaniach: rozmyślał o powiązaniach pomiędzy oceanami z okresu węgla kamiennego i okresu permskiego; ocean z okresu węgla kamiennego bezpośrednio odziedziczył po tamtym faunę, która uległa zmianie w ciągu dziesiątek milionów lat.

„Powiązania te wykazał akademik Karpiński badając kopalne mięczaki. Dostosował do nich prawo Haeckla. Śmieszne, dlaczego mówi się: Haeckla? Trzy lata przed ukazaniem się pracy Haeckla, nasz Kowalewski wygłaszał zupełnie podobne poglądy. Oto >>Sprawozdanie Akademii Nauk«. Więc co ma do tego Haeckel? Zresztą Łutu-gin niezbyt nisko mu się kłania, oczywiście temu Haeck-lowi. Można powiedzieć wprost, że wcale nie. I przecież Haeckel nie mógł nie wiedzieć o Kowalewskim”.

Lisicyn przez chwilę wsłuchiwał się w odgłos kroków jakiegoś spóźnionego przechodnia, a gdy ucichły i znowu zapanowała cisza, wyjął z półki jeszcze kilka książek i położył je na biurku. Zdjął marynarkę i zaczął czytać monografię Karpińskiego o muszlach kopalnych mięczaków. Czytał aż do wschodu słońca.

Właściciel kopalni Charitonow przywitał zaproszonego inżyniera ze słodkim uśmiechem:

— Pan Lisicyn? Boże mój, nie mogę się pana doczekać! Czym pana ugościć? Może szklaneczką wina?... Nie? Jak pan sobie życzy, jak pan sobie życzy...

Siedzieli na fotelach w hotelowym pokoju. Inżynier trzymał w rękach rękawiczki i słuchał uważnie. Właściciel kopalni opowiadał, żywo gestykulując:

— Same lotry! Przyjechał na przykład inspektor górniczy. Przyjąłem go z wszelkimi honorami. A on zjechał do kopalni i mówi: „W kopalni — gaz. Trzeba zastosować specjalne lampy, w przeciwnym razie zabronię pracować”. Można oszaleć! Ruina, po prostu ruina. „Skądby się tam mógł wziąć gaz?” — myślę. Na szczęście święty Mikołaj oświecił mnie i zrozumiałem, na czym polegają te ciemne machinacje. Jeden dziesiętnik, stara bestia — jak pan sam może zmiarkować — zachował się wobec mnie ordynarnie. Naturalnie, wyrzuciłem go. A on ze złości — jak przypuszczam — przyniósł w czymś gaz z sąsiedniej kopalni i wpuścił do naszej...

Lisycyn roześmiał się.

— Głupstwa! — rzekł. — To niemożliwe.

— Niemożliwe? — Charitonow spojrzał z niedowierzaniem. — No, to skąd gaz? Czym rozgniewaliśmy Boga?

„Dzikus” — pomyślał Lisycyn i zapytał:

— Dawno jest pan właścicielem kopalni?

— Otóż to, że niedawno. Ojciec, bracia i ja od najmłodszych lat byliśmy handlarzami bydła. Kopalnia jest niewielka i powiem panu otwarcie, że mam trudności z powodu braku kierownika. Do tego jeszcze nadzór górniczy żąda, ażeby kierownik był inżynierem. Co pan by zrobił? Górnicy — po prostu nieszczęście — rozpuszczeni, wymagający...

Charitonow potarł dłonią łysinę, żółtą i błyszczącą jak z wypolerowanej kości — i znowu zajrzał gościowi w twarz:

— Sam pan widzi, że ze mnie szczerzy człowiek. Polecił mi pana i wydał o panu jak najpochlebniejszą opinię jego ekscelencja profesor Alakrinski. Ta-ak, a więc... Jeżeli mi pan robi ten zaszczyt i przyjmie moją ofertę, nie pozostanę dłużny. Nie jestem gorszy od innych!

Lisycyn podniósł się z fotela i naciągnął rękawiczkę na lewą dłoń.

— Żałuję bardzo — rzekł — ale to mi nie odpowiada.

Wracając do domu, wymyślał w duchu: „Wysługiwać się różnym Charitonowom? Pracować dla nich? Niech ich diabli wezmą!”

Żył więc nadal skromnie, po studencku, z miesiąca na miesiąc wynajmując pokój u Frau Scheffer, u której po dawnemu się stołował. Tylko książek przybywało mg coraz więcej, tak że z początkiem zimy musiał kupić na nie drugą szafę.

Niejedyn raz już Petersburg spowijał się we mgłę, która to rozpraszała się, to gęstniała, mżył deszcz; potem przychodziły mrozy, w powietrzu wirowały płatki śniegu. A Lisicyń siedział u siebie w pokoju i czytał. Gонец z księgarni przynosił mu zamówione czasopisma i broszury. Nie zawsze jednak dokładnie wykonywano zamówienia. Potrzebnych materiałów nie można było znaleźć w Petersburgu. W końcu Lisicyń pomyślał, że nie powinno być tak dalej. Wielka ilość prac utalentowanych geologów jest rozrzucona w niezmiernie rzadkich wydaniach, w „Skryptach Uniwersyteckich”, w „Pracach Towarzystwa Badaczy Przyrody”. Iwan Wasilijewicz Muszkietów, na przykład, zamieszczał artykuły w gazecie „Wiadomości Turkiestańskie”. Jedno ulegnie zapomnieniu, inne zginie bez śladu. Dziesiątki wielkich nazwisk: Czerski, Inostrancew, Kowalewski, Amalicki, Fiodorow... a czy to wszyscy! „Dlaczego więc nie ma u nas »Przewodnika Geologicznego«, w którym podano by krótkie streszczenia prac znakomitych uczonych rosyjskich?” Lisicyń postanowił napisać taką książkę. Wydawało mu się, że będzie to wspaniałe dzieło. Wydawało mu się, że, ujmując w jeden zbiór setki badań, lepiej odsłoni historię naszej planety, pokaże klimat dawnych epok i skład powietrza, wykorzysta współczesną wiedzę o roślinach, obliczy matematycznie rozmieszczenie ciepła na Ziemi. Wszelkie hipotezy sprawdzi, w miarę możliwości, za pomocą najściślejszych obliczeń. On wyjaśni, a malarze wykonają kraj ob-

razy z okresów przedhistorycznych; mapy przedhistorycznych kontynentów narysuje sam, opierając się na pracach Karpińskiego. Gdy profesor Łutugin dowie się o jego zamiarach, złapie się na pewno za brodę i powie: „Oho!”

„Może od razu teraz zasięgnąć jego rady? — myślał Lisicyn. — Bądź co bądź Łutugin jest wielkim geologiem. Czy też pójść dopiero z gotowym rękopisem?”

Tymczasem — w myśl przysłowia: „o wilku mowa, a wilk tu” — dwa dni później Lisicyn spotkał na rogu Kamiennooostrowskiego Prospektu swojego byłego profesora. Gdy dostrzegł znajomą brodatą twarz z długim nosom, dogonił Łutugina i od razu na ulicy opowiedział mu, jaką książkę ma zamiar pisać.

— Co pan na to, Leonid Iwanowicz?

— No cóż — odrzekł profesor, popatrzył wesołymi oczami i wsunął laskę pod pachę. — Wielkie dzieło. Piszcie. Z całego serca życzę wam powodzenia!

Pożegnali się i rozeszli w różne strony. Łutugin oddalił się już trochę, gdy nagle krzyknął:

— Wróćcie! — i zaproponował: — Chcecie pracować u mnie w Komitecie Geologicznym? Przygotowujemy zdjęcie terenu Zagłębia Donieckiego.

— W Komitecie? Na posadę? — powtórzył Lisicyn z zakłopotaniem. Potem po chwili milczenia potrząsnął głową. — Dziękuję panu profesorowi, ale nie skorzystam. Już zabrałem się do pisania mojej książki... Dziękuję...

Od tego czasu rozmyślania o drzewiastych paprociach z epoki węgla kamiennego pochłaniały go jeszcze bardziej. Lisicyn widział niemal oczyma wyobraźni wysokość i grubość pni gigantycznych paprotników i lepidendronów. Myślał o ciepłym błocie, które zasilalo korzenie prastarych roślin, o ulewach straszniejszych niż obecne deszcze tropikalne.

Rozdział o florze epoki węgla kamiennego rozpoczął tradycyjną krytyką poglądów Arystotelesa. Arystote-

les uważał, że drzewa i trawy rosna pobierajac pożywie-
nie tylko z gleby. Nie wiedzial on — stwierdzono to dopie-
ro w przeszlo dwa tysiace lat po jego smierci — ze zasad-
ni-cze skladniki roslin tworza sie z powietrza. Zielone li-
ście pochłaniaja z atmosfery dwutlenek węgla. W liściach
za-chodzi proces chemiczny: pod wpływem światła słoń-
ecznego, dwutlenek węgla rozkłada się na węgiel i tlen.
Tlen Wraca do atmosfery, a węgiel łączy się z wodą.

Lisicyń umaczał pióro w atramencie i pisał dalej: „W
ta

ki sposób w roślinach powstają węglowodany: błon-
nik, dekstryna, skrobia i cukier. Proces ten, zbadany
przez Klimenta Arkadiewicza Timiriazjewa, nazywa się
asymilacją dwutlenku węgla. Od niego zależy całe życie
na Ziemi”.

Wyciągnął znowu rękę w kierunku kałamarza. Wtem
do drzwi zapukała Frau Schetfer.

— Władimir Michajłowicz — rzekła — bitte Kaf-
fee trinken *.

I wsuwając głowę do pokoju, dorzuciła tajemniczym
szepem:

— Schwester, to jest mój siostra, przyjechał...
młody, panna. Przedstawię was, bitte! Kommen Sie! **

Lokator spojrział na nią z oburzeniem.

— Nie mam czasu, nie mogę — zaburczał. — Wi-
dzi pani przecież, że pracuję — wskazał palcem na rozło-
żone papiery. — Danke schon, ich arbeite ***.

Obrażona Frau wzruszyła ramionami i wyszła.

Na stole Lisicyńa leżały stopy otwartych książek. Na
samym wierzchu znajdował się tomik w brązowej skó-
rzanej oprawie — znakomita praca Timiriazjewa „O po-
chłanianiu światła przez rośliny”.

„Dlaczego — myślał Lisicyń chodząc po pokoju — w
epoce węgla kamiennego paprocie rosły tak buj-
nie? Dlaczego osiągały tak olbrzymie rozmiary?”

Przeczytał opis interesujących doświadczeń. Okazuje
się, że roślina umieszczona w szklanej skrzynce, do któ-

rej doprowadza się w małych dawkach dwutlenek węgla, będzie się bardzo szybko rozwijać — oczywiście na dobrym podłożu i w świetle słońca. Gdy uczeni podwyż-

* *Bitte Kaffee trinken* — po niemiecku: proszę wypić kawę.

** *Kommen Sie!* — po niemiecku: proszę przyjść!

*** *Danke schön, ich arbeite* — po niemiecku: dziękuję pięknie, ale pracuję.

szyli do jednego procentu zawartość dwutlenku węgla w skrzynce, wówczas węglowodany tworzyły się w zielonych liściach niekiedy nawet dwadzieścia do trzydziestu razy szybciej aniżeli w liściach takich samych roślin w zwykłym powietrzu.

„A więc o to chodzi! — pomyślał Lisicyn. — Dwutlenek węgla!”

Jeszcze w instytucie mówiono studentom: atmosfera ziemska epok przedhistorycznych zawierała dużo dwutlenku węgla. Jednak dopiero teraz Lisicyn pojął w całej rozciągłości, że powietrze, zawierające dużo dwutlenku węgla, było główną przyczyną gwałtownego rośnięcia paprotnikowych lasów paleozoicznych.

„Jakieś pięćset milionów lat temu” — pomyślał z uśmiechem.

Kilka dni pisał nie rozprostowując pleców. A potem opanował go niepokój: „Co będzie dalej?”

Zaprzagnął wyjść na mróz; zimą w mieszkaniu Frau Jcheffer było duszno. Włożył futro, czapkę i wyszedł na ulicę.

Lekkie płatki śniegu padały powoli.

„Zbliża się koniec życia na Ziemi — myślał Lisicyn idąc ze spuszczoną głową. — W naszym powietrzu znajdują się już tylko resztki dawnych zapasów dwutlenku węgla, żałosne trzy setne procentu. Z każdym rokiem zmniejsza się jego ilość. Wiek po wieku, rośliny stają się coraz węższe. Gdy będzie już całkiem mało dwutlenku węgla, wątłe krzewy i trawy, mchy i wodorosty nie zdołają już nakarmić świata zwierzęcego. Źle będzie na Ziemi, bardzo źle...”

--- Może przewieźć jaśnie pana! — zawołał dorożkarz podjeżdżając do chodnika i odrzucając niedźwiedzią skórą z lekkich, lakierowanych sanek. Rosły gniady koń wyginał szyję, tańcząc niecierpliwie.

Lisicyń przystanął.

— Przewieźć? — zapytał ze zdziwieniem w głosie. Rude brwi uniosły się do góry. Lecz w tej samej chwili zrozumiał: — Aha, przewieźć! — I łaskawie skinął głową: — No, dobrze, przewieź!

Koń szarpnął z miejsca i żwawo popędził najpierw po zasypanych śniegiem ulicach, potem po gładkim lodzie Newy. Śnieg skrzypiał pod płozami. Dorożkarz miał ogoloną brodę, a sumiaste, przyprószone siwizną wąsy nadawały mu wygląd grenadiera.

— Wysłużony żołnierz? — zapytał Lisicyń.

— Tak jest! — wrzasnął służbiście dorożkarz i odwrócił się do pasażera. — Szeregowiec konnego pułku grenadierów gwardii, Jegor Jegorycz Ferapontow.

Dorożkarz patrzył jasnymi, szeroko rozwartymi oczami. Lisicynowi podobała się jego twarz.

— Powiedz mi, Jegor Jegorycz, jak długo będą żyli ludzie na Ziemi?

Jegor Jegorycz uśmiechnął się: „Pańskie dziwactwa”.

— Trzeba zapytać się popa, wasza wielmożność.

— No, a jak ty myślisz?

— Myślę, ośmielam się zameldować, że nie przewiduje się końca świata.

„Święta naiwność” — pomyślał Lisicyń.

Po upływie tygodnia, przeglądając prace Mendelejewa, natrafił na zdanie zawierające myśl, która wzburzyła go ostatecznie. Dwutlenek węgla, mówi Mendelejew, posiada rzadką właściwość pochłaniania niewidzialnych promieni, na przykład tych promieni, które odrzuca w przestrzeń nagrzana słońcem ziemia. Dwutlenek węgla zawarty w powietrzu nad ziemią jest jak szklany dach nad oranżerią. Otula on Ziemię, jak przezroczysty płaszcz. Gdy będzie go więcej, klimat na Ziemi stanie się

cieplejszy. Jakiś fizyk wyliczył, że nawet znikomy przyrost dwutlenku węgla, w atmosferze powiedzmy do jednej dziesiątej procentu, mógłby wywołać ocieplenie o osiem do dziesięciu stopni Celsjusza na całej powierzchni kuli ziemskiej. Jeżeli zaś chodzi o oddychanie, byłoby to niedostrzegalne i nieszkodliwe.

Lisicyn przestał pisać swoją książkę.

Po oblodzonej jezdni skakały głodne wróble. Jeden z nich podleciał do okna, usiadł na kamiennym parapacie, zastukał dzióbkiem w szybę, zaczął wiercić, po czym nastroszył się i patrzył czarnymi paciorkami oczek.

— Nic nie rozumiesz — rzekł Lisicyn do wróbla, stanąwszy naprzeciw okna. Za podwójnymi szybami wróbel nie odczuwał niebezpiecznej bliskości człowieka. — Nic nie rozumiesz — powtórzył Lisicyn. — Widzisz, bratku, sprawa ma się tak: dwutlenek węgla to, po pierwsze, duch, dzięki któremu może stać się ciepło. Rozumiesz? Następnie, jest on pożywieniem dla roślin. Wystarczy powiększyć ilość dwutlenku węgla w powietrzu, choćby o jedną dziesiątą procentu — wyobraź sobie: jedną dziesiątą! — a wówczas ty, wróbelku...

Lisicyn dotknął palcem szyby. Wróbel pofrunął i znikł.

— Jedną dziesiątą! — krzyknął Lisicyn w ślad za nim.

„A wówczas palmy wyrosną na szerokości geograficznej Petersburga... Urodzaj pszenicy przekroczy najśmielsze marzenia...”

Aż dech zapierało od takich myśli.

Gdy Frau Scheffer zabębniła palcem w drzwi, Lisicyn zawołał, że nie przyjdzie na kolację.

„A co będzie — pomyślał poblądłszy — gdy właśnie tę jedną dziesiątą damy ludzkości?”

...Była głęboka noc. Na biurku paliła się lampa ocieplona zielonym abażurem, równomiernie poruszało się wahadło ściennego zegara. Lisicyn, w pantoflach domo-

wych i szlafroku, siedział z suwakiem logarytmicznym w ręku, pochylony nad otwartym brulionem.

Jak gospodarz, sprawdzający zapasy w swoich spi-schrzach, sumował bogactwa Ziemi.

Obecnie atmosfera ziemiska zawiera sto dwadzieścia trylionów pudów dwutlenku węgla. Stanowi to trzy setne procentu naszego powietrza. Rośliny pochłaniają z atmosfery jeden trylion pudów dwutlenku węgla rocznie.

Podniósł głowę. Czy taki ubytek jest groźny? Nie, nie jest groźny. Po śmierci roślin, gdy one gniją czy spalają się lub gdy oddychają zwierzęta i ludzie, których poży-wienie składa się z roślin lub mięsa innych zwie-rząt, dwutlenek węgla powraca do powietrza. Zachodzi więc tu zwykle krażenie.

Lilsicyn znowu spojrział na świecący zielony abażur.

— To nic — rzekł szeptem do siebie — niebawem otworzymy skarbiec, w którym przyroda schowała swój dwutlenek węgla. Oddasz go, staruszek, nie utrzy-masz!... Tak, tak, oddasz!

Zegar na ścianie dźwięcznie wybił: raz, dwa, trzy, cztery. Lisicyn potarł skronie i rzekł głośno:

— Aha! Przecież w powietrzu okresu paleozoiczne-go było tak dużo dwutlenku węgla!

Wziął znowu suwak logarytmiczny.

— Lasy paproci i lepidendronów — szeptał zapisu-jąc — nie zgniły, lecz przekształciły się w pokłady wę-gla kamiennego i pozostały w skorupie ziemskiej. Pokła-dy węgla tworzą się na całym świecie... Albo też w przeli-czeniu na dwutlenek węgla... Tak, dziesięć zer, jedna-ście zer... Teraz... mchy nie zawsze gniją, lecz pozostają w postaci torfu. Ile go jest? Tak! Złoża minerałów wie-trzeją... Czy taki dwutlenek węgla powraca do atmosfery? Nie, nie powraca. To znaczy, że następuje ubytek? Ubytek!

O to chodzi. Ale to wszystko głupstwa bez znaczenia. — Lisicyn potrząsnął suwakiem. — Morza, oto gdzie trzeba szukać!

Stronica zeszytu rozłożonego przed nim pokryta była kolumnami cyfr.

Zegar wybił jeden raz. Wpół do piątej? Nie, okazuje się, że to już wpół do szóstej.

Oczy Lisicyna zastygły, wpatrzone gdzieś w dal. Od-
bijają się w nich lampa maleńkimi zielonymi abażur-
kami.

Zamyślił się o morzach. Wyobraził sobie, że nie są podobne do Zatoki Fińskiej — nie szare z grzebienia-
mi białej piany i zasnute mgłą. Raczej wydawały mu się takie, jak na globusie: jaskrawoniebieski kolor, południ-
ki, równoleżniki i gruba linia równika.

„W każdej minucie — myślał — zachodzi proces: dwutlenek węgla z powietrza rozpuszcza się w morskiej wodzie. Uchodzi z powietrza bezpowrotnie”.

Teraz znów widział oczyma wyobraźni, jak w oceanach tworzą się węglany, jak z soli tych tworzą się muszle żyłatek morskich, z muszli — rafy koralowe, atole i kredowe skały.

„Więc tam jest skarbiec!”

Lisycyn znowu pochylił się nad zeszytem i obliczał: w ciągu setek milionów lat morza utworzyły olbrzymie pokłady minerałów osadowych: wapienie, kreda, marmur, dolomity składają się niemal w połowie z dwutlenku węgla, który niegdyś pochłonęła woda morska. Na utworzenie warstw osadowych skorupy ziemskiej trzeba było w przybliżeniu trzydzieści tysięcy razy więcej dwutlenku węgla, niż zawiera go obecna atmosfera.

U dołu stronicy ołówki wypisał cyfrę „30 000” i bezgłośnie wysunął się z palców. Powieki Lisicyna zamknęły się. W ciemnej przestrzeni pływały błękitne wyspy, chwiały się szerokie liście palm bananowych, wznosiły się fioletowe skały wapienne. Skały jak gdyby topniały — przekształcając się w gaz.

„Owoce lubych dum w kształt doskonałac nowy... a... znowu ta dziwaczka, dlaczego ona puka do drzwi... i ludzie staną się... a hojne słońce...”

— Co?! — krzyknął Lisicyń wzdrygnąwszy się.

— Gospodyni prosi na śniadanie — rzekła kucharka uchylwszy drzwi.

Na pewno Frau była obrażona: nie przyszła sama, by poprosić lokatora do stołu.

Za oknami było już zupełnie jasno.

Wszystko miało teraz jakiś inny wygląd, radosny, odświeżony, ważny. Na przykład ta jadalnia z masywnym dębowym kredensem, malowanymi talerzami porozwieszanymi symetrycznie na ścianach, przejdzie teraz do historii. Tutaj, powiedzą po wielu latach, jadał śniadania ten, który... „Po prostu nie chce się wierzyć — myślał Lisicyń smarując masłem miękki kawałek bułki ze smaczną chrupiącą skórką — że dotychczas nikt o tym nie pomyślał. Co za pomysł! A sposób znajde, słowo honoru, że znajde. Uszczknać trochę z zapasów przyrody... to przecież olbrzymie zapasy! Wspaniale, mój drogi!”

Zwiększyć ilość dwutlenku węgla w atmosferze o kilkaset trylionów pudów jest — rozumiał to dobrze — sprawą niezbyt łatwą. Trzeba zniszczyć cały łańcuch skał wapiennych, na przykład kwadrylion pudów kamienia, czyli niemal sześć tysięcy wiorst sześciennych. Gdyby jednak znaleźć sposób, ażeby siły przyrody same działały na wapień, rozkładałyby go i można by było jedynie kierować procesem... Czyżby to nie leżało w mocy człowieka? Drobnostka! Powiedzmy rok lub dwa lata pracy. Bez żadnych wątpliwości. Zadanie jest wąskie i ściśle określone.

Ale od czego zacząć? Pierwszy prosty przykład: wapień wypala się w piecach. Pozostaje wapno, a dwutlenek węgla ulatnia się w powietrze. Niemożliwe jest jednak wypalanie w piecach całych gór czy wysp. A może mogłyby tu pomóc jakieś bakterie? Należy czym prędzej przystąpić do doświadczeń. One wskażą drogę.

Pod wieczór, gdy Lisicyń przyniósł do swego pokoju kolby, probówki, butelki z odczynnikami chemicznymi, Frau Scheffer spojrzała na niego z ukosa. Następne-

go dnia, gdy w pokoju zasyczała lampa do lutowania, a w korytarzu rozniósł się zapach kwasów, Frau Scheffer przyszła do lokatora i wprost mu powiedziała, że nie zniesie bezceństw w swoim mieszkaniu. Skąd ona może wiedzieć, a może on... (jak to wyrazić po rosyjsku... aha, bomb... tak?), a może on robi bombę? Zresztą w ogóle to nie jest w porządku. Jeżeli chce żyć tak, jak dawniej, solidnie, to może mieszkać. Bitte schön*. Tylko bez takich sztuk!

„Idź do diabła!” — pomyślał drwiąco lokator. Przed nim, na parapecie okiennym, w stronę którego spoglądała złowrogo Frau Scheffer, połyskiwały szklane kule kolb, drgał bezbarwny, syczący płomień. Na podłodze leżał stos tekturowych pudełek.

„Na przyzwoite laboratorium — zastanawiał się Lisicyń — trzeba mieć dwa pokoje. Należy je, oczywiście, odpowiednio urządzić. W trzecim — gabinet i sypialnia. Przydałoby się więc mieszkanie złożone z trzech, czterech pokoi. Takie właśnie trzeba wynająć. Co ty sobie myślisz, Niemko! Świat się bez ciebie nie zawali!”

...Dozorcy zamiatali chodniki. Była odwilż, kapalo z dachów. Na ulicy Ropszyskiej, niedaleko Wielkiego Prospektu, spotkał Lisicyń człowieka z grenadierskimi wąsami. Poznał w nim dorożkarza i przypomniał sobie nawet jego imię: Jegor Jegorycz.

— Dzień dobry, Jegor Jegorycz! — rzekł.

Były żołnierz przystanął.

— Życzę zdrowia! — odpowiedział po wojskowemu i zmarszczył czoło: — Przepraszam, wasza wielmożność, ale pamięć osłabła...

— Nie poznajesz mnie? Przecież rozmawialiśmy o końcu świata. Jechałem wtedy z tobą na przejażdżkę. Pamiętasz?

— Wielu panów... Aha, na przejażdżkę, tak jest, na przejażdżkę! I o końcu świata... Jakies dwa tygodnie temu. Tak, tak.

* *Bitte schön* — po niemiecku: *proszę pięknie...*

Dorożkarz umilkł. Stał wyprostowany na baczność. Lisicyń obrzucił spojrzeniem jego granatowy sukieny kaftan i, skinąwszy głową, chciał iść dalej. W tej samej chwili jednak Jegor Jegorycz podniósł oczy i ciężko westchnął:

- Już po przejażdżkach, wasza wielmożność...
- Jak to, po przejażdżkach?
- Zastrzelili gniadego. Zachorował na nosaciznę. Półotwarte usta i skupiony wzrok Jegora Jegorycza szukały współczucia.

„Pewnie dla niego to wielkie nieszczęście” — zrozumiał Lisicyń i zapytał nie wiedząc, co powiedzieć:

- Jednego tylko konia miałeś?
- Tak jest, jednego. Drogi to był koń. Półkrwi.
- Masz zapewne rodzinę, dzieci?
- Skądże. Stary kawaler.
- Ta-ak. A co będziesz teraz robił dalej?
- Najpierw sprzedam sanie, powóz, uprząż. Potem pójdę za woźnicę albo za stróża — będę szukał zajęcia. Taki już mój los, wasza wielmożność — znowu westchnął były dorożkarz. — Takie to już życie. — I przestępując z nogi na nogę, zabierał, się do odejścia.

— Zaczekaj — zatrzymał go nagle Lisicyń. — Wódki dużo pijesz?

Jegor Jegorycz aż zasapał z oburzenia. Spojrzał z ukosa na rudego pana: „Naigrawa się z cudzego nieszczęścia. Młody jeszcze”.

— Pijaństwa nie popieram — rzekł surowo. — Lecz wasza wielmożność pozwoli — spieszę się...

— A poszedłbyś do mnie na służbę? Potrzebny mi jest służący.

Gdy Lisicyń objaśnił, o jaki rodzaj służby mu chodzi, Jegor Jegorycz popatrzył na jeden słupek przy chodniku, potem na drugi, szarpnął węża w zamyśleniu i rzekł powoli:

— Niby coś jak ordynans? Można.

Machnął ręką:

— Teraz mi już wszystko jedno. I ordynansem być mogę.

Do nowego mieszkania wprowadzili się już obydwaj. Kupili meble, samowar i menażki do noszenia obiadu z restauracji. Wezwali stolarza meblowego — majster zrobił im doskonale stoły i szafy laboratoryjne. Ze sklepu przywieziono cały wóz niezrozumiałych dla Jegora Jegoryczą przedmiotów — różne przyrządy, szklane naczynia i pękate butelki; niektóre z nich były bardzo przemysłnie zrobione.

Gdy Jegor Jegorycz zobaczył, że pan jego pracuje tak wytrwale, że codziennie od rana do nocy czyta, pisze, tłucze coś w mózdzierzu, przesypuje, waży, ogrzewa jakieś słoiczki na palnikach spirytusowych, poczuł dla niego szacunek i zdecydował: „Mój pan pracuje głową”.

A tymczasem Lisicynowi nie udawały się doświadczenia. Ściskając aż do bólu skronie, zawzięcie powtarzał szeptem:

— Czyżbym naprawdę nie potrafił? Czyżbym nie przewyciężył? Naprawdę?

Wiedział od samego początku, że aby z jednego puda wapienia wydzielić dwutlenek węgla, trzeba zużyć dużo ciepła — około siedem tysięcy dużych kalorii. Lisicyn zrozumiał teraz, że poszukiwanie reakcji chemicznych, które, zachodząc pomiędzy minerałami, wytwarzałyby taką ilość ciepła, jest zupełnie bezcelowe. Trzeba więc doprowadzić energię z zewnątrz. Czy nie dostarczą jej promienie słoneczne? Jak wykorzystać ciepło słoneczne do rozkładu wapieni?

Był ciepły dzień majowy. Jegor Jegorycz wszedł do laboratorium i rzekł:

— Prawdziwa wojna, wasza wielmożność.

Lisicyn podniósł głowę ze zmierzwioną rudą czupryną, brwi uniosły się wysoko w dwa półkola.

— Co za wojna? Z kim wojna?

— W fabryce Obuchowa wybuchł bunt robotników. Rozbiegli się po mieście. Strzelanina za przeproszeniem jak z Turkami.

— Kto strzela? — zapytał Lisicyn.

Rzeczywiście, przez otwarte okno doleciał odgłos dalekiego wystrzału.

— Mówią, że wojsko, policja — do robotników. Robotnicy, ponoć — do policji. W mieście — popłoch. Dozorca mówił, że w sąsiednim cyrkule * jest obława. Wiedziane rzeczy, aż tutaj trafili. Szukają kogoś... Niech wasza wielmożność popatrzy!

Obydwaj wychylili się przez okna. Przez pustą ulicę biegł jakiś człowiek, w podartej płóciennej kosworotce *, uciekając widocznie przed pogonią. Wszystko to trwało zaledwie sekundę. Lisicyn poznał nagle biegnącego i krzyknął:

— Glebow, do bramy!

Człowiek w kosworotce szybko spojrzał w górę i wbiegł do bramy. Zaledwie zatrzasnęły się za nim drzwi, gdy zza rogu wysunęło się trzech policjantów z rewolwerami w rękach. Ciężko stukając butami po jezdni, pobiegli dalej.

— Jegor Jegorycz! — rzekł Lisicyn przykładając ostrzegawczo palec do ust.

— Wasza wielmożność może mi zaufać!

— Leć, zawołaj go tutaj.

Nieoczekiwany gość i gospodarz spotkali się w przedpokoju i padli sobie w objęcia. Glebow przytrzymał koszulę rozdartą na piersiach. Policzki i ucho miał umorusane.

— Uf! — rzekł i roześmiał się, jak gdyby chodziło o deszcz, który go zaskoczył. — Dobrze, że schowałem się na czas... No, jak się masz, Władimir? Dziękuję ci. Nie spodziewałem się... A gdzie tu u ciebie można, się umyć?

* Kosworotka — koszula rosyjska zapinana z boku (przyp. tłum.).

* Cyrkuł — nazwa komisariatu za czasów carskich.

Zaprowadzili go najpierw do kuchennego zlewu, a potem Lisicyń postanowił, że gość powinien się przebrać. Razem przeglądali ubrania. Glebow wybrał sobie znoszoną studencką kurtkę, która okazała się dla niego za duża, jednak włożył ją i powiedział, że będzie się w niej dobrze czuł.

Po prostu nie chciało się wierzyć, że ten spokojny, niebieskooki człowiek, o wystających kościach policzkowych, przebywał tak długo na dalekim zesłaniu, potem w jakiś tajemniczy sposób zjawił się znów w Petersburgu i dopiero co umknął od pogoni. Nawet nie postarzał się przez ten czas. Jest taki, jaki był.

— No, opowiedz nareszcie — nie wytrzymał w końcu Lisicyń. — Coś o sobie naturalnie... Skąd się tu wzięłeś? Co i jak? *

— A! — rzekł Glebow. — Dobrze! — i uśmiechnąwszy się kącikami ust, zupełnie tak jak dawniej, wyjął z kieszeni zgniecione pudełko papierosów. — Nie szkodzi, że zapalę? — Potarł zapałkę i smużka dymu popłynęła w górę. — Widzisz, Władimir... Nie mogę ci niczego wyjaśnić, ale nie gniewaj się na mnie...

Gospodarz spojrział na gościa i z uprzejmości nie pytał więcej. Było mu bardzo żal starego przyjaciela: po co „wplątał się” w całą tę politykę? Taki zdolny, taki utalentowany. I tak zmarnował sobie życie. Pewnie się wstydzi mówić o swoich nieszczęściach i niepowodzeniach. Tak, nie powiodło mu się w życiu i tyle.

Jegor Jegorycz nakrył do stołu i podał samowar. Zapadał już zmierzch. Przy herbacie Lisicyń bez przerwy opowiadał o profesorze Łutuginie, o Akademii Górniczej, o swoim życiu, o próbach znalezienia sposobu, który pozwoliłby wpłynąć na krążenie dwutlenku węgla. Gdy doszedł do tego punktu, przestał pić herbatę, wstał i pociągnął Glebowa za sobą.

— Chodźmy, pokażę ci!

Weszli do sąsiedniego pokoju, w którym mieściło się laboratorium.

— Widzisz, tu zachodzi rozkład węglanów — mówił Lisicyń pokazując gościowi jednakowe z wyglądu tygle. — I ażeby proces egzotermiczny... Rozumiesz?... Jestem przekonany, że skoncentrowanie, nagromadzenie energii... w taki sposób...

Glebow słuchał z pochyloną głową. Nie wiadomo było, czy pochwała, czy też śmieje się w duchu. Wreszcie podniósł oczy, uważne i lekko przymrużone, i zapytał:

— A radziłeś się już kogoś? —

— Patrz! — Lisicyń wyciągnął rękę i pokazał szafy z książkami, widoczne za otwartymi drzwiami. — Innych doradców nie potrzebuję.

— Daj spokój, Władimir! — Glebow, uśmiechając się, pogroził mu palcem.

— Dlaczego „daj spokój“?

— Nie wiem, czy tak jest, ale według ciebie ten pomysł ma wielkie znaczenie dla ludzkości, prawda?

— Sam osądź.

— Jakie więc masz prawo zamykać go w tych tutaj — Glebow spojrzał dookoła — czterech ścianach? Nie duś się we własnym sosiel! Chcesz sam jeden zebrać wszystkie wawrzyny?

„Wawrzyny« — myślał Lisicyń oparłszy się łokciami o stół. — Och, jak bardzo zmieniło go zesłanie! Co za człowiek zrobił się z niego na odludziu! Nie wierzy już chyba we własne siły i wydaje mu się, że i inni... że i ja nie dam sobie sam rady czy co... śmieszne, słowo daje!»

Westchnął urażony, schował do szafy tygle i spojrzał na dymiący w ręku Glebowa papieros. Teraz dopiero zauważył, że ręka ta miała palce zgrubiałe, z odciskami: „Możliwe, że nie zrozumiał mnie wcale... Szkoda!“

— A dokąd to powinienem pójść, twoim zdaniem?

— Chociażby do Mendelejewa. Nawiasem mówiąc, mieszka w sąsiedztwie. Bardzo dziwne, że dotychczas...

„Szkoda! A wtedy, w korpusie, był taki rozumny!” — pomyślał Lisicyn i rzekł po chwili milczenia: — Prace Dmitrija Iwanowicza — o, tam, w szafie, cała trzecia półka. Znam je na wyrywki. Z czcią odnoszę się do każdego słowa. Ale ty, Paweł, pewnie zapomniałeś, że nie ma u niego ani jednego wiersza o rozkładzie wapieni.

To jest już całkiem moja dziedzina i moje własne myśli. Kto się w nich lepiej zorientuje niż ja sam? I zwróć uwagę, proszę: gdy Dmitrij Iwanowicz pracował nad prawem okresowości, czy zwracał się do kogoś o pomoc?

— Na próżno upierasz się. Na próżno! Pożałujesz jeszcze kiedyś...

— Oj, jaki ty jesteś. Chodźmy. Nawiasem mówiąc — herbata wystygnie. Pamiętasz — w korpusie? Siermion Nikiticz. „Odtąd dotąd”...

Tak rozmawiali do późnego wieczora. Potem Lisicyn zatrzymał Glebowa na noc. „Niech chociaż wyśpi się — pomyślał — odpocznie, biedak, po tułaczce”.

— Nie sprawiasz mi żadnego kłopotu — przekonywał — głupstwo... Ani trochę mnie nie krępujesz. I śpij spokojnie, proszę cię: żadna policja nie ośmieli się wsunąć do mnie nosa. Ja, bracie, jestem człowiekiem prawnym.

Jegor Jegorycz pościelił gościowi na kanapie w gabinecie. Lisicyn spał w jadalni, gdzie za parawanem stało jego łóżko.

Gdy Glebow został sam, zaczął przemierzać pokój z kąta w kąt. Popatrzył w ciemność za oknem, przypomniał sobie rozkład mieszkania: w razie czego, na przykład rewizji, na lewo od drzwi kuchnia, tylne wyjście, schody na podwórze i na strych. Prześliznął się wzrokiem po szafach z książkami, wyjął z kieszeni rewolwer i włożył go pod poduszkę.

„Ten staruszek — pomyślał, rozbierając się, o siwobrodym tokarzu z Obuchowskiej Fabryki — czy to przypadkiem nie prowokator? Trzeba będzie ostrzec towarzyszy”.

Glebow zgasił światło i położył się, prześcieradło było chłodne, szeleszczące, głowa zatonęła w miękkiej poduszce. Policzek bolał trochę, był lekko spuchnięty. „Jak to było z tym posterunkowym... Teraz trzymaj się, za-raz zaczniesz się znowu! Ach, jak przyjemnie — myślał przeciągając się błogo — jak dobrze jest tak leżeć. Trzeba napisać list do matki. Ile lat jej nie widziałem? Dzieciwiec? Nie, dziesięć. Trzeba by do niej pojechać...”

Ojca Glebow nie pamiętał. Podobno — jak opowiadała o tym niechętnie matka — ojciec będąc oficerem odmówił kiedyś ukarania kaprała ze swojej kompanii,

chłopa spokojnego i posłusznego. Car przyjechał do pułku i podczas przeglądu stwierdził, nie wiadomo dlaczego, że ten kapral spojrział na niego jakoś zuchwale. Nieposłuszeństwo drogo kosztowało oficera. Zdegradowano go i oddano „w żołdacy”. Biorąc udział w oblężeniu Plewny, odznaczył się, został znowu mianowany oficerem i po opływie tygodnia zginął w czasie szturmowania twierdzy.

Już w dzieciństwie, gdy tylko Pawlik Glebow zaczął coś rozumieć, zdawało mu się, że ojciec jego stanął w obronie prawdy, walczył z samowładztwem i w walce tej poległ, choć w rzeczywistości chyba tak nie było. Poza tym opowiadano wtedy jeszcze o bombie rzuconej na cara. Mały Pawlik znalazł w zeszytach siostry zakażony wiersz, nauczył się go na pamięć i lubił szepciem powtarzać. Gdy zostawał sam — szeptał i wymachiwał rękami:

Zbrodniarzu samowładny, zły!

Jakże ja ciebie nienawidzę,

Zagłady twojej i dzieci twych Z radością chciałbym zostać widzem..

Teraz, leżąc w gabinecie Lisicyna, Glebow szczerzej owinał się kocem, przymrużył oczy i myślał o dalekich dniach przeszłości. Najpierw — choć to niezbyt dobrze zachowało się w jego pamięci — mignęła przed nim wyfroterowana, błyszcząca posadzka. Za oknami — słońce, kwitnące bzy. W podwórzu czekał koń zaprzężony do wozu, rzeczy leżały porozrzucane na podłodze, a on, Pawlik, z siostrą i matką przeprowadzali się wówczas do domku subdiakona Pafnucego Kirowicza. Wynajęli u niego dwa ciasne pokoiki. Mieszkali w nich pewnie rok. Potem znowu przeprowadzili się do sutereny u kupca Wawiłowa. Po ścianach, z których kroplami ściekała woda, łążyły duże stonogi. „Mamo, tu są stonogi!” — „Cicho, Pawlik, cicho: jesteśmy nędzarzami”.

Siostra dorosła i wyszła za męża za technika-maszynistę kolejowego. Matka wystarała się wreszcie o jakąś niewielką emeryturę. Ponizła się i płakała — Pawlik stał wtedy obok, cały czerwony ze wstydu za nią — aż uprosiła generała, aby jej syna przyjęto na koszt państwa do korpusu kadetów.

Trzeba do niej pojechać. Ale czy to się uda? Na pewno tęskni za nim...

Wahadło zegara poruszało się i stukało: tik, tak, tik, tak... Z gabinetu dolatywał spokojny oddech śpiącego.

Nazajutrz rano, gdy Lisicyn obudził się, był niemile zdziwiony: okazało się bowiem, że gość już odszedł.

— Jak to? — zapytał. — Nawet się nie pożegnał? Nie kazał nic powiedzieć?

— Kazał podziękować i kłaniać się — rzeczowo odpowiedział Jegor Jegorycz.

Spojrzał na swego pana i, pogładziwszy pięścią wąsy, dodał tonem usprawiedliwienia:

— To już taka ta ichnia robota, wasza wielmożność... Inaczej nie mogą...

Nisko nad miastem zawisły chmury. Przesuwały się ciężko, powoli, czepiając się dachów, rozpełzały się w strzepy i znowu schodziły razem.

Serce Lisicyna opanowała trwoga.

Siedział w laboratorium i myślał, że jego praca jest na pewno bezcelowa, gdyż proste rozłożenie wapienia nie da pożądaných wyników. Co za korzyść — rozmyślał z dwutlenku węgla otrzymanego z minerałów osadowych, jeżeli przekształcają się one w olbrzymie zwały wapna? Nie wyjdzie z tego nic dobrego. Dwutlenek węgla nie utrzyma się w powietrzu, gdyż znowu go pochłonie wapno. To tak, jak pchanie pod górę okrągłego kamienia. Bezmyślna praca.

Jakież więc jest wyjście z sytuacji? Jakież?

„Trzeba — myślał Lisicyn — ażeby po rozłożeniu pozostało nie samo wapno, lecz chociażby w połączeniu z piaskiem — na przykład krzemian wapnia. Taki krzemian nie będzie pochłaniać dwutlenku węgla. Na to jednak, ażeby stopić wapno z piaskiem, trzeba zużyć ogromne ilości ciepła. Czy można mieć nadzieję, że uda się to zrobić kosztem energii promieni słonecznych? Raczej wątpliwe... Cóż więc począć?”

Tymczasem zaczął mżyć drobny deszcz.

Lisicyn narzucił na siebie czarną wełnianą pelerynę z główkami lwów z brązu oraz łańcuszkiem stanowiącym zapięcie i poszedł na Zabałkańską Aleję do Głównego Urzędu Miar i Wag.

Tam powiedziano mu, że profesor Mendelejew wyjechał do swojego majątku Bobłowo w klińskim powiecie? zdaje się, że jest chory. Lepiej nie niepokoić Dmitrija Iwanowicza aż do jesieni.

Gdy Lisicyn dowiedział się, że Mendelejewa nie ma w Petersburgu, opanowało go takie zniecierpliwienie, jak gdyby strata kilku godzin mogła przynieść jego pracy niepowetowane szkody. W tym samym dniu, po obiedzie, zaczął pisać obszerny list do Dmitrija Iwanowicza. Napisał o celu swoich doświadczeń, o poszukiwaniach i niepowodzeniach. Prosił, ażeby Dmitrij Iwanowicz — jeżeli to możliwe — udzielił mu rady listownie.

Po upływie miesiąca listonosz przyniósł mu kartkę z zygzakowato wygiętym w dół podpisem D. Mendele-jew.

Lisicyń był tak zdenerwowany, że ledwie mógł odczytać nabazgrane nierównym pismem, jedno na drugich słowa, którym brak było końcówek.

„Wielce Szanowny Panie!

Miło jest spotkać się ze śmiałymi staraniami, których celem jest dobro ogółu. Mimo to jednak mnie, niewiele znaczącemu, choć gorliwemu czcicielowi nauki, przypadło w udziale Pana zmartwić:

1) Przekształcanie wapieni w krzemiany następuje jedynie w piecach do wypalania cementu i przy wyrobie szkła. Myśl zastosowania tego procesu w skali sześciu tysięcy wiorst kubicznych, wydaje mi się, przy dzisiejszych wiadomościach człowieka, czymś niewykonalnym.

2) Również brak dwutlenku węgla nie zagraża światu żywych istot. Wulkany, źródła mineralne stale wydalają go do atmosfery. Powiększający się przemysł spotrzebuje z roku na rok coraz więcej węgla kamiennego, nafty i innych paliw. Sądzę, że już wiele tysięcy lat temu nastąpiła w składzie atmosfery ziemskiej pełna równowaga oraz że obecnie, spalając paliwo, ludzkość wzbogaca powietrze w dwutlenek węgla".

Pierwszym uczuciem, jakiego doznał Lisicyń po przeczytaniu kartki, był wstyd. Czytał i krew napływała mu do twarzy. Jak to się stało, że przez długie tygodnie myślał i pracował, a teraz okazuje się, że to wszystko złamanego grosza niewarte?

Suwak logarytmiczny zatrzeszczał mu w palcach i złamał się na dwoje.

„Słusznie! Mam, na co zasłużyłem! Utopia! *... Dobrze ci tak! Dobrze ci tak, durniu!”

** Utopia — wymarzony kraj szczęśliwości, w którym panują idealne stosunki (od nazwy wyspy w powieści polityczno-społecznej Anglika Tommasza Moore'a, 1516); w przenośni: coś nierealnego.*

Uderzył pięścią w ostry kant stołu, tak że aż go zabolalo, i zaczął z wściekłością wyrzucać do wiadra próbki minerałów, flaszki i przygotowane do doświadczeń retorty.

Dopiero po upływie doby mógł znowu myśleć spokojnie. Ale czy sam Dmitrij Iwanowicz nie popełnił omyłki? Wszyscy wiedzą, że ludzie spalają w piecach węgiel kamienny, ropę naftową, torf. Czy można jednak przypuszczać, że ta ich czynność wpływa na krążenie materii w przyrodzie? Czyżby to osiągało tak znaczne rozmiary? A jeżeli tak — to dlaczego on, Lisicyn, nie przywiązywał do tego większego znaczenia, zlekceważył jak mało ważną drobnostkę?

Przede wszystkim trzeba dowiedzieć się, jakie jest roczne wydobycie mineralnego paliwa na kuli ziemskiej. Z wyliczenia wypadła duża cyfra. Jeżeliby się spalało całe wydobywane paliwo, a ludzie przecież spalają je, to co roku przechodziłoby do atmosfery ponad dwieście bilionów pudów dwutlenku węgla. A więc Dmitrij Iwanowicz nie pomylił się. Tak właśnie jest.

„Jaka szkoda! Zbłądziłem się!”

Co rok ponad dwieście bilionów pudów. Cyfra ta powiększa się z każdym dniem. Lecz przecież sam Mendelejew mówi w „Podstawach chemii”, że na przestrzeni wieków zmiany składu powietrza zachodzą powoli i są znikome. Dlaczego zachodzą powoli?

„Równowaga — domyślił się w końcu Lisicyn. — Ciągłe istnieje równowaga pomiędzy wodą oceanów a atmosferą. Oceany regulują to, pochłaniając z powietrza dwutlenek węgla i tworząc nowe wapienie”.

Jegor Jegorycz, chociaż niby nie zwracał uwagi, wciąż jednak zaglądał przez drzwi i przestraszonymi oczami patrzył na swojego pana. „Z jego wielmożnością

— zdecydował — coś nie w porządku. I do tego wciąż milczy. Co się z nim dzieje?"

A „jego wielmożność” targał włosy na głowie i wzdychał przez cały tydzień. Dopiero teraz zrozumiał, że nie uda mu się podwyższyć procentu dwutlenku węgla w atmosferze ziemskiej „przy obecnym stanie nauki”. Jeżeli nawet zdołaloby się stopić wapień z piaskiem, jeżeli zdołaloby się przerobić setki skał wapiennych i otrzymany gaz oddać atmosferze, to zanimby się to dokonało, oceany zdążyłyby pochłonąć nadmiar gazu. Pochłonełyby i już. Równowaga w przyrodzie przesuwają się bardzo powoli; przesunąć ją za jednym zamachem jest na pewno w mocy ludzi, ale uczynią to dopiero przyszłe pokolenia. Do tego byłyby potrzebne nie znane dotychczas, bardzo silne, gwałtownie działające środki. Ażeby tak, na przykład, materia wybuchała od środka! Żeby zapas energii znaleźć w samej materii! Jednym słowem, fantazja, Jules Verne!

Dopiero po upływie tygodnia od otrzymania kartki od Mendelejewa Lisicyń wyszedł z domu.

Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami stał na ulicy wiodącej wzdłuż kanału. Właściwie, poszedł, ażeby odwiedzić ciotkę, lecz po drodze zatrzymał się i zamyślił. Przed nim widniały ciemne, ponure domy, a przy brzegu stały barki naładowane drzewem. Wynędzniali, brodaci chłopcy biegali pokrzykując po uginających się deskach i na taczkach wozili drzewo. Inni nakładali polana na wozy i popędzali konie.

Lisicyń stał z boku, przyglądał się i rozmyślał nad tym, że po kilku dniach drzewo to stanie się dwutlenkiem węgla.

„Ciekawe, jak to się dzieje! — zastanawiał się. — Z kominów fabrycznych, z lokomotyw, z pieców domowych ludzie wyrzucają dwieście bilionów pudów dwutlenku węgla rocznie. Dwieście? Skądże! Więcej, daleko więcej! Spalają przecież także i drzewo. Razem z drzewem, powiedzmy, wyrzucają pięćset bilionów pudów. Z

pieców — powtarzał Lisicyń. — Pięćset bilionów. A przecież liście roślin oddychają powietrzem, w którym jest tylko trzy setne procentu dwutlenku węgla. To dziwne. Czy nie można by skierować gazu bezpośrednio na zasiewy, na plantacje, tak ażeby w roślinach obficie tworzyły się węglowodany — na przykład skrobia i cukier?"

Lisicyń spojrział na brodatych chłopów rozładowujących barki: „Jacyż oni są wynędzniali!"

Dalsze myśli biegły zawiłymi drogami. Po powrocie do domu znowu przeglądał książki: Timiriazjew — mądry, prosty, zrozumiały. W roślinach zachodzi proces: dwutlenek węgla, łącząc się z wodą, pod wpływem światła słonecznego, przekształca się w bardzo cenne produkty — w węglowodany. Jednak Timiriazjew nie może wyjaśnić tego procesu za pomocą ścisłych obliczeń chemicznych. Mendelejew w „Podstawach chemii” mówi: Na czym jednak polega ten proces i z jakich reakcji pośrednich się składa — jest dotychczas nie wyjaśnione.

— Nie wyjaśnione... Nie wyjaśnione... — mruzczał Lisicyń spoglądając na wiszący w laboratorium wizerunek Mendelejewa. „Przypadło mi w udziale zmartwić Pana”...

Nagle zapragnął namiętnie, z całej duszy — pokazać Dmitrijowi Iwanowiczowi, że inżynier, który napisał list do niego, zdolny jest także do czegoś rozsądnego, ważnego i pożytecznego dla ludzi, a nie tylko do „niewykonalnych pomysłów".

Weźmie na przykład zielone liście i zbada reakcje chemiczne, które w nich zachodzą.

„Cóż wtedy Pan powie, Dmitrij Iwanowicz?"

„Trzeba — postanowił Lisicyń — spróbować zrobić takie doświadczenie: z żywej rośliny przenieść do szklanego przyrządu uszkodzoną tkankę zielonych liści. Zbadać, jak będzie się tam zachowywać. A potem zmieniać warunki doświadczenia, dodawać nieorganiczne domieszki, obserwować".

— To nic, Jegor Jegorycz! — krzyknął i uśmiechnął się, zaglądając do kuchni. — Jeszcze pokażemy, co potrafimy! Życie przed nami!

— Żyjemy, wasza wielmożność — podnosząc się szybko z łóżka, odpowiedział Jegor Jegorycz. — Tak jest. Bez obrazy boskiej, żyjemy. To prawda.

Pół miesiąca zeszło na przygotowaniach do nowego doświadczenia. Lisicyń jeździł do sklepów, kupował całe skrzynki butelek, kolb, rurek i słoików z odczynnikami. Obmyślał główny przyrząd. Na kartce papieru narysował filtr warstwowy o specjalnym, skomplikowanym kształcie. Zawiózł rysunek do pracowni wyrobów szklanych i zamówił taki filtr prosząc, by wykonano go jak najszybciej.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy przygotowania zostały zakończone.

Wczesnym rankiem na bladobłękitnym niebie z rzadka rozsiane płonęły kędzierzawe baranki obłoków, potem się jednak rozproszyły. Jeszcze przed wschodem słońca Jegor Jegorycz przyniósł worek świeżych liści — ogrodowej naci. Lisicyń roztarł je starannie w moździerzu, nappełnił płytki filtru zieloną papką i przyłączył gumową rurkę, przez którą w czasie doświadczenia winna powoli przeciekać woda nasycona dwutlenkiem węgla. Teraz pozostało już tylko otworzyć krany. Czy dwutlenek węgla przekształci się w któryś ze znanych człowiekowi węglowodanów — chociażby w najzwyczajniejszy cukier, w glukozę?

Słońce skryło się za małą chmurką. Drżącymi palcami sprawdzał Lisicyń rurki przyrządu. Chmurka zniknęła. Palce ostrożnie ujęły szklany kranik i przykręciły go, potem drugi taki sam i trzeci. Filtr, stojący na parapecie okna, wydawał się w jaskrawym blasku słońca ogromnym szlifowanym szmaragdem, który po całym pokoju rozsiewał zielone błyski. W lśniącej jak najciemniejszy kryształ kolbie zbierały się drogocenne krople przepuszczonej przez filtr wody.

Lisicyń miał zapadłe policzki i oczy pełne niepokoju. Filtrowaną wodę przelewał do probówek, gotował nad płomieniem lampek spirytusowych, badał za pomocą uprzednio przygotowanych odczynników, które w ponumerowanych butelkach stały na stole równym szeregiem.

Gdy w jednej z probówek, zawierającej niebieski płyn Fehlinga, pojawiła się na dnie plamka czerwonego osadu, Lisicyń odetchnął, spojrzał na wizerunek Mendelejewa i powiedział szeptem:

— Glukoza, Dmitrij Iwanowicz.

Pierwszy tydzień pracy był tygodniem powodzenia. Bezkształtna zielona masa, umieszczona w przyrządzie, działała tak, jak żywe liście w roślinach. Gdy woda z dwutlenkiem węgla przechodziła przez filtr w ciemności, nie zawierała żadnych węglowodanów. Kiedy jednak słońce oświetlało filtr, w sączącej się z niego cieczy od razu tworzyły się ślady glukozy — cukru gronowego.

Właściwie nie było tu jeszcze dotychczas żadnego nowego odkrycia naukowego, tylko tkanka liści, a właściwie ta jej część, która nosi nazwę chlorofilu, wykonywała swoje zwykłe czynności; udało się jedynie przenieść proces z żywego organizmu do szklanego przyrządu. Teraz jednak łatwiej było obserwować proces i zmieniać jego bieg.

Codziennie rano Jegor Jegorycz przynosił worek świeżych liści. Pewnego razu, patrząc na Lisicyńa rozcierającego liście w wielkim porcelanowym moździerzu, rzekł z uśmiechem:

— Lżej konia wykarmić, wasza wielmożność, niż pańską butelczynę. Nie każecie przygotować siana na zimę?

— No, co ty... siano! — rzekł Lisicyń. — Wkrótce oduczymy ją żywić się liśćmi. Oto przygotowane pożywienie. — I wyciągnął ciemny od zielonego soku, porcelanowy tłuczek w stronę półki wypełnionej słoikami z różnymi proszkami.

— Ta-ak — pokręcił głową Jegor Jegorycz i z szacunkiem spojrzął na proszki. — Jakie to mądre!

Nawiasem mówiąc, „butelczyna” uparła się i nie chciała „żywić się” proszkami. Dopóki filtr napełniony był papką z żywych liści, w roztworze powstawała glukoza. Przy każdej jednak próbie zamiany części tej papki sztuczną mieszaniną — o takim samym, wydawałoby się, składzie chemicznym i takich samych fizycznych właściwościach — w wodzie glukozy było bardzo mało albo nie tworzyła się wcale.

Lisycyn wypróbował już dziesiątki przepisów.

Pewnego razu, robiąc porządek w szafie laboratoryjnej, zmiotł szczoteczka resztki jakichś, na pewno dawno rozsypanych substancji chemicznych. Papierek z tymi resztkami położył na stole. Tymczasem w pokoju nagle powstał przeciąg, drzwi otworzyły się i papierek zleciał ze stołu. Leżące na nim ziarenka wpadły do moździerza ze świeżo przygotowaną papką z liści. „A żeby cię! — zdenerwował się Lisycyn. — Całe doświadczenie na nic”.

Tymczasem zza chmury wyjrzało słońce. Lisycyn machnął tylko ręką ze zmartwienia, potem wziął zanieczyszczoną papkę i pomimo tego wypełnił nią filtr. Wbrew oczekiwaniu doświadczenie udało się doskonale. Nigdy jeszcze nie było takich wspaniałych wyników. W roztworze powstały już nie tylko ślady, ale dużo glukozy i innych postaci cukru; roztwór był mętny od domieszki skrobi.

Lisycyn chwycił się za głowę: „Co leżało na papierku? Jakie substancje?”

Nie mógł powtórzyć doświadczenia, gdyż nie było już więcej tych samych ziarenek. Spostrzegł jednak przy próbach powtórzenia go, że na przykład obecność soli potasowych polepsza efekt reakcji.

Od tego czasu zrozumiał, że dodanie pewnych, nie ustalonych na razie, prawdopodobnie nieorganicznych substancji może silnie zmienić bieg procesu, wywo-

łując gwałtowne, energiczne powstawanie węglowodanów.

To znaczy, że istnieje możliwość kierowania procesem. To znaczy, że doświadczenia nie są pozbawione sensu. Trzeba tylko szukać.

Jesień ciągnęła się długo. Pogoda była piękna, słoneczna. W końcu nadszedł dzień, gdy Jegor Jegorycz zerkając, czy aby jego pan się nie rozgniewa, oznajmił:

— Nie ma więcej zieleniny. Mróz, zdaje się, chwycił.

— Mr-óz? — groźnie powtórzył Lisicyń. — Postaraj się, Jegor Jegorycz, w cieplarniach, oranżeriach! Nie żałuj fatygi — w głosie jego zadźwięczała prośba — trzeba, Jegor Jegorycz. Rozumiesz — trzeba. Za każdą cenę. Postaraj się!

Wkrótce jednak doświadczenia przerwały się same przez się, gdyż brakło im słonecznego światła.

W czasie zimowych wieczorów Lisicyń często spacerował po ulicach. Wybierał puste zaułki, gdyż nie lubił spotykać się z ludźmi.

Pewnego razu szedł, nie zwracając uwagi na wiatr, nie czując mokrego, oblepiającego twarz śniegu, patrzył na jedną z latarni i myślał o pięciuset bilionach pudów dwutlenku węgla.

„Z kominów — rozmyślał — do atmosfery... A jeżeli przekształcić w węglowodany: pięćset razy dwadzieścia siedem, podzielić przez czterdzieści cztery. Trzysta bilionów pudów chleba wyrzucają ludzie ze swoich pieców w powietrze. Po sto siedemdziesiąt pudów rocznie na każdego mieszkańca Ziemi. Przecież to bogactwo — i jakie bogactwo! A nikt, prawdopodobnie, nie podejrzewa...”

Przypomniał sobie swój filtr warstwowy i oczyma wyobraźni ujrzał nagle takie właśnie filtry, tylko wielkości pięciopiętrowych domów. Filtry te w wielkiej ilości rozmieszczone będą na wszystkich kontynentach. Od fa-

bryk i domów prowadzą do nich gigantyczne przewody gazowe. Co się będzie działo wówczas?

Lisycynowi naraz zrobiło się gorąco. Zdjął czapkę.

„Trzysta bilionów pudów skrobi i cukru rocznie. Powiedzmy, chociażby jedną dziesiątą tego w Rosji... no, chociażby jedną dwudziestą! Podarować ludziom tyle żywności!”

Szedł, nie wiedząc dokąd, przystawał i znowu szedł.

Na nadbrzeżnym bulwarze wiatr był tak gwałtowny, że świszczało w uszach. Lisycyn, z twarzą mokrą od śniegu, stał przed pomnikiem Piotra, wymachując czapką.

— Czym jest twoja sława? — pytał wpatrując się w plamy śniegu bielejące na głowie z brązu. — Twoja sława — to reformy, okręty, wyprawy wojenne i ten oto Petersburg. Ale czy twój geniusz mógł nakarmić ludzkość? Nie. Czy wzrok twój ogarniał tak szerokie horyzonty? Spójrz: oto powstaje synteza węglowodanów! I dumny Słowian wnuk, i Fin... i dzisiaj... dziki... Dmitrij Iwanowicz — przekrzykiwał Lisycyn wiatr — zobaczy pan, zobaczy pan jeszcze!

„Zabawił się jego wielmożność” — pomyślał Jegor Jegorycz otwierając Lisycynowi drzwi nad ranem.

Timiriazjew otrzymał za pracę o spektralnej analizie chlorofilu stopień naukowy magistra. Lisycyn miał tę rozprawę wydaną trzydzieści lat temu. Postanowił posłużyć się metodą Timiriazjewa przy rozwiązywaniu swojego zagadnienia. Kupił duży spektroskop i przez całą zimę, dopóki nie było słońca, badał, jak zmienia się widmo zielonych liści w miarę dodawania różnych odczynników.

Lisycyn marzył o zupełnie nowej, nie znanej dotąd substancji, którą stworzy drogą chemicznej przeróbki liści. Och, jakaż to będzie zadziwiająca, wspaniała substancja! Jedna, maleńka jej cząstka potrafi w ciągu kilku minut przekształcić setki pudów dwutlenku węgla w glukozę, w cukier, w skrobię, jeżeli tylko będzie istniała niezbędna do osiągnięcia tego celu energia. Jeżeli taką substancję umieści się w filtrze, to będzie ona służyć ca-

łymi latami, nie psując się jak liście, nie tracąc pożytecznych właściwości. Ulegnie wówczas zmianie cała historia ludzkości, a ludzie zdobędą niesłychane bogactwa. Dym z pieców będzie przetwarzany w żywność...

„Czy dokonam tego?” — pytał Lisicyń sam siebie, unosząc brwi.

Oczy jego stawały się nieruchome, wpatrzone z napięciem w jakiś odległy punkt. Potem zakrywał twarz rękami i szeptał z uniesieniem:

- Dokonam, dokonam, dokonam!

Całe noce, aż do świtu przesiadywał nad książkami; czytał artykuły zagranicznych chemików, odkładał je na bok i znowu powracał do dzieł wielkich rodaków: Wos-kresienskiego, Zinina Butlerowa, Mendelejewa. Przydał mu się zwłaszcza Butlerów — twórca teorii budowy związków organicznych, któremu pierwszemu na świecie udało się drogą skomplikowanych reakcji otrzymać sztuczny produkt, zbliżony do cukru. Jednak cukier Butlerowa — to tylko klucz do rozwiązywania zadań teoretycznych, nie posiadający jeszcze praktycznego zastosowania. Lisicyń zaś był głęboko przekonany, że węglowodany można otrzymać tanio i w dużych ilościach jedynie przez bezpośrednie działanie dwutlenku węgla na wodę. Na tym właśnie polegała jego koncepcja. Teoria Butlerowa pomoże mu w jej urzeczywistnieniu. A trzeba ją urzeczywistnić za wszelką cenę.

„Nauczyć się robić to, co robią rośliny. Przekształcić, ulepszyć proces, nauczyć się kierować nim i przeprowadzać go w przyrządach z nie ograniczoną niczym szybkością”.

W pierwszych dniach wiosny, na oświetlonym promieniami słońca parapecie okiennym znowu załśnił zielony filtr. Niekiedy zdawało się Lisicynowi, że praca jego potrwa dziesiątki lat, a czasem wierzył, że osiągnie swój cel w ciągu miesiąca. Sukcesy zdobywał powoli, lecz szybciej niż one wzmagala się jego zawziętość. Schudł,

przestał się golić, zapuścił brodę, która sterczała teraz na wszystkie strony jak miedzianorudy wachlarz.

„Albo zwycięstwo i życie — myślał — albo klęska i śmierć. Pechowiec nie ma co robić na świecie”.

Nie interesowało go już nic poza filtrem, probówkami z roztworami oraz czasopismami i książkami, które zawierały choć cokolwiek na temat syntezy chemicznej. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Tymczasem skończyło się lato: nie zauważył, jak przeminęła nowa zima i wśród pracy, pełne takich samych nadziei, minęło drugie lato.

Petersburg kipiał życiem. Poprzez ściany laboratorium przenikały jedynie skąpe jego odgłosy.

Pewnego jesiennego wieczoru- zadzwieczał dzwonek u frontowych drzwi. Lisicyń, pochylony nad mikroskopem, oglądał sztuczne ziarna, bardzo podobne z wyglądu do ziaren naturalnego chlorofilu. Jeżeli więc aktywność tych ziaren...

— Przyszedł jakiś gość i chce się z panem widzieć — rzekł półgłosem za jego plecami Jegor Jegorycz.

Gościem tym był Zawiałow, z którym Lisicyń był razem w Akademii Górniczej. Przyjechał do Petersburga z południowych kopalni. Przypadkowo dowiedział się o jego adresie i postanowił go odwiedzić.

— Nie pracuję w żadnym przedsiębiorstwie — rzekł Lisicyń zamknawszy szczelnie drzwi od laboratorium i wprowadzając gościa do jadalni, jak najdalej od laboratorium. — Nie jestem na żadnej posadzie. Żyję jak rentier, dla swojej przyjemności... Cieszę się, że was widzę.

„Jeżeli więc aktywność ziaren... Ech, nie w porę diabli go przynieśli!”

Zawiałow zagryzł wargi i pokiwał głową ze zrozumieniem:

— Rozumiem, rozumiem. Sam też bym chętnie rzucił posadę, gdyby nie pieniądze — podły metal! Nie wy

jedni w tych czasach... Duszno! Wierzcie mi, szczególnie w kopalniach, na prowincji...

Twarcz miał płaską z wydatnym nosem oraz nieproporcjonalnie grubymi i ruchliwymi wargami. Na policzkach wity się, jak przylepione, ciemne bokobrody. Zza ucha zwisał czarny sznurek binokli sięgających, jak u Czechowa, do połowy czoła.

— Robotnicy — tu Zawiałow zrobił zamaszysty ruch ręką — powiem wam szczerze, burzą się! Dokąd zmierza Rosja? — Potrząsnął ręką. — Autorytet rządu...

Lisycyn — rozczochrany, z niedbale zawiązanym krawatem — siedział przed gościem i milczał. Wzrok miał utkwiony we wzorze obrusa.

— Proszę, opowiedzcie wreszcie o Łutuginie — rzekł gość. — Łaknę szczegółów. Do nas na prowincję, rozumiecie, nowości ze stolicy dochodzą bardzo powoli...

— Ale co o Łutuginie?

— Jak to, co! Chyba wiecie!

— Widziałem go rok temu... — Lisycyn uniósł brwi — nie, dwa lata temu. Ponad dwa lata.

— I nic nie słyszeliście... dopiero teraz? To chyba niemożliwe!

— Nic nie słyszałem.

— Boże mój! Nie słyszeliście? To istna farsa, daję słowo, istna farsa! Mieszkaniec stolicy, cha-cha!

Zawiałow znowu teatralnie klasnął w dłonie i roześmiał się. Usta jego przypominały obarzanek. Protekcjonalnie spoglądając na Lisycyna, opowiedział, że profesora Łutugina zwolniono ze stanowiska zajmowanego w Radzie Geologicznej na podstawie „trzeciego” paragrafu, to znaczy, bez wyjaśnienia powodów. Jak mówią, ma to związek z jego działalnością rewolucyjną. A w Akademii Górniczej Łutugin sam podał się do dymisji. Mówią, że przewidując zwolnienie i obawiając się, że studenci w odpowiedzi na to urządzą strajk — nie chciał narażać ich na nieprzyjemności.

— Co za szlachetność! A mieszkacie tak niedaleko!

— Jakoś to do mnie nie dotarło — bąkał Lisicyń.
— Sam nie wiem, jak to się stało... No, wicie, pierwszy raz słyszę!

Gdy tylko odprowadził gościa, szybko wrócił do laboratorium i pochylił się nad mikroskopem. „Następują różne wydarzenia — rozmyślał — ludzie dokonują bohaterских czynów — jak na przykład ten Łutugin — czy może więc być jakieś usprawiedliwienie dla człowieka, który odsunął się od spraw i zainteresowań ogółu i jak borsuk xv norze zamknął się wśród czterech ścian swego laboratorium? No, a synteza chemiczna — odpowiedział sobie w myśli — czyż to nie jest najważniejsza służba dla na-rodu?” Przymrużył oczy i spojrział w obiektyw mikroskopu. Zobaczył dwie odmiany ziaren — ciemnozieloną i nieco jaśniejszą. „Trzeba je porównać, sprawdzić i oddzielnie przeprowadzić próby. Trzeba się śpieszyć”.

Za najważniejsze wydarzenie w 1903 roku uważał Lisicyń kolejną pracę Timiriazjewa — odczyt o asymilacji dwutlenku węgla przez rośliny. Odczyt został wygłoszony w Londynie, na zaproszenie Brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego: Timiriazjew wydał go, jako broszurę, pod tytułem „Kosmiczna rola roślin”.

Lisicyń trzy razy przeczytał tę broszurę, przeszedł się po pokoju i zadał sobie pytanie: a może posłać do Timirfajjewa, przebywającego w Moskwie, list donoszący mu o swojej pracy? Lecz nagle przypomniał sobie: „Niewiele znaczącemu, choć gorliwemu czcicielowi nauki przypadło w udziale zasmucić Pana...” Postanowił: „Nie trzeba do nikogo pisać”. I pomyślał z dumą, że teraz i bez doradców da sobie radę — wystarczy mu na to siła i zdolności.

Niedługo po Nowym Roku wszyscy zaczęli mówić o wypadkach w Port-Arturze. W Lisicyńie wywołało to uczucie zdumienia. Pewnego razu, przerzuciwszy szybko gazetę, wzruszył ramionami: „Po co ludzie prowadzą wojny?”

— Czego chcą ci Japończycy? — zapytał Jegora Jego-tycza.

— Proszę waszej wielmożności — odpowiedział starszerek przystanąwszy w drzwiach. — Car japoński ma chrapkę na Rosję. Czy to można ścierpieć? Silny, wiadać: potopił nasze okręty w Portartursku. Więc my dalejże na rabusia!

— Ech! — rzekł Lisicyn. — Karzełki. Głupstwo! — Odłożył gazetę i zabrał się do mieszania proszków w przezroczyстых naczyńkach wagowych.

Gdy zaczynała się wojna japońska, laboratorium Lisicyna już nie wyglądało tak, jak dawniej. Wszystko było solidne i trwałe. Najważniejsze, że nie był już uzależniony od pogody: udało mu się zastąpić słońce elektrycznością. Na długim stole laboratoryjnym, stojącym pośrodku pokoju, ciągnął się szereg złożony z sześciu zielonych szklanych przyrządów, otoczonych udoskonalonymi świecami Jabłoczkowa. Blaszane ekrany na kółkach stanowiły ochronę dla oczu przed oślepiającym światłem. W całym mieszkaniu czuło się teraz żar lamp łukowych. Podchodząc do przyrządów, Lisicyn wkładał ciemne okulary.

Wieczorami wyłączał prąd w laboratorium i długo patrzył na gasnące, ostygające elektrody lamp. Elektrody przestawały się świecić, robiło się ciemno, a on myślał, że połowę pracy ma już na pewno poza sobą. Tam oto wpatrywał się w ledwie widoczny zarys ogromnej szafy — w słoikach z szczelnie dopasowanymi korkami leżą suche, zielonawe grudki. Są to liście roślin po poddaniu ich skomplikowanym i długotrwałym zabiegom. Właściwie — jest to zwyciężona przyroda: grudki w słoikach — to już nie chlorofil, lecz nowa substancja, utworzona dzięki długoletniej wyteżonej pracy. Grudki te mogą oddać w filtrach znacznie większe usługi niż zwykła papka ze świeżych liści. Jednak, nawet przy ich użyciu glukoza tworzy się jeszcze niezbyt szybko, a zwyczajny cukier i skrobię uzyskuje się powoli tylko wtedy, gdy woda z

dwutlenkiem węgla przechodzi przez filtr kroplami. „To Wszystko drobnostki — myślał Lisicy — trzeba tylko zrozumieć, pojąć, jaka kryje się w tym tajemnica, i jeszcze bardziej wyteńczyć siły”.

A czas płynął. W dalekiej Mandżurii walczyli i umierali żołnierze. W Rosji wybuchały strajki i bunty chłopskie; serca były niespokojnie. Mieszkańcy Petersburga — jedni rano, inni wieczorem — zrywali kartki kalendarza.

A świat Lisicy był odgradzony kolbami i filtrami — tym jednym, co mu się wtedy wydawało ważne w życiu. Miał swoistą rachubę czasu: jego kalendarzem był dziennik, w którym zapisywał swoje doświadczenia.

Gdy w dzienniku pojawił się zapis numer dziewięć tysięcy sto siedemnaście, a za oknami znowu leżał śnieg, nastał wreszcie dzień wielkiego święta: jeden przyrząd dawał glukozę, drugi — cukier, a trzeci posłusznie wytwarzał skrobię. Powstawało od razu dużo cukru i skrobi, ludnego i drugiego — około pół złotnika *.

Uśmiechnięty, z rozwianą rudą brodą, w rozpiętym futrze i czapce zsuniętej na tył głowy, wyszedł Lisicy na ulicę. Wydawało mu się, że tysiące ludzi cieszy się jego powodzeniem. Szli grupami, nieśli chorągwie i portrety cara. Powietrze rozbrzmiewało głosami.

„Zbaw, panie, lud twój” — śpiewali uroczyście.

„Procesja — pomyślał Lisicy. — A gdyby tak wiedzieli o moich doświadczeniach!”

Zawrócił i, nadal uśmiechając się błogo, poszedł razem ze wszystkimi, porwany ludzką falą.

Po bruku zadźwięczały końskie podkowy. Idący rozstąpili się: szybkim kłusem przejechał pluton konnej policji.

— To nic, car rozsądzi — rzekł idący obok Lisicy na człowiek w podartym kożuchu i filcowych butach.

Na szerokim prospekcie zrobiło się ciasno. Nagle zaszło coś niezrozumiałego: ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać. Od strony Pałacu Zimowego rozległ się suchy trzask wystrzałów.

* *Zołotnik* — rosyjska jednostka wagi, wynosząca 4,25 grama (przyp. aut.).

Lisicyń także rzucił się do ucieczki. Potknął się i zgubił czapkę. Potem ujrzał na śniegu czerwoną plamę, a obok — nieruchomą postać ze strużką krwi, sączącą się z czoła.

Po chwili tłum przygniótł Lisicyńa i wepchnął go do jakiegoś podwórza.

— Co się stało? — z przestraszeniem zapytał gimnazjalistę przyciśniętego do ściany.

Gimnazjalista patrzył obłąkanym, jakby zastygłym wzrokiem i nie odpowiadał.

Podwórze — jak dno ciemnej studni. Wszędzie — ramię przy ramieniu — rozmaicie ubrani ludzie. Ktoś w znoszonej jesionce wspiał się na kilka szczebli drabiny strażackiej i ze wzburzeniem wykrzykiwał:

— Wolności nie zdobywa się prośbami do cara! Okropność dzisiejszej zbrodni wskazuje narodowi jego prawdziwych wrogów. Towarzysze; bracia! Monarchia absolutna...

— Co się stało? — pytał Lisicyń nieprzytomnie. — Panowie, powiedzcież, co się stało?

Potem ujrzał twarz mówcy w jesionce.

„Boże mój — uświadomił sobie — przecież to Glebow!”

Rozpychając ciasne szeregi słuchaczy, zaczął przebijać się do starego przyjaciela. „Paweł w Petersburgu... Mógłby chyba mieć do mnie zaufanie i przyjść... On mi zaraz wszystko wyjaśni”.

Lisicyń prześliznął się wzrokiem po otaczających go twarzach i znowu drgnął: spoza głów ludzkich uporczywie patrzyły na niego nieprzyjemne, bezczelne, a przy tym bardzo znajome mu oczy. Takie znajome, takie nienawistne...

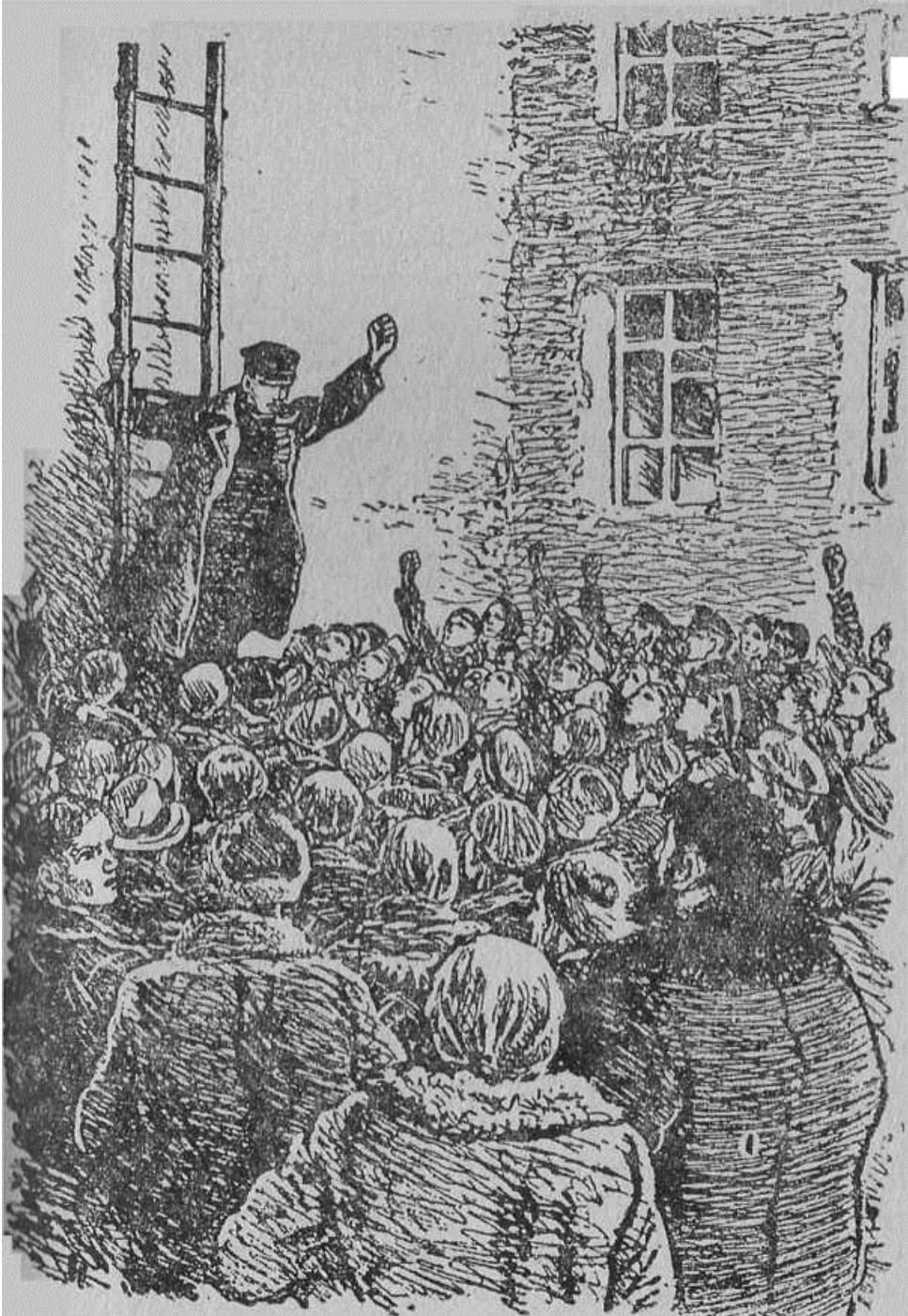
„Boże mój, kto to?”

— Policja! — przeraźliwie krzyknął ktoś w bramie.

Jak gdyby wichur przeleciał po podwórzu: wszyscy znowu rzucili się do ucieczki. Glebow zniknął w tłumie, tak samo ten z beczelnymi oczami.

Gdy nadbiegła policja, podwórze było całkiem puste. Lisicyń stał sam — bez czapki, zatrwożony i nie rozumiejący niczego.

ROZDZIAŁ IV



DOM NA NADBRZEŻNYM BULWARZE

Pół wieku temu stał na Francuskim Bulwarze trzy-piętrowy murowany dom. Fasadę jego pokrywała masywna sztukateria. Spojrzawszy w górę można było zobaczyć cztery rzędy wysokich, lustrzanych okien, błyskających spośród rzeźbionych figur; nad oknami sterczał przeładowany ozdobami gzyms, zza którego ledwo widać było skrawek pochylego, blaszanego dachu z rynną.

Od podwórza dom wyglądał inaczej. Nie było tam ani ozdób, ani rzeźbionego gzymsu. Nad trzecim piętrem dach nagle zaokrąglął się jak włożona na głowę papacha; pomiędzy arkuszami pomalowanej na zielono blachy, która go pokrywała, słabo połyskiwał piąty rząd niziutkich okienek, ledwo dostrzegalnych i w niczym niepodobnych do pysznych okien pierwszych trzech pięter.

Wejście na poddasze prowadziło tylko od strony podwórza, „kuchennymi” schodami. W zimie było tam ciepło, ale w lecie źle — bo gorąco; sufity były niskie i ukośnie ścięte. Zrozumiało, że nikt z zamożnych ludzi tam by nie mieszkał. Jak się okazało, właściciel domu był człowiekiem zgodnym: gdy przyszli do niego studenci, wynajął im za niewielką opłatą całe mieszkanie — trzy ciasne pokoje na poddaszu, których drzwi prowadziły na ciemny korytarz. Studenci przynieśli swoje walizki, poustawiali łóżka i napełnili pokoiki gwarem i wesołością.

Mijał miesiąc po miesiącu. Codziennie pokojówki i kucharki widywały studenckie płaszcze migające z góry na dół po kuchennych schodach. Gospodarz domu, spotykając na podwórzu nowych lokatorów, kiwał im życzliwie głową:

— Mieszkacie! No-no! Ludzie z was do rzeczy. Tylko tej... jak ją tam... polityki nie trzeba!

Lokatorzy pochodzili z okolic Niżniego Nowgorodu. Było ich siedmiu. Wszyscy — w tym samym mniej więcej czasie — ukończyli to samo gimnazjum.

Wieczorami chętnie śpiewali chórem: „Z kraju, kraju dalekiego, Wołgi brzegu szerokiego”. Ożywały wówczas w pamięci marzenia z czasów gimnazjalnych, przypominały się światełka boi na ciemnej wodzie, przytulne drewniane domki na spadzistym brzegu, a w domkach — ojcowie, matki, siostry. W takich chwilach każdy z siedmiu uważał pozostałych za braci i bliskich przyjaciół.

Nawiasem mówiąc, wieczory na poddaszu rzadko miały spokojnie. Znacznie częściej cały stryszek huczał od wzburzonych przemów. O wszystkim rozprawiano zapalczywie, wszystko brano do serca, w każdej drobnostce doszukiwano się utajonego sensu. Gdy jeden mówił, drugi niechybnie sprzeciwiał się; gdy dwóch miało różne zdania, natychmiast wszyscy krajanie rozpoczynali hałaśliwy spór. Często krzyczeli bezładnie, wszyscy razem, nie słuchając jeden drugiego. Pierwotna przyczyna sporu szybko traciła na znaczeniu i zapominano o niej, a dyskusja mogła ciągnąć się niezliczoną ilość godzin, przeskakiwać z jednego tematu na drugi jak kula bilaradowa — rzucona na schody — po stopniach.

Nie było ani jednego politycznego wydarzenia, ani jednej nowiny w Petersburgu, o której nie wiedziano by na poddaszu. Czy przyjechał do „Mariinki” nowy aktor, czy miał miejsce kolejny skandal w Dumie Państwowej lub czy stary profesor przeszedł na emeryturę, czy też w Sweaborgu wybuchły rozruchy wśród marynarzy, wszystko stawało się tematem rozmów studentów z Niżniego Nowgorodu, wszystko pochłaniało ich uwagę, wszystko mogło stać się przyczyną „wojny domowej”.

Na szczęście najbardziej zaciekle spory kończyły się tak samo nieoczekiwanie, jak wybuchały. Gdy nastawało milczenie, przeciwnicy zaczynali dobrodusznie kpić jeden z drugiego, a potem całą gromadą szli na kolację do

taniej garkuchni. Po powrocie siadali po trzech, czterech na łóżku i śpiewali: „Szybkie jak fale”.

Była wiosna 1907 roku.

W cichy wiosenny wieczór, gdy liliowy zmierzch otulał wszystko, a gdzieś tam świeciły się już uliczne latarnie, wbiegł po schodach na poddasze najmłodszy z jego mieszkańców — student drugiego roku wydziału przyrodniczego — Grisza Zbierowski. Biegł po schodach takimi susami, jak gdyby uciekał przed pogonią. Miał zaczerwienione policzki, a kosmyki jasnych włosów wysuwały mu się spod czapki.

— Panowie, kto nie wierzy w naukę?! — krzyknął wpadłszy na korytarz, w biegu zrzucając z nóg podarte kalosze. — Kto nie wierzy w naukę? Chemia obala socjologią. Chemia kładzie rolnictwo na obydwie łopatki. Chemia...

Nie darmo przyjaciele śmiali się często z Griszy. Teraz jednak nie miał się kto śmiać, gdyż w domu był tylko filolog Matwiejew, ciężki, powolny, najmniej rozmowny ze wszystkich. W rozpiętej kosoworotce i narzuconym na ramiona studenckim mundurze, wyjrzał z pokoju:

— Czego się drzesz? Złodzieje? Pożar?

— Daj spokój, proszę cię, Matwiej... Panowie, panowie! — krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Grisza. — Dokonano największego w dziejach wynalazku! Panowie!

— Ale panów — Matwiejew rozłożył ręce — nie ma w domu... Ot co!

Stojąc w na pół ciemnym korytarzu, patrzyli jeden na drugiego. Zbierowski, zadyszany od szybkiego biegu, milczał. Słyszeć było jego szybki oddech. Potem Matwiejew zapytał głębokim basem (gdy śpiewali, zdarzało się, że bas ten zagłuszał inne głosy):

— Co za wynalazek? Mówże, jeżeli to nie są bzdury!

Grisza westchnął i zaczął szybko: krząta słuchy, jakoby

nikomu nie znany inżynier, nazwiskiem, zdaje się, Lisicyn

-- znalazł sposób połączenia wody z dwutlenkiem węgla, to znaczy sposób otrzymywania taniego sztucznego pożywienia, tak nieprawdopodobnie taniego, że po prostu trudno sobie wyobrazić...

— A więc — rzekł Grisza uroczyście, omdlewając niemal w głębi duszy z niecierpliwości — chociaż jesteś filologiem...

— No, no! Przypuśćmy, że jestem filologiem.

— To jest w pełni wiarygodne i bardzo ważne dla ludzkości! Wiesz co? — Chciał się przyczesać, ale zapomniał, co miał zrobić, i zaczął wymachiwać grzebykiem.

— Wiesz?

W tym momencie rozległ się odgłos kroków, zaskrzyphiały drzwi i z klatki schodowej weszli Krestownikow, Osadczyj i dwóch nieznanomych studentów. Osadczyj wszedł ostatni. Umiał zawsze tak mówić, że wszyscy słuchali go z uwagą.

— A Duma Państwowa — ciągnął przekraczając próg — cóż to jest Duma? Kiepska imitacja przedstawicielstwa narodu. Fałszywa moneta. Nawiasem mówiąc — rzekł wpatrując się w ciemność korytarza — poznajcie się, proszę... Zbierowski, kto tam jest jeszcze z naszych?... Ach, to ty, Matwiej! — Filologa Iwana Matwiejewa nazywali wszyscy Matwiejem.

Teraz dopiero Zbierowski zauważył, że trzyma w ręku grzebyk, i zaczął się starannie przyczesywać.

— Wejdźcie, wejdźcie — zapraszał Osadczyj gości do swego pokoju. Przekręcił kontakt, pod sufitem zapłonęła słaba żarówka elektryczna. — Proszę bardzo, tutaj... Chodź, Zbierowski.

Goście i gospodarze usiedli na łóżkach. Oprócz dwóch łóżek, w pokoju stało jeszcze krzesło, którym od razu zawładnął Krestownikow. Usiadł okrakiem, twarzą do oparcia.

Osadczij rozpiął mundur i wyjął z wewnętrznej kieszeni zmiętą, podartą, złożoną we czworo gazetę.

— Udało mi się dostać tę gazetkę — rzekł. — Noś nazwę „Proletariusz”. Nie przeszła przez cenzurę, rozumiecie? Ten numer jest jeszcze z zeszłego roku i jest w nim właśnie artykuł o bojkocie Dumy Państwowej. Posłuchajcie, przeczytam wam. Doskonały artykuł! Takie skondensowane i jasne...



Pochylił się i zaczął ostrożnie rozkładać papier.

Nagle Grisza, rumieniając się silnie, zerwał się na równe nogi.

— Panowie! — krzyknął, zaczerpnął powietrza i przycisnął rękę do piersi. — Gazeta zaczeka. Dokonano wielkiego... w dziedzinie chemii... odkrycia... Wyobraźcie sobie tylko: zagadnienie sztucznego pożywienia!

Wszyscy spojrzeli na niego. Osadczij położył gazetę na stole, podszedł do drzwi, oparł się o framugę i spoglądał lekko przymrużonymi, wesołymi i ciemnymi, jak czarne jagody, oczami.

„No — myślał — zagalopował się rycerz nauk chemicznych. Tak, tak! Teraz już nie da się go zatrzymać. Znamy twoje problemy...”

A Zbierowski, z sinymi wypiekami na policzkach, wykrzykiwał dźwięcznym głosem to wszystko, o czym wiele osób rozmawiało dzisiaj na oddziale przyrodniczym wydziału fizyko-matematycznego. Szczegółów, niestety, nie słyszał, ale nie ulega wątpliwości, że to jest fakt, bezsporny fakt.

— Pomyślcie! — krzyczał, spiesząc się i denerwując. — Cukier i skrobia — z powietrza, z dymu. Oto potęga nauki! Jeden wynalazek i już tylko mały krok oddziela nas od złotego wieku. Nie pozbawiona znaczenia poprawka do teorii rewolucyjnych. Nauka usunie przyczyny wszelkich wojen i samych rewolucji; Oto macie przed sobą drogi rozumu ludzkiego!

Gdyby żył ojciec Griszy i gdyby widział i słyszał teraz swojego syna, uśmiechnąłby się z aprobatą. Stary nauczyciel matematyki patrzył zawsze na świat poprzez pryzmat swoich wzorów. Słyszac o nieszczęściach ludzkich, wzdychał z żalem: „E-ch-ech-ech! Słabi są jeszcze ludzie w matematyce, słabi!” Siedząc nad szklanką mocnej herbaty i patrząc na dym unoszący się z papierosa, lubił godzinami marzyć o latach przepięknej przyszłości, kiedy to siły żywiołów, choroby i życiowe powikłania — wszystko zostanie podporządkowane matematycznej

analizie i wyliczeniach. Wtedy człowiek nie będzie mógł popełniać omyłek i pokona wszystko. Ale czasy te wydawały się Iwanowi Iłarionowiczowi bardzo odległe.

Nawiasem mówiąc, starzec zmarł trzy lata temu, zapomniany przez krewnych i kolegów z gimnazjum, a śmiercią swoją zasmucił tylko Griszę. Synowi pozostawił w spadku jedynie bezinteresowne umiłowanie nauki i ze dwieście obgryzionych przez myszy książek.

— Oto niezwykła siła nauki! — wykrzykiwał Zbierowski-syn, nie dostrzegając utkwionych w niego ironicznych spojrzeń kolegów. Krople potu wystąpiły mu na czoło, a szeroko rozwarte oczy lśniły jasnym błękitem.

Jeden z gości uczynił w powietrzu ręką ruch powątpiewania.

— To... jakoś... — rzekł — niezbyt'prawdopodobne.

— Jak to, nieprawdopodobne? — oburzył się Grisza.

— Dobrze, dobrze — rzekł Osadczyj. — Już ósma godzina. Czas na nas, panowie.

Wszyscy podnieśli się i skierowali do wyjścia.

Zbierowski poczuł się dotknięty. „Tępaki czy co? — myślał. — Dlaczego tacy obojętni? Czyż oni nie rozumieją?”

— A ty nie idziesz? — spytał go Osadczyj.

— Przemawiać będzie znany socjaldemokrata Glebow — szepnął Krestownikow i mrugnął: — chodźmy, Zbierowski, Osadczyj nas zaprowadzi. Ciekawe, posłuchamy, co ci socjaldemokraci...

Zbierowski narzucił szynel, pośpiesznie wdział kalesy i pobiegł, by dogonić towarzyszy.

— Skrobia, mówisz? — zapytał Matwiejew, który, kiwając się jak kaczka, szedł po trotuarze.

— Skrobia — odpowiedział Grisza z całą gotowością.

- I cukier. Syntetyczny.

— Złoty wiek, mówisz?

— No tak, złoty wiek.

— Ho-o! — zahuczał basem Matwiejew. — Albowiem powiedziane jest w Piśmie: nie tylko skrobią człowiek żyje; do zupełnego błogostanu potrzebny mu jest również i ser, i mięso, i ryba.

— Zostaw, Matwiej! Daj spokój! — z nieoczekiwaną pogroźką w głosie rzekł, zaciągając po wołzańsku, Kre-stownikow, który szedł obok drobnymi kroczkami. — Lepiej z nim nie zaczynaj!

— Odejdź, młodzieńcze, od zła — a uczynisz dobrze.

— Zostaw, mówię ci! Przestań!

Przyszły sędzia, Seńka Krestownikow, doszukiwał się w każdym cerkiewnosłowiańskim wyrażeniu osobistej obrazy, gdyż jako syn diakona soboru katedralnego w Niżnim Nowgorodzie, nie wiadomo dla czego uważał, że pochodzenie ze stanu duchownego hańbi go i poniża.

Wśród studentów prawa z tego samego roku rozsiewał wiadomości, że ojciec jego był bogatym obszarnikiem lub wysokim dostojnikiem. Jego ziomkowie znali jednak tę jego słabość: można go było doprowadzić do ostatecznej pasji, mówiąc, że jest podobny do swego ojca.

Zresztą, wiedzieli również, że Seńka pisze do domu szczegółowe listy, że dostaje z domu wielkie paczki z żywnością i że regularnie raz w miesiącu chodzi na pocztę, by odbierać pieniądze.

— Przestań, Matwiej! — krzyknął zapalczywie Seńka, wyciągnął z kieszeni za sznurek binokle i wcisnął je na nos. Nie był wcale krótkowzroczny, lecz binokle — tak sądził — nadawały mu wygląd wytwornego inteligenta.

Matwiejew uśmiechnął się i zamilkł.

Studenci, których prowadził Osadczyj z dwoma nieznanymi, szli przez ciemne przechodnie podwórza, przecinali oświetlone ulice i znowu zagłębiali się w nieprzejrzone ciemności podwórzy. Zbierowski potknął się najpierw o jakieś kamienie, potem o jakieś deski, które zatrzeszczały pod nogami.

— Do diabła, dokąd on nas ciągnie!

— Tutaj — rzekł wreszcie Osadczyj. — Ostrożnie, schodki!

Przed nimi ukazało się kilka, ledwie widocznych w ciemności, postaci ludzkich.

Ktoś zawołał szeptem:

— To ty, Nikołaj? I kto jeszcze?

— To ja — odpowiedział Osadczyj półgłosem. — Swoi i dwóch nowych. Moi ziomkowie. Towarzysz Sorokin wie, a ja ręczę...

— Przejsć!

I postacie zniknęły w mroku.

W dużej suterenie znajdowało się wiele osób. Pachniało sosnowymi wiórami, a wzdłuż ścian stały warsztaty stolarskie. Na warsztatach, na ułożonych w sterty drewnianych belkach, na zydlach i dwóch, na pewno specjalnie na ten wieczór przyniesionych, długich ławkach ulokowało się z pięćdziesiąt osób. Widać było kurtki robotników i studenckie płaszcze mundurowe. Wielu paliło

— dym błękitnawymi smugami unosił się aż pod słabe żarówki i przeciągnięte pod samym sufitem rury wodociągowe. Wszyscy czekali. Zaraz miał przybyć Glebow.

— Słuchaj — rzekł półgłosem Zbierowski, usiadłszy obok Matwiejewa. — Wiesz, że nie masz racji. Mylisz się.

— W czym? — zapytał Matwiejew.

— Czyż można wątpić? Mówisz, że człowiek nie żyje samą skrobnią. Ale gdy będzie obfitość cukru i skrobi — to ile krów, ile świń ludzie wyhodują! Zastanów się, wyobraź sobie...

- Utopia — burknął znowu Matwiejew i rozpiął szynel, gdyż zrobiło mu się gorąco.

Osadczyj siedział naprzeciwko na przewróconej skrzynce i także rozpiął mundur. Powietrze było szare od dymu tytoniowego, ze wszystkich stron dolatywały urywki rozmów.

Grisza z rozmachem zdjął czapkę i położył ją sobie na kolanach.

— Ale dlaczego utopia? Dlaczego? Odpowiedz! To nie jest utopia, lecz zwykłe prawo naukowe. To jest wynalazek, wspaniały, światowy. Gdyby się rozszerzyło proces na skalę przemysłową... — Spojrzał na Osadcze­go, na Matwiejewa i zaczął pokazywać na palcach: — Zwróćcie uwagę — doświadczenia laboratoryjne są gotowe. Liczcie: powietrze — bezpłatne. Węgiel... a raczej dym, to jest dwutlenek węgla... Czyż jest znów taki drogi? A więc wyobraź sobie...

Mówił teraz wyjaśniającym, przymilnym tonem, jak codziennie, kiedy wtlaczał lekcje w głowy synów kupca Obrosimowa, których był korepetytorem. Gimnazjaliści byli skończonymi jełopami i Grisza męczył się, aż ob­lewały go „siódme poty”. Uczciwie pracował na właścicie­la domu za swoje miejsce na poddaszu, na restauratora

— za obiady i na szewca — za zelówki.

Osadczyj, słuchając Zbierowskiego, zachował się nie­lepiej niż „jełopy” Obrosimowa. Parsknął śmiechem w rękaw:

— Czy dym jest drogi! Dobryś sobie!

— Chcesz wykręcić się kpinami — rozzłościł się
Grisza

— bo nie masz przekonywających argumentów.

Zapomniał o Matwiejewie, o tym, że wokoło są dzie­siątki nieznanomych ludzi, i odwróciwszy się do Osadcze­go, krzyknął:

— Bo ty nie masz przekonywających argumentów!
A Osadczyj podniósł się i zawołał do kogoś:

— Tak, tutaj jestem! Zaraz!

W drzwiach stał Kożemiakin, jeden ze współlokato­rów poddasza, również pochodzący z Niżniego Nowgoro­du. ..Okazuje się — pomyślał Zbierowski — że i Mitka przyszedł tutaj. O, i Anatolij także!"

Z Anatolijem Grisza mieszkał w jednym pokoju.

— Im taniej, tym gorzej — rzekł nagle zagadkowo Osadczyj i jednocześnie, przesuwając się pomiędzy siedzącymi ze słowami: — Przepraszam panów! — poszedł na spotkanie Kożemiakina.

W trójkę zaczęli o czymś szeptać: Kożemiakin, Osadczyj i trzeci student, wysoki, z wijącą się jasną bródką, Zbierowski widział go po raz pierwszy. Potem ten trzeci, z bródką, odrzucił nieco głowę w tył i zagłuszając wszystkie rozmowy w suterenie, rzekł z naciskiem:

— Uwaga! — Przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych. — Towarzysz Glebow zawiadomił, że niestety nie może przybyć dziś na zebranie naszego kółka.

Nagle Zbierowski zauważył niezwykle połączenie słów: „Towarzysz Glebow”. „Więc to tak u nich przyjęte. Zwykle powiedziałoby się: »pan Glebow«”.

Wszyscy podnieśli się i zaczęli rozmawiać jeszcze głośniej.

— No, Grigorij, pójdziemy — zadecydował Matwiejów. — Albowiem musimy obejść się jeno smakiem.

- Nie rozchodźcie się wszyscy na raz — powtarzał student z bródką, zagrządzając drzwi rękami. Teraz widne było, że na jego mundurze ciemniały naramienniki Akademii Leśnictwa. — Nie rozchodźcie się wszyscy na raz! A po dwóch, trzech!

Nagle nie wiadomo skąd zjawił się Seńka Krestownikow. Powiedział przeciągle: — Szkoda — poprawił binokle na nosie i sprawdził, jak leży sznurek za uchem

— Myłoby interesujące posłuchać. Jak myślicie, co?

Zbierowski wracał do domu z Krestownikowem i Matwiejewem. Przypominając sobie z urazą, że Osadczyj parsknął po prostu śmiechem, Grisza westchnął i poskarżył się Seńce:

— Wiesz, Senia, te mądrale... Pewien filozof... nie pamiętam który, Hegel zdaje się... gdzieś tam napisał: „Gwiazdy są w istocie abstrakcyjnymi, świecącymi punktami”. Ale naturalnie astronomowie obalili jego

zdanie za pomocą faktów. A wiesz, co filozof odpowiedział? „Tym gorzej dla faktów!” Oni też są tacy... Ten — Grisza pokazał na plecy Matwiejewa idącego naprzód — i Osadcziej... Fakty, rozumiesz, fakty! A oni swoje — pęknać można. „Utopia” — mówią!

— Matwiej! — zawołał Krestownikow. — Uważasz, że to utopia?

— Ja? — rzekł Matwiejew. — Nic nie uważam. W ogóle głupstwo...

Grisza westchnął znowu i spojrzał w górę. Jak ciemne skały piętrzyły się ściany domów. Nad nimi łukiem — trzy jasne gwiazdy — ogon Wielkiej Niedźwiedzicy. Obok środkowej — maleńka gwiazdeczka. „To Alkor — przypomniał sobie Zbierowski. — Ojciec mówił, że kazało na nią patrzeć rzymskim żołnierzom celem sprawdzania ich wzroku. Jeżeli ktoś ją dostrzegł, znaczyło, że ma dobre oczy...”

— Matwiej! — zawołał znowu Seńka. — Powiedz, czy Osadcziej i Kożemiakin są tam jakimiś organizatorami, czy co?

— N-nie sędzę — odpowiedział Matwiejew z wahaniem. — Nie, po prostu mają tam znajomych. A bo co?

— A nic. Ja tylko tak, z ciekawości.

— Aha! — rzekł Matwiejew i szedł znowu w milczeniu.

Dziesięć minut później przez te same podwórza, przez te same ulice, wracał do domu Osadcziej. Było chłodno, więc wsunął ręce do kieszeni i także przyglądał się Wielkiej Niedźwiedzicy. Pomyślał, że jego starszy brat Nikita prawie całkiem ośleplł, a przedtem też lubił patrzeć na gwiazdy. Nikita rozpił się od czasu, jak go zwolniono z marynarki. Nędza u nich, dzieci głodne i bose. Trzeba choć ze dwadzieścia rubli zarobić i posłać. Skończyłyby się już wreszcie ta carska niewola... Zniszczyć wszystko do diabła... Glebow by się nie wsypał. A tu, błazny, w rodzaju Zbierowskiego, płaczą się pod nogami. Maniłowskie * problemy. Wbijasz mu do głowy, ciągniesz

go, a on nic nie rozumie. Jak on to mówił — aha! — „złoty wiek"! Chemiczna kuchnia!

Wszyscy już byli na poddaszu w komplecie, gdy przyszedł Osadczyj. Już na schodach rozlegał się bas Matwiejewa. Anatolij zawodził płaczącym tenorem:

Stał, ze złożonymi na piersiach rękami i na wpół przymkniętymi, rozmarzonymi oczami, a głos jego nabrzmiewał tęsknotą, bezbrzeżną, namiętą...

Usta Matwiejewa, Kożemiakina, Krestownikowa i Zbiemwskiego były otwarte — wszyscy śpiewali.

— Już „na przystrojonej"! — wykrzyknął Osadczyj, zrzucił płaszcz i stanąwszy w drzwiach pokoju, podchwycił razem ze wszystkimi:

„Siadaj, Nikołaj!" — zaprosił go gestem Kożemiakin, posuwając się na łóżku i robiąc miejsce obok siebie.

*Hej, na łodzi, na łodzi...
Na-a przy-stro-o-jo-nej...
Dziar-ski-ich wiośła-a-rzy...*

Pieśń płynęła szeroka i powolna jak Wołga pod Niżnim Nowgorodem:

Sie-dzi czter-dzie-estu dwó-óch...

Miło robiło się na sercu, choć trochę smutno. A cichym echem zabrzmiało jak przeciągły krzyk z drugiego brzegu:

Sie-dzi czter-dzie-estu dwó-óch...

Anatolij poczerwieniał biorąc najwyższe tony.

Osadczyj myślał teraz o statkach towarzystwa „Kaukaz i Merkury", na których brat jego pracował przedtem, jako maszynista.

** Maniłow — jedna z postaci powieści Gogola „Martwe dusze”.
Maniłowskie problemy — sprawy małostkowe i nieistotne.*

„Szczególnie pięknie jest na statku — myślał — gdy słońce wschodzi. Na pokładzie pusto: pasażerowie jeszcze śpią. Rozpraszająca się mgła jak dym unosi się nad wodą. Powietrze tchnie świeżością. Czerpaki przy kole statku uderzają o wodę: tuf, tuf, tuf, tuf...”

W tajemnicy przed dyrekcją gimnazjum Osadcziej pracował z bratem przez dwa sezony. Był smarownikiem w maszynowni. Nikita jakoś tak to urządzał, że brat mógł pracować w czasie letnich wakacji. Potrzebował pieniędzy, a bratu samemu nie wystarczało, gdyż miał rodzinę. Lecz źle się to dla niego skończyło. O mało nie wyrzucono go z szóstej klasy.

„Tak — wspominał Osadcziej — inspektor...”

I przypomniała mu się inna awantura z inspektorem, gimnazjalnym, również wtedy, w szóstej klasie, w październiku dziewięćset drugiego roku. Co to były za czasy! Cały Niżni Nowgorod huczał z oburzenia: władze policyjne postanowiły skazać na zesłanie Maksyma Gorkiego. Przyjezdni studenci powierzyli Osadczem rozkolportowanie proklamacji wzywających do protestu. Nosił je za pazuchą i rozlepiał na płotach. Potem brał udział w demonstracji. Wszystko poszło jak z płatka.

Ale gdy przed lekcją napisał na tablicy „Maksym Gorki”, przez drzwi wsunęła się kozia bródka inspektora: „Cóż to za figle? Po co to piszecie?” — „Ja tylko tak sobie”. — „Aa, tak sobie!”

Inspektor po raz drugi zażądał usunięcia go z gimnazjum. Jednak i to jakoś przeszło. Zaznaczyli w dzienniku, lecz nie wyrzucili.

„Do jaśniepaństwa cię ciągnie? Panem chcesz zostać?” krzyczał czasami Nikita, gdy przychodził pijany

do domu. Sam jednak oddawał cały zarobek, gdy Nikołaj musiał płacić za prawo do nauki, a pewnego razu sprzedał nawet krowę, zaledwie rok temu z trudem kupioną, ażeby sprawić Nikołajowi szkolny mundurek.

Dzie-elny zu-u-uch...

Kożemiakin położył Osadcemu rękę na ramieniu.

I za-my-ślił się

Pieśń płynęła jak Wołga na zakrętach dolnego biegu.

Za-a-fra-a-so-o-wał się...

Wszyscy śpiewali, a każdy zafrasował się i zamyślił u czymś, co go dręczyło.

Następnego dnia rano koledzy rozeszli się: każdy miał wykłady na uniwersytecie bądź też jakieś inne sprawy. A potem znowu nastąpił wieczór i znowu zaczęły się rozmowy.

Grisza Zbierowski wbiegł na korytarz jeszcze bardziej zadyszany niż poprzedniego dnia. W pierwszej chwili nie mógł wymówić ani słowa. W płaszczu i kaloszach wpadł do pokoju, do Matwiejewa i Krestownikowa. Przez chwilę tylko wymachiwał rękami i dyszał głośno.

— Lisicyń... — przemówił wreszcie. — Ja... poznałem go. Wyobraźcie sobie, panowie... byłem u niego! Własne laboratorium... I jakie interesujące! Pomyślcie, nazwał kolegą...

— Może ty jego?

— Ależ nie, on mnie... I obejrzałem wszystko, obejrzałem... Wziąłem i poszedłem do niego. Dowiedziałem się, gdzie mieszka, i poszedłem. Och, panowie, jakie to interesujące...

Gdy Grisza zdjął płaszcz i zaczął opowiadać po kolei, miał już czterech słuchaczy. Seńka i Matwiejew siedzie-

li obok, na drugim łóżku — Anatolij. Osadczyj, jak zwykle, stał oparty o framugę drzwi.

— A więc — Grisza zwilżył zaschnięte wargi — od teraz rozpocznie się nowa era. A wy mówicie — utopia!

— Powiódł wokoło druzgocącym, triumfalnym wzrokiem.

— Tak, tak, utopia! Wstyd wam będzie!

Matwiejew oparł się łokciem o poduszkę, ziewnął rozmyślnie i zapytał:

— A wiedzą już o tym autorytety waszego wydziału?

— Czy wiedzą? Też coś! Przecież ja — tu Zbierowski uderzył się pięścią w pierś — gdy tylko wyszedłem od Lisicyna, od razu biegiem do profesora Sapogowa. „Ach — rzekł — zazdroszczę wam, że widzieliście na własne oczy!”

— A Sapogow nie widział?

— Sapogow czeka, aż Lisicyn sam oznajmi całemu światu naukowemu. Mówi, że nie wypada wcześniej wnikać w szczegóły.

— Dlaczego nie wypada?

— Mówi, że to nie jest zwykły wynalazek. Tu pachnie wieloma milionami. A sprawy pieniężne są zawsze drażliwe. Żeby Lisicyn jeszcze czegoś nie pomyślał sobie.

— Aha, aha — powiedział nagle Osadczyj, nie wiadomo czym ucieszony. — Teraz jest jasne! Chodzi o pieniądze! — Głośno klasnął w dłonie, zatarł je i chytrze przymrużył oczy.

— Głupstwa! — krzyknął Zbierowski zrywając się z miejsca. — Tutaj nie o zyski chodzi!

Osadczyj skłonił się lekko:

— Właśnie że o zyski — i zacierając dłonie, mrużył oczy czarne jak jagody.

— Nie masz żadnych podstaw, żeby tak twierdzić! Żadnych! — krzyczał Grisza zapalczywie. — Lisicyn sam mi mówił...

— Cokolwiek by mówił! — przerwał mu stanowczo Osadczyj. — Chcesz wiedzieć? To posłuchaj, co ja o tym myślę. Czy jednostajna sztuczna żywność — przypuśćmy, że już istnieje — może zaspokoić wszystkie potrzeby ludzkie?

Zrobił krok naprzód i spojrzał pytająco na Zbierowskiego, a potem na Matwiejewa.

— Nie, nie może — odpowiedział sam sobie i potrząsnął przecząco głową. — Człowiekowi potrzebne są mieszkania i koleje, i odzież, i sprzęty domowe, i lekarstwa, i broń, i wreszcie — posłuchajcie! — żywność... mnóstwo produktów, których nie można zrobić w chemicznej kuchni. W czyich rękach — podniósł głos — w czyich rękach pozostaną te dobra? W tych samych chciwych rękach! Nie będzie nowej ery, jeżeli po dawnemu pozostaną uciemienieni i ciemiezcy!

— Nikołaj! — dolatywało niezbyt głośne wołanie z korytarza. — Nikołaj, chodź tutaj! Nikołaj!...

Za drzwiami pokoju stał Kożemiakin, nieco dalej, w ciemności — Zacharów pochodzący również z Niznie-go Nowgorodu, współlokator tego samego poddasza, a z nim ktoś nieznamy. Kożemiakin gestami wzywał do siebie Osadczego.

Osadczyj odwrócił się, powiedział: — Zaraz — i wyszedł na korytarz zamknawszy za sobą drzwi.

Wszyscy milczeli. Zza drzwi dolatywał szept Kożemiakina, słyhać było kaszel Zacharowa, który niedawno się przeziębził. Potem dał się słyszeć odgłos kroków i szurania, jak gdyby wlekli coś ciężkiego po podłodze. Dobiegł głos Osadczego: „Postawcie pod łóżko”.

— Co oni tam robią? — zapytał Krestownikow. — Pójść popatrzeć, co? — I wstał podciągawszy wąskie, prążkowane spodnie ze strzemiączkami. — Jakieś domorośle tajemnice madryckiego dworu. Nie, na to trzeba popatrzeć! Cóż to takiego...

Zarówno Anatolij jak i Matwiejew siedzieli nieruchomo i słuchali. Pośrodku stał zamyślony Zbierowski. Gdy

Krestownikow chciał przejść obok niego, Grisza zatrzymał go, chwycił za guzik od kurtki i, jak gdyby przebudzony, rzekł zachłystując się:

— A ja ci powiem, dlaczego on się myli... Tak!... Widzisz dlaczego: to jest, jeżeli nie zupełne, to przynajmniej częściowe rozwiązanie zagadnienia. Będzie przecież ludziom lżej. Dużo lżej. Rozpocznie się to lepsze jutro...

— Puść! — syczał Seńka i próbował uwolnić swój guzik z palców Zbierowskiego.

Matwiejew spojrział na Anatolija, wskazując na Griszę; Anatolij roześmiał się.

— To znaczy — krzyczał Grisza — że jednak nowa era?!

W korytarzu znowu kaszlał Zacharów. Otworzyły się drzwi. Osadczyj przeszedł przez próg i jak gdyby był cały czas w pokoju, rzekł:

— Wcale nie nowa. Nie lepiej i nie lżej.

Zbierowski wypuścił wreszcie guzik Seńki i, mrugając oczami, patrzył na Osadczego.

— Czym to możesz uzasadnić? Absurd!

— Mogą — rzekł Osadczyj. Podszedł do łóżka: skrzyknęło, gdy usiadł na nim. — Jeżeli wyzyskiwacze pozostaną, to dlaczego mieliby tracić zyski? Kapitałiści przyjmą z zadowoleniem owoce takiego wynalazku. I to jeszcze z jakim zadowoleniem. Po prostu eldorado! Rozumiesz, Zbierowski? Wyrosną nowe fabryki, towarzystwa akcyjne. Dochody będą niesłychane. A chłopci — wyciągnął rękę przed siebie i zmarszczył czoło — zamiast pożywnego żytniego chleba będą żuć — zmarszczył czoło jeszcze bardziej — syntetyczne węglowodany o wątpliwym smaku, hodując na swoich polach wszystko, co będzie potrzebne przemysłowcom i bogaczom. Również i robotnicy za niewielką porcję sztucznej żywności...

Matwiejew kiwnął głową na znak, że się z nim zgadza.

— Tak — rzekł. — Dobrze, synku.

W „wirze polemiki” Griszy nie opuszczała myśl: „Jak określić takie stanowisko: zacofanie, ciemnota? Wszystko, co dobre, obraca się na szkodę ludzkości, doszukuje się hańbę!” Grisza już otworzył usta, ażeby zasypać Osadczego lawiną takich dowodów, takich argumentów, które zawstydzą go z kretesem. Przeszkodził mu w tym jednak Krestownikow.

Seńka założył ręce na plecach, zatrzymał się przed Osadczym i rzekł z krzywym uśmiechem:

— Ty byś, Nikołaj, o czym innym...

— Co masz na myśli?

— Uprzedzam, że w zasadzie nie jestem przeciwnikiem. Ale powinieneś się wypowiedzieć... jakby nie było, trzeba liczyć się z towarzyszami. Co to za rzeczy przynieśli do ciebie?

— A no przynieśli na przechowanie. — Osadczij podniósł głowę i spojrzał groźnie. — A właściwie, co tobie do tego?

— Przecież zasadniczo... już powiedziałem... nie sprzeciwiam się. — Seńka skrzywił usta, binokle ześliznęły mu się z nosa i, zwisając na sznurku, opadły na pierś: mówił jakając się, jak to miało miejsce zawsze, gdy się denerwował. — Już niepierwszy raz przechowujesz rzeczy nielegalne. Dlaczego nie pytasz się nas o zgodę?! — krzyknął nagle. — Czy ja się zgadzam, on — wskazał Krestownikow na Zbierowskiego — i on? — spojrzał w stronę Anatolija.

— Mnie — rzekł Anatolij podnosząc się i rumieniąc — proszę nie mieszać do tego. Mów o sobie!

— Ależ nie — zaczął teraz szeptem Krestownikow — ja tylko tak dla zasady. Trzeba się trochę liczyć, jeżeli mieszkamy razem. Ja przecież nie jestem przeciwny. On także. — Seńka znowu skinął w kierunku Griszy. — Ale to przecież niepierwszy raz... Dlaczego nie zapytać, dlaczego nie zrobić tego za zgodą wszystkich? Jak myślicie, panowie, co? Ja tak dla zasady, ze względu na porządek...

Krestownikow, Osadczyj, Zbierowski i Anatolij stali półkołem dookoła stołu, Matwiejew nadal siedział. Obrzucił Krestownikowa wzrokiem pełnym potępienia.

— Taak, człowiek... — rzekł przeciągle niskim, tubalnym głosem.

Osadczyj odwrócił się powoli i wyszedł z pokoju.

— Nikołaj — rzucił się za nim Zbierowski — nie zwracaj uwagi, pluń na to, czego od takiego wymagać...

Słyszać było tylko kroki Nikołaja, które wkrótce uciły.

Zbierowski zatrzymał się w drzwiach, spoglądając w głąb ciemnego korytarza.

Seńka namacał wreszcie na piersi binokle, które mu spadły, a szczęki jego poruszały się, jak gdyby coś przeżuwał.

Wiadomość, że jakiś uczony zaczął robić cukier z węgla, dwiema drogami dotarła do domu z rzeźbionym gzymsem wznoszącego się na Francuskim Bulwarze. Usłyszawszy o wynalazku Lisicyna, student Zbierowski po-biegł kuchennymi schodami na poddasze. A również zainteresowany nowiną pan w cylindrze, przed którym brodaty portier szeroko otworzył drzwi, wszedł przez frontową bramę i marmurowe, pokryte dywanem schody do mieszkania na pierwszym piętrze.

Na drzwiach mieszkania wisiała błyszcząca miedziana tabliczka z wyrytym napisem: „Czikin S. S.”

Trzy dni minęły od czasu, gdy dotarła tam wieść o sztucznym cukrze.

Zwariowany uczony! — z kokieteryjnym przestrawem wzruszyła ramionami madame Czikina, gdy rozmowa przeszła na modne, w Petersburgu plotki. — To straszne! Jeżeli cukier będzie taki, jak sadze, a kto to może wiedzieć?... Wtedy wyobraźcie sobie: w cukierniach czarne torty! Nie, ja tego nie przeżyję!

Westchnęła nieszczere i z uśmiechem postawiła na stole złoconą filiżankę do kawy. Palce jej, podobnie jak filiżanka, błyszczały od złota: na wskazującym, środ-

kowym, serdecznym i małym palcu nosiła po kilka pierścionków. Jubiler poradził jej niedawno: „Proszę nosić chryzoprasy, bo one przynoszą szczęście”. Trzeba było kupić pierścionki z całymi gałązkami z chryzoprasów ażurowej złotej oprawie. Madame nie była wprawdzie zabobonna, ale... „Jeżeli zdjąć stare pierścionki, to wydawało się jej — można sobie napytać jakiejś biedy. A znów nowe, z zielonymi kamyczkami, jeżeli tkwi w nich taka siła., Lepiej więc nosić i jedno, i drugie”.

W salonie Czikinów goście pili po obiedzie kawę. Obok kanapy stał owalny stolik, nakryty wzorzystym pluszowym obrusem, a na nim waza z owocami, butelki z likierami i serwis do kawy.

Spod pomarańczowego abażuru padało łagodne światło lampy elektrycznej. Madame siedziała na kanapie, obok męża. Goście usadowili się na fotelach przysuniętych do stolika. Było ich dwóch: obydwaj dalecy, lecz szanowani krewni. Taka rodzina pochlebiałaby każdemu: kupiec pierwszej gildii Titow słusznie uchodził za jednego z najbogatszych ludzi Petersburga, a ojciec Wikentij, przezorny i mądry kapłan, cieszył się zasłużonym szacunkiem nawet w Pawłowsku, na dworze wielkiego księcia Konstantego Konstantynowicza.

Gdy Titow odwrócił się do gospodyni, zaskrzypiały pod nim sprężyny fotela: był gruby i wysoki. Błysnąwszy spod siwych brwi czarnymi, przenikliwymi oczkami, Fiodor Jewgrafowicz roześmiał się:

— Doskonale to pani powiedziała... he-he... Niureczka! Doskonale! Cukiernik podobny do kominiarza... co za ohyda!

Oczka przymrużyły się chytrze i zupełnie skryły pod powiekami. Po sekundzie znowu wyjrzały, tym razem zwrócone już z ostrym wyrazem ciekawości w stronę pana Czikina:

— Dowiedziałeś się czegoś?

Siergiej Siergiejewicz Czikin był właścicielem wielu cukrowni na południu Rosji; od ceny cukru zależał je-

go dobrobyt. Orientował się więc zawsze we wszystkich sprawach związanych z cukrem. Toteż Titow pomyślał, że siostrzeniec również powinien bezwzględnie znać przyczyny dzisiejszych pogłosek. A może to głupstwo: ktoś gra na giełdzie na zniżkę, a prostytutki wierzą. Wszystko jest możliwe! Jednak nie można powiedzieć, żeby to nie było interesujące.

--- No, Sierioża? Tu sami swoi.

Czikin szarpnął wypielegnowane, puszyste wąsy:

--- Przed panem, Fiodor- Jewgrafowicz, nie mam żadnych tajemnic.

Odstawił na bok butelkę, oparł się łokciami o stół i obejrzawszy się na drzwi — pokojówka zdaje się wyła — zaczął półgłosem:

- Jeszcze więcej powiem: potrzebna mi pańska rada, jeżeli mi jej pan nie odmówi. To wyjątkowy wypadek, Fiodor Jewgrafowicz!

- No, no — wlepił w niego wzrok Titow — to znaczy, że nie kłamia?

- Niestety, nie kłamia, Fiodor Jewgrafowicz. Poznałem wynalazcę osobiście... Może cygaro?

Titow odmówił niecierpliwym ruchem głowy i zapytał:

- Pewnie — przytknął palcami — zgłosił się do ciebie, aby pogadać o pieniądzach?

--- Niech pan wyobrazi sobie, że nie, Fiodor Jewgrafowicz.

Czikin oparł się o wałek kanapy i wypuścił z ust kilka jednakowych kółek dymu, które popłynęły w górę. Wali d się: „Wszystko powiedzieć czy nie?”

- Sam pojechałem do niego, do domu. Widzi pan, dobrze jest zorientować się osobiście.

- No, no mów!

„Och, jaki ten Sieriożka chytry!” — pomyślał Fiodor Jewgrafowicz.

Ko-o-tku! — przerywając im, zaśpiewała Anna Nikodimowna. Jej cienka, ozdobiona złotem i chryzopra-

sami ręka spoczęła jak kamień na ramieniu męża. — a dlaczego ja nic o tym nie wiem?

W salonie zapanowała cisza. Anna Nikodimowna pytała dalej głosem słodziutkim, pieśczośliwym, w którym dźwięczała utajona pogróżka:

— Zapomniałeś mi o tym opowiedzieć? Prawda? Nie-zdażyłeś?

— He, he... — zaśmiał się nagle Titow i wyciągnął przez stół pustą filiżankę: — Proszę pokornie trochę kawusi, Niureczka.

Jego ciemnoczerwona twarz rozplynęła się w chytym, domyślnym uśmiechu. Po prostu, jak gdyby chciał powiedzieć: „Przejrzałem cię, gołąbeczko, na wylot”.

Anna Nikodimowna krzyknęła:

— Ach, jakaż ja jestem! — i chwyciwszy dzbanuszek do kawy, pośpiesznie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Jeden tylko ojciec Wikentij nie brał udziału w rozmowie. Daleki od spraw ziemskich, tylko słuchał, patrzył i w spokoju ducha popijał likier, starając się, ażeby brzeg kryształowego kieliszka nie dotykał jego wspaniałej, rozdzielonej na dwie części brody. Gdy poruszał się, szeleściła jego fioletowa jedwabna sutanna.

Fiodor Jewgrafowicz ciężko, całym ciałem odwrócił się do siostrzeńca i spytał ostro:

— A więc sam pojechałeś?

— Sam, Fiodor Jewgrafowicz.

— No i co?

— Wszedł do mnie, wyobraźcie sobie, trzydziestoletni mężczyzna, wielki, z rudą brodą. „Jestem — powiedział — inżynier Lisicyń do usług. Wszystko, co o mnie mówią, jest prawdą”. Potem przyniósł z drugiego pokoju dwa złotniki swojego cukru w szklanej rurce.

— Czarnego? — jęknęła Anna Nikodimowna upuściwszy łyżkę na obrus.

— Nie, moja droga, niestety, białego, zwyczajnego.

Krzesło zaskrzypiało pod ciężarem Titowa.

Przebacz mi, Panie — zamruczał — albowiem nie wiedział, gdzie słodycz. Sierioża, a ile cukru znaleziono w węglu?... Ile procent?

Procent? — wyszczerzył zęby w uśmiechu Siergiej Niergiejewicz. — Wcale nie znaleziono! Lisicyń, wyobraźcie sobie, połączył razem trzy rzeczy: węgiel, wodę i powietrze. I po prostu z niczego otrzymał cukier. Co zechce, to robi. Chce — ma cukier, a chce, wyobraźcie sobie, to z tego samego surowca — ma krochmal...

Zadźwięzwały sprężyny fotela: Fiodor Jewgrafowicz uderzył się rękami po biodrach:

— Matko Najświętsza! A tanio?

Czikin spojrział na niego spode łba, nalał kieliszek likieru, wypił, poruszył ustami i wtedy dopiero odpowiedział z westchnieniem:

— Lisicyń grozi: „Dzisiaj — mówił — udały się złotniki, jutro będą pudy, pojutrze setki tysięcy pudów. Powietrze i woda nic nie kosztują. Węgiel to głupstwo". Ale na razie — dorzucił Czikin ze zjadliwym uśmiechem na razie to je mój cukier! Ta-a-ak! Własnego cukru nie wyprodukował nawet pół funta w ciągu sześciu lat!

Nie miał już ochoty dłużej rozmawiać na ten temat. „Cóż on mi może poradzić? Sprzedawać cukrownie za pół ceny? Wyrazi mi współczucie, powtórzy potem jeszcze komuś. Czy to warto?”

A Titow wyraźnie wpadł w doskonały humor.

„To byłby — myślał — szach królowi, jeżeli Sieriożka nic przegapi. Ale on nie przegapi, to chytrus! Nie będzie więc grzechem, nie, na pewno nie będzie grzechem wejść z nim w spółkę. To będzie prawdziwy mat królowi. Dziewico Przeczysta!... A więc do dzieła!”

Zatarł wojowniczo dłonie, jak gdyby rzeczywiście znajdowała się przed nim szachownica. Fiodor Jewgrafowicz był wielkim amatorem gry w szachy. Nawiasem mówiąc, potrafił na pięć ruchów naprzód przewidzieć posunięcia przeciwnika, a grywał tylko z silnymi partnera-

mi. W zeszły piątek na przykład rozegrał z baronem Witbergiem partię remisową. A ten jest tak dobrym graczem, że nie można go nawet porównać z synem starego Ozerickiego

— hurtownia „Ozericki i Syn”.

„No więc?” — pomyślał Fiodor Jewgrafowicz i zacie-
rajac dłonie rzekł radosnym głosem:

— Poszczyściło się nam! Ale poszczyściło!

Siergiej Siergiejewicz zachnął się i twarz mu pociemniała. „Poszczyściło się” i aż mu się szyja wyciągnęła, a na czole wystąpiły żyły. — Mnie grozi bankructwo, a ty się naśmiewasz. — Przypomniawszy sobie, jak zbankrutował handlarz futer Wietrodujew, wyobraził sobie, że jest na jego miejscu, ogarnęła go trwoga i zrobiło mu się żal samego siebie.

— To grabież — krzyknął zachłystując się powietrzem

— to rozbój na prostej drodze! Licho wie...

Titow cofnął się powoli. „Aha — olśniła go myśl — pewnie nie zgodzili się co do ceny. Dlatego taki zły”.

— Co za wyrażenia! Co za wyrażenia! — rzekł z naganą w głosie.

— Sierioża! — zaśpiewała Anna Nikodimowna.

Nie rozumiała, dlaczego mąż tak bardzo się zaperzył. Niech sobie ten uczonej robi cukier z węgla, mało to mają swojego pięknego cukru z buraków? I mimo wszystko ona jest córką radcy, a on pochodzi za ledwie z rodziny kupieckiej. Powinien się z tym liczyć. A w dodatku

— goście. Taki ojciec Wikentij...

— Fe, jak ty się zachowujesz — rzekła Anna Nikodimowna.

Utkwiła w mężu hipnotyzujący wzrok i patrzyła na niego tak długo, aż się skulił, pochylił niemal do samego stołu, przyłożył rękę do nakrochmalowego gorsu i rzekł:

Wybaczcie mi łaskawie... Zrozumcie mnie, wejdźcie w moje położenie! Wiecie przecież — utkwiał wzrok we

wzorze obrusa — ile będzie wart mój majątek, jeżeli węgiel zastąpi buraki? W ciągu roku lub dwóch nastąpi bankructwo...

Ojciec Wikentij odstawił na bok kieliszek i słuchał teraz bardzo uważnie, Titow zastukał w stół.

Kręcisz, Siergiej! — rozgniewał się wreszcie. — Nie udawaj głupiego! Robisz z siebie naiwnego... Mów do rzeczy!

— Zmiłujcie się, nawet mi przez myśl nie przeszło, Fiodor Jewgrafowicz!

- Powiedz po prostu, ile on chce, ten wynalazca? No? Ale bez kręcenia — obcych nie ma. A może ktoś cię wyprzedził? Dlaczego milczysz? Już cię wyprzedzili?

Titow pomyślał o tym i rzeczywiście przestraszył się: A może naprawdę ubiegli Sieriożkę!"

- Wyprzedzić, to dajmy na to, nie wyprzedzili... Anna Nikodimowna przycichła i ukradkiem dotykała chryzoprasów w swoich pierścionkach, jak gdyby przeczuwając coś niedobrego.

- Cóż z tego, jeżeli nawet mnie nie ubiegli?! — krzyknął Czikin piskliwym głosem. Podniósł się z kanapy i po-trząsał rękami, jak gdyby odpychając coś od siebie.

Przecież on jest obłąkany! Wariat!

„Masz, babo, placek! Patrz no!” — myślał Fiodor Jewgrafowicz. Jedna jego brew, siwa z rudawym odcieniem, uniosła się do góry, druga obwisła, zakrywając niemal oko.

- Wariat! — zaskrzeczał Czikin. — Pomyłony!

Fiksat!

„Albo jedno, albo drugie — zastanawiał się w myślach Titow. — Albo nie można dogadać się z wynalazcą co do ceny, gdyż chce sprzedać tajemnicę tylko za ciężkie miliony, albo — jeżeli ma na to środki — chce sam ująć sprawę we własne ręce. Oj, nie takie partie już się grywało. Chłop strzela — Pan Bóg kule nosi. Panno Przechysta!”

— Słuchaj — Titow wyciągnął rękę. — Nie krzycz bez potrzeby, Siergiej. — Wskazał na kanapę: — Siadaj i odpowiadaj: czy mówiłeś z wynalazcą o spółce z udziałami? No, odpowiedz!

Siostrzeniec usiadł posłusznie. Zamrugął oczami i szarpnął wpijające mu się w szyję rogi sztywnego kołnierzyka.

— Fiodor Jewgrafowicz — rzekł — przecież mówię, że to wariat. Ma zamiar ogłosić wszystko. Spójrzcie: roz-trąbił już na cały Petersburg.

— Jak to, ogłosić?

— A tak. — Na świeżo wygolonych niebieskawych policzkach Siergieja Siergiejewicza poruszyły się żuchwy. — Wyobraźcie sobie, że Lisicyń nie chce nawet słyszeć o pieniądzach i nie ma zamiaru opatentować wynalazku.

— Jak to? Nie ma zamiaru! — Titow aż chwycił za poręcze fotela, rozstawiając i unosząc wysoko łokcie. — Czy bez patentu, bracie — Fiodor Jewgrafowicz podejrzliwie przymrużył oczy — da się coś takiego zrobić? Przecież bez patentu może to wykorzystać każdy, kto tylko zechce. To jest niemożliwe — słyszysz, Siergiej! To być nie może! Głupstwa, puste słowa!

Czikin patrzył na swego wujka, wielkiego, grubego, podobnego do czerwonej bryły, ubranej w dostatni surdut. Siergieja Siergiejewicza ogarnął niepokój — trwoga falami uderzyła o serce, mieszając się z uczuciem nagłej wrogości. „Puste słowa, głupstwa... Sam ma manufakturę, brylanty, cenne papiery bankowe... Pewnie, że dla ciebie to są puste słowa. Ale to się jeszcze może zmienić!”

— Przecie to bzdura! — warknął Siergiej Siergiejewicz. — Narobią setki tysięcy pudów, po kopiejce za pud — i wszystko rozleci się w proch! Pomyślcie, ani Kobie, ani komu!

W salonie nastąpiła cisza — wszyscy milczeli. Szeleściła tylko sutanna ojca Wikentija.

— Jak to — zapytał wówczas Fiodor Jewgrafowicz
— ten Lisicyń nie rozumie, co jest dla niego ko-
rzystne?

— Pomyłony — odrzekł Czikin ze spuszczoną głową.

— Nic innego tylko socjalista.

— I upiera się przy swoim?

— Tak.

Siergiej Siergiejewicz podniósł wzrok i, napotkawszy niebieskie, przenikliwe oczy wuja, uśmiechnął się ponuro:

— Mówi on, wyobraźcie sobie, że jego wynalazek należy nie do niego, ale do całej ludzkości! Dobroczyńca — socjalista jest gorszy od rozbójnika. „Podaruję — mówi — potrzebującym”.

— Potrzebującym?

— Właśnie tak.

Titow wydał z siebie odgłos przypominający chrząknięcie. Twarz jego stała się zupełnie purpurowa. Wybuchnął głośnym śmiechem, który, cichnąc, przeszedł w bezgłośne podrygiwania.

— E-he-he-he! Niby to ma być na serio? U-hu-hu-hu... „Bujdy na resorach... Phy! „Do całej ludzkości”!

„Stary głupcze — myślał Titow — stary głupcze! O mało nie oszukał cię Sieriożka. Ale nie, bracie, mnie nie oszukasz. Ja twoje kombinacje znam na wylot! To ci dopiero rozpada! A Sieriożka rozegrał partię jak artysta. Zrobił z siebie biedną ofiarę. Ale sprytny! Misternie! To wszystko — żebym tylko nie uszczknął jego pieroga. Pomylił się, młody jeszcze! Ja u ciebie — o pięć ruchów!”

— U-hu-hu-hu... „Ludzkości”!

Gniewnie patrząc na chichoczącego Titowa — „a więc to cię śmiesz!” — Czikin uderzył w kanapę zaciśniętymi pięściami, podniósł się i rzekł:

— Nie ma się czego śmiać. To jeszcze nie wszystko. Tak, nie wszystko!

— Och, ale nagadał... u-hu-hu! A to mnie rozśmieszył, a ja, głupi, już nos na kwintę... „Potrzebującym”!

Czikin zasyczał złowieszczym szeptem:

— Dobrze się wam będzie śmiać, jak wszyscy zejdziemy na psy. Z powietrza — skrobia. Ze skrobi — mąka. A nie ma zamiaru opatentować. Znajdą się chętni pomocnicy. Połkną, wyobraźcie sobie, haczyk i rzuca — krzyknął grożąc komuś palcem — rzuca na rynek za darmo cukier!... Pomyślcie tylko, cukier, mąkę i chleb. Handel i ceny rynkowe — zakręcił wyciągniętym palcem, opuścił go i stuknął nim w stół — diabli wezmą! A my wszyscy — z torbami! Ruina! Zguba!

Policzki Anny Nikodimowny pokryły się plamami, a usta stały się białe jak obwódki filiżanek do kawy nad pozłótką.

— Sierioża! — jęknęła. — Boże mój, a od czego policja?

— Wszystko diabli wezmą! — krzyczał jej mąż. — Węgla im wystarczy! Cała Rosja pójdzie z dymem!

„Widzisz, jakie bzdury... — pomyślał Fiodor Jewgrafowicz i przestał się śmiać. — Ale im więcej kręcisz, tym mniej sensu jest w twoich kłamstwach. Widocznie jednak masz w tym jakiś interes. E-e, bratku, nie pomoże ci, choćbyś nie wiem jak kręcił! I to interes widocznie nie mały”.

Anna Nikodimowna obejrzała się i błagalnym ruchem wyciągnęła ręce do ojca Wikentija:

— Ojczulku, ojciec protojereju! *

Ojciec Wikentij nie miał już beztroskiego wyglądu, żrenice pociemniały mu i rozszerzyły się, a nos wydawał się jeszcze bardziej płaski niż zwykle. Jedną ręką ujął łańcuszek, na którym zawieszony był na piersi masywny, srebrny krzyż, drugą pogładził wspaniałą żółtawą brodę i rzekł uroczyście i pouczająco:

— Bóg rozkazał człowiekowi żyć w pokorze. Bóg dał człowiekowi ziemię, ażeby uprawiał ją i żywił się jej płodami w pocie czoła. I zaprawdę przez diabła nau-

czony i pychą owładnięty jest ten, kto zamiast płodów ziemi ośmiela się spożywać strawę pochodzącą z węgla podziemnego. Jest to bluźniercze i sprzeczne z prawem bożym. Po prostu herezja.

Siergiej Siergiejewicz westchnął głośno i usiadł.

— Święte słowa — wyszeptał — i zaprawdę mądre! Jakżeż tak, przecież pod same korzenie — pomyślcie — pod same fundamenty się podkopuje!

Ale protojereja trudno już było powstrzymać. Czuł się teraz kaznodzieją przed trzodą wiernych i grzmiał tubalnym głosem:

— Wodzi na pokuszenie i sprowadza wiernych z drogi hożej. Ale Bóg skarzę heretyka! Jak wściekłego psa ode-gna go od dzieciak swoich!

— Tak! Zaprawdę! — potakiwał Czikin. — Ode-gna... Trzeba zawiadomić władze!

Anna Nikodimowna splotła dłonie pod brodą i podniosła wzrok na sufit.

Titow milczał. Odchylony w tył, bezkształtny i ciężki, niemal bez szyi, z policzkami jakby przechodzącymi od razu w ramiona — spoglądał niespokojnymi oczkami to na siostrzeńca, to na ojca Wikentija, to na Annę Nikodimownę:

„Widzisz, jakie fortele. Ale zakręcili! Czyżby byli w zмовie? Albo, Panie Boże, wybacz, może wszyscy bzika dostali?”

• *Protojerej — wyższy duchowny w kościele prawosławnym.*

ROZDZIAŁ V

G O S C I E

Z dnia na dzień wydawało się, że wystarczy popracować jeszcze jakiś miesiąc, a węglowodany popłyną z przyrządów całymi pudami. Ale miesiąc mijał szybko. Lisicyń znowu zapisywał do dziennika ilości otrzymanego cukru i z nieczłowiecznym wprost uporem rozpoczął nową serię doświadczeń.

Tymczasem Jegor Jegorycz opowiadał o wybuchających w Petersburgu „nieporządkach”. Z gazet wynikało, że po całej Rosji przewalały się strajki i bunty chłopskie. W jesieni car wydał manifest, w zimie wybrano Dumę, a w lecie ją rozwiązano. Obecnie wszystko to już niepokoiło Lisicyń, który dawniej, wśród swoich czterech ścian, nie dostrzegał prawie żadnych wydarzeń. Teraz, gdy słyszał o stłumieniu jakiegoś strajku, krzywił się, jak gdyby odczuwał fizyczny ból: od razu stawał mu w pamięci rok 1905, styczniowa niedziela, salwy do bezbronnego tłumu. „Potworne! — myślał. — Prosimy tylko o prawdę. Śpiewali »Boże, cara chrań!«*. Czyżby nie było sprawiedliwości na świecie?”

„Czyżby naprawdę nie było sprawiedliwości na świecie?” — powtarzał sobie i znowu wspominał słowa, którymi w ten daleki niedzielny poranek ludzie zwrócili się do cara. Przeczytał je jeszcze tego samego wieczora w petycji, ręcznie napisanej na kartce, którą zdobył gdzieś Jegor Jegorycz. Sama kartka zapodziała się gdzieś, lecz w pamięci zachował się sens przeczytanej petycji.

* „Boże, cara chrań!” — hymn carskiej Rosji.

„My, robotnicy miasta Petersburga — głosiła petycja — nasze żony, dzieci i niedołężni starzy rodzice, przyszedliśmy do Ciebie, Najjaśniejszy Panie, szukać prawdy i obrony. Staliśmy się nędzarami, uciskają nas, nakładają brzemie pracy ponad siły... znosiliśmy, ale stopniowo wpychają nas coraz głębiej w odmęty nędzy, bezprawia i ciemnoty... Nadszedł kres naszego cierpienia. Przyszła dla nas ta straszna chwila, kiedy lepsza jest śmierć od dalszych mąk nie do zniesienia...”

A jaka była odpowiedź cara? Car kazał strzelać! „Potworne!”

Tłumy ciągnęły ulicami na barykady; jednych pchała naprzód wiara w „lepsze jutro”, innych gniew, jeszcze innych rozpacz. Fabryki stawały. W porywie najgłębszego oburzenia podpalano dwory. Minęły dwa lata walki, lecz car zwyciężył: rewolucja została stłumiona.

„Tak oto — rozmyślał smutno Lisicyń — nie dały wyniku najczystsze, najszlachetniejsze porywy takich ludzi, jak Paweł Glebow. Gdzież on może być teraz, właściwie? Nad Rosją zawisły jeszcze ciemniejsze chmury... Udziałem ludu — jak i dawniej — są nędza i głód”.

Lisicyńa przejmowała grozą myśl o pozbawionym radości życiu robotników, górników' i biedoty chłopskiej. Zapytywał w myślach: „Czy jest jakieś wyjście z tej całej tragedii?” Lecz zaraz poprawiał się: „Czy jest inne wyjście oprócz tego jednego?”

Wówczas oczy rozbłyskiwały mu podnieceniem, a policzki bladły; wierzył, że bliski jest już dzień, gdy z powodzeniem wykona w swoich przyrządach syntezę. Wówczas wody i dwutlenku węgla nigdy nie będzie za dużo. Ile tylko wprowadzi się do przyrządu, tyle otrzyma się gotowych węglowodanów. Wydawało się, że najlepszym wyjściem ze ślepej uliczki jest uczynić każdego nędzarza, jeżeli już nie bogatym, to przynajmniej sytym. Jedynym rozwiązaniem tragicznego problemu jest dać wszystkim tanie pożywienie, trzeba nauczyć ludzi wytwarzać syntetyczną żywność z dwutlenku węgla i wody. I wydawało

się Lisicynowi, że-olbrzymie zapasy sztucznego cukru i skrobi — z której można będzie piec Chleb — uchronią ludzkość od wielu poniżeń i cierpień.

Czasami miał wrażenie, jak gdyby ciężar wielkiej odpowiedzialności spoczął na jego barkach, jak gdyby przyszły los narodów świata zależał od doświadczeń w jego laboratorium.

„Ludziom potrzebny jest chleb! Węglowodany! Chleb!”

Pracował teraz jeszcze więcej niż przedtem. Budził się w nocy i przeglądał stare, zapisane cyframi zeszyty. Wodził po tych cyfrach ołówkiem, poruszał ustami, przeliczał. „dwutlenek węgla — powtarzał — nic nie kosztuje. Woda — także za darmo. Do syntezy potrzebna jest jeszcze energia. Czy dużo jej potrzeba? Oto, ile: ażeby wyprodukować pud cukru, trzeba zużyć tyle ciepła, ile otrzymuje się na przykład ze spalenia pół puda węgla. Tyle potrzeba w idealnym wypadku, jeżeli proces przeprowadza się w doskonałych przyrządach, bez strat. Ale — mówił do siebie Lisicyn — w rzeczywistości straty będą duże. Lecz za to można je będzie łatwo pokryć. Można wykorzystać bezpłatną energię promieni słonecznych. Zastosować kombinację światła słonecznego i elektryczności. I jakżeż tania będzie mimo wszystko ta żywność!”

Pewnego razu, kupując w aptece odczynniki, usłyszał rozmowę dwóch nieznanym. Wysoki, okutany w futro człowiek, w zaszłych mgłą okularach, pytał sąsiada:

— Ile lat miał zmarły?

— Zmarły? — odpowiedział sąsiad. — Mówią, że siedemdziesiąt dwa... Tłumy szły na wołkowski cmentarz. Podobno założyli żałobną krepę wzdłuż ulic na latarniach. Był straszny mróz! A studenci złożyli mu na grobie jego „Układ periodyczny”.

— Ta-ak — rzekł wówczas wysoki w okularach. — Sic transit gloria mundi! *

Lisicyń drgnął.

— Kto umarł? — zapytał wtrącając się do rozmowy.

Wysoki odwrócił się i odpowiedział powoli:

— Dmitrij Iwanowicz Mendelejew.

...Tego samego dnia wieczorem przyszedł do Lisicyńa administrator domu, ażeby pobrać komorne.

Gdy wraz z Jegorem Jegoryczem stali w drzwiach, Lisicyń, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, spoglądał na podobiznę brodatego, długowłosego starca. Jegor Jegorycz zawsze dotychczas widział ten portret w laboratorium; teraz pan przeniósł go jednak do gabinetu I ozdobił ramę czarną wstążką. Podarł zresztą w tym celu nowiutki, nie noszony jeszcze jedwabny krawat.

Lisicyń nie zauważył administratora.

- Mendelejew umarł — rzekł do Jegora Jegorycza wskazując na portret. — Nie doczekał. Nie zdążyłem do tego czasu zakończyć pracy.

Administrator zrozumiał, że chwila jest nieodpowiednia, aby prosić o pieniądze i, stąpając ostrożnie, wycofał się za drzwi. Kiedy wkładał w przedpokoju palto, usłyszał głos Lisicyńa:

— Wiesz, Jegor Jegorycz, jakie doświadczenia teraz robię? Mendelejew ucieszyłby się... Ale pomyśl tylko, on umarł... Robię z powietrza cukier i chleb... I będzie tyle, ile tylko dusza zapagnie. Dla wszystkich ludzi wystarczy. Pewnie nie podejrzewałeś nawet, prawda? Wkrótce otrzymam setki tysięcy pudów. Tylko nie rozpowiadaj niepotrzebnie. Zobaczysz...

Nazajutrz zjawił się u Lisicyńa właściciel domu, emerytowany radca stanu Bierdnikow, mężczyzna o cienkich nóżkach i wydatnym brzuchu. Na jego łysiejącej głowie rozsiane były gdzieniegdzie resztki siwiejących loków? miał obwisłe powieki i wyblakłe, załzawione oczy z sinymi workami. Powiedział przymilnie:

* *Tak mija sława ziemską — (przysłowie łacińskie).*

— Postanowiłem osobiście złożyć panu wizytę. Pan wybaczy, że niepokoje... Sam również ukończyłem w młodości uniwersytet... Chodzą słuchy, że jest pan magiem i czarodziejem, drogi Władimir Michajłowicz. Wiedziałem, że dnie i noce spędza pan nad naukową pracą. Nie przypuszczałem jednak... A tu mój administrator...

Lisicyń powiedział sucho, że rzeczywiście otrzymał węglowodany drogą syntezy dwutlenku węgla z wodą; na razie niewiele, drobnostkę, kilka złotych.

— Ale bardzo pana proszę, na razie tego nie rozgłaszać. Niech to pozostanie między nami.

Bierdnikow westchnął i zmarszczył czoło.

— Czarnoksiężnik! — wykrzyknął. — Niech pan tylko nie zapomni, pod którym gościnnym dachem... Rozumiem, rozumiem... Boże mój!...

Od tego czasu zaczęli przychodzić do Lisicyńa zupełnie obcy ludzie. Nie sądził, że jest to związane z wizytą Bierdnikowa, od której upłynęły już dwa miesiące. Najpierw przyszedł właściciel cukrowni, człowiek ze wspaniałymi czarnymi wąsami — Lisicyń zapomniał jego nazwisko: Czukin czy Czekin. Dopóki przejawiał on ściśle naukowe zainteresowania, Lisicyń rozmawiał z nim, a nawet pokazał mu próbki. Potem jednak, gdy fabrykant zaczął wysuwać rozmaite propozycje pieniężne, trzeba było obejść się z nim mniej uprzejmie i powiedzieć mu, żeby wracał, skąd przyszedł: wynalazek jest przeznaczony nie dla bogaczy szukających zysku, lecz dla całej ludzkości — dla wspólnego dobra.

Wówczas zaczęło się: co dzień inni odwiedzający. A wszystko — przemysłowcy i handlowcy. Mówili o tym samym, byli natrętni, przeszkadzali w pracy. Lisicyń wypraszał ich za drzwi.

„Ale skąd dowiedzieli się o mojej pracy?” — dziwił się.

Wiosna w tym roku była wczesna i piękna. Słoneczko przygrzewało niemal jak w lecie, przyleciały już ptaki, choć wieczorami kałuże pokrywały się cieniutką war-

stewką lodu, która wesoło chrzęściła pod nogami, a noce były jasne i tak wygwieżdżone, że każdy, kto wraçał ulicami o późnej porze, szedł nie odrywając oczu od nieba.

Pewnego razu, gdy Lisicyń siedział za biurkiem i pisał, czując na plecach ciepło promieni słonecznych, do gabinetu zapukał nieśmiało jasnowłosy młody człowiek, w studenckim mundurze. Student przestąpił próg, zaczerwienił się i przedstawił: słuchacz drugiego roku wydziału przyrodniczego, Grigorij Zbierowski.

— Naruszyłem... To jest ośmieliłem się naruszyć wasz spokój — rzekł siadając na brzeżku krzesła i szarpiąc ze zmieszania łąkę na spodniach. — Ja... Chodzi o sprawę triumfu rozumu ludzkiego... Mówią, że odtworzyliście asymilację...

Lisicyń pogłodził brodą i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Chodźmy, kolego — rzekł od razu — obejrzymy laboratorium.

Uszczęśliwiony Zbierowski oglądał przyrządy, patrzył na ich właściciela, słuchał jego słów. Lisicyń pomyślał: „Chłopiec, zdaje się, wart tego. Tylko o tym, jak się to robi, nie trzeba mówić”. Nagle zdecydował się, włączył prąd i szybko przeprowadził doświadczenie. Pokazał studentowi, w jaki sposób powstaje glukoza, sacharoza i skrobia.

Na pożegnanie zapytał młodego gościa:

— Podobało się wam? A zrozumieliście, co da to społeczeństwu? — I sam sobie odpowiedział: — Da nieograniczone możliwości. Nie będzie już nędzy ani głodu.

Po upływie kilku dni Jegor Jegorycz znów zameldował swemu panu:

„Trzydzieści cztery i jeden — odczytywał Lisicyń przekręcając śrubę polarymetru. — Trzydzieści cztery i siedem... Kto tam znowu?”

— Niech zaczeka w gabinecie!

Zapisał cyfry w zeszycie, zdjął kitel, włożył surdut i otworzył drzwi. Na jego widok podniósł się gruby, si-

wy olbrzym w wysokim sztywnym kołnierzyku i eleganckim ubraniu wizytowym. Purpurowe policzki przybysza rozszerzały się ku dołowi i niemal łączyły się z ramionami, spod gęstych rudawo-siwych brwi błyskały żywe czarne oczka o przenikliwym spojrzeniu.

— No — rzekł z uprzejmym uśmiechem i wyciągnął rękę — pozwólcie, że się przedstawię: Titow Fiodor Jew-grafowicz.

Lisicyń odpowiedział wstrzemięźliwym ukłonem i ruchem ręki poprosił gościa, by usiadł.

Titow sprawdził, czy krzesło jest dość mocne, ostrożnie usadowił się na nim, roześmiał się nie wiadomo z czego i bez wstępów przystąpił do rzeczy:

Przyszedłem z polecenia pańskiego wspólnika.

No, Czikina Siergieja Si-ergiejewicza.

Czi-kina? Przepraszam pana, ale pierwszy raz słyszę... Nie-e, pomylił się pan chyba. Ja w ogóle nie mam żadnych wspólników...

Nie ma pan wspólników? A Siergiej Siergiejewicz? Nie mam zaszczytu znać żadnego Siergieja Siergiejewicza.

Lisicyń rzeczywiście nie pamiętał już o właścicielu cukrowni.

"Matko Przekzysta! — pomyślał Titow i sapnął. — Czyżby to miała być prawda? A więc na ślepo, zupełnie na ślepo... Trzeba zrobić pierwszy ruch!"

--- E-he-he-he! — zaśmiał się dobrodusznie. — Wiodocznie naprawdę coś poplątałem. Niech pan wybaczy staremu! Starość!... he-he... nie radość! I dzięki Bogu, nie ma pan wspólników. Czikin to nie jest człowiek dla pana. Związać się z takim — to nieszczęście pro-stu. Słusznie zdecydował pan szanowny... przepraszam, jak pana nazywać? Zdaje się szanowny Władimir Michaj-łowicz: to wymaga poważnego kapitału... Poważnego ka-pitału!

Lisicyń ziewnął zakrywając dłonią usta. Przyszły mu na myśl dawno zapomniane słowa właściciela kopalni

Charitonowa: „Jeżeli odda mi pan przysługę — nie pozostanę mu dłużny”.

Titow mówił szczegółowo o cenach w hurcie, o tym, Władimir Michajłowicz może spokojnie polegać na jego, Titowa, życiowym doświadczeniu, i dalej śmiało: Trzeba tylko podpisać umowę, korzystną dla obydwu stron, a wynalazek trzymać w tajemnicy, ażeby ktoś inny, zachowaj Boże, nie wykorzystał go przed czasem...

Lisicyń słuchał i niecierpliwie uderzał palcem w kolano. Wzmagало się w nim uczucie wrogości.

„Umowę! O to ci chodzi — myślał. — Całe lata pracy, wszystko to, co zrobiłem dla szczęścia ludzkości, a nawet samo szczęście ludzkości mam zamienić na zyski. Nie, to będzie zbyt drogie... droższe od wszelkich zysków. To nie jest hurt ani detal... Czystość moich nieskazitelnych, śnieżnych szczytów...”

Tak też i powiedział:

— Nie sprzedaję ani hurtem, ani detalicznie. Nie dam nikomu żadnych przywilejów. Nikt nie powinien mieć pierwszeństwa: ani bogaci, ani biedni, ani Rosjanie, ani Włosi. Zrozumiał pan? Gdy tylko zakończę pracę, wszyscy otrzymają przyrzady na równych prawach. Wówczas każdy mieszkaniec Ziemi będzie miał pod dostatkiem cukru i chleba. Ale pan wybaczy, panie... Titow, zdaje się, nie mam czasu: praca czeka.

— Czyżby! — rzekł Titow błysnąwszy oczami świecącymi jak dwa rozżarzone węgielki.

— To wszystko — potwierdził Lisicyń i skłonił się gościowi.

Okazało się jednak, że Fiodor Jewgrafowicz nie miał zamiaru tak szybko odejść. Rozparł się w krzesło i uderzył dłonią o biodro.

— Tak, panie szanowny! A czy pomyślał pan nad tym — zapytał — do czego doprowadzi takie postanowienie?

„Dureń, stary dureń! Trzeba było wierzyć Sieriożce. Spójrz, Panie, z wysokości i przebacz... A może się odegramy?”

Groźnym, ruchem podniósł rękę i sam sobie odpowiedział:

- Do chaosu, panie szanowny, do chaosu. Azaliż moż-na nakarmić potrzebujących? To tylko mrzonka!

Umilkł poruszając ustami i nagle twarz jego zupełnie zmieniła, jak gdyby włożył maskę, i roześmiał się dobrym, przyjacielskim śmiechem:

- He-he-he... Ale żartowniś z pana, Władimir Michaj-łowicz... He-he... A więc umowa? Umowa i natychmiast

czek. Jako zaliczka na poczet przyszłych! Co?

Gdy Lisicyń, patrząc gniewnie, potrząsnął przecząco głową, Titow zrozumiał: „Socjalista”. Przypomniał sobie nagle, co wykrzykiwał jego siostrzeniec, i pomyślał, że jeżeli to spowoduje katastrofę, to jego, Titowa, nie ominie ona również.

„No, to jeszcze zobaczymy! Mnie, bracie, gołymi rękam... Toś ty taki, Błogosławiona Dziewico!”

- Nie chce pan? — powiedział przeciągle. — Tak, a więc pan nie chce. — Policzki jego stały się już nie purpurowe, lecz wprost brązowe. — A czy wiadomo panu zaczął syczącym szeptem — że jeżeli nie zajmie się tym dobry kupiec i nie naznaczy właściwych cen, to przez pański wynalazek... rolnicy pójdą z torbami? — Fiodor Jewgrafowicz wyprostował się teraz i groził: — W przemyśle rozpocznie się kryzys. Zakłady przemysłowe i fabryki staną. Wszystko zarośnie mchem. Nastanie głód i zaraza. Kwitnące obecnie przedsiębiorstwa... posiejecie łyż i bankructwo. Trzeba przestrzec pana, nierozsądny człowieku!

Stali teraz naprzeciw siebie. Lisicyń pobladł z gniewu.

--- Nie życzę sobie ostrzeżenia — rzekł oddzielając wy-razy i hamując się. — Nie życzę sobie również wysłu-

chiwać ani nauk, ani tym bardziej obelg. Zrozumiano? — Potem, odwróciwszy się do drzwi, krzyknął: — Jegor Jegor rycz! Podaj panu palto.

Minutę później Lisicyń chodził po laboratorium z kąta w kąt.

„Spekulanci — myślał — rozzuchwalili się. Jeszcze czego!”

Szybko jednak uspokoił się i zamyślił o przyszłości, o czasach, które nastaną, gdy zakończy już swoją pracę. Nadejdzie — wyobraził sobie — cichy, łagodny, czysty poranek, przygrzeje słońeczko, nastanie piękna wiosna. Do jego wytwórni — olbrzymią ośmiornicą — ze wszystkich stron prowadzą przewody dymne. Z szerokiej murowanej bramy wiodą szyny. Po szynach uwijają się lokomotywy, szczękają bufory, toczy się pociąg za pociągiem. Jedne pociągi — cukier, cukier, cukier... Inne — skrobia, skrobia, skrobia... Przed każdym domem i przed wszystkimi wielopiętrowymi kamienicami tu w Petersburgu i gdzieś we Władywostoku, i przed tą wiejską chatą, krytą słomą, która kiedyś w dzieciństwie mignęła mu przed oczami — wszędzie, czy to w wysokich murowanych spichrzach, czy w zwykłych szopach z desek — niezliczone białe zwały. Obfitość!

Czy tak jednak będzie? A może — marzył Lisicyń chodząc po pokoju — przy fabrykach i pracowniach, przy kopalniach i wielkich piecach ludzie wybudują mnóstwo oddzielnych instalacji, jedna niezależna od drugiej. Naturalnie wszystkie według jego, Lisicyńa, systemu. W domach mieszkalnych urządzenia te będą nieduże, zaś na fabrykach, przy kotłach parowych — ogromne.

A oto, na przykład, nadchodzi zima. Ściany trzeszczą od mrozu. W mieszkaniu jest zimno, więc gospodyni rozpala w piecu. Podczas gdy w piecu płonie ogień, w kącie pokoju pracuje samodzielnie niewielki, podobny do szafki, przyrząd. W piecu wypaliło się — gospodyni podeszła do przyrządu: proszę bardzo, dziesięć — piętnaście funtów cukru lub skrobi, w zależności od tego

co jest w danej chwili potrzebne. Jakiś tam szklany cylinder był pusty, a napełni się, na przykład, skrobnią. A skrobnia to prawie, że mąka. Bierzcie, uczcie się piec z niej chleb i jedzcie. A zużywa się do tego niewiele więcej drzewa niż do zwykłego palenia. To drobnostka; cena żywności i tak będzie zupełnie znikoma.

Lisycyn westchnął, uśmiechnął się błogo i wyjrzał przez okno. Połowa ulicy tonęła w świetle słonecznym, połowa zaś pogrążona była w cieniu. Na zalanym słońcem, suchym i zapewne ciepłym chodniku dzieci narysowały kredą „klasy”; rzucają kolorowe kamyczki i bawią się.

„Niech sobie skaczą — rozmyślał Lisycyn. — One nie zaznają już biedy. A ja sam mógłbym przecież stać się bogatszy niż ktokolwiek na świecie. Obeszłoby się bez wszelkich... Titowów”.

Stał jeszcze chwilę, poruszając ramą okienną, wreszcie rzekł głośno:

- Ale stałbym się podobnym do tych Titowów. Do Titowów i Charitonowów.

Śnieżne szczyty znowu zaśniły nieskazitelną bielą.

Niech nikt nie powie o nim: był chciwy. Nie, niech go nie skala żadna plama. Nie sprzeda wynalazku ani hurtem, ani detalicznie!

Władimir Michajłowicz odszedł od okna i zabrał się do ważenia zwitków szklanej waty na wadze analitycznej.

Potem przypomniał sobie słowa: „Posiejecie łyżę i bankructwo”.

„A rolnicy, to ciekawe, a chłopci...

Głupstwa! Kłamie, przekłety! Jeżeli będzie sto razy Więcej dostępnej i taniej żywności, to czy ktoś może być z tego powodu bardziej głodny?”

Szklana wata, posypana drogocennymi ciemnozielonymi ziarnkami, wypełniała filtr — Lisycyn przygotowywał nowe doświadczenie. Pinceta w zręcznej ręce chwytiała miękkie ziarnka i rozkładała je na przezroczystych płytkach.

Na drugim końcu miasta, w przestronnym, wysłanym perskimi dywanami gabinecie siedział za biurkiem z palisandrowego drzewa sztywnie wyprostowany niewysoki, szczupły starzec z wąsatą i pomarszczoną twarzą. Nosił błękitny mundur i generalskie epolety. Oparł się łokciami o biurko i z cudzoziemska wymawiając literę „r”, powiedział:

— Nie wiem, mój dhogi... o co pan phosi?

Naprzeciw niego, po drugiej stronie biurka siedział

Fiodor Jewgrafowicz Titow. Fiodor Jewgrafowicz doszedł do przekonania, że jeżeli nie można partii wygrać, trzeba przynajmniej postarać się, ażeby jej nie przegrać. Jaki będzie wynik? Remisowy? „No — uśmiechnął się do siebie — chyba niezupełnie remisowy”.

Nachyliwszy się z pełnym godności szacunkiem Fiodor Jewgrafowicz spojrział z oddaniem i troską w oczkach i rzekł:

— Czyż tylko o to jedno mi chodzi proszę waszej wysokości?... Jak na spowiedzi świętej... czyżbym się ośmielił? Ale — serce mnie boli! Serce wiernego poddanego! — Titow uderzył się pięścią w pierś i podniósł głos: — Niech wasza wysokość pomyśli tylko: wszyscy ci, którzy zgodnie z prawem i sprawiedliwością posiadają bogactwo i władzę, wszyscy, którzy w pocie czoła uprawiają swoją ziemię, wszyscy pójdą pod cerkiew z torbami. Gospodarstwa pójdą na marne — wykrzykiwał ze zgrozą — zachwieje się całe Imperium Rosyjskie! Zachwieje się -aż strach wymówić! — tron!

Zacisnął wargi, umilkł, a potem wyciągnął palce w stronę generała:

- Nawet, jeżeli weźmiemy pod uwagę, choćby i waszą wysokość! Na czym opiera się dochodowość jego ziem i folwarków? Chłopi, jak sędzę, sprzedają zboże, aby płacić za dzierżawę. Zarządzający folwarkami sprzedają zboże... Nawiasem mówiąc — zapytał przymilnie, pochylając głowę — po ile teraz sprzedawali?

- Hozmaicie. Po dziewięćdziesiąt kopiejek, po hublu.

- No, proszę! — Titow z zadowoleniem pokiwał głową. — A teraz proszę sobie wyobrazić — taki Lisicyn... z towarzyszami... zacznie sprzedawać mąkę po kopiejce za pud. Rzuci na rynek tysiące pudów. Albo chociażby po pięć kopiejek. Kto wówczas kupi mąkę od waszych chłopów? Komu sprzedadzą mąkę zarządzający waszymi dobrami? Bóg nie może dopuścić do tego — tu Fiodor Jewgrafowicz przeżegnał się pobożnie — a wówczas waza wysokość zostałaby żebrakiem!

„A więc precz z drogi! — pomyślał. — I nie wojuj! Przeciwko komu stajesz? Matko Najświętsza... Patrzcie go!”

Gdy Titow odszedł, generał nacisnął guziczek dzwonka, Natychmiast wszedł oficer w błękitnym mundurze żandarma, zabrzączał ostrogami i zatrzymał się w odległości trzech kroków od biurka.

--- Tak, Ahsenij Kahłowicz — zakrakał jego wysokość.

--- Jestem z was niezadowolony. Dowiaduję się dopiero od posthonych. Działalność antypaństwowa...

Po upływie dwóch dni Jegorowi Jegoryczowi przytrafiło się coś niezwykłego: z samego rana spotkał dawno zapomnianych przyjaciół, którzy bardzo ucieszyli się spotkaniem i namawiali, ażeby razem z nimi wstąpił do szynku; tam pili bez umiaru. Surowy i trzeźwy zazwyczaj Jegor Jegorycz upił się do utraty przytomności wywołując bójkę i skandal. Jak na nieszczęście przyszła policja i zabrała go pijanego i opierającego się — dla otrzeźwienia — na posterunek. Tam zatrzymano go do następnego rana.

Wieczorem, już o zachodzie słońca, Lisicyn poczuł głód. Nie mógł sobie przypomnieć, czy jadł dzisiaj obiad, czy też nie. Zdaje się, że nie.

— Jegor Jegorycz! — zawołał.

W mieszkaniu było cicho. Siedział jeszcze chwilę, nadśluchując, potem obszedł wszystkie pokoje i zajrzał

do kuchni. Na stole kuchennym stały menażki, w których Jegor Jegorycz przynosił mu zwykle z restauracji jedzenie. Menażki były czyste i puste. Lisicyń spojrzał: na gwoździu nie było czapki Jegora Jegorycza. To znaczy, że starego żołnierza nie ma w domu. Gdzież on przepadł?

Po upływie godziny Lisicyń postanowił iść na kolację do najbliższej jadłodajni.

Wszystko mu się dzisiaj nie udawało. Zaledwie znalazł się na chodniku, gdy przyczepił się do niego jakiś niespełna rozumu: objął go rękami i zaczął mruzczeć słowa bez sensu. Lisicyń, naturalnie, odepchnął go, a że brak zaczął wrzeszczeć:

— Po-li-cja! Bi-i-ja!

Ulicą szło właśnie dwóch policjantów. Wariat zaczął nagle mówić rozsądnie i zażądał, ażeby policjanci spisali protokół: ten oto człowiek — pokazał na Lisicyńa — napadł na niego, spokojnego przechodnia.

Policjanci nie chcieli wnikać w sedno sprawy i obydwóch, zarówno głupkowatego jak i Lisicyńa, zaprowadzili na posterunek.

Tam trzeba było, nie wiadomo dlaczego, długo czekać!

Gdy wreszcie przyszedł pomocnik naczelnika, który szybko zorientował się w okolicznościach zajścia i przeprosił Lisicyńa, było już koło północy. Ale czy jadłodajnie są jeszcze otwarte o tej porze? Ze złością — że taki głupi przypadek zabrał mu cały wieczór — Lisicyń zawołał dorożkarza, pojechał do restauracji i zamówił kolację.

Tymczasem gdy Lisicyńa nie było w domu, po mieszkaniu jego przesuwwały się wąskie pasemka światła, padające z osłoniętych latarek ręcznych i poruszały się le-dwo widoczne postacie ludzkie.

— Frołka! — zasyczał jeden ze szpicli. — Żeby tylko żadnych śladów... Zrozumiano!

— A bo to można, Wasilij Iwanycz, załatwić to bez pozostawienia śladu?

— Du-reń! Zaglądałeś pod materac?

— Nic tam nie ma. Zwyczajnie, łóżko.

Dały się słyszeć inne głosy. Między nimi, jeden rozkazujący i władczy:

— Nikiforów, przetrząśnijcie książki. Papierami zajmę się sam.

— Słucham, panie rotmistrzu — odpowiedział drżący tenorek.

Rotmistrz, przebrany w cywilne ubranie, siedział za biurkiem, przeglądał i czytał papiery. Również przebrany po cywilnemu wachmistrz Nikiforów w tym samym gabinecie przetrząsał książki. A zezowaty Frołka zrobił w jadalni dostateczny, według niego, porządek i przeszedł do laboratorium.

— Wasilij Iwanowicz, jesteście tu? Patrzcie no, jak w sklepie z porcelaną albo w aptece!

— Ja ci się tu pokręcę bez celu! W szafie szukaj: może są tam schowane listy, książki albo jakieś proklamacje.

Zaskrzypiały drzwi szafy.

— Matko Święta! Wasilij Iwanycz, słoiki z czymś tam. Brzydko pachną.

— Słoików nie ruszaj. Patrz za nimi i pod nimi.

— Jakieś flaszeczki, ułożone w wacie, diabli wiedzą co to. Gumowa kiszka, malutkie porcelanowe talerzyczki, cała szuflada. Różne żelaziwo. A, żeby cię!

Pusta kolba wysliznęła się z rąk Frołki i dźwięcznie rozbiła się na parkiecie.

— Uważaj, słoniu przeklęty! — krzyknął z gniewem Wasilij Iwanycz. — Jeszcze napytasz nieszczęścia. Delikatniej! Powiedziano ci — nie ruszaj! To są sprawy nie na twój rozum. Odejdź od szafy!

Rotmistrz podszedł z latarką w rękę i zapytał ostro:

— Coście rozbili?

— Pustą butelkę, wasza wysokość.

— A mówiłem wam? Uprzedzałem. No, niech pojdzie tutaj ten, kto rozbił. Chodź tutaj, mówię!

Frołka z wyraźną niechęcią zrobił dwa kroki w stronę rotmistrza, zaczepił nogą o przeciągnięty na podłodze przewód elektryczny, zachwiał się gwałtownie i z kieszonki wypadł mu biurkowy zegar w srebrnej oprawie.

Rotmistrz na odlew uderzył go w twarz.

— Łotr-r! Natychmiast odłóżyc na miejsce!

— Zawsze z nim to samo, wasza wysokość — rzekł służalczo Wasilij Iwanycz. — Prawdziwa bieda z nim pracować. Albo narobi szkody, albo ukradnie. Ale do otwierania zamków — najlepszy majster w Petersburgu!

...Od razu po powrocie do domu, Lisicyn zauważył, że w mieszkaniu jest coś nie w porządku. Drzwi z gabinetu-laboratorium były otwarte, chociaż wychodząc zamknął je szczelnie. Na podłodze rozbite szkło. Poblądł z trwogi: „Co się stało?”

— Jegor Jegorycz! Jegor Jegorycz!

Cisza.

Przebiegł przez wszystkie pokoje, drżącymi palcami przekręcając kontakty. Wszędzie zaświeciły się lampy.

„Ktoś tu był. Naturalnie, że ktoś tu był. Złodzieje?”

W laboratorium filtry na swoim miejscu. Substancje przygotowane poprzedniego dnia według nowych recept, płyny w cylindrach miarowych, odważki proszków w naczynkach wagowych, wszystko stało tak, jak przedtem. Widocznie złodzieje nie zainteresowali się tym wszystkim. Na podłodze — resztki rozbitej kolby i rozsypany, rozdeptany nogami, mielony pumeks.

Na parapecie okna — zegar biurkowy z pociętym, jakby od uderzenia, cyferblatem. Widocznie nie zdążyli zabrać lub zapomnieli w pośpiechu.

Dopiero w gabinecie przy biurku Lisicyn westchnął z ulgą, otarł pot z czoła i usiadł. Najważniejsze, że dzienniki, zeszyty, w których zapisywał doświadczenia prze-

prowadzane w ciągu sześciu lat pracy — wszystko całe leży w szufladach na swoich miejscach.

„A więc — stwierdził z ulgą — byli to tylko zwykli złodzieje.

Teraz — pomyślał — można popatrzeć i wszystko spokojnie rozważyć. Wprawdzie szuflady od biurka są zamknięte na klucz, ale widocznie gospodarowała w nich jakaś cudza ręka. Ktoś przekładał i miał papiery. Wszędzie na pewno szperali: jasne, że szukali pieniędzy. Ale co się stało z Jegorem Jegoryczem? Gdzie on się podział?

O, tutaj leżały pieniądze”.

Lisycyn aż podniósł się z krzesła. Zadziwiająco: leża nadal. Równe dwa i pół tysiąca. I książeczka czekowa.

Dlaczego złodzieje nic nie wzięli? Poprzewracali tylko: przedtem książeczka czekowa była na spodzie — Lisycyn pamiętał to dobrze --- a teraz leży na wierzchu.

„Cóż więc ukradli? Co za nonsens! Niedorzeczni złodzieje!” Lisycyn aż do rana chodził po pokojach, zaglądając do wszystkich kątów i otwierając drzwi szaf. Wszystko było porozrzucane i jakby zbrukane, ale z domu nie wyniesiono niczego.

„Jacyś dziwni złodzieje!... Nie, tutaj pachnie czymś innym! Nie zwyczajnym złodziejem! I gdzież to podział się Jegor Jegorycz?”

ROZDZIAŁ VI

WIELKI KSIĄŻĘ

W komisariacie naczelnik policji zapytał:

— Co panu ukradziono?

Lisycyn wzruszył ramionami.

— Dosłownie nic.

— Czego więc pan chce? — zdziwił się naczelnik.

— Ale przecież wtargnięto do mojego mieszkania...

— Śmiesznie pan rozumuje, mój panie. Wydało się panu, że ktoś rzekomo ruszał pańskie rzeczy. A ja, na przykład, uważam inaczej. Pański służący wrócił do domu pijany. Pan sam, z przeproszeniem, również przyjechał po kolacji.

— Lecz proszę zrozumieć, że ja wódki nie piję. A mój Ferapontow siedział w tym właśnie czasie u was w komisariacie. Moje wątpliwości nie są pozbawione podstaw.

--- Chętnie wierzę! Ale co ma do tego policja?

Lisycyn pochylił głowę, spojrzął gniewnie i rzekł:

--- Zbadajcie.

- Ależ tu nie ma co badać! — Naczelnik roześmiał się i rozłożył ręce: — Boże mój, czyż warto mówić o takich głupstwach?

Lisycyn wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Na ulicy, obok bramy swojego mieszkania, zauważył wędrownego handlarza. Człowiek z nienaturalnie czarną brodą, jaką miewają rozbójnicy w teatrze, stał oparty o słup ogłoszeniowy i trzymał pudło z towarami: guzikami i nićmi. Lisycyn nie zwróciłby na niego uwagi, ale zdarzyło się, że na mgnienie oka spotkały się ich spojrzenia. Dziwnie znajome, bezczelne, jasne oczy spoj-

rzały na lisicyna i natychmiast skryły się pod powiekami. Handlarz odwrócił się i, idąc wolnym krokiem, zawołał falsetem:

— Nici, igły — komu! Agrafki modne, angielskie, proste!

Głos jego brzmiał nienaturalnie.

Lisycyn długo patrzył w ślad za oddalającym się handlarzem, aż wreszcie przypomniał sobie: dwa lata temu, gdy policja strzelała do tłumu idącego z petycją do cara, kiedy Glebow przemawiał w podwórzu, takie same oczy patrzyły na niego spośród słuchającego tłumu.

„Są mi jakoś zbyt dobrze znane. Gdzież jeszcze mogłem je widzieć? Czyżby tylko we śnie? Tak, takie oczy rze-czywiście mogą się przyśnić...”

Jegora Jegorycza palił wstyd. Lisycyn był przejęty nocnym zajściem, myślał o wczorajszym głupkowatym, o wieczornym czekaniu w komisariacie, o dzisiejszej rozmowie z naczelnikiem policji. Jegor Jegorycz natomiast uważał, że to on jest przyczyną chmurnego wyglądu swego pana.

— Wasza wielmożność — mówił, na pewno dziesiąty już raz — co prawda, to prawda: zasłużyłem na karę! Ośmielam się jednak zameldować, że coś podobnego się więcej nie powtórzy.

— Dobrze już, przeprosileś — to wystarczy.

— Ale, wasza wielmożność, to się już nigdy nie powtórzy! Grzech skusił...

— Wcale się na ciebie nie gniewam.

Wtedy Jegor Jegorycz z powątpiewaniem kiwał głową i ostrożnymi krokami odchodził do kuchni.

Z każdą godziną Lisycyn utwierdzał się w przekonaniu, że rzekomi złodzieje interesowali się głównie jego pracą. Gdyby zabrali pieniądze lub jakieś rzeczy, byłby spokojniejszy. A ten naczelnik policji jest widocznie niedbałym człowiekiem. Nie chciał nawet wnikać w okoliczności. Chociażby z przyzwoitości. Dobry oficer policji nie śmiałyby się także w takim wypadku. Co praw-

da złodzieje nie wzięli ani dzienników z notatkami, ani próbek substancji. To znaczy, że nie mogli to być złodzieje w ścisłym tego słowa znaczeniu. A może posłał ich jakiś chciwy spekulant, ażeby odszukali jego dziennik i przepisali gotowe recepty? Ale czyż udało im się przepisać? A jeżeli przyjdą znowu?

— Jegor Jegorycz! — zawołał Lisicyń.

Jegor Jegorycz przybiegł do gabinetu.

— Siadaj, stary. Boję się, że znowu dobiórą się do nas jacyś źli ludzie. Boję się o swoje papiery, o swoją pracę. Bardzo się boję!

Starzec oparł na kolanach żylaste pięści i uważnie spojrział Lisicyńowi w twarz.

— Słuchaj — rzekł Lisicyń — zaprowadzimy teraz taki porządek: jeden z nas zawsze będzie w domu. Ty nigdzie nie wychodź bez zapytania. Zrozumiałeś?

— Melduję, że zrozumiałem. Psa trzeba kupić wazsa wielmożność.

— Psa? Słusznie! Dowiedz się, proszę, gdzie można kupić psa. A z bronią umiesz się obchodzić?

Tak jest, umiem.

Chcę nabyć pistolet. Będzie dla nas obydwu. Położymy go tutaj, w szufladzie od biurka. Na wszelki wypadek. Co o tym myślisz?

--- Cóż to, bandyci chcą nas napaść?

- Napadną czy nie napadną... A w każdym razie kupię psa i pistolet.

Następnego dnia wieczorem — Lisicyń i Jegor Jegorycz nie mogli oczywiście o tym wiedzieć — w ciemnym kącie sąsiedniego szynku czyjaś owłosiona ręka, ściskając obgryziony ołówek, wypisywała na papierze, przysłaniając go drugą ręką:

Raport

„Ferafontow przyprowadził do mieszkania dużego szczeniaka-owczarka. Wabi się Nonna. Lisicyń zaś kupił w sklepie broni Abakumowa rewolwer systemu

»Colt« sześciostrzałowy i pięćdziesiąt sztuk nabojów do takowego".

Siedzący w szynku człowiek pisał prawdę. Nonna zamieszkała w przedpokoju, obejrzała wszystko, obwąchała i niebawem merdała już ogonem i lizała ręce Jegora Jegorycza: a gdy tylko dobiegał ze schodów czyjś głos lub odgłos kroków, czekała donośnie.

W laboratorium niemal przez całą dobę nie gasło światło lamp łukowych. Lisicyń teraz nawet na śniadanie i kolację nie odchodził od swoich przyrządów. Od wschodu Mo zachodu nosił ciemne okulary na wilgotnym od potu czole; gdy patrzył na przyrządy, spuszczał okulary na oczy.

Nie mógł się pozbyć ani na chwilę uczucia niepokoju i gniewu: diabli nadali, że wtedy akurat musiał wyjść i spotkać tego niespełna rozumu. Wydawało mu się, że rozpoczął walkę z niewidzialnym wrogiem, jakiś wyścig o szybkość. Wyobrażał sobie, że tajemniczy przecinik zawiadnął jego receptami — złodzieje bezwzględnie wykradli je i przepisali — i wróg stoi teraz, na pewno, przy takich samych filtrach, uśmiecha się złośliwie i krok za krokiem powtarza każde jego doświadczenie. A nuż przeciwnikowi praca powiedzie się? A nuż go ubiegnie? Zniknie wtedy wszelka nadzieja na szczęście ludzkości; nieliczni tylko będą mieli prawo posługiwać się syntezą chemiczną — biedni zostaną po dawnemu przy pustym korycie — a tylko jakaś firma, na przykład niemiecka, angielska czy amerykańska, odgrodzi się od świata patentami i będzie ciągnąć z jego wynalazku nieprawdopodobne zyski. Tylko szybkość może go uratować! Ach, jak bardzo trzeba się teraz spieszyć!

Z przyrządu ściekał do kolby ciepły przezroczysty płyn. Strużka, jak szklana niteczka, przerywała się czasem, tworząc łańcuszek gęsto spadających kropel. Lisicyń patrzył, jak na ścianie osadzają się drobniutkie kropelki, rozmyślał o ukradzionych, na pewno, receptach i

nagle przyszedł mu na myśl żyjący w średniowieczu włoski matematyk Tartaglia.

Wydało mu się po prostu straszne, że myśl ta nasuwała mu się jednocześnie z myślą o własnej pracy. Czyżby przeznaczenie pechowca?...

Tartaglia — Lisicyń czytał o nim kiedyś — był nieśmiały i jękał się; wiele lat pracował nad rozwiązywaniem równań trzeciego stopnia. Gdy wreszcie wynalazł sposób ich rozwiązania, Geronimo Cardano, udając przyjaciela, wyłudził od niego gotowy wzór. Cardano był zdolnym lekarzem, lecz pijakiem, awanturnikiem, człowiekiem, który w przystępie gniewu obciął uszy własnemu synowi. Nie tracąc ani chwili czasu Cardano napisał książkę i podał wzór jako swoje odkrycie. I oto minęło już kilka stuleci. Obecnie każdy matematyk, każdy inżynier zna wzór Cardana. Czy jednak wpadnie komuś do głowy powiedzieć o nim: „Wzór Tartaglii”? Nigdy! Nie-szczęśnika wyśmieli już jego współcześni.

„Diabli nadali!” — znowu przypomniał sobie Lisicyń. Ścisnął mocno rękami skronie i, z oczami utkwionymi w szarą zasłonę chmur za oknem, rozmyślał dale o Włochu.

„Cóż stracił ten Tartaglia? — myślał Lisicyń. — Wzór, jeden z tysięcy napisanych w podręczniku matematyki. A synteza węglowodanów — to nie jakiś tam wzór! Synteza — to przyszłość narodów, to rozwiązanie odwiecznego problemu nędzy. Boże, co począć? Czas płynie. Doświadczenia... Szybko, zaraz, teraz — co trzeba zrobić, ażeby zabezpieczyć swoją syntezę?...”

Kolba już dawno napełniła się roztworem, który przelewał się przez jej brzeg torując sobie wijącą się po stole dróżkę. Lisicyń patrzył na tę dróżkę, nie widząc jej, nie rozumiejąc, co się przed nim znajduje. Jego nieznaną przeciwnik, jakiś nowy Cardano — wyobrażał sobie

Lisicyń — śmieje się teraz i zaciera ręce z zadowolenia.

Jogor Jegorycz usłyszał, jak jego pan krzyknął w laboratorium: „Do diabła!”, więc przybiegł zobaczyć, co się stało. W tej samej chwili Lisicyń uderzył palcami w wyłącznik na ścianie — rozległ się suchy trzask i jasne światła przy przyrządach pogasły, a laboratorium ogarnął mroczny, pochmurny dzień.

Co wasza wielmożność sobe życzy?

Niczego sobie nie życzę! — „Wasza wielmożność” zerwał z siebie kitel, zmiął go i rzucił na podłogę. — Wychoďte. Siedz w domu!

Chwycił surdut i szybko wyszedł do przedpokoju, tabliczka z napisem „Adwokat” była niedaleko, za pierwszym rogiem ulicy. Lisicyń wszedł na drugie piętro. Okazało się, że nawet nie potrzeba zdejmować palta.

— Sprawy karne i powództwo cywilne — powiedział adwokat — proszę bardzo; jeżeli zaś chodzi o wszelkie patenty i prawa autorskie, to radzę udać się na Francuski Bulwar do radcy prawnego Wozdwiżenskigo.

Dorożkarz zawiózł Lisicyńa na Francuski Bulwar.

Chodnikiem posuwała się grupa ludzi: dwóch policjantów prowadziło aresztowanego studenta. W ślad za aresztowanym szło zbitą gromadką pięciu innych studentów — nie wiadomo, czy odprowadzając go, czy też przypatrując się tylko zajściu. Policjant oglądał się i upominał

— Rozejść się, panowie! Po dobremu! Mówię po dobremu! Rozejść się! Nie wolno!

Aresztowany również oglądał się i uśmiechał. Oczy jego przypominały czarne jagody. Z okien i drzwi domów zaczęli wysuwać się ciekawi. Dorożkarz, który wiózł Lisicyńa, wstrzymał konia, chciał również popatrzeć.

— Rozejść się! — krzyknął wreszcie drugi policjant czerwieniejąc ze złości.

Ale studenci szli nadal gromadką za aresztowanym i nie rozchodzili się.

— Osadczij — mówił szybko któryś z nich — nie przejmuj się. Na. razie do widzenia! Wrócisz — wszystko

będzie dobrze! Zachowamy twoje miejsce na podda-
szu. Wszystko będzie dobrze, nieporozumienie się wyja-
śni.

Lisicyń poznał nagle mówiącego: to był ten niebie-
skooki nieśmiały student, który niedawno przyszedł do
niego, by obejrzyć laboratorium. Teraz miał czapkę zsu-
niętą na tył głowy i narzucony na ramiona szynel; szedł,
niemal dotykając pleców policjanta i wyciągając na-
przód rękę z paczką żółtych rublowych papierków:

--- Może są ci potrzebne pieniądze, Osadczyj? Weź je.
Weź, proszę cię, mam dużo. Dzisiaj otrzymałem. Właś-
nie od Obrosimowa. Proszę!

Obydwaj policjanci jednocześnie odepchnęli jego rękę.

- Precz! — rzekł krótko jeden z nich, poruszając wą-
sami.

— Panie studencie — rzekł drugi — z aresztowa-
nym nie wolno rozmawiać. Macie wykształcenie, powin-
niście sami rozumieć. Dla waszego dobra to mówię!

„Uczciwych ludzi za politykę aresztują” — pomyślał
Lisicyń i trącił dorożkarza.

— Jedźmy!

Dorożkarz ściągnął lejce i zaburczał:

— Co za ludzie!

Nie wiadomo, co chciał przez to powiedzieć i za-
machnąwszy się zaciął konia batem.

Zapadał zmierzch. Radca prawny przyjął nowego
klienta w bogato urządzonej gabinecie.

Lisicyń usiadł na fotelu, otarł brodę chustką i zaczął
mówić: jest uczonym i pracuje nad zagadnieniem o
ogromnym znaczeniu. Nie ulega wątpliwości, że jacyś
złoczyńcy chcą zrabować jego cenne recepty, a możliwie,
że nawet już częściowo je skradli. Trzeba więc w sposób
przewidziany ustawą ochronić swoje prawa przed zama-
chem na nie.

Apollon Zacharowicz Wozdwiżenski miał zgagę. Słu-

chając klienta myślał: „Łyk wody sodowej? A może jeszcze trochę zaczekać?”

— Chciałbym — mówił klient — stać się pełnoprawnym właścicielem mojego wynalazku.

„Nie trzeba było — myślał Apollon Zacharowicz — jeść marynowanych grzybków. A wyglądały, szelmy, tak smacznie. O czym on tak długo mówi? No, do rzeczy, do rzeczy!” I zapytał:

— Chcecie zalegalizować patent w Rosji czy w innych państwach?

— W absolutnie wszystkich państwach — Lisicyń pochylił głowę. — Ażeby nikt nigdzie bez mojego pozwolenia nie mógł go wykorzystać.

— Taak. A pozwól pan zapytać („Nie — postanowił Apollon Zacharowicz — jeden łyk sodowej wody i to zaraz”) — wyciągnął ręką i nacisnął guziczek dzwonka. — Pana wynalazek ma zapewne charakter przemysłowy?

— Zupełnie słusznie, przemysłowy.

— Do jakiej gałęzi przemysłu odnosi się?

Klient z niewiadomego powodu milczał.

— Chemia... — rzekł wreszcie — synteza chemiczna.

Do gabinetu weszła pokojówka i przyniosła na tacy szklanekę sodowej wody. Wozdwiżenski wypił, potem dał znak dziewczynie, żeby wyszła, i spojrzawszy ukradkiem na zegarek zwrócił się do Lisicyńa.

„Každy z nich — pomyślał z nieoczekiwanym rozdrażnieniem — boi się otworzyć usta i powiedzieć, jaką nową Amerykę odkrył. A cała Ameryka — to tajemnica gotowania jakiegoś mydła”.

— Z prawnikiem — rzekł — to tak, jak z lekarzem; trzeba mówić otwarcie. Proszę powiedzieć dokładnie: jaka synteza? Czego?

„Sekret gotowania jakiegoś mydła. Jakże bełkocze ten brodaty dziwak! — Radca znowu spojrzął na zegarek, przypomniał sobie o żonie i ponownie nacisnął guziczek dzwonka. — W taki sposób spóźnimy się do Janu-

szewów. Są imieniny, więc nie należy się dzisiaj spóźniać — obrażą się..."

— Pasza — krzyknął, gdy tylko usłyszał kroki pokojówki — powiedz pani, że za pięć minut będę wolny. — i ponownie zapytał Lisicyna: — No, więc, o jaką syntezę chodzi?

Ten zaś patrzył na czcigodne z przyprószonymi siwizną skroniami, nieco zmęczone oblicze radcy prawnego.

Na pewno przeciążony sprawami i pracą" — pomyślał i uśmiechnąwszy się lekko, rzekł:

- Drobnostka. Otrzymywanie sztucznej żywności.
- Czego? — nie dosłyszał Wozdwiżenski.

Sztucznej żywności. Tani sposób otrzymywania cukru i skrobi z dwutlenku węgla i wody.

Apołłon Zacharowicz przymrużył oczy. W myślach rozważał:

„Tak... tak... tak... W ciągu trzydziestu lat praktyki nie przypominam sobie... Zdaje się, że nadarzyła się poważna sprawa!"

Apołłon Zacharowicz był człowiekiem niewysokiego wzrostu. Umiał zachowywać się z godnością. Miał sugestywny, dźwięczny głos. Wykorzystując teraz czarujący dźwięk swojego głosu, powiedział:

- Doskonale pan zrobił, że zwrócił się z tym właśnie do mnie. Koresponduję, widzi pan, i jestem w ścisłym kontakcie z radcami prawnymi wszystkich krajów świata. W Niemczech — Henryk Raud, we Francji... Dobrze pan zrobił, że przyszedł pan właśnie do mnie. W ciągu trzech miesięcy otrzymamy wszystkie patenty... E-e — zaśmiał się zacierając dłonie — wszystko załatwimy jak najlepiej!

Teraz już klient zaczął wzbudzać w nim uczucie szczerzej sympatii. „Przypomina — myślał Wozdwiżenski — jakiegoś starożytnego filozofa. A taki patent — to przecież bajka, legenda. Zalegalizować taki patent — Wozdwiżenski zacierał dłonie — to znaczy zbudować sobie willę na Krymie, pozbyć się długów..."

— Pani czeka — rzekła pokojówka uchylając drzwi.

— Jestem zajęty! — krzyknął Apollon Zacharowicz. — Nie widzisz? Przyjdę za pół godziny lub czterdzieści minut, niewcześnie. Powtórz to pani.

Pokojówka dygnęła i wyszła, a Apollon Zacharowicz ciągnął dalej z miłym uśmiechem:

— Załatwimy pańską sprawę według wszelkich zasad kunsztu prawniczego. Może pan być zupełnie spokojny. Już trzydzieści lat pracuję w dziedzinie prawa patentowego. Może pan polegać na mnie całkowicie. — Uśmiech Wozdwiżenskigo stał się jeszcze przymilniejszy. — Zaraz, jak tylko pan przyniesie materiały...

— A co muszę przynieść?

— No, przede wszystkim opis procesu w skali przemysłowej. Następnie... pozwoli pan, że zapiszę, żeby pan nie zapomniał — Apollon Zacharowicz przysunął się do biurka, wziął kawałek papieru i ołówek. — A więc rysunki urządzeń fabrycznych. Wystarczy w szkicach. Mam swojego kreślarza, który narysuje, jak należy.

„Willę zbuduję na górcie, a w kierunku morza — cyprysy — psiakrew — dwoma rzędami... Wierzytelom zatkam gęby. I będę równy królom!”

Lisicyn rzekł:

— Mogę przynieść teoretyczne wyliczenia, a prócz tego opis doświadczeń laboratoryjnych, które potwierdzają prawidłowość wyliczeń.

— Do-świad-czeń? — powtórzył pytająco Wozdwiżen-ski. Położył ołówek na stole i rozczarowany spojrział z ukosa. — Dlaczego doświadczeń?

— Jak to „dlaczego”? Doświadczenia potwierdzają rozważania... że tak powiem, pomysł...

Oczy Apollona Zacharowicza straciły blask, a na skroniach, tam gdzie kończyły się krótko ostrzyżone włosy, wystąpiły żyłki. Westchnął — okazuje się, że nic z willi i z całego wielkiego interesu. Oto jak można się pomylić. Zwyczajny „perpetuummobilista”. Była to u Apol-

ło-im Zacharowicza obelga odnosząca się do „bezpłodnych” fantastów.

„Jakiż tam znowu grecki filozof — raczej przypomina stróża Nikifora! Pomyśleć tylko: chce pokazać doświadczenia, co za pomysł!”

Milcząc, podniósł się z krzesła i, nie mówiąc nic do klienta, wyszedł do sąsiedniego pokoju. Wrócił niosąc w ręku otwartą książkę.

— O, tutaj — podał Lisicynowi książkę i wskazał palcem otwartą stronicę. — Niech pan przeczyta. Co do tego punktu zgodne jest prawo patentowe wszystkich państw. „Patenty — proszę przeczytać tutaj — wydaje się na wynalazki nadające się do wykorzystania w przemyśle”. Tak! A w innym miejscu... „Pomysł sam przez się, jako też i doświadczenia naukowe — Wozdwiżenski zastukał paznokciem w stronicę — o-pa-ten-to-wa-niu nie po-dle-ga-ją!” Zrozumiał pan? Cóż ma pan więc realne-go? Czym pan rozporządza?

Lisicyn oddał książkę Apołonowi Zacharowiczowi i wstał.

— Konkretnie otrzymuję sztuczny cukier i skrobię — rzekł.

— A dużo, jeżeli można zapytać? Na przykład skrobi?

— Dotychczas dziesięć złotych dziennie. W czacie doświadczeń laboratoryjnych.

— Tylko? — Wozdwiżenski roześmiał się obraźliwie.

Niech pan wybaczy — spojrział na zegarek — ale oczekują mnie. Spieszę się.

— Lecz wkrótce — Lisicyn podniósł głos — będę otrzymywał setki tysięcy pudów.

— Setki tysięcy?

— Tak.

Przed Apołonem Zacharowiczem mignął znowu odblask słońca na morzu, cyprysy i glicynie. „I byłby ko-

niec z wekslami. Kto wie, a może on nie kłamie? Och, Boże!"

— A czy można zapytać: kiedy pańskie doświadczenia dadzą się urzeczywistnić w skali przemysłowej? I czy proces ten będzie zyskowny?

— Kończę już pracę. Może potrwać jeszcze pół roku, a najdalej rok.

— A zyskowość, dochodowość procesu?

„A nuż okaże się, że to nie żadne » perpetuum mobile «?"

— Myślę, że początkowo produkty będą... no, powiedzmy, dwa razy tańsze w stosunku do obecnych cen.

„W ciągu trzydziestoletniej praktyki... Ale nie, znamy tych wynalazców!"

— Mój drogi, niechże pan usiądzie. — Lisycyn poczuł dotknięcie miękkiej ręki radcy prawnego, który popychał go w kierunku fotela. — Mam nadzieję, że pan mnie dobrze zrozumie: z największą przyjemnością ofiarowałbym panu swoje usługi. Lecz cóż ja mogę teraz pomóc? Nawet ustawę panu pokazałem i sam pan przeczytał. Niestety, doświadczenia — to jeszcze bardzo mało. Tak, bardzo mało. — Apollon Zacharowicz z żalem pokiwiał głową. — Widzi pan, choćbym się nie wiem jak starał, nie ma podstaw prawnych...

— To znaczy, że się nie da nic zrobić?

Wozdwiżenski rozłożył ręce.

Lisycyn spojrział na pokryte niebieskimi i czerwonymi żyłkami ręce Apollona Zacharowicza i pomyślał: „Bezcelowa rozmowa, niepotrzebna i zbędna". Podniósł się i skłonił.

— Proszę więc wybaczyć, że niepokoiłem pana.

Z całej duszy, z całego serca żałuję, że nie mogłem teraz dopomóc. Ale niech pan pamięta, że odniosłem się do pana jak do brata, jak do bliskiego przyjaciela. Gdy okażą się u pana pierwsze przebłyski wynalazku, gdy najdzie pan sposób wykorzystania go w przemyśle, wówczas proszę uniżenie — do mnie!

Wtedy to będzie już zbędne. Dziękuję!

Dlaczego zbędne? — Wozdwiżenski zrobił obrażoną minę.

— Natychmiast napiszę broszurę i w ten sposób utrwale swoje autorstwo.

- Boże zachowaj, niech się pan nie waży tego robić! krzyknął z przestraczem Apollon Zacharowicz. — Ma pan tylko jedną głowę! Jeżeli ogłosi pan swój wynalazek w druku, setki sprytnych ludzi zaczną udoskonalać pańskie doświadczenie. Setki rozbójników z rozstajnych dróg. I wyprzedzą pana, proszę uwierzyć człowiekowi, który się na tym zna. („A jednak jest w nim coś z grec-kich filozofów"). Straci pan wszystko — inni opatentują pański wynalazek przed panem. Nie zdoła pan mrunąć okiem, jak gdzieś, powiedzmy w Anglii lub Francji, powstanie firma z wielkim kapitałem obrotowym i przywilejami obowiązującymi na całym świecie. Po prostu zaklinam pana: nie wolno pisać takich broszur! Dla własnego dobra!

Koń szedł drobnym truchcikiem, dorożkarz spał na kozle. Obok przesuwaly się to zupełnie ciemne, to znowu podziurawione jasnymi kwadratami okien domy. W dorożce siedział zgarbiony Lisicyn.

„Zaczarowane koło — myślał — istny labirynt. Jakie jest z tego wyjście? Co teraz począć?"

Gdy wchodził na schody prowadzące do mieszkania, spotkał Bierdnikowa z jakimś nieznanym panem w meloniku i ubraniu w drobną czarno-białą kratkę. Obydwaj schodzili ze schodów.

Spostrzegłszy lokatora Bierdnikow z jakiegoś powodu przyspieszył kroku.

— Powodzenia! — krzyknął i, trzęsąc brzuchem, zbiegł ze schodów drobnymi kroczkami. Obwisłe powieki i wargi podrygiwały na jego żabiej twarzy.

W ślad za Bierdnikowem pobiegł pan w kraciatym ubraniu.

Lisicyń usunął się. Wówczas zauważył jasne wąsy tego pana, kwadratowy podbródek i szare złe oczy.

Nagle jakoś ożyły w pamięci oszronione okna i zimne kamienne korytarze korpusu kadetów; mały Wowka upada, gdyż ktoś podstawił mu nogę; uderzył się, czuje się bezbronny i pokrzywdzony, a podbródek Mikulskiego, ten sam wstrętny podbródek trzęsie się od złośliwego śmiechu. A oczy...

„To niemożliwe”.

Lisicyń wyciągnął przed siebie ręce, jak gdyby broniąc się przed czymś.

Pan w kraciastym ubraniu — Mikulski czy też ktoś bardzo do niego podobny — rzucił szybkie spojrzenie i milcząc przesunął się pomiędzy ręką Lisicyńa a poręczą. Błysnęły szare oczy, uśmiechnęły się bezczelnie i oto zbiegł już po stopniach na dół, postukując obcasami.

„To przecież — Lisicyń aż się cofnął w tył — oczy tego z czarną brodą, który sprzedawał nici i igły...”

Ucichły kroki i na dole trzasnęły drzwi.

„Co za diabelstwo! To on? Pewnie, że on! Tamten miał czarną brodę, a ten — jasne wąsy. Śni mi się czy co? Daję słowo, że to Mikulski!”

Lisicyń nie spał całą noc. W pokoju niepokoiły go jakieś dziwne szmery, w kuchni chrapał Jegor Jegorycz, w swoim kącie kręciła się i wzdychała Nonna. Dziwne, niepokojące myśli o Mikulskim nie wychodziły Lisicyńowi z głowy. Wydawało mu się, że nie spał, a jednak śniło mu się, że Mikulski miał syna, rumianego chłopczyka, następnie, że Mikulski wpadł w gniew i długim, wyostrzonym nożem obciął chłopcu uszy. Obciął je, wymachiwał nożem i śmiał się. Był w kadeckiej bluzie z naramiennikami, a z wierzchu miał czarną opończę średniowiecznego doktora. Tylko twarz jak we mgle; niby to z brodą, czarniejszą od smoły, to znowu z zakręconymi do góry blond wąsikami.

„Co za diabelstwo!" — myślał Lisicyn patrząc w ciemność i przekładał z miejsca na miejsce poduszkę, nie mogąc się wygodnie ułożyć.

„A broszury, rzeczywiście, pisać nie należy".

Wreszcie wstał i zapalił światło. Usiadł w gabinecie przy biurku.

Na podłodze leżała paczka książek, które wczoraj przysłano z księgarni. Książki były zapakowane w podarte czasopisma i kartki zeszłorocznych kalendarzy. Na jednej z tytułowych stronic była czyjaś podobizna. Ocalała dolna połowa twarzy, ze starannie przystrzyżoną, rozchodzącą się na dwie strony bródką i bogatym szamerunkiem na kołnierzu munduru.

Lisicyn nachylił się, spojrział na skrawek podobizny i przeczytał: „Jego imperatorska wysokość, wielki książę Konstanty Konstantynowicz urodził się 10 sierpnia 1858 roku. Jest on drugim synem jego imperatorskiej wysokości wielkiego księcia Konstantego Nikołajewicza. Nieprzerwanie od 1889 roku jest prezydentem Akademii Nauk, a od 1900 roku — głównym, zwierzchnikiem wojskowych instytucji naukowych".

„Ta-ak" — pomyślał Lisicyn. Znał tę kasztanowatą, jak gdyby rozdzieloną przez wiatr, bródkę — jeszcze z czasów kadeckich, tylko wówczas wydawała się nieco mniejsza. Konstanty Konstantynowicz przyjechał kiedyś do korpusu. Przerwano lekcje, wszystkich przebrano w galowe mundury i uszeregowano w sali. Krzątał się nawet sam generał-porucznik Suchowiejko.

„Było to wkrótce po wydaleniu Mikulskiego".

Nagle z laboratorium dobiegł cichy dźwięk szkła.

— Kto tam?

Z bijącym sercem, ledwie powstrzymując głośny oddech, Lisicyn na palcach podkradł się do drzwi. Rozwarł je gwałtownym szarpnięciem i przebiegł przez pierwszy i drugi pokój.

W laboratorium nie było nikogo.

Okazało się — „Och, jakżem się przestraszył!” — że pękła zawieszona na sznurach pod sufitem szklana rurka zaopatrująca przyrządy w dwutlenek węgla.

„A Mikulski chodzi... chodzi tutaj po schodach. Skąd on się wziął? Czego on chce?”

Lisicyń podniósł odłamek rurki i znowu obszedł laboratorium, zaglądnąjąc do wszystkich kątów i otwierając drzwiczki szaf. Podszedł do stolika z mikroskopem, podpisał się łokciami i długo stał nieruchomo. Myślał o tym, że trzeba działać i walczyć natychmiast, inaczej będzie za późno; rozmyślał o Mikulskim, o Konstantym Konstantynowiczu. Przypomniawszy sobie, że wielki książę — jak mówią — pisze wiersze i drukuje je, podpisując: „K. R.”

Spoza zasłaniającej okno stopy wpadł i przesunął się po ścianie czerwona smuga pierwszy poranny promień słońca.

Lisicyń zgasił lampę, podniósł storę i westchnął — zrobiło mu się lekko na sercu.

„Niech tam — myślał — pisze sobie wiersze. Ludziom należy wybaczyc ich słabostki.

A przecież Konstanty Konstantynowicz jest prezydentem Akademii Nauk. Chociaż jest wielkim księciem — to jednak uchodzi za wykształconego człowieka. Powinien zainteresować się możliwościami syntezy chemicznej. Jeżeli pomysł go zainteresuje i jeśli zechce — to może zaopiekuje się wynalazkiem. Oto najlepsze wyjście z sytuacji!”

Jegor Jegorycz dawno już nie widział swego pana w tak wesołym nastroju, jak tego ranka. Pan bawił się z Nonną. Pies czekał, skakał, wymachiwał ogonem, Lisicyń rzucał mu kawałki kiełbasy i biegał z nim po pokojach.

— Dzień dobry, Jegor Jegorycz! Nie dajemy ci spać!

Po śniadaniu Lisicyń kazał oczyścić czarny frak i wezwać fryzjera.

Był wyjątkowo piękny dzień. Na niebie — ani obłoczka: słońce i lśniąca głębia błękitu. Wiatr nasycił powietrze aromatem choiny.

W nienagannym odświętnym stroju, w sztywnym nakrochmalonym kołnierzyku, który ścisnął szyję, ze starannie przystrzyżoną brodą, która kształtem i kolorem przypominała cegłę, przyjechał Lisicyń do Pawłowska.

Razem z nim wyszli z wagonu jego współtowarzysze podróży wyglądający na drobnych kupców. W ślad za nim przeszli przez piękny gmach dworca. Trzymając się w pewnej odległości od niego i rozmawiając półgłosem, szli w stronę pałacu tą samą drogą i tymi samymi, co on, alejami.

Przed pałacem zatrzymali go żandarmi.

— Pan dokąd? Dokąd? Nie wolno.

— Ja — rzekł Lisicyń — do wielkiego księcia. W ważnej sprawie.

— Nie wolno do wielkiego księcia.

— Przecież mówię, że mam sprawę. O znaczeniu ogólnopaństwowym.

— Podajcie na piśmie. Osobiście nie wolno. Proszę przechodzić i nie zatrzymywać się!

Trzeba było wrócić na dworzec. Wrócili również współtowarzysze podróży. Widocznie żandarmi ich również nie przepuścili. Na dworcu zauważył, że sprzedają książki. Na zielonej płóciennej okładce błyszczał tłoczony, złożony tytuł: „Wiersze K. R.” Lisicyń podszedł, kupił książkę i postanowił przeczytać.

Po upływie dwóch godzin był już w Petersburgu, w swoim gabinecie.

„Wynalazek mój — pisał kaligraficznym pismem — dotyczy sztucznego wytwarzania żywności. Mam niepłonną nadzieję, że w krótkim czasie otrzymam setki tysięcy pudów syntetycznej skrobi i cukru. Niezbędne do syntezy surowce — to dym., dotychczas bezużytecznie wydalany z pieców, i zwykła woda. Cena gotowych pro-

duktów będzie bardzo niska. Najpokorniej proszę Waszą Impera-torską Wysokość o udzielenie mi audiencji. Od Wasze) Najjaśniejszej opieki zależy rezultat przedsięwziętego przeze mnie, a ważnego dla Rosji, dzieła".

Sam zaniósł na pocztę zapieczętowaną kopertę. Gdy urzędnik pocztowy ujrzał adres, zaczął starannie pokrywać pieczęć tuszem. Stojący za plecami Lisicyna człowiek w sutannie, prawdopodobnie diakon, wyciągnął szyję i ciekawie spojrzął na list. Szare jego oczy zabłysły i przygasały, spuścił głowę i odwrócił się. Gdy Lisicyn szedł do wyjścia, mignęły przed nim tylko starcze zgięte plecy i zwisające spod czarnej okrągłej czapeczki długie siwe włosy.

Wracając do domu Lisicyn czuł zapach morza, aromatyczne, wilgotne powietrze, cały nieskończenie piękny świat pod wieczornym niebem. Patrzył na widniejącą przed nim, nad ulicą, pierwszą gwiazdę, uśmiechał się do niej i pogwizdywał jakiegoś marsza.

Potem przypomniał sobie ciotkę.

„Staruszka... — pomyślał. — Nieładnie, że już rok pewnie nie byłem u niej. Gdy tylko dostanę odpowiedź od Konstantego Konstantynowicza..."

Jegor Jegorycz otworzył swemu panu drzwi i zabrał się do wycierania talerzy ściereczką. Na stole syczał już samowar. Lisicyn wziął kupioną dzisiaj na dwocu książkę w zielonej płóciennnej oprawie, otworzył na chybił-trafił i przeczytał:

Do niebios ciągle wznosim oczy,
Modlitwy szepcząc w dzień i w nocy...
Rude brwi uniosły się i poruszyły niespokojnie.
„M-mta-a-k..."

Przewrócił kartkę tak, że aż się rozdarł papier — jakieś pełne pokory, klasztorne wierszydła — przewrócił Jeszcze jedną i odłożył książkę na bok. Mieszając herbatę w szklance, zaczął myśleć nie o autorze wierszy, lecz o innym Konstantym Konstantynowiczu, o akademiku, bardzo wykształconym wielkim księciu, który

wkrótce otrzyma list — jest już przecież na poczcie — i od razu wyciągnie do Lisicyna rękę jak przyjaciel i sprzymierzeniec. A wtedy żaden Mikulski...

W tym samym czasie na poczcie siedział oficer żandarmerii. Razem z urzędnikiem pocztowym rozklejał kopertę starannie zaklejoną przez Lisicyna. Przeczytali list, zrobili odpis, znowu zakleili i zalakowali.

Rozpoczęła się ukryta przed niewtajemniczonymi bieganina. Chłopczyk w łachmanach nacisnął guziczek dzwonka w drzwiach Bierdnikowa i podał mu karteczkę; Bierdnikow szybko zbiegł po schodach, zawołał dorożkarza i odjechał. Późnym wieczorem Titow odszukał ojca Wikentija. Z samego rana zaś protojerej, podtrzymując palcami na piersiach masywny srebrny krzyż, szedł drogą prowadzącą do Pawłowskiego pałacu. Przez cały tydzień ludzie w mundurach, surdutach, sutannach i lokajskich liberiach o czymś szeptali; jedni z nich wypłacali innym jakieś pieniądze. Któż mógł znać zamiary tych ludzi?

Lisicyn pracował teraz zapamiętale i bez przeszkód.

Zrozumiał bardzo prostą rzecz. Pewnego razu spojrzął na swoje przyrządy i pomyślał: „Rośliny żyją przy powtarzającej się ciągle zmianie nocy i dnia. Czy proces nie postępowałby szybciej, jeżeli oświetliłoby się filtry krótkimi błyskami tak, aby światło zmieniało się raz po raz z ciemnością?

Dlaczego jednak nie wzywają mnie do wielkiego księcia? To nic, nie można tak od razu. Zawezwą. Zanim mój list... Niedługo urzeczywistni się bajka... Można zrobić obracające się abażury z okienkami. Ażury będą się obracać, co spowoduje zmianę faz: światło-ciemność, ciemność-światło".

— Jegor Jegorycz, bądź taki dobry i sprowadź dobrego ślusarza. Albo nawet dwóch ślusarzy.

Przyszli ślusarze, stukali blachą, zgrzytali w kuchni pilnikami. Lisicyn nie wpuścił ich do laboratorium.

Sam stał przy kuchennym stole z zakasаныmi rękawami i pokazywał, jak zrobić abażury obrotowe.

Udało się wspaniale: Lisicyн oświetlił filtry migającym światłem i od razu w pierwszy dzień znalazł w roztworze pięć razy więcej cukru, niż znajdował uprzednio.

Biała powłoka stałych węglowodanów, która przedtem otaczała podczas doświadczeń aktywne ziarna i wstrzymywała bieg reakcji, teraz — w czasie krótkich chwil ciemności — albo oddzielała się od ziaren i w postaci łusek spływała z przeciekającą przez filtr wodą, albo przechodziła całkowicie w rozpuszczalną substancję. Te-raz powłoka przestała być przeszkodą. To znaczy, że można już przyspieszyć proces; zbliża się koniec pracy

Lisicyн wyszedł do gabinetu i zatrzymał się przed wizerunkiem Mendelejewa: „Oto prosta droga, Dmitrij Iwanowicz! Już niedaleko!”

Uśmiechnął się. Miał znużoną twarz: pracował po szesnaście godzin na dobę.

*

* *

Pałac w Pawłowsku słusznie był uważany za arcydzieło rosyjskiego stylu klasycznego. Najlepsi mistrzowie rosyjscy budowali go dla cesarza Pawła. Po Pawle pałac należał do Aleksandra I, Mikołaja I, a następnie do bocznej linii carskiego rodu, do wielkich książąt.

Rozpoczął się dwudziesty wiek. Wszystkie pałace, i nawet wszystkie domy ludzi zamożnych — zarówno w Petersburgu jak i na przedmieściach — jarzyły się od elektrycznego światła. A w Pawłowsku obchodzono się po dawnemu bez elektryczności. Konstanty Konstantynowicz lubił, jak się wyrażał, „mądrą przeszłość”. W pałacu jego co wieczór zapalano lampy naftowe i świece.

Wielki książę siedział w jednym z pałacowych salonów. Siedział z pochyloną głową. Rozdwojona bródka ukrywała kołnierz szamerowany złotem i dotykała ge-

neralskich epoletów na prawym ramieniu. Bródka była lekko przyprószona siwizną. Oczy patrzyły nieruchomo — jak szklane.

Przed wielkim księciem, ledwo przycupnąwszy na brzeżku krzesła, jak gdyby za chwilę miał zsunąć się na podłogę, usiadł człowiek wyglądający jak łysy krasnoludek. Krasnal miał czerwony nos i był we fraku; spod śnieżnobiałej puszystej brody przebłyśki wały orde-ry; przez ramię, również pod brodą, biegły na krzyż szerokie wstęgi.

Wielki książę słuchał.

— Wasza wysokość jest najlepszym znawcą — mówił staruszek pochylając się unieźnienie i połyskując jednocześnie gniewnymi oczkami. — Ja miałbym was uczyć? Przypominacie sobie: czy udało się alchemikom stworzyć homunculusa *? Czyż można naukę oddzielić od religii... e... e... ducha od materii? Proszę się nie gniewać... Ale czy można oddzielić? Nie, wasza wysokość! Prawda? Tylko duch — starzec podniósł rękę z powykręcany-ymi w stawach palcami i potrząsnął nią nad łysiną — tylko wieczny duch ma moc tworzenia z martwej materii — życia! Zwykli śmiertelnicy nie mogą stworzyć ani flory, ani fauny. Zgubne poglądy materialistów obaliła na szczęście współczesna nauka. I tylko godny pożalowania nieuk i szarlatan... — oczka starca zaokrągliły się, zaczął sapać, mrugać zaczerwienionymi powiekami i nawet dotykać żółtym paznokciem rękawa wielkoksiążęcego munduru — tylko nieuk i szarlatan nie pojmujący boskiej istoty bytu...

Konstanty Konstantynowicz z lekka poruszył się i zapytał:

— Niech pan wybaczy, że panu przezwę, profesorze.

* *Homunculus* — sztuczny człowiek, którego średniowieczni alchemicy chcieli stworzyć sposobem laboratoryjnym.

Jakie jest pańskie zdanie o phacy tego Lisiczkina... Lisicyna zdaje się? Phoszę odpowiedzieć wphost na pytanie.

Wielki książę miał głuchy głos, a w wymowie wyczuwało się angielski akcent.

— To kłamca! — krzyknął starzec podskakując na krześle. — Kłamca i oszust! Łgarstwa i to wyłącznie same łgarstwa ośmielił się napisać! Nauka ustaliła ściśle: ludzie... — kiwał głową przy każdym słowie — nie są w stanie... stworzyć w próbówce tego, co woła bożą — powykęcane palce znowu uniosły się nad łysiną — tworzy się w żywej roślinie.

Wydawało się, że oczy Konstantego Konstantynowicza stały się jeszcze bardziej szklane. Zachęcająco skinął głową. Przyszło mu na myśl, że w tej sprawie zawezwany został jeszcze jeden profesor, i skierował wzrok na wiszący na ścianie obraz. Wyblakłe płótno było dziełem pędzla starego mistrza flamandzkiego. Przedstawiało Chrystusa w Ogrójcu.

Staruch pochylił się i dalej ciągnął złowieszczym szeptem:

— Lisicyn — mam o nim wiarogodne informacje — zachowuje się w sposób godny potępienia i nie uczęszcza do cerkwi. Nieuk i chciwiec nie wstydził się kusić waszą wysokość płodami swoich nierealnych wymysłów. Ochronić was trzeba, wasza wysokość, przed oszustem, który chce wykorzystać waszą dobroć...

Za uchylonymi drzwiami, kryjąc się za portierę, stał ojciec Wikentij. On także słuchał i potakująco kiwał głową.

Nagle czyjaś ręka dotknęła jego sutanny; podkradł się do niego na palcach lokaj w dworskiej liberii i niemal bezdźwięcznie powiedział:

— Sapogow przyjechał.

Twarz duchownego, upodobniła się od razu do paszczy rozjuszonego lwa.

— Boże! — zasyczał. — Wygonić heretyka, sługę szatana! Przez żandarmów! Powiedz temu niegodziwcowi, że przez pomyłkę wezwano go do wielkiego księcia. Albo powiedz: już nie ma potrzeby. A na przyszłość, niech się nie waży!

Profesora chemii Sapogowa, który otrzymał wezwanie od Konstantego Konstantynowicza, nie wpuszczono do pałacu. Na próżno pokazywał drukowane zaproszenie, na którym wymienione było jego nazwisko oraz oznaczony dzień i godzina audiencji.

— Wielki książę prosi o wybaczenie — rzekł z pełnym szacunku ukłonem poważny jak generał lokaj. — Prosił powtórzyć panu profesorowi, że bardzo żałuje, ale rozmowa jest już niepotrzebna. — Lokaj cofnął się o krok, położył rękę na piersi i jeszcze raz skłonił się z namaszczeniem. — Jego cesarska wysokość usilnie prosi o wybaczenie.

Sapogow wzruszył ramionami i odjechał z powrotem do Petersburga.

...Minęło kilka dni.

Posłaniec pałacowy przyniósł Lisicynowi zalakowaną kopertę z pięcioma czerwonymi pieczęciami. Lisicyn rozerwał ją i na szeleszczącym błyszczącym papierze, ozdobionym złotymi dwugłowymi orłami, przeczytał:

„Jego Imperatorska Wysokość Wielki Książę Konstanty Konstantynowicz raczył, po rozpatrzeniu Pańskiej prośby, orzec: pozostawia się prośbę bez uwzględnienia

Lisicyn musiał przeczytać tych kilka wierszy dziesięć razy, zanim sens ich dotarł do jego świadomości.

Długo stał pośrodku gabinetu, potem zmiął papier, rzucił go w kąt i ciężkim krokiem poszedł do laboratorium.

ROZDZIAŁ VII

KA TASTROFA

Wieczorem przestał działać jeden z obrotowych abażurów. Lisicyń nie chciał przerywać doświadczenia, więc nie wyłączając lamp łukowych, zaczął naprawiać uszkodzenie. Ciemne okulary mu przeszkadzały, więc zsunął je na czoło.

Nagle skrzypnęły drzwi i rozległ się czyjś znajomy głos:

— Jak się masz, Władimir! Oj-oj-oj, co się tu u ciebie dzieje?

Lisicyń odwrócił się. Nic nie widział; po jaskrawym świetle, przed oczyma migają zielone i czerwone koła.

— Nie poznajesz mnie?

— Glebow! — Lisicyń poznał go po głosie i ucieszył się bardzo. — Paweł! Mój drogi!

Teraz dopiero rozróżnił stojącą w drzwiach postać. Podbiegł do starego przyjaciela i objął go. Glebow miał teraz krótkie, kłujące włosy.

— Tyle lat... tyle lat nie byłeś u mnie!

— Przyszedłem do ciebie przenocować. Dobrze? Wczoraj przyjechałem z zagranicy. Ze Szwajcarii. Uprzedzam, że nielegalnie.

— Serdecznie zapraszam. Tydzień, miesiąc, rok nawet możesz mieszkać u mnie!

Lisicyń był wyższy od Glebowa. Gładził brodę i, mrużąc oczy, z zadowoleniem spoglądał na gościa. Za jego plecami spod obracających się abażurów migają oślepiające światła lamp; szklane przyrządy połyskiwały jak drogocenne kamienie w zaczarowanej grocie.

Niepostrzeżenie zjawił się w pokoju Jegor Jegorycz. Postawił na podłodze kosz, z którym zawsze chodził na zakupy, kaszlnął znacząco i rzekł:

— Wasza wieimówność, mam pewną sprawę do załatwienia. Niedaleko.

— Proszę bardzo, idź dokąd ci się podoba!

Gdy Jegor Jegorycz wyszedł, Glebow roześmiał się:

— „Wasza wieimówność” zapuścił brodę. No, opowiadaj, wszystko po kolei.

Wskazał ruchem głowy w stronę laboratoryjnych stołów.

— Cóż to za feeria? Zupełnie niepojęte! Ciągłe wapienie?

— Czeka!

Gospodarz przekręcił krany i wyłączniki. W laboratorium zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

— Chodźmy do gabinetu. Usiądziemy.

— Wciąż jesteś po dawnemu samotny jak pustelnik?

— Po dawnemu. Z Jegorem Jegoryczem.

Usiedli obok siebie na kanapie. Lisicyń znowu uśmiechnął się błogo, po chłopcemu, spojrzął na gościa, który wyjmował z kieszeni papierosa; dotknął jego ramienia, a potem na stojącym obok pustym krześle postawił popielniczkę.

— No, opowiadaj — rzekł Glebow. — Jak spędziłeś te wszystkie lata, nad czym pracujesz?

Jego dobra twarz, o lekko wystających kościach policzkowych, pokryta była siecią drobnych zmarszczek. W wąsach przeświecały nitki pierwszej siwizny. Ciemnoniebieskie oczy spoglądały z dobrocią i ciekawością razem.

Lisicyń, który nie palił, wziął nie wiadomo po co papierosa z pudełka, pokręcił go w palcach i położył z powrotem. Chwilę milczał, a potem rzekł:

— No, cóż... Postaram się opowiedzieć w kilku słowach. — Ściągnął brwi i spojrzął na Glebowa. — Słu-

chaj! Pamiętasz, chciałem rozłożyć wapien. To już należy do przeszłości. Od tego czasu...

— Aha... To znaczy, że z wapieniem skończone?

— Już od wielu lat. Posłuchaj!

I od razu opowiedział o milionach pudów skrobi i cukru, o bogactwie, które dziś, jutro otworzy się dla ludzkości. — Udało mi się — mówił — uczynić dla ludzkości więcej niż komukolwiek kiedykolwiek w historii. Teraz jestem już na progu — rozumiesz? — w przededniu ostatecznego rozwiązania zadania. Po pierwsze — wstał z kanapy i zaczął wyliczać — nie będzie teraz ani głodu, ani wynikającego z nędzy poniżenia; po drugie, władza bogaczy i despotyzm cara stracą na sile, jeżeli każdy będzie syty. Żywność syntetyczna... trzeba zrozumieć tylko, jakie perspektywy otwiera żywność syntetyczna!

Nawet samemu nie chce mi się wierzyć, Paweł. Ale jakiej to pracy wymagało, ile zachodu... I jeszcze nie wszystko przezwyciężyłem. To tysiąc i jedna noc. Jakiś dziwny splot!

Opowiadając o swoich doświadczeniach Lisicyń ze wzburzeniem chodził po pokoju. Wymachiwał suwakiem logarytmicznym, stukał szufladami biurka, rozkładając przed gościem dzienniki swoich doświadczeń.

— Chodź, pokażę ci to w laboratorium! Wstań, pójdziemy!

Znów rozległ się trzask wyłączników. Glebow ujrzał jaskrawo migające lampy, niezrozumiałe przyrządy i zawieszane na sznurach pod sufitem szklane rurki. Lisicyń otworzył szafę i wyjął kilka słoików napełnionych przezroczystym miłym cukrem i gładką śnieżnobiałą mączką. Mączka ta, a właściwie skrobia skrzypiała w palcach.

— Skosztuj! Skosztuj, proszę! O, z tego.

Glebow spróbował: cukier jak cukier.

— To ciekawe. Wiesz, bardzo ciekawe — rzekł. — Doskonale, Władimir. Gratuluję!

Lisicyń opowiadał po kolei o swoich troskach i nieprzyjemnościach. Opowiadał o dokuczliwych spekulacjach, o tym, jak dobierali się do niego złodzieje, o spotkaniach z ludźmi, dziwnie podobnymi do Mikulskiego, o rozmowie z radcą Wozdwiżenskim, o nieustannym uczuciu niepokoju, wreszcie — o próbie zwrócenia się do Konstantego Konstantynowicza.

Przyniósł z gabinetu zmięty papier z połączanymi dwugłowymi orłami:

— Spójrz, co odpowiedział wielki książę.

Glebow przeczytał: „Pozostawia się bez uwzględnienia”.

— Ta-ak — powiedział przeciągle. — A naczelnik policji nie chciał przedsięwziąć żadnych środków?

— Nie. Tylko zachichotał jak idiota.

— To rzeczywiście podejrzone. Jakiś ty naiwny. No. a co masz zamiar robić dalej?

— Cóż mogę robić? Oczywiście kontynuować doświadczenia.

— Dziwak!

Siedzieli w laboratorium na wysokich okrągłych stołkach. Zza drzwi dolatywał stuk talerzy i pobrzękiwanie noży. To Jegor Jegorycz wrócił do domu i nakrywał stół do kolacji.

Glebow wskazał dymiącym papierosem w stronę drzwi i zapytał półgłosem:

— Ufasz mu? Nie sprzeda?

— Nigdy! — wykrzyknął Lisicyń. — Ufam mu bezgranicznie.

— A można z nim mówić o wszystkim?

— Ja z nim mówię o wszystkim. Lubię staruszkę.

— Jegor Jegorycz! — głośno zawołał wówczas Glebow.

Stary nadbiegł z przerzuconą przez ramię ścierką.

— Czym mogę służyć?

Glebow powiedział:

— Usiądźcie tu z nami. Niemłody z was człowiek i doświadczony. A przy tym wydaje się, że nie jesteście wrogiem Władimira Michajłowicza. Czy nie zauważyliście jakichś obcych ludzi przechadzających się przez dłuższy czas koło waszego domu? Tak, wicie, bez potrzeby?

Jegor Jegorycz pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Rozmaicie bywa. Przechadzają się oczywiście i bez potrzeby. Ośmielam się zameldować: szedłem akurat z koszem. A tu przy samej bramie stoi pan...

— Całkiem obcy?

— Już od miesiąca albo więcej przychodzi do gospodarza domu. Do pana Bierdnikowa. Niby jego przyjaciel. Taki z białymi rzesami.

Lisicyń, milcząc, jednym susem zerwał się ze stołka i wybiegł z pokoju. „Znowu ten przekłety Mikulski” — zdecydował.

Zamknięta w kuchni Nonna zaczęła szczeleć. Jegor Jegorycz wybiegł w ślad za swoim panem do przedpokoju. A Lisicyń z ciężką laską w ręku biegł już po schodach na dół.

Na chodniku, w niewyraźnym nocnym zmroku, stali rzeczywiście ludzie i to nie jeden, lecz trzech. Natychmiast rozstąpili się. Dwóch z nich przeszło na drugą stronę ulicy. Wymachując laską, Lisicyń podszedł do trzeciego. Był to zwykły policjant: pomarańczowy sznurek na szyi i bufiaste szarawary, opadające na buty.

— Co to za jedni? — zapytał Lisicyń dysząc ciężko i wskazując laską w kierunku, w którym dopiero co zniknęły dwa cienie.

Na ulicy było cicho i pusto. Dalekie latarnie na słupach świeciły słabo.

— Oni? — niechętnie powiedział policjant. — Skąd ja mogę wiedzieć! Przechodnie.

Tymczasem Glebow siedział sam w laboratorium. Od niedokończonego papierosa przypalił następnego.

W głównych przyrządach prąd był wyłączony; tylko



malutka, elektryczna żarówka świeciła się na stoliku przy mikroskopie.

Poszukał oczyma popielniczki — nie znalazł jej — więc wsunął niedopałek do pustego, jak mu się wydawało, porcelanowego moździerza. Potem odwrócił się i uważnie spojrzął na duży stół laboratoryjny, na skomplikowane urządzenia z metalu i szkła.

„Dziwak, dziwak — pomyślał o Lisicyń — ale pomyśl, przyznać trzeba, wprost fantastyczny. Przy tym zachowuje się jak dziecko. Albo jak kupiec w przedsionku cerkwi. Jałmużnę ofiarowuje ludziom hojną ręką, ażeby go wychwalali. Dokąd on teraz poleciał? Swoją drogą, ciekawa sprawa... To jasne, że snują się wokół niego intrygi... Zagryzą go — jest taki zupełnie bezbronny. To ci dopiero sprawa!”

— To nic, głupstwo — rzekł Lisicyń stając w drzwiach z laską, którą zapomniał zostawić w przedpokoju.

„Jeżeli, tak jak mówi, doprowadzi pracę do końca — myślał Glebow — to sprawa nie na żarty. Zależy tylko w czyich rękach”.

— To nic — głośno ciągnął dalej Lisicyń, siadając znowu na stołku. — Rozbiegli się bandyci. Teraz jest już spokojnie. Stoi tam nawet policjant.

— Gdzie stoi policjant?

— Tam na dole, przy wejściu.

— Czegóż od razu tego nie mówisz?

Gość zerwał się ze stołka.

Lisicyń zmieszał się, poczerwieniał i wstał również.

— Och, wybacz, proszę, zupełnie zapomniałem.

Ale,

to głupstwo, daję słowo. Nie zwracaj uwagi. Jesteś przecież u mnie!

— Mów do rzeczy: kto jest na dole?

Glebow wypytał dokładnie, co się dzieje na ulicy, i zrozumiał, że nie wolno mu tutaj nocować:

— Sam wpadnę i jeszcze ciebie skompromituję.

— Bóg z tobą, cóż ty...

— W żaden sposób! Nie mogę. Mówię: „nie“ i odchodzę.

Glebow potarł zapałkę, znowu zapalił papierosa i obłoczek dymu przysłonił go na chwilę.

— Pomyślę jeszcze — rzekł ująwszy za kłamkę — o losie twojego wynalazku. Może poradzę się kogoś. Wiesz co — wypuścił nowy kłęb dymu — porozmawiamy o twoich planach jutro. Nie masz nic przeciwko temu?

— Ależ proszę bardzo. Przyjdź wprost na obiad.

— Nie-e — roześmiał się Glebow. — Widzisz, nie o to chodzi! Z tego — to figa!

Zadrgały mu kąciki ust. „Stał się podobny do tego dużego kadeta, jakim był... dwanaście? — podliczał Lisicyn w myśli — nie, piętnaście, szesnaście lat temu”.

— A co proponujesz?

Lisicyn, wielki, dorosły człowiek, poczuł się nagle małym chłopczykiem w bluzie z naramiennikami. Glebow spojrzał na niego, jak dawniej — jak duży na malutkiego:

— Oto moja propozycja. Zapamiętaj sobie: najpierw musisz wziąć dorożkę i krażyć po mieście. Z końca na koniec. — Machnął przed sobą papierosem. — Ciągłe zmieniaj przy tym dorożkarzy. Rozumiesz? Zapłać jednemu, potem idź kawalek pieszo — weź drugiego. Jedź gdzie indziej. W ten sposób przyjedź około trzeciej godziny na Wyspę Wasilijewską. Na Ósmej Linii jest restauracja Mawrikanowa. Podejdiesz do bufetowego i zapytasz: „Kiriucha nie przychodził do was?”

— Kto to jest Kiriucha?

— Tego nie potrzebujesz wiedzieć. I dogadamy się ostatecznie. A teraz słuchaj: chcesz, ażeby twój wynalazek... twój właśnie... przyniósł naszemu narodowi nie szkodę, lecz korzyść?

Czoło Lisicyna przecięły dwie głębokie bruzdy.

— Mój wynalazek nie może nikomu przynieść szkody powiedział marszcząc brwi.

— A właśnie, że może. I to bardzo wielką — Glebow wyjął z kieszeni zegarek, z przyzwyczajenia trzasnął wieczkiem i popatrzył, która godzina. — No, idę już. — Uśmiechnął się. — Jutro pogadamy, Władimir. Jutro. Do widzenia!

Lisicyń splótł ręce na piersiach i westchnął:

— Nie przypuszczałem, że potępisz moją pracę.

Teraz dopiero zauważył, że jasne włosy starego przyjaciela są na wpół siwe.

Glebow przesunął ręką po włosach i znowu uśmiechnął się, aż roziskrzyły mu się gorące niebieskie oczy, błysnęły białe zęby.

— Naprawdę, dziwak! Kto cię potępia? Ale już dosyć, Jegor Jegorycz przeprowadzi mnie jakoś przez tylne wyjście. Prześliznę się. — Podeszedł do stołu i wrzucił niedopałek do moździerza. — Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Rabusie, oczywiście, są we wszystkich krajach, Jeżeli jednak konieczny jest śmiały manewr, ucieczka z miejsca, gdzie grunt pali się pod nogami... Powiedz, czy mi wierzysz? — Pytająco spojrzał Lisicyńowi prosto w oczy.

— Tak, wierzę bezwzględnie.

— Powiedz, co o tym myślisz, aby tak wyjechać stąd na pewien czas... i to szybko, nagle i niespodziewanie, w ostateczności nawet za granicę. Może, na przykład, do Szwajcarii albo gdzie indziej? Wyjechać, aby zachować swój wynalazek dla narodu rosyjskiego, dla przyszłej Rosji — i to zachować z całą pewnością.

Lisicyń stał, uparcie kręcąc głową o szerokim czole, a splecione palce trzeszczały mu w stawach. Broda przesuwiała się po palcach, to w prawo, to w lewo.

— Nie mogę — odpowiedział szeptem — zostawić laboratorium. Nie, w żaden sposób.

— Boję się, Władimir! — Glebow patrzył teraz z nieukrywaną trwogą. — Boję się, ażeby rabusie nie położyli łapy na tobie i na wynikach twojej pracy. Zresztą, przyjedź o trzeciej! — I już w gabinecie mówił: — Pomóż-

cie mi, Jegor Jegorycz, muszę stąd uciec... A Władimira Michajłowicza strzeżcie jak oka w głowie.

Jegor Jegorycz wyprowadził gościa przez kuchenne schody i pokazał:

— Widzi pan to niewysokie ogrodzenie, trzeba przez nie przeleźć, a potem przez sąsiednie podwórze i bramę, która jest stale otwarta, można się wydostać na inną ulicę.

Stary podstawił Glebowowi ramię. Ten odbił się, wskoczył na murek i zniknął w ciemnościach.

Wkrótce zaczął padać deszcz. Lisicyń słuchał chwile jego szumu, potem odsunął storę i spojrzął w okno. Po zewnętrznej stronie szyb spływała woda wijącymi się strużkami.

A Glebow, z podniesionym kołnierzem od kurtki, szedł zbliżając się do krańców miasta. Rękawy przemokły mu już zupełnie. Wiatr bił w twarz ukośnym, zimnym deszczem. Glebow to szedł szybkim krokiem, to znowu zwalniał i nasłuchiwał. Nie, zdaje się, że nikt go nie śledzi. Deszcz taki, jak na Syberii na zesłaniu. Wtedy było jednak gorzej: z zimna szczykały mu zęby. Ciemności wydawały się nieprzeniknione. Tajga szumiała groźnie, a burza z grzmotem podobnym do wystrzałów armatnich łamała drzewa. Można było zrozumieć wszystkie obawy pierwotnego człowieka. „Rozumiem teraz — myślał Glebow — stosunek pierwotnych ludzi do ognia. To przecież istne błogosławieństwo: siedzieć, suszyć się i grzać przy ognisku. Para unosi się z mokrej odzieży... Tak, to wspaśniała rzecz takie ognisko. Co jak co, ale drzewa w tajdze nie braknie. Żywioł leśny.

Przeczuwałem, że z Lisicyna będzie pożytek. Brodę wielką zapuścił. Aż śmieszne, że oprócz swoich przyrządów niczegusieńko nie rozumie. Po prostu jak z księżyca... Wydaje mu się, że będą go wielbić. Obawiam się, że zamiast tego dostanie na razie po karku. Stworzą ogromny monopol. Tajgę zaczną przerabiać na chleb.

Całkowicie uzależnią od siebie cały naród. A byłaby to naprawdę wspaniała rzecz, gdyby powiązać ją z rewolucją...

Po pierwsze — rozmyślał Glebow — czy to nie jest naiwne, wierzyć, że sztuczne pożywienie może osłabić ucisk władzy carskiej i ograniczyć apetyty burżuazji? Przypuśćmy, że kapitalizm pozostanie kapitalizmem. A jeżeli pozostanie, to przy obecnym ustroju... Śmieszne! Znajdą się tacy, co zagarną wynalazek w swoje ręce i koniec. I to musi nastąpić nieuchronnie.

Poczekaj, a dlaczego myślisz: tajgę na chleb? Dlaczego? Czy tylko tajgę? Jest przecież także węgiel kamienny, A co najważniejsze — jak słusznie powiedział Władimir — jest również gotowy dym, który nic nie kosztuje. Te właśnie surowce...

Po drugie, droga do wykorzystania wynalazku prowadzi jedynie poprzez rewolucję. Sam Lisicyń tego nie widzi. Ale tylko po dokonaniu rewolucji... W przeciwnym razie... co za wstrętna plucha... w przeciwnym razie rezultatem będzie nie dobro powszechne, lecz jeszcze większy ucisk, ucisk — dla ludu, a dla fabrykantów — dochody. Dla partii zaś opieka nad nauką i troszczenie się o przyszłe bogactwa nie jest sprawą obojętną... Nie, to nie jest obca nam sprawa. Żadną miarą. Towarzy-sze chętnie pomogą Władimirowi. Tym bardziej że nie dąży on do osiągnięcia zysków i jest człowiekiem z natury uczciwym. Jest ambitny! Ale to nic: z nim można się dogadać. Trzeba go tylko przekonać — to zrozumie. Należy napisać o nim do Komitetu Centralnego..."

Glebow szedł przez plac, brodził po kałużach i kulił się z zimna, gdyż zupełnie przemoczona koszula przylegała do piersi pod marynarką jak mokry kompres. „Ani żywej duszy na ulicy — pomyślał. — Wszyscy skryli się przed deszczem. To wcale niezłe, to niezłe. Ale dlaczego go tam, u Lisicyńa, stał policjant?"

Nareszcie ukazały się ledwo widoczne w mroku zarysy pochylonej lepianki i ciemna sylwetka stuletniej

wierzby. W oknach nie ma światła. Oto już oślizłe od deszczu, grubo ciosane drzwi?

Glebow podniósł rękę, ażeby zapukać, lecz zwlekał jeszcze. „Na pewno teraz śpią — myślał — i sam Gierasim Wasilijewicz, i żona, i ich sześcioro dzieci, jedno mniejsze od drugiego. Rozścielili na podłodze szubki i poduszki w perkalowych powłóczkach, po jednej na dwoje, i położyli się pokotem. A teraz zbudzą się, zaczną się krzątać, aby go ugościć. Przyjmują go zawsze jak najmilszego gościa, aż wstyd po prostu. Czy warto narażać ich na takie ryzyko — jest przecież bądź co bądź niebezpiecznym gościem. Co prawda, Gierasim Wasilijewicz gniewa się, gdy się o tym mówi. Trzeba jednak pamiętać. On, Glebow, powinien o tym pamiętać.

Stał na ganku, wsłuchany w jednostajny plusk deszczu. „Dawniej była siostra, Ksenia — przemknęło mu w pamięci — był Piotr Iljicz, jej mąż — technik kolejowy, Jacy wspaniali ludzie przychodzili dawniej do nich! A teraz został tylko jeden Gierasim Wasilijewicz. Jeden jedyny pośród żywych jak niteczka przeciągnięta od nie-go, dzisiejszego Glebowa, do tamtego miłego domku nad rzeką... Ptak pokrzykiwał na drugim brzegu, nocne niebo było blade, a Azarij Daniłowicz opowiadał o walce o szczęście dla ludzkości. Gierasim pracował wówczas jako palacz na lokomotywie u Piotra Iljicza. Był rumianym, prostodusznym, wiejskim chłopcem...

Po plecach pociekła zimna strużka. Glebow znowu podniósł rękę i wreszcie zastukał ostrożnie. Zza drzwi rozległ się zaspany ochryply bas:

- Kto tam?

- Otwórzcie, Gierasim Wasilijewicz, to ja, Glebow ... do was.

--- Kto?

--- Glebow, mówię.

— To naprawdę wy, Paweł Kiryłycz?

Drzwi otworzyły się gwałtownie, a w nich ukazała się męską postać w samej bieliźnie.

Ale deszcz... Paweł Kiryłycz, patrzcie no, jest zupełnie przemoczony!

Tymczasem — było to już dobrze po północy — nad Petersburgiem płynęły czarne ciężkie chmury, od Zatok Pińskiej dał ostry wiatr, wydawało się, że strumienie wody nie spadają z góry, lecz pędzą poziomo i chluszczą z nieustannym szumem w ściany domów, stołki dachów, parkany i słupy telegraficzne.

Nawet dorożek nigdzie nie było widać.

Jedną z ulic, zwykle bardzo ludną, a teraz jakby wymartą, wielkimi krokami szło dwóch ludzi. Obydwaj owinęli się w nieprzemakalne płaszcze.

— Ależ pogódka! — rzekł jeden z nich.

— Tak, pogódka! — odpowiedział drugi.

Kilka minut szli znowu w milczeniu. Potem pierwszy zapytał:

— Jesteście absolutnie przekonani?

— Co do czego?

— Co do tego, kogo on przyjął na noc.

— O to właśnie chodzi, że nie — powiedział drugi, półgłosem. — Dyżurny wywiadowca nie jest pewien. Nie zna dobrze twarzy. A z drugiej strony nie wolno nie wykorzystać nadarzającej się sposobności. Już wielki czas. Generał też się gniewa. Onegdaj nawet tupął nogami.

— Pamiętajcie, że jeżeli się omylicie, spłoszycie go niepotrzebnie.

— Zrobimy tak, żeby się nie pomylić. Uda się razem z ceną zwierzyną — to bardzo dobrze. Dwa zające na raz, czy może być lepiej? A w ostateczności...

— Chcecie zastosować wypróbowany środek?

— W ostateczności — mówię wam po przyjacielu — wypróbowany środek. Już wielki czas, nie wolno dalej zwlekać.

Wiatr stał się porywisty. W przerwach, gdy nieco przy-cichał, słychać było monotony plusk ulewy.

Ludzie w nieprzemakalnych płaszczach skręcili za róg i zniknęli w jakiejś bramie.

Tej nocy Lisicyń także długo nie kładł się spać. Po rozstaniu się z Glebowem, kręcił się bez celu po laboratorium, dotykał przyrządów, oglądał mętne ciecze w kolbach.

Przypominał sobie, ile trosk, ile rozmyślań i głębokich rozważań kosztowała każda drobnostka, każde zdjęcie szklanej rurki, każdy gwóźdź wbity w ścianę. A cóż dopiero powiedzieć o głównych przyrządach — o filtrach!

Trudno nawet zliczyć, ile razy odwoził je do pracowni szklarskiej, to, ażeby coś zmienić, to znowu — naprawić. Z roku na rok je ulepszał. Oto stoją teraz, lśniące zielenią. Są jak rodzina, jak bliscy przyjaciele. I wszystko w laboratorium... jakże więc obejść się bez tego? Tam — pompa próżniowa, tutaj — gazomierz z aparaturą do regulowania przepływu gazu, tu znowu urządzenie do szybkiego wykonywania analizy. Wszystko to — to nierozwalne części skomplikowanej całości, którym można zaufać, które nie zawiodą i nie oszukają. A wszystko to powstało z jego myśli, z niezliczonych miesięcy uporczywej pracy. Czyż można to porzucić? Jakże więc myśleć o zagranicy!

Tutaj, na tym parapecie okiennym sześć lat temu udało się pierwsze doświadczenie. Prymitywne, po prostu ze światłem słonecznym. Jak wtedy jasno świeciło słońce! A i teraz niedawno, na wiosnę: słońce przygrzało, na chodniku dzieci narysowały kredą klasy i zaczęły skakać na jednej nodze. Było to takie zabawne i miłe. A oto Petersburg. Na bulwarze wznosi się jeździec z brązu. Cóż by to było za życie, gdyby nie można było chociaż czasami popatrzeć na tego jeźdźca? Nawa, kanały, mosty. Barki z drzewem. Na ulicach tłum. Możesz do woli nasłuchać się ojczystej mowy. Czyż można zamienić to na jakieś tam obmierzłe — kto je tam zna — obce kraje?

„Nie — myślał Lisicyń — gdzie indziej na obczyźnie moja praca nie ruszy z miejsca. To głupie rzucać wszystko z powodu nieuzasadnionego strachu. Śmieszne: przepłoszyłem się złodziei, no i co z tego? Rzucać takie laboratorium — spojrzał znowu dokoła i zatrzymał wzrok na głównych przyrządach, na skomplikowanej płataninie szklanych rurek i przewodów elektrycznych — miałbym to wszystko opuścić, zniszczyć... Nie, nie wolno, za nic!

Pomimo wszystko ten Glebow jest dziwny. Co innego — on. On jest związany z rewolucją. Lecz dlaczego mierzy mnie tą samą miarą? Dlaczego ja miałbym się ukrywać? Powiem mu to jutro. Mikulski, mówisz? Głupstwo! Trzeba tylko być ostrożniejszym. To zresztą całkiem niedorzeczne: komu może wyrządzić szkodę, komu może zawadzać to, że żywność będzie tania? Wszystko to nie ma sensu. Głupstwo i tyle”.

Za oknami rozwidniało się. Deszcz już nie padał. Lisicyń położył się do łóżka, naciągnął na głowę prześcieradło i zaczął myśleć o pierwszej, chociażby nie wykończonej jeszcze fabryce do produkcji żywności syntetycznej. „Trzeba spróbować — postanowił — już czas. Choćby na razie otrzymywało się jeszcze drogie produkty. To nie jest ważne. Po osiemnaście kilowatogodzin... Pośrodku kolumna lamp łukowych; dookoła duży filtr o cylindrycznym kształcie. Model... Trzeba się spieszyć, jutro rano zrobię wyliczenia. Model powinien mieć urządzenie do stężania roztworu. Niebieskie niebo, białe gmachy, ściany... ciągną się rury... Czy to szczyty gór? Nie, to gmachy. Białe... Napis złotymi literami...”

Zbudziło go szczekanie psa i wystraszony głos Jegora Jegorycza:

- Wasza wielmożność, pukają!
- Kto puka?
- I do kuchennych, i do frontowych drzwi. Nie chcą powiedzieć — kto.

Nonna czekała zanosząc się z wściekłości. Znowu słyhać było ostre, natarczywe pukanie. W przedpokoju rozlegał się gwałtowny dźwięk dzwonka.

— Pukają — wyszeptał Jegor Jegorycz. — Czy mam otworzyć?

Pokój tonął w szarym półmroku, na ulicy była gęsta jesienna mgła. Lisicyń spojrzął na zegarek: za piętnaście piąta.

Otwórz! — rzekł nie mogąc trafić rękami do rękawów szlafroka.

Nie zdążył dojść do gabinetu, gdy za ścianą zatupały dziesiątki butów i ktoś krzyknął:

— Psa, psa trzymaj!

Gabinet był położony w środku mieszkania. Jedne jego drzwi prowadziły do jadalni, skąd właśnie przyszedł Lisicyń, drugie — do przedpokoju, trzecie — do laboratorium.

Przez drzwi prowadzące z przedpokoju wsunął się pochylony naprzód, olbrzymi wachmistrz żandarmerii z ospowatą twarzą i z szacunkiem odsunął się na bok; w ślad za nim wszedł oficer, również w żandarmskim szynelu.

Lisicyń stał przy biurku, przytrzymując szlafrok na piersiach. W zanadrzu miał pistolet.

Pan nam wybaczy... e-e... że tak powiem... nieproszone wtargnięcie — rzekł oficer.

Szynel miał zapięty na wszystkie guziki. Zdjął czapkę i rozglądał się po pokoju; szafy na książki, kanapa, ściany obite tapetami, podobizna Mendelejewa. W kątach — jednym, drugim... oficer odwrócił się — trzecim, czwartym... nie ma ikon ani świętych obrazów. Włożył z powrotem czapkę.

Pan jest — zapytał — jeżeli się nie mylę, właścicielem mieszkania? Władimir Michajłowicz? Ta-ak, bardzo mi przyjemnie... Szkoda, że w takich okolicznościach...

W gabinecie — kiedy oni zdążyli tam wejść? — stało siedmiu czy ośmiu żandarmów. Dzwoniąc ostrogami, oficer podszedł do biurka, stanął naprzeciw Lisicyna i podniósł na niego oczy, które spoglądały rozumnie i smutno.

Tak jakoś po ojcowsku. Oficer miał rumiane, z sinawym odcieniem policzki i sumiaste siwe wąsy.

„Nie — przemknęło Lisicynowi przez myśl — to, zdaje się, całkiem przyzwoity i porządny człowiek”.

— I tak jeden wykształcony człowiek — uśmiechnął się oficer — jakby to powiedzieć... musi naruszać spokój drugiego wykształconego człowieka. Ta-ak, Władimir Michajłowicz... — Oficer przysunął sobie krzesło i nie pytając o pozwolenie, usiadł przy biurku. — Poszukajmy razem wyjścia z sytuacji. Nawiasem mówiąc, kto poza domownikami nocuje dzisiaj u pana?

— U mnie? — Lisicyn szczerzej otulił się szlafrokiem. — Nikt u mnie nie nocuje.

— No — no — no... Nie warto, Władimir Michajłowicz, nie radzę. My przecież wiemy...

Oficer lekko poruszył palcami — żandarmi znowu za-szurali i zastukali butami. Poblądły Lisicyn ujrzał, jak otwarli drzwi i idą do laboratorium.

— Dokąd?! — krzyknął rwącym się głosem i rzucił się naprzód. Wachmistrz z ospowatą twarzą zagroził mu drogę.

— Ach, co za gorący człowiek! — rzekł oficer. Niech się pan nie niepokoi. Niech pan mi wierzy, że jestem dla niego jak najprzychylniej usposobiony. Miał pan, jak to powiedzieć... szczęście. Przyszedł do pana przyjaciel — szlachcic. Serce mnie za pana boli. — Wyjął okulary, chuchnął na nie, wytarł chusteczką i znowu je nałożył. — Wiemy o panu wszystko, Władimir Michajłowicz — ciągnął dalej, patrząc sponad okularów nieruchomym wzrokiem. — Lecz chciałbym, niech pan wierzy moim siwym włosom, ażeby mniej... e-e... jak najmniej spotkało pana... no, powiedzmy, nieprzyjemności. Proszę mówić z nami szczerze, a wówczas z boską pomocą — spojrzał w

ką, przypomniał sobie, że ikon nie ma, i spuścił oczy — będzie dla pana lepiej. Rozumie mnie pan?

Oficer milczał chwilę, a potem rzekł na pół twierdząco, na pół pytająco:

— Prowadzi pan życie samotne.

— Tak — odrzekł Lisicyń — samotne.

— I powiada pan, że rzekomo zajmuje się nauką?

W przedpokoju Nonna zaczęła wyc i skowyczeć. Lisicyń obejrzał się szybko — zaskrzypiały drzwi szafy laboratoryjnej. Wszędzie żandarmi... Spojrzał — oficer wysunął szufladę z biurka i sprawnie, po gospodarstwu zaczął wyjmować z niej dzienniki doświadczeń.

— Jakim prawem?! — krzyknął rzucając się na oficera i usiłując wyrwać mu i odebrać swoje dzienniki.

Wtedy dziobaty wachmistrz rzucił się na Lisicyń, objął potężnymi łapami i przytrzymał. Dłoń wachmistrza namacała pod szlafrokiem rewolwer. Dwóch żandarmów chwyciło Lisicyńa za łokcie, wachmistrz, szczerząc zęby w uśmiechu, uroczyście podał „Colta” swojemu zwierzchnikowi.

— Aj-aj-aj... — pokiwał głową oficer. — Ja do pana z sercem, a pan na mnie — z bronią. Nieładnie! — I czerwieniąc się nagle, krzyknął uderzając pięścią w stół: — Gdzie ukrył się człowiek, który u pana nocuje? Gdzieżście go schowali?

Lecz Lisicyń nie odpowiadał, tylko oczy błyszczały mu gorączkowo, a całym ciałem wstrząsały dreszcze.

— Postanowiliście milczeć? Konspiracja? — cedził przez zęby oficer. — To nic, przemówisz jeszcze!... Wziąć go!

— pokazał ręką na drzwi. — Uważać na niego!

Lisicyńa wepchnięto do laboratorium.

Kręcili się tam ludzie w mundurach żandarmów. Otwierali skrzynki, z hałasem wyrzucali na ziemię pęki rutek gumowych, przekładali tekturowe pudełka i z miejsca na miejsce przestawiali słoiki. Skomplikowany deflegmator, ze szkła cienkiego jak bibułka, zatrzeszczał w

czyichś rękach. Z rozbitej biurety kapał wprost na parkietową podłogę roztwór hydrosulfitu.

Lisicyń wcisnął się w najdalszy kąt obok urządzenia wyciągowego i rozbieranymi oczami śledził żandarmerów, którzy nie wiadomo po co odsuwali od ściany butle z dwutlenkiem węgla.

„A może — myślał — to sen tylko, a nie rzeczywistość, może czytam książkę o czymś nieszczęściu...”

Drzwi otworzyły się gwałtownie — do laboratorium wszedł oficer i rzekł głośno:

— Spójrzcie tutaj, panowie świadkowie. Tam pod łóżkiem znaleziono paczkę proklamacji, a tutaj jakaś bardzo podejrzana apteka.

Za oficerem wszedł Bierdnikow. Popatrzył, spostrzegł swojego lokatora, wyniośle wysunął dolną szczękę i nie przywitał się z nim nawet.

Potem mignęło w drzwiach ubranie w czarno-białą kratkę. Ukazały się oczy i wąsiki Mikulskiego.

Lisicyń chciał krzyknąć i wygnać precz swojego wroga, lecz poczuł, że brak mu tchu i że nie może krzyczeć. Chwycił się za pierś i oparł się o ścianę wyciągu.

Oficer podszedł do niego wolnym krokiem. Był tak jak poprzednio w okularach, lecz już bez płaszcza i czapki.

— Będzie pan musiał, łaskawy panie — rzekł — pójść z nami. W szlafroku nie przystoi iść ulicą. Proszę się więc ubrać, jeżeli pan łaskaw.

„Morda!” — pomyślał Lisicyń i otrząsnął się z obrzydzenia, patrząc na wąsata, błyszczącą twarz z fioletowym nosem.

— Trzeba się przygotować — ostro powtórzył oficer. — Zrozumiano?

Czyż mogło to od razu dotrzeć do świadomości Lisicyńa? Serce jednak drgnęło i jakby zamarło.

D-do czego — zapytał jākając się — m-mam się przygotować?

--- Ej! — Siwe wąsy poruszyły się. — Robi z siebie, jakby to powiedzieć... naiwnego.

- W... wy, chcecie... To znaczy, że ja jestem... areztowany?

- Popatrz — rzekł wówczas oficer do stojącego obok dziobatego wachmistrza — widzisz, jak się wystraszył... A mnie grozić rewolwerem... — potrząsnął palcem przed Lsicyntem i podniósł głos — to się nie bał! Podburzające ulotki przeciwko władzy cara trzymać pod łóżkiem także się nie bał! Rozpowszechniasz? Czy sam drukujesz?

Lsicynt patrzył — postać w niebieskim mundurze oficerskim jak gdyby płynęła po pokoju i oddalała się od niego.

„Jakie proklamacje? To kłamstwo! Skąd? Sami podsunęli! Zapomniałem o czymś najważniejszym — myślał.

Świat rozsypuje się w drzazgi... Najważniejsze... najważniejsze... Boże, o czym ja zapomniałem?”

Nagle przypomniał sobie i krzyknął ochryple:

— A laboratorium?! Kto się nim zajmie?

Oficer odwrócił się:

— O to proszę się nie martwić. Damy sobie tutaj radę... że tak powiem, bez pana.

Lsicyntowi wydawało się, że czas stanął w miejscu, to znów, że mknie z szaloną szybkością.

Usłyszał głos oficera:

— Wy, panowie świadkowie... e-e... będziecie musieli dziś asystować, gdy będą tu pracowali nasi rzeczoznawcy. To cały arsenał, a w dodatku podejrzany! Tak...

„Rabusie — przemknęło Lsicyntowi przez myśl — położą łapę na tobie... i na wynikach twojej pracy...”

Usta jego poruszyły się bezdźwięcznie:

— Rabusie!

— Powiedziano panu — pchnął go wachmistrz — że pan ma się ubrać. No, prędzej!

Lsicynt zrobił krok, potem drugi, trzeci.

Przed nim na postumencie, w jasnej, lakierowanej podstawce umieszczony był długi rząd zalakowanych próbek — to próbki substancji, cała historia jego doświadczeń. Zmrużywszy oczy, poruszył podstawkę, po czym nagłym, nieoczekiwanym ruchem zrzucił ją na podłogę i zaczął deptać nogami.

Wachmistrz uderzył go i pchnął na ścianę obok tablicy rozdzielczej z wyłącznikami.

Oficer zgrzytnął:

— Precz! Nie dotykać! Co on tam zniszczył?

Oficer i wachmistrz pochylili się nad potłuczonymi szczątkami.

— Jak to? — rzekł Lisicyń. — To mnie... mnie nie wolno tego dotykać?

W drugim końcu pokoju Mikulski uśmiechnął się złośliwie i wydawało się, że wyraźnie mrugnął.

Źrenice Lisicyńa rozszerzyły się i znieruchomiały. Ręka uniosła się, namacała marmur, a na nim wyłącznik. Na dużym stole laboratoryjnym rozbłysły jaskrawe lampy, otoczone stożkami płynnie wirujących abażurów. Szmaragdowymi promieniami rozbłysły przezroczyście filtry — jeden, drugi, trzeci — szybko, jeden za drugim.

Wszyscy obecni w laboratorium, zmrużywszy oczy, patrzyli na niezwykłą grę światła.

Gdy oficer przeniósł wzrok na Lisicyńa, ten wyglądał strasznie. W oczach jego odbijał się zielony blask, usta miał otwarte, ruda broda najeżyła się. Nad jego głową w wyciągniętych w górę rękach drżała wielka butla z jakimś płynem.

— Trzymajcie go! — krzyknął oficer i rzucił się w stronę Lisicyńa.

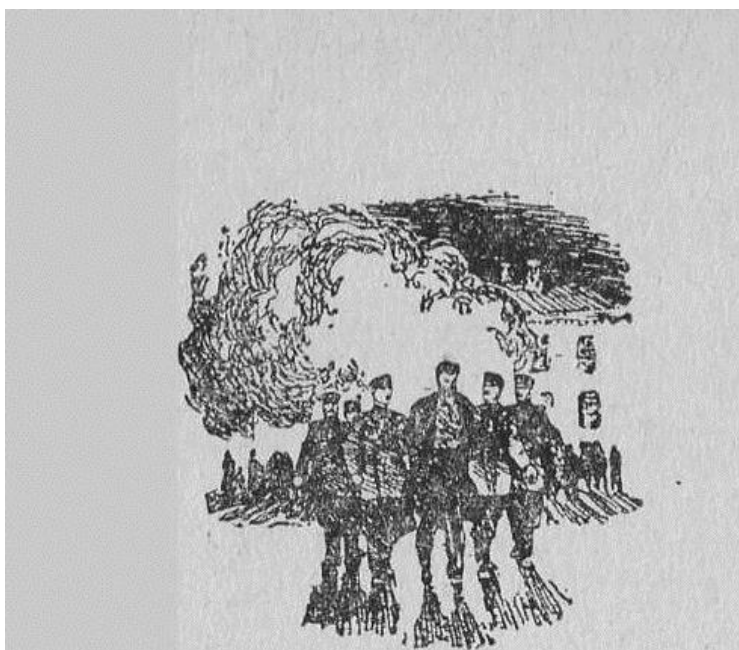
Butla jednak opisała łuk w powietrzu i z hukiem uderzyła w przyrządy na środku stołu. Strzelił błękitny płomień i buchnął żar nie do wytrzymania.

Na ludziach zapaliły się włosy i odzież. Nie było czym oddychać. Ktoś wyciągnął Lisicyńa z pokoju. Potoki pło-

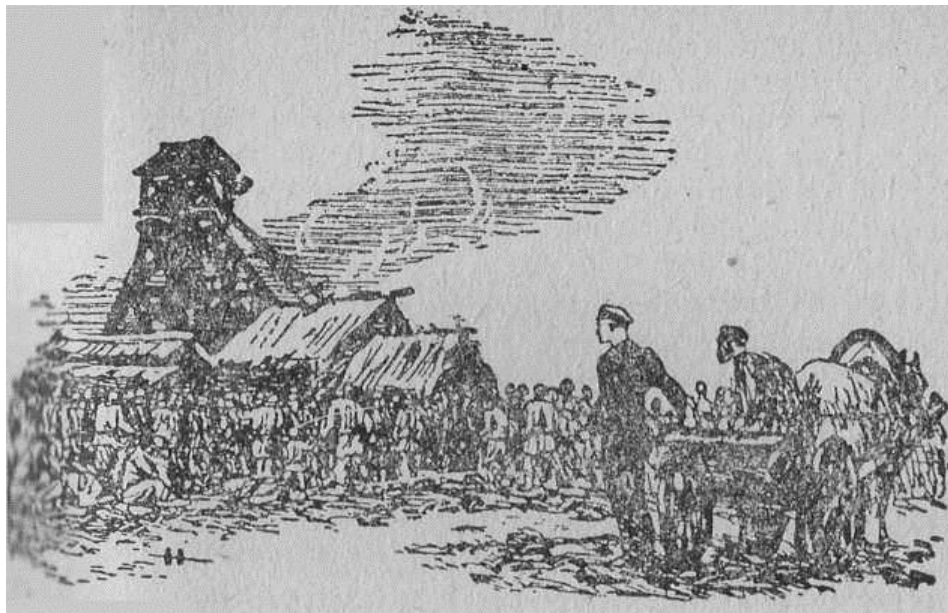
nącego płynu rozlewały się po całym mieszkaniu. Bierdnikow jęczał głośno i przeklinał.

Po upływie kilku minut, poparzeni żandarmi w popalonych i poszarpanych mundurach szli ulicą, prowadząc między sobą aresztowanego. Z tyłu wachmistrz prowadził utykającego Jegora Jegorycza.

Z okien mieszkania na drugim piętrze z brzękiem sypały się szyby i wysuwały się purpurowe, skaczące języki ognia. Nad dachem unosiły się kłęby czarnego dymu.



Część druga
STARE PRZEMIJA, NOWE NADCHODZI



Rozdział I

KOPALNIA CHARITONOWA

Po Petersburgu rozniosła się wieść:

— Ten Lisicyń... który robił cukier... wyobraźcie sobie, okazał się szarlatanem! Zwyczajny kryminalista. Zrąbanie ukrywał się pod płaszczkiem uczonego! Podpalacz: podpalał dom, a w czasie pożaru rabuje.

Słyszając to Grisza Zbierowski oburzył się. Dopiero parę miesięcy temu widział na własne oczy czarującego inżyniera i oglądał jego wspaniałe doświadczenia.

— Tak to i było! — zapewniał kupiec Obrosimow. — Podpalił dom radcy stanu Bierdnikowa, a sam ukrył się tak, że nie mogą go schwytać.

Grisza poszedł popatrzeć, czy naprawdę spalił się dom, w którym znajdowało się laboratorium Lisicyńa.

Już z daleka zauważył zwałony dach, okopcone ściany i puste oczodoły okien. Z bijącym sercem podszedł do gruzów.

„Co za bzdura! — pomyślał w pierwszej chwili, ale zaraz potem zawyrokował: — Głupstwo, pożar jeszcze niczego nie dowodzi”. Wyczuł przy tym boleśnie niesłychaną krzywdę wyrządzoną zniesławionemu uczonemu. I to takiemu uczonemu!

Przypominały mu się rozmowy zasłyszane w rodzinie Obrosimowów.

„Ignoranci — wymyślał w duchu — jak oni się ważą pleść takie bzdury! Nawet gdyby Lisicyn był rzeczywiście przypadkowym sprawcą pożaru, to i to nic by jeszcze nie znaczyło. W laboratorium wszystko się może zdarzyć. A wy chcecie go kopnąć waszymi oślimi kopytami? I cóż, gdyby nawet naprawdę pośpiesznie wyjechał z Petersburga? Uważam to za możliwe. Od takich, jak wy, każdy chciałby uciec. Lecz gdziekolwiek będzie jeszcze, będziecie musieli kiedyś pochylić przed nim głowy. Przyjdzie czas, że wzniesiecie mu pomniki! Żebyście wiedzieli, że takie rzeczy nie giną nigdy bez śladu!”

Grisza uroczyście zdjął czapkę, postąpił chwilę przed zniszczonym domem, obejrzał się i powoli powlókł się z powrotem. Padał śnieg z deszczem, zimny wiatr wdzierał się do rękawów płaszcza. Z sąsiedniej bramy wyrzucił rozczochrany człowiek w mokrej czapce futrzanej i białym fartuchu z blaszaną odznaką dozorca na brązowym kaftanie.

Grisza krzyknął:

— Słuchajcie, ojciec!

— Czego? — zapytał rozczochrany człowiek pochyliwszy głowę na bok.

— Tu, gdzie był pożar, mieszkał uczony, pan Lisicyn. Nie wiecie, gdzie on się teraz znajduje?

Stróż pomyślał chwilę i z widoczną niechęcią odpowiedział:

— Ja tam nic nie wiem. Lokatorzy wyjechali.

Po nagłym aresztowaniu Osadczeo, na poddaszu na Francuskim Bulwarze życie potoczyło się już nie tak, jak dawniej. Pozostali studenci znad Wołgi jak gdyby nagle postarzelili się i znudzili wzajemnie. Powstawały między nimi krótkie, zajadłe sprzeczki, które już nie kończyły się dobrodusznym śmiechem jak dawniej. Różnice charakterów zaznaczały się nawet w drobnostkach. Czasami wieczorem śpiewali jeszcze chórem przeciągłe pieśni nadwożańskie, jednak nawet śpiewanie im nie szło i pieśni milkły nagle, bez widocznej przyczyny.

Na poddaszu mało mówiono o Osadczym. Jedynie Krestownikow wspominał go znacznie częściej niż inni. Zacierał ręce o krótkich palcach, wrzucał na nos binokle i mówił z jakimś niewyraźnym uśmiechem:

— Ten nasz domorośli... socjaldemokrata. Siedzi, gołąbek, co? Smutne to i godne ubolewania.

Nikt nie podtrzymywał rozmowy. Krestownikow odchodził do swojego pokoju i siadał nad książką. Widział jasno, że od pewnego czasu koledzy odnoszą się do niego jakoś obco. Niepokoiło go to: czyżby go podejrzewali? Chyba nie, przecież rozmowa na policji odbyła się w głębokiej tajemnicy. Zresztą, postąpił tak, jak mu nakazywało sumienie. Nic więc strasznego. Na wiosnę skończy studia i sam będzie sędzią śledczym. Już niź dalej.

Matwiejew z nudów drażnił Zbierowskiego.

— Gdzie się podział twój Lisicyn? Kiedy zacznie się nowa era? Złoty wiek po twojemu?

Grisza machał ręką i odwracał się.

Newę pokrył lód przysypany śniegiem i poprzecinany ścieżkami i koleinami sań. Tymi ścieżkami chodzili mieszkańcy poddasza na uniwersytet.

Profesor Sapogow uważał Zbierowskiego za studenta o dużych zdolnościach. Na trzecim roku Griszę pociągały problemy skomplikowanych związków organicznych. Był sumienny, pracowity, rzutki i interesujący się wszystkim. Profesorowi podobało się w nim zwłaszcza to, że dla

każdej teoretycznej myśli szukał praktycznego zastosowania.

— Jesteście młodym pokoleniem rosyjskich chemików — często mówił Sapogow w czasie wykładu. — Powinniście zapamiętać sobie na całe życie to, co powiedział o was Mendelejew w przededniu śmierci.

I profesor Sapogow otwierał ostatnie wydanie „Podstaw chemii” i głosem wysokim, docierającym do wszystkich zakątków sali, czytał:

— „Rozszerzając pięćdziesiąt lat pole nauki, którym zawładnęli już rosyjscy chemicy, wstępujące w życie pokolenie przyczyni się własnymi osiągnięciami do szczęścia ojczyzny bardziej i istotniej aniżeli jakimkolwiek innymi sposobami, wypróbowanymi już w starożytności. Te przyszłe osiągnięcia będą wygraną dla nich i dla całej ludzkości — przegraną zaś tylko dla ciemnoty i zabobonu. Z posiewu nauki wyrośnie plon dla naszego narodu”.

Studentom udzielał się entuzjazm profesora. W ogromnej sali robiło się cicho i słychać było tylko szelest kartek w jego palcach. A Sapogow wykrzykiwał:

„Nauka, która stara się zgłębić nieskończoność, sama nie posiada granic i, będąc międzynarodową, w rzeczywistości nieuchronnie przybiera charakter narodowy... Potrzeba przygotowania i mobilizowania sił do pracy nad prawdziwą nauką dla dobra Rosji jest zatem oczywista, nagła i wielka!”

Pewnego razu po wykładzie studenci otoczyli profesora. Lubił rozmawiać z nimi prosto i szczerze.

— Otrzymałem list z Frankfurtu nad Menem — rzekł Sapogow. — Wykorzystali odkrycie Nikołaja Nikołajewicza Zinina. Powstają u nich zakłady anilinowe w Ludwigshafen — Badische Anilin und Sodafabrik.

— Georgij Jewgieniewicz — zapytał Grisza wysuwając się naprzód — a o Lisicy nie słychać?

Profesor rozłożył ręce:

— Nic. Jak kamień w wodę.

Zima skończyła się tak samo niepostrzeżenie, jak się zaczęła. Roztajał lód na Newie, na nadbrzeżu zazieleniły się drzewa.

Sapogow zaliczył Zbierowskiemu ostatni egzamin, ogarnął go przyjaznym spojrzeniem, uśmiechnął się, pogratulował mu przejścia na czwarty rok i nagle zaproponował:

— Wiecie co? Komitet Zjazdu Przemysłowców Górniczych prosi o przysłanie jednego studenta do laboratorium donieckich kopalni. Do jesieni. Nie chcielibyście pojechać?

Grisza przypomniał sobie niedawną kłótnię na poddaszu. Koledzy już wcale ze sobą nie rozmawiają. Młodym Obrosimowowom korepetytor na lato nie jest potrzebny, mają odpoczywać. „Och, jak dobrze byłoby wyjechać na pewien czas z Petersburga!”

— Dziękuję, Georgij Jewgieniewicz, bardzo chętnie pojedę! Jeszcze raz dziękuję! Oczywiście, że pojedę.

Nie był jeszcze nigdzie, poza Petersburgiem i Niżnim Nowgorodem. Gdy wszedł do dusznego, cuchnącego karbolem wagonu trzeciej klasy, poczuł się tak, jak gdyby wszedł na pokład statku płynącego w nieznane. Czyż warto myśleć o niewygodach podróży, jeżeli wkrótce otworzy się przed nim przepiękny, pełen słońca świat? Jakże upajający i rozkoszny jest letni dzień w Małorosji.

W latarniach nad drzwiami migotały ogarki świec. Zbierowski wlaź na górną pryczę, podścielił sobie szynel i położył się, wsunawszy pod głowę mizerną płócienną walizkę. Na dole ulokował się ponury młodzieniec z harmonią i kobieta z płaczącym dzieckiem. Nieco później drugą górną pryczę, naprzeciw niego, zajęła dziewczyna, prawdopodobnie studentka.

Ujrzawszy ją Zbierowski zmieszał się. Dziewczyna miała delikatnie zarysowane czarne brwi, długie rzęsy przysłaniające oczy, policzki o ciepłym różowym odcieniu, jakby wyrzeźbione z różowego marmuru, a usta

takie śliczne, że Grisza nie mógł oderwać od nich wzroku.

Po chwili, gdy nabrał odwagi, przysunął się na brzeg pryczy i zapytał:

— Koleżanko, nie jesteście przypadkiem chemiczką?

Dziewczyna uniosła brwi jak ptak skrzydła w locie; popatrzyła jasnymi oczami, uśmiechnęła się i opuściła rzęsy:

— Nie, jestem na kursach dentystycznych.

W czasie jazdy wagon brzęczał, skrzypiał, kołysał się; ogarki w latarniach to rozbłyskiwały żółtymi ognikami, to znowu przygasały.

— Proszę bilety! — zawołał konduktor srogim głosem. — Dokąd pani jedzie?

Wtedy stał się cud: dziewczyna wymieniła stację, do której jechał również Grisza. Zbierowski ucieszył się w duchu i pomyślał: „Przeznaczenie”. Po upływie pół godziny wiedział już, że sąsiadka nazywa się Zoja Terentiewa, że jej starszy brat jest inżynierem w kopalni i że Zoja pozostanie u niego przez całe A następnego dnia rano Zbierowski zdecydował, że Zoja — to jedyny, niezastąpiony, najpotrzebniejszy i najbliższy mu człowiek na świecie. Stali obok siebie przy otwartym oknie, a wiatr rozwiewał im włosy; rozmawiali, śpiewali, śmieli się i krzyczeli coś do siebie. Pasażerowie uśmiechali się patrząc na nich.

Pod koniec trzeciej doby przybyli na miejsce. Pociąg zatrzymał się na maleńkiej stacyjce. Słońce dopiero co tyło się za stepem, a nad horyzontem ciągnął się ogni-stozłoty pas.

Grisza ujrzał wieżę ciśnień, zamkniętą na klucz szopę i kilka murowanych domków, otoczonych wątlymi krzaczkami. Szedł w ślad za Zoją. Niósł żółte lakierowane pudełko, walizkę, swój szynel, damskie palto, czajnik i kwadratowy koszyk przewiązany paskami.

Wania! — krzyknęła Zoja przenikliwym głosem i pobiegła przez szyny.

Na jej spotkanie szedł rosły, opalony na brązowo czło-wiek w obszernej marynarce z chesuczy i mundurowej czapce. Zoja objęła brata, uniosła się na palcach i wysu-nęła usta do pocałunku.

Poznajcie się, panowie — powiedziała. — To — Grisza. A to — mój brat Wania.

Zbierowski w obydwu rękach i pod pachami trzymał pakunki. Ze zmieszania przestępował z nogi na nogę.

Iwan Stiepanowicz spojrział na niego i roześmiał się:

--- Ojczulku mój! Ależ pana obładowała!

Inżynier, uśmiechając się jak stary, dobry znajomy, wziął od studenta kosz i palto.

Jak spod ziemi wyrósł wysoki, przypominający wieżę na kołach, pojazd zaprzężony w parę koni.

Iwan Stiepanowicz krzyknął do woźnicy:

— Weź rzeczy! — ruchem ręki zaprosił Griszę: — Proszę siadać. Pan do nas, mam nadzieję? Więc proszę!

Zbierowski zmieszał się jeszcze bardziej i zaczął wyjaśniać, że przyjechał tutaj właściwie na wezwanie Południowo-rosyjskiego Towarzystwa Przemysłu Węglowego; musi teraz odszukać laboratorium; profesor Sapogow kazał...

Zoja szepnęła coś bratu, ten żartobliwie poklepał studenta po plecach i pchnął go lekko:

— Proszę, proszę siadać. Bez ceremonii...

Po zachodzie słońca niebo szybko ciemniało. Zapaliły się gwiazdy. Konie biegły szybkim kłusem, pojazd podskakiwał na wybojach, wiatr przynosił zapach piołunu. Grisza wpatrywał się w ciemność, myślał o tym, jakim szczęściem jest żyć na świecie, o światłach widocznych przed nim, o Zoi i o tym, że jej brat jest także na pewno wspaniałym człowiekiem.

— Tam gdzie widać te światła, znajdują się kokso-we piece — mówił Iwan Stiepanowicz. — Stamtąd niedaleko jest do pańskiego laboratorium. Jutro pana odwie-

ziemy. A nasza kopalnia — na lewo. Nazywa się — kopalnią Charitonowa. Paskudna kopalnia, nawiasem mówiąc... Proszę spojrzeć, oto idą górnicy z nocnej zmiany.

W stepie, u stóp odległego, czarnego pagórka, powoli poruszał się sznur niegasnących, kołyszących się iskierek.

— To każdy z nich ma lampę?

— Tak.

Wszystko dookoła było nowe, interesujące, ważne, ale najważniejsze było to, że w mroku przed Griszą jaśniała twarz Zoi. Wyciągnął w jej stronę palce i chciał dotknąć fałd jej sukni, ale rozmyślił się i odsunął rękę, potem przycisnął zaciśniętą dłoń do piersi, westchnął i uśmiechnął się.

Jechali długo. Przejeżdżali obok ciemnych chat i dużych, słabo oświetlonych budynków. Słysząc było metaliczny zgrzyt jakichś maszyn. W powietrzu czuło się już nie gorycz piołunu, lecz dym z węgla kamiennego. Wreszcie woźnica zatrzymał konie.

— Ot i jesteśmy w domu — rzekła śpiewnie Zoja.

Na spotkanie wybiegła pomarszczona staruszka, daleka krewna Terentiewów, którą nazywali ciocią Szurą. Za nią — kucharka, wielka, z tonącymi w tłuszczu oczkami. Obydwie oglądały Zoję, wykrzykiwały i wzdychały; obydwie stwierdziły, że Zoja bardzo schudła.

— Oj, panienko, serdeńko — piszczala kucharka — szczo z wami zrobiły? Nie kormyły was w Petersburzi czy jak?

Zbierowski stał niezdecydowanie w drzwiach przestronnej jadalni, na której ścianach wisiały obrazy. Na razie, zdaje się, zapomniano o nim. Iwan Stiepanowicz półgłosem rozmawiał z woźnicą.

Teraz dopiero zauważył Zbierowski, jak bardzo podobni są do siebie brat i siostra; brat miał również cienkie, lekko wygięte ku górze brwi, prosty nos i wyraźnie zarysowane usta; ogolona twarz była opalona na brązowo, a we włosach przebłyskiwały srebrne nitki. Jednak

oczy jego nie wydawały się takie jasne i ciepłe, jak oczy Zoi, zwłaszcza gdy spoglądały bez uśmiechu. Miały one wyraz — Zbierowski nie mógł tego dokładnie określić — jak gdyby ukrytej obojętności, zmęczenia czy też utajonej troski.

Później, przy kolacji, wszyscy rozmawiali o Petersburgu. Iwan Stiepanowicz poweselał i opowiadał o swoich studenckich czasach:

— Ale się żyło, ojczulku! Hucznie, a przy tym bez-trosko. A byli wśród nas różni. Jedni — bogaci, u innych

— tylko resztki tytoniu w kieszeni. Mnie, muszę przyznać, ciągnęło do bogatych, chociaż zdarzało się, że nawet okruszyny tytoniu w kieszeni nie miałem. No i wpłatałem się pewnego razu w bardzo nieprzyjemną historię. Dostałem się, jak to mówią, między dwa ognie. Skandal. Aresztowano studenta za politykę... my byliśmy wtedy na niższych latach, aresztowany — na wyższym. Na wiecu postanowili oczywiście ogłosić protest. Nasz kurs, pamiętam jak dzisiaj, podzielił się na dwa obozy; mieli różne zapatrywania. Cóż było robić? Podnieśliśmy krzyk, jak gdyby się paliło. Z bogatych zaledwie jeden student zgodził się na protest; mruk ponury z usposobienia, dziwny człowiek... zawsze samopas. Na mnie patrzył trochę z góry, chociaż niejednokrotnie mi pomagał. I to nawet bardzo pomagał. — Terentiew spojrzał na siostrę:

— Szkoda, że go nie znasz.

Opowiadanie urwało się; przez drzwi wsunęła się brodata twarz z niskim pomarszczonym czołem i jastrzębimi oczkami — administrator i „prawa ręka” właściciela kopalni.

— Iwan Stiepanowicz, Charitonow woła, szc zob za-raz!

W pokoju zapanowało kłopotliwe milczenie.

— Idę — rzekł gniewnie Iwan Stiepanowicz wsta-jąc od stołu, a Zoja spytała:

— O kim mówisz? Kto to był ten „samotnik”?

— Nie możesz go znać. Nazywa się Lisicyn. Zdarzało się, że nie można było wydobyć z niego ani słowa. Wtedy, na wiecu — on właśnie wplątał mnie w tę historię. Później wam to opowiem.

Zbierowski myślał początkowo, że się przesłyszał.

— Lisicyn? — powtórzył zdławionym głosem.

— Lisicyn — odpowiedział Iwan Stiepanowicz stając

Już w drzwiach. — Wybaczcie, państwo: niedługo wrócę. Wzywają mnie służbowo.

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

„Obydwaj są przecież inżynierami górnikami — pomyślał Zbierowski. — Możliwe, że studiowali razem. Boże mój, to ci spotkanie!”

Z szacunkiem spojrzął na krzesło, na którym siedział przed chwilą gospodarz domu.

„A może się dowiem, gdzie teraz jest Lisicyn?”

Zoja rozmawiała z ciotką szeptem:

— Charitonow ciągle taki, jak był?

— Jeszcze gorszy się zrobił.

— No, a Wania?

Staruszka westchnęła:

— Och, moja droga, czym to się skończy!

Grisza pragnął jak najprędzej podjąć przerwana rozmowę; lepił z okruszek chleba wymyślne figurki i czekał niecierpliwie na powrót Iwana Stiepanowicza.

Ten wszedł szybkim krokiem, wargi miał pobladłe; milcząc usiadł przy stole i przysunął do siebie talerz; wydawało się, że trzęsą mu się ręce.

Siostra podbiegła do niego.

— Co tobie, Wania?

— Ach! — krzyknął nieoczekiwanie i uderzył pięścią w stół. — Ta kanalia doprowadzi do tego, że albo ze mną się coś stanie, albo z kopalnią! Zobaczysz! Codziennie popycha mnie do przestępstwa! Codziennie!

Wszyscy umilkli. Zbierowski podniósł zdziwione, niebieskie oczy. Po chwili Iwan Stiepanowcz uśmiechnął się krzywo i zwrócił do gościa:

— Proszę mi wybaczyć. Ale tu nawet słoniowe nerwy by nie wytrzymały. — A po chwili dodał: — Niech pan nigdy nie przyjmuje pracy u dobrych właścicieli.

— A u wielkich — uprzejmie zapytał Zbierowski — uważa pan, że przyjemniej pracować?

Zamiast odpowiedzi Iwan Stiepanowicz ze złością zmiął serwetkę i przez całą godzinę nie powiedział ani słowa.

Gdy podszedł do pianina i stojąc zaczął jednym palcem wystukiwać jakiegoś walca, Zoja przysunęła się do Griszy.

— Charitonow — to właściciel kopalni — powiedziała cicho. — Straszny staruch! Paskudny, łysy, z wystającymi żółtymi kłami. Zamęcza Wanę. Skąpy i głupi. Wania podpisał kontrakt i nie może się doczekać chwili, gdy upłynie termin. Wyobraźcie sobie, że Charitonow nawet po nocach mu się śni. A nie stać nas na zapłacenie olbrzymiej sumy, przewidzianej za niedotrzymanie umowy...

Zaczęli grać w loteryjkę, ale jakoś im nie szło. Ciotka Szura ziewała. Wreszcie gospodarz zaproponował gościowi, aby udał się na spoczynek. Mężczyznom pościelono w jednym pokoju.

Myśl o Lisicy nie opuszczała Zbierowskiego ani na chwilę. Patrzył uporczywie na milczącego Iwana Stiepanowicza i czekał na chwilę dogodną do rozpoczęcia z nim rozmowy. Ale Terentiew rozebrał się szybko, po wojskowemu, przykrył się kocem i powiedziawszy „dobranoc!” odwrócił się do ściany. Trzeba było odłożyć rozmowę do odpowiedniejszej chwili.

Rano Grisza usłyszał przez sen śpiew Zoi:

Stoję tu sama pod twym okienkiem
Dla ciebie, miły,
śpiewam piosenkę.

Po chwili rozległo się stukanie do drzwi i Zoja zawołała:

— Wstawajcie, już czas na śniadanie!

Za oknem lśnił błękit nieba; promień słońca padał na podłogę, rzucając plamę światła na pstry dywanik.

Łóżko Iwana Stiepanowicza było puste. Grisza wstał pośpiesznie.

— Wstaję, Zojeczko! Dzień dobry! Czy już późno?

— Wstaniecie — to się dowiecie. Piętnaście po dziewiątej.

Gdy przyszedł do jadalni, obydwie gospodynie — Zoja i ciotka Szura — z powagą siedziały przy samowarze. Zoja — gładko uczesana, w jasnej sukience — nagle zaczęła się śmiać:

— Aleście spali! A jak chrapaliście!

Grisza zarumienił się silnie, wziął z talerza gorący pierożek, ugryzł kawałek, ale nie dał nawet poznać po sobie, że się oparzył.

— Wania pojechał do kopalni — rzekła Zoja. — Kazał was przeprosić za wczorajsze. Nie gniewacie się?

— Cóż znowu! Gdzieżbym mógł!

— Naprawdę? Nie gniewacie się? — W oczach Zoi zamigotały iskierki. — Boże mój, a ja się bałam, że krzykniecie: „Noga moja nie postanie więcej w tym domu!” Zresztą, konie czekają. Woźnica wie, dokąd was zawieźć. Tylko musicie przyrzec, że o nas nie zapomnicie. Bądźcie łaskawi pofatygować się niepóźniej niż w sobotę. Na pewno. Inaczej — kwita z przyjaźnią.

Po śniadaniu wyszła na ganek, by odprowadzić gościa. Grisza długo trzymał jej rękę w swojej, nie mogąc zdobyć się na to, by odejść od Zoi i usiąść na bryczce.

W stepie było gorąco. Konie biegły szybko.

— To tutaj — rzekł woźnica, gdy bryczka wreszcie zatrzymała się.

„To się nazywa laboratorium?” — pomyślał Grisza.

Ciemny, niski barak. Pył węglowy osiadł nawet na suficie. Na stołach — kolby i mnóstwo porcelanowych

tygli. Silny zapach kwasów. Urządzenie wyciągowe. Wagi analityczne na wspornikach, a obok — młynki do kawy, w których miele się węgiel. Dwóch młodych ludzi w kitlach, zawalanych sadzą. Tak. To rzeczywiście jest laboratorium.

„Czy można pracować w takim brudzie? Tutaj przecież — Zbierowski otrząsał się z oburzenia — przeprowadzać się ma analizy chemiczne!”

— Gdzie jest wasz kierownik?

Młodzi ludzie rozcierali coś w moździerzach. Żaden z nich nie podniósł głowy.

— Kche, kche — kaszlnął w kącie staruszek, którego Zbierowski z początku wcale nie zauważył. — Kierownik — to ja. Czym mogę służyć?

Staruszek miał wąsy i bródkę jak Don Kichot. Ubrany był w surdut z długimi połami. Uprzejmie spojrzął na wchodzącego. Ale gdy tylko student wymienił swoje nazwisko i cel przybycia, uprzejmy wygląd zniknął bez śladu. Staruszek nieoczekiwanie rozgniewał się.

— A mówiłem im — krzyknął wytrzeszczając oczy — błagałem ich po prostu: nie piszcie! No i co z tego wyszło? Kto miał rację? Co?

I nacierając na Zbierowskiego, zakaszał:

— Kche, kche... Kto miał rację, pytam? Kche, kche... proszę zwrócić uwagę, że zawsze tak jest. Zawsze!

Potem wyjął z kieszeni kraciatą chustkę, wysiakał nos i uspokoił się trochę.

Zbierowski podał dokumenty. Kierownik przeglądał je, trzymając w wyciągniętej ręce i odchylając w tył głowę.

— Widzicie? — ucieszył się i stuknął w papier złotym paznokciem. — „Wydatki na koszt Towarzystwa”. Ta-ak, to ich uderzy po kieszeni. Zostawcie mi to pismo, a ja wam dam karteczkę. Zgodnie z tym — znowu postukał w papier — pieniądze na drogę powrotną możecie otrzymać w biurze nawet i dzisiaj. Nawet natychmiast!

— Jak to, na drogę powrotną? To znaczy, że pan sobie wyobraża... — nie mógł pojąć Zbierowski.

— Cóż tu sobie wyobrażać? Powiedziano wyraźnie: ma tu pracować siostrzeniec samego Monastyrkina. Przybędzie za jakiś tydzień. A pan nie ma tu nic do roboty.

Grisza stał mrugając ze zdziwienia. Staruszek roześmiał się złośliwie:

— To nic, koszty poniesie ten, kto pisał. Nie bójcie się. Towarzystwo nie straci! Trzeba było mnie słuchać! Nie obawiajcie się!

— A skąd ja wezmę — krzyknął Grisza urażonym głosem — opis produkcji koksu?! Profesor Sapogow polecił mi!

— Kche, kche... To już jest wasza osobista sprawa. Jak się wam podoba — możecie pisać nawet powieść! Umówcie się z koksownią. Tam nie będą mieli nic przeciwko temu. Mnie to nie dotyczy. A płacić za to nie będziemy. Proszę karteczkę: na bilet do Petersburga. Mam zaszczyt was pożegnać!

Woźnica Iwana Stiepanowicza już odjechał.

Niebo zasnuwane było mgłą; wydawało się, że pomarańczowa tarcza słońca przybliżyła się do ziemi i otuliła ją duszną zasłoną. Za budynkiem laboratorium nad koksowymi piecami migotał płomień. Powietrze przepojone było zapachem palącego się węgla kamiennego.

Człowiek w wypłowiałej koszuli niósł wiadro z wodą. Szedł na pewno z daleka; na powierzchni wody pływała okrągła deseczka, chroniąca ją przed rozpryskiwaniem, zedł ciężkimi krokami, ze spuszczoną głową. Koszula, miejscami mokra od potu, opinała szerokie ramiona. „Czy mam się go zapytać?”

— Nie wiecie, u kogo można by wynająć pokój? Potrzebny mi jest na trzy dni.

Przechodzień przymrużył oczy i spojrzał na walizkę, mundur i czapkę. Zbierowski domyślił się, o co chodzi, i wyjaśnił:

— Jestem studentem. Badam koksowe piece.

— A-a, uczycie się na inżyniera!

Grube wargi przechodnia ledwo dostrzegalnie drgnęły w uśmiechu. Otarł dłonią spocone czoło, postawił wiadro na udeptanej glinie i zaraz wziął je do drugiej ręki.

— Zapytajcie lepiej u swoich. Będzie czyściej i nie tak biednie.

Człowiek z wiadrem był muskularny i masywny; jasne wąsy zwisały w dół jak kły morsa. Ostrożnie podtrzymując wiadro, znowu ruszył naprzód.

— A może jednak poradzicie mi? — żałośnie powiedział Zbierowski starając się dotrzymać mu kroku i zagładając w twarz. — Chociażby jakiś ką, żeby można było rzeczy położyć.

Robotnik milcząc spojrział na studenta i po kilku krokach powiedział:

— No, to przyjdź do mojej chaty, jeżeli jesteś w potrzebie. Jeśli się nie brzydzisz, pomieścimy się jakoś.

Na ławie siedziała, zgrzybiała babka, otulona w czarnej, wyrudziałą chustkę. Obok niej leżał szary kot z podwinętymi łapkami i patrzył z niemal ludzką ciekawością.

Gospodarz przyglądał palcami potargane włosy, uśmiechnął się i wskazał na łóżko za kretonową zasłoną:

— Łóżko będzie dla was. My pomieścimy się jak bądź, na piecu lub w komórce, przecież to lato. Żona pojechała na wieś.

Podszedł do głuchawej babki, pokazał na Zbierowskiego i krzyknął:

— Oni, matusiu, będą z nami mieszkać!

Cztery dni spędził Zbierowski przy koksowych piecach, robiąc notatki i szkicując. Głodny i brudny przychodził wieczorem do lepianki o bielonych ścianach. Babka nalewała mu miskę barszczu, a wąsaty gospodarz — który w dzień spał po nocnej zmianie — wychodził z komórki, skręcał z machorki grubego papierosa,

zapalał go, przysiadł się do stołu i przecierając zaspane oczy, pytał:

— Zmęczony?

Pewnego razu Grisza mu powiedział:

— U was, Wasilij Timofiejewicz, to jest nie produkcja, lecz rabunek koksu, jeżeli można tak powiedzieć. Najcenniejsze produkty, zawarte w węglu kamiennym — lekarstwa, doskonałe barwniki, perfumy, materiały wybuchowe — wszystko spala się nad piecami. Otrzymujecie koks, a inne skarby giną niewykorzystane. Przepadają ogromne kapitały, majątek! Aż przykro patrzeć!

Wasilij Timofiejewicz słuchał, wypuszczał z papierosa kłęby dymu, aż nagle roześmiał się ze złością:

— Przykro ci, mówisz?

— Grabież — potwierdził Zbierowski.

Z twarzy Wasilija Timofiejewicza zniknął uśmiech. Patrzył spod ściągniętych brwi, a czoło poorany zmarszczki.

— Widzisz, młodzieńcze — rzekł opierając się ciężko rękami o stół, — Dla ciebie, oczywiście, to jest przykre. A nasz brat nie ma potrzeby żałować tych kapitałów. Spalają się? Już słyszałem. Niech się spalają! Mnie to nic nie obchodzi.

— Jak to, nic was nie obchodzi? Przecież pracujecie przy piecach.

--- Pracuję! Aha, pracuję! A rabunek u nas istnieje, ale nie koksowy, lecz inny; grabież, w całym tego słowa znaczeniu! Przy wypłacie — kara, dziewięć rubli, nie wiadomo za co. W węglu pozostał dynamit, nabój... Robotnikowi placowemu Poleszczence wybiło oko i za to wyrzucili go z pracy. Sąsiadowi syn umarł, chorował na żołądek. Słyszysz? Siebie samego trzeba żałować, ludzi! E-ech — powiedział przeciągle, podnosząc się z miejsca — wy i tak nie zrozumiecie tego nigdy!

Zbierowski poczuł na sobie kłujące nieprzyjazne spojrzenie. Poczzerwieniał i także wstał od stołu.

„Dziwnie rozumuje — pomyślał. — Bez logiki. Złości się, że nałożyli mu karę, jak gdybym to ja zawinił. Ale niech i tak będzie, trudno spierać się o rzeczy bez sensu”.

O zmierzchu Grisza długo stał na podwórzu; odwrócił się tyłem do łuny widniejącej nad piecami i spoglądał na wygwieżdżone niebo.

„W Petersburgu latem nie ma takich gwiazd. A tu Kassiopea, jak pięć iskrzących się brylantów; Wega migocze, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. W tym kierunku, gdzie widać Wege — mieszka Zoja. Czy śpi teraz? Nie, pewnie jeszcze nie śpi. Jutro można będzie pojechać do niej. W zarządzie obiecali, że dadzą konia. Pozostać u niej kilka dni, a potem — rozłąka aż do jesieni. Jesienią, w Petersburgu znowu się spotkają. Będą spędzać razem wieczory, będą chodzić do teatru na galerię. Ach, jak przyjemnie jest żyć na świecie! Dlaczego ludzie — przez myśl Zbierowskiego przemknęły surowe oczy gospodarza — nie chcą odczuwać tej radości, a w życiu widzą jedynie same złe strony?”

Rano zbudziła go głośna rozmowa. Wasilij Timofiejewicz wrócił z pracy; razem z nim przyszedł jakiś drugi robotnik, tak samo wielki i silnie zbudowany. Nawet twarze ich były podobne do siebie: obydwie jak gdyby grubo wyciosane z brązowego kamienia, z naklejonymi kępkami jasnych brwi i wąsów.

Zbierowski wyjrzał spoza zasłony. Gospodarz mył się przy blaszanej umywalni. Gość, odwróciwszy się do babki, wołał:

— Po chłodzie! Po chłodzie lepiej się chodzi... raniutko!

Policzki babki, przypominające suszoną gruszkę, zmarszczyły się jeszcze bardziej od uśmiechu. Rozkładała na stole świąteczny obrus i często spoglądała na gościa. A ten usiadł na ławeczce i podjął, wcześniej widocznie rozpoczęte, opowiadanie:

— A-ale to było! Cała kopalnia zatrzęsa się. Przyleciał sam Charitonow. „Kto powiada — odmawia zejścia do szachty — natychmiast zwolnić!” Aż zgrzytał zębami.

Mydliny ściekały z czoła Wasilija Timofiejewicza. Mrużąc oczy, spojrzął przez ramię;

— A co z waszym wentylatorem?

— Pękły tłoki w maszynie. W kopalni gaz, lampy gasną. Rębacz Nieczipurenko podszedł do inżyniera Iwana Stiepanowicza i zapytał: „Mam — mówi — troje dzieci. Powiedzcie — mówi — zgodnie z waszym sumieniem: zejść na dół czy nie?” Terentiew aż się zrobił szary na twarzy.

--- I co powiedział?

„Idź — mówi — a nie — to zwolnienie”.

A to gadzina!

„To w kopalni, gdzie Zoja — pomyślał Zbierowski. — Matnią, to niemożliwe: Iwan Stiepanowicz nie powiedziałby tak nigdy, gdyby naprawdę istniało niebezpieczeństwo”.

Ubrał się, wyszedł spoza zasłony i przywitał się.

Gość, jak gdyby z przestrachem, szeroko otworzył oczy.

--- To nasz lokator – wyjaśnił półgłosem Wasilij Timofiejewicz wycierając kark rękawikiem.

W domku naraz zrobiło się cicho. Zbierowski zapinał błyszczące guziki munduru. Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu.

Wreszcie Grisza poczuł się zupełnie zbędnym i obcymi wziął czapkę i skinąwszy głową, wyszedł za próg.

Słońce stało już wysoko i robiło się gorąco. Zbierowski szedł ulicą i rozmyślał: „Co za nieprawdopodobne plotki! To jasne, że Iwanowi Stiepanowiczowi jest ciężko. Nawiasem mówiąc, dzisiaj dowiem się czegoś o Lisicyńce... Boże, żeby już jak najprędzej pojechać do Zoi!”

Rano nie było technika — kierownika koksowni; w zarządzie okazało się, że nie ma księgowego, który miał wypłacić pieniądze na przejazd. Grisza to siedział potul-

nie, to znowu zrywał się i zaczynał z wściekłością chodzić po korytarzu. Potem trzeba było czekać, aż przyprowadzą ze stajni konia. Przyprowadzono go dopiero około południa, zaprzężonego do ciasnej jak skrzynka, dwukołowej biedki.

Zbierowski umieścił walizkę pod nogami, a sam usiadł obok woźnicy, który wymachiwał batem i krzyczał:

— Wio-o, przeklęty!

„Przeklęty” wstrząsał się za każdym uderzeniem bata, ale klusem biec nie chciał.

Rozpalone słońcem powietrze falowało nad stepem. Rozchodził się ostry zapach nagrzanego piołunu. Bryczka jechała powoli po zakurzonej drodze; z tyłu pozostał dym koksowych pieców, a z boku, jak wysepki, widniały osiedla „Trzeciej Kopalni” i szybu „Jewdokia”.

Na skraju widnokrzęgu pełził pociąg towarowy podobny do czerwonej gąsienicy.

— A gdzie jest Charitonowka?

Woźnica podniósł bat:

— Tam... troszkę na prawo!

W dalekiej zamglonej plamie Zbierowski odgadł raczej, niż zobaczył znajome zabudowania kopalni.

Minęła godzina. Koń nadal stąpał ponuro, a zmożony upałem woźnica drzemał, owinawszy lejce dookoła ręki. Zbudowany z okrągłaków wyciąg szybowy kopalni Chanowa, do której było jeszcze trzy wiorsty, wyglądał jak zabawka zrobiona z zapalek. A za niepozornymi szarymi domami błyszczał kryty blachą cynkową dach małeńkiej murowanej willi. Zbierowski zauważył go i poweselał. Rozróżniał już ledwie dostrzegalne kwadraciki okien.

Nagle nad kopalnią bezdźwięcznie wzbił się ciemny obłok, przybrał kształt rozgałęzionego gigantycznego drzewa i szybko rozproszył się pod wpływem wiatru. Po chwili wzbił się drugi obłok, nieco mniejszy, jaśniejszy i również się rozwiął.

Co to może być? Dziwne zjawisko przyrody! Trzeba zapytać Iwana Stiepanowicza. Koniecznie zapytam się, gdy tylko przyjadę".

Nad budynkiem koło wyciągu szybowego wyrósł cienki kędzierzawy u góry pióropusz białej pary. Potem — zagrzmiało, jak dalekie ciężkie uderzenia piorunów, a po chwili rozległo się ochryple, niskie wycie syreny.

Grisza poczuł dziwny niepokój.

Wzywają na zmianę czy co? — zapytał woźnicy. Pióropusz pary to pojawiał się, to znowu rozpraszał się w powietrzu. Syrena jęczała jak śmiertelnie raniony olbrzym. Cichła na chwilę i znowu rozległo się jej ści-skające serce wycie.

Nie, to nie zmiana — mrugając, z przestrachem odpowiedział woźnica. — To nieszczęście! Szarpnął gwałtownie lejce i zaczął okładać batem kościsty grzbiet konia. Koń machnął ogonem i wreszcie ruszył galopem.

Drzwi domów były otwarte, ulice osiedla — puste, W krótkich chwilach ciszy, gdy milkło miedziane gardło syreny, słychać było od strony kopalni zawodzenie, płacz i zgiełk setek ludzkich głosów.

Biedka skręciła za róg.

Krzyczący i wygrażający pięściami tłum otaczał budynek przy kopalni. Migwały pstre chustki kobiet, rozwiane włosy, zastygłe w grymasie przerażenia, wykrzywione, zalane łzami twarze. Dwóch policjantów, gniewnie odpychając pochwami szabel wyciągnięte ku nim ręce, włąziło po ścianie na dach budynku. Lament ludzi mieszał się z przerywanym wyciem syreny.

„Rewolucja! — pomyślał najpierw Zbierowski. — Powstanie... Jak w dziewięćset piątym".

Podniósł się z siedzenia i rozglądał z podnieceniem.

W odległości kilku kroków od miejsca gdzie zatrzymała się dwukółka, siedziała na ziemi młoda kobieta z zadartym nosem i przyciskała do piersi dziecko. Przenikliwym głosem ciągnęła jedną żalną nutę:

— I-i-i-i-i...

Patrzyła przed siebie pustymi, niewidzącymi, niepojmującymi nic oczami.

„Nie, to nie wygląda na rewolucję”.

Nieco dalej stał człowiek w rozpiętej kamizelce — nadzorca czy niższy urzędnik — i zamasyście kreślił znak krzyża.

Zbierowski podbiegł do niego i zawołał:

— Co się tu stało? Powiedzcie!

Człowiek poruszał ustami, lecz nie można było zrozumieć, co mówi. Potem zaczął krzyzczeć, przeciągając wyrazy:

— Dwie-eście du-usz zosta-ało pod ziemią, królestwo im niebieskie... Ga-az wybuchł, ta-ak! Ca-ała zmiana! Dwie-eście dusz!

Syrena umilkła; widocznie wyczerpała się para w kotłach.

Griszy wydawało się, że cały świat dookoła niego polizał. Niepewnym krokiem, potykając się wracał do swojej biedki. Szedł i oglądał się często na straszną czarną wieżę szybową.

W pobliżu konia z biedką krzyczeli i płakali zbici w ciasną gromadę ludzie.

Zabić gada... zabić... A-a-a! — dobiegało z tłumu.

Charitoszkę! Char-r-ritoszkę!...

— Boże mój!... Boże mój!...

— O-o-o!...

— Kto ciebie, żywicielu, zastąpi...

— Char-ritoszkę!...

Do Griszy dobiegły zagłuszone ogólnym zgiełkiem głosy:

Terentiewa! Terentiewa!

Obok niego, wciąż tak samo bez ruchu, siedziała kobieta z dzieckiem na ręku, patrząc przed siebie szklanymi, obłąkanymi oczami.

Nagle przypomniała mu się poranna rozmowa u gospodarza: „Mam troje dzieci. Powiedzcie, zgodnie z wa-

szym sumieniem: zejść do kopalni czy nie?" — „Zejdź. A nie — to zwolnienie”.

„A teraz zginął biedak!”

Zbierowski wskoczył na stopień swojej biedki, trącił woźnicę i krzyknął:

Do domu inżyniera! Prędzej!

„Cóż pan mi powie, panie Terentiew? — powtarzał w duchu zawzięcie, podskakując razem z biedką na wybojach. — Co pan mi na to odpowie?”

W willi z cynkowym dachem nie było ani brata Zoi, ani jej samej. Ciotka Szura pochlipywała i ocierała płynące obficie łzy. Zbierowski wyszedł na podwórze, usiadł na ganku, wstał, podszedł do bramy, wrócił i znowu usiadł.

— Patrz — rzekł do niego woźnica — to chyba inżynier.

Ulicą zbliżała się procesja: dwóch ludzi niosło na noszach czyjeś ciało, obok biegła Zoja, za nimi szedł starzec w białym kitlu lekarskim i grupka górników w brudnych kurtkach, z twarzami czarnymi od pyłu węglowego.

„Czyżby go rozszarpali?” — wzdrygnawszy się pomyślał Grisza i w myślach ujrzał krzyczący i płaczący tłum.

Chciał rzucić się na spotkanie idących, lecz zamiast tego, zmieszany, cofnął się w tył. Zoja nie zauważyła go i przebiegła przez podwórze.

Woźnica zdjął czapkę. Na podwórze wniesiono nosze. W leżącym na nich, czarnym, jak gdyby umyślnie wysmarowanym sadzą człowieku, z trudem można było rozpoznać Iwana Stiepanowicza. Wargi jego wydawały się nienaturalnie różowe; to otwierał usta, to je znowu zamykał; ręka zwisała bezsilnie i kołysała się.

Ludzie weszli na ganek i wnieśli nosze do domu.

Jeden z górników pozostał na podwórzu i spojrzał na woźnicę:

— Daj, bracie, zapalić.

Woźnica skwapliwie podał mu kapciuch i złożoną kilkakrotnie gazetę.

Po chwili górnik zaczął opowiadać:

— Kiedy nastąpił wybuch, Iwan Stiepanycz był w zarządzie. „Ludzi ratować!” — krzyknął — i do kopalni. Maszynista nie chciał go zwieźć na dół. „Zginiecie na próżno” — mówił. Ale Terentiew zjechał i bez potrzeby się zatruł.

Woźnica zaciągnął się machorką, splunął i dodał:

— Wyciągnął go na sznurze Łariwonow, dziesiętnik.

Na ganku zjawił się wysoki chłopak z pustymi noszami pod pachą, a za nim wyszli z domu pozostali górnicy. Któryś z nich zamruczał półgłosem:

Nic mu nie będzie, wyżyje...

Górnicy postali chwilę i odeszli, pozostawiając na podwórzu ślady łykowych łapci.

Przez okno wyjrzała kucharka.

Co z Iwanem Stiepanowiczem? — spytał Zbierowski chwytając się za parapet okna.

--- Śpią — wyszeptała. — Przy nich felczer z kopalni.

A co mówi felczer? Wyzdrowieje?

Kucharka zamruwała czerwonymi bezrzęsyymi powiekami i nic nie odpowiedziała.

Zawołajcie Zoję Stiepanownę — poprosił Zbierowski.

Zaraz.

Zbierowski oparł się czubkami butów o występ ściany i zaglądał przez okno. Zobaczył stół, na stole sito, kupkę przesianej mąki i miedziany moździerz. W oczach miał ciągle jeszcze plac obok kopalni, tłum i kobietę o zastygłej twarzy, przyciskającą dziecko do piersi.

„To śmieszne po prostu, że rzucił się na ratunek. Nonsens: spóźniony gest”.

Wreszcie do kuchni weszła Zoja. Niosła skrecone jak powróż, mokre prześcieradło. Gdy spostrzegła Griszę, zatrzymała się.

Ach, to wy! Wybaczcie, ale przyjechaliście nie w porę.

Oczy miała suche, a brwi uniesione, jak gdyby ze zdziwienia.

Rozumiem, zaraz wyjeżdżam, ja tylko na sekundę -- mówił szybko. — Dwa słowa tylko, na miłość boską z Iwanem Stiepanowiczem — to poważna sprawa? Pewnie, że poważna.

A co felczer sądzi — wyzdrowieje?

Trzeba mieć nadzieję — Zoja uśmiechnęła się z przymusem. — Wybaczcie, ale nie mam czsu.

Grisza zagryzł wargi i, pobladłszy, nagle zaczął mówić zachłystującym się szeptem:

— Wszyscy wiedzieli, że w kopalni jest niebezpiecznie. Proszę powiedzieć mu to ode mnie. Mógł uprzedzić... Takie okropne warunki pracy... Każdy uczciwy człowiek na jego miejscu... a on zrobił właśnie inaczej. Trudno mi to mówić, bo to przecież wasz brat...

— Do widzenia! — krzyknęła Zoja.

Odwróciła się gwałtownie i zaczęła wykręcać wodę z prześcieradła.

Na policzkach Griszy wystąpiły purpurowe plamy.

— Do widzenia! — rzekł powoli, po chwili niezręcznego milczenia. Spuścił głowę i westchnął: — Napiszę do was list.

Od wschodu nadciągała ciężka, kłębiąca się chmura.

Woźnica podjechał i Zbierowski wsiadł do biedki; koń podcięty batem ruszył kłusem z podwórza.

Minęli osiedle przy kopalni i wyjechali na prostą stepową drogę. Szare hałdy wkrótce zasłoniły blaszany dach. Pośród ciemniejących w tyle budynków po dawnemu sterczała czarna ściętą piramidą wieża szybowca kopalni.

Nigdy jeszcze nie było Zbierowskiemu tak ciężko na sercu.

To chciał wrócić, zobaczyć, co się dzieje w budynku przy kopalni, to znowu mówił sobie, że przecież nie może nic pomóc, a próżna ciekawość w nieszczęściu — obraża. Oglądał się, patrzył za oddalającą się kopalnią, marszczył czoło i pocierał je palcami.

Słońce skryło się za chmurami. Stacja kolejowa była już blisko.

Na rękaw niebieskiego studenckiego munduru upadły pierwsze krople deszczu.

ROZDZIAŁ II

Odludne ścieżki

Niemaló zbiegłych z katorgi włóczęgów tułało się po syberyjskiej tajdze. I ten człowiek był właśnie takim włóczęgą.

W ciągu dnia ukrywał się w nieprzebytych gąszczach, spał wygrzewając się na słońcu lub — w razie niepogody — w zbudowanym przez siebie, ciasnym szałasie. Z ludźmi nie chciał się spotykać. Nawet ognisko rozpalał z obawą, żeby dymem nie zwrócić na siebie uwagi. Dookoła było pusto, a on w każdym szmerze leśnym doszukiwał się odgłosu czyichś skradających się kroków. Tylko nocami — a noce w lecie są jasne — szedł aż do rana, wspinając się na strome zbocza, przecinając doliny i z uporem posuwając się ze wschodu na zachód.

Obliczał tak: do nastania mrozów trzeba przejść trzy tysiące wiorst — po siedem godzin wytężonego marszu na dobę. Zima powinna zastać go już za Uralem. Na

to wystarczy mu sił, dojdzie. Jeżeli, oczywiście, nie wysłędzą go strażnicy albo nie trafi jakaś zabłąkana kula.

Pożywienie zdobywał w tajdze: niszczył ptasie gniazda i wybierał stamtąd garść pstrych, okrągłych jak rzeczne kamyczki jaj lub wyszukiwał zeszłoroczne szyszki cedrowe.

Pewnego razu głód ośmielił go do tego stopnia, że podszedł blisko do małej chatki. Przyczaiwszy się w krzakach, zobaczył staruszkę nasypującą do wydrążonego z pnia koryta otręby zmieszane z plewami; chciała pewnie nakarmić krowę lub świnię. Po chwili staruszka wróciła do izby. Wówczas włóczęga wyskoczył zza krzaków, przesadził płot, przewrócił koryto, wytrząsnął otręby do jakiejś brudnej szmaty i, dysząc ciężko, umknął z powrotem w gąszcz.

Okazało się, że otrąb było około dwadzieścia funtów. Od tego czasu jadł codziennie troszkę kaszy.

Ubrany był w podarty nieschodzący się na piersiach kożuszek i parcianą czapkę. Nieczesana broda zbiła się w rudy, pozlepiany żywicą kołtun. Na plecach miał przewieszoną płócienną torbę z resztkami otrąb i zakopcony kociołek, za pasem widniała błyszcząca ostra siekiera.

Wiele cierpień sprawiały mu zwłaszcza łapcie z kory brzozej, twarde, wielkie, nieelastyczne, przypominające swym kształtem raczej żelazka do prasowania aniżeli ludzkie obuwie. „Wynalazł” je sam, gdyż boso nie można chodzić po tajdze. Jednak trudno było w nich chodzić i szybko łamały się — codziennie trzeba było robić nowe.

Patrząc na łapcie myślał często: „Dobrze byłoby uszyć sobie ciżmy z niedźwiedziej skóry. Są na pewno wygodne i mocne”. Zeszłej zimy, kiedy chłopci przejeżdżali obok więzienia, widział takie na nogach jednego z nich. Nie można ich porównać do tych brzozowych pudełek. A spotkania z niedźwiedziem i tak uniknąć się nie da. Trzeba tylko, kiedy zwierz napadnie, nie tracić głowy i na czas zadać mu cios. Siekiera da radę niedźwie-

dziowi. Żeby tylko nie napadł znieńacka. „Mam także nóż, co jest bardzo ważne, gdyż będzie czym kroić skórę, wycinać cienkie paseczki futra i szyć nimi zamiast dratwy”.

Ale niedźwiedzie, jak na złość, tchórzliwie kryły się w zaroślach.

Słońce zaszło. Włóczęga westchnął, przywiązał łąpcie strzępami postronka, zarzucił torbę na plecy i rozsuwając rękami kłujące gałęzie ruszył przez gęstwinę tajgi.

Zorza nie przygasiała przez całą noc. Północna połowa nieba lśniła złocistym, różowym i liliowym światłem.

W dolinach między górami wiał zimny wiatr; kałuże u stóp obrośniętych mchem pagórków jeszcze z wieczora pokrywały się kruchą warstewką lodu. Na grzbietach gór, jak wycięte z czarnego kartonu, ciemniały sylwetki wiekowych cedrów i jodeł.

Włóczęga szedł, nie zbaczając z prostej linii, którą, w myśli przeciągnął ze wschodu na zachód. Przeszedł najpierw przez jedną górę, potem przez drugą i po nierównym zboczu spuścił się na dół. U podnóża skał usłyszał szum spadającej wody. Czepiając się kamieni dopelził do zarosłego drzewami wąwozu i otarł dłonią spocone czoło. W przezroczyście półmroku szumiała przed nim pokryta pianą górską rzeczka,

„Ileż rzek jest w tych leśnych labiryntach! A, niech je diabli wezmą!”

Ze złości zsunął czapkę na tył głowy. Przymrużywszy oczy rozglądał się na wszystkie strony. W skalistym korycie rzeka pędziła burzliwym potokiem. Pnie drzew wznosiły się w górę jak ciemne kolumny, nad którymi błyszczwały blade punkciki gwiazd.

„Trzeba ściąć tę sosnę. Inaczej nie da się przejść suchą stopą”.

Podniósł siekierę, odwrócił się plecami do rzeczki, cofnął się o pół kroku i z głośnym wydechem uderzył w sosnę. Oglądając się od czasu do czasu, rąbał miarowo i mocno. Posypały się drzazgi. Zrobiło mu się gorąco —

zrzucił torbę i rozpiął kożuszek. Wreszcie ogromne drzewo zatrzeszczało, opisało w powietrzu łuk i zważyło się ciężko, opierając wierzchołkiem o skały przeciwległego brzegu.

„To ci most!” — uśmiechnął się włóczęga. Nagle zauważył, że niebo pojaśniało, i pomyślał, że trzeba czym prędzej odejść jak najdalej od tego miejsca.

Nieszczęście przyniosły, oczywiście, brzozowe łapcie.

Ale czy to można — niech je licho weźmie — nazwać obuwie? Gdy szedł po zwałonej sośnie, w dole huczała spieniona rzeka, zaczepił łapciem o jakiś sęczek; chciał szybko zrobić krok naprzód, lecz stracił równowagę, machnął bezradnie rękami i z wysokości leżącego nad potokiem drzewa spadł do wody.

Najpierw nie poczuł nawet, że się uderzył. Woda oparzyła go lodowatym zimnem, zaparło mu dech w piersiach. Silny prąd poniósł go, tocząc po kamieniach; przed oczami zamigotały spienione fale, zielonkawe dno, poranne niebo. Dopiero w odległości może dwustu kroków zdołał, zachłystując się, wypelznąć na brzeg.

Silne dreszcze wstrząsały całym jego ciałem. Przesuwał ręką po twarzy — dotknięcie boli, twarz zakrwawiona, policzek jak cudzy. Oko także jak cudze, samo zamyka się, to znaczy, że powieka jest spuchnięta. Noga — cóż to takiego! — trudno poruszać nogą. Z odzieży spływa woda. Nie ma czapki. Siekiera — ...nie ma siekierki ani kociołka, ani torby z otrębami.

„Niech to diabli! I tak pójdę! I tak!”

Uszedł jednak niedaleko. Utykając przeszedł może wiorstę, ujrzał suchy mech i uklęknął na nim, ostrożnie zginając stłuczoną nogę. Wciąż drżał na całym ciele. W kieszeni namacał — dobrze, że chociaż to ocalało — stalową, wyszczerbioną płytkę i kawałek krzemienia. Wyjął i wytarł mchem. Chciał wykrzesać iskrę. Jednak, to iskry nie mógł wykrzesać, to mech nie chciał się zapalić, to znowu ręce drżały i uderzał zamiast po krzemieniu — po palcach. Wreszcie ukazała się cieniutka

smużka dymu, a po kilku minutach — zapłonęło ognisko.

Włóczęga rozgrzał się i zasnął, jak gdyby zapadając się w czarną przepaść. Znowu obudziło go uczucie chłodu, przed nim tliły się pokryte popiołem węgle, dorzucił suchych gałązek, znowu spał i znowu się budził. Jak we śnie, kulejąc chodził dookoła i zbierał chrust na ognisko; kładł się i jak na jawie czuł żar i nieznośny blask lamp łukowych. Wydawało mu się, że trzeba poprawić abażur obrotowy, a nie można tego zrobić; na tekach jak gdyby kajdany, które na pewno rozbiją najlepszy filtr i wszystkie szklane rurki, poprzeciągane wzdłuż stołu. A Jegor Jegorycz — gdzież on się podział? Przecież powiedział mu, żeby nie wychodził!

— Jegor Jegorycz, dorzuć drzewa do ogniska! Drzewa! Jegor Jegorycz!

Zdaje się, że świeciło słońce, a teraz są gwiazdy. O, tamten świerk coś przypomina. Coś jak gdyby starodawną dzwonnice... wyciągnęła łapy z pazurami... Nie, to czarownik ze „Straszliwej zemsty”. Taki jaki był narysowany w książce. Jeszcze w korpusie.

„Dlaczego ognisko nie płonie?”

Znów dreszcze. Znów majaczy się lodowata woda.

*

◆ *

Lisicyń rozglądał się: jakieś ściany z okrągłaków, maleńkie okienko z czterema szybkami. Niski zakopcony pułap, wiejski piec z leżanką.

„Czego ona chce — myślał — czego ona chce, co to za jedna?”

Kobieta w perkalowej chustce pochyliła się nad nim i przycisnęła mu do ust coś twardego, mówiąc:

— Katorżnik, ale dusza przecie ludzka... Wypij, biedaku, coś ty... No, wypij...

Oczy miała lekko skośne, o mongolskim wykroju i głęboką surową zmarszczkę na czole. Głos niski i śpiewny.

— Patrzy! — zawołała przeciągle, jak gdyby ze zdziwieniem.

Kobieta trzyma w rękach gliniany garnek, a ręce ma duże jak mężczyzna.

— Ty co, biedaku — zapytała — zbieg?

Lisycyn patrzył w milczeniu.

— Kieszka — krzyknęła kobieta — katorżnik oprzytomniał! Leć zawołać politycznego. Kazał, jeśli oprzytomnieje, zawołać go... Kieszka, gdzież ty jesteś? Idź!

Lisycyn był tak osłabiony, że nie mógł ani poruszyć się, ani mówić. „Niech się dzieje, co chce — pomyślał i zamknął powieki — wszystko jedno”.

Potem, gdy znowu otworzył oczy, stał przed nim człowiek w znoszonym studenckim mundurze, który dawno stracił swój pierwotny kolor.

— Dzień dobry! — rzekł ów człowiek i ukłonił się.

Lisycyn lekko skinął głową.

— Czy trudno panu mówić?

— Trudno — odpowiedział Lisycyn i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że mówienie naprawdę sprawia mu trudność.

— Aha — rzekł spiesznie człowiek w studenckim mundurze — wobec tego proszę posłuchać... będę mówił krótko. Jestem — byłem, że tak powiem, studentem Uniwersytetu Petersburskiego. Przebywam tu na zesłaniu, rozumiecie mnie — skazany na sześć lat. Moje nazwisko — Osadczyj.

— Z Petersburga? — zapytał szeptem Lisycyn.

— Tak jest, z Petersburga. Znaleźli was w tajdze. — Osadczyj wskazał na kobietę w perkalowej chustce (stała obok ze zmarszczonym czołem). — Jej synowie przynieśli was bardzo chorego. Wiele bredziliście w gorączce. Wymienialiście przy tym nazwisko Glebowa. Pełnym nazwiskiem i imieniem: Pawła Kiryłowicza Glebowa.

Lisycyn uniósł się i przypomniał sobie: „Trzeba iść”. Jak to — pomyślał przestraszony — dlaczego leży? Nie wolno leżeć. Dostał się pomiędzy ludzi, zatrzymają go, muszą do powrotu na katorgę. Trzeba się gdzieś ukryć. Czeka go daleka droga: dojść do pasma Gór Ural-
skich i przeprowić się przez nie, zanim nastaną mrozy.

„Zapytam się” — pomyślał patrząc na Osadcze-
go, i zapytał:

— A ile wiorst?

Osadczyj porozumiał się wzrokiem z kobietą:
„Bredzi!” Dotknął ręki chorego.

— Nie będę was męczył. Proszę zrozumieć: jeste-
ście mówił oddzielając zgłoski — na razie zupełnie bez-
pieczni. Życzę polepszenia. A jeżeli zajdzie potrze-
ba, można po mnie posłać...

Wszedł dwudziestoletni młodzieniec w płóci-
ennej koszuli, stanął obok kobiety i przyglądał dłoń-
ią kosmyk czarnych włosów. Osadczyj szepnął coś do niego i ra-
zem wyszli.

Kobieta spoglądała na Lisycyna lekko skośnymi
oczymi.

— Jednak uznał cię za swojego — rzekła. — No,
cóż, mówię, ginać nie trzeba...

Po chwili znów przyniosła gliniany garnuszek:

— Wypij mleczko.

Lisycyn nie odpowiedział: spał.

Zagroda — drewniana wiejska chata z kawałkiem
pola, samotnie stojąca w tajdze — była oddalona o blisko
godzinę drogi od wsi. Właścicielka chaty nazywała
się Daria. Jej zmarły mąż zajmował się myślistwem;
zresztą, sama Daria, gdy wychodziła na polowanie, mo-
gła od razu trafić wiewiórkę w oko; jej synowie: jeden —
Kieszka, a drugi — Wańsza, również nie powracali ni-
gdy z tajgi bez zdobyczy.

Osadczyj szedł ścieżką prowadzącą do wsi. W chacie
bywał częstym gościem, a czasami Kieszka i Wań-

sza brali go ze sobą na polowanie. Powoli nauczył ich czytać i pisać.

Opędzał się gałązką od komarów, których chmara unosiła się w powietrzu, i rozmyślał nad tym, że towarzysz dostał się przypadkiem w dobre ręce, że we wsi nie wiedzą nawet o nowym mieszkańcu chaty i że urzędnik * dopiero przed tygodniem wyjechał z powrotem do gminy, przyjedzie więc niewcześnie niż za miesiąc. Ciekawe, kim jest ten towarzysz? Po pierwsze, jest jasne, że uciekł z katorgi. Po drugie, jest zupełnie jasne, że to socjaldemokrata. Bolszewik. Gdy majaczy — ciągle ostrzega Glebowa. I ciągle mówi o jakimś laboratorium. Jest przy tym, zdaje się, poważnie chory. Tak, jest bardzo chory.

„Poczekam dzień, dwa — pomyślał Osadczyj — i dam znać do Krinkina. Tam jest dużo różnych zesłańców: mówią, że niedawno osiedlił się tam jakiś medyk. Przedostanie się cichaczem i zbada chorego. Tak!”

Osadczyj szedł w głębokim cieniu wysokich świerków; wydawało się, że panuje niczym nie zmacona cisza, tylko wiatr szumiał wśród wierzchołków drzew. Powietrze przepojone było wilgocią, zapachem zgniłego igliwia i grzybów. Potem ścieżka wspięła się w górę. Od razu załśniło niebo, aksamitne muśnięcie ciepłego powietrza prześliznęło się po policzku, rozszedł się aromat rozgrzanych słońcem, żywicznych drzew. Osadczyj przystanął i nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie Zbirowskiego. Uśmiechnął się: „A jednak — pomyślał — to był niezły chłopak. To nic, poczekaj — spotkamy się, Ile jeszcze zostało? Półtora roku. Spotkamy się. Wtedy sam się przekonasz, po czyjej stronie leży prawda”.

* *Urządnik — urzędnik policyjny w carskiej Rosji (przyp. tłum.).*

Następnego dnia Lisicyń siedział już na ławce, zwiśsiwszy bosc nogi.

— Katorżniku, biedaczku! — mówiła Daria głębkim głosem. — Masz, rozczesz brodę. — I położyła przed nim drewniany grzebień z dużymi, rzadkimi zębami. — Wstyd tak wyglądać! Wiesz co: napalę w łaźni, dasz radę dojść?

— Z was naprawdę zuch! — rzekł Osadczyj przyszedłszy do chaty. — A ja chciałem już wezwać lekarza, nasze go, zesłańca... A czy, proszę wybaczyć, poznajecie innie? Wczoraj... Zdaje się, że się nie mylę: obydwaj jesteśmy bolszewikami.

Coś odległego, dawnego, poruszyło się w pamięci Lisicyńa. Jak gdyby kiedyś już widział tę twarz, te oczy, przypominające czarne jagody. Właśnie w studenckim mundurze.

Nie wczoraj było to jednak, lecz o wiele dawniej. Czy widział go już? Chyba nie. Wątpliwe.

— Nie jestem — odrzekł Lisicyń — wcale bolszewikiem.

— Ach tak! — powiedział Osadczyj i zaczerwienił się; na śniadej skórze rozlały się plamy ciemnego rumieńca.

Spoglądali na siebie: jeden — z przykrością, drugi — nasrożony, poruszając rudymi brwiami. Wreszcie Osadczyj zapytał:

- Pozwólcie zadać sobie pytanie: kim jesteście wobec tego? Nie socjaldemokrata?

--- A dlaczego o to pytacie? Nie jestem Żadnym socjaldemokrata.

Uporczywie patrzyli na siebie. Broda Lisicyńa była jeszcze mokra po myciu, a na czole błyszcząły kropelk potu. On sam uniósł się nieco, pochylił naprzód i obydwoma rękami chwycił za brzeg ławki.

— Taak — ciągnął stojący przed nim Osadczyj. — Zrozumcie... Jeżeli ludzie spotykają się... Spotykają się w takich okolicznościach... Przecież w gorączce wspominaliście Glebowa.

— Glebowa? — powtórzył Lisicyń i skinął głową. — Glebowa znam doskonale. To mój stary przyjaciel.

— Skąd go znacie?

— Uczyliśmy się razem... A cóż wy mnie — Lisicyń zmarszczył brwi — tak ciągle wypytujecie? — Zmarszczył brwi jeszcze bardziej. — Po co wam to? Pójdę sobie dzisiaj i koniec. I do widzenia!

Wstał z ławki, lecz zatoczył się z osłabienia.

— Jestem człowiekiem — rzekł kaszłac — który z polityką... A do diabła, co za przeziębienie! No, dobrze... dziękuję za opiekę... który, z polityką chyba nie ma nic wspólnego.

Przytrzymując się ręką za wystające ze ścian belki, wyszedł z izby. Kaszłac nadal, przystanął na ganku i ujrzał Darię, która wydoiła krowę i niosła przez podwórze mleko w wiadrze.

— Dziękuję wam, gosposiu — ukłonił się jej — za wszystkie wasze starania, za dobre serce. Mam do was prośbę...

— Jaką prośbę? — surowo zapytała Daria.

— Jedną, jedyną. Wiecie, jak trudno jest w tajdze bez siekiery. Nie macie zapasowej lub zbędnej?

— Cóż ty! — krzyknęła Daria. — Zwariowałeś? Dokąd?

Osadczij pomyślał: „Ostrożny człowiek. Nie chce nic o sobie powiedzieć. To jest zrozumiałe. Każdy na jego miejscu... A więc uczył się razem z Glebowem? Glebow... Czekaj! Glebowa wydalono z Akademii Górniczej. Ciekawe więc teraz...”

W międzyczasie Daria z hałasem wepchnęła Lisicyńa z powrotem do izby.

Zginiesz — krzyczała — katorżniku zatracony! W tajgę! Oszalał po prostu... Masz, pij! — I chlusnąwszy naląła garnek ciepłego jeszcze mleka i z brzękiem postawiła go na stole przed Lisicyńem. — Jedz, mówię! — krzyczała gniewnie, odkrawając grubą kromkę chleba.

-- W tajgę! — I wzięwszy się pod boki mrużyła skosne, okolone zmarszczkami oczy. — Patrzcie go! Ciebie, biedaku, chorego, bies leśny... A ty w tajgę! Patrzcie go!

- Widzicie ją, jaka despotka — rzekł Osadczyj z uśmiechem.

Lisycyn spojrział na niego spode łba i usiadł podwinawszy pod ławkę bosc nogi. Popatrzył na Darię i potulnie przysunął do siebie garnek i chleb.

„Nazywa gosposią — myślała Daria. — Inny katorżnik... siekierę — no, tak — gwizdnałby bez pytania...”

Już przy samych drzwiach, ujawszy za klamkę, Osadczyj przystanął.

- Nie gniewajcie się na mnie — rzekł. — Proszę mi wierzyć, że nie mam żadnych wrogich zamiarów, wręcz przeciwnie. — Po czym przypomniał sobie o Glebowie i zapytał: — Nie macie nic przeciw temu, żebym za-szedł do was, powiedzmy jutro? Pogadać o Petersburgu?

Lisycyn westchnął: „O Petersburgu!”

Przeżuwał chleb, a w pamięci przesuwaly mu się kanały, barki z drzewem, bulwary, brązowy jeździec z przypisanym u boku mieczem. Myśl, która co dzień, co godzina prześlizgiwała się gdzieś blisko. Czy to naprawdę tak było; czy to naprawdę jeszcze kiedyś będzie? I znowu westchnął: „Będzie! Będzie laboratorium, takie jak było, a nawet jeszcze lepsze”. A on — Lisycyn podniósł wzrok na Osadczego — także wróci do Petersburga. Ten czarnooki chłopak wydaje się niczego sobie, całkiem niczego sobie.

Z nieoczekiwanym uśmiechem Lisycyn wyciągnął rękę:

— Bardzo proszę! Jeśli wam to sprawi przyjemność... Nazywam się: Lisycyn Władimir Michajłowicz. Inżynier górnik. Chętnie porozmawiam z wami.

Gdy Osadczyj odszedł, Daria rzuciła w ślad za nim:

— Chłop — szczerę złoto... — i zwróciła się do Lisicyna: — Poznałeś przyjaciela? Byywa!

Władimir Michajłowicz siedział opierając się łokciami o stół i objawszy dłońmi brodatą twarz, myślał o jeźdźcu z brązu, o szerokim bulwarze, strojnym, uroczystym, z latarniami — po pięć sztuk na słupie, jak żyrandol zwrócony ku górze. Nawa. W Newie odbijało się liliowe niebo, na drugim brzegu ciemniał gmach Senatu. Był przecież... kiedyś był taki wieczór?

Nagle przypomniało mu się: takie samo wieczorne niebo połyskiwało i odbijało się w rzece Jeniszej. Duża grupa zakutyh w kajdany ludzi szła na katorgę. Jadący konno, konwojujący oficer bił kogoś na odlew knutem. „Wybiję z ciebie — krzyczał — upór! Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem? Co z ciebie za człowiek? Ty jesteś — więźniem!”

Daria ciężko usiadła na ławce.

— Oj, bieda, bieda, święte diabły — zażartowała z surowym wyrazem twarzy i dużą, męską ręką dotknęła ramienia Lisicyna: — Żona, pewnie, czeka gdzieś na cie-bie? Dzieciaczki? A może nie masz żony?

Tymczasem słońce już skłaniało się ku zachodowi, już, na wpół skryło się za czarnymi wierzchołkami świerków. Kieszka i Wańsza — już czas! — odłożyli siekiery i łopaty i poszli tajgą do domu, w milczeniu oganiając się od komarów. Pracowali od samego rana, gdyż matka posłała ich, ażeby przygotowali myśliwską ziemiankę. Za nimi biegł truchtem mądry, kudłaty pies.

W wiosce, oddalonej od nich o dziesięć, dwanaście wiorst, na progu chaty stał Osadczyj. Oparłszy się o ścianę, spoglądał na wiejską drogę, na wyzłocony słońcem obłoczek i ledwo dosłyszalnie nucił:

*Dzie-e-łny zu-u-u-ch
Za-a-my-y-śli-ł się...*

„Tak — rozważał — w Niżnim Nowgorodzie także był jakiś Lisicyn. Nie, to niemożliwe. Ten — to inży-

nier górnik. I wraz z Glebowem, z Glebowem przede wszystkim..."

Zafraso-o-wał się...

„Jeszcze Zbierowski plótl o jakimś Lisicynie. Jakaś awantura z chemiczną żywnością. Inżynier... A może to jest ten inżynier? Ciągłe majaczył o laboratorium. Ale co Glebow może mieć z tym wspólnego?

Gdy wybuchły strajki — myślał Osadczyj — które miały na celu podtrzymanie powstania marynarzy w Kronsztadzie i Sweaborgu... Wtedy to po raz pierwszy odczuł siłę partii... Rozumieć, to i przedtem rozumiał, ale właśnie odczuł..."

Och wy, bra-a-cia moi...

„Do tego czasu wydawało się, że Glebow, wykształcony marksista, czyta Plechanowa, Lenina, uczy nas, młodzież. Ciągłe wśród studentów — był jakby nielegalnym profesorem. A tu — jaka siła powstała w fabryce dzięki niemu! Co za ludzie! Nie wiadomo, kto z nich silniejszy".

Wy-y, ło-wa-a-rzy-sze-e...

„Groźna to jednak siła — naród rosyjski. Groźna i sprawiedliwa. A siła ta dojrzeje, wzmaga się. I niedaleka już jest godzina... Niedaleka, a ty tutaj — Osadczyj wzdrygnął się z zimna — ziębniesz, jak bezużyteczny grzyb. W bójkę się chyba wdać czy co!"

Gwałtownym ruchem otulił się w kożuszek i wszedł do chaty. W ciemności usiadł przy stole. Podparł brode pięściami i obliczał w myśli miesiące, które pozostały mu do końca zesłania.

„Pojadę — postanowił — do Krinkina. Może przywieźli literaturę".

I nie wiadomo dlaczego pomyślał, że Glebow nie posiada osobistego życia.

„A tego brodatego trzeba wypytać o katorgę..."

W następnym dniu Osadczyj dowiedział się, że nowy znajomy nawet nie stykał się z politycznymi zesłańcami. Był od nich przypadkowo czy też celowo izolowany, a zasądzono go jako przestępcę za podpalenie domu i usiłowanie zabójstwa całej grupy żandarmów.

— Miałem, wiecie, duże laboratorium — opowiadał Li-sicyń Osadczemu.

Siedzieli na podwórzu na złożonych pod płótnem kłodach drzewa. Ziemia się jeszcze nie rozgrzała po chłodnej nocy. Lisicyń miał narzucony na ramiona swój stary kożuszek, na nogach — nowe, Wysmarowane dziegiem łapcie. Dała mu je, oczywiście, Daria.

— Słyszałem o waszej pracy — rzekł Osadczyj.

— Naprawdę? Niemożliwe!

— Niech pan sobie wyobrazi, że słyszałem. Pokazywaliście swoje laboratorium jednemu z naszych studentów, Zbierowskiemu.

— Zbierowskiemu? Nie pamiętam.

— A ja pamiętam. Jeszcze sprzeczałyśmy się w naszym studenckim kółku -- czy pański wynalazek przyniesie pożytek, czy szkodę. A Glebowa także dobrze znam.

— Śmieszne, jak można myśleć o szkodzie... Właśnie Paweł Glebow...

— Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Lisicyń pochylił się. Ze skupieniem przebierał na suchej glinie u swoich nóg drobne kamyczki. Układał z nich wzorzysty szlak: jasny kamyczek, ciemny, jasny, ciemny. Kładł jeden za drugim i urywanymi zdaniem mówił — poruszał wydarzenia, których wspomnienie sprawiało mu ból: o Mikulskim, i o tym, jak przyjeżdżali różni spekulanci, i o tym, jak zrodziło się w nim uczucie trwogi i co odpowiedział wielki książe, i jak w końcu przyszedł na noc Glebow, a potem żandarmi.

— Powinienem był... Paweł nalegał... Do szynku, zdaje się, Mawrikanowa... Miałem wymienić jakiegoś Kiriuchę...

— Czekaście, znacie pseudonim: Kiriucha?

— Paweł nalegał, żeby natychmiast dokądś wyjechać... Przestrzegał, że to rabusie. Trzeba ocalić, mówił, dla przyszłej Rosji... Miał rację — Lisicyń westchnął głęboko. — Na Boga, miał rację! — I zwrócił się do Osadcze-
go:

- Jesteście, wierzcie mi, pierwszym człowiekiem, z którym tak się rozgadałem. Jak gdybym kogoś bliskiego, jak gdybym samego Glebowa spotkał. A powiedzcie, gdzie on jest teraz, w Petersburgu?

Osadczyń zawahał się chwilę i rzekł:

— Tak, w Petersburgu.

— Taak...

Kożuszek zsunął się z jednego ramienia. Lisicyń poprawił go, zakaszłał, poruszył nogami w nowych łapciach, potracając fantazyjny szlak na ziemi, który stał się teraz bezkształtną kupką różnokolorowych kamyczków.

— Jednego nie rozumiem — ciągnął dalej, wdeptując teraz kamyczki w glinę — dlaczego władza... sędzia śledczy, cały ten przewód sądowy, dlaczego oni nie zorientowali się i szli na pasku jakiegoś tajemniczego rabusia. Co on chciał? Odebrać mi mój wynalazek? Czy go zniszczyć? Wiecie, doszedłem do wniosku, że sąd był przekupiony. Wszystko to — i żandarmi, wszystko to rozegrało się na czyjeś wyraźne polecenie. A potem — przypuśćmy, że spaliłem dom i stawiałem opór podczas aresztowania. Dajmy na to, że to jest przestępstwo kryminalne. Dlaczego jednak rozprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych?

Odpowiadając swoim myślom Osadczyń rzekł półgłosem:

— Dla przyszłości narodu. Glebow to dostrzegł. Wszystko w porządku!

— W porządku? — powtórzył Lisicyń. — A dlaczego nie na jawnej rozprawie? Rozgłosiłbym wszystkim przynajmniej o swojej pracy.. Opowiedziałbym wszystkim! Ale nie, sądzili mnie przy drzwiach zamkniętych.

Odebrali prawo głosu, gdy próbowałem mówić... Chciałem już — niechby mnie sądzą jako politycznego, niechby mnie chociaż odesłali na zesłanie razem z nimi. Gdzież tam, tylko się śmieli. Przykro! Pracowałem dla ludzi bezinteresownie. A przecież moja praca może mieć nadzwyczajne znaczenie! Sędziowie jasno to rozumieli. Jasno, a jednak — widzicie! I to na przekór wszelkim ustawom.

Zamilkł i obrzucił spojrzeniem Osadcze od stóp do głów.

Czarnooki student stał oparty o płot, gdyż lubił zawsze rozmawiać stojąc. „A jeżeli dla przyszłości i dla narodu — rozmyślał — to znaczy, że jest to sprawa partii. Nie chcę zysku, nie szukanie przygód”.

Osadczy poczuł na sobie wzrok Lisicyna, zrozumiał, że ten czeka na jego słowa, i rzekł:

--- Wszystkie wasze nieszczęścia, Władimir Michajłowicz, spotkały was dlatego, że pracowaliście nie na pożytek ludzi z rządzącego obozu, z rządzącej klasy. Za to więc zemścili się na was. Toteż utrzymuję — dorzucił że życie to rzecz bardzo skomplikowana. Muszę się przyznać, że dawniej inaczej myślałem o waszym wynalazku.

— O wynalazku?

— Nie, raczej — o jego losach. Teraz bardziej mi się to podoba niż przedtem. Pozwólcie, że zapytam was bez ogródek: jaki jest wasz stosunek do naszych planów dotyczących rewolucji?

— Jakby to powiedzieć... Jakoś nie bardzo was rozumie...

— Krótko mówiąc: czy wasz wynalazek ma jakiś związek z perspektywą nieuniknionej rewolucji? I jaki związek?

Minęła minuta.

Dlaczego milczycie, Władimir Michajłowicz?

Lisycyn smutno kiwnął głową:

Wątpliwe, czy tego rodzaju sprawy można łączyć sobą. A zresztą, nie zastanawiałem się nad tym...

Osadczy odsunął się od płotu i słuchał uważnie.

Moja osobista, sympatia jest po waszej stronie — mówił Lisycyn. — Powiem więcej; z największym zadowoleniem sam oddałbym swoje zdolności i siły, ażeby obalić władzę żandarmów i strażników więziennych! To święty cel! A cel ten, weźcie pod uwagę, nazywa się: szczęście ludzkości. Czyż nie prowadzą do niego różne drogi? Pożywienie, na przykład, jest potrzebne — musicie się z tym zgodzić — niezależnie od rewolucji. Również, niezależnie od rewolucji — nikt przecież nie zna terminu, w którym ona wybuchnie — jeżeli każdy biedak będzie syty, to w pewnym stopniu stanie się i wolny.

A ja osobiście — zakończył — w żaden sposób nie mogę odstąpić od swojej idei. Moj obowiązek... choć lata mijają, każe mi doprowadzić pracę do końca. Żywność otrzymają wszyscy na równych prawach.

— Na równych?

— Tak jest, na równych. Musicie się zgodzić, że nie ma innego wyjścia. Zarówno dla obecnej jak i dla przyszłej Rosji, jak się wyraził Glebow.

Osadczy chciał zaprotestować, ale nie zdążył. Wyszeptał tylko:

— Sołtys...

Zaskrzypiały wrota i na podwórze wszedł szczupły mężczyzna o drewnianej nodze, z medalem za wojnę rosyjsko-japońską. Zza płotu dolatywało rżenie jego konia.

— Aa, moje uszanowanie — łaskawie machnął ręką w stronę Osadczego i ujrzawszy Lisycyna zatrzymał się.

Sołtys miał rzadziutką bródkę i chytre oczka, którymi teraz błysnął podejrzliwie.

— Co to za jeden? — zapytał wreszcie. — Skąd?

Lisycyn wstał i milczał ponuro.

— Skąd? Kto to taki?! — krzyknął sołtys piskliwym głosem.

Lisycyn znowu nic nie odpowiedział; czoło jego przecięły głębokie, poprzeczne zmarszczki. Pięści zaciskały się powoli — pchnąć, uderzyć wroga, przeskoczyć przez płot i uciekać.

— Cóż ty sobie myślisz?! — zawołała Daria, która nie wiadomo kiedy zdażyła się zjawić. Stała teraz pomiędzy Lisycynem a sołtysem. — Ty, Prow Fomicz — odsunęła beznogiego — mojego gościa nie obrażaj. Hajda, do izby! Boże mój, uparty jak kozioł. No, hajda! Hajda!

— Poczekaj z tym hajda — upierał się sołtys. — Kto to jest?

— Co za poczekaj! — napierała na niego Daria. — straszdyło leśne... bodzie jak kozioł. Nuże, wchodź! No, wchodź, mówię!

Sołtys, zmrużywszy oczy, raz jeszcze spojrzął spoza łokcia Darii i unosząc drewnianą, podobną do odwróconej butelki nogę przestąpił próg izby. Napierając na niego, weszła do izby również sama gospodyni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Lisycyn, milcząc, zaciskał pięści.

— Wiecie co — rzekł cicho Osadczyj — trzeba coś zrobić. To szuja... dymisjonowany podoficer. Miejscowy bogacz, nie daje ludziom spokoju. On nikomu nie przepuści, chociaż bez nogi.

W odległości dziesięciu kroków od płotu rozpoczynała się tajga. Najpierw niewielki lasik iglasty, potem — Lisycyn spojrzął na zachód — spadziste zbocze poprzecinane rozpadlinami i pokryte ciemną zielenią świerków. Ponad zboczem — bezdenne, turkusowe niebo. Pomyślał:

„Siekiera leży w szopie, można ją wziąć. Osadczyj przeprosi i wyjaśni gospodyni. Szkoda tylko, że nóż został w izbie. Kociołka także nie ma. To nic, Bóg z nim. Jakoś to będzie...”

Wyciągnął rękę do Osadczego:

— No, życzę wam...

— Poczekajcie — szepnął nagle Osadczyj i podbiegł do ganku.

Drzwi chaty były nieco uchylone. Wysunęła się z nich Daria i nagliła przyzywając palcem.

Potem wszystko rozegrało się w błyskawicznym tempie. Osadczyj bez słowa wepchnął go do stodoły i w jednej chwili Lisicyń leżał przysypany grubą warstwą siana.

Pachniało suchą trawą i kurzem. Gdy tak leżał w ciemności, przywalony sianem, usłyszał:

— Gdzie się podział? Ty, Daria, jak to...

— To był, zdaje się, myśliwy — przekonywał Osadczyj. — Zabłąkany myśliwy. Z odległej wsi. Tak!

— Zbiegły bandyta... Po kozuchu widać, z jakich stron! Gdzieście go? — awanturował się sołtys. — Całą zagrodę ci rozniosę! Uważaj, Daria!

— Nie ma o co, Prow Fomicz — usprawiedliwiała się Daria. — Chłop przyszedł z tajgi i odszedł do tajgi. A no byywa.

— Ja ci pokażę „byywa"! Ja za nim przez tajgę! Końmi!

Zapach siana pobudzał Lisicyńa do kaszlu; wstrzymywał się jednak, starając się miarowo oddychać przez nos. Upłynęło na pewno wiele czasu. Wreszcie dał się słyszeć głos Osadczego:

— Władimir Michajłowicz!

— Tak, słucham!

— Nie wychodźcie na razie; on jest jeszcze blisko i może wrócić. A ja muszę iść.

— Dobrze. — Lisicyń zakaszlał ostrożnie. — A jeszcze jak długo?

— Róbcie to, co powie Daria. Zgoda?

— Zgoda.

— Przyjdę za parę dni. Do widzenia! Proszę czekać na mnie, tylko na pewno.

Nastąpiła cisza. Osadczyj odszedł.

„Nie wydadzą? — pomyślał Lisicyń. — Nie, nie wydadzą".

Po długiej, mozolnej tułaczce po raz pierwszy odczuł, że jest na świecie Osadczyj, że jest poczciwa Daria, ludzie, którzy pomogą mu w biedzie, prawdziwi przyjaciele.

„Jak to jest? — pomyślał. — Jedni ludzie są dla drugich jak wilki, inni — przeciwnie. Lepszy są przeważnie ci, którzy są biedni, i ci, którzy nie posiadają władzy”.

Dopiero przed wieczorem Daria zawołała go na obiad. A gdy zaczęło się ściemniać, starszy z braci — Kieszka poprowadził Lisicyna w tajgę. Okazało się, że nie na próżno budował z Wańszą ziemiankę. Zbudowali ją w ustronnym miejscu tak, że nie dostrzegłoby jej nawet najbardziej doświadczone oko.

— Nadaje się — rzekł Kieszka i na wąskiej pryczy żerdzi, pokrytej miękkimi jodłowymi gałązkami, położył torbę z Chlebem i pieczoną dziczyzną.

Ziemianka była maleńka i ciasna: nary na jednego człowieka i pierwotne palenisko z płaskiego kamienia, a w pułapie dziura dla ujścia dymu. Był tam też zapas drzewa z gatunków, które dają mało dymu przy paleniu. Dookoła ziemianki — gęstą ścianą wznosiły się wysokie drzewa, a z trzech stron piętrzyły się niedostępne skały.

Kieszka codziennie przynosił torbę z jedzeniem oraz dzbanek mleka, kładł to wszystko na pryczy i mówił: "Przyda się".

„Na co ja czekam?” — myślał Lisicyn.

Piątego dnia razem z Kieszką przyszedł Osadczyj. Uśmiechał się, rozsuwając gałęzie młodych jodeł, zasłaniające wejście do ziemianki.

--- No, co, nudno tu było, Władimir Michajłowicz? Popatrzcie — oto podarunki dla was od naszych braci zesłańców. Specjalnie po nie jeździłem. Zebrali to między sobą.

W węzełku była bielizna, buty z cholewami, spodnie, kamizelka, marynarka, znoszona kurtka, czarny kaszket, jednym słowem — odzież, jaką mógłby nosić niezamożny mieszczanin.

— A z waszą brodą — Osadczyj wyjął z kieszeni brzytwę — zaraz zrobimy koniec! Pożegnajcie się z nią. A oto najważniejsze — Osadczyj znowu wsunął rękę do kieszeni, twarz jego przybrała filuterny wyraz, a usta zadrgały. — Proszę spojrzeć: paszport! A oto pieniądze na podróż do Petersburga! A tutaj — zaświadczenie, że jesteście subiektem kupca Samochwałowa, i że służbowo udajecie się z Petersburga na Syberię... Wasze obecne nazwisko Pojarkow. Zapamiętacie? Odpowiada wam to?

Pod drzewem, na gołej ziemi, objawszy rękami kolana, siedział Kieszka. Nie spuszczał wzroku z Lisicyna i Osadczego. Z błyszczącymi oczami i na w pół otwartymi ustami — wyglądał, jak gdyby właśnie jemu, Kieszce, coś się niespodziewanie udało.

Lisicynowi także zabłysły oczy. Nagle wszystko przesłoniły mu łzy. I postać Osadczego, i rozwinięty węzełek z odzieżą, i wierzchołki drzew — wszystko zatraciło swoje kontury, rozplynęło się.

— Czym... — rzekł, gdy wreszcie ujrzał zarysy dalekich gór — w jaki sposób zdołam się wam odwdzięczyć? Co dobrego... mogę dla was uczynić?...

— Nie dla mnie, lecz dla ludu pracującego — surowo odpowiedział Osadczyj. — Gdy przyjedziecie, od razu odszukajcie Glebowa. A paszportu nie należy w Petersburgu pokazywać; nadaje się tylko w podróży lub też w jakiejś prowincjonalnej dziurze. Wybaczcie, ale innego nie mogliśmy dostać. To wszystko.



Pociąg wjechał do Petersburga i zatrzymał się na Dworcu Nikołajewskim, po którym kręcili się bagażowi w białych fartuchach. Pasażerowie z walizkami i kuferkami, spiesząc się i popychając nawzajem, szli tłumnie przez peron.

Lisicyń wyszedł z wagonu trzeciej klasy. Z bijącym sercem rozglądał się po placu przed dworcem. Na wprost Newski, na lewo — Ligowka...

„Boże mój, tyle lat... wszystko tak samo! — pomyślał. Petersburg!”

Mżył deszcz i chodniki były mokre. Pośrodku równie mokrego placu — pomnik Aleksandra III: na czerwonej granitowej bryle — miedziany koń, z ponuro spuszczoneą, głową; na koniu — posepny, masywny cesarz. Na jego głowie czapka — niska, okrągła, taka jaką noszą policjanci.

Dorożkarze przekrzykiwali się nawzajem, zapraszając pasażerów.

Lisicyń niósł w ręku dużą torbę podróżną. Osadczyj zabronił mu jechać bez rzeczy; powiedział, że to wyglądałoby podejrzenie. W torbie same niepotrzebne rupiecie. Gdzie ją teraz podziać?

— Mój drogi — poprosił Lisicyń jakiegoś gapia — bądź tak dobry i przypilnuj moich rzeczy — za chwilę wrócę.

I ruszył przez plac. Przystanął: przed nim roztoczyła się — jak dawniej — majestatyczna perspektywa Newskiego Prospektu.

Przez wiele godzin błądził bez celu po ulicach. Szedł i rozglądał się na wszystkie strony. Zapatrzony przed siebie, potykał się i zderzał z przechodniami. A o zmierzchu wszedł z myślą o Glebowie na trzecie piętro szarego domu na Kamiennieostrowskim Prospekcie. Spojrzał na numer mieszkania i ostrożnie dotknął dzwonka.

Wy do kogo? — zapytała, otworzywszy drzwi, młoda kobieta o okrągłej twarzy.

Przywiozłem pozdrowienia dla Kiriuchy — odpowiedział Lisicyń, tak jak go nauczył Osadczyj — od wujka Fiodora.

Kobieta z jakiegoś powodu przestraszyła się.

— Odejdźcie, odejdźcie! — wyszeptała bezdźwięcznie, ledwo dostrzegalnie poruszając wargami. — Lokal dawno nakryli, odejdźcie.

— Jak to odejść, kiedy Glebow jest mi potrzebny? Rozumiecie?

Kobieta z hałasem zatrzasnęła drzwi. Rozległ się głośny szcęk zamka.

Lisycyn znowu zaczął dzwonić. Tym razem wyszedł łyśawy mężczyzna z wianuszkciem siwych włosów, spojrział gniewnie i rzekł:

— Cóż to, upiliście się czy co? No, wynoście się stąd! A nie — to sprowadzę policję.

Cóż teraz robić?

„Spróbuję — pomyślał Lisycyn — pójść do szynku Mawrikanowa”.

Okazało się, że na Ósmej Linii, na Wyspie Wasilijewskiej rzeczywiście istnieje taki szynk. Lisycyn wszedł i ujrzał dwie sale: jedną — na wprost, a drugą — na prawo. Poszedł prosto.

— Tutaj, szanowny panie! krzyknął do niego portier. Pokazał na prawo, figlarnie poruszając palcami.

— Dlaczego tutaj?

— Tam nie dla ciebie. Tam lepsza publika.

— A gdzie jest bufet?

— I tutaj jest, i tam jest. No, panie szanowny, wchodź!

Portier poklepał go po plecach i popchnął do sali na prawo.

Lisycyn spojrział na swoją zmiętą, wytartą kurtkę i uśmiechnął się. Przypomnił mu się urywek bajki: „Zda rza się, że orły czasem opadają niżej od kur...”

Dwóch ślepców grało na skrzypcach i harmonii walca „Na falach Dunaju”.

Za ladą bufetu stał zwinny, wysoki chłopak. Kieliszki, karafki, talerze migwały w jego rękach jak kule w rękach żonglera. Miał duże, ruchliwe ustali kędzierzawe włosy.

— Słuchaj, zuchu — rzekł do niego Lisicyn — Kiriucha u was nie bywa?

— Kto? — zapytał bufetowy i powoli postawił stos talerzy.

— Kiriucha, mówię.

— A no — bufetowy skinął ręką — wyjdźmy na korytarz.

Lisicyn wszedł za ladę. Tam, za portierą, zaczynały się ciemne zakamarki — widocznie droga do kuchni.

Bufetowy zniecierpliwiony chwycił go mocno za łokcie i krzyknął:

— Mitrij Panteleicz, jeszcze jeden wpadł! Mitrij Pantelincz! Na pomoc!

Lisicyn ciężkim uderzeniem powalił bufetowego, w trzech susach przebył salę, odepchnął stojącego na drodze portiera i wybiegł na ulicę. Biegł tak długo, aż poczuł, że brak mu tchu. Obejrzał się — pusta, słabo oświetlona ulica. Ani jednego przechodnia.

Oparł się o słup. Serce waliło w piersi. Tętniło mu w skroniach. Nagle poznał ulicę i zdał sobie sprawę, że tylko jedna przecznica dzieli go od domu cioci Kapecki.

Staruszki już spały, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek.

Lisicyn długo czekał i pociągał za rączkę dzwonka, a gdy wreszcie usłyszał głos Warwary, musiał kilkakrotnie wymienić swoje imię. Warwara nie od razu otworzyła drzwi; ponawiała pytania, wciąż nie wierzyła, nie poznawała głosu.

Wreszcie wszedł do salonu.

— Wowoczka! — jęknęła ciotka wyjrząwszy z sąsiedniego pokoju. Miała na sobie nocny czepek i flanelowy szlafrok. Z przestrawienia i wzruszenia nie mogła zrobić kroku, tylko wyciągnęła trzęsące się ręce. Wydawała się zupełnie mała i zgrzybiała.

Warwara stała pod ścianą, płakała i powtarzała:

— Ach — jej... Dzięki ci, Boże... Proszę pani... Władimir Michajłowicz.

— No — rzekł Lisicyń starając się mówić wesoło — oto i jestem. Witajcie!

Obydwie staruszki zaszlochały głośno. Warwara popatrzyła na Kapitolinę Andriejewnę, płacząc podeszła do stolika, brzęknęła karafką, nalała szklanke wody i podała swojej pani.

— Jakże ty, Wowoczka... jakże ty wyglądasz! Boże mój! — mówiła ciotka ocierając łzy. — Doigrał się więzienia! Pomyśleć tylko! I za co, pytam się? Za co?

— A my, Władimir Michajłowicz — rzekła nagle Warwara — oczekiwałyśmy pana trzy albo cztery tygodnie temu. Słyszałyśmy...

Kapitolina Andriejewna szybkimi kroczkami podbiegła do bratanka i, przerywając Warwarze, zaczęła szeptać:

— Przychodził ten... to okropność, wyobraź sobie, gołabeczkę: z żandarmerii... O, nieszczęście, jak on nas straszył! Ale usiądź, mój gołabeczkę, usiądź... Kolać nie jadłeś pewnie?... Wowoczka kochany! — Objęła bratanka, zachlipała i przycisnęła twarz do jego kurtki. — Musisz coś zjeść, zaraz cię nakarmimy.

Lisicyń odsunął się i spojrział na staruszki.

— Przychodził? — zapytał i podniósł rękę, by pogłodzić brodę, lecz cofnął ją: brody przecie nie ma.

— Przychodził, gołabeczkę, i straszył. Nakazał tak: jak tylko przyjedziesz — posłać w tajemnicy na policję. A my cóż, czyż Boga w sercu nie mamy? Nie bój się, proszę... Fe — Kapitolina Andriejewna dotknęła jego kurtki — jaka wstrętna! A innej pewnie nie masz? Oj, Wowoczka... — ze smutkiem pokiwała głową — a mówiłam... mówiłam. Zabawki, widzisz, nie prowadzą do niczego dobrego! Nie, nie prowadzą. I przykro, że to za takie głupstwa. Rozumiem jeszcze, gdybyś walczył o prawdę... Byłoby wtedy za co... A tak, za co ci się dostało? Hoże mój, jakże tu teraz za ciebie odpowiadać!...

Staruszki wyszły szurając pantoflami. Z dalszych pokoi doleciał szcęk noży i widelców i zaskrzypiały drzwiczki otwieranych szaf i kufrów.

„Te same fikusy — pomyślał Lisicyń rozglądając się dookoła — tylko jeszcze wspanialej się rozrosły. Te same meble w pokrowcach, na ścianie »Bitwa połtawska« w złoconej ramie. Ale pozostać tutaj — pomyślał — nie wolno.

Wyśledzili, przekłeci! Ale jak? Pewnie z katorgi dali znać. Zastawili sieci i zacierają ręce...”

W sąsiednim pokoju kichnęła ciocia Kapeczka, potem szybko przyniosła i rozłożyła na stoliku do kart stos stałych mundurów, surdutów, szyneli — garderobę niebo szczyka Jewgenija. Wszystko to było obficie przysypane tytoniem i naftaliną.

--- On był twojego wzrostu — rzekła ciocia Kapeczka znowu kichnęła. — Przymierz!

Lisicyń przypomniał sobie, że dawniej nie pozwalała nawet dotknąć tych rzeczy, tylko pokazywała je z daleka.

„Staruszeko kochana — myślał przerzucając zleżale rzeczy — przecież to byłby dla mnie cyrkowy strój. Specjalnie, żeby zwracać na siebie uwagę”.

Wybrał skromny czarny tużurek, kilka sztuk poźółkłej bielizny i na dodatek — ciotka tak bardzo prosiła, a on nie chciał jej urazić — futro.

— Z tym pojedę — rzekł. — To mi się przyda.

— Wowoczka, zamieszkać u nas. Nikomu nie powiemy.

— Co też sobie wyobrażacie! W Petersburgu, w żaden sposób. Przecież przychodził już do was.

— Boże, co za nieszczęście... Gołabeczeku, Wowoczka... Jakże to?

Lisicyń jadł kolację. Obydwie staruszki asystowały mu: ciotka siedziała obok niego, a Warwara na krześle nieco dalej.

Spojrzał na zegar — znajomy okrągły zegar ścienny: wpół do drugiej. Pomyślał, że za dwie godziny zacznie świtać!

— No, za dwie godziny wyjeżdżam — rzekł. — Inaczej złapią mnie tutaj. Gorzej będzie, jeżeli się zatrzymam.

Obydwie staruszki zaszlochały.

— Dokąd ty, w nocy?... — załkała ciotka.

— Na dworzec — westchnął Lisycyn. — Wsiądę do pociągu i pojedę, gdzie oczy poniosą. A tam już zobaczymy... Coś wymyślę. Nie bójcie się, jakoś to będzie.

Kapitolina Andriejewna przyniosła z sypialni szkatułkę.

— Weź, Wowoczka — rzekła do bratanka. — Ja jeszcze mam.

Lisycyn spojrzał, w szkatułce leżały pieniądze.

— Dziękuję — rzekł — to za dużo. Ale połowę wezmę. Dziękuję.

Gdy już z walizką w ręku schodził ze schodów, staruszki siały na progu i zalewały się łzami... Ciocia Kapieczka powiewała w ślad za nim koronkową chusteczką. Świtało. Lisycyn szedł z walizką i myślał: „Drogie, kochane, czy zobaczę was jeszcze kiedy? Jak rzadko bywałem u nich dawniej! Ciągłe tylko w laboratorium. Laboratorium tak, laboratorium...”

Zapragnął koniecznie zboczyć z drogi, przejść ulicę, na której tyle przeżył, spojrzeć na dom. Ciekawe, czy spalił się zupełnie dom, w którym na drugim piętrze za szczelnie zasłoniętymi oknami jarzyły się kiedyś „świece Jabłoczkowa” wśród zielonych, przeźroczystych filtrów.

„...Most z ażurową poręczą. Nie, most nie jest podniesiony, można przejść. A może wziąć dorożkę? Nie — pomyślał nie wiadomo dlaczego — trzeba iść pieszo i skręcił za róg, na dobrze znaną mu drogę.

Na skrzyżowaniu posterunkowy obmacał spojrzeniem wczesnego przechodnia, ziewnął i odwrócił się.

„Czy to nie ten sam posterunkowy?”

Lisicynowi zamarło serce. Jeszcze dwie przecznice. "Jakby się dowiedzieć — myślał — co się teraz dzieje z Jegorem Jegoryczem?"

A oto nasza piekarnia, nasza jadłodajnia. Wszystko po dawnemu. A tam...".

Przebiegł na drugą stronę i ujrzał z daleka: inna fasada, zupełnie inna! Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Postawił walizkę na chodniku. A więc odbudowali po pożarze. Odbudowali! Pewnie Bierdnikow dostał premię ubezpieczeniową.

Wóz, wiozący warzywa do sklepu, przejechał turkocie kołami. Mieszkańcy Petersburga jeszcze spali, spali nawet dozorca. Lisicyn stał na jezdni, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

Przysłuchując się cichnącemu turkotowi kół, oglądał dom. Przypomniały mu się lata pracy i niespełnionych nadziei; przypomniało mu się pierwsze doświadczenie, o tam, na oknie... dziewiąte okno od rogu. Dziesiąte — tam był gabinet. Ile niepokoju, trosk... Pół życia...

„Czyż można tak dla wszystkich jednakowo? — pomyślał nagle i rozgniewał się. — A, głupiec! Czyż można na równych prawach? Szubrawcom, spekulantom, strażnikom więziennym... To przez nich, przez nich wszystko zło: posiadacze, pasożyty! Trzeba ludzkość rozdzielić — wykonał ruch ręką, jak gdyby pokazując sposób rozdziału. — A śmieci — tych wszelkiego gatunku Bierdnikowów, Titowów, Charitonowów — won!"

— Won! — rzekł. — A swoją pracę oddać potem — potrząsnął wyciągniętym w górę palcem — tym, którzy są dziś na zesłaniu, na katordze... Tym, co są w wagonie trzeciej klasy. Takiej Darii i jej synom, Jegorowi Jegoryczowi. Jak on to mówił — Osadczij? Prostemu ludowi rosyjskiemu. Właśnie, tak!

Słońce wschodziło. Dachy rozświetlały się czerwonym odbłaskiem. Człowiek w kaszkiecie i kurtce stał na pustej ulicy i, mówiąc półgłosem do siebie, patrzył na okna górnych pięter.

ROZDZIAŁ III

ZNOWU OD POCZĄTKU

Wszyscy, jak gdyby się umówili, zbudowali jednakowe domy. Idziesz ulicą i widzisz: pociemniały pod wpływem czasu, drewniany dom z okągłaków o trzech oknach, płot z desek, niekiedy z gwoździami nabijanymi u góry, brama, ławeczka, znowu drewniany dom o trzech oknach, znowu płot, brama, znowu szary dom o trzech oknach i tak — aż do samego krańca miasta, gdzie zaczyna się błotnista łąka, która w lecie pokrywa się wspaniałą jasnozieloną trawą.

Za domami ciągnęły się ogrody warzywne i gdzieś niedzie sady owocowe. Na drugim końcu ulicy wznosiła się niezgrabna, pobielona wapnem dzwonnica, jak gdyby przez pomyłkę dobudowana do ciemnych drewnianych ścian starej cerkwi. Dalej, za cerkwią widniały murowane hale targowe, wille kupców, składy zboża, apteka, a na lewo — zakurzona droga, prowadząca do przystani.

Drogą tą Lisicyń chodził prawie codziennie.

Godzinami przesiadywał w milczeniu na brzegu Wołgi. Wiosną patrzył na pękający i przepływający lód, a w lecie — na białe, wytworne statki, barki z holownikami, tratwy, łódki oraz zapalane jeszcze za dnia światełka boi.

Marina Pietrowna, akuszerka, pierwsza w mieście swatka, kobieta niemłoda, korpulentna, z brodawką na nosie, była zadowolona ze swojego obecnego lokatora.

Początkowo, jeszcze w październiku zeszłego roku, kiedy Lisicyń przyszedł, by wynająć dwa wolne pokoje w jej domu, odniosła się do niego nieufnie. Pomyślała: „Nie wiadomo skąd się tu wziął”.

Wtedy to między nimi miała miejsce taka rozmowa:

— A co będziesz robił, mój złoty, otworzysz przedsiębiorstwo?

— Moja pracownia będzie mała. Malutka.

— Warsztat szewski?

— Nie, będę, widzicie, robił farby — odrzekł Lisieyn.

Zawczasu postanowił, że nikt nie zorientuje się, czym chemik zajmuje się w rzeczywistości. A farby — rzecz dla ludzi dostępna i zrozumiała. Nie będą podejrzewali, że chodzi o jakieś tam doświadczenia.

— No, tak... szewców mamy dosyć... Poczekaj, mój drogi, farby?

— Zwyczajne farby. Na sprzedaż.

— Sam pomyśl: jakże ci wynająć mieszkanie? Przecież: podłogi zapaskudzisz w domu! Na ulicy Pokrowskiej mieszkał jeden farbiarz...

Lisieyn musiał długo przekonywać, że u niego w pokojach będzie zawsze czysto, że cała jego praca odbywać się będzie w szklanych naczyniach na stole, że czeladników nie potrzebuje, obejdzie się bez nich.

— A jak nazywasz się, mój drogi? — dopytywała się gospodyni.

— Pojarkow Władimir Michajłowicz.

— Masz dużą rodzinę?

— Jestem kawalerem.

To już się Marinie Pietrownie spodobało. „Kobiet — pomyślała — jest w mieście, ile dusza zapagnie, jeżeli więc tylko nie okaże się pijakiem i hulaką, to już — jak Bóg da. A to, że nietutejszy — zadecydowała — nie szkodzi”.

Niebawem okazało się, że lokator nie jest ani pijakiem, ani hulaką. Toteż gospodyni wszędzie, gdzie tylko szła, opowiadała, że „mój Pojarkow” to człowiek grzeczny, nie awanturnik, że ma, widocznie, duże dochody i że tęskni, widać, bo taki ponury, a jak się zamyśli — to słowa z niego nie można wyciągnąć. Wciąż tylko milczy.

W jesieni, zaraz po wynajęciu mieszkania, Lisicyń pojechał do Kazania i Niżniego Nowgorodu. Wrócił ostatnim statkiem. Brzegi Wołgi pokryte już były śniegiem, po wodzie pływała kra. Przyjechał z bagażem — „narzędzia” — domyśliła się Marina Pietrowna — przywiózł cztery skrzynki przyrządów szklanych, kolb i słoików z chemikaliami. A co najważniejsze — przywiózł nawet skomplikowany filtr warstwowy przypominający jeden z tych, które posiadał dawniej. W Kazaniu znalazł się zdolny szlifierz — szklarz, który w ciągu tygodnia wykonał filtr według jego rysunku.

W Niżnim Nowgorodzie, wybierając odczynniki, Lisicyń stwierdził straszny dla niego fakt: zauważył, że w żaden sposób nie może sobie przypomnieć niektórych swoich dawnych recept. Na zesłaniu powtarzał je w pamięci; kiedy rąbał drzewa albo kopał ziemię, ciągle powtarzał je w myśli. Teraz gdy nadszedł czas, by znowu rozpocząć doświadczenia, recepty uleciały mu z głowy.

Co prawda nie wszystkie. „Ale czym — myślał — zająć na przykład osad w trzeciej fazie podstawiania? Co tam było? Węglan niklu?” Punkt po punkcie starał się przypomnieć sobie: „Produkt wyjściowy — kilka zaledwie cząsteczek chlorofilu; potem rozpoczyna się łańcuch reakcji chemicznych. Jeden z wiążących atomów wę-gła... nawiasem mówiąc, w prawej, chyba, części wozu? A może w lewej?... Aha, cząsteczka rozpada się — faza pierwsza. Druga faza, tak. Ale czym zadziałać w trzeciej fazie?” Zapomniał zupełnie. Zapomniał... choć siadaj i płacz!

Spoglądał na mury niżegorodzkiego zamku z czerwonej cegły. Stał z zatroskaną, cierpiącą twarzą, oparty o jakieś żelazne ogrodzenie i myślał: „Gdyby ocalały

choćby dwie stronicze dziennika — te, na których były zanotowane recepty”. Przed oczami stanęły zeszyty leżące na stole, gdzie położył je oficer policji; dookoła stołu płyną strumienie płonącej cieczy, a ogniste języki wzno-

szą się w górę i ogarniają połyskujące, tekturowe okładki.

„Chociażby dwie stronice! No, dwie, trzy stronice!”

Obok Lisicyna przechodziła, utykając, wycieńczona kobieta w łapciach. Miała duże zapadnięte oczy i policzki poorane zmarszczkami. Trudno było powiedzieć, czy to staruszka, czy jeszcze młoda; widać było tylko, że poznała dno nędzy.

Za nią biegł mały chłopczyk z dziewczynką w podartych szmatach. Łachmany były koloru pyłu ulicznego.

— Mamo, chcę jeść... — mówiła przeciągle dziewczynka.

— Chlebka... — wtórował chłopczyk.

— Śmierci na was nie ma! — krzyknęła kobieta i, odwróciwszy się gwałtownie, popatrzyła pełnymi zgrozy oczami ściganego zwierzęcia.

Lisycyn podszedł do niej i wyjął z kieszeni rubla.

— Weź, proszę, i kup im chleba.

Spojrzał na dzieci — stały bosy na ostrych grudach zamarznętej gliny. Były sine z zimna. Nóżki ich wyglądały jak cienkie kosteczki obciążone skórą.

„Przekłęte życie! — pomyślał nagle Lisycyn. — Przecież nie można tak: zachorują, umrą”.

— „Chlebka...” — dzwonił w uszach głos dziecka.

„Te góry cukru i skrobi, które wyprodukuję, powinny należeć do nich. Do takich, jak oni”.

— Skąd jesteś? — zapytał kobietę.

Kłaniała się i dziękowała za otrzymanego rubla. Opowiadała o wsi.

— Chłopi — mówiła — mają mało ziemi, ziemia nie-dobra, nieurodzajna, mój mąż umarł w lecie, a dziedzic zabrał mi wszystko, co miałam.

„Muszę się spieszyć z pracą, ach, jakże muszę się spieszyć!”

— I ostatnią krowę zabrali za długi...

Lisycyn podniósł głowę i zobaczył ludzi schodzących gęsiego ze zbocza do przystani. Jedni bosy, inni w łap-

ciach, w strzępach rozpadającej się odzieży; tacy sami chudzi jak kobieta; z płóciennymi torbami na plecach.

Przypomniawszy sobie, jak szedł z katorgi przez tajgę. Znowu spojrzawszy na dzieci, na ich chudziutkie zsiniałe nóżki.

„Odmówię sobie książek, wyrzeknę się każdego zbędnego przedmiotu. Nie można przecież tak, nie można! Zachorują, umrą! Im te pieniądze wystarczą do wiosny”.

Złżył kobiecie niski ukłn i dał jej sto rubli; nie od razu pojęła, ile to jest, i nie powiedziała ani słowa.

Tego samego dnia załadował na statek cztery skrzynie z napisem: „Ostrożnie, nie rzucać”. Potem kilka godzin spędził na pokładzie. Wołga była zimna, nieprzyjemna; statek przecinał ociężałą wodę, której powierzchnia nie pieniała się, lecz po prostu rozsuwała tworząc jak gdyby nieruchome, odlane z ciemnozielonego szkła fale.

Wiatr przenikał na wskroś. Chcąc się ogrzać Lisicyn wszedł na korytarz, który prowadził do kabin drugiej klasy.

Przez otwarte drzwi jednej z kabin przedostawały się smugi niebieskawego dymu z cygar i słychać było rozmowę:

— Walet trefl.

— A my waleta po wąsach.

— No i, bez lewy.

— Kto dzieli, panowie? No, rozdawajcie. A więc, ten. Terentiew, inżynier górnik, dostał po wybuchu rok więzienia i pokutę cerkiewną. Mówię do niego: „Iwan Stiepanowicz, nie powiodło się wam...” Co, znowu piki? No, panowie, sprawdzimy... Ja — asem!

- Trzeba było małą pod grającego.

— Może być i duża... A więc, wybuch w kopalni tak wpłynął na tego Terentiewa, że jeszcze będąc w więzieniu złożył podanie...

Karo proszę! Uważajcie!

— Atut!... Gazeta „Południowy Kraj” donosiła wówczas...

Lisicyń zrozumiał, że mówią o Terentiewie, z którym razem studiował. Niepostrzeżenie dla samego siebie przysunął się bliżej otwartych drzwi.

„Okazuje się, że i Terentiew siedział już w więzieniu”.

Treść rozmowy była następująca: po licznych katastrofach w kopalniach, które tysiące robotników przypłacało życiem, pod naciskiem, jak mówił opowiadający, opinii publicznej, przemysłowcy nie mogli się już wykręcić i wreszcie uruchomili w Zagłębiu Donieckim kilka stacji ratunkowych. Terentiew jest obecnie kierownikiem jednej z nich. Z grupą ludzi wyszkolonych i wyposażonych w specjalne aparaty wyrusza do kopalń, w których zdarzyło się nieszczęście, zjeżdża pod ziemię i jeżeli to się tylko da, ratuje ofiary.

„Co za wspaniała rzecz! — pomyślał Lisicyń. — Tak, rzeczywiście... A człowiek ten był kiedyś lekkomyślnym studentem i w dodatku porządny obżartuch”.

Wyszedł na pokład; padały wielkie płatki śniegu. Statek drgał, czerpaki kół były wściekle po wodzie, z kominą walił dym.

— Pełną! Całą naprzód! — wykrzykiwał na mostku kapitan. I mówił do kogoś: — Ty, czorcie, ładowałeś skórę i guzdrałeś się do rana. Jak utkniemy na całą ziemię w środku rzeki, to ja ciebie z twoimi skórami...

Z Mariną Pietrowną mieszkała jej starsza córka Nadieżda Prochorowna, „żołnierka”, żona feldfebla w ponadterminowej służbie; miała syna, dziesięcioletniego Saszkę.

Saszka uważnie obserwował lokatora. Jakże mógł go nie obserwować! Po pierwsze — zobaczył, że rudy wujaszek przywiózł cztery skrzynie jakichś zdumiewających rzeczy: szklanych kul z rurkami, szklanych kraników, różnych butelek — wszystkiego nie da się wyliczyć. Po drugie — wydarzyła się historia z kwiatami.

Lokator zaczął kupować u sąsiadów mnóstwo pokojowych kwiatów. Wnosił je do siebie przez kuchnię. Od razu było widać: o, ten krzak stał przedtem u cioci Leny, a to drzewko — u Oznobichinów. „Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — myślał Saszka — wujaszek chce przyozdobić swoje pokoje”. Ale nazajutrz okazało się, że doniczki z ogołocionymi z liści i kwiatów łodygami leżą wyrzucone na podwórzu.

Saszka pobiegł, by podzielić się nowiną ze swoim przyjacielem Stiopką.

Obejrzeliby gliniane doniczki, które już przyprószył śnieg. Jedną z nich Stiopka kopnął nogą. Potem poszli do kuchni za piec — tam jest dobra szpara — i zaczęli podglądać, co robi lokator.

Przez szparę ujrzeli, że lokator siedzi na stołku, trzyma na kolanach porcelanową filiżankę w rodzaju moździerzka i rozciera w niej coś białym tłuczkiem. Potem przekłada ciemną grudkę z moździerzka do małej szklanej naczki na stole. Woda w szklance staje się zielona. Z pękatą, jak karafka, butelki dolewa odrobinę wody błękitnego koloru. A ta zielona, która znajduje się w butelce, czerwienieje, potem staje się brunatna, a wreszcie brązowa. Na stole pali się niebieski płomień, lecz nie świeci; nad płomieniem — w szklanej rurce jakiś żółty proszek, z którego unosi się para.

— Farby robi — wyszeptał Saszka — popatrz, arby...

Pracując przez całą zimę, Lisicyń stopniowo odtworzył pamięci wszystko to, co zapomniał. Spreparował kilka słoików aktywnych ziaren. Powinny być niegorsze — myślał — niż poprzednie, które przygotował dawniej w Petersburgu. Pragnął jak najprędzej wypróbować te ziarna. Och, gdyby móc zaraz napełnić nimi filtr i przeprowadzić doświadczenie!

„Kiedyż wreszcie nadejdzie lato?”

Pewnej zimowej nocy przyszła mu do głowy myśl, że istnieje prawdopodobnie możliwość obejścia się bez chlorofilu — nie można przecież być zawsze niewolni-

kiem przyrody! Obejść się zupełnie bez zielonych liści. Wydaje się oczywiste, że można wyprodukować katalizator wyłącznie z substancji nieorganicznych. Trzeba spróbować, sprawdzić. Trzeba stwierdzić, czy katalizator o nowym składzie będzie działał w filtrze. Ale jak... jak przeprowadzić próbę bez światła?

Kończył się marzec, a śnieżyce nie ustawały. Chmury i śnieg; dni były nadal mgliste, a wieczory ciemne jak w zimie.

Lisicyń westchnął i pomyślał o swoim dawnym laboratorium. Z niezadowoleniem popatrzył na stojącą przed nim naftową lampkę. W domu Mariny Pietrowny nie było innego oświetlenia. Pomyślał o jaskrawym świetle lamp łukowych. Wyciągnął rękę, podkręcił knot, zwiększył płomień i rozłożył na stole zeszyt.

Zeszyt był gruby, w płóciennej, książkowej oprawie. Lisicyń zapisywał w nim codziennie pracę wykonaną w danym dniu i krok za krokiem odtwarzał wyliczenia z dawnych lat. Zakończył właśnie rozdział „Synteza pod wpływem światła słonecznego” i rozpoczął nowy, zatytułowany „Wyparowywanie roztworów w tężniach”.

Czasem ogarniała go tęsknota.

Dawniej nie znał tego uczucia. Teraz nachodziło go ono znienacka: życie przemija, a któż powie mu dobre słowo? Komu jest on potrzebny — oczywiście, nie jego praca, lecz on sam, Władimir Lisicyń? W takich chwilach chciało mu się gdzieś uciec; nie cieszyła go nawet możliwość pracy. Czasem ożywała w pamięci syberyjska chała, tajga i śpiewny głos Darii: „Cóż ty, chłopie? Przecież to ludzka dusza!”

Szedł nad Wołgę i siadał na brzegu. Tam nie doznawał uczucia samotności.

...Pękły lody i spłynęła kra. Rozlały się szeroko wody Wołgi i zatopiły drugi brzeg. Płynęły wartko żółtawe, mętne i spiętrzone fale unosząc zeszłoroczną trawę i kawałki drzewa.

Lisicyń patrzył na wodę toczącą się po niezmiernych przestrzeniach. Patrzył i czuł się również unoszoną cząsteczką, ziarnkiem w strumieniu setek pokoleń.

„Jakież tam śnieżne szczyty! — myślał. — Głupstwa, okłamywanie samego siebie”. I czuł, że nurt, w którym mknie — to naród rosyjski. Prastary naród wielkich czynów, wielkiego serca i wielkich cierpień. Ta kobieta, która szła w Niżnim Nowgorodzie z dwojgiem głodnych dzieci — to również kobieta rosyjska. Jakże straszne było wówczas jej spojrzenie! A ileż takich kobiet, takich dzieci przeszło nad brzegami Wołgi w ciągu całej historii narodu, w ciągu wieków!

„Opowiadała o dziedzicu — przypomniał sobie nagle Lisicyń — że zabrał wszystko, co miała. Nawet ostatnią krowę wyprowadzili za długi”.

— Bydło — wymyślał głośno — pasożyty!

„Nie — pomyślał — oby tylko zakończyć pracę nad nalazkiem! Ale żeby aparatura do wytwarzania żywności syntetycznej nie należała do bogaczy. To zasadniczy warunek. Wówczas wszystko będzie inaczej”. Nachylił się, podniósł kamyczek i rzucił go do wody. Nie utworzyły się jednak rozchodzące się kręgi — tylko powierzchnia wody zmarszczyła się lekko, a tam gdzie wpadł kamyczek, powstał mały wir.

„Najtrudniejsza rzecz — pomyślał Lisicyń — to uchronić skarb przed drapieżcami. Jak to zrobić? Nie w marzeniach, nie w dalekiej przyszłości, ale teraz, zaraz, konkretnie: przypuśćmy, że aparaty są już gotowe — jak przekazać je uczciwym, prostym ludziom? I to tak przekazać, ażeby nikt ich nie mógł odebrać? Może udać się do cara? Do wielkiego księcia? E-e, znamy już tych dobroczyńców!”

Zaczęło się ściemniać. Spośród obłoków wyjrzała wątła malinowa smuga zachodzącego słońca. Lisicyń gwałtownie machnął ręką i poszedł drogą do miasta.

Pewnego dnia rano Saszka i Stiopka zajrzeli przez szparę i zobaczyli, że lokator otworzył okno i na parape-

cie w miejscu, na które padało jaskrawe światło słońca, postawił jakiś dziwny przedmiot — coś w rodzaju chytrze zbudowanego samowaru z licznymi kranami; wszystko było szlifowane, piękne, ze szkła, a cały pokój, wszystkie jego ściany pokryły się od razu zielonymi zajączkami światła.

Saszka wydał okrzyk zachwyty i obydwaj przyjaciele pobiegli na ulicę, skąd było lepiej widać.

„Dobrze — myślał Lisicyń wstrząsając kolby z pierwszymi próbkami roztworu — dobrze”. Podniósł głowę i spojrzał — skądże oni się tu wzięli? — przed oknem stał już cały tłum widzów. Ze dwadzieścia osób. Stali i gapili się na filtr. Na przodzie — dzieci, z tyłu — dorośli.

Lisicyń rozgniewał się:

— No, cóż to teatr czy co! — krzyknął.

Widzowie nie rozchodzili się i szeptali między sobą.

Doświadczenie było udane i szkoda było je przerywać. Lisicyń nakrył filtr tekturową tarczą z szerokim wycięciem i zaczął kręcić jakąś rączką. Szklany przyrząd to rozświecił się i jak gdyby buchał zielonym płomieniem, to znowu jakby przygasał. Spodobało się to gapiom jeszcze bardziej.

Od tego czasu — tak minął maj, czerwiec i połowa lipca — jak tylko lokator Mariny Pietrowny otwierał jedno z trzech wychodzących na ulicę okien, przez które padało światło słońca, od razu tłum ciekawych ciągnął w kierunku domku. Gromadzili się bez pośpiechu, stali w słonecznym żarze i gryźli pestki dyni.

Lisicyń nie mógł się do tego przyzwyczaić. Ciągłe spoglądał na nich z niepokojem i złością.

Ale wyniki doświadczeń cieszyły go.

Pracował teraz bez wytchnienia. „Zwlekać — myślał nie wolno”. Wykonał wyliczenia dla dwóch rodzajów urządzeń przemysłowych: aparatu, dającego dwadzieścia pudów skrobi na dobę, i drugiego — dającego sto pudów cukru na dobę. W obydwu aparatach postanowił

zastosować jednocześnie energię elektryczną i słoneczną. ..Dzięki temu — pomyślał — produkty będą tańsze".

Trzeba jak najszybciej zbudować i wypróbować modele tych aparatów.

Zrodził się nowy problem: skąd wziąć pieniądze na budowę modeli? Paczka banknotów, które dała mu ciocia Kapeczka, była już na wyczerpaniu. A pierwsze module trzeba zamawiać w częściach, i to w różnych miastach — osobno armaturę elektryczną, osobno — części szklane. Trzeba samemu pojechać do fabryk, porozumieć się osobiście i popatrzeć. Oprócz tego potrzebny jest ślusarz do wykonania metalowych kloszów i przewodów owych oraz dobry stolarz do zbudowania niewielkich, drewnianych zbiorników i tężni. „Gdzie — myślał Lisicyn — zdobyć ...no, chociażby kilka tysięcy rubli? Cho-ciażby ze cztery, pięć tysięcy?"

Nastał upalny lipcowy ranek. Rozmyślając o pieniądzach, Lisicyn znowu postawił filtr na parapecie okna.

Nie zwrócił przy tym uwagi na skrzypnięcie drzwi i nagle usłyszał za sobą:

— Ciągle zieloną?

Drgnął i odwrócił się. Pośrodku pokoju stał policjant.

— Pytam się, czy zieloną? — powtórzył policjant i wskazał palcem filtr.

— Tak — rzekł Lisicyn (zrozumiał, że chodzi o farbę) — zupełnie słusznie, zieloną.

— Ta-ak — z powagą powiedział policjant, przeszedł się po pokoju, spojrzął na filtr i zatrzymał się przed Lisicynem: — Tak, Pojarkow... interesuje mnie, czy robisz to do malowania dachów, czy dla panów artystów?

— Dla fabryki, do farbowania perkali — odpowiedział Lisicyn.

— Dla jakiej fabryki — może Koniasznikowa?

— Zdarza się, że i dla niego, w zależności od tego komu się sprzedaje.

— Ciekawe — ciągnął policjant. — A cóż to, tylko jeden kolor umiesz wyrabiać? Zielony?

— Taki, jaki zamówią kupcy — rzekł Lisicyn i nerwowo, bez potrzeby przestawiał słoiki z miejsca na miejsce.

— Tak! Kupcy, mówisz! — pobłażliwie kiwał głową policjant. — No, no!

Tego dnia Lisicyn nie mógł już pracować. Z trwogą w sercu udał się nad Wołgę. Usiadł obok przystani i rozmyślał nad tym, że policjant naumyślnie udawał głupiego, udawał, a jednocześnie wypytywał chytrze, dla kogo i jakie robi farby.

Nie zawijając do przystani, przepłynęły, jeden za drugim, dwa białe statki. Lisicyn odprowadził je wzrokiem, rozmyślając nadal o policjancie.

„Z jakiego powodu? Tak niespodziewanie — kontrola? Och, na pewno coś w tym jest!”

Ogarnęła go straszna trwoga. Przypomniawszy sobie kartkę (na samą myśl o tym rozboleły go ręce), przypomniał sobie, jak marzył o ucieczce, jak trudno było uciec, a jednocześnie pomyślał o tym, że można już budować modele aparatów. Wszystko poplątało mu się w myślach.

„A Wołga — myślał Lisicyn — płynie. Wzdłuż jej brzegów idą wynędzniali chłopcy z torbami, kobiety w wydeptanych łapciach, głodne dzieci. Idzie tak ten lud rosyjski brzegami Wołgi i Północnej Dźwiny, idzie po dalekiej Syberii”.

Jeżeli dzięki pracy całego życia — myślał — uda mu się dać chleb swojemu narodowi...

„Niech to diabli wezmą, w takiej sprawie nie wolno ryzykować! Nie wolno! W żaden sposób! Ani przez chwilę!”

Następnego dnia rano znowu przyszedł policjant i przyniósł ze sobą jakieś zawiniątko.

— Twój Pojarkow w domu? — zapytał Marinę Pietrowną.

— Siadaj, napij się herbaty, mój złoty — odpowiedziała. — Nie ma go. Wyjechał w nocy statkiem, pewnie do Kazania. Narobił, widać, dużo towaru, bo wywiózł trzy pełne skrzynie. Ale jakie skrzynie! — wykonała obrazowy ruch ręką. — Pracowity z niego człowiek, a jego towar, widać, dobrze idzie... Swatałam go wdowio Chriukinie — dodała szeptem. — A ona, mój drogi, leszcze nosem kręci: rzemieślnik, mówi. Jakiegoś królewicza jej się zachciewa!

Słuchaj, Marina Pietrowna — rzekł surowo policjant — gdy wróci twój Pojarkow, powiedz mu, że moja przyszyła chustkę do farbowania. Niech w dowód szacunku... — Wskazał na zawiniątko: — Zostawię to u ciebie. Wypełzła zdziebko. Czerwone róże niech zostaną czerwone, a to, co zielone — niech będzie zielone...

No, nalej mi jeszcze szklanke... dziękuję. Zrozumiałaś? Chustka, znaczy, jest cenna — powiedz mu. Niech ostrożnie farbuje. To wszystko. I sama dopilnuj tej chustki.

Chustka leżała sobie spokojnie u Mariny Pietrowny, a tymczasem, po upływie tygodnia, Lisicyń zjawił się w górniczej stacji ratunkowej u inżyniera Terentiewa. Ze sobą miał tylko niewielką walizeczkę, a w niej trochę bielizny i zeszyt z wyliczeniami. Pozostały bagaż oddał na przechowanie w Charkowie, gdzie przesiadał się z pociągu na pociąg.

— Pamiętam was, ojczulku, w takim surducie — mówił Terentiew opierając się łokciami o stół. — Mieliście przesadnie wysoki cylinder. A wy sami... Wiecie, że czasami bałem się was trochę. Zacząłem się was bać na trzecim roku i bałem się jeszcze wtedy, kiedy kupiliście sobie cylinder. O — o, któż by w was poznał teraz dawnego Lisicyńa!

— Proszę was, jestem Pojarkow — rzekł szeptem Lisicyń i obejrzał się: drzwi były zdaje się zamknięte, a w pokoju tylko oni dwaj.

— Tak — tak — tak, wybaczcie... Ach, ojczulku, cóż to się dzieje! Ale przerwałem wam, proszę wybaczyć, proszę dalej opowiadać.

Terentiew podparł dłonią policzek i ze współczuciem patrzył w twarz Lisicyna. Ten uniósł brwi i spytał ostro:

— Czy możecie pomóc zbiegłemu katorżnikowi? Pytam wprost, więc odpowiedzcie równie szczerze. Nie, to nie.. Nie obrażę się.

Terentiew wyprostował się ledwie dostrzegalnym ruchem.

„Ach ty, szkoda, że wygadałem, się przed tobą niepotrzebnie” — pomyślał Lisicyn.

Wstał z krzesła i podszedł do otwartego okna. Na wprost okna, za dachami domów, ledwie dymiły, a wiatr rozpedzał dym, wielkie hałdy, wysokie jak egipskie piramidy — zwały wydobytych spod ziemi gładów. Niebo, zasnuwane gęstą mgłą, wydawało się okopconym szkłem, przez które prześwieca słońce. Obok hałd — wieże szybowe. Daleko do nich — a jednak widać, jak błyskają szprychy obracających się na górze kół. Lisicyn pomyślał, że w okresie studiów, gdy zwiedzał kopalnie, rzadko spotykał stalowe wyciągi. A objeździł wówczas dziesiątki kopalń. Zależało mu na praktyce i nie liczył się z czasem.

— O jaką pomoc wam chodzi? — spytał wreszcie Terentiew.

Lisicyn wrócił na swoje poprzednie miejsce i ciężko usiadł na krześle. Spojrzał pytająco na Terentiewa i, wążąc każde słowo, rzekł:

Powiedziałem „a”, więc powinienem powiedzieć Wspominałem wam już o swoich badaniach. Nie miewajcie się, że nie wyjaśniam wam na razie, na czym one polegają. Do tego trzeba dużo czasu, a przy tym to nie jest w tej chwili istotne. Kiedyś może... Proszę mi werzyć, że jest to sprawa posiadająca niezwykle znacznie dla milionów biednych ludzi. Otóż, ażeby móc zakończyć doświadczenia, muszą być spełnione dwa warunki. Po pierwsze — muszę pracować i zarabiać. Jestem przecież mimo

wszystko inżynierem górnikiem. Nie śmiem, oczywiście, porównywać się z wami, Iwan Stie-wicz. Wy posiadacie długoletnią praktykę: ale mimo wszystko... Po drugie — szukam cichego kącika... po-wiedzmy, małego pokoiku, niewielkiego zamkniętego podwórza, trochę prądu elektrycznego. I naturalnie, żeby nie wtrącał się do moich doświadczeń. To właści-wie... Zrozumieście mnie?

Trentiew pokiwał głową i rzekł niemal szeptem:
To ci dopiero zadanie! — i zamyślił się.

Na oknie brzęczała mucha.

— Proszę mówić otwarcie — powtórzył zdenerwowy Lisicyń. — Jeżeli nie możecie nic pomóc, to nie. Lecz, proszę, nie szukajcie usprawiedliwienia.

— Ależ ja nie szukam żadnego usprawiedliwienia! — krzyknął niemal na Lisicyńa Terentiew. Podniósł na niego wzrok i wyciągając jednocześnie chustkę z kieszeni, zaczął wycierać sobie szyję — w pokoju było gorąco.

— Ale proszę mi odpowiedzieć, ojczulku, na jedno kłopotliwe pytanie: dyplom macie? Ale na jakie nazwisko? Dokument, że jesteście inżynierem górnikiem?

Gdzieś blisko rozległy się częste, alarmowe uderzenia dzwonu. Za drzwiami dał się słyszeć tupot, drzwi rozwarły się gwałtownie.

— Iwan Stiepanowicz, pożar na „Świętym Andrzeju"!— krzyknął, wbiegając, wąsaty człowiek w czarnej kurtce. — Przygalopował konny posłaniec. Na poziomie „sto trzydzieści" zostali ludzie. Podobno siedmiu.

Lisicyń wyszedł z pokoju w ślad za Terentiewem i poczuł, że jest mimowolnym świadkiem ważnego wydarzenia. Przed oczyma stanęło mu tych siedmiu ludzi miotających się w ciemności pod ziemią; nie ma dokąd uciec, a po ciasnych korytarzach podpełza coraz bliżej gęsty, gryzący dym.

Iwan Stiepanowicz przebiegł przez korytarz i zeskończył z ganku.

Na podwórzu zadudniły koła pomalowanych szarą olejną farbą, dużych, krytych furgonów, z okienkami po

bokach. Każdy był zaprzężony w parę koni. Przy furgonach krzątała się drużyna ratownicza złożona z siedmiu czy ośmiu osób. Spiesznie układali zwoje brezentu, nosze i skrzynie.

W ciągu kilku minut obydwie furgony, kołysząc się ciężko, wyjechały za bramę. Przez okienko jednego z nich wyrzwał Iwan Stiepanowicz, uśmiechnął się do Lisicyna na pożegnanie i pokazał mu coś gestem, lecz Władimir Michajłowicz gestu tego nie rozumiał. Na drodze wzbily się tumany kurzu, które zakryły furgony.

Po opustoszałym podwórzu kuśtykał, utykając na lewą nogę, czarnobrody stajenny. Nie spiesząc się zamknął bramę, po czym podszedł do Lisicyna i zdjął przed nim kaszkiet.

— Nasz kierownik — rzekł uśmiechając się z jakiegoś powodu — kazał wam pójść do niego na pokoje.

Lisicyn zapytał go:

— Słuchaj, jak myślisz, uratują tych ludzi w kopalni?

— Bywa, że uratują, bywa, że nie — rozważnie odpowiedział brodac. — Mieszkanie pana kierownika — pokazał ręką — o, tam, furtka w płocie... za furtką.

— A często wzywają stację, to jest drużynę? Często zdarza się coś w kopalniach? Na przykład wybuchy, pożary?

Stajenny spojrział z niezadowoleniem i odpowiedział: - Jakże powiedzieć...nie obejdzie się bez tego.

...Żona Terentiewa, Zinajda Aleksandrowna, nie od razu mogła ustalić, kim jest Lisicyn, czy trzeba go przyjmując jak gościa równego sobie, czy też jest to po prostu jakiś nieważny interesant, czy komiwojażer. „Sądząc po ubraniu — myślała — wątpliwe, czy to może być gość”, przy tym, gdy Iwan Stiepanowicz był w kopalni, zawsze ogarniał ją niepokój, tak że nie chciało się jej nawet z nikim rozmawiać. Dwa lata była zamężna i przez cały ten okres nękała ją myśl: „Dlaczego Wania ma tak niebezpieczną pracę? Jak długo to będzie trwało?” Pierw-

szego męża straciła — był bardzo chory — a o tego, drugiego, musi specjalnie dbać: „Wania jest taki nierozważny”.

Proszę siadać, o tutaj — rzekła do Lisicyna. — Przybyliście zapewne za interesem do Iwana Stiepanowicza?

— Za interesem — odrzekł.

— No, to możecie tutaj poczekać. Proszę. Trzeba będzie czekać długo.

Wyszła z pokoju.

Lisicyn siedział w salonie do wieczora. Potem poproszono go na kolację — stół był nakryty tylko dla niego. Wreszcie gruba kucharka bez brwi zaprowadziła go do zatłoczonego szafami pokoju, w którym na kozetce przygotowana była pościel.

— Proszę się tu położyć. Nie wiem, czy Iwan Stiepanowicz wróci jutro, czy nie.

Nazajutrz rano obudził go sam Terentiew:

— No, ojczulku, czas wstawać,, serdecznie prosimy do stołu.

— A tych w kopalni uratowaliście wczoraj? — zapytał Lisicyn, jak tylko otworzył oczy.

Iwan Stiepanowicz z uśmiechem skinął głową.

Podczas śniadania Zinajda Aleksandrowna była wesoła i uważająca, nie taka, jak wczoraj. Kokieteryjnie opiekowała się Lisicynem i zerknęła na niego wprost jak na samego hrabiego Monte-Christo. „Ależ to interesujące — myślała — i pod cudzym nazwiskiem, i tajemniczy uczony, i w dodatku zbieg z katorgi. Całkiem jak w powieściach. A z wyglądu człowiek jak inni. Czyżby to było możliwe, że wszystko, co opowiadał Wania — to właśnie o nim? Nigdy w świecie nie można by się było domyślić. Jakie nieoczekiwane spotkania przynosi życie...”. Przeżyła trzydzieści lat i nagle — masz tobie! — coś ze świata tajemniczych przygód...

Oprócz Iwana Stiepanowicza i jego żony, przy stole siedziała jeszcze staruszka — ich krewna. Lisicyn słyszał, że nazywano ją ciocią Szurą.

Rozejrzał się po jadalni. Jeszcze wczoraj przy kolacji zauważył wiszący na ścianie w lekkiej pozłacanej ramce, malowany akwarelą portret pięknej dziewczyny. W twarzy, rozjaśnionej utajonym uśmiechem, wyczuwało się zadumę, a zarazem jakąś łobuzerską pewność siebie.

— Czyj to portret?

— Podoba się wam? — roześmiała się gospodyni. — To jest Zoja, siostra Wani. Niedawno wyszła za mąż i mieszka w Moskwie. Nawiasem mówiąc, jest lekarzem dentystą. Gdy rozbolą was zęby, będziecie mogli pojechać do niej.

Terentiew opowiadał o wczorajszym pożarze. Mówił długo, zatrzymując się na szczegółach.

— Gdy zamknięto wentylację — rzekł popijając kawę filiżanki — udało się nam podejść całkiem blisko do płonącej obudowy. I wiecie, tam właśnie, w samym piekle, przypomniałem sobie o was... Nie będziecie chyba gniewać się na mnie, co?

— A co takiego?

— Mógłbym przyjąć was jako swojego pomocnika. Można by popробować z tydzień, dwa? Prawda, że pra-ca niezbyt spokojna. Ale za to, wydaje się, że wszystko pozostałe... Będziecie mieli dużo wolnego czasu i miejsce... i prąd elektryczny do dyspozycji. Co o tym sądzicie?

Terentiew zamienił z żoną spojrzenie: ta, mrużąc oczy, skinęła głową.

- Urządzilibyśmy to już jakoś.

Okna jadalni wychodziły na niewielki ogród, otoczony wysokim parkanem z desek i zarosły akacjami. Na każdej gałązce akacji widać było warstwę węglowego kurzu. Jednak niebo — Lisicyń spojrzał w okno — nie jest dzisiaj takie opalowe i zasnuć mgłą, jak wczoraj.

Poprzez gęstwinę zakurzonych liści przedostawały się wiązkami równoległych strzał promienie słoneczne.

„Jeżeli już pójść na służbę — pomyślał Lisicyń — to, oczywiście, taka praca jest najlepsza. Ratować ludzi w nieszczęściu. Pewnie, że to jest najlepsze”.

Zapytał:

— A czy dam sobie radę nie znając aparatów ratowniczych?

— Nauczę was, ojczulku. Nie święci garnki lepią. Potem będziemy się zmieniać. Jedną dobę ja będę miał dyżur, a drugą — wy. No, cóż — spróbujemy?

Po śniadaniu Iwan Stiepanowicz zaczął się skarżyć na swoich chlebodawców. Stacja należała do Rady Związku Przemysłowców Górniczych Rosji Południowej. Iwan Stiepanowicz opowiadał, że już cały rok trwa korespondencja w sprawie zakupu nowych aparatów.

— Również i zarządzenia Rady — mówił dalej — bywają często bezsensowne. Taki na przykład wypadek: na wiosnę, w okresie wielkiego postu, piszą z Charkowa, z Rady Związku, że cała drużyna — pod odpowiedzialnością kierownika — ma bezwzględnie być w cerkwi u spowiedzi i komunii.

Od nas do cerkwi jest dobrych dwanaście wiorst. Ja jestem już „ostrzelany”. Wyrokiem sądowymznaczono mi pokutę cerkiewną. Dlatego też, widzicie, nakazałem: zaprząć konie i cała drużyna — do cerkwi. Za ledwie wyjechali — a w kopalni księcia Kuguszewa pożar! Cóż było robić? Drużyny nie ma. A potem dostaję z Charkowa pismo: trzeba było jechać na dwie zmiany, za każdym razem z połową drużyny. Tak kierownictwo zawraca głowę. Sami widzicie.

Lisicyń pomyślał: „To jest przecież zupełnie jasne, że nie należało jechać z całą drużyną”.

W ciągu tygodnia zapoznał się, nauczył i pojął przeznaczenie każdego aparatu ratowniczego. Próbował nakładać duży hełm, przypominający skafander nurka, chodził w nim po podwórzu, przenosił z miejsca na miejsce ciężkie kamienie i wlaził w nim po drabinie na

dach. domu. Wszystko to wydawało mu się niezbyt trudne.

— Dobrze, bardzo dobrze — mówił Terentiew. — To znaczy, że będziecie mogli pracować z nami w kopalni. Ćwiczcie dalej.

Na ósmy dzień Lisicyń pojechał do ojca Zinajdy Aleksandrowny, który był: kierownikiem szkoły sztygarów. Przywiózł mu dwa listy: jeden zapieczętowany od córki i drugi otwarty od zięcia.

„Drogi i Wielce Szanowny Aleksandr Fieoktistowicz! — pisał Terentiew. — Zwracam się do Was z prośbą. Oddawca niniejszego, mój przyjaciel Władimir Michajr łowicz Pojarkow, studiował razem ze mną na Akademii Górniczej, lecz przez jakieś nieporozumienie został wydalony z czwartego roku. Potem zarządzał kopalniami na Syberii i nabył tam duże doświadczenie. Znam doskonale Władimira Michajłowicza i ręczę za niego. Najpokorniej proszę Was i jestem w tym osobiście zainteresowany, ażeby z Waszą pomocą mógł jako eksternista uzyskać dyplom sztygara. Niezbędne wiadomości posiada, tak że chodzi jedynie o formalność. Przyjmuję go do pracy w charakterze mojego pomocnika, w związku z czym dyplom jest potrzebny jak najszybciej”.

Aleksandr Fieoktistowicz przeczytał list i zyczliwie skinął głową.

W ten sposób mieszczanin Pojarkow został technikiem górniczym, czyli sztygarem.

„Wszystko zniosę, wszystko przewycięzę” — myślał Lisicyń i obliczał w myślach, po upływie jakiego czasu — półtora do dwóch miesięcy chyba — będzie miał pieniądze, które umożliwią mu rozpoczęcie budowy pierwszego modelu, pierwszego miniaturowego przemysłowego urządzenia do wytwarzania żywności syntetycznej.

Gdy przyjechał do Charkowa po odbiór swoich trzech skrzyń ze sprzętem laboratoryjnym, bagażowy na dworcu, u wejścia do przechowalni, namawiał go:

— Po co się pan sam trudzi, panie? Nie policzymy drogo. Na wózku... Niech pan popatrzy... o, dokąd to trzeba... tam, na drugi koniec.

— Odczep się, bracie! — rzekł gniewnie Lisicyń, załadował sobie skrzynie na ramię i poszedł. Postanowił, że od tej chwili każda jego kopiejka powinna być zużyta wyłącznie na budowę modelu.

W Charkowie kupił trójdzielne krany, które zauważył w sklepie, włóczęc się po mieście w oczekiwaniu na pociąg. Pomyślał, że potem, gdy będzie budował wyparkę, takie krany przydadzą się. Kupił jeszcze kilka słoików z odczynnikami. „Dopóki nie można pracować nad modelem, trzeba — postanowił — przygotować zapas aktywnych ziaren. I spróbować zrobić to bez chlorofilu”.

Na placu przed dworcem siedł wyglądający na adwokata człowiek w binoklach, trzymając pod rękę jakiegoś grubasa. Szedł, zatrzymywał się co kilka kroków i, wymachując swobodną ręką, perorował krzykliwie:

— Autorytet rządu! Słuchajcie, Izydor Fiodorowicz, dokąd zmierza Rosja? Nie minęło półtora roku od strajków po masakrze nad Leną, a w Kronsztadzie znowu trzeba było sądzić marynarzy, w Nikolajewie był strajk, w Baku... Boże, my chcemy żyć w spokoju. A tu w zakładach przemysłowych w Groźnym strajkowało znowu pięć tysięcy robotników. Zrozumcie: pięć tysięcy! Do czego to dojdzie?

Poprawił binokle na nosie. Jego grube i ruchliwe wargi zaokrągliły się. Zatrzymał się i spojrzał na Lisicyńa. Usta stopniowo wydłużały mu się w rurkę.

Władimir Michajłowicz? — zapytał wreszcie. — To niemożliwe! To naprawdę wy?

Lisicyń ledwo dostrzegalnie zbladł. „Zawiałow! — ponał. — Żeby go!...”

Starając się patrzeć obojętnie, Lisicyń spojrzał w oczy swojego dawnego znajomego, z którym razem się uczył. Pokręcił jednak przecząco głową.

To pomyłka, łaskawy panie — zaczął nieswoim głosem. — Jestem Pietrow Iwan Iwanowicz. Pomyliliście się.

--- A — a... No, to wybaczcie. — Zawiałow skinał głową i pobiegł, by dogonić tłuszciocha. Lisicyń czuł, że krew napływa mu do twarzy. Odwrócił się i powoli poszedł, by zająć miejsce w pociągu. „Niech go... — pomyślał już w wagonie. — Nawet się nie zmienił. Chociaż nie, dawniej pamiętam inaczej ro-zumował”.

Chcesz żyć spokojnie? — powtarzał szeptem Lisicyń patrząc na przesuwające się słupy telegraficzne, widział w myślach ruchliwe usta, czarne bokobrody i bi-nokle z szeroką sprężyną na czole. — Strajki, mówisz? Do czego dojdziemy? Dobrze ci tak, pasożycie! Dobrze i lak! Cóż to, przeszkadzają ci ludzie w łapciach? Przeszkadzają, mówisz?

Terentiew przygotował dla swojego pomocnika dwa pokoje. Mieściły się one w budynku stacji ratunkowej, Blisko służbowego gabinetu Iwana Stiepanowicza, obok w której przechowywano aparaty ratownicze, i niedaleko pomieszczeń drużyny. Drzwi z tych pokojów prowadziły na wspólny korytarz. Kucharka Terentiewów wraz z czarnobrodym stajennym przyniosła meble: Zinajda Aleksandrowna wybrała wszystko, co według jej mniemania było niezbędne dla Władimira Michajłowicza: dwa stoły, łóżko, parawan haftowany w dziwaczne smoki, waziutką kozetkę, szafę, umywalnię z lustrem i kilka krzesel.

Zinajda Aleksandrowna krzątała się, wyjmowała z kufra obrus, koronkowe firanki do pokoju Władimira Michajłowicza; nagle jednak spojrzała z przestachem na męża.

— Wania — zapytała — a nie będziemy mieli przez niego przykrości z policją?

— Jak też ci to powiedzieć, Ziniusza? — rzekł Terentiew po chwili namysłu. — Chyba nie, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nic się nie stanie. On sam też jest człowiekiem niegłupim.

— To niech jada u nas obiady — zdecydowała wówczas Zinajda Aleksandrowna.

Lisycyn przyjechał późnym wieczorem i wszedł do swojego nowego mieszkania.

— Gratuluję — szepnął Iwan Stiepanowicz — dyplomu sztygara. — Potem krzyknął do kogoś w korytarzu:

— Wnieście tutaj skrzynie! Ostrożnie! — Wskazując ruchem głowy, zapytał: — Jak się wam podobają te pokoje?

— W tym dalszym — rzekł Lisycyn rozejrzawszy się — urządę laboratorium. W tym postawię łóżko. Dziękuję, bardzo mi się podobają.

Gdy został sam, usiadł przy otwartym oknie. Noc była ciemna i nieco chłodna. Był koniec sierpnia. Przed oknem, ledwo poruszane wiatrem, szumiały gałęzie akacji. W powietrzu brak było pachnącej świeżości: przepojone było zapachem dymu z węgla. Ale gwiazdy na niebie wydały się równie jasne, jak niegdyś, wiosną, w Petersburgu albo jak na Syberii podczas mroźnych, zimowych nocy. „Oto konstelacja Bliźniąt... Przypuśćmy, że modele urządzeń będą zbudowane. Co do tego nie mam wątpliwości. Lecz co potem z nimi zrobić, w czyje ręce się dostaną? Może Glebow wiedziałby, co zrobić. Lecz jak go odnaleźć? W jaki sposób zasięgnąć jego rady?”

Władimir Michajłowicz zamknął okno i zabrał się do ścielenia łóżka.

Dzień ten zmęczył go. Położył się więc i natychmiast zasnął.

Zbudził go tupot w korytarzu i częste alarmowe uderzenia dzwonu.

— Wstawajcie, szybko! — krzyknął za drzwiami Terentiew. — Za dwie minuty odjeżdżamy. W „Świętym Andrzeju” znowu pożar!

Gdy Lisycyn wybiegł na podwórze, ktoś pomógł mu wleźć do furgonu. Niski dach furgonu utrudniał stanie, a siedzieć było również niewygodnie: pod nogami —

stalowe butle, nosze, narzędzia. Mignęła twarz Iwana Stiepanowicza. Na piersiach, na zawieszonym na szyi miedzianym haczyku, wisiała świecąca wątłym żółtym płomieniem górnicza lampka.

Furgon zakołysał się i wyjechał na ulicę.

— No — rzekł Iwan Stiepanowicz — życzę szczęścia! To początek waszej pracy.

Lisycyn pochylił się i, przytrzymując się podskakującej na wybojach ścianki, wyrzął z furgonu. Turkotały okute żelazem koła, konie pędziły galopem. Przy drodze migwały zarysy ciemnych chat, domów i płotów. Spojrzał przed siebie. Do świtu wydawało się jeszcze daleko. Na niebie, jak przedtem, lśniły gwiazdy, a pod gwiazdami ledwo dostrzegalnym cieniem czerniały zarysy hałd i wieży szybowej.

ROZDZIAŁ IV

POD ZIEMIĄ

Step — równy, ciemny, smutny. Ciężkie chmury zasnuły niebo od krańca do krańca i trudno było zorientować się, czy to dzień, czy zapadający wieczór.

Lisycyn szedł na przelaj przez step. Czapkę wcisnął głęboko na czoło, ażeby wiatr jej nie zerwał. Ceratowy płaszcz wydał się na nim jak żagiel. Wokoło widać było hałdy nadszybia i dachy osiedli górniczych — jedne, ledwo wysuwające się zza horyzontu, inne, bliżej, jak rozsypane po stepie, drobne, szare klocki. A pod nogami była sucha trawa i stwardniała glina.

„Co teraz słyhać w Petersburgu? Pojechać by tam na jakiś tydzień!”

Przeciągle zahuczała syrena kopalni, przy której mieściła się stacja ratunkowa. Ochryple odpowiedziała jej syrena kopalni „Magdalena”.

„Piąta godzina — pomyślał Lisicyń. — Wkrótce zmiana dyżuru, trzeba się śpieszyć”.

Step pozostał w tyle. Lisicyń szedł już ulicami osiedla. Wiatr zrywał z akacji pożółkłe liście, wirował nimi nad ziemią, wzbijał tumany zimnego kurzu i rzucał go garściami w twarz.

— Ze spaceru, ojczulku? — zapytał Terentiew, gdy Lisicyń wszedł do jego gabinetu. — Chcę wam coś powiedzieć. — Wziął z biurka pochłaniacz do maski tlenowej, wielką jak starożytna księga, płaską, blaszaną puszkę z przylutowanymi u dołu i u góry, wypukłymi przykrywkami. — Kiedy skończy się wreszcie to sprawdzanie każdego głupstwa z zagranicy? Cóż to jest? —

Pochylił się i oglądał pochłaniacz, jak gdyby widział go po raz pierwszy. — No, cóż: trochę blachy, siatki drucianej i ługu potasowego. — Gniewnym ruchem położył pochłaniacz obok kałamarza. — Wiecie, już mi obrzydło! Piszę teraz znowu do firmy „Dreger”. A oni odpisują, że znów przyślą jakiegoś przedstawiciela. Oczywiście na nasz koszt. Żeby tak móc już więcej nie pisać. — Terentiew uderzał w list zgiętym palcem. — Plunąć na to i samemu zrobić takie pochłaniacze. I koniec. Bez żadnych Niemców. I będzie dziesięć razy taniej.

Spojrzał na Lisicyń, wstał z krzesła i mimochodem dotknawszy wyłącznika, zapalił lampę na biurku.

— Pójdę już, Władimir Michajłowicz — rzekł, jak gdyby usprawiedliwiając się. — Ziniusza tam się nuździ. A więc, proszę, załatwcie sami, jeżeli zajdzie potrzeba. Wszystkiego najlepszego!

Już na progu dorzucił:

— Ta firma naumyślnie nas straszy. Niby to wymyślili jakieś nieosiągalne tajemnice, do których nie dośliśmy. A wszystko to naumyślnie, daję słowo!

W korytarzu rozległy się jego kroki i ucichły. Lisicyn zgasił lampę i także poszedł przez korytarz do swoich pokojów.

W pierwszym stało łóżko zasłonięte chińskim parawanem, szafa na ubrania, umywalnia i okrągły stolik nakryty obrusem. Nawiasem mówiąc, Lisicyn nie lubił okrągłych stołów, gdyż uważał, że są one odpowiednie tylko dla nierobów. Po wejściu zdjął płaszcz i powiesił go na gwoździu. Przesunął dłonią po zakurzonej po spacerze twarzy i zaczął się myć parskając i rozpryskując wodę. Potem wziął ręcznik i, wycierając policzki, pchnął łokciem drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Przy-stanął w nich i wycierając się, długo oglądał swoje laboratorium. Wyciągnął mokrą jeszcze rękę i zapalił światło.

Na długim stole, pod oknem, nagromadzone były rzeczy, bez których żyć nie umiał: menzurki, kolby, biurety i statywy. Lisicyn spojrział przelotnie i natychmiast przeniósł wzrok na inne miejsce, gdzie w kącie na podłodze, na przewróconych, grubo ciosanych skrzyniach rozłożone były nowe, drogocenne przedmioty: przywiezione z Kijowa szklane części przyszłego modelu.

Z Kijowa przyjechał trzy dni temu. Przywiózł stamtąd, zamówione według rysunków, części prawie do całego modelu. Kuliste segmenty z optycznego szkła, przezroczyście, pozaginane w kształcie cylindra płyty, o pofalowanej powierzchni, szlifowane po brzegach szklane pierścienie. Wydał na to wszystkie posiadane pieniądze.

„Trzeba znowu wszystko umieścić w skrzyniach — myślał — i poprzesy pywać wiórami, żeby się przypadkiem coś nie stłukło... A więc takim okazał się Terentiew!”

Lisicyn, od chwili gdy zamieszkał tutaj, zauważył, że Iwan Stiepanowicz ani razu nie zajrzał do jego drugie-

go pokoju i ani razu nie zapytał, na czym polega jego praca. Jak gdyby to było czymś zupełnie naturalnym, że jego pomocnik zamyka się w pokoju i zajmuje jakąś tajemniczą pracą. Pewnego razu Lisicyń sam zaczął o tym mówić. Uważał, że nie wypada dłużej milczeć. Zaczął mówić, co prawda, ostrożnie, ogólnikowo o syntezie substancji organicznych, jako takiej.

Terentiew przerwał mu łagodnie:

— Nie sądźcie, ojczulku, że chcę wyciągnąć z was jakieś zwierzenia. Bądźmy szczerzy. Wydaje mi się, że niezbyt chętnie wtajemniczacie ludzi w swoje... no, właśnie w to. Prawda? I macie rację! Tak właśnie należy postępować w waszej sytuacji. A więc synteza organiczna? Bóg z nią! No i wystarczy. Proszę was, nie róbcie odstępstwa od waszej zasady. Zresztą, nie mam ani zdolności, ani zamiłowania do tych różnych sztuczek chemicznych. Od najmłodszych lat w tym się nie wyznawałem. A więc umawiamy się: każdy z nas ma swoje osobiste sprawy.

„Okazuje się, że Terentiew jest delikatny — pomyślał Lisicyń i powiesił ręcznik na dębowej półeczce obok umywalni. — A jego żona jest, zdaje się, jeszcze lepsza. Żeby tylko ich nie narazić”.

Lisicyń zupełnie nie przypuszczał, z jaką ciekawością Zinajda Aleksandrowom czasami, zwłaszcza w pierwszym okresie wypytywała męża o jego sprawy.

— Jeszcze się nie dowiedziałeś? — mówiła. — No, Wanieczka, ależ ty jesteś... Ale, Wanieczka, jutro — ciągnęła dalej szeptem — jutro dowiesz się na pewno i opowiesz mi o wszystkim. Dobrze? Cóż on tam robi... To przecież ciekawe... A nie — to sama zapytam się go przy obiedzie. Wprost go zapytam. Zobaczysz, że zapytam.

— Nie waź się go pytać — mówił surowo Terentiew. — Właściwie, cóż cię to obchodzi? Każdy może zajmować się, czym chce. Jeden pije wódkę, drugi zajmuje się chemią. — I zmieniając od razu ton Iwan Stiepanowicz zaczynał prosić: — Zostaw, Ziniusza, czy ci nie wszy

stko jedno? Nie można, zrozum, to nieładnie, niehonorowo. Obiecałem nie mieszać się. Więc byłoby to nieprzyzwoicie z naszej strony.

Lisycyn przypomniał sobie, że rozpoczął się dyżur. Trzeba więc sprawdzić, czy ludzie z dyżurnej zmiany są na miejscu i czy aparaty są przygotowane do szybkiego wyjazdu na kopalnię. Trzeba zajrzeć do stajni, bo podobno kary koń zaczął kuleć, nie należy go zatem zaprzęgać w razie alarmu, lecz zastąpić jakimś innym.

Nie spiesząc się, ruszył na obchód stacji ratunkowej.

W pracowni, wąsaty instruktor Gałuszczenko i ratownik Kierżakow pracowali przy pompie tlenowej. Dźwignia pompy postukiwała od czasu do czasu. Przetłaczali sprężony tlen i jednocześnie rozmawiali półgłosem. Lisycyn w korytarzu usłyszał ich rozmowę.

— W tym rzecz, bracie, że nie ma się dokąd udać — mówił Kierżakow. — Dalej, Nikanorycz, przyłącz następną butlę... Tak, bracie. Bo cóż właściciel? Właściciel dba o swoją kieszeń. Niejeden górnik wydobywa w ciągu swojego życia wiele tysięcy pudów węgla. A właścicielowi, pomyśl tylko — żal kawałka belki, ażeby umocnić dla górnika sztolnię. Rozumiesz, Nikanorycz: kawałka belki!

— To ci dopiero! — odrzekł Nikanorycz.

— Tak więc, bracie, niedawno w kopalni „Magdalena”... Zabieraj butlę, już pełna. Te są puste. Mój szwagier jest rębaczem na „Magdalenie”. Jak przyszła wypłata, to im powiedzieli, że w biurze nie ma pieniędzy. „Jak chcecie — powiedzieli — to bierzcie sobie węgiel ze składu zamiast pieniędzy. I to po sprzedażnej cenie”. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Ale na co ten węgiel? — pytał Kierżakow zapalczywie. — Czy węgiel to jedzenie? Kpiny sobie stroją z robotnika. Węgla mamy po uszy, ale brzuch puchnie z głodu...

Lisicyń zajrzał przez uchylone drzwi. Kierżakow szybkimi ruchami naciskał rączkę pompy. Na podłodze były rozstawione duże i małe metalowe butle pomalowane na niebiesko. Gałuszczenko przykucnął i kluczem zakręcał na nich brązowe zakrętki.

Od pierwszego spotkania Lisicyń poczuł sympatię do Kierżakowa. Wydawało mu się, że rysami twarzy przypomina Osadczeo. A Gałuszczenko był dla Lisicyńa czymś w rodzaju niańki. Gdy, wśród dymu pożaru lub obsuwających się skał, opuszczali się razem w głąb kopalni w wielkich aparatach ochronnych, niby w zbrojach rycerskich, wąsaty instruktor ani na krok nie odstępował nowego sztygara. O to już zatroszczył się Iwan Stiepanowicz. Nikanorycz często oddawał Lisicyńowi przysługi. To uprzedził na czas o niebezpiecznym miejscu, którego trzeba było się wystrzegać, to — jako doświadczony górnik — poradził, jak zorganizować akcję drużyny ratowniczej.

Na widok Lisicyńa Gałuszczenko wstał, a Kierżakow przestał stukać pompą.

— Pracujcie, proszę, pracujcie dalej — rzekł Lisicyń wchodząc do pracowni. Podskoczył lekko i usiadł na warsztacie stolarskim. — A więc mówicie, że węgiel to nie pożywienie?

Kierżakow spojrzał znacząco na instruktora. Nikanorycz dotknął wąsa, uśmiechnął się z godnością i odwrócił w stronę sztygara.

— Jeżeli chcecie — mówił dalej Lisicyń — to opowiem wam coś ciekawego. Fakt autentyczny. W Petersburgu mieszka pewien uczony. Uczony ten, widzicie, znalazł sposób... ze zwyczajnego dymu wyrabia cukier... albo, na przykład, mąkę. — Spojrzał na Gałuszczenkę i Kierżakowa, którzy stali w milczeniu. Następnie oparł się dłońmi o warsztat i nie spuszczał już ze słuchaczy uważnego wzroku. — Pokazano mi tego uczonego i sam go widziałem. Rozumiecie, jakie to ważne? Wyobraźcie sobie, że nadejdzie czas, kiedy wszyscy robotnicy i chłó-

pi, w ogóle wszyscy potrzebujący będą posiadali takie przyrządy. Węgiel się pali, a przyrząd przerabia dym na mąkę. Albo, powiedzmy, na cukier. Co kto zechce. I to nieziczone ilości pudów, wystarczy spalać węgiel. Jakby się wam podobały takie przyrządy?

Coś takiego! — rzekł Gałuszczenko i z grzeczności pokręcił głową. W głębi serca było mu nieprzyjemnie, że

Pojarkow wierzy we wszelkie bajdy. „Banialuki — pomyślał.

— A co ty o tym myślisz? — zapytał Lisicyń patrząc na Kierżakowa.

— Powiem panu, panie sztygarze — odrzekł Kierżakow — korzyść będzie, ale chyba dla właściciela. — Oczy jego przybrały łobuzerski wyraz. — Cóż to będzie, bracie? Słodkie ciastka zamiast węgla z kopalni.

Lisicyń zeskoczył z warsztatu i zaczął przekonywać, że sprawa wygląda inaczej, że uczone wymyśli sposób przekazania przyrządów prostym ludziom, że temu uczonemu pomogą inni uczeni...

— To wszystko nic nie znaczy — rzekł Kierżakow. — Przemysłowiec wykupi wszystkie przyrządy!

Po upływie kilku minut, idąc w kierunku stajni, Lisicyń zadał sobie w myślach pytanie, czy rzeczywiście mogą istnieć tacy uczeni, czy może być taka nauka, która potrafiłaby unieszkodliwić chciwe ręce bogaczy. Może prawo? Głupstwa — rozgniewał się — bzdury! Prawnicy — to właśnie sąd, który skazał go na katorgę. I nic poza tym!

Przypomniało mu się teraz — to wspomnienie nawiedzało go często — jak w chacie w tajdze opowiadał Osadcemu o rozprawie. Osadczyj sprowadził wówczas rozmowę na swój ulubiony temat. Zaczął mówić o jakimś tam związku pomiędzy otrzymywaniem taniej żywności a rewolucją. Niestety nie skończyli rozmowy, bo coś im przeszkodziło. Ciekawe, co za związek miał on wtedy na myśli?

„Nie wiem — pomyślał Lisycyn. — Jakżebym się mógł domyślić! Ale jedno jest pewne: syntezę byłoby daleko łatwiej urzeczywistnić, gdyby handlarze, żandarmi i inni podli ludzie przestali... być u władzy. Przestaną oni być u władzy... Pewnie, że będzie to bardzo dobrze. Ale kiedy to nastąpi? Czy to nie jest zbyt pochopne brać w rachubę — choćby nie wiem jakie piękne — ale bądź co bądź tylko marzenie?”

Lisycyn wszedł do stajni, zarządził, ażeby w wypadku alarmu na kopalni nie zaprzęgano karego; potem wszedł do sali z aparaturą i obrzucił wszystko uważnym spojrzeniem. Wreszcie zakończył obchód stacji i wrócił do swojego pokoju. Usiadł na krześle w laboratorium, mówiąc do siebie: „Marzenie... Brać w rachubę marzenie...”

Nagle podniósł brwi. „Właściwie — pomyślał — czyje marzenie?”

Naraz wydało mu się, że jakby poczuł na rękach kajdany ze skórzanymi opaskami. Przypomniał sobie wrzaski i ordynarne przekleństwa konwojentów. Marzenie ludzi zakutyh w kajdany — zerwać łańcuchy, rzucić je w twarz dozorcóm więziennym i wyrwać się na wolność. A miliony tych w łapciach, z torbami — o czym oni marzą? Jakie są ich marzenia, te najtajniejsze — ukryte w głębi serca? A ci, którzy urządzają demonstracje i strajki — czy oni marzą także o tym samym? Takie marzenia — to już nie marzenia, to dynamit! Gromadzi się, gromadzi przez dziesiątki lat, aż wreszcie wybuchnie. Na pewno wybuchnie!

„Dziesiątki lat...”

Lisycyn spojrział z westchnieniem na stojące pod ścianą skrzynie.

Wtem usłyszał wyraźnie, że za jego plecami, w pokoju, coś także cicho westchnęło.

Obejrzał się i w uchylonych drzwiach ujrzał stojącego na progu, ośmioletniego może, chłopczyka z czarnymi, rozwichrzonymi włosami i opaloną, piegowatą twa-

rzą. Chłopczyk patrzył, jak urzeczony, na biurety, kolby i inne nie znane mu, szklane przedmioty. W jego ciemnych, szeroko rozwartych oczach odbijało się światło lampy.

— Co ty tu robisz? — surowo zapytał Lisicyn. — Czego chcesz? Dlaczego nie śpisz?

Był to — Lisicyn poznał go — syn czy siostrzeniec czarnobrodego stajennego. Dziecko zawsze bawiło się koło stajni lub w stajni. Tutaj więc zabłądziło przypadkowo.

— Jak się nazywasz?

Chłopczyk nie odpowiedział, zmieszał się, trzasnął drzwiami i uciekł. W pośpiechu tupotały jego bose nogi.

„To tylko z ciekawości — pomyślał Lisicyn. — Dziecko — to nic groźnego”. Zamknął jednak od wewnątrz drzwi na klucz. „Niech lepiej będą zamknięte”.

Zaczął przechadzać się po laboratorium i znowu spojrzął na skrzynie.

„A więc weźmy, na przykład — powrócił do poprzednich myśli — przyszły model. Minie pół roku, a w ostateczności rok — należy wziąć pod uwagę i taką możliwość, model zostanie skonstruowany i zacznie działać. No i co dalej? Co zrobić, ażeby przyrządy do wytwarzania syntetycznej żywności pojawiły się w domach biednych ludzi, a bogacze i dozorczy więzienni nie mieli do nich dostępu?

A może nie trzeba będzie na rewolucję czekać dziesiątek lat? Kto wie, a może nadszedł kres cierpliwości ludu, może wkrótce uderzy ten długo wyczekiwany grom? O ileż byłoby wtedy źlej... Co zrobić? Któż mi poradzi?”

Przymrużył oczy i położył ręce na stole.

„Trzeba — postanowił — rozesłać listy na wszystkie strony; odszukać Glebowa, odszukać Osadczygo — nawet pośrednio, przez drugie, trzecie osoby. Adres mogą podać: Charków, dworzec, poste restante, dla okaziciela rubla... — Lisicyn wyjął, z kieszeni pieniądze i spoj-

rzał na żółty rublowy papierek — rubla, powiedzmy numer TZ 800 775. Teraz jest październik, a wtedy był lipiec... Minęło półtora roku. No, to Osadczego można jeszcze zastać na zesłaniu. Boże, po cóż ja tak długo czekałem?"

W ten sam wieczór zabrał się do pisania listów. Siedział nad nimi przez całą noc. Jeden napisał do Darii, ażeby przekazała go Osadczemu; drugi — do cioci Kapeczki, ażeby powierzyła adwokatowi sprawę odszukania Jegora Jegorycza. Staruszek może się przydać przy odszukiwaniu przyjaciół. Trzeci list wysłał do bibliotekarza Akademii Górniczej. Ten, zdaje się, spotykał się dawniej z Glebowem; czwarty — do właściciela mieszkania, gdzie Glebow dawniej mieszkał i z którego synem Paweł był kiedyś w zażyłych stosunkach. „Do kogo — pomyślał Lisicyn — można by jeszcze napisać?" Zastanawiał się długo, lecz nie znalazł. Wielki jest Petersburg, ale do kogo tam się zwrócić — nie wiadomo.

Następnego dnia wysłał te cztery listy. Poszedł pieszo przez step na dworzec kolejowy, czekał na przyście pociągu i wrzucił je do skrzynki wagonu pocztowego. I b wydawało mu się pewniejsze, gdyż na kopertach nie będzie pieczęci zdradzającej, skąd zostały wysłane.

Rozpoczynając pracę na stacji ratunkowej, Lisicyn dobrowolnie wziął na siebie obowiązek przeprowadzania analizy powietrza z kopalń. Od czasu do czasu robił taką analizę, co nie zajmowało mu wiele czasu. Dawniej ratownicy zanosili butelki z powietrzem do felczera. W jego maleńkim pokoiku z apteczką, którego drzwi wychodziły na korytarz obok drzwi gabinetu Iwana Stepanowicza, stał specjalny aparat do badania powietrza. Lisicyn przeniósł ten aparat do swojego laboratorium.

- Dziwne! — rzekł kiedyś Kierżakow do felczera. — Niedawno przynieśliśmy trzy butelki powietrza ze „Świętego Andrzeja". Wy, Makar Osipycz, wzięliście trzy butelki! — raz, raz i gotowe. A sztygar męczy się nad nimi już drugą dobę. Zamknął drzwi i zasłonił okno. Niedawno,

wiecie, kazał mi zanieść do siebie skrzynie. E-ch, bracie, co tam u niego szkła na stole, a na podłodze! Prawdziwy czarownik, bracie. Ile tam roboty z tym powietrzem... przecież tylko trzy butelki...

Przed felczerem leżała otwarta książka. Nosiła ona tytuł: „Geniusz przewrotności”. Felczer mierzwił sobie palcami włosy, a oczy jego zachłannie biegały po wierszach książki. Gdy Kierżakow zaczął mówić, Makar Osi-powicz przycisnął palec do miejsca, gdzie czytał, ażeby go nie zgubić, i dopiero wtedy spojrzął na mówiącego. Twarz miał szarą, drobną, na głowie szopę potarganych włosów, a nos sterczał niczym płaski dziób.

Felczer pobłażliwie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Chociaż jesteś człowiekiem bez wykształcenia — rzekł do Kierżakowa — to jednak i ty zaczynasz mieć wątpliwości. Ja zaś... Sam rozumiesz, Kierżakow. Ja przecież uczyłem się! — Makar Osipowicz odrzucił głowę w tył i uderzył się ręką w pierś. Druga jego ręka z wyciągniętym palcem spoczywała na stronicy otwartej książki. — Ja, Kierżakow, nie mam wątpliwości. Dla mnie jest to zupełnie jasne — całkowicie, doskonale zrozumiałe.

Po chwili milczenia felczer zapytał:

— Chcesz, jak widzę, usłyszeć moje zdanie? Czy tak mam cię rozumieć?

Wstał z krzesła, przeszedł przez pokój i wyjrzał za drzwi, czy w korytarzu nie ma nikogo w pobliżu. Potem wrócił na poprzednie miejsce i zaczął mówić szeptem:

— Powietrze, mówię ci, to tylko dla odwrócenia uwagi. Powiem ci w najgłębszej tajemnicy. Wziął ode mnie aparat i pod tym pozorem bada tajemnice niemieckiej firmy. Potrafisz zrozumieć taki wyraz: konkurencja? Zobaczysz wkrótce, że z naszym Terentiewem — tu felczer spojrzął bojaźliwie na ścianę oddzielającą aptekę od gabinetu kierownika stacji i zaczął szeptać jeszcze ciszej: — sami będą wyrabiać pochłaniacze. Z ługu potasowego i blachy. Nie oglądając się na firmę. Tak. A więcej

już nic ci nie powiem. Nie potrzebujesz nic więcej wiedzieć.

...Śnieg pobielił step. Od donieckich gór wiał zimny wiatr i tworzył zasy pył śnieżny. W osiedlu przy kopalni, śnieg niedługo pozostawał biały: bardzo szybko pokrywała go warstwa pyłu węglowego i sadzy.

Iwan Stiepanowicz wyjechał z żoną na kilka dni w odwiedziny do teścia. Na ten okres gospodynią w ich mieszkaniu została ciocia Szura, a kierownikiem stacji ratunkowej — Lisicyn.

W czasie zmiany dyżurów Lisicyn obchodził wszystkie pomieszczenia stacji, dawał polecenia dyżurnemu instruktorowi, a potem wracał do swoich pokoi i po dawnemu siedział w laboratorium. Przygotowywał zapas substancji chemicznych, aktywnych ziaren do wypróbowania modelu. Pracował nad nowymi receptami, które pozwoliłyby otrzymywać aktywne ziarna bez chlorofilu. Udało mu się już uzyskać pewne wyniki.

Kiedyś, w czasie pracy okazało się, że jest mu znowu potrzebny ług. Nieraz już w takich wypadkach posługiwał się pochłaniaczami od masek tlenowych. Przynosił do swojego pokoju taki pochłaniacz, rozcinał blachę i jak ze zwyczajnego, lutowanego pudełka, wysypywał z niego tyle ługu potasowego, ile mu było potrzeba. Teraz także wziął nowy pochłaniacz. Gdy niósł go przez korytarz, zza drzwi apteki wyjrzał felczer. Wyjrzał, pociągnął nosem i skrył się z powrotem. Lisicyn nawet nie spojrzał na niego i z dużym blaszanym pochłaniaczem pod pachą minął go spokojnym krokiem.

Wreszcie nadszedł dzień powrotu Terentiewa.

Rano Gałuszczenko rzekł do Lisicyna:

— Tam przyjechał do was jakiś Niemiec.

Przed gabinetem Iwana Stiepanowicza stał człowiek w futrze, z żółtą skórzaną walizką w ręku.

„Agent firmy »Dreger« — domyślił się Lisicyn. Gdy zobaczył tłuste, rumiane policzki i pogodne, niebieskie oczy, pomyślał, że Niemiec ten nie ma więcej niż

dwadzieścia pięć lat. „Po jakiemu będę z nim rozmawiał?”

— Ich bin * — zaczął sobie przypominać, ale od razu utknął: „Jak powiedzieć po niemiecku, że jestem pomocnikiem Terentiewa?”

— Niepotrzebnie się trudzicie — uśmiechnął się Niemiec błyskając równymi, białymi zębami. — Ja swobodnie władać rosyjskim językiem. Mój nazwisko Krumreich. Inżynier Gottfried Krumreich. A z kim mam zaszczyt?

— Pomocnik kierownika stacji — Pojarkow.

— Pardzo ładno. Pardzo przyjemno. — Krumreich wyciągnął rękę. — Ja od firmy „Dreger”. Kiedy będę mógł zobaczyć się z panem Iwan Stiepanowicz Terentiew?

Lisycyn nie zdążył odpowiedzieć, gdy dobiegł ich stuk otwieranych drzwi wejściowych i szybkie, alarmujące uderzenia dzwonu. Po korytarzu biegnie już Gałuszczenko i ciężko dysząc mówi, że na Rosyjsko-belgijskiej kopalni pożar.

Niemiec został sam w korytarzu. Obejrzał się, wszedł do gabinetu kierownika, postawił walizkę i zdjął futro.

— To skandal! — krzyknął Lisycyn, gdy przyjechali na Rosyjsko-belgijską kopalnię. Przed nim stał inżynier z tej kopalni — spokojny, bardzo uprzejmy, pachnący wytwornymi perfumami Francuz Rambeau. — Dlaczego — krzyczał do niego Lisycyn — nie zmieniono dotychczas w kopalni kierunku prądu powietrza?! Przecież tam są ludzie — rozumiecie, ludzie!

**Ich bin - po niemiecku - jestem.*

— Nie radzę panu unosić się, panie sztygarze — rzekł Rambeau akcentując leciutko wyrazy „panie sztygarze”. Sztygar — to przecież nie inżynier i powinien znać swoje miejsce. — Ale lepiej nie kłóćmy się. A odwrócenie prądu powietrza przed pańskim przybyciem — oznaczałoby świadome powiększenie strat spowodowanych pożarem.

— Rambeau wytwornym ruchem wskazał na rysunek. — Zechce pan spojrzeć: z tej strony znajduje się suchy mur szybu. Mur jest nowy. Niedawno wydaliśmy na niego czterdzieści dwa tysiące rubli.

Lisycyn zaklął i kazał drużynie nałożyć aparaty, sam nałożył również i ratownicy, przypominający teraz nurków w skafandrach, pośpieszyli w głąb kopalni. Przedtem jeszcze zmienili kierunek wentylacji. Gałuszczenko wbiegł do budynku, w którym mieściły się wentylatory, razem z maszynistą przesunął ogromne, jak płyty pancerne, zasłony, zamknął jedne przewody powietrzne umieszczone pod podłogą budynku, a otworzył inne.

Ciasna, żelazna klatka bezszelestnie ześliznęła się w dół. Na spotkanie im buchnęło ciemne od dymu, gorące powietrze. Zapachu nie czuli, gdyż w hełmach aparatów ratownicy oddychali czystym tlenem. Przenośne lumpy elektryczne oświetlały biały dym. Patrząc uważnie, widać było, jak przesunął się obok nich drobnymi, kędzierzawymi spiralami.

Lisycyn przykucnął w windzie i myślał o Francuzie: „Nie obchodzi go los naszych ludzi. Jego pieniądze są mu droższe. Czterdzieści dwa tysiące... O-o, wstrętny pasażer!”

Pożar wybuchł w podziemnej stajni, w której znajdowało się kilkaset pudów prasowanego siana. Zapaliło się no zapewne od wadliwych przewodów elektrycznych.

Jeden stajenny zdołał uciec, drugi rzucił się, by ratować konie, i zadusił się razem z nimi.

Gdy Lisycyn ze swoją drużyną zbliżył się do stajni, poprzez dym przeświecały już języki ognia. Dalej, za

stajnią, na drodze do właściwej kopalni, ognia nie było. Po prostu nie miało się tam co palić, gdyż wyrabana w kamieniu komora trzymała się bez stempli. Lecz właśnie tam, do miejsca gdzie pod ziemią z dala od stajni pracowali ludzie, tam przez dobrą godzinę ciągnął z wiedzą Rambeau cały dym. Rambeau osądził, że kamień nie zapali się, a więc nie będzie zbytecznych strat. O ludzi Francuz nie zatroszczył się. Dopiero Lisicyn zmienił kierunek prądu wentylacji i dał ludziom w kopalni czyste powietrze.

Podzielił swoją drużynę na dwa zespoły. Jedni zaczęli zamykać palącą się stajnię, budować szczelne przegrody z desek i mokrej gliny, aby za tymi przegrodami ogień sam zgasł. Drudzy pobiegli w głąb kopalni, do dalekich, jeszcze źle przewietrzonych komór — szukać potrzebujących pomocy.

Po sześciu godzinach ratownicy wracali do domu.

Lisicyn był w ponurym nastroju. Myślał o robotnikach, których wynieśli na noszach, i o tym, że nie wszyscy z nich pozostaną przy życiu. Myślał o Rambeau; o tym, że nie wolno było Francuzowi składać tyle siana w podziemnej stajni; a przewody elektryczne w kopalni — aż patrzeć przykro. I na pewno za to wszystko nawet nie będą sądzić Francuza. Wykupi się i wyjaśni, że nie mógł przewidzieć nieszczęścia.

„Przybył do nas — myślał Lisicyn — w pogoni za rublem. Ten staruszek w sztolni już nie oddychał. Dobry, na pewno, staruszek, taki jak Jegor Jegorycz. A mnie sądzili Bóg wie za co!

Gałaszczenko, Kierżakow i inni ratownicy również jechali w milczeniu. Każdy był pogrążony w niewesołych myślach.

Natychmiast po wejściu na korytarz Lisicyn zauważył, że drzwi jego pokoju są z jakiegoś powodu otwarte. Czyżby rano nie zamknął ich na klucz? I rzeczywiście: klucza w kieszeni nie było. To znaczy, że zapomniał drzwi zamknąć.

— Łaskawy panie! — krzyknął przestąpiwszy próg pokoju.

Nawet wrażenia z pożaru zbladły od razu. Ujrzał, że drzwi łączące obydwie pokoje były także otwarte na oścież, a tam, przy stole laboratoryjnym stoi rumianolicy Niemiec, agent firmy „Dreger”. Stoi, trzyma otwarty na pierwszych stronicach zeszyt z opisem procesu syntezy i czyta z chciwą ciekawością.

— Kto panu pozwolił, łaskawy panie?! — krzyknął Lisicyń i wyrwał zeszyt z rąk Niemca.

Niemiec, nie ruszając się z miejsca, rzekł:

— O-o! To pana praca? Nadzwyczajne!

— Jak pan dostał się tutaj? Kto panu pozwolił? To wstyd, łaskawy panie, to wstyd! — mówił Lisicyń głosem drżącym od gniewu i napierając piersią na nieproszonego gościa, wypychał go z laboratorium.

Ten jednak nie wychodził, tylko odsunął się nieco na bok i patrząc, bez zmruczenia powiek, swoimi jasnymi oczami, mówił przeciągając sylaby:

— Panie Poja-arkowi Gra-atuluję panu! Wspaniały wynalazek!

„Co za diabeł go tu przyniósł?”

— Wspaniały wynalazek — ciągnął Krumreich. — Jestem wdzięczny szczęśliwemu przypadek...

— Jak pan śmiał! — krzyknął znowu Lisicyń. — To wstyd! To nieuczciwie! Rozumie pan?

„Łotr!” — myślał z wściekłością.

„U Rosjan wszystko możliwe — myślał Niemiec. — Ten dzikus nie zdaje sobie sprawy z wartości swojej pracy. Herr Krumreich, znalazł pan dzisiaj skarb! Jest pan teraz bardzo, bardzo bogaty”.

Krumreich uśmiechnął się do swoich myśli.

Rzecz miała się następująco: rano, gdy został sam, długo nudził się w gabinecie Terentiewa. Potem postanowił przejść się po gmachu stacji i przyjrzeć się, jak wyglądają piękne aparaty ratownicze wyprodukowane w

zakładach firmy, w której pracuje. „Na pewno, pomyślał — obchodzą się z nimi tutaj po barbarzyńsku”.

Gdy Krumreich chodził po korytarzu i zaglądał do otwartych pokojów, zza drzwi apteczki to wysuwała się, to znów chowała twarz felczera. Makar Osipowicz spóźnił się dzisiaj i nie wyjechał razem z drużyną ratowniczą, a teraz uporczywie śledził Niemca. Dręczyła go po prostu chęć opowiedzenia przedstawicielowi firmy, że tutaj na stacji ratunkowej, w najgłębszej tajemnicy i w sposób najbardziej skryty, prowadzi się podstępą intrygę przeciwko firmie. „Ciekawe — myślał Makar Osipowicz — co zrobi Niemiec, gdy szepnę mu o tych tajemniczych sprawach?”

Nie mógł jednak zdecydować się na rozpoczęcie z nim rozmowy. Brakło mu odwagi. „A nuż Terentiew dowie się o tym w jakiś sposób!”

Ale podczas gdy Niemiec oglądał w pracowni pompę tlenową, Makar Osipowicz przekradł się obok niego i otworzył szeroko drzwi do pokoju Lisicyna. Już wcześniej zauważył, że klucz tkwi w zamku. Wbiegł do pierwszego pokoju i otworzył na oścież drzwi prowadzące do drugiego; chciał, ażeby laboratorium Pojarkowa było widać z korytarza! „A potem — pomyślał — zobaczymy”. Znowu przebiegł na palcach przez korytarz i skrył się w swojej apteczce.

Przewidywania felczera okazały się słuszne. Krumreich zauważył laboratorium i oczywiście wszedł tam.

„Samo niebo — pomyślał Niemiec — odkryło przedemną ten skarb. W Rosji wszystko jest możliwe”.

Tak też powiedział dotykając jednocześnie ręki Lisicyna:

— Samo niebo zetknęło nas ze sobą, panie Pojarkow. Zamiast gniewać się, powinien pan dziękować Bogu. Chce pan przejść do drugiego pokoju?... Proszę bardzo, bitte! Ja nie jest protestujący.

Krumrieich raz jeszcze obrzucił wzrokiem laboratorium i wreszcie wyszedł. Lisicyn szczelnie zamknął drzwi.

Nie zdążył jeszcze umyć się po powrocie z kopalni ani zdjąć przepojonej zapachem dymu brezentowej kurtki.

Nie czekając na zaproszenie Krumreich usiadł przy okrągłym stole. Swobodnie położył łokieć na wysokim oparciu krzesła i spojrzał na rudego, rosyjskiego sztygara w brudnym ubraniu. Ten zaś stał przed zamkniętymi drzwiami, założywszy do tyłu ręce z zaciśniętymi pięściami.

— Zrobię panu korzystny propozycja — rzekł Niemiec. — Kupimy pana wynalazek. — Twarz jego rozplynęła się w słodkim uśmiechu. — Wzbogaci się pan. Zapłacimy wiel * pieniądze. Tysiąc rubli. O... cały majątek!

— Wstrętny pasożyt! — krzyknął znowu Lisicyń. — Precz stąd! — i wskazał drzwi prowadzące na korytarz.

— Jak? — powtórzył Krumreich. — „Wstrętny pasożyt”? Nie zrozumiał. Pan zdaje się, nie zupełnie... nie zupełnie pojął istotę mojej propozycji, jej sens. Nie zupełnie, ja przekonany, że tak!

„Pan zrobił błąd, Herr Krumreich — pomyślał i skrzywił się w duchu. — Może nawet dwa błędy. Po pierwsze, nie należało czekać na powrót tego barbarzyńcy. Trzeba było zabrać zeszyt i schować go do swojej walizki. To przecież Rosja, tu nie trzeba się trzymać zasad etyki. Po drugie, trzeba było pamiętać, że dzikusy lubią koraliki i świecidełka. To nic, moja jasnowłosa Emmo; i tak wrócę bogaty jak Rotschild. Uśmiechniesz się i sama zaczniesz mówić o naszym ślubie”.

— Won, mówię! — krzyczał Lisicyń szarpiąc Niemca za ramię.

Krumreich odsunął jego rękę i niezmiuszony siedział dalej.

* *Viel* — (niem.) czytają: *fil* — dużo.

— Poczekaj pan — rzekł. — Treść rozmowy z panem... jak to u was się mówi... widłami na wodzie pisała. Pan nie zdał sobie sprawy, panie Pojarkow, o co chodzi.

Zamilkł na chwilę i, spojrzawszy nieruchomymi, lekko wylupiastymi oczami, wykrzyknął niemal z patosem:

— O, pan skromny pracownik, ale pan chce zostać prawdziwy uczony. A ja panu w tym pomóc!

Lisicyn nachmurzył się, a Niemiec ciągnął dalej:

— Synteza skrobi, cukru, proces przemysłowy — to bardzo, bardzo interesujące. Lecz to za mało, panie Pojarkow. Prawdziwy uczony — niech pan słucha uważnie, panie Pojarkow — powinien być uznany przez światową naukę. Dlaczego z panem teraz mówię? Dlatego, że moje serce — Krumreich pokazał palcem, gdzie ma serce — jest pełny szacunku dla niej, dla wspaniałej nauki, której ojczyzną jest nie Rosja, nie Anglia, nawet nie Niemcy, lecz cała kula ziemską!

„Dzikusom potrzebne są koraliki i świecidełka — pomyślał. — To nic, moja Emmo, twój Gottfried znajdzie odpowiednie słowa. Jakże ty się będziesz śmiała”.

— Musi pan bezwzględnie zrozumieć — mówił wstając z krzesła — że nie może mieć znaczenia, jak się nazywa... państwo, jak się nazywa... firma, która weźmie, na siebie wydatki i starania. To powinno być dla pana zupełnie obojętne, inaczej — pan nie jest uczony. Czy tak nie jest, panie Pojarkow? Pan chce, ażeby uznano i rozślawiono pana nazwisko — to się stanie, gdy tylko zawrzemy z panem umowę. Ja dam pana wynalazkowi... jak to powiedzieć... pożywny gleba, na której rozkwitnie na podobieństwo wspaniałych róż, o tak, właśnie róż! My z wami zusammen, to jest razem, złożymy ofiarę („Rosjanie lubią takie frazesy — pomyślał Krumreich. — Jak to pisze Dostojewski?”) — ofiarę na ołtarzu cywilizacji i ludzkości. Czym pan jest teraz? Teraz pan sztygar w niekulturalnej Rosji. A ja panu proponuję stać się sławnym wśród narodów, nawet wśród



wielki naród niemiecki. Mein Gott! Proponuję zaszczyty i bogactwo. Któż by odmówił, panie Pojarkow, prawda?

Krumreich spojrział na Lisicyna wzrokiem zwycięzcy. A ciemna od sadzy, zeszepecona gniewem twarz „rosyj-

skiego barbarzyńcy" powoli i bez słowa przybliżała się do niego. Przesiąknięta zapachem dymu ręka podniosła się powoli i wyciągnęła ku jego, Krumreicha, szyi.

Niemiec poczuł nagły strach. „Obłąkany — przemknęło mu przez myśl — jeszcze mnie zadusi”. Chciał się cofnąć o krok, lecz nie zdążył. Przesiąknięty ostrym zapachem dymu rękaw brudnej brezentowej kurtki otarł się o jego policzek, a silne palce chwyciły za kołnierz świetnie skrojonego, jeszcze w Hamburgu uszytego tu-żurka.

Lisycyn chwycił Niemca za kołnierz, szorstkim pchnięciem odwrócił go, powlókł z wściekłością przez pokój i wypchnął za drzwi na korytarz.

Z apteczki wyglądał felczer.

Najpierw Niemiec stał bez ruchu pośrodku korytarza po paru minutach, gdy strach zaczął ustępować, powlókł się do gabinetu Iwana Stiepanowicza.

„Dziki byk! Wściekły pies! — myślał. — Donnerwetter; a w zeszytach ma wszystko po kolei napisane. O, gdyby nie zjawił się tak nie w porę, byłbym wszystko przeczytał i zapamiętał. Albo trzeba było je po prostu zabrać i włożyć do walizki. Ach, mein Gott, co za pech!... To jest niezbity dowód, że z Rosjanami nie można postępować jak z rozsądnymi ludźmi. Źle się stało. Źle, bardzo źle. Nie poszczęściło się panu, panie Krumreich!”

Lisycyn zrzucił z siebie brudną odzież i trzęsącymi się jeszcze z gniewu rękami wziął gąbkę, mydło i zaczął się myć od stóp do głów. Chłód wody sprawiał mu przyjemność.

— Musicie bezwzględnie zrozumieć — powtarzał szeptem, marszcząc czoło i patrząc z ukosa na krzesło, na którym niedawno siedział Krumreich. — Zrozumieć, że za trzydzieści srebrników, czyż nie tak, panie Pojarkow?

Pod wpływem zimnej wody myśli stały się jaśniejsze.

„To nic. Niemiec odjedzie w swoją stronę i na tym koniec. Przepisać nie zdążył. Pewnie nawet nie zorientował się w całości. Inaczej nie byłby namawiał. Patrzcie go! Obojętne — jakie państwo, jaka firma!”

Lisicyń przypomniał sobie prace Mendelejewa, Butlerowa, Timiriazjewa — prace, bez których nie zdołałby dokonać swojego wynalazku. Przez myśl przemknął mu Petersburg. Przypomniała mu się cała ciężka droga, którą już przebył w ciągu dwunastu lat. Nie, pomyślał, nie dwunastu — bo cztery z nich to lata na katordze, jak nedorzeczny, straszny sen, jak wyrwane z książki stronice. Czy można jednak powiedzieć: wyrwane? Małomówny Łukianycz — ich prycze sąsiadowały ze sobą — który nie mógł znieść niesprawiedliwości i uderzył gubernatora — swojego dziedzica; gruzlik Mitka, który, pluąc krwią, dopomógł mu do zdjęcia kajdanów i ucieczki. Czyż o tych ludziach można kiedykolwiek zapomnieć? A Daria, a Osadczyj?

Lisicyń znowu ma przed oczyma Petersburg. Dziewięćset piąty rok, tłumy na ulicach, strajki, demonstracje. Czyż te tłumy uspokoiły się teraz? Gdzież tam, co to za uspokojenie — przycichły tylko do czasu. Ale czy w ogóle przycichły? Niedawno, gdy uciekał z katorgi, strajkowało trzysta tysięcy ludzi na znak protestu przeciwko rozstrzelaniu robotników nad Leną. I nie ustają: tu — rozruchy, tam — głosy protestu, tam znowu — strajk za strajkiem. Rosja jest jak przed burzą.

Teraz czuł, że dzień, w którym naród wygna z Rosji tę całą chciwą, nieczystą zgraję, nie może już być daleki. Zbyt dużo gniewu nazbierało się w sercach ludu. Przepędzi bogaczy, wielkich książąt, dostojników, strażników więziennych i cara. Lud widzi i dobrze rozumie, w czym tkwi zło. Tylko patrzeć, a powstanie pełen oburzenia... To nie będzie ślepy, szalejący żywioł. Tacy ludzie, jak Glebow i Osadczyj, zbierają teraz siły milionów i łączą gniew ludu, jego marzenia i dążenie do szczęścia w jeden potężny nurt. A czy Glebow i Osadczyj są osamot-

nieni? Nie, takich jak oni jest bardzo wielu; oni — to ci polityczni, których szczególnie boją się żandarmi. Mówi się o nich „partia”. „Co to za jedni — pomyślał Lisicyń — ci bolszewicy? Dlaczego »bolszewicy«? Co ta nazwa może oznaczać? Zresztą, to nieważne, co oznacza”. Ale, gdyby on, Lisicyń, wiedział, dokąd się udać, nie żałowałby swojej krwi w walce o Rosję bez cara, o kraj prostego, uczciwego ludu. O losy swojego wynalazku.

„Żeby choć szybciej otrzymać odpowiedź na listy. Trzeba by do Charkowa...”

Mydlana piana spływała z niego szerokimi białymi smugami. Nachylony nad muszlą umywalni, tarł gąbką ramiona i plecy, a pokryta pianą woda ściekała na podłogę i rozlewała się pod nogami.

„A-a, diabeł! — powtarzał wspominając niedawne zajście i nie mógł się uspokoić. — Za trzydzieści srebrników. Zrozumieć... Na podobieństwo wspaniałych róż...”

Chce — myślał o Krumreichu — ażeby po Niżnim Now-gorodzie, jak i dotąd, chodziła kobieta z głodnymi dziećmi i patrzyła cierpiącymi oczami; ażeby dochody, jakie da żywność syntetyczna, stały się własnością udziałowców jakiejś firmy; ażeby odkrycie Rosjanina przestało być rosyjskie.

Sztygar w niekulturalnym kraju...

Zobaczysz, wymiotą te wstrętne pasożyty — ukaże się prawdziwa Rosja. Zobaczysz... Zobaczysz, w czyich rękach będą wtedy moje przyrządy...”

— Jesteście u siebie, Władimir Michajłowicz? — zapytał zza drzwi Terentiew. — Myjcie się? Dzień dobry! Ależ myjcie się, ojczulku, i nie przeszkadzajcie sobie. Przyjdę później.

Wieczorem Lisicyń nie poszedł na kolację do Terentiewów, ażeby nie spotkać się tam z Krumreichem, i przez całe trzy dni aż do jego wyjazdu nie wychodził ze swego pokoju. Udawał chorego. Nieprzyjemna była dla niego nawet myśl o spotkaniu z Niemcem.

Wreszcie czarnobrody stajenny zaprzął do sań parę koni, podpasął się, wdział rękawice, zawadiacko zsunął czapkę na bakier i zawiózł Krumreicha na dworzec kolejowy.

Na stacji Niemiec dał mu kilka miedzianych monet, mówiąc przy tym:

— Daję pieniądze. Możesz za nie kupić, co zechcesz.

Stajenny gniewnie szarpnął lejcam i sanie z końmi szybko skryły się w zapadającym zmierzchu.

Krumreich został sam. Wówczas zza rogu budynku stacyjnego wysunął się i podszedł do niego felczer, skurczony, z posiniałym od zimna nosem. Makar Osipowicz przyszedł już dawno i zmarzł czekając na Niemca.

— Odprowadzić mnie, doktor? — rzekł Krumreich. — Zrozumieście to, co ja wam wyjaśniał? Bardzo dopsze. Widział, że człowiek europejska kultury... Gut!

Czekając na pociąg, przechadzali się po peronie. Niemiec, podniósłszy kołnierz dostatniego futra, kroczył powoli, z godnością. Makar Osipowicz dreptał obok niego, zamierał z zachwytu i usłużnie niósł żółtą, skórzaną walizkę.

— Jak to powiedzieć po rosyjsku? Aha: polegam, jak na kamienna mur — ciągnął dalej Niemiec. — Pan, doktor — przedstawiciel Europa, przedstawiciel światowej cywilizacji. A ja — zapamiętaj pan sobie! — o-o, ja także nie okaże się niewdzięcznym świń wobec pana.

— Mimo wszystko... — bełkotał felczer. — Tak jak w książkach, w zupełnej nienagannej solidarności...

Na ciemnym, niebieskawym od śniegu stepie pojawiły się światła parowozu; trójkąt świateł stawał się coraz jaśniejszy, większy, wyraźniejszy. Krumreich spojrzał na zbliżający się pociąg i wziął z rąk felczera swoją walizkę.

...Włosy Zinajdy Aleksandrowny były wysoko zaczesane. Na kark opadł kasztanowaty pukiel. Siedziała na okrągłym taborecie przy pianinie. Ręce jej to unosiły się,

to opadały; palce lekko przebiegały po klawiszach, a niewidzialne struny dźwięczały wzbudzającymi tęskne uczucie smutku akordami, równomiernymi jak morskimi przyplływ.

Z na wpeł przymkniętymi oczami Zinajda Aleksandrowna grała unosząc nieco od czasu do czasu ramiona i cicho, jak gdyby rozmawiając sama ze sobą, śpiewała:

W dalekiej, znoej Argentynie,
Gdzie niebo swym błękitem słyne...

— Wania — rzekła odwracając się nagle — smutno rai. Pojadę do Zoi, do Moskwy.

— No cóż, jedź — odrzekł Iwan Stiepanowicz po chwili namysłu. — Tylko poczekaj, Ziniusza, aż się ociepli.

Zinajda Aleksandrowna znowu gwałtownym ruchem odwróciła się i uderzyła palcami w klawisze. Tym razem zabrzmiał uroczyisty, stary polonez.

Lisycyn siedział w fotelu, słuchał muzyki i przyglądał się portretowi Zoi. W ogóle często patrzył na niego. Po chwili rzekł do Terentiewa:

— Wstrętny człowiek.

Iwan Stiepanowicz nie od razu zrozumiał, o kogo chodzi.

— O kim mówicie, ojczulku?

— No, ten Niemiec.

— A-a! No pewnie. Wejść do cudzego pokoju bez zapytania to zupełny brak taktu z jego strony. Spytałem go: „Czy macie w produkcji jakieś specjalne tajemnice?” A on powtarzał w kółko: „My — mówi — produkujemy pochłaniacze gwarantowane”. Gwarantowane! Rozumiecie, do czego zmierza? „W wypadku — mówi — gdyby zadusił się ktoś z waszej drużyny, mając w aparacie przez was zrobiony pochłaniacz...” Więc pomyślałem od razu: a nuż naprawdę ktoś się zadusi? Lepiej będziemy kupować u nich, w firmie „Dreger”. Tyle setek sztuk co miesiąc, oj-oj-oj!

Zinajda Aleksandrowa wstała od pianina, ziewnęła i podeszła do okna. Myśli jej biegły własnym torem.

— Wania — zapytała — Pietka nie jest synem Czeriepanowa?

Czeriepanow — to ten kulawy stajenny z czarną brodą — myślał Lisicyń poruszając brwiami — a Pietka to chłopiec, który codziennie biega po stajni, jak gdyby nie było dla dziecka innego miejsca; a raz nawet zabłądził do jego pokoju — prawdopodobnie z ciekawości.

— Pietka jest sierotą — odpowiedział Iwan Stiepanowicz. — Ojciec jego zginął w czasie wybuchu na kopalni Charitonowa.

— Na mnie już czas — rzekł Lisicyń i wstał spieszenie, przypominając sobie o laboratorium. — To mój dyżur przecież... Pięknie dziękuję, Zinajda Aleksandrowna!

Poszedł do siebie i zaczął ustawiać filtr oraz montować zrobione własnoręcznie lampy łukowe. „Trzeba — myślał — wypróbować aktywne ziarna, przygotowane w ubiegłym tygodniu i to już bez chlorofilu”.

Praca nad tymi ziarnami zajmowała dużo czasu.

Czasem wydawało mu się, że siły jego są na wyczerpaniu, że już za późno zapalać się do nowych badań. Trzeba tylko przędzej, nie zmieniając dawnych recept, dać pierwsze praktyczne wyniki swojej pracy. Ogarniało go przy tym zniecierpliwienie. Pragnął ujrzyć uruchomiony model, dotknąć go palcami i własnoręcznie wsytać do worka pierwsze pudy sztucznego cukru.

Jednakże nie miał na razie pieniędzy na skończenie modelu. A tymczasem przy stole laboratoryjnym nasuwały mu się coraz to inne myśli.

Dawno, jeszcze w czasie pierwszych doświadczeń, posługiwał się papką ze świeżych liści — po prostu napełniał nią filtr. Jegor Jegorycz przynosił wówczas nać warzywną. Następnie — kosztem wielu doświadczeń i długich rozmyślań — z liści otrzymał brązowe, zieleniejące w wodzie grudki; napełnione nimi filtry zaczęły znacznie lepiej działać „To było dawno — myślał teraz: Lisicyń.

— Boże, jakże dawno! Stopniowo, pracując po omacku, rok za rokiem wyprodukował z brązowych grudek trzy rodzaje aktywnych ziaren. Jeden rodzaj przemieniał się w filtrach tylko na glukozę, drugi — na cukier jadalny, trzeci — na skrobię. Było to w roku dziewięćset (zwar-
tym, a może... tak, w dziewięćset piątym. Właśnie wtedy w czasie spaceru był świadkiem, jak przed Pałacem Zimowym policja strzelała do bezbronnego tłumu demonstrantów. Właśnie wtedy każdy filtr, napełniony ziarnami, dawał pół złotnika, a w najlepszym wypadku --- złotnik cukru w ciągu dnia. Cukru względnie skrobi. Nadziei było jednak wówczas znacznie więcej niż otrzymywanych węglowodanów...”

Lisycyn przyniósł z drugiego pokoju koldrę, palto i obrus z okrągłego stołu i zaczął starannie zasłaniać okna, ażeby światło lamp łukowych nie zwróciło niczyjej uwagi. „Trzeba by pojechać do Charkowa, na pocztę” — przemknęło mu przez myśl. Potem spojrzął na filtr przygotowany do doświadczenia i znowu stanęły mu przed oczyma filtry z dawnego, petersburskiego laboratorium.

W ciągu tych dwóch lat — wspominał — które skończyły się wtargnięciem żandarmów i aresztowaniem go, udało mu się ulepszyć skład aktywnych ziaren.

Wówczas synteza przebiegała już szybciej. Jakże cieszył się wtedy każdym sukcesem! Podstawa wszystkich recept była ta sama: przygotowując ziarna używał zawsze tego samego naturalnego chlorofilu, tej samej papki z zielonych liści. Co prawda, trzeba jej było coraz mniej i odległe były już czasy, kiedy Jegor Jegorycz przynosił nać workami.

„Odległe czasy” — pomyślał Lisycyn przeciągając przez pokój przewód elektryczny.

Zeszłej zimy kupował kwiaty u sąsiadów Mariny Piet-rowny, aż wreszcie zgniewał się: „Dźwigasz jak wielbłąd. I ciągle jesteś niewolnikiem przyrody. Czyżby nie

można jej pokonać i wyrzucić nieszczęsne grudki chlorofilu?"

I oto teraz je wyrzucił. Już tutaj, na stacji ratunkowej. Wypróbował kilka nowych przepisów i wreszcie otrzymał aktywne ziarna prawie takie same, jak dawniej, ale utworzone wyłącznie z substancji nieorganicznych. Wszystkie produkty wyjściowe były pochodzenia nieorganicznego.

Teraz w stojącym przed nim szklanym filtrze nie było ani jednej cząsteczki rośliny, a pomimo tego proces zachodził tak samo, jak w żywym, zielonym liściu. Lisicyń z dumą spojrział na filtr. Włączył prąd i lampy łukowe rozbłysły oślepiającym światłem, każda wyglądała jak małe słońce, umieszczone na czarnych węglowych pałeczkach. Mrużąc oczy, zakrył lampy blaszankami, dziurkowanymi abażurami. Następnie przerzucił rzemyk przez rolki i zaczął ręcznie obracać abażury, ażeby na filtr padało migocące światło. Dawniej, w Petersburgu, abażury lamp obracały się za pomocą silnika elektrycznego.

Nowe ziarna nie były jeszcze należycie zbadane. Skrobia wytwarzała się w ich obecności jeszcze słabo, nie tak szybko, jak w obecności poprzednich. Za to cukier tworzył się doskonale. Lisicyńowi wydawało się, że mały model, który zbuduje z tego tu w skrzynkach złożonego szkła, da przy użyciu ziaren w nowym składzie — nie jak wypadało z wyliczeń — pięć pudów cukru na dobę, lecz nawet sześć lub siedem. Proces będzie przebiegał szybciej. „W każdym razie — myślał — nad nowymi ziarnami trzeba jeszcze popracować, nawet gdyby trzeba było z tego powodu odroczyć na miesiąc lub dwa budowę modelu. Oczywiście, że taka strata czasu nie jest bezcelowa”.

...Gałuszczenko rozmawiał z Kierżakowem o katastrofach w kopalniach.

— Jak się zacznie — mówił — to się zacznie. A jak nie ma, to nie ma.

Tak było i tej zimy. Skończyła się seria częstych alarmów i u schyłku zimy w stacji ratunkowej zapanował spokój.

Śnieg stopniał. Kierzakow wraz z innymi ratownikami długo przesiadywał na ganku. Czasem kałuże na podwórzu marszczyły się pod wpływem zimnego wiatru, częściej jednak iskrzyło się w nich słońce drobniutkimi, złotymi cętkami.

Wreszcie Terentiew mógł dać swojemu pomocnikowi trzydniowy urlop. Władimir Michajłowicz dawno już o to prosił, ciągle jednak stawały na przeszkodzie nieszczęśliwe wypadki w kopalniach. Teraz Lisicyn zamknął swoje pokoje na klucz i pojechał do Charkowa, by odebrać listy na poste restante.

Wyjazd nie udał się, a właściwie, ściślej mówiąc, wcale nie doszedł do skutku. Lisicyn dojechał tylko do stacji kolejowej. W dniu tym podobno wydarzyła się w pobliżu Rostowa katastrofa kolejowa. Lisicyn odesłał woźnicę z bryczką do domu, a sam uparcie siedział na peronie aż do późnego wieczora. Wreszcie zza drzwi budynku stacyjnego wyjrzał telegrafista i krzyknął, że pociąg będzie dopiero następnego dnia. Nie ma przecież sensu czekać tutaj całą dobę! Lisicyn uderzył się pięścią w kolano, podniósł się z ławki i pieszo poszedł z powrotem do osiedla górniczego. Było ciemno, a w stepie — grząskie błoto. Lisicyn żałował już, że wybrał taką drogę. Na pewno bez porównania lepiej byłoby iść po podkładach. Jednakże nie zawrócił już. Do domu dobrnął późną nocą.

Przekreślił klucz w zamku i wszedł do pierwszego pokoju. Spojrzał na nogi i spostrzegł, że nie ma kaloszy. Zostały pewnie gdzieś w stepie, wessane przez błoto. Wziął patyk i zaczął zeskrobywać z butów przyklepione grudy gliny.

Tymczasem za zamkniętymi drzwiami do drugiego pokoju coś cicho stuknęło. Lisicyn drgnął i podniósł głowę. Dało się słyszeć drugie stuknięcie, potem trzecie.

Rzucił patyk, wyprostował się i chciał pobiec, by zobaczyć, co się tam stało. Zdołał jednak uczynić zaledwie jeden krok, gdy w laboratorium rozległ się ogłuszający hałas. Słysząc było brzęk rozbitego szkła, trzask łamanych i spadających przedmiotów.

Z zamarłym sercem Lisicyń rzucił się naprzód i pchnął drzwi.

W laboratorium paliło się światło.

W oknie, obok stołu laboratoryjnego mignęła jakaś postać. Zeskoczyła z parapetu i w mgnieniu oka znikła. Przez chwilę tylko widać było opuszczone ramiona i zgarbione plecy skaczącego. Lisicyń nie mógł sobie potem przypomnieć, jak ten człowiek był ubrany.

Okazało się, że obydwie ramy okienne były siłą wyważone, a szyby rozbite na drobne kawałki. Na stojącym przed oknami szklanym filtrze widoczne były promieniście rozchodzące się pęknięcia — ślady jakiegoś strasznego uderzenia. Kilka probówek i naczyń Wagowych z aktywnymi ziarnami leżało na stole pogniecionych, widocznie podeptanych nogami. Na podłodze leżało połamane krzesło dębowe.

„Zeszyty!” — pomyślał Lisicyń i podbiegł do szuflady w stole.

Zeszyty, w których zapisane były recepty, doświadczenia z opisem procesu syntezy i wyliczenia urządzeń przemysłowych, leżały na dawnym miejscu.

Z rozbitego okna wiało chłodem.

Lisicyń podszedł do stojącego pod ścianą drugiego, ocalałego krzesła, usiadł na nim i bezradnie zwiesił ręce. Siedział tak, nie poruszając się, aż do rana.

Nad ranem Makar Osipowicz przekradł się przez korytarz i wrócił do swojej apteczki. Był z siebie zadowolony. „Tak jak w książkach” — myślał i przypominał sobie, że jego ulubiony bohater Nick Carter także bez żadnego trudu otwierał i zamykał wszelkie zamki, a gdy zastano go przy tajemniczej pracy w cudzym domu — (gdzie on o tym czytał, czy nie w „Wąwozie grozy”?) — ulotnił się w

równie tajemniczy sposób. Tak samo i on wybił krzesłem okno i wyskoczył, a prześladowca został jak głupi...

„Mimo wszystko... — myślał Makar Osipowicz. — He!”

A zeszyty — postanowił — jeżeli nawet na razie ich nie znalazł, można będzie odszukać je innym razem. Jego przenikliwości nie ujdą żadne zeszyty. On i Nick Carter. „Bez zarzutu — to jedno z zupełnym nienaganym sukcesem!”

Felczer zamknął drzwi na haczyk, z tryumfem wyszczerzył zęby i pogroził komuś palcem.

Dyżurni ratownicy słyszeli w nocy hałas w pokoju Pojarkowa.

— Wrócił pewnie pijany — rzekł któryś z nich.

— Nie — odpowiedział Kierżakow. — Upuścił coś. Szedł trzeźwy. On nie pije.

Następnego dnia Terentiew rozkładał bezradnie ręce. Nawiasem mówiąc, po raz pierwszy przekroczył wówczas próg laboratorium Lisicyna.

— Co za wypadek, ojczulku! — mówił i oglądał rozbite okno. — Cóż robić? Nie mam pojęcia!

W pierwszej chwili pomyślał: „A może to policja? Nie obejdzie się bez biedy. Będą nieprzyjemności”.

Okno naprawiono. Gdy Gałuszczenko dowiedział się o tym, co zaszło, pomyślał, że to była kradzież, i rzekł: „Złodziejaszki”. Tak uważali i inni. Długo rozmawiano na stacji ratunkowej o próbie okradzenia sztygara. Dopiero po upływie dwóch, trzech tygodni ogólna uwaga zwróciła się w innym kierunku. Na kopalni „Magdalena” do strzałowego Chochriakowa wrócił syn. Jeździł do stolicy, niby to szukać pracy jako ślusarz. Mówił, że nie znalazł. Niegłupi, widać, chłopiec. Opowiadał, jak to w Petersburgu na fabrykach robotnicy zażądali, ażeby pracować tylko po osiem godzin dziennie, a właściciele zwolnili od razu siedemdziesiąt tysięcy ludzi, aby robotnicy zrozumieli, na kogo się porywają.

Filtr w laboratorium Lisicyna był zupełnie zepsuty i nie było w czym wypróbować aktywnych ziaren. Początkowo Lisicyn wpadł w zupełne ośpienie. Potem, pod koniec kwietnia, znowu pojechał do Charkowa. Tym razem nic nie stało mu na przeszkodzie, ale pojechał na próżno. Na poczcie nie było listów dla okaziciela rubla numer TZ 800 775. Ze swoimi zeszytami nie rozstał się ani na chwilę i nawet w podróż zabrał je ze sobą. Po powrocie postanowił bezwzględnie, że zamiast dużej paczki zeszytów sporządzi jeden notes. Wpisze tam najważniejsze wyliczenia, recepty aktywnych ziaren i naszkicuje schematy urządzeń przemysłowych. Notes trzeba zawsze nosić przy sobie i nigdzie go nie zostawiać. To jasne przecież, po co zjawiał się w laboratorium złodziej. „Kłamiesz — myślał — duszo nieczysta”. Był przekonany, że włamywaczem był Niemiec, ten sam Krumreich, który udawał tylko, że wyjechał, a w rzeczywistości ukrywa się na pewno gdzieś w pobliżu i czeka na odpowiedni moment, ażeby zawładnąć wynalazkiem. „Krumreich — powtarzał w myśli Lisicyn i z każdym dniem utwierdzał się w tym przekonaniu. — Oprócz Niemca nikt o tym nie wie. Światowa nauka, mówisz? Kłamiesz!... A gdy sporządzę notes, zeszyty trzeba będzie spalić. Wtedy szukaj wiatru w polu!”

Mimo woli przychodził mu na myśl Glebow i Osadczyj. Ich droga jest także niełatwa. Ale oni na pewno widzą przed sobą tajemnicze szlaki, którymi zbliżają się nadciągające wydarzenia. Znajdą przypuszczalnie nawet terminy tych wydarzeń. Dlatego im musi być lżej niż jemu. Bo cóż on może zrobić? Musi tylko czekać, jak gdyby z zawiązanymi oczami, aż inni pchną koło historii i uturują drogę do szerokiego rozpowszechnienia jego wynalazku. Śmieszne! Jakżeż naiwna była wiara, że żywność syntetyczna stałaby się dostępna dla wszystkich, leżeli w Rosji nic się nie zmieni. Przecież to jasne, jak dwa razy dwa cztery, że synteza tylko wtedy może być własnością narodu, kiedy skończy się władza posia-

daczy. To jest jedyne rozwiązanie. Czy jednak wystarczy życia, ażeby się tego doczekać? Dziwne, dlaczego nie pomyślał o tym wtedy, kiedy widywał się z Osadczym? Żeby to móc spotkać kogoś takiego i zająć miejsce wśród nich, aby przyspieszyć... a tu to przekłete uczucie bezsilności!

„A listów nie ma. Co robić?”

Słońce przygrzewało, wysuszyło już kałużę na podwórzu. Kierżakow i Gałuszczenko usiedli w cieniu, na ceglach ułożonych pod płotem, i zapalili. W górę uniósł się dym machorki. Podszedł do nich rudy sztygar i nie wiadomo z jakiego powodu zaczął mówić szeptem:

— Bracia — rzekł — mam z wami do pomówienia, ale w ścisłej tajemnicy.

Gałuszczenko wstał, a Kierżakow siedział nadal.

— Jesteście obydwaj tutejsi? — zapytał sztygar. — Znacie pewnie wszystkich ludzi w kopalniach.

— Jak własną kieszeń — odpowiedział Nikanorycz i z pełnym szacunku uśmiechem pochylił głowę.

— Zwracam się do was nie służbowo, lecz po prostu jak człowiek — wyszeptał Lisicyń czerwieniąc się nie wiadomo czemu. — Mam do was zaufanie. Wy także możecie mi zaufać. Cała rozmowa pozostanie między nami. Czy nie znacie w kopalniach kogoś — szept jego stał się jeszcze cichszy — z tych... rewolucjonistów... no, z partii?

Nastąpiła niemiła cisza. Nikanorycz patrzył ze zdziwieniem i jak gdyby z gniewem. Jakoś obwisły mu wąsy.

Kierżakow spojrział drwiąco, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

— No cóż, bracia, nie znacie? — pytał Lisicyń.

Gałuszczenko pokręcił przecząco głową, a Kierżakow, któremu przyszedł na myśl syn Chochriakowa, strzałowego z „Magdaleny”, kółko górników zbierających się u niego od czasu do czasu i wieści o nadchodzącym święcie pierwszego maja, rzekł nie spuszczając drwiącego wzroku z tego „dziwaka Pojarkowa”:

— Ech, panie sztygarze, po roku dziewięćset piątym — jedni poszli na Sybir, a drudzy — na szubienicę.

A w duchu pomyślał: „Figa z makiem! Akurat powiem ci o synu strzałowego!”

— Szkoda, wielka szkoda — szepnął sztygar ze smutkiem. — Pozostaje prosić was o jedno: niech o tej rozmowie nikt... tylko między nami! Proszę was! Proszę jak człowiek. Sami też zapomnijcie.

— Cóż wy, panie! Czy my nie ludzie?

*

* *

W osiedlu przy kopalni rozwinęły się liście akacji. Zazielenił się ogród przy mieszkaniu Terentiewów.

Przyszedł list od Zoi, w którym zapraszała Zinajdę Aleksandrownę do siebie, do Moskwy. Zinajda Aleksandrowna śpiesznie zabrała się do układania w walizce sukien.

— U nas — mówiła do męża — wszystko jest na opak, wszyscy wyjeżdżają do miasta w zimie na sezon teatralny, a my...

...Pietka Szapowałow, siostrzeniec stajennego Czeriepanowa, wylazł razem ze swoimi bosonogimi przyjaciółmi na dach stajni.

— Tfu, przekłete — krzyknął do nich Gałuszczenko wynocha stamtąd!

Przechodzący obok sztygar obrzucił chłopców przelotnym spojrzeniem. „Twarz ma — pomyślał spojrzawszy na Pietkę — obsypaną piegami jak obarzanek makiem.

Oczy bystre”.

Lisicyń był zafrasowany swoimi sprawami i zaraz zapomniał o chłopcach.

Zamówił u ślusarza płaski, blaszany futerał, ażeby no-tes nie zmiął się w kieszeni, a przede wszystkim nie zamoczył się i nie zniszczył w akcji ratowniczej podczas pożarów kopalń. Futerał powinien zamykać się bar-

dzo szczelnie na gumowej podkładce. Wieko będzie zalano parafiną.

„Wszystko, co potrzebne — myślał Lisicyń — jest już przepisane. Czas zniszczyć zeszyty. Dlaczego ślusarz nie przyniósł jeszcze futerału? A nuż zawezwą do kopalni?

Tak jak wtedy. Nie można zostawić notesu w laboratorium”.

Przypomniawszy sobie niedawną rozmowę z Terentiewem.

--- Nie radzę panu — rzekł Terentiew — wstawiać do okien żelaznych krat. Wzbudzi to podejrzenia wśród otoczenia. Lepiej tego nie robić.

Lisicyń uprzednio sam zagadnął Iwana Siepanowicza o te kraty.

„Jakich podejrzeń się boi?” — zdziwił się teraz.

Filtr był zupełnie zepsuty. Przy próbie sklejenia go rozsypał się na kawałki, które trzeba było wyrzucić. Pozostał tylko szkic w notesie. Cały notes wypełnił się teraz małymi, dokładnymi rysunkami oraz wzorami i tekstem pisanym drobnym, czarnym piórem.

„W najbliższych dniach — myślał Lisicyń — trzeba pojechać do jakiegoś miasta, chociażby do Kazania, i zamówić nowy filtr — za pieniądze odłożone na budowę modelu. Albo do Kijowa, tam też mogą zrobić.

Żebym mógł tylko dostać w ręce tego przeklętego Niemca!”

...Wieczorem walizki już były spakowane i Zinajda Aleksandrowna w pośpiechu jadła kolację. Na podwórzu woźnica zaprzęgał do powozu parę dobrze utrzymanych gniadych koni.

— Ziniusza, nie zapomnij pledu — mówił Iwan Stepanowicz. — Zaraz po przyjeździe do Moskwy zdepeszuj.

Zinajda Aleksandrowna obrzuciła pokój roztargnionym spojrzeniem.

— Dlaczego nie ma Władimira Michajłowicza?

Kucharka pobiegła i poprosiła go, mówiąc, że pani wyjeżdża i chce się z nim pożegnać.

Lisycyn przyszedł, życzył szczęśliwej drogi i wesołego pobytu w Moskwie. Mówił uprzejme słowa, a w myślach widział palenisko, w którym dopiero co spłonęły jego zeszyty. Od czasu do czasu, ledwo dostrzegalnym ruchem dotykał kieszeni, w której leżał metalowy futerał. Ślusarz wykonał go jak należy.

— Oddam Zoi pozdrowienia od pana. — Uśmiechnęła się na pożegnanie Zinajda Aleksandrowna. — Ja wszystko widzę i rozumiem! — kokieteryjnie pogroziła mu paluszkami.

Nastało lato. Iwan Stiepanowicz, nudząc się bez żony, pojechał gdzieś na ryby. Gdy wrócił, zaczął kaszleć i skarżył się na ból w boku.

Lisycyn musiał odłożyć wyjazd do Kijowa i dyżurować bez przerwy za siebie i za Terentiewa.

Pewnej soboty, koło południa, przygalopował na stację ratunkową konny posłaniec z wiadomością, że na kopalni księcia Kuguszewa zauważono dym w głównym chodniku.

Okazało się, że nie było to nic poważnego. Lisycyn z drużyną zjechał w głąb kopalni, ale dymu nie było. Wyjaśniło się, że paliły się pakuły w żelaznej skrzyni koło podziemnych pomp. Spaliły się i ogień sam wygasł. Za to w biurze kopalni Lisycyn spotkał bardzo niemiłych dla siebie ludzi.

Po pierwsze był tam Rambeau — przyjechał w jakiejś prawie z Rosyjsko-belgijskiej kopalni. A po drugie — „znowu jest ten przekłety — pomyślał Lisycyn — na pewno z Charkowa, z Rady Związku”. Przy stole, podparty łokciami, siedział Zawiałow. Zupełnie taki sam, jak niegdyś: z czarnymi bokobrodami, w binoklach, których sprężyna sterczała nad nosem.

— Ba! — rzekł Zawiałow, szeroko otworzył usta i wymiał wargi. — Władimir Michajłowicz?

Lisycyn skulił się i popatrzył: na prawo — Rambeau, na lewo — inżynier z kopalni księcia Kuguszewa, w drzwiach stoi Gałuszczenko — wszyscy znają go jako Władimira Michajłowicza Pojarkowa.

- To prawda — rzekł wówczas — nazywam się Władimir Michajłowicz, lecz pana, proszę wybaczyć, nie mam zaszczytu...

— Nieładnie! Nieładnie — rzekł Zawiałow kręcąc z wyrzutem głową. — Starych przyjaciół... Władimir Michajłowicz, jestem przecież Zawiałow. Boże, razem w Akademii Górniczej... Czyżby pan zapomniał?

— Nie mam zaszczytu — upierał się Lisycyn. — A w Akademii Górniczej nie studiowałem. W ogóle nie byłem w Petersburgu.

Gałuszczenko stał na progu i słuchał mrużąc oczy. „Patrz, co ten nasz sztygar...” — myślał. Lisycyn obejrzał się, napotkał jego spojrzenie, poczerwieniał i przypomniał sobie, że sam opowiadał ratownikom o Petersburgu. Znowu odwrócił się do Zawiałowa, który ściągnął usta i spoglądał jak sędzia śledczy.

— Wziął mnie pan za kogo innego, łaskawy panie — rzekł Lisycyn i poczuł, że nie panuje nad sobą i czerwieni się jeszcze silniej. — Gorąco dzisiaj! — zaczął ocierać chustką spocone czoło. „Trzeba coś o nazwisku” — pomyślał i rzekł znowu: — Może pomylił mnie pan z jakimś innym Pojarkowem? Zdarzają się podobieństwa.

— A kto to jest — Pojarkow?

— No, ja przecież — Władimir Michajłowicz Pojarkow.

— Pan był Lisycyn! — krzyknął Zawiałow. — Śmieszne, daję słowo, śmieszne! — Spojrzał na Rambeau, jak gdyby wzywając go na świadka. Zrobił efektowny ruch ręką: — Studiowaliśmy razem, a teraz człowiek ten zapiera się sam siebie. Przypominam sobie, że i w Char-kowie kiedyś koło dworca...

— A, niech pana! — burknął Lisicyń ze złością. — Głupstwa pan plecie! — i odwrócił się bez pożegnania: — Chodźmy, Gałuszczenko, nie mamy czasu.

Po drodze, gdy wracali na stację ratunkową, Nikanorycz w zamyśleniu szarpał wąsy, spoglądał na sztygara i zdawało się, że chce coś powiedzieć. „A może trzeba do Chochriakowa tam, na »Magdalenie«...” — rozważał w myślach. Nic jednak nie powiedział i całą drogę przebyli w myślach. Nic jednak nie powiedział i całą drogę przebyli w milczeniu.

Powietrze stepowe przesycone było zapachem piołunu; bzykały koniki polne. Jaszczurki wygrzewały się na „Diabli go nadali! — myślał Lisicyń. — Znowu szukaj nowego miejsca. Teraz już koniec z kopalnią. Na nowo do Petersburga. Odszukać Glebowa. Glebow nauczy, poradzi. Albo Osadczyj. Bezwzględnie trzeba ich odszukać. Być tam, gdzie oni. Robić to, co oni. Przyspieszyć, przyspieszyć jak najbardziej bieg wydarzeń!”

Wychylił się z furgonu i patrzył na umykającą sprzed oczu wieżę szybową i na hałdy. Wyobraził sobie, że za tymi hałdami stoi murowany gmach, a w nim — czarne bokobrody, binokle, wargi, które wysuwają się, zaciska-ją i bez przerwy stroją różne miny.

„Diabli go nadali...”

Lisicyń dotknął kieszeni: futerał jest. „Jak to brzmi po łacinie? — pomyślał. — Wszystko, co posiadam, noszę ze sobą — »omnia mea mecum porto«”.

Terentiewowi nie opowiedział na razie o spotkaniu z Zawiałowem. A wieczorem chodził tam i z powrotem po swoich pokojach i odtwarzał w pamięci niedawne wydarzenia: najpierw — Niemiec, potem — ten włamywacz. A nuż ten włamywacz — to nie Niemiec, tylko szpicel policyjny? Teraz jeszcze zjawiał się Zawiałow — najgorszy ze wszystkich szpicli.

„Zanim się połapiecie, już mnie tu nie będzie!”

„Te skrzynie — myślał — trzeba wysłać bagażem na przechowanie. Wcześniej rano zbudzić Czeriepanowa

, niech zaprzęgnie konie i odwiezie na dworzec. Z Terentiewem — myślał — można pomówić w ostatniej chwili. Słoiki, aktywne ziarna — spakować i także wysłać bagażem. Dobrze, że są pieniądze na bilet. Kolby i tanie naczynia — te wszystkie graty niech zostaną tutaj”.

— Pakuj — mówił szeptem do siebie. Zdjął marynarkę i z zakasanyimi rękawami miotał się po laboratorium. — To tutaj, tutaj... wiórami, papierem. Kolby — pod stół. Tłucz, rozbijaj, wszystko jedno. Gdzie wieko od skrzynki?

Serce miał ciężkie i pełne trwogi. Nastąpiła noc, za oknami było ciemno. Wokoło cisza. Nie słychać żadnych kroków ani głosów ludzkich. Jak gdyby tylko on jeden na świecie był żywy i prawdziwy, zupełnie tak samo, jak wydawało się kiedyś maleńkiemu, pięcioletniemu Wowce.

Lisycyn położył na podłodze wieko skrzyni i stał pośrodku pokoju. Wydawało mu się teraz, że jakaś nieodwracalna groźba zawisała nad nim, że w ciszy czai się coś straszego, co lada chwila zwali się na niego.

„A jeżeli nie zdążę wyjechać?”

Katorga, więzienie — pomyślał — przepadnie praca całego życia i nie dotrze do ludzi wędrujących z torbami.. Nawet nie przyśnią się nikomu zwały lśniącej białą skrobi i śnieżnobiałego cukru syntetycznego, które już niedługo, za dwa, trzy lata stałyby się nie marzeniem, lecz rzeczywistością! Na marne, wszystko pójdzie na marne!

„Nie wolno, żebym tylko ja jeden wiedział o tym. Jakże można? Nie wolno, żeby tylko notatnik w futerales... Trzeba bezwarunkowo powiedzieć komuś, przekazać wynalazek, recepty, rysunki. Ale komu, o Boże, kto weźmie na swe barki ciężar odpowiedzialności za to, ażeby uczciwie... uczciwie... prostemu rosyjskiemu ludowi?”

Myśli gnały jedna za drugą!

„Trzeba było wcześniej... Cóż ja zrobiłem!”

Postanowił, że pojedzie jutro nie do Petersburga, lecz do Moskwy. Żyje przecież Kliment Arkadiewicz Timiriazjew. Terentiew niedawno opowiadał, że dwa lata temu stu profesorów i wykładowców moskiewskiego uniwersytetu podało się do dymisji na znak protestu politycznego. Również Kliment Arkadiewicz zerwał wówczas z uniwersytetem.

„Chory starzec — myślał Lisicyn o Timiriazjewie. — Ale na pewno ma uczniów, przyjaciół, następców. Na pewno utrzymuje kontakt z tymi, którzy przygotowują przyszłą rewolucję.

Właśnie jemu, Klimentowi Arkadiewiczowi, w jego ręce! Glebow także nie doradziłby inaczej”.

Lisicyn podszedł do okna i zaczął zasłaniać je kocem.

Ciągle mu się wydawało, że z ciemności podwórza ktoś go śledzi i obserwuje. Zahaczając brzeg koca o gwóźdź, zauważył wysuwający się znad płotu rąbek krzywego, ubywającego księżyca. Księżyc był pomarańczowy, niemal czerwony.

„A nuż nie dojadę do Klimenta Arkadiewicza, może coś mi się wydarzy, zaaresztują mnie w drodze?”

Szybkimi krokami chodził z kąta w kąt, zatrzymywał się i nasłuchiwał. Dało się słyszeć rzenie konia w stajni. Potem cisza stała się jeszcze głębsza, jeszcze bardziej niepokojąca.

„Za cztery godziny pojedę — pomyślał Lisicyn. — Wtedy obudzę Terentiewa i uprzedzę go. W sam czas dążę do porannego pociągu. A tymczasem trzeba napisać list do Timiriazjewa, opowiedzieć w nim krótko to, co najważniejsze, wyjaśnić, na czym polega wynalazek, jakie robiłem doświadczenia, podać dwie, trzy najważniejsze recepty. List trzeba wrzucić do skrzynki jeszcze teraz, w nocy”. Jeżeli on sam, Lisicyn, z jakiegoś powodu nie dojedzie, to niech chociaż list ten dotrze do Klimenta Arkadiewicza.

„Wielce Szanowny i Czcigodny Kliment Arkadiewicz! — zaczął nierównym pismem, rozpryskując w pośpiechu atrament. — Piszę do Was człowiek, który całe życie poświęcił badaniu procesów zachodzących w liściach roślin. Osiągnąłem wiele. Odtworzyłem syntezę węglowodanów z samych substancji nieorganicznych. Opracowałem sposób wykonania syntezy sacharozy i skrobi w skali przemysłowej. Produkty te można otrzymać sztucznie w dużej ilości i po niskiej cenie.

Moje odkrycie pragnę przekazać nie pojedynczym bogaczom-wyzyskiwaczom, lecz całemu narodowi rosyjskiemu, wszystkim prostym, biednym ludziom. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić. Lecz zrobić to trzeba bezwzględnie. Czy klucz do rozwiązania tego zagadnienia nie leży przypadkiem w powtórzeniu wypadków z dziewięćset piątego roku?

Jestem prześladowany, Kliment Arkadiewicz. Jedno laboratorium musiałem zniszczyć i długo przebywałem na katordze. Potem ratując się, zniszczyłem drugie, a gdy pół godziny temu znowu okazało się, że muszę się ukrywać — zniszczyłem trzecie. Nie mam nawet możliwości przechowywania dzienników doświadczeń. Zastępuje mi je teraz mały notes, który stale noszę przy sobie. Ażeby wyszedł cało z każdej opresji, noszę go w szczelnym metalowym futerale.

Pragnę dostać się do Moskwy, marzę o rozmowie z Panem. Na wszelki wypadek, gdyby mi się to nie udało — a może się zdarzyć, że razem z moim notesem znajdę się w więzieniu — w pośpiechu piszę do Pana ten list. Istota moich doświadczeń sprowadza się do następujących momentów..."

Lisycyn podniósł głowę i wyciągnięta do kałamarza ręka nieruchomo zawisała nad stołem.

Ciszę przerwał jakiś odgłos, jak gdyby dalekie trząśnięcie drzwi. Dał się słyszeć jak gdyby czyjś krzyk. A oto już wyraźnie głośno, szybko po sobie następują uderze-

nia dzwonu. Ktoś wali pięścią w drzwi i rozlega się wzburzony głos Kierzakowa:

— Niech pan wstaje, panie sztygarze! Niech pan wstaje! Na „Świętym Andrzeju” zginęła cała zmiana! Wybuch! Niech pan się zbudzi nareszcie! Niech pan się zbudzi, mówię!

Lisycyn wybiegł z laboratorium i zatrzymał się pośrodku drugiego pokoju. Początkowo milczał i nie odzywał się.

„Jechać z nimi — myślał — czy powiedzieć, że jestem (hory? Może jednak jechać? Życie ludzkie... Dziesiątki ofiar... Wstyd! Niech się dzieje, co chce!”

Chwycił, będący zawsze w pogotowiu, worek z brezentowym ubraniem, gwałtownym pchnięciem otworzył drzwi, zamknął je za sobą i razem z Kierzakowem pobiegł przez korytarz.

— Gałuszczenko, sprawdź lampy — wydawał pośpieszne polecenia. — Tych, w których akumulatory nie są naładowane, nie brać! Więcej butli...

Furgon, turkoczając i podskakując na kamieniach, potoczył się drogą. Lisycyn myślał tylko o starych wyrobiskach „Świętego Andrzeja”, o tym, że jest w nich Bóg wie ile gazu kopalnianego, że jeżeli będą działać szybko, to mogą uratować jeszcze wielu górników, i wreszcie o tym, że w ogóle przestępstwem jest zmuszać ludzi do pracy przy wydobywaniu węgla w takich zaniedbanych kopalniach, jak „Święty Andrzej”.

— Jazda — krzyknął na woźnicę — jak najprędzej! Woźnica trzasnął z bicia — konie zerwały się i pomknęły galopem. Księżyc, przypominający obgryzione jabłko, świecił mdłym blaskiem.

Przesuwające się wzdłuż drogi i pozostające w tyle domy rzucały gęste czarne cienie.

Wczesnym rankiem szedł przez step człowiek w marynarce eleganckiego materiału i okrągłym kapeluszu. Przez ramię miał przewieszoną jesionkę. W drugiej ręce niósł żółtą skórzaną walizkę.

Słońce stało nisko nad horyzontem. Gdzieś srebrzyste pasma mgły snuły się jeszcze po stepie. Buty idącego były mokre od rosy.

Miarowymi, dużymi krokami zbliżał się do osiedla. Szybko przeszedł przez ulice i wszedł na podwórze stacji ratunkowej.

„Teraz — myślał — naprawi pan swój błąd, Herr Krum-reich. Poprzednim razem był pan trochę lekko-myślny...”

W drzwiach stajni siedział brodaty stajenny i dziewięcioletni chłopczyk o twarzy obsypanej piegami. Jedli śniadanie: czarny chleb, popijany kwasem.

— Pan do kogo? — zapytał stajenny z takim wyrazem twarzy, jak gdyby nie poznał Niemca.

— Do pana Iwana Stiepanowicza Terentiewa.

— Chorzy są — rzekł Czeriepanow i dodał po chwili: — Jakieś pół godziny temu albo więcej pojechali na kopalnię. Na „Świętego Andrzeja”.

I przechylając ostrożnie gliniany dzban, stajenny zaczął nalewać kwas do blaszanego kubka. Wtem zauważył, że Niemiec mimo wszystko idzie w kierunku ganku, i krzyknął:

— Nie ma tam nikogo, nie ma!

W tej chwili otworzyło się jedno z okien i wysunął się z niego, podobny do kaczego dzioba, nos Makara Osipowicza. Okazało się, że felczer był w swojej apteczce.

— Doktor! — rzekł Krumreich głośno.

Felczer porozumiewawczo kiwnął głową i zamknął okno.

Już kilkakrotnie zdarzyło się, że Makar Osipowicz, usłyszawszy o poważnym wypadku w kopalni i oczekującej go ciężkiej i niebezpiecznej pracy, chował się w czasie alarmu i nie wyjeżdżał razem z ratownikami. Tak też było i tym razem. Nie chciało mu się jechać w nocy na „Świętego Andrzeja”. Obejdzie się i bez niego — myślał — byleby tylko nie wpaść w ręce Terentiewa, kiedy jest zły. Można przecież powiedzieć, że zasnął, i na tym koniec.

Krumreich czekał na felczera długo, siedząc na gan-ku. Dopiero po upływie mniej więcej pół godziny Makar Osipowicz brzęknął zasuwką, zamknął za sobą drzwi do pokoju Lisicyna, oglądając się przeszedł przez korytarz, wyszczerzył zęby w uśmiechu, pomyślał: „Nick Carter! Ha!” i wyrzwał na podwórze.

— Proszę — rzekł — szczerym sercem na serdeczną pogawędkę.

W apteczce Makar Osipowicz wyjął z zanadrza jakiś papier. Krumreich przeczytał:

„Jestem prześladowany, Kliment Arkadiewicz... Nie mam nawet możliwości przechowywania dzienników doświadczeń. Zastępuje mi je teraz mały notes, który stale noszę przy sobie. Ażeby wyszedł cało z każdej opresji, noszę go w szczelnym, metalowym futerale...”

„Rosyjski barbarzyńca!” — pomyślał Krumreich.

Minęło już południe. Tłumy otaczały nadszybie „Świętego Andrzeja”. Dziwne i niesamowite wydawało się, że tłum stoi w zupełnym milczeniu. Przymknawszy oczy, można było sobie z łatwością wyobrazić, że wokoło nie ma żywej duszy, a na pustym placu przed budynkiem tylko wiatr pędzi gorący kurz.

Setki ludzi stało w milczeniu. Słońce paliło, a oni stali ze spuszczoneymi głowami. Ktoś westchnął głośno. Przeciągłym jękiem rozległo się i ucichło kobiece łkanie. I znowu zapanowała cisza.

— Nie ma? — zapytał starzec w wypłowiałej, brunatnej koszuli, zaglądając przez bramę.

— Nie ma — odpowiedział basem ktoś zza bramy.

Jak szelest liści, przez tłum przeleciały westchnienia.

Na nocnej zmianie pracowało około czterdziestu górników. Nastąpił wybuch i nikt nie wyszedł spod ziemi. Potem przyjechała drużyna ratownicza. Z nadzieją oczekiwano jej powrotu z kopalni. Każdy, kto miał w nocnej zmianie kogoś bliskiego, myślał o swoim bracie, ojcu czy mężu: „Mojego uratują”. Minęła jednak godzina,

potem druga, przeszło pięć godzin, dziesięć, a ratownicy spod ziemi nie wracali.

Terentiew, ściskając rękami skronie, siedział w biurze kopalni. Nie tylko on jeden, wszyscy w biurze wiedzieli, że każdy ratownik ma ze sobą zapas tlenu najwyżej na dwie godziny, a od czasu jak zjechali, minęło już dziesięć... nie, Terentiew spojrzął na zegarek, już jedenaście godzin.

Uderzył pięścią w stół, zerwał się z krzesła i krzyknął:

— Na stacji są jeszcze trzy aparaty! Przywiozę je i sam pójde! Dajcie mi dwóch ochotników do pomocy. Było, nie było.

Obok niego stał siwy, przystojny człowiek w białym kitlu u mundurowej czapce.

— Daj pan spokój, Iwan Stiepanowicz — powiedział. Był to inżynier okręgowy, wyższy urzędnik nadzoru górniczego. Poprzedniej nocy przypadkowo znajdował się na sąsiedniej kopalni, a rano, gdy dowiedział się o wybuchu, przyjechał tutaj.

Nie trać pan głowy, Iwan Stiepanowicz — rzekł kładąc mu na ramieniu rękę ze zniekształconymi przez artretyzm palcami, ozdobioną złotą obrączką. — Chodźmy — rzekł po namyśle. — Jeszcze raz się zapytamy.

Chodźmy, jeżeli pan chce.

Wyszli obydwaj: najpierw — Terentiew, a za nim siwy urzędnik.

Na dolnej platformie nadszybia, skąd jak czarna studnia prowadził w głąb ziemi otwór szybu, siedzieli w milczeniu starzy, doświadczeni górnicy wsłuchując się w odgłosy dochodzące spod ziemi.

— Co nowego, ojcowie? — zapytał dziarsko inżynier okręgowy.

Jeden z górników podniósł się.

— Wybuchy — rzekł cicho. — Trzeba przypuszczać, że następują nowe obsunięcia... Tyle ludzi, wasza

dostojność, za nic... Do takiego stanu doprowadzili kopalnię!

W tym momencie w szybie znowu rozległ się ciężki huk.

— Słyszysz pan? — rzekł do Terentiewa inżynier okręgowy wskazując na widniejący pośrodku kamiennej podłogi czworokątny otwór, otoczony dębowymi słupami. — A pan by chciał!... — Zbliżył się do górników, zdjął czapkę i przeżegnał się: — A więc, bracia — rzekł patrząc surowo — wola Boska! A sami wiecie, że szemrać przeciwko Bogu to grzech.

Iwan Stiepanowicz wrócił do biura. Wkrótce usłyszał tam rozmowę:

— O-o, jak będę wam wdzięczny!

— Tak, zauważyłem... Pojarkow włożył do kieszeni... Właśnie tak, jak pan określił: coś w rodzaju papierośnicy. Taką dużą papierośnicę. Kieszeń zapiął na agrafkę, a na wierzch włożył brezentową kurtkę i aparat ratowniczy. Tak zjechał do kopalni.

— O-o — jęczał ktoś — mein Gott, jaki straszny nieszczęście!

Mowa o nierosyjskim akcencie wydawała się Terentiewowi znajomą. Obejrzał się i ujrzał — Krumreicha. Agent firmy „Dreger” rozmawiał z technikiem Kowalowem. Kowalow opowiadał ze szczegółami o Władimirze Michajłowiczu, którego widział bezpośrednio przed zjazdem do kopalni.

„Co robić? — zapytywał się w duchu Terentiew. — Skądże znowu wziął się tu Krumreich? Ojczulku mój, co robić, co robić?”

— Panowie! — rzekł w sąsiednim pokoju kierownik kopalni. — Całkiem źle. W wylocie wentylatora ukazał się dym. Nie wiem, czy to węgiel się pali, czy obudowa.

Terentiew poczuł, że jest chory. Pragnął położyć się do łóżka, okryć kołdrą i o niczym nie myśleć. Wstał jednak i podszedł do drzwi.

Inżynier okręgowy rozmawiał szeptem z kierownikiem kopalni. W szepcie ich powtarzały się słowa: „niekorzystnie”, „Towarzystwo Ubezpieczeniowe”, „zapasy węgla na pół roku”.

Inżynier okręgowy położył rękę na stole, błysnął obrączką i powiedział głośno i dobitnie:

— Każcie zamknąć szyby i wyjścia. Będziemy uważać, że kopalnia nie istnieje. Koniec z kopalnią! — Popatrzył na Terentiewa z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Zmarszczki pod jego oczami poruszyły się. — To nic, Iwan Stiepanowicz — rzekł. — Najważniejsze — nie poddawać się. To byłby już z pana strony grzech. Mało to już widział pan w swoim życiu...

Ale Terentiew stał oparty o ścianę, a przed nim, jak na jawie, jak żywe przesuwały się przeróżne twarze: i kpiąca twarz czarnookiego Kierżakowa, poważna twarz

Gałuszczenki ze wspaniałymi wąsami. Majaczył mu się Władimir Michajłowicz zapatrzonej gdzieś w dal i z roztargnieniem gładzący palcami swoje rude włosy.

ROZDZIAŁ V

PIĘTKA S Z A P O W A Ł O W

Po upływie tygodnia „na „Świętym Andrzeju” znowu zebrały się tłumy ludzi. Szli zewsząd: i z „Magdaleny”, i z „Rosyjsko-belgijskiej”. Cały step zaroił się ludźmi. Gdy przybiegł tam Pietka, a do „Świętego Andrzeja” było cztery wiorsty, do budynku nadszybia nie można było się przepchać. Wylazł więc na pierwszy lepszy dom. Z dachu ujrzał, jak pop i diakon przywdzieli czarne aksamitne,

obsypane złotymi krzyżykami dalmatyki i zaczęli śpiewać nad zamkniętą kopalnią żalonymi głosami:

— Święty Bo-że... Świę-ęty mo-cny...

Ktoś wśród tłumu także zaczął śpiewać. „Odprawiają nabożeństwo żałobne” — pomyślał Pietka. Inni pochlipywali, zawodzili, płakali. A wujek Czeriepanow — chłopiec dopiero teraz go zobaczył — przyszedł pijany, stał na skraju placu i kłął brzydko.

Żelazny dach rozgrzał się od słońca i parzył jak gorąca patelnia. Pietka siedział na nim sam jeden i z żalem spoglądał na Daniłkę Zacharczenkę i Waškę Tancjurę. Stali na samym przodzie, tuż obok diakona, który wymachiwał kadzidłem, i popa, który przewracał stronicę grubej pozłacanej księgi.

Na „Świętym Andrzeju” pracował ojciec Daniłki i dziadek Waški; zarówno ojciec Daniłki jak i dziadek Waški - obydwaj zostali pod ziemią.

Całe osiedle lubiło starego Tancjurę. Często zbierał on dokoła siebie dzieci i opowiadał im bajki. Gdy zaś dorosłym zdarzyło się jakieś nieszczęście, starzec jak gdyby przypadkiem zachodził na pogawędkę i zawsze znajdował „właściwe” słowo, od którego robiło się lżej na sercu.

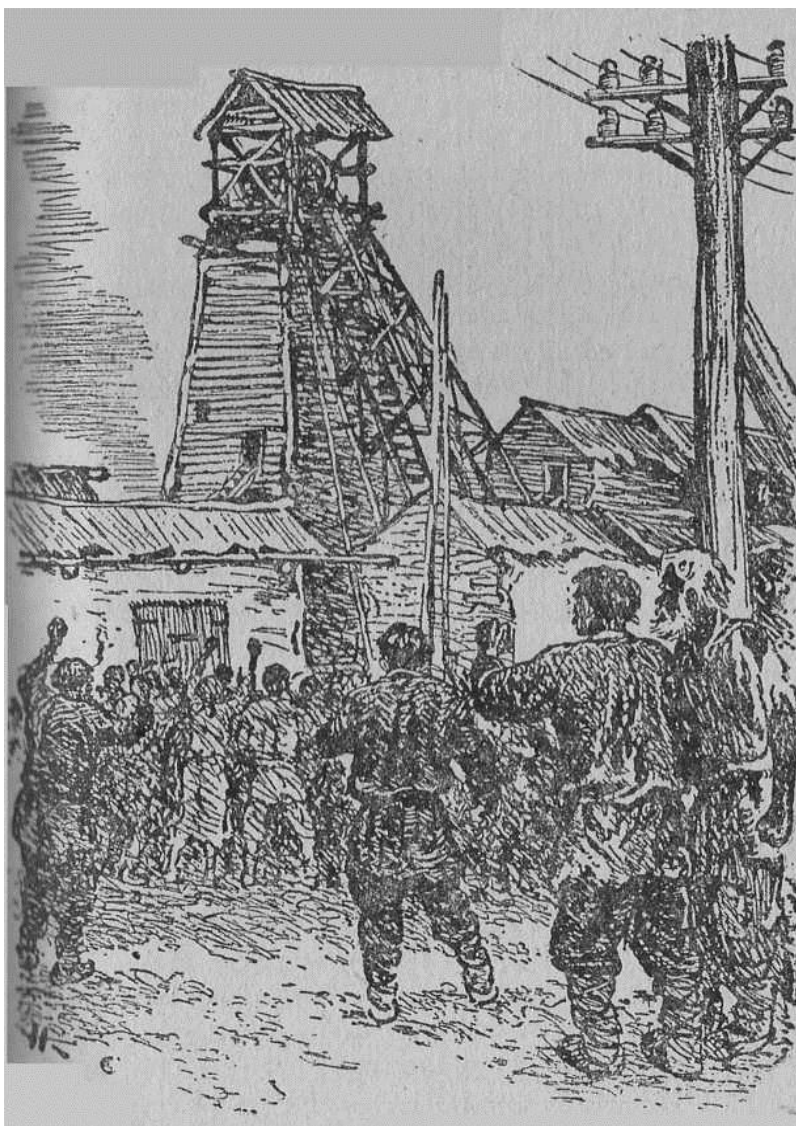
Pietka przypomniał sobie starego Tancjurę, ratownika Nikanorycza, rudego, małomównego sztygara i, chwyciwszy rękami za rozgrzaną rynnę, spojrział na ziemię. Pomyślał, że gdyby ziemia była przezroczysta — to byłoby widać, jak oni tam leżą. Wydało mu się to straszne. „Tak samo — pomyślał — było, kiedy mój ojciec leżał na Charitonowce. Więc to tak!...”

Rodziców znał tylko z opowiadań. Nie pozostały mu o nich żadne wspomnienia.

Teraz nie było już słychać mruczenia i śpiewu popów. Teraz cały tłum krzyczał, śpiewał i głośno płakał. Głosy zlały się w jeden potężny, niezrozumiały jęk. Pietka na dachu poczuł, że jest mu gorąco nie do wytrzymania. Zaczął schodzić po drabince. Na dole, za domem,

pewnie jest cień i chłód. Nagle zobaczył — właśnie tam w cieniu — dziesięciu policjantów. Wszyscy wąsaci, z szablami, w białych bluzach, z pomarańczowymi sznurkami na szyi. Żaden z nich nie śpiewa, nie płacze — wyglądają, jak gdyby chcieli się schować za murem.

Pietka zeskoczył z drabiny i na wszelki wypadek czym prędzej uciekł od policjantów w kierunku sąsiedniego domu.



Tymczasem wśród tłumu dały się słyszeć okrzyki: „Ciszej! Ciszej!” A gdy na placu zaczęło się uciszać, nad tłumem rozległ się dźwięczny bas:

— Górnicy! Towarzysze!

Ślusarz Chochriakow, syn strzałowego z „Magdaleny”, wszedł na podpórkę słupa telegraficznego i ogarnął wzrokiem tłum.

— Towarzysze! — rzekł głośno.

Setki głów zwróciło się ku niemu. Wydawało się, że bas jego dociera do najdalszych ulic osiedla.

— Kto jest winien — zawołał — śmierci tych... których dzisiaj... oplakujemy?! Dlaczego — krzyknął jeszcze głośniej, a żyły na czole nabrzmiały mu z wysiłku — nie było ani porządnej wentylacji, ani nadzoru... i „Święty Andrzej” stał jak beczka z prochem?! Dla kogo było to korzystne? Kto... dla otrzymania taniego węgla i wielkich zysków... lekceważył sobie życie górników?

Wówczas ludzie krzyknęli jak jeden:

— A-a-a-a...

Rozległy się gwizdki policjantów. Pietka wyjrzał zza węgla — przed nim przebiegali ci sami policjanci, którzy kryli się za ścianą sąsiedniego domu. Zza innych domów również wybiegli policjanci. Każdy trzymał w ręku rewolwer.

Nagle nie wiadomo skąd zjawił się oficer policji.

— Rozejść się! — wrzasnął chwytając dłonią za rękojeść szabli. Wargi mu zbieleły, a ręka sięgająca do szabli trzęsła się w sposób widoczny.

Na placu od razu uciszyło się. Ludzie tłoczyli się jedni na drugich. Policjanci pchali ich naprzód, wymachując rewolwerami.

Z tłumu wysunęła się staruszka Tancjurowa z rozczochranymi siwymi włosami i przygadując: „Już ja jemu, psu, pokażę!”, podniosła powykęcane palce i powoli wyciągała je w stronę twarzy policjanta. Pietka stał z boku, lecz pomimo to cofnął się; nigdy nie przypuszczał, że

stara Tancjurka może być taka straszna. A policjant uderzył staruszkę rewolwerem po palcach.

Teraz się zaczęło. Najpierw ktoś rzucił w policjanta kamieniem, potem oficer dał rozkaz; wszyscy policjanci cofnęli się o kilka kroków, dali salwę w powietrze i natychmiast wycelowali rewolwery w tłum.

— Rozejść się! — powtarzał oficer rwącym się głosem. Uprzedzam po raz ostatni. — Oczy jego biegały na wszystkie strony, a ostro zakręcone wąsiki drgały. Chochriakow zrozumiał; oficer jest tchórzem, a taki ze strachu naprawdę każe strzelać do ludzi. „Gad” — pomyślał, zeskoczył na ziemię i włożył czapkę. Inni robotnicy zasłonili go sobą.

Plac pustoszał stopniowo. Potok ludzi płynął ulicami.

Jedni — do „Rosyjsko-belgijskiej“, inni — na „Magdalenę”. Stara Tancjurka, którą prowadzili pod ręce, znowu zawodziła i płakała, i ciągle oglądała się na budynek nadszybia.

Czeriepanow kuśtykał potykając się i głośno mówił do siebie:

- Kto ty taki? Kto ty taki, pytam się? Co ci potrzeba nabożeństwo żałobne? Masz nabożeństwo żałobne!

Z lewolweru... i powiedzieli: rozejść się. Głupiś, ojczulku popie. Czegóż ty naszego Nikanorycza, za cóż ty go?

Po powrocie do stajni położył się spać. Wieczorem zbudził go Terentiew i kazał wynieść z pokoju zmarłego Pojarkowa skrzynie ze szkłem, zebrać wszystkie naczynia, pełne czy puste, złożyć wszystko na wóz i wywieźć nocy w step, tak ażeby nikt nie widział. Tam zakopać bez śladu.

--- I milcz — rzekł Terentiew. — Zrozumiano? Milcz również, gdy będzie cię wypytywał sędzia lub policja. W ostateczności powiesz, że wywozłeś śmieci i wyrzuciłeś je prosto w step. „Wyrzuciłem — powiesz — a nie zaokopałem”. Zrozumiano? I miejsce pokażesz im inne,

to gdzie zwykle wyrzuca się śmieci. Pamiętaj, że jak się wygadasz — to będzie z tobą źle!... — dodał i pogroził mu palcem.

Część stajni była odgradzona, tworząc komórkę, w której mieszkał Czeriepanow z Pietką. Mieszkali tylko we dwójkę. Żona Czeriepanowa była służącą u księgowego w jednej z odległych kopalń. Ona to właśnie była rodzoną ciotką chłopca, siostrą jego matki. Raz na miesiąc przychodziła, prała bieliznę męża i siostrzeńca, wymyślała im za nieporządek i brud, szorowała podłogę, gotowała kapuśniak, a wieczorem, ocierając brzegiem fartucha wilgotne, zaczerwienione oczy, odchodziła znowu na cztery tygodnie do swojej kłótlivej pani.

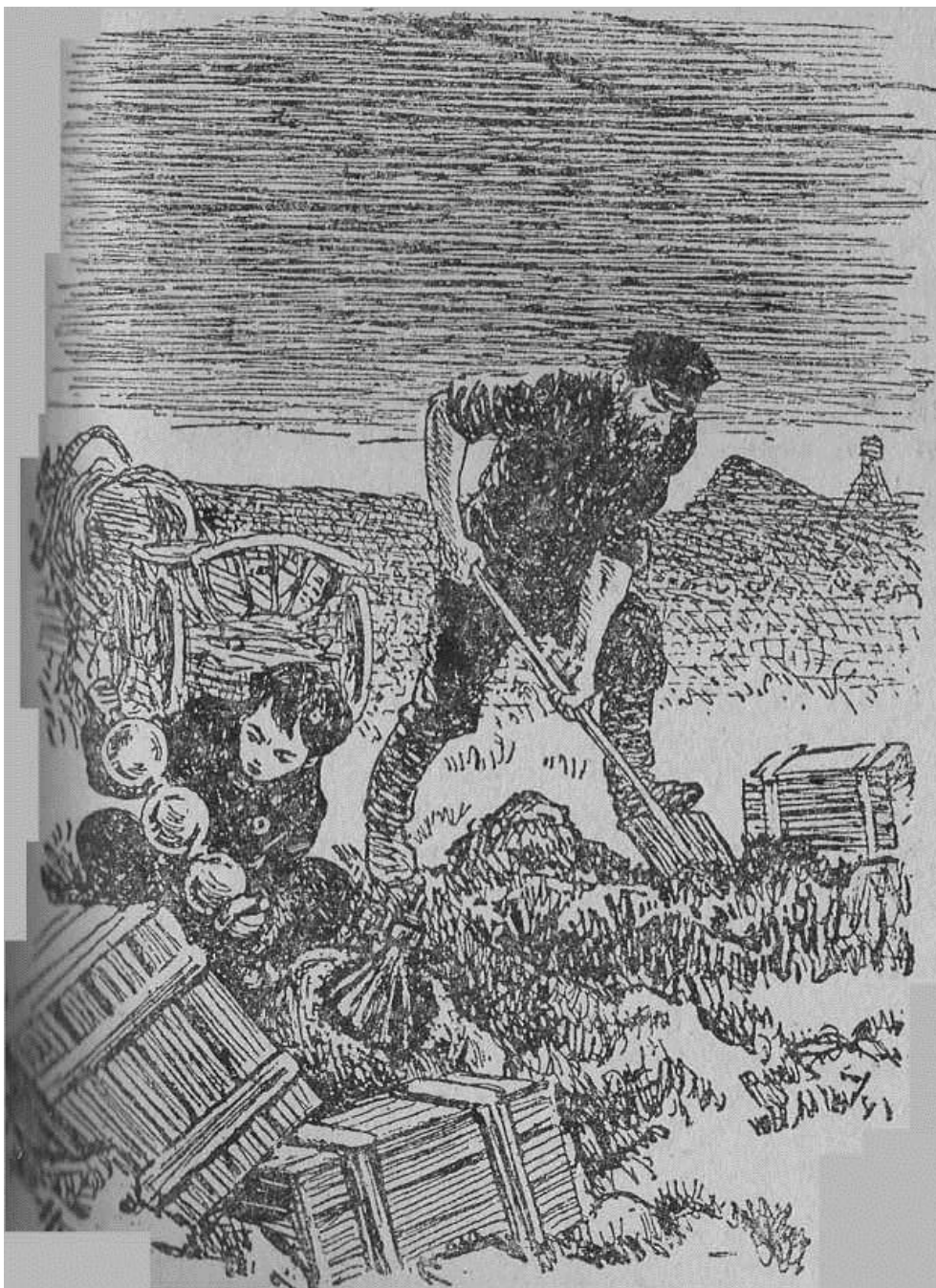
— Wygadasz się — to będzie z tobą źle! — jeszcze raz powtórzył Terentiew, zmarszczył brwi i surowo popatrzył na Czeriepanowa.

O zmierzchu stajenny wyniósł z budynku zabite skrzynie. Potem wziął najgorsze, pogryzione przez myszy worki od owsa, włożył do nich porozrzucane w pokojach sztygara szklane naczynia i wyniósł je na podwórze. Pietka, który słyszał polecenie Terentiewa, deptał mu po piętach i gdy nadeszła noc, przewyciężywszy senność, cichutko ulokował się na naładowanym wozie. Czeriepanowa bolała głowa po pijaństwie. Nie zwracając więc uwagi na chłopca, zaciał konie i wyjechał za bramę.

Już w stepie chłopiec zapytał:

— Wujku, a po co zakopywać szkiełka?

W stepie było ciemno. Z ognistego zachodu słońca został tylko wąski, czerwony pas. Usiane gwiazdami niebo wydawało się Pietce takie samo niezwykle i dziwne, jak cały dzisiejszy dzień, a nawet trochę straszne. I za „tych tam” odprawiali dzisiaj nabożeństwo żałobne koło kopalni, i policjanci strzelali...



— Uważaj — odpowiedział Czeriepanow. — Wygadasz się, to ci mordę batem pokrwią. Pamiętaj!

„Jak przyjdzie do domu pijany — pomyślał Pietka — to może tak zrobić. Jeszcze jak!”

Żał mu było zakopywać do ziemi niezwykle szklane przedmioty. O, tutaj w worku — zauważył to, gdy było jeszcze jasno — leżą jedne na drugich maleńkie, zielonkawe krążki, jak gdyby spodeczki do zabawy. A worek właśnie w tym miejscu rozdarty.

Podczas gdy Czeriepanow, stukając łopata o kamienie, kopał dół, Pietka namacał rozdarty worek, wsunął rękę i wyciągnął okrągłe szklane cacko. Dotknął go, było gładkie i zimne. Spojrzał — odbijały się w nim gwiazdy. Ucieszył się i nagle postanowił, że schowa je i nie odda nikomu. To będzie jego własność. Jak przyjemnie będzie się tym bawić.

— Pietka — krzyknął Czeriepanow i zdjął kurtkę — zanieś kubrak na wóz!

— Zaraz, wujku!

Pietka raz jeszcze dotknął swego szklanego krążka i włożył go do kieszeni. Przypomniawszy sobie Waškę Tancjurę i Daniłkę Zacharczenkę, pomyślał; „Pewnikiem płaczą”. Szybko wyciągnął przez dziurę w worku jeszcze dwa takie same szkiełka i także wsunął je do kieszeni. „Niech będzie dla Waški i Daniłki”.

Po kilku minutach owinał się w kurtkę wujka i położył na wozie. Zrobiło mu się ciepło i niepostrzeżenie dla samego siebie — usnął. Gdy wschodziło słońce, wóz znajdował się już na podwórzu stacji ratunkowej i Czeriepanow — Pietka wcale tego nie czuł — przeniósł go śpiącego do pokoju i położył na pościeli na ławie.

Było upalne południe. Muchy brzęczały, a konie w stajni biły kopytami o deski podłogi.

Pietka otworzył oczy i od razu przypomniała mu się noc, gwiazdy i szklane, gładkie krążki. Zeskoczył z ławy i zaczął szperać ręką w kieszeni. Znalazł tylko ostre odłamki szkła.

Chciało mu się płakać z żalu. Jakże te talerzyki były śliczne! Gdyby chociaż jeden z nich nie rozgniół się i ocalał! Pietka wytrząsał z kieszeni na ławę odłamki szkła

i byłby na pewno rozpląkał się, gdyby nie to, że do pokoju weszli Czeriepanow z Makagonem.

Makagonowi, jak się to mówi, „udało się”. Był to ratownik, który nie miał dyżuru w czasie tej nieszczęsnej zmiany, kiedy wezwano drużynę na „Świętego Andrzeja”. Tylko pięciu ratowników, nie licząc Terentiewa, zostało przy życiu — pięciu, którzy owej nocy nie mogli przybiec na głos dzwonu, gdyż najęli się do kopania studni we wiosce oddalonej o piętnaście wiorst od koczowiska i udali się tam już wieczorem:

--- I mnie wezmą na wojnę — mówił Makagon do Czeriepanowa, wchodząc do pokoju — i ciebie wezmą. Ale po co im ta wojna potrzebna! A to, żeś kulawy, to na to oni nie patrzą... Zobaczysz. Nie pomoże ci biały biulet. Zabiorą! Jak dwa a dwa cztery...

Makagon odsunął Pietkę, zrzucił na podłogę jego szkiełka i usiadł na ławie. Był wielki i niezgrabny. Usiadł i westchnął tak głośno, jak maszyna parowa w kopalni. Mobilizacja — powiedział niezrozumiałe dla Pietki słowo.

Wujek stał przy stole, targał palcami brodę, z której sterczało siano, i patrzył na Makagona z wyrazem smutku i niepokoju. Pietka przypomniał sobie, że tak samo patrzył, kiedy przyjechał na biedce Terentiew i oznajmił, że cała drużyna została pod ziemią. "Cóż się znowu stało?" — pomyślał chłopiec.

--- Po co oni ruszają naród? — rzekł szeptem Makagon. --- Byłyby się same cary — Mikołaj z Wilhelmem między sobą. Szablami czy jak. Komu to potrzebne? Mało to narodu wyniszczyli po kopalniach... I na co zda się ta wojna?

Pietka wyobraził sobie dwóch carów w złotych szatach jak popi, w złotych koronach z szablami w dłoniach, jak idą po stepie jeden naprzeciw drugiemu. Idą i wymachują szablami. „To ciekawe — pomyślał. — Dlaczego więc wujek Czeriepanow i Makagon tak się tym przejęli?

Cóż to, żal im carów czy co? A nich tam sobie cary wojują..."

— Wu-ujciu — zapytał — co to będzie?

— Co? — powtórzył Czeriepanow, odwrócił się, spojrzał gniewnie, jak gdyby zastanawiając się, czy odpowiedzieć mu, czy nie, i rzekł targając brodę: — Zwyczajnie, wojna z Niemcem.

Od tego czasu widział Pietka co dzień wyjeżdżających do miasta rekrutów. Jedni szli na dworzec w milczeniu, inni śpiewali dziarskie pieśni. Odprowadzające ich kobiety płakały.

Na „Magdalenie” za wysokim płotem koło domu, w którym mieszkali inżynierowie, często bawiły się wystrojone dzieci. Dwóch chłopców i jedna dziewczynka. Za tym płotem wszystko wydawało się piękne — i klomby z kwiatami, i przystrzyżone krzaki akacji, i trzepocące na wietrze, białe firanki na tarasie. Jeden chłopiec był synem dyrektora Przebyszewskiego, a dwoje pozostałych — brat i siostra — dziećmi inżyniera Dubiagi.

Pewnego razu, biegnąc po stepie za odchodzącymi poborowymi, Pietka z Daniłką i Waśką znaleźli się niedaleko „Magdaleny”. Postanowili wejść i popatrzeć, co robią inżynierskie dzieci. Podeszli i cicho wdrapali się na płot.

Dziewczynka siedziała na ławce i trzymała na kolanach książkę, a chłopcy — obydwaj w brązowych san liniach i marynarskich bluzach z granatowymi kołnierzami — wzięwszy się za ręce, podskakiwali i przyśpiewywali:

Niemiec — tłusta kielbasa

Siadł na konia i hasa.

Usiadł tyłem do przodu,

Pognał het! do ogrodu!...

— Hej, wy! — krzyknął do nich z góry Daniłka. Chłopcy przystanęli i podnieśli głowy — przed nimi na płocie siedzieli nieproszeni goście.

- Chodźcie — rzekł Daniłka zwiesiwszy bosc nogi — będziemy się bawić w wojnę.

„Dobrze by było z nimi, pańskimi, tu w ogródku” — pomyślał Pietka.

Jeden z wystrojonych chłopców, młody Przebyszewski, rzekł po chwili milczenia:

- Dobrze, złaż. Ale wy będziecie Niemcami.

Waśka Tancjura dalej siedział na płocie, a Pietka zeskoczył w ślad za Daniłką. Miał straszną ochotę pobiegać po wysypanych żółtym piaskiem ścieżkach, powąchać kwiatki na klombach — pewnie pachną ładnie. I są takie barwne, pstre: czerwone, pomarańczowe — rozmaite.

Dziewczynka wstała z ławki. Miała jasną sukienkę i szeroką wstążkę we włosach, w ręku trzymała otwartą książkę z kolorowymi obrazkami.

Daj popatrzeć — powiedział Pietka, gdy zobaczył obrazki.

Nagle dziewczynka skrzywiła się i zrobiła grymas obrzydzenia.

Fuj — rzekła — odejdz. Czuć ciebie końskim potem.

Pietka zmieszał się. A chłopcy w marynarskich bluzach, podskakując i wykrzywiając się, obwąchiwali go, odwracali i rzeli jak konie.

— I-i-i, od niego czuć końskim potem! I-i-i! Pewnie mieszkasz w stajni? Jak koń! I-i-i!

Hałas zwabił z tarasu wysoką, siwą panią. Poprawiając ręką fryzurę przeszła przez aleję i zatrzymała się przed Pietką. Daniłka zdołał umknąć w krzaki i szybko wyleźć na płot. Pani zaczęła mówić, patrząc surowo wylupiastymi oczyma:

— Czyj ty jesteś? Jak się tutaj dostałeś? Jeszcze coś ukradniesz. Jakiś ty brudny! Dowiem się, kim są twoi rodzice... Żebyś mi się tu nigdy więcej nie pokazywał!

Pietka milcząc rzucił się w kierunku płotu. Czuł na sobie złośliwe spojrzenia pańskich dzieci.

— Skandal — krzyknęła w ślad za nim pani — zupełnie się rozpuścili!

Jesienią Waśka skończył jedenaście lat i poszedł do pracy na kopalnię. Wykonywał czynność „lampiarza”. Chodził po kopalni, nosząc w każdej ręce po pięć sztuk palących się, zaplombowanych lamp. Gdy któreś z robotników zgasła lampa, Waśka wymieniał ją na zapaloną. Pod ziemią nie wolno bowiem było posługiwać się zapalnikami, gdyż w powietrzu unosił się gaz kopalniany i groziło niebezpieczeństwo wybuchu.

Górnicy lubili małego lampiarza. Wiedzieli i pamiętali, że jest wnukiem starego Tancjury. A Pietka Szapowałow zaczął zazdrościć swojemu przyjacielowi. Nie domyślał się, jak ciężko jest nosić przez całą zmianę tyle lamp, jak Waśkę bołą ręce, jak bardzo chce się spać rano, gdy syrena wzywa do pracy, jakie długie i ciasne wydają się te korytarze i chodniki i z jakim strachem chodzi się po nich samotnie.

Pietka widział, jak Waśka wraca do domu i całkiem jak prawdziwy, dorosły górnik poważnie siada za stołem. Babka Tancjurowa krząta się – podaje mu barszcz albo gotowane kartofle ze słoniną i kładzie przed nim pajdę chleba. Zdarzało się – co prawda niezbyt często, nie za każdym razem, że gdy Pietka przychodził do Tancjorów, Waska zapraszał go po gospodarsku:

--- Siadaj i ty. Weź łyżkę.

A babka odkrawała wtedy dodatkową kromkę chleba.

Daniłka Zacharczenko wyjechał z matką na wieś. Nadeszła zima. Pietka spotykał się z Waśką coraz rzadziej. Tancjurowie mieszkali daleko, a odzież Pietki była bardzo licha; było w niej zimno. Waśka zaś po powrocie z kopalni tylko zjadł i zaraz kładł się spać.

Drzwi stajni stały się białe i kosmate od szronu.

Wieczorami, w przejściach pomiędzy przegrodami, paliła się słaba żarówka elektryczna, oświetlając końskie zady i ogony. Taka sama żaróweczka świeciła się w komorze Czeriepanowa. Konie żuły siano, wzdychały i postukiwały kopytami. W komórcie biło ciepło od okrągłego

żelaznego piecyka. Czasem zbierali się dokoła niego ratownicy, ludzie nowi, niedawno przyjęci na stację ratunkową. Przychodził również Mekagon. Terentiew zamianował go teraz instruktorem na miejsce Gałuszenki.

Jego przepowiednie o szybkim powołaniu do wojska nie sprawdziły się. Górników pozostawiono na miejscu, ażeby wydobywali węgiel. Tylko niektórzy z nich poszli na front, przeważnie ci, których chciała się pozbyć dyrekcja kopalni, uważając ich za wichrzycieli i podżegaczy. Powołano na przykład Chochriakowa z warsztatu mechanicznego. Pozostawiono natomiast wszystkich ratowników. Nie wzięto, oczywiście, i Czeriepanbwa; bo i komu może być potrzebny kulawy wojak!

Piec był rozpalony do czerwoności. Pietka, wrzucając węgielek za węgielkiem do otwartego paleniska, przysłuchiwał się rozmowom dorosłych o wojnie. Opowiadali o znajomych żołnierzach; ten został ranny, tamten poległ. Okazało się, że prawie każdy ratownik ma na froncie kogoś z rodziny — brata, wujka czy szwagra. Listy od nich, które przychodziły dosyć rzadko, odczytywano głośno tutaj, przy tym piecu. Opowiadali o rosyjskim generale, który zastrzelił się, gdyż Niemcy okrążyli całą jego armię; mówili, że na pozycjach w ogóle źle się dzieje — brak karabinów, pocisków i amunicji; szeptali, że żona Mikołaja, Niemka, krewna cesarza niemieckiego, bardziej żałuje swoich niż Rosjan i zdradza im rosyjskie tajemnice wojskowe.

Pietka nudził się. Chciał, żeby jak najprędzej nadeszło lato. „Latem — myślał — można biegać po stepie albo iść do Tancjurów, albo — na »Magdalenie« jest taki Aloszka, to do niego... zawsze lepiej — myślał — jak na dworze jest ciepło. Latem, jak się pójdzie na wieś, to w ogrodach rośnie groch”.

A na wiosnę Czeriepanow powiedział:

— A no, pójdiesz do roboty.

— Na kopalnię? — zapytał Pietka. Pomyślał, że będzie „lampiarzem”, i ucieszył się.

— Jaka ci tam kopalnia! — rozłościł się Czeriepanow. — Ot, twoja kopalnia! — i pokazał palcem w kierunku wiszącego na ścianie skórzanego bata. — Widziałeś? Jak ja ci ojca zastępuję, świeć Panie nad jego duszą...

Stajenny troszczył się po swojemu o los chłopca. Nieraz naradzali się o tym z żoną. Kopalni bał się dla niego, pamiętał wybuch na „Charitonowce”; świeżo miał jeszcze w pamięci katastrofę na „Świętym Andrzeju”. „Niech Pietka idzie na służbę do kupca” — postanowił. Na „Belgijsko-rosyjskiej” jest bogaty sklepikarz Syczugow, który szuka roztropnego chłopca do posyłek.

"W sam raz — pomyślał Czeriepanow — nadarza się okazja. I chłopiec w sam raz, w odpowiednim wieku. Pobędzie na służbie, potem subiektem zostanie. Tylko by mu trochę nauki, a jeszcze będą przed nim czapkować".

Po upływie tygodnia Aleksiej Prokopiewicz Syczugow patrzył zza lady na „chłopca do posyłek” i mówił łagodnym głosem:

- Ty, mój złociutki, musisz słuchać... Inaczej Bóg cię pokarze. Nie słuchać swego pana — to wielki grzech. A tego, kto grzeszy, to my bacikiem czik-czik! — Pokazał ruchem, jak się to robi, i uśmiechnął się, jak gdyby chodziło o coś przyjemnego. — Czik-czik! Będiesz się starał — to dostaniesz w nagrodę dziesięć kopiejek. Idź, złociutki, do kuchni. A do sklepu — zapamiętaj to sobie także nie wolno wchodzić. Do pokojów także nie wolno. Nie masz tam nic do roboty... No, idź już, mój bogi. Staraj się. Bóg lubi pracę.

Sklepikarz miał okrągłą głowę i bladą dziobatą twarz. W pokoju stała pękata komoda, na niej — lustro, a w kącie — gramofon z jaskrawo pomalowaną tubą. Bogactwo, jakiego Pietka nigdy przedtem nie widział. Na oknach — muślinowe firanki, za oknami — ulice, a na końcu ulicy — step i droga prowadząca na „Magdalenę”.

W kuchni przyjęła Pietkę starucha, o wąskich, zaciśniętych ustach, teściowa Aleksieja Prokopiewicza.

O, ja nieszczęsna cierpiętница, Boże ty mój! Co za smyk!... Postaw, smarkaczu, samowar, a potem będziesz obierać kartofle... Cóż ty robisz, niegodziwcze, cóż ty robisz! Samowar się rozlutowuje... najpierw wody nalej!...

O, mój Boże, co ja będę tu miała z tobą! Wynieś pomyje, nabierz węgla. No, prędzej, biegiem — to ci dopiero skaranie!

I tak było co dzień. Od świtu do późnej nocy.

ROZDZIAŁ VI

W DROGĘ

— Piszecie pamiętniki — rzekł, ziewając, kapitan sztabowy Sokownin. — Że też wam się to nie znudzi! No, cześć i chwała — rzekł protekcyjnalnie i, rozwarłszy drzwi na oścież, wyszedł ze schronu.

Do schronu wdarła się smuga światła dziennego, lecz drzwi zamknęły się i znowu zrobiło się ciemno. Pęd wiatru zakołysał płomieniem świecy. Z ledwo bielejących w półmroku, wilgotnych belek jeszcze silniej rozszedł się zapach pleśni.

Przy zbitym z desek stole został człowiek w żołnierskim szynelu z oficerskimi naramiennikami. Świeca oświetlała leżący przed nim zeszyt w ceratowej okładce, a on pisał, ściskając w palcach ołówek. Kartki były wilgotne i każda napisana litera wrzynała się głęboko w papier.

Piszący odwrócił kartkę, napisał: „...zastanowić się nad tym po wojnie” i postawił kropkę.

Zaczął nasłuchiwać: jakiś szmer, coś jak gdyby ptak trzepocząc skrzydłami, rozcinał powietrze. Potem huknęło gdzieś blisko i rozerwał się niemiecki pocisk. Dały się słyszeć głucho detonacje; gdzieś sypały się grudy ziemi.

„Gdzie to? — pomyślał siedzący przy stole oficer. — Którego mamy dzisiaj?” I znowu wziął ołówek do ręki.

„Tajemnica jego wynalazku — pisał dalej na miękkim od wilgoci papierze — graniczy z tajemnicą żywych, zielonych liści. Na uwagę zasługują tutaj dwa momenty. Po pierwsze, roślina przyswaja dwutlenek węgla i łączy go z wodą, tworząc węglowodany. Po drugie, w roślinach zachodzi jeszcze jeden, nie zbadany dotychczas proces...”

Znowu rozległ się wybuch, tym razem głośniejszy i bliższy. Żółty płomień na stole zgasł, jak gdyby zdmuchnięty wiatrem. Oficer namacał w ciemności zapalki i zapalił świecę, mówiąc szeptem:

— Drugi, nie zbadany jeszcze proces:

Postawił dwukropek i znowu zabrał się do pisania.

„Dokonuje się przemiana jednych węglowodanów — pisał — w drugie. Weźmy, na przykład, kartofle. W liściach kartoflanych w ciągu dnia wytwarza się skrobia, która jest twarda i nierozpuszczalna. Skrobia ta w nocy, w nie znany nam sposób, przemienia się w jeden z cukrów — przypuszczalnie trzcinowy — i już w postaci roztworu przechodzi z liści do bulw. Tam cukier trzcinowy znowu przemienia się w twardą, nierozpuszczalną skrobię. We wszystkich roślinach ciągle zachodzi przemiana węglowodanów. Prostsze z nich — powiedzmy glukoza — wytwarzają stopniowo bardziej skomplikowane — bisacharydy, potem ziarna skrobi. Ze skrobi, którą możemy zaobserwować w żywych liściach, powstaje w wyniku szeregu przeobrażeń błonnik-celuloza.

Chciałbym wiedzieć, czy uda się przeprowadzić ten proces w odwrotnym kierunku, »przenicować« go i otrzymać w laboratorium skrobię z celulozy, z drewna?

Przekształcić, powiedzmy, trociny w produkty żywnościowe?"

Oficer podniósł rękę i wziął ołówek w zęby. Spojrzenie jego zatrzymało się na żółtym płomieniu świecy.

Grigorij Zbierowski, młody nauczyciel saratowskiego gimnazjum, został zmobilizowany zaraz po wybuchu wojny. Na front jednak wysłano go dopiero po ukończeniu szkoły podchorążych, pod koniec 1915 roku, kiedy to wojska rosyjskie oddały Warszawę i cofały się na polskich ziemiach.

Do wojny ustosunkował się od razu z głęboką niechęcią.

„Jakie to wszystko głupie i bezsensowne" — myślał wkładając po raz pierwszy bluzę z oficerskimi naramiennikami. Nawiasem mówiąc, owej jesieni nie przestano jeszcze mówić o zdradzie ministra wojny Suchomlinowa, który okazał się niemieckim szpiegiem. „Caryca — Niemka — myślał wówczas Zbierowski — minister wojny — szpieg. A po co ta cała wojna, tego nikt nie potrafi rzeczowo wyjaśnić".

Brygada, w której służył od piętnastu miesięcy, brońnię się w nieprzystępnej głuszy błot pińskich. Niemal co dzień grzebano zabitych i odstawiano rannych na tyły. Okopy zalewała woda, a w schronach stały cuchnące kałuże. Niemcy strzelali, a żołnierzom rosyjskim zdarzało się, że mieli po jednym karabinie na trzech i po pięć nabojów na karabin. Zamiast broni, odzieży i obuwia przywożono żołnierzom podarunki od cara: wagony miedzianych krzyżyków na szyję i maleńkich, jak cienkie owalne monety, medalików.

Szynel nigdy nie wysychał. Zbierowski był przeziębiony, kichał i kaszłał. Nadchodziła druga zima jego życia na froncie, druga zima bezmyślnego siedzenia w okopach. Były chwile, kiedy myślał tak, jak jego żołnierze: dobrze by było uderzyć pięścią w tłustą twarz pułkownika Adamowa, tępego alkoholika wysyłającego po pijanemu ludzi pod kule, plunąć na tę idiotyczną wojnę te

przekłete błota i uciec, dokąd oczy poniosą. Były chwile, że myślał tak, jak jego żołnierze: dobrze by było uderzyć pięścią w tłustą twarz pułkownika Adamowa, tępego alkoholika wysyłającego po pijanemu ludzi pod kule, pluwać na tę idiotyczną wojnę, na te przekłete błota i uciec, dokąd oczy poniosą. Czasem wyda wało mu się, że wszystko stacza się w przepaść, że ludzkość znalazła się w ślepej uliczce, z której ma wyjścia, i że dla niego będzie największym szczęściem powrócić kiedyś do ciszy laboratorium chemicznego, postawić przed sobą kolby, przygotować mianowane roztwory i móc spokojnie rozmyślać o skomplikowanych przemianach substancji organicznych.

Teraz oto leży przed nim otwarty zeszyt, a on sam siedzi, ogryza ołówek i patrzy nieruchomymi oczami w płomień świecy. Przypominał sobie — profesor Sapogow mówił o tym szczegółowo na wykładach — że jeszcze w początkach minionego stulecia, adiunkt Petersburskiej Akademii Nauk, Konstantin Kirchhof, potem Francuz Braconneau i jeszcze jeden... jakże się on nazywał? „Zapomniałem!” Rosyjski chemik... — wykazali za pomocą doświadczeń, że skomplikowane węglowodany można przekształcić w najprostszy — gronowy — cukier, w glukozę. Glukozę otrzymano ze skrobi, celulozy i ze zwykłych szmat. Nosi to nazwę hydrolizy. Funt szmat po poddaniu go działaniu wody i kwasu daje powyżej funta cukru gronowego. Znana rzecz...

Blisko sto lat temu jeden z pierwszych badaczy hydrolizy pisał: „Przemiana drzewa w cukier jest bez wątpienia zjawiskiem godnym uwagi. Gdy jednak mówię o istocie mojego doświadczenia z ludźmi, którzy nie orientują się w chemii, mianowicie o tym, że z funta szmat można wyprodukować ponad funt cukru, to uważają takie twierdzenie za niedorzeczne i wyśmiewają się z niego. Jednak pomimo tego wyniki są bardzo dobre”.

** W cytacie wyrazem „cukier” określa się najprostszy sacharyd — glukozę.*

„Hydroliza błonnika. Cukier gronowy. Glukoza z masy drzewnej” — myślał teraz Zbierowski.

Znowu wybuch, drugi, trzeci. Tym razem nieco dalej. Ciągły ogień — jeszcze dziesięć pocisków. Znowu wybuch, znowu wybuch...

„Strzela przeklęty... A jeżeli z masy drzewnej można uzyskać glukozę, to dlaczego nie można uzyskać skrobi albo cukru buraczanego?”

Błysnęło światło dzienne. W drzwiach ukazała się głowa w papasze:

--- Wasza wielmożność, kartka do was od dowódcy pułku.

„Wziąć pluton waszych saperów — brzmiała notatka — i natychmiast naprawić wał ochronny, uszkodzony pociskami”.

Zbierowski wyszedł ze schronu i po pięciu minutach już oglądał zorany pociskami odcinek. Topniał śnieg zmieszany z mokrą ziemią — nie było śladu nie tylko wału ochronnego, ale i samego okopu.

— Zaczekajcie — szepnął Zbierowski do saperów, którzy, przyciskając do piersi łopaty, przykucnęli kryjąc się w lejach, i popelzł naprzód, nabierając w rękawy na pół płynne błoto. — Zaczekajcie, zobaczę, czy uda się pracować z obydwu stron jednocześnie. W jaki sposób będziemy naprawiać...

Podniósł głowę. Przed oczyma mignęła mu zielona plama dalekiego lasu, w którym znajdowała się bateria niemiecka. Bliżej — pojedyncze, rzadko rozsiane świerczki. W tym momencie zapomniał o wszystkim. Nie wiedział, co się stało. Wszystko przysłoniła ściana jaskrawego, błękitnego płomienia.

Przez mgnienie oka widział ją, szczelną i masywną, a potem przygasającą jak stygnący żelazny piec. W uszach — ogłuszający huk dzwonów. Potem posypały się iskry,

świat zawirował, jakby porwany jakimś wichrem, i wszystko utonęło w głębokim śnie.

Dopiero po upływie miesiąca, w szpitalu dowiedział się, że był ciężko ranny i kontuzjowany przy wybuchu pocisku.

Ze szpitala frontowego przewieziono go do Moskwy.

Powoli wracał do zdrowia. Zrobiono mu jedną operację, potem drugą i trzecią. Siostry miłosierdzia opiekowały się nim, karmiły go, prześcielały łóżko, później — wyprowadzały do ogródka szpitalnego na spacer. Najtroskliwiej, po macierzyńsku zajmowała się nim staruszka Kławdia Iwanowna. Przemięło lato i pożółkły liście drzew. Wreszcie, opierając się na lasce, Zbierowski wyszedł na wąski chodnik z kamiennych płyt. Lekarz po raz pierwszy pozwolił mu przejść się po mieście.

Ulica była brudna, zaśmiecona łuskami z pestek słonecznikowych. Przechodniów w pobliżu nie było. Jezdnia była brukowana kamieniami, a na końcu ulicy znajdowała się stara cerkiewka. Zbierowski, patrząc na nią z okna korytarza, widział tylko podobne do poślacanych rzep kopuły.

Przeszedł kilka kroków, popatrzył na oświetlone promieniami słońca, czerwone liście topoli i na srokę, która frunęła z parkanu. Uśmiechnął się do sroki i przystanął. Postanowił odpocząć. Znowu rozejrzał się dokoła i zamyślił się.

A było o czym rozmyślać! Mikołaja Romanowa z rodziną wywożą na zesłanie do Tobolska; generał Kornilow oddał Niemcom ryski front, a sam z wojskiem ruszył na Piotrograd; przeciwko niemu — a może ręka w rękę z nim adwokat Kierenski, głowa rządu, ze swoimi ministrami, ale — zdaje się — bez wojska; przeciwko Kornilowowi występują Rady i tworzą Czerwoną Gwardię; wszędzie — mówcy, alarmujące przemówienia i wiece, Czyż można pojąć to wszystko, będąc na szpitalnej sali? pytasz się ludzi, czy przeczytasz jaką gazetę — wszyscy i wszędzie komentują w najprzeróżniejszy spo-

sób. Mówią, że już nie ma takiej powszechnej radości i wspaniałych, czerwonych kokard na ubraniach, jak to było zaraz po rewolucji. Teraz każdy chce wprowadzić jakieś zmiany. Jedni — chcą umocnić władzę Rządu Tymczasowego i rozwiązać Rady; drudzy — rozpedzić ten rząd, a całą władzę przekazać Radom; inni znowu — nie chcą ani Kierońskiego, ani Rad. Bolszewicy żądają zakończenia wojny. „To słusznie — myślał Zbierowski — pokój za wszelką cenę! Pokój — przede wszystkim”. A tymczasem podpułkownik Sotnikow, który leżał na sąsiednim łóżku, twierdził z uporem, że źródłem wszelkiego zła są bolszewicy i że trzeba, dopóki jeszcze nie jest za późno, ratować przed nimi naukę, kulturę i porządek w kraju. „Nie — myślał dalej Zbierowski — to musi być trochę inaczej. Oni są, być może, nawet lepsi niż inne partie polityczne. Ziemia — dla chłopów, fabryki — dla robotników. Prostolinijnie i sprawiedliwie. Osadczij, na przykład, był socjaldemokratą i także należał do tych samych bolszewików. Co się z nim teraz dzieje? Człowiek zdolny i niewypowiedzianie uczciwy. Lecz strach pomyśleć, a może Sotnikow ma jednak rację, co się stanie z nauką i z postępem, jeżeli władzę ujmie w swe ręce ciemny, nieokrzesany lud? Wszystko pięknie, tylko to jedno jest straszne. Któż może wiedzieć, w co uderzy fala ślepego gniewu ludu!”

„Któż może wiedzieć!” — westchnął Zbierowski. W tej samej chwili zobaczył przejeżdżającego dorożkarza. Podniósł laskę i zatrzymał go. Utykając podszedł do dorożki, wszedł i rzekł:

— Na Twerską.

Postanowił obejrzeć miasto i posłuchać, o czym mówią ludzie.

„Podchorążak”... — pomyślał dorożkarz zerkając na pasażera. — Dzielnie rozkazuje, ale ile zapłaci? No, da kierenkę *. A teraz nawet nafta dużo kosztuje. Kilka dni temu pół arszyna tych kierenek wybuliłem za funt”.

Twerską płynął nieprzerwany potok ludzi. „Uwaga!”

* *Kierenki — pieniądze wypuszczone przez Rząd Tymczasowy Kierenskiego (przyp. tłum.).*

-- krzyczał dorożkarz i co chwilę wstrzymywał konia. Nie można było przejechać — wszędzie tłumy.

Zbierowski słabo znał Moskwę. Przedtem bywał w niej tylko przejazdem. Toteż teraz rozglądał się z ciekawością.

Na dużym, czerwonym domu wisiał napis: „Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich”.

Naprzeciw gmachu rozciągał się plac, na którym stał biały pomnik generała Skobieleva — na marmurowym koniu postać z rozczesaną na dwoje brodą. Zgromadzony tłum słuchał jakiegoś mówcy stojącego w rozpiętym żołnierskim szynelu na cokole pomnika. Gdy Zbierowski wysiadł z dorożki, chcąc dowiedzieć się, z jakiej okazji odbywa się wiec, wokół rozległy się oklaski i okrzyki: "Słusznie!"

Rozglądał się dokoła — wszędzie szynele, szynele, szynele... Nagle ujrzał znajomą twarz. Niemal tuż obok niego stał saper Chochriakow. Był to jeden z żołnierzy, z którymi miał pół roku temu naprawiać uszkodzony wał ochronny. Stał ubrany jak do marszu, z karabinem i plecakiem.

— Chochriakow! — zawołał cicho Zbierowski.

— A, pan podchorąży! — zdziwił się żołnierz. — Patrzcie no, żyje?

Chochriakow uśmiechnął się, podszedł do niego i wyciągnął rękę. Zbierowski zwrócił uwagę, że nie zaskłutował, tylko wyciągnął rękę jak do równego sobie. „To mi się podoba — pomyślał — równość i braterstwo” — i uściśnął szorstką dłoń sapera.

— Patrzcie no —dziwił się Chochriakow. — A myśmy już dawno zaliczyli pana do nieboszczyków. Znaczy, że... cóż to, z laską chodzisz? — Zmierzył podchorążego wzrokiem od stóp do głów i, mrugnawszy po przyjacielsku, zapytał: — No, a kiedy na front? Na wojenkę?

— Potrzebny jest pokój, Chochriakow. Jaka tam wojna? Sam rozumiesz, że trzeba już z tym skończyć. Dostyc nawojowaliśmy się.

— Więc to tak! — rzekł żołnierz. — Widzę, że pan... — i nie wytłumaczył, co widzi.

Wszyscy dookoła zaczęli krzyżeć: „Precz!” Chochriakow także krzyknął: „Precz!” Z cokołu pomnika ze zmieszaniem schodził siwawy pan we frenczu kolom khaki i z czarną teczką pod pachą. Pomimo frencza, pan wyglądał na cywila — adwokata lub urzędnika. Miał, zdaje się, zamiar przemawiać, lecz nie dopuszczono go do głosu.

Zbierowski położył rękę na ramieniu Chochriakowa i spytał półgłosem:

— Dlaczego przepędzili tego człowieka?

Saper odwrócił się powoli i, przeciągając sylaby, powiedział basem:

— Mienszewi-ik. — I dorzucił: — Tu go już znają. Powie — „Miejcie cierpliwość — do Zgromadzenia Ustawodawczego... Wracajcie na front” — powie. Samego by, gada, na front! Szkoda, że już za późno.

Rozpychając tłum, biegł ulicą czerwonogwardzista w zatuszczonej kurtce roboczej, z czerwoną opaską na rękawie i karabinem przewieszonym przez ramię. Widząc, że ludzie zebrali się na wiec, krzyknął:

— Telegram z Piotrogradu! Wojska Kornilowa odmówiły, rozumiecie, towarzysze, odmówiły pójścia na Piotrograd! „Dzika” dywizja także! A generał Krymow zastrzelił się!

Na placu powstał hałas. Niektórzy pobiegli za czerwono-nogwardzistą.

Nowych mówców nie było i plac powoli pustoszał.

— Trzeba iść — rzekł Chochriakow poprawiając rzemyki plecaka. — Podobno ma pójść eszelon w kierunku Rostowa. Dla mnie po drodze do domu na kopalnię. — Dotknął ręki Zbierowskiego. — A więc powrotu do zdrowia! Może się jeszcze kiedyś spotkamy. — Milcząc

popatrzył chwilę na Zbierowskiego. Potem nachylił się nagle i szepnął mu do ucha: — Zdejm naramienniki! Wiem, żeście student. Na co wam uchodzić za oficera...

Zbierowski stał nadal u stóp pomnika przed gmachem Rady, a Chochriakow już odszedł odciągając palcami rzemień karabinu i twardo stąpając po bruku jezdni. Plecak kołysał się w takt kroków.

Zbierowski spoglądał w ślad za odchodzącym saperem i myślał:

„Rozjechali się do domów żołnierze. A więc to tak. Widocznie cały prosty lud jest za bolszewikami”.

...Na Dworcu Kurskim okazało się, że długo oczekiwany eszelon został już dawno podstawiony na siódmy tor i że nie można się już wcisnąć do ciepłuszki *; nie ma również miejsca na platformach i buforach — wszędzie pełno ludzi. „Patrz no!” — rzekł Chochriakow, splunął ze złości i wylazł na dach wagonu. Nieznajomy marynarz, w okrągłej czapce z rozwiewającymi się na wietrze wstążkami, wyciągnął do niego rękę i pomógł mu wejść.

Czekano na parowóz. Słońce zaszło i zrobiło się chłodno. Niebo zaciągnęło się chmurami. Zbliżała się już północ, gdy eszelon, z ognikami machorkowych papierosów na dachach, ruszył z szarpnięciem, minął semafor i, nabierając szybkości, potoczył się na południe.

W tym samym czasie, w sali szpitalnej, słabo oświetlonej wysoko pod sufitem umieszczoną żarówką, Sotnikow odrzucił brzeg koca i uniósł głowę znad poduszki. Wyjął z ust dymiący niedopałek papierosa i rzekł:

— Nie dałbym trzech groszy za to, czy pan, panie podchorąży, nie jest bolszewikiem.

— Jaki tam ze mnie bolszewik? — odrzucił Zbierowski.

— Poczekaj pan, pokażą panu jeszcze ci „towarzysze”!

* *Ciepluszka - ogrzewany wagon.*

— A jednak oni zrozumieli potrzeby narodu.

— Głupstwa pan mówi! Po prostu spekulują na niskich instynktach.

— Głupstwa? — powtórzył Zbierowski i usiadł na łóżku. — Według pana, sprawa wygląda tak: jeżeli władza spoczywa w rękach bogaczy — to to są wzniosłe zasady, a jeżeli władzę obejmie cały naród, robotnicy i chłopci — wtedy nazywa pan to niskimi instynktami. W zależności od tego, w czyich rękach jest władza, prawda? Wszak takie jest pańskie zdanie?

Podpułkownik Sotnikow ziewnął, naciągnął aż po szyję pluszowy pled i pomyślał o wypadkach rozgrywających się w Rosji. Rosja wydawała mu się podobna do jego niewielkiego, przytulnego mająteczku w penzeńskiej guberni. Ileż trudu trzeba było włożyć, ażeby zebrać pieniądze na nabycie tej posiadłości! Po okruszynie, po odrobinie z każdej dostawy dla intendentury. A teraz, kiedy już ma ten „swój kącik” — wszystko może rozsypać się w proch. Matka pisała mu stamtąd, że w marcu, po rewolucji chłopci zaczęli grabić ich dwór. Co prawda, potem sprawcy zostali ukarani. Ale teraz takie niespokojne czasy...

— Bolszewicy spowodują głód — rzekł podpułkownik — nędzę i rozprężenie.

Podchorąży nie odpowiedział. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie swoje lata studenckie, poddasze w Petersburgu i Osadcze. Przypomniał sobie, jak odszukiwał Lisicyna i jak ten pokazywał mu swoje laboratorium.

„Widziałem na własne oczy — pomyślał Zbierowski.

— I wszystko przepadło bez śladu. Taka synteza! Gdyby teraz urzeczywistnić, nie byłoby groźby głodu... Diabeł wie! Ale gdzież się to wszystko podziało? Mikołajowi Romanowowi krzyżyk na drogę...”

— Dwie prawdy — szepnął po chwili i spojrzał na podpułkownika z ukosa. W pamięci mignęła mu twarz sapersa Chochriakowa.

Zbierowski powoli oparł głowę o poduszkę.

„Przedstawiciel dziesiątków milionów...”

Nagle i zupełnie niespodzianie pomyślał: „A jednak zdejme naramienniki!”

Stukały koła pociągu, którym jechał Chochriakow, a za parowozem, jak ogon komety, ciągnął się snop świecących iskier. Wiatr rozganiał je na wszystkie strony, iskry rozsypywały się po ciemnych polach i gasły jedna po drugiej.

Na dachu wagonu było zimno. Chochriakow podniósł kołnierz szynelu, naciągnął czapkę na oczy, wsunął ręce w rękawy i przycisnął karabin do piersi. Leżał podpierając się łokciami i patrzył, jak przed nim rozsypują się iskry i, ledwie widoczne w ciemności, przesuwają się domy, wsie i pola. Wiatr świszczwał w uszach i lodowatymi strumykami wdierał się pod szynel. Chochriakow czuł, że zbliża się zima, że zbliżają się ciężkie miesiące, w czasie których może przydać się nawet i karabin. „Trzeba po gospodarsku zaprowadzić na kopalniach własny porządek. Dość już tego, wystarczy! Jakże to: na froncie — Adamow, a na kopalni, na »Magdalenie« --- Przebyszewski! I cóż z tego, że zrzucili cara? Mało to gadów wszędzie — myślał Chochriakow — nie wolno dopuścić, żeby wszystko zostało po staremu.

Usunąć gadów — to pierwsze. Następnie: do Rady wybrać ludzi pewnych. To będzie drugie. Jak to mógł ten artylerzysta, który na wiecu opowiadał o Leninie...

Ech, Chochriakow, tu trzeba całą kupą... tylko całą kupą. Aby zgodnie. Dać im kopniaka i won tych ministrów-kapitalistów... To jedyny sposób na to diable nasienie!”

Patrzył w ciemność przetykaną wirującymi, świecącymi punkcikami. Nie odczuwał już kołysania się dachu

wagonu, zapomniał o wietrze, a tylko uśmiechał się do czegoś zziębniętą twarzą.

Widział w myślach domy, które zbudują przy kopalniach, takie jak w Piotrogradzie, górnicy będą chodzić w czystych miejskich ubraniach, wszyscy będą umieli czytać i pisać i wezmą się do książek, a praca w kopalni będzie jak spacer po ogrodzie.

„Jeszcze trochę czasu, aż wiara wróci z frontu! Chochriakow także już jedzie. Zobaczycie, co to będzie! Zobaczycie tylko!”

Jeszcze w zeszłym roku, gdy Aleksieja Prokopiewicza Syczugowa chcieli powołać do wojska, wykręcił się dając komuś łapówkę i zaczął pracować na kopalni jako magazynier. W ten sposób uchronił się przed pójściem na front. Praca w kopalni nie miała jednak żadnego wpływu na prowadzenie sklepu. Za ladą stał od rana do nocy sprzedawca, staruszek Pał Pałycz. W ciągu dnia żona Syczugowa pilnowała sklepu, a wieczorem — sam Aleksiej Prokopiewicz podliczał utarg.

Gdy zrzucano cara, Syczugow westchnął z utajonym żalem, ale przypiął do piersi czerwoną wstążeczkę.

Jakoś minęło lato. Po nim nastąpiła niespokojna jesień siedemnastego roku. Teraz Aleksiej Prokopiewicz stracił spokój i — co się nigdy dotychczas nie zdarzało — zaczął się bać górników. Niby ci sarni ludzie i kłaniają mu się tak, jak dawniej, ale patrzą zupełnie inaczej. Syczugowowi wydawało się, że spojrzenia ludzi stały się ponure i zuchwałe.

„Bydlęta — myślał Aleksiej Prokopiewicz — prawdziwe bydlęta! Jeszcze ci, którzy zasiadają w komitetach, są lepsi. Ale ci, którzy wracają z frontu... albo sklep rozgrabiają, albo mnie samego zabijają”.

Każdy dzień przynosił Syczugowowi nowe nieprzyjemności. „Do czego to już doszło — myślał — jeżeli nawet taki parszywiec Pietka ośmiela się buntować. Istna wieża Babel, prawdziwa Sodoma!”

Z Pietką rzecz miała się następująco: Pał Pałycz kazał chłopcu odnieść paczkę z towarem do mieszkania inżyniera Dubiagi. Sprawa była prosta: oddać paczkę, uklonić się i odejść. A tymczasem wyszło tak, że chłopiec ze sklepu Syczugowa najpierw pobił się z synem inżyniera, gimnazjalistą, a potem, kiedy sam Dubiago ujął się za synem, krzyknął do niego: „Dno szybu na was czeka!”

„Dno szybu na was czeka” to znaczy — wytłumaczył obie Syczugow — że żywych, powszechnie szanowanych ludzi, jak np. Mitrofana Wiktorowicza Dubiagę trzeba rzucić do szybu. Jakżeż to? — pomyślał pąsowiejąc z gniewu. — Jak on śmiał, niegodziwiec? Kto go nauczył, czyje są te zbójeckie słowa? Jak on mógł coś takiego powiedzieć?”

Aleksiej Prokopiewicz zmiął pismo, w którym inżynier skarżył się na przysłanego chłopca, i na odlew uderzył Pietkę w twarz.

Ten odskoczył i krzyknął:

- Teraz już nie macie prawa mnie bić! Podły krwio pijca! Krwio pijca, tak! Krwio pijca!

Syczugow jęknął tylko i rozłożył ręce.

Żmiję wyhodował na własnym łonie. Nie darmo teściowa tak nie znosi tego chłopca. Nie darmo mówią: czym skorupka za młodu nasiąknie... górnicze nasienie...

Wynoś mi się natychmiast! Won! — zachrypiał Aleksiej Prokopiewicz. — Żeby twoja noga... żeby ślad po tobie tu nie pozostał!

Pietka odszedł, a Aleksieja Prokopiewicza ogarnął jeszcze większy strach.

Zaczął się listopad, a z nim nadeszły nowe wieści. Mówiono, że bolszewicy zagarnęli władzę w Piotrogradzie i Moskwie.

Była ciemna jesienna noc. Syczugow nie mógł spać. Nadśluchiwał — w swojej komórce chrapał Pał Pałycz, słychać było świszczący oddech śpiącej teściowej,

żona mruczała coś przez sen. „Marne — pomyślał — złe czasy”. Wstał z łóżka, zapalił świecę, przeszedł się po całym domu, obmacał zasuwy w drzwiach i sprawdził, czy okiennice są dobrze zamknięte. Potem przystanął przed ikoną i szepnął:

— Oby zmartwychwstał Pan, a w proch rozsypały się wrogi jego. Jako topnieje wosk w obliczu ognia...

Rano zrobiło mu się lżej na sercu. Ujrzał wjeżdżających do osiedla Kozaków. Wąsaci, z czerwonymi lampasami i czerwonymi otokami na czapkach. Z nimi oficer — sotnik kozacki. Słysząc było człapanie końskich kopyt po błocie. Zatrzymali się na środku drogi.

Syczugow wybiegł ze sklepu.

— Tutaj — wydawał rozkazy oficer pokazując palcem na lewą stronę ulicy — postój pierwszego plutonu. Tam — oficer machnął ręką na prawo — drugi pluton. Pozostali... — Pokazał ruchem ręki, żeby jechali za nim, i spał konia ostrogami.

Gniady koń zatańczył na smukłych nogach i rozpryskując błoto popędził galopem w stronę biura kopalni. W ślad za nim, galopem, ruszyło z miejsca dziesięć jeźdźców.

Pozostali Kozacy zsiadli z koni.

— Drodzy goście! — wykrzyknął Aleksiej Prokopiewicz zdjawszy błyszczącą skórzaną czapkę. — Panie wachmistrzu! Pokornie proszę do mnie na kwatere. Po kilku godzinach częstował wachmistrza obiadem. Niemłody już Kozak pił wódkę — nie chciał kieliszka, lecz poprosił o szklanke — poważnie gładził wąsy i opowiadał o swoim gospodarstwie nad Donem. Utyskiwał, że ma pięciu zamiejscowych parobków, jeden gorszy próżniak od drugiego.

Trzeba — mówił — prędzej skończyć z rozruchami, bo gospodarstwo marnieje. Bo i jakże! — rzekł westchnął. — Czy to baba dopatrzy? Czy to babskie sprawy?

Panie wachmistrzu — rzekł Aleksiej Prokopiewicz żalnym głosem — Bóg widzi, że życie stało się nie

do niesienia. Nachodzą człowieka wątpliwości: a jeżeli bolszewicy wzmogą się na siłach? Co się wtedy stanie? Klapa? Gdzie się podziać?

Wachmistrz uśmiechnął się:

--- Śmieszne, daję słowo. Kto utrzyma władzę — te obdartusy? Poczekaj ze dwa, trzy tygodnie... ho — ho, jak zadudni! — Wypił pół szklanki wódki, zakąsił i ob-rzucił Syczugowa chytrym spojrzeniem. — A po kopalniach to generał Kaledin szaleje! I w Rostowie, i w No-woczerkasku. Taki porządek robi, że aż miło, słowo daję! Twoje zdrowie!

Syczugow przymknął oczy i pokiwał głową.

Daj, Boże, zwycięstwo czcigodnym wojakom... — szepnął.

Ani Syczugow, ani jego gość nie zauważyli, że w sąsiednim pokoju mignęły dwie postacie; przez pokój przebiegli na palcach dwaj bosi chłopcy.

Karabinu nie ma — rzekł półgłosem jeden z nich. Bierz ładownicę!

Chłopcy zniknęli. Jeden z nich — piegowaty z rozwi-chrzoną, czarną czupryną — widocznie dobrze znał wszystkie wejścia i wyjścia w tym domu...

Po obiedzie, czkając i zataczając się na odmawiających posłuszeństwa nogach, wachmistrz usiłował przypomnieć sobie, gdzie położył ładownicę. Karabin jest, a gdzie torba? Gdzie...

„Przekłęta!” — pomyślał. Podszedł do łóżka, by jej tam poszukać, ale od razu zwałił się na pościel i zachrapał.

A Syczugow po obiedzie, bardziej z przyzwyczajenia niż — jak mu się wydawało — z istotnej potrzeby, zamknął wszystkie drzwi swego domu.

Po całej Rosji rozeszła się wieść, że ataman kozacki, generał Kaledin, wprowadził wojsko na kopalnie i w okrutny sposób rozprawia się z donieckimi górnikami — bolszewikami. Tu i ówdzie już postawiono szubienice i zaczęło się rozstrzeliwanie nieposłusznych. Na Jasino-

wackiej kopalni, na przykład, rozstrzelano stu osiemna-
stu ludzi. Młoda Republika Radziecka wysłała na po-
moc górnikom jednostki wojskowe z zachodniego frontu
oraz oddziały Czerwonej Gwardii z Petersburga i Mo-
skwy.

Z jednym z petersburskich oddziałów Czerwonej
Gwardii jechał do Donbasu * Glebow.

Oddział wyładował się na zapadłym przystanku. Da-
lej nie można było jechać pociągiem, gdyż na następnej
stacji byli Kozacy.

Mróz przeszedł w odwilż. Zaczął padać śnieg z desz-
czem. Potem znowu chwycił mróz. Waciaki **, żołnierskie
szynele i robocze kurtki czerwonogwardzistów, przepa-
sane u niektórych na krzyż taśmami do karabinów ma-
szynowych, przemokły i pokryły się lodową powłó-
ką. Włas Karaczajewiec przyszedł do Czerwonej Gwar-
dii „Trieugolnika“. Zdawało się, że jeszcze dotych-
czas czuć od niego gumę. Ramię w ramię z nim masze-
rował po grząskim śniegu, garbiąc się i ciągnąc za sobą
karabin maszynowy na kółkach — Mikieszka Nosow,
dziobaty chłopak o szarych oczach, podmajstrzy z fabry-
ki mebli.

Mikieszka nie lubił milczeć. Nie czekając na odpo-
wiedź, wypytywał Karaczajewca:

— A kalosze, na przykład, to jak się robi — na kopy-
cie? Jak buty? A jakie są te kopalnie? Mówią, że jak wiel-
kie studnie, prawda? Żeby tak je obejrzeć! Mówią, że na
dnie jest całkiem ciemno. A górnicy to podobno zuchwa-
ty naród. Czy to prawda?

Miele i miele bez przerwy — rzekł Karaczajewiec.
Przestań!

Brodę miał czarną jak smoła. Poruszał brwiami i
spoj-rzał dokoła. Na przodzie szedł Glebow ze ślusarzem
Chochriakowem, wysłanym przez górników na spotkanie
petersburskich czerwonogwardzistów. Za nim rozciągnął
się cały oddział. Wszystkiego sto dwadzieścia trzy bagne-

* *Donbas — Donieckij Bassejn — Donieckie Zagłębie Węglowe* (przyp. tłum.).

** *Waciaki — watowane kurtki robocze* (przyp. tłum.)

ty. Na samym końcu tabor — czworo sań z zapasową bronią i nabojami. Śnieg padał tworząc za-słonę, spoza której tabor był ledwo widoczny. Przystanek, na którym został pociąg, znikł zupełnie; granice widnokregu zatarły się ze wszystkich stron. Wszędzie, gdzie spojrzeć, chmu-ry białych płatków śnieżnych.

Karaczajewiec przesunął dłonią po mokrej twarzy i oblepionej śniegiem brodzie. „Nie trzeba lepszej pogody — pomyślał — od razu zasypie wszelkie ślady za oddzia-łem “. Przypomniawszy sobie, jak w czasie wojny japońskiej został ranny w nogę i pełził kryjąc się wśród gaolanu *. Wówczas walczyli dla cara, a teraz nadszedł czas, że walczą dla siebie. A kapral Czumakow, który wyniósł go z pól gaolanowych, pochodził z donieckich górników. Może być, że i tego Czumakowa prowadzą teraz Kozacy na szubienicę. Gdyby można go było uratować! W Pietrogradzie nie ma węgla; chytry Kaledin odciął Donbas! Sto-ją fabryki, parowozy. Patrzcie go, jaki pies: chce zamrozić republikę! A większości czerwonogwardzistów brak do-świadczenia bojowego, mało jest wśród nich prawdzi-wych żołnierzy. „Ale to nic — pomyślał Karaczajewiec — siłą narodu jest jego duch. Chociażby taki Mikieszka: to nic, że taki gaduła — w boju wpada w szal, a karabin maszynowy zna jak własną kieszeń”.

Włas Prochorowicz przypomniał sobie pożegnanie z córką w Petersburgu. Nastieńka była podobna do oj-ca: czarne włosy, czarne brwi, czarne oczy. „Niech tata uważa na siebie” — mówiła i płakała tuląc się do jego piersi. Był zadowolony z siebie; dobrze jej odpowiedział. Pogładził ją po głowie, ujął za ramiona i rzekł: „Uważać na siebie — to nie sztuka. Każdy tchórz uważa na sie-bie. Co innego ustrzec rewolucję — dla ciebie, Nastko,

dla twoich dzieci, dla wszystkich pracujących... Zapamiętaj to sobie, córuś!"

Oddział zapadał się po pas w śniegu. Już dawno zeszli z Wydeptanej drogi i brnęli przez zasy na dnie jaru. Drogę wskazywał Chochriakow. Nazwał on ten jar „belką”, co Mikieszkę bardzo zdziwiło. Ze słowem „belka” wiązało się u niego pojęcie długiego, drewnianego słupa. Ojciec Mikieszki, który był cieślą, podniósł kiedyś przy budowie domu kupca dużą, ciężką belkę, podźwignął się, zachorował i umarł.

Zaczęło się ściemniać. Czerwonogwardziści rozciągnęli się teraz długim, ginącym w śnieżnym zmroku sznurem. Wokoło wznosiły się strome zbocza jam, na któ-rych gdzieniegdzie przeświecała goła glina, a gdzie-niegdzie zwieszały się płaty śniegu.

„Co się dzieje z taborami?” — pomyślał Glebow i rzekł do Chochriakowa: — Nie spiesz, nie należy się tak rozciągać. — Sam odszedł w bok i wspiał się na strome zbocze. Rozsuwając dźwięczące przy każdym poruszeniu, oblodzone gałązki krzewów, ruszył z powrotem na spotkanie taborów. Mijali go idący gęsiego czerwonogwardziści.

Spod futrzanej czapki wysunęły mu się kosmyki siwych włosów! Ubrany był w szary cywilny płaszcz, ściągnięty pasem. Na pasie — nagan w futerale. Twarz,

o wystających kościach policzkowych i oczach okolonych zmarszczkami, przybierała czasem dawny, filuterny wyraz. Wyglądał niemal tak samo, jak dziesięć lat temu, gdy przyszedł do laboratorium Lisicyna. Nawet krótko przystrzyżone wąsy wyglądały tak samo, tylko że posiwiały przez te wszystkie lata.

Wreszcie Glebow dojrzał tabor. Konie prowadzono za uzdę, a każdy wóz podpierało dwóch lub trzech czerwonogwardzistów. Obładowane sanie to zagłębiały się w zasy, przechylając się na bok, jak gdyby już, już miały się przewrócić, to ześlizgiwały się po pochyłości, to znowu zatrzymywały się, gdy trzeba było wjechać pod górę.

** Gaolan — jednoroczne rośliny trawiaste, sięgające czterech metrów wysokości, spotykane najczęściej w Chinach (przyp. tłum.).*

Przy saniach kręcił się i pokrzykiwał czerwonogwardzista Riazancew, były kapitan sztabowy i kawaler krzyża św. Jerzego. W czasie wypadków lipcowych usunięto po ze sztabu siódmej armii, jako oficera „zhańbionego działalnością bolszewicką”. Później sam wdział mundur żołnierski, przyszedł do Piotrogradzkiej Rady i poprosił o przyjęcie go do służby. „W stopniu szeregowca — rzekł — do niczego więcej nie pretenduję”.

Teraz, patrząc na Riazancewa, Glebow pomyślał, że trzeba będzie zwrócić uwagę, jak zachowa się w boju. „Kto go tam wie?” — pomyślał i jednocześnie zauważył wśród pchających sanie chudego dwunastoletniego chłopczyka, z cienką szyją, ubranego w kobiecy, połatany kaftan. Przedtem, w oddziale nie było dzieci. — „Jeszcze tego brakowało!”

Glebow zbiegł na dół, chwycił chłopca za rękaw, odciągnął go na bok i zapytał surowym głosem:

— Kto ty jesteś i jak się tu dostałeś?

Schwytany milczał, widocznie onieśmielony. Chciał się wyrwać i uwolnić rękę, ale Glebow przejrzał jego zamiary i trzymał jeszcze mocniej:

— Kto ty jesteś, pytam? Jak się nazywasz?

Chłopiec spojrzał na niego i odrzekł z nieoczekiwaną godnością:

— Nazywam się Piotr Szapowałow. Czego chcesz ode mnie? Puść rękę!

— A więc tyś taki! — rzekł Glebow i uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, poruszając kącikami ust. — Skąd się tu wzięłeś, Piotr Szapowałow? Kto ci pozwolił?

— Ja z Chochriakowem — odpowiedział Pietka z ważną miną. — Chochriakowa znasz? On jest delegatem do was. No i nie szarp mnie za rękaw.

Czwarte, ostatnie sanie ześliznęły się bokiem ze wzgórza i przejechały obok nich. Za nimi przeszli ostatni czerwonogwardziści.

— Chodźmy, bo inaczej zostaniemy — rzekł Glebow do Pietki. — A kim jest dla ciebie Chochriakow — krewnym, wujkiem?

Szli obok siebie. Pietka splunął jak dorosły i spojrzał z ukosa na siwego człowieka idącego po wyjeżdżonej przez sanie koleinie.

— Chochriakow? — powtórzył. — Uczy mnie czytać i pisać. A tak to nie jest dla mnie nikim.

— Aha, obcy. To pięknie, że cię uczy. Nauka — to wielka rzecz. Ale gdzie są twoi rodzice? Gdzie mieszkasz?

— A no, tak wyszło, że mieszkam z Chochriakowem.

„Niepotrzebnie wziął ze sobą chłopczyka — pomyślał Glebow. — Lada chwila mogą się zjawić Kozacy... Po cóż ryzykować życie tego malca? Trzeba go odeśłać. Niech się sam przedostanie do domu”.

Po chwili milczenia Pietka dorzucił:

— Kiedy sklepikarz Syczugow wyrzucił mnie, wujek Czeriepanow był już chory na tyfus, no i umarł na ten tyfus.

Pietka wysunął palce ku skórzanemu futerałowi u pasa Glebowa.

--- Nagan macie automatyczny?

Siwy towarzysz broni spojrzał na chłopca z wysokości swojego wzrostu, uśmiechnął się i rzekł:

— Automatyczny. A ty mi lepiej powiedz, Piotr Szapowałow, czy trafisz stąd do domu, jeżeli będziesz musiał sam iść? Czy nie zabłądzisz?

— Dlaczego mam zabłądzić? Wiadomo — step. Tylko, ja na razie — chłopiec błysnął roztroprnymi oczami ani myślę od was odchodzić. Dlaczego miałbym odejść?

--- A ja ci każę.

— A ja nie pójdę. Chochriakow też mi nakazywał. — Pietka spojrział zuchwale. — „Idź do Tancjurki” — mówił. A ja — za nim. Wymyślał, aż strach! A ja, wszystko jedno, za nim.

— Po co? — zdziwił się Glebow. — Wydaje ci się, że to spacer?

— Jak będziecie się bić z Kozakami, to wam pomogę.

— Też mi pomocnik! Nie, bracie, nic z tego. To na próżno.

— To wy, wujku, mówicie na próżno. A jak ja z Waską Tancjurą pozabierałem Kozakom naboje do karabinu... Było się z czego śmiać! Tamci piją wódkę... jeden Kozak u Syczugowa. Chcieliśmy zabrać karabin, ale nie znaleźliśmy. Naboje oddaliśmy do sztabu oddziału górników.

— Czy wam ktoś kazał zabrać naboje?

— Nikt nie kazał. Ja sam wszystko umiem robić. Zobaczycie.

— Chcesz zostać czerwonogwardzistą?

— Chcę.

— Nie umiesz być posłusznym. Naucz się najpierw słuchać. Oto, rozkazuję ci teraz: odejdz.

— I tak nie odejdę. Coście się tak na mnie uwzięli? Nie pójdę, mówię. I już!

Glebow machnął ręką i szybkim krokiem poszedł naprzód. Przegonił jedno sanie, potem drugie.

„Trzeba powiedzieć Chochriakowowi, niech odeśle upartego chłopca. Obojętnie jak. Niech idzie do domu. Tego jeszcze brakowało!”

Chłopiec został przy saniach i zabrał się do popychania ich razem z Riazancewem.

Zmierzch gęstniał coraz bardziej, aż niepostrzeżenie zapadła noc.

Noc ta na zawsze wryła się Pietce w pamięć. Później, nawet po upływie wielu lat, zawsze mógł wywołać w pamięci rozsiane po niebie chmury, wysuwający się zza nich sierp księżyca i ciemny, jak gdyby liliowy, przysypany śniegiem step.

Pietrogradzki oddział szedł na odsiecz górnikom, czerwonogwardzistom z najbliższych kopalń, ażeby wspólnymi siłami, błyskawicznym i nieoczekiwanym natarciem wyprzeć wojska kozackie z tego zakątka Donbasu.

Trudno powiedzieć, dlaczego tak się stało. Być może, że już ktoś zdążył donieść Kozakom Kaledina, iż na sąsiednim przystanku wyładowali się czerwonogwardziści.

Chochriakow prowadził oddział przez step do „Świętego Andrzeja”. Myślał, że w osiedlu „Świętego Andrzeja” jeszcze nie ma Kozaków. Jednak do osiedla nie zdążyli dojść. Walka rozpoczęła się nagle.

— Do bronii! — rozległ się czyjś nawołujący głos.

Pietka drgnął usłyszawszy na przodzie pierwszy wystrzał. Od razu zadzwoniło mu w uszach. Natychmiast zaterkotały obydwie karabiny maszynowe oddziału i płomień zamigotał u wylotów luf.

Jak spod ziemi wyrósł sznur jeźdźców. Byli blisko, tuż obok i pędzili na kolumnę czerwonogwardzistów. Nawet w ciemności widać było ich konie wyciągnięte jak struny w szalonym pędzie. Pietka skulił się. Wydawało mu się, że lada chwila wpadną i stratuja. Opanował go strach aż do mdłości; chciało mu się zacisnąć mocno oczy. Nie zmrużył ich jednak, lecz przeciwnie, z przetrachem rozglądał się dokoła.

Szczękały zamki, grzmiały karabiny. U wylotów karabinów maszynowych drgały oślepiające, błękitne ognie. Migwały jakieś postacie i cienie. Głośniejszy od wystrzałów był krzyk ludzki. Jedni klęli z niesłychaną wściekłością, inni — ranni — jęczeli przeciągle. Kozacy już werżnęli się

w kolumnę czerwonogwardzistów i cięli szablami. Gdzieś wśród ciemnego stepu rozległo się nowe: "Ur-ra-a-a..."

Obok Pietki przemknął, jak wichur, spieniony kozacki koń uderzając go czymś w łokieć. Z konia runął do stóp Pietki trup Kozaka i upadł jak worek kartofli; odblask strzałów oświetlił jego odchyloną do tyłu, zalaną krwią twarz.

Pietka zdrętwiał. Przedtem wyobrażał sobie scenę walki zupełnie inaczej. Czerwonogwardziści, myślał jeszcze wczoraj, ukryją się w zawczasu przygotowanych okopach i stamtąd będą strzelać; on, Pietka, zwinny i nieustraszony, będzie pełzał wśród nich i podawał im naboje. Wydawało mu się, że zdarzy się to na pewno w jasny dzień i wróg będzie daleko; tylko kule będą ze świstem przelatywać nad czapką.

Teraz gdy u jego stóp runął trup Kozaka, Pietka początkowo nie był w stanie poruszyć się. Potem powoli cofnął się do najbliższego wozu. Zaprzężone do sań konie były tak wyczerpane ciężką drogą, że na odgłos strzałów nie rzuciły się do ucieczki, lecz tylko niespokojnie parskwały.

— To nasi, Mikieszka... Ostrożnie! Uważaj na naszych! — mówił ktoś przy wozach.

--- Ach, niech go diabli! — kłął drugi. — Podkładaj! Wyżej celuj! Żywo!

Ciemna postać ludzka wspięła się na skrzynie ułożone na saniach w wysoką piramidę.

— O-o-o... — jęczał ktoś w pobliżu i powtarzał: — Och, bracia! Och, bracia! Och, bracia!

Przez step toczyła się nowa fala Kozaków Kaledina. Nieustannie, jak gdyby z gardzieli olbrzyma, wzmagał się ryk:

— Ur-ra-a-a!...

Z wozu, prawie nad samą głową Pietki, błysnęła ogniem i zaterkotała seria z karabinu maszynowego, boleśnie odbijając się w uszach. Pietka przysiadł na śniegu; nogi zrobiły się jak z waty. Znów doznał uczucia mdłości.

A na wozie karabin maszynowy zionął ogniem i nie było słycać nic oprócz potoku szybkich, nieznośnie głośnych strzałów.

Pietka długo siedział na śniegu. Może pięć, a może dziesięć minut. Wreszcie, jakoś zupełnie nieoczekiwanie, zdał sobie sprawę, że myśli o spokojnych, dalekich od tej walki sprawach. Uświadomił sobie, że siedzi i wspomina, jak to wujek Czeriepanow zakopywał do ziemi szkiełka rudego sztygara. Właśnie tutaj, w stepie. Troszkę w bok od tego miejsca — tam, w stronę „belki”.

Pietka spojrział w kierunku „belki” i ujrzał ciągnące szeregiem sylwetki jeźdźców. Zaczynało już świtać i był ich dobrze widać. Nie można było się pomylić — to Kozacy.

„Objadą dookoła — pomyślał — napadną ze wszystkich stron i zadadzą nam bobu”.

Karabin maszynowy na wozie przestał strzelać. Nastąpiła cisza.

--- Wujku... — podniósłszy się rzekł Pietka do czerwogwardzisty obsługującego karabin.

--- Czego chcesz?

- Popatrz tam.

Lufa karabinu natychmiast skierowała się w tamtą stronę i znowu zaterkotało kilka serii. Sylwetki Kozaków jak gdyby roztopiły się w półmroku. Znowu nastąpiła cisza, a w ciszy — żalosne, przeciągłe jęki:

--- A-u-a... A-u-a... A-u-a...

Och, bracia! Och, bracia!

--- O-o-j... Szyi nie dotykaj! Odejdź, mówię, odejdź!
O-o-o...

Ochotnicy sanitariusze już znosili rannych i kładli ich na szynelach rozłożonych za saniami. Tam uwijał się lekarz czerwogwardzistów — student Sofronow. Jako lekarz był stanowczy, ale nie można powiedzieć, żeby był doświadczony. Gdy brał się do robienia opatrunku rannemu, ten zaczynał krzyczeć i wymyślać na czym świat stoi.

Glebow zdjął czapkę i otarł dłonią spocone czoło. Spojrzał przed siebie: na stepie, tam skąd Kozacy dwukrotnie szarżowali na oddział, biały śnieg pokryty był teraz ciemnymi wzgórkami końskich i ludzkich trupów. Kaledincy pozostawili kilkudziesięciu zabitych. A tam — spojrzał Glebow — leży Karaczajewiec, zadarłszy ku niebu czarną, wijącą się brodę. Tam znowu w rozciętej na pół papasze, twarzą do ziemi leży Gatauła Gajfutdinow... Czerwonogwardziści, którzy padli za rewolucję.

„Walczyli uczciwie — pomyślał Glebow — bili się dobrze. Zaszczytne śmierć!”

Stał bez czapki, ze spuszczoną głową. W myślach wciąż jeszcze przesuwaly się błyszczące w odblasku wystrzałów klingi; Karaczajewiec — bagnetem w Kozaka; pietrogradzcy napanli — kaledincy cofnęli się i — znowu natarcie. Ktoś — na pewno Mikieszka Nosow gruchnął z flanki z karabinu maszynowego. Kozacy — jedni rzucili się do ucieczki, inni zaczęli się ostrzeliwać; czerwogwardziści wytrzymali atak, żaden nie drgnął.

„Żegnaj, towarzyszu Karaczajewiec, żegnaj, Włas Prochorowicz! Byliśmy starymi przyjaciółmi! Popatrz: bronimy z tobą już nie konspiracji, jak to dawniej bywało, ale republiki. Nie żyliśmy na próżno. I bądź przekonany: obronimy! Obronimy, towarzyszu Gajfutdinow! Obronimy!”

Serce w piersiach Glebowa tłukło się jeszcze tak, jak w czasie walki. Było duszno, wydawało się, że braknie powietrza. A w jego pamięci odżyły dni spotkań z Karaczajewcem. Policja nakryła tajny lokal w szynku Marikanowa. Ileż niepowodzeń, ile wysp... A jednak zwyciężyli!

Glebow przypomniał sobie powstanie październikowe; przyszedł mu na myśl słowa Lenina: „Nie wolno czekać!! Można stracić wszystko!!”

„Oddział nie może zatrzymać się w tym miejscu — pomyślał. — Pozostaniemy tu — to nas okrażą i sprowa-

dzą artylerię. W pojedynkę — wybiją zarówno górników, jak i nas. Niedoczekanie ich! Trzeba nacierać bez zwłoki..."

Obejrzał się: poranny zmierzch ustępował, zaczynało witać.

--- Chochriakow! — zawołał. — Chochriakow!...
Przyślijcie do mnie Chochriakowa!

Okazało się, że delegat górników jest w pobliżu i zaraz przybiegł.

--- Idź — rzekł Glebow — i niezwłocznie przygotuj ludzi na kopalni. My wyruszymy stąd... są, widzisz, zabici, ranni... ale za jakieś czterdzieści minut wtargniemy do Kopalni, a wtedy wy uderzycie na tyły Kozaków. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem — odpowiedział Chochriakow. — Zrobi się. — A po chwili milczenia dodał: — Chłopca, myślę, zostawić przy was. Pokaże wam najlepiej drogę.

- Jakiego chłopca?

--- No, tego, co się do mnie przyczepił.

--- A-a — przypomniał sobie Glebow — Piotr Szapowałow! Dobrze... A ty idź!

Chochriakow odszukał Pietkę, wytłumaczył mu, że trzeba będzie poprowadzić oddział na „Rosyjsko-belgijską”, od strony ulicy, przy której jest sklep Syczugowa. Kazał mu nie oddalać się ani na krok od Glebowa. Sam poszedł przez step, chytrze klucząc, to pochylając się, to znów biegnąc, jak gdyby nie w kierunku „Rosyjsko-belgijskiej”, lecz obok, nie wiadomo dokąd.

Zaczęto kopać groby dla zabitych; pośpiesznie rozbijano zamarznąłą ziemię.

Podczas przygotowań do pogrzebu Pietka usłyszał rozmowę. Zaczął ją Riazancew, patrząc na kupkę zmarzłej gliny:

— Oto los naszego pokolenia, Paweł Kiryłłowicz...

— Jaki los? — zapytał Glebow.

— Tragiczny. Naszym przeznaczeniem jest oddać życie... Nie myślcie, że narzekam. Jestem, widzicie, filo-

zofem. Świadomie decyduję się na to. W istocie, jednak, jesteście ofiarą, fundamentem przyszłego szczęścia... fundamentem społeczeństwa, którego my z wami już nie zobaczymy. — Riazancew podniósł grudkę gliny i podrzucił ją na dłoni.

Glebow spojrzał na niego badawczym wzrokiem; zmarszczki niby promienie okoliły jego oczy. Lekko, jak gdyby z niezadowoleniem pokręcił głową i rzekł cicho:

— My inaczej rozumiemy. My — to znaczy komuniści. Może innym razem wrócimy jeszcze do tego. Potem, dobrze?

I odwrócił się w stronę mogiły, patrząc w milczeniu, jak grzebią w niej ciała Karaczajewca i Gajfutdinowa. Pietka ujrzał, że po twarzy spłynęła mu samotna łza. Glebow starł ją od razu i krzyknął wznosząc rękę:

— Towarzysze!

Czerwonogwardziści otoczyli go ciasnym kołem.

Przemówienie jego było krótkie, ale każde wypowiedziane przez niego słowo wydawało się Pietce niezwykle. Słowa te trafiały wprost do serca. Mówił o burżujach takich właśnie — myślał Pietka — jak inżynier Dubiogo czy Syczugow. Mówił, że bogacze i generałowie chcą głodnych nakarmić kulami, a knutem otrzeć łzy matek i żon. Mówił o prawdzie rewolucji, prawdzie, którą niosą bolszewicy.

— Wielki to zaszczyt — mówił — polec w walce o słuszną sprawę. Ale nieprawdą jest i myli się ten, kto myśli (tu Glebow spojrzał na Riazancewa), że naszym udziałem jest jedynie polec, złożyć siebie w ofierze, oddać życie lako fundament przyszłości...

Nie! Bolszewicy żyją po to, ażeby budować, tworzyć, walczyć i jak najwięcej zdziałać w ciągu przeżytych lat. Aż dech zapiera, gdy się pomyśli, co zdołało już osiągnąć nasze pokolenie! Odczuwa się wtedy radość, że marzenie zostało urzeczywistnione. Towarzysze! Nie jesteśmy fundamentem ludzkiego szczęścia, lecz jego świadomymi twórcami! Przypomnijcie sobie: przez wieki całe... powie-

wał nad Rosją dwugłowy orzeł. Mocne były więzienia carskie, a carscy żandarmi nie spali. Proletariusze gięli grzbiet i głodowali... zdarzało się, że znajdowali śmierć przy tej wykonywanej z musu pracy. — Głos Glebowa stał się teraz dźwięczny i młody, a wargi pobladły mu od wewnętrznego napięcia. — A w czyich rękach jest obecnie władza w Rosji? W naszych! Czego bronimy teraz? Pierwszej na świecie Radzieckiej Republiki Socjalistycznej! Kaledincy i inni zajadli wrogowie chcą zdeptać i zmiążdżyć młode państwo robotników i chłopów. Chcą nas ujarzmić i zakuć w kajdany. Ale my zwyciężymy! Na naszym sztandarze święta krew poległych za rewolucję, za komunizm. Do boju, towarzysze! Pomścimy Karaczajewca, Gajfutdinowa, całą sponiewieraną ludzkość! Przyśięgamy właśnie tutaj, nad ich grobem, że będziemy walczyć, będziemy pracować nie żałując rąk, będziemy umacniać naszą Republikę Radziecką, umacniać nie szcędząc sił!... Do boju, przyjaciele! Niech żyje władza radziecka! — Glebow już nie mówił, lecz wykrzykiwał, potrząsając wysoko podniesioną ręką:

— Ciaśniej zewrzyjcie szeregi! Do boju, towarzysze! Niech żyje partia bolszewicka! Niech żyje wódz rewolucyjnego proletariatu — Władimir Iljicz Lenin!

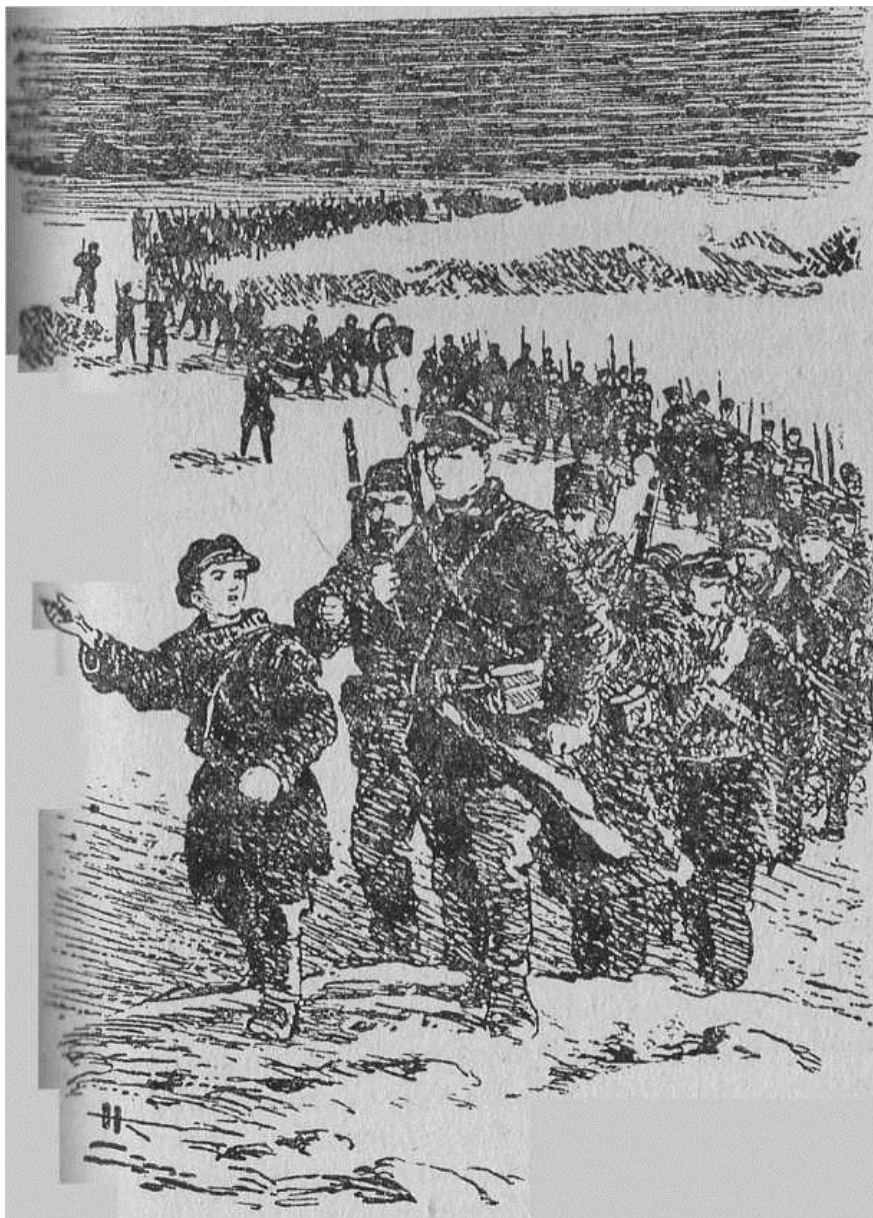
Pietka zapomniał o pogrzebie. Wysunął się naprzód z tłumu i patrzył na Glebowa szeroko otwartymi oczami. „Niektórych słów nie można zrozumieć” — pomyślał i w tej samej chwili poczuł, że coś mu rozpieiera pierś i dławia w gardle. Zaprağnał nagle chwycić karabin z bagnetem, strzelać i kłuć wroga. W myślach ujrzał generałów groźnie pędzących na koniach, nie takich jak Kozacy, gdzie tam, o wiele straszniejszych, ale on się teraz niczego już nie ulęknie... Zaprağnał nosić ciężkie belki, kamienie i pracować od rana do nocy, tak jak w odległych miastach pracują bolszewicy, umacniając swoją republikę. Co to oznacza i jak ją trzeba umacniać, tego, oczywiście, nie wiedział. Był jednak przekonany, że jest to sprawa słuszna, wartościowa i na pewno nie

mniej potrzebna niż sprawa wygnania z kopalni Kozaków i Sy-czugowa. „A w ogóle — pomyślał — trzeba zawsze być z bolszewikami. Na całym świecie nie ma nikogo lepszego od nich. Są wspaniali. Na przykład taki Chochriakow. A ten siwy, to chyba najważniejszy!”

Nagle Pietka poczerwieniał i spuścił oczy A co będzie, jeżeli zauważyli, jak się przestraszył w czasie walki? — pomyślał. Czyżby Chochriakow zauważył? Czyżby zauważał i ten „najważniejszy”?

Jeszcze powiedzą: „A niechże cię, co z ciebie za bolszewik!”

Na drugi raz, pomyślał z westchnieniem, trzeba się lepiej popisać. To nic. Teraz, na przykład, naokoło le-



żą trupy Kozaków, a on wcale się nie boi.

Tymczasem zasypano grób. Czerwonogwardziści otworzyli skrzynie z amunicją i rozdzielili między sobą naboje, taśmy do karabinów maszynowych i granaty.

Sanie opróżniły się tak, że można było położyć na nich rannych. Rozdano każdemu po kawałku czarnego chleba; Pietka także dostał. Zaczęli jeść już w marszu. Cały oddział ruszył w kierunku kopalni Rosyjsko-belgijskiej.

Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy: okazało się, że Pietka jest główną osobą. Wezwano go na czoło kolumny i Glebow powiedział:

— No, Piotr Szapowałow, prowadź.

Przez kilka minut Pietka czuł się bardzo szczęśliwy. Dzielnie maszerując spozierał to na idącego z jednej strony Glebowa, to na idącego z drugiej Nosowa z obsługi karabinów maszynowych. Z tyłu długim węzem rozciągnął się cały oddział.

„Waśka Tancjura uwierzy czy nie?”

Skreślił nieco na prawo i wszyscy czerwogwardziści skreśli za nim.

Niebo zasnuło się szarymi chmurami, zadał ostry wiatr i zaczęło się robić zimno. Na lewo wznosiły się hałdy „Magdaleny”, odległe o jakieś pięć wiorst; dalej, jeżeli przejdzie się jeszcze trzy wiorsty, znajduje się stacja ratunkowa. Ale tamtędy nie trzeba. Droga prowadzi na kopalnię Rosyjsko-belgijską, prosto przez pagórek, wzdłuż słupów telegraficznych.

Pietce z zimna posiniał nos, a szyja sama wciągnęła się w ramiona. Stary, watowany kaftan, który dostał za pracę u Syczugowa, nie chronił przed zimnym wiatrem. Nagle opanowało go straszne zmęczenie i nieprzeparta senność. Chciało mu się płakać ze złości. Zrozumiał, że nie panuje nad sobą i wlecze się ledwo poruszając nogami.

— Zmarłeś? — zapytał Glebow.

— Nie-e... gdzie tam! — odpowiedział Piętka i wypiąwszy pierś, zaczął po żołniersku dziarsko wymachiwać zziębniętymi rękami.

Glebow rozpiął guziki płaszcza, zdjął szeroki, wełniany szalik i podał go chłopcu, mówiąc:

Masz, włóż i noś na zdrowie.

Oddział wszedł na grzbiet pagórka. Na stepie było mało śniegu, choć dopiero wczoraj na dnie „belki” tonęli w zaspach. Tutaj, na wzniesieniu, ciemniały już plamy gołej, kamienistej ziemi. Kopalnia Rosyjsko-bel-gijska była widoczna jak na dłoni.

Na skraju osiedla ukazał się konny patrol. Kozacy zauważyli na pewno czerwonogwardzistów, gdyż najpierw zatrzymali się, a potem pomknęli galopem przez ulicę.

- Zauważyli... — rzekł Glebow. Schylił się do Pietki i pokazując palcem, zapytał: — Czy to ta ulica, tam gdzie ten duży dom? Czy na tej ulicy umówiliśmy się z Choch-rikowem? — A gdy chłopiec odpowiedział „tak”, dodał, jak gdyby w zamyśleniu: — A więc tak. Teraz rozumiem.

Milczał chwilę, oglądając jednopiętrowe domki przysypane śniegiem, rysującą się w dali ażurową wieżę szymbową i masywną bryłę wielkiej hałdy. Potem znowu wrócił się do chłopca i rzekł:

— To nic, bracie. I ty, i ja jesteśmy bolszewikami. A sprawa jest taka: — zmarszczył groźnie brwi — idź natychmiast do taborów i powiedz im w moim imieniu...

„I ty, i ja” mówi — pomyślał Pietka i spojrzał na Glebowa z ukosa — żartuje czy naprawdę?”

— Powiedz, żeby tabory na razie nie posuwały się dalej, Taboryci niech przyjdą tutaj. A ty zostaniesz z Sofronowem — to jest taki doktor — i będziesz razem z nim opiekować się rannymi. Zrozumiałeś? Nie popłaczysz? tylko, wiesz, bracie — Glebow dotknął palcem kaptana Pietki — zachowaj się tym razem jak prawdziwy czerwonogwardzista: gdy dano rozkaz, trzeba go wypełnić. Uważaj i ani na krok nie odstępуй Sofronowa! No, śpiesz się. Idź!

Pietka pędził jak strzała w kierunku taborów i myślał: „Jestem już czerwonogwardzistą...”

Nie zdążył jeszcze dobiec do pierwszych sań, gdy z tyłu, na pagórku równomiernym terkotem zabrzmiała salwa karabinów maszynowych.

Huraganowy ogień nagle ustał. Wymachując karabinami czerwonogwardziści zbiegli w dół po spadzistym zboczku. Nie biegli ani naprzód ku kopalni Rosyjsko-belgijskiej, ani z powrotem, lecz w bok, tam gdzie daleko w stepie migwały uciekające galopem dwie sotnie kozackie.

— Zawracaj! — krzyknął podbiegając do sań młody dziobaty żołnierz w za-tuszczonym, wатовanym ubraniu, nie panując nad sobą ze wzburzenia. — Nie widzisz, że Kozaczki drapnęli? A ty tu stoisz! Ty co, jezdny? — rzucił się na Pietkę. — Zastrzełę gada! Zawracaj!

Pietka spojrział i zobaczył mnóstwo ludzi wysypujących się na step od strony kopalni Rosyjsko-belgijskiej. Postacie ludzkie wyglądały na śniegu jak muchy na papierze. „Górnicy — domyślił się Pietia — także pędzą Kozaków. Tu i tam Czerwona Gwardia; tutaj pietrogradzka, a tam górnicza. Tam Chochriakow. Ale który to — nie można stąd rozpoznać”.

— Zastrzełę! — krzyczał dziobaty. — Kontrrewolucyjna hydra! Kukła! Powiedziano ci: wież amunicję. Jazda!

— Czego się drzesz? — odciął się Pietka i obejrzał do tyłu. — Tam jest doktor. Jemu powiedz.

— Co ty mi tu o jakimś doktorze gędzisz! On mi będzie rozkazywał, ten twój doktor, co? On tu ma rannych pilnować, a co tobie do tego? Powiedziano ci już raz — zawracaj! Ja cię... pod sąd! Hydra... Maz-zepa!

Taboryci odeszli jeszcze na początku walki. Wzięli karabiny i wspięli się na pagórek. Chłopcu polecili uważać na konie. Nie wiadomo dlaczego nikt z nich dotąd nie wrócił.

Nagle dziobaty chwycił za uzdę stojącego na przodzie konia i szarpnął za lejce. Pierwsze sanie skreśliły z drogi i ruszyły po twardej szreni w ślad za biegnącymi czerwonogwardzistami.

--- Bierz lejce! — krzyknął do Pietki i wziął się do zawracania drugich sań.

Pietka obejrzał się z zakłopotaniem. Sofronowa nie było w pobliżu. Jego torba z czerwonym krzyżem migała już na szczycie pagórka.

„Co robić? Może Glebow tak kazał?”

Chłopiec wziął lejce i poszedł obok sań.

W ślad za pierwszymi ruszyły drugie sanie i trzecie. zwarte sanie z rannymi zostały za wzgórzem. Został także Sofronow i jeszcze jacyś czerwonogwardziści. Widocznie zbierają nowych rannych.

Gdy dziobaty żołnierz zobaczył, że konie idą posłusznie jedno za drugim, tak jak do tego przywykły, dogonił Pietkę i zaczął mówić, jak gdyby nigdy nic, jakby nie groził dopiero co, że go zastrzeli.

— Hej, mały! — rzekł. — Ile latek sobie liczysz, będzie z trzynaście? Tutejszy pewnie jesteś, z kopalni?

Przedtem drogę pokazywałeś.

— Tutejszy — odpowiedział Pietka niechętnie.

— Ta-ak — rzekł żołnierz przeciągając sylaby. — Niedawno jesteś w oddziale, to jeszcze nie rozumiesz. Serce cię nie boli. A ja, jak spojrzałem, to jakby mnie ktoś nożem dźgnął.

Kozacy skryli się już za osiedlem „Magdaleny”, a tyraliera czerwonogwardzistów wchodziła do osiedla. Poloka lodowa nie wszędzie była mocna i gdzieniegdzie płozy sań zapadały się w śnieg. Zapadały się również kopyta koni.

— Tutaj — rzekł znowu dziobaty pokazując rękawicą na swoje czoło — kula go trafiła, a tamtędy wyszła — pokazał na kark — na wylot...

„Zabili kogoś” — pomyślał Pietka.

— Ech, co to był za człowiek... E-e, ty i tak tego nie zrozumiesz! Och, to był człowiek!

Żołnierz westchnął, spuścił głowę i szedł teraz w milczeniu.

Wreszcie Pietka postanowił dowiedzieć się:

— Kogo zabili?

— Kogo? — Współtowarzysz spojrział na chłopczyka przymrużonymi szarymi oczami, jak gdyby nie mógł znaleźć słów, ażeby wyrazić swoje lekceważenie, i z nieoczekiwaną złością krzyknął: — Kukła! Godzinę ci już wbijam do głowy: naszego Glebowa położyli trupem... Możesz to pojąć swoją mózgownicą? Glebowa!

Po kilku minutach dziobaty zauważył, że ostatnie sianie pozostają w tyle, i poszedł, by popędzić konie.

Pietka zamrugał najpierw oczami, jak gdyby istotnie nie mógł nic zrozumieć.

„I ja, i ty — przypomniał sobie — jesteśmy bolszewikami...” Obejrzał się; step był taki, jak zawsze, z niewielkim wzniesieniem przy kopalni Rosyjsko-belgijskiej. Teraz tylko śnieg na nim widać.

Oglądając się poczuł, że łaskocze go w szyję ciepły, wełniany szalik.

„Ja i ty — jesteśmy bolszewikami...”

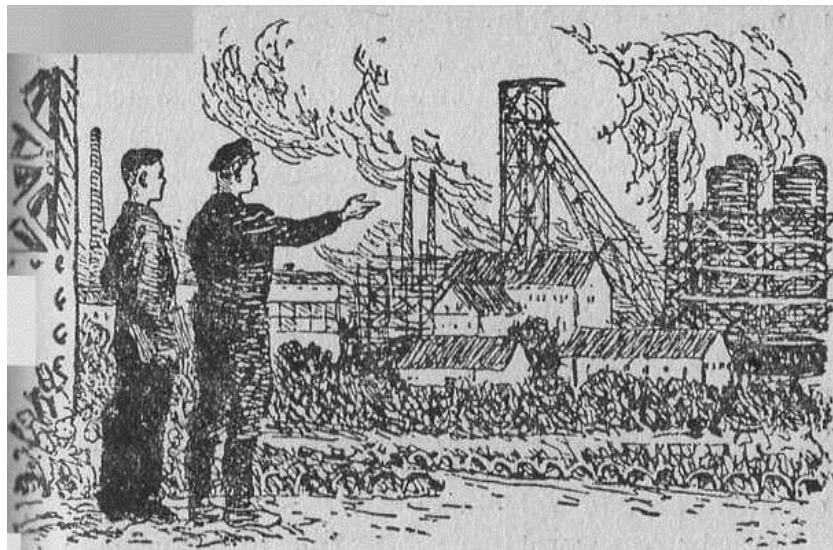
Twarz Pietki skrzywiła się na chwilę, zaszlochał, a kontury pagórka rozdwoiły się od łez, drgnęły i popłynęły dokądś w górę.

Potem, trzymając lejce jedną ręką, szybkim ruchem pochylił się nad saniami i wziął stamtąd krótki kozacki karabinek, jeden z tych, które zebrano na poboju. Nie przystając i nie zwalniając kroku, przewiesił go sobie na rzemieniu przez ramię. Jeszcze raz obejrzał się, a potem otarł rękawem policzek, spojrział przed siebie i lejcami przyśpieszył konia. „Nie wolno odłączać się od czerwonogwardzistów” — pomyślał i, naciągnawszy palcem. pas karabinu, mocno przycisnął broń do pleców.



Część trzecia

„GŁOSIMY ERĘ OBFITOŚCI”...



ROZDZIAŁ I

DROGA ROZSZERZA SIĘ

To, co pozostało po laboratorium Lisicyna— szczątki przyrządów i szkła laboratoryjnego oraz szczelnie zamknięte słoiki z odczynnikami i przygotowanymi na zapas aktywnymi ziarnami — wszystko to przeleżało w ziemi pełnych piętnaście lat.

I znowu przyszedł czerwiec.

Jak dawniej czerniły się hałdy „Świętego Andrzeja”, jak dawniej step przesycony był zapachem piołunu. Te same szyny ciągnęły się aż do skraju horyzontu, a bocznice promieniście rozchodziły się do poszczególnych kopalń. Na stacji kolejowej wszystko niby wyglądało po staremu. Te same brunatne ściany z cegły, te same ławki dla pasażerów, ten sam dzwonek u drzwi. Ale nad oknami budynku dworcowego, od strony peronu, powiewał jaskrawy pas czerwonego płótna. Pojawił się on nie-

dawno. Na płótnie, które nie zdążyło jeszcze wyblaknąć, widniały wielkie białe litery napisu: „Wykonamy pięciolatkę w ciągu lat czterech!”

Zbliżało się południe.

Upalne, letnie słońce nagrzało peron. Asfalt stał się miękki jak dywan. Gdy zawiadowca, w białej marynarce i czerwonej czapce, wyszedł na spotkanie pociągu, na asfalcie odcisnęły się obcasy jego butów. Każdy krok zostawiał płytkie wgłębienie.

Zatroskanym wzrokiem spojrzął na tory zapchane naładowanymi platformami, potem popatrzył w dal — na zwrotnicę przy semaforze wyjściowym i na manewrujący parowóz, popychający wagony towarowe w kierunku zwrotnicy.

„Przepuszczę szesnasty pośpieszny — pomyślał — a tu znowu z kopalni podają nowe cztery składy. Cóż to, czy ja jestem siedmiorowy? W jaki sposób zdążę wymanewrować? Tam znów czterdziesty siódmy według rozkładu... Nie dadzą odetchnąć! Ładują i ładują... Ani myślą przestać. Kopia węgiel i rób, co chcesz! A co ja mam zrobić? Jak uważacie, drodzy towarzysze? — zwrócił się w myśli do kogoś. — Przecież torów nie przybyło. Ile było przed rewolucją, tyle jest i teraz. Weźcie to pod uwagę, proszę”.

W dali, za semaforem, nad dachami domów pojawił się dymek szesnastego pośpiesznego — biały obłoczek na lśniącym błękitnie nieba. Zawiadowca otarł chustką spoconą twarz — żeby chociaż wiaterek powiał! — obejrzał się i spojrzął na duży peronowy zegar.

„Szesnasty o minutę przed czasem... Tak więc, towarzysze — kontynuował swoje rozmyślenia — weźcie to, proszę, pod uwagę, ponieważ przebudowa stacji ma według planu nastąpić dopiero za rok. A przecież bez przebudowy nie mogę... Jak uważacie... Za rok powiększymy stację, a wtedy ładujcie nawet sto składów na dobę”.

Pociąg zbliżał się już do peronu. Na parowozie widniały dwie wycięte z miedzi cyfry, każda wielkości niemal

połowy ludzkiego wzrostu, a między nimi litera: „5w4”. Cyfry z literą przemknęły obok zawiadowcy, zadudniły koła wagonów, zasyczały hamulce i pociąg zatrzymał się łagodnie. Na parowozie od razu zaczęła pracować pompa: pf-pf!... pf-pf!... pf-pf!...

Z wagonu z miejscówkami wysiadło dwóch młodych ludzi z walizkami w rękach. Ubrani byli w koszule z mankietami i spinkami, bez kołnierzyków i krawatów, w czarne sukienne spodnie do konnej jazdy i wyczyszczone jak lustro buty. Jeden miał koszulę białą, a drugi — w pomarańczowe paski. Obydwaj, nie oglądając się, poszli twardym żołnierskim krokiem w kierunku budynku stacyjnego.

— Przydałaby się furmanka — rzekł jeden z nich otwierając szeroko drzwi.

— I tak damy sobie radę — rzekł drugi, czarnowłosy.

Na placu przed dworcem, gdzie z rzadka rosły krzaki akacji, ogarnął ich znowu żar palącego słońca. Spośród akacji wybiegł im na spotkanie barczysty dryblas w małej czapeczce z guziczkiem.

— He-ej, chłopaki!... Rabfakowcy *! Jak się macie! - i od razu wyciągnął do nich szeroką dłoń. — Jak się masz, Tancjura! — uścisnął rękę najpierw jednemu, potem drugiemu. — Jak się masz, Szapowałow! No, jak Łam? Na stałe do nas? Czy na wypoczynek tylko? A jak tam z nauką — nie skończyliście jeszcze?

Przyjezdni postawili walizki na ziemi. Wszyscy trzej stali kilka minut w milczeniu, patrząc na siebie i uśmiechając się tylko. Chłopiec, który podbiegł do przyjezdnych przyjaciół, trzymał pod pachą zeszyt owinięty w gazetę.

— Ty, Daniłka, jesteś taki, jak byłeś — rzekł Szapowałow błyskając białymi zębami. — Nic się nie zmieniłeś, po prostu ani odrobinę!

* *Rabfak — Raboczij Fakultiet — Wydział Robotniczy, kurs przygotowany dla robotników na wyższych uczelniach radzieckich.*

— Co ty mówisz! — zaśmiał się Daniłka. — Ale kupiłem sobie nową czapkę. Nie zauważyłeś? Ładna czapeczka, nie ma co mówić...

— Co ty tu robisz? Dlaczego jesteś na stacji?

— Aha, wszystko chcesz wiedzieć! Patrzcie go! No, chłopaki, jakże się cieszę z tego nieoczekiwanego spotkania z wami... — Zacharczenko zajrzał w oczy swoim starym przyjaciołom, Waśce i Pietce, po czym wziął zeszyt i zwinął go w rulon. — Muszę pędzić na swoją zmianę. Jeżeli to wam po drodze, to chodźcie. O, idę, w tę stronę, widzicie?

Wskazał zeszytem przestrzeń za zabudowaniami osiedla kolejowego.

Dawniej rozciągał się tam pusty step, a teraz rozłożyło się całe miasteczko prowizorycznych drewnianych baraków.

Poszli w trójkę środkiem ulicy.

Baraki na pustkowiach nie zdążyły jeszcze ściemnieć i lśniły żółcią świeżych desek. Wydawało się, że pachną jeszcze żywicą. Za barakami i magazynami, za niewysoką wieżą szypową z okrągłaków wyrastały otoczone rusztowaniami mury z cegieł.

Szapowałow szedł nie odrywając oczu od roztaczającego się przed nim widoku. „Oto, jak wygląda w rzeczywistości — pomyślał — ten mały znaczek, mały czarny trójkącik, jakich setki widnieją na mapie Związku Radzieckiego. Cała mapa jest teraz usiana znakami budujących się zakładów przemysłowych. Każda nowa kopalnia — to czarny trójkącik”. A właśnie tego trójkącika jeszcze zimą, w rabfaku, szukał często na swojej mapie pośród wielu innych, zupełnie do niego podobnych. Stamtąd przychodziły listy od Chochriakowa. „Ciekawe — myślał Pietka — jak to wygląda w rzeczywistości. Bardzo ciekawe, bardzo...”

Tam, tak jak dawniej, widać „Magdalene”, a w dali rysują się hałdy kopalni Rosyjsko-belgijskiej. Wystarczy jednak trochę tylko odwrócić głowę, a nowe budowle zbliżają się coraz bardziej.

Szapowałow doznawał dziwnego uczucia, jak gdyby przyjechał nie do miejsc rodzinnych, w których zna każdy wzgórek, lecz do jakiejś nie znanej mu krainy. Spojrzy: oto „Magdalena” i „Rosyjsko-belgijska”. Jak gdyby wyciągnięto je z przeszłości i to naumyślnie, jako przestrogę dla potomności — potem wzrok przenosi się znowu na żółte, świeżo przepiłowane deski, jakby stare kopalnie naumyślnie przeniesiono do tego budującego się świata. „Dziwne” — powtarzał w duchu Pietka. Jeszcze trzy lata temu był tutaj taki, zarosły piołunem step, jakim go pamiętał z lat dziecińczych. Od tego czasu minęły wszystkiego dwa lata i trzy zimy.

— Tu ma być kopalnia-gigant! — mówił Zacharczenko wymachując zeszytem. Po jego twarzy prześlizgiwał się pobłażliwy, z lekka zarozumiały uśmiech, jaki miewa zwykle mieszkaniec stolicy pokazujący gościom z prowincji osobliwość miasta. — Będzie się nazywała „Numer Siedem-bis”! Będzie dawać dwa tysiące ton na dobę!

— A ty — zapytał go Tancjura — pracujesz na nowej kopalni?

— Ja? Oczywiście, że na nowej. — Daniłka spuścił oczy i dorzucił ze sztuczną niedbałością: — Jako maszynista przy przebijaniu szybu.

— Popatrz, popatrz! — Tancjura uniósł brwi. — Jako maszynista?

— Jako maszynista — skromnie potwierdził Daniłka, ale przymrużył przy tym oczy z takim wyrazem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie wy jedni; ja także nie jestem pierwszy lepszy”. Po chwili rzekł, dotykając ręki to jednego, to drugiego rabfakowca: — Wielu z naszych zdobyło kwalifikacje. Pamiętasz Aloszkę Stognuszenko, tego, co był komsorgiem na dziewiątej? Uczył się

ze mną na kursach dla mechaników. A pamiętasz Mitkę Rukawiesznikowa? Jest teraz dziesiętnikiem na kapitalnych robotach budowlanych. I Tapkin Serioga, i Wańka Cy-ganok... a ilu jeszcze! Zresztą pobędziecie tutaj, to sami zobaczycie.

Piotr Szapowałow szedł i patrzył nie czując ściekających mu z czoła kropel potu. Zapomniał, że w ręku ma ciężką walizkę z książkami.

Oto zaczął się już teren budowy. Dolatywał stamtąd hałas. Słyszać było stuk młotów pneumatycznych i zgrzyt pił tarczowych. Było w tym hałasie coś wesołego, coś świątecznego. Tu kopaczka wyciągała swoją długą trąbę, tam oto beczki ustawiane w piramidę, a w nich pewnie cement. Stosy desek, belek i cegieł. A tam, dalej — co tam znowu budują?

— Daniła, a tam co?

— Tam będzie koksownia.

Nad głowami bezchmurne niebo, niemal prostopadle promienie słońca.

— Nasza brygada — rzekł Zacharczenko — wzywa robotników montażowych do współzawodnictwa. Na razie osiągamy sto dwadzieścia procent planu.

Szapowałow doznawał uczucia radości, bo przyjechał przecież jak do siebie, do domu. Z drugiej jednak strony czuł się trochę winnym.

„Obeszło się bez ciebie — powiedzą. — Myśmy budowali nowy Donbas, a ty schowałeś się jak ten żółw.

I to kiedy! Cały czas przesiedział nad książką. Pisał dyktanda, rozwiązywał zadania algebraiczne, a potem zjawił się jak nieproszony gość”.

„Czy nieproszony? — pomyślał. — To się jeszcze okaże!”

Przypomniały mu się dni i wieczory spędzone w rabfaku. Przypomniało mu się, że w walizce, którą trzyma w ręku, w dużym notesie wśród konspektów i notatek znajduje się ten sam cytat z Mendelejewa, który go tak zdumiał: „Z czasem nadejdzie pewnie taka epoka, że

nie będzie się wydobywać węgla spod ziemi, lecz od razu tam, pod ziemią, przekształci się go w gazy opałowe, które rurami rozprowadzi się na duże odległości". Również i Leninowi, przypomniał sobie Szapowałow, spodobała się myśl, że ludzie nie będą musieli spuszczać się pod ziemię! Lenin napisał artykuł pod tytułem: „Jedno z wielkich zwycięstw techniki", w którym mówi, że podziemne zgazowywanie oznacza gigantyczną rewolucję w dziedzinie techniki.

Zeszłej jesieni Pietka po raz pierwszy usłyszał o możliwości przekształcania pokładów węgla w gazy opałowe. Wprawiło go to w taki zachwyt, że poszedł do wykładowcy i zapytał, na jaką wyższą uczelnię trzeba wstąpić, ażeby się tego nauczyć. „Nie ma takiej specjalnej uczelni — odpowiedział mu wykładowca. — Proces zgazowywania węgla wymaga pracy inżynierów różnych specjalności. Energetyków, chemików i górników". Pietka chciał się dowiedzieć, jak się nazywa uczony, który to wymyślił. „O — wykrzyknął nauczyciel — to Dmitrij Iwanowicz Mendelejew!" — Otworzył książkę i dał uczniowi do przeczytania, co mówił na temat podziemnego zgazowywania węgla Mendelejew, a potem Lenin. Wtedy to Szapowałow wpisał do swojego notesu cytaty i jeszcze raz zapytał: „Mendelejew? To znaczy, że chemia naprowadziła go na tę myśl?" „Tak, chemia — potwierdził nauczyciel — oczywiście, że chemia! Podstawa techniki przyszłości!"

Teraz, idąc po stepie Pietka obejrzał się niespokojnie. Nie wiadomo, jak Chochriakow ustosunkuje się do wybranej przez niego specjalności; czy nie powie: „Szukasz niebrudzącej roboty!" Dotknął ramienia Zacharczenki i zapytał:

— Chochriakow zdrowy, wszystko u niego w porządku?

— Aleksandr Siemionowicz? — powtórzył Daniłka.

— Tak, Aleksandr Siemionowicz.

— Jest sekretarzem naszej organizacji partyjnej...

No, chłopaki, żegnajcie, do jutra! Albo czekajcie, mam

wolne pojutrze, więc lepiej spotkamy się pojutrze. Już mnie nie ma, do widzenia!

Czapka Daniłki mignęła za niewysokim drewnianym pomostem i znikła. Po pomoście toczyły się pod górę wagoniki z kawałkami skały. Widać było, że skała była mokra, bo z wagoników kapiała woda. Tuż obok wieży szynowej stało dwóch wiertaczy opartych łokciami o poręcz. Obydwaj mieli gumowe buty, wyłożone na nie szare gumowe spodnie, szare gumowe kurtki i skórzane czapki z opadającymi na plecy skrzydłami. Zapewne dopiero co wyszli spod ziemi; na odzieży ich nie wyschły jeszcze plamy rzadkiej czerwonej gliny.

Jaka dobra odzież ochronna — rzekł Tancjura w zamyśleniu i przystanął.

— To nic, Wasia — rzekł półgłosem Szapowałow odpowiadając swoim myślom. — Kto nas wysłał, ażebyśmy się uczyli? Partia. To znaczy, że w interesie partii było, ażebyśmy się uczyli. Więc nie potrzebujemy się wstydzic.

— A, niech cię! — machnął ręką Tancjura. — Chodź, jedziemy! — I dłonią poklepał po plecach towarzysza.

Chciał już jak najprędzej znaleźć się na kopalni Rosyjsko-belgijskiej, noszącej obecnie nazwę kopalni „Numer Cztery”, zobaczyć siostrę Maryjkę, która wyszła za mąż za inżyniera Kosycha, i poznać nowego członka rodziny. Chciał jak najprędzej zobaczyć przyjaciółkę Maryjki, Olgę. Czy Olga ucieszy się jego przyjazdem, myślał Tancjura, czy też będzie jej to obojętne? Pisała takie piękne listy!

„A Pietka ciągle tylko o filozofii — łyżkami by ją jadł. Patrz — we wszystkim wyszukuje trudności... »Ta na szczo wony«? Uczymy się i dobrze. Od tego jest władza radziecka”.

— Chodźmy! Czego stoisz?

- Nie pójdę dalej, Wasia — rzekł Pietka.

- Masz tobie! To ci dopiero zaraza!

- Nie, nie pójdę. — Pietka potrząsnął głową i odgarnął z czoła kosmyki czarnych włosów. — Zostanę tutaj. Chcę odszukać Chochriakowa. Nie gniewaj się na mnie i idź sam. On tu jest gdzieś blisko.

--- No-o — rzekł Wasia przeciągle — to nie po-ko-le-że-eń-sku...

Bądź zdrow! — Szapowałow ścisnął go za ramię. — Odszukam cię jutro. Albo najdalej pojutrze razem z Daniłką. A więc, tymczasem.

Skinał głową, wziął walizkę i skierował się w stronę pomostu, by pomówić z wiertaczami i dowiedzieć się czegoś o Chochriakowie. Po chwili obejrzał się i zobaczył, że Tancjura w swojej białej koszuli w pomarańczowe paski i z walizką, którą zarzucił na ramię, maszeruje już na przełaj przez step.

— Gdzie jest sekretarz waszej organizacji partyjnej?

— Aleksandr Siemionycz? — odpowiedział jeden z wiertaczy. — Cały dzień tu się kręci. Tam i nazad. Przed godziną, półtora, był u nas na dole. Spytaj się w biurze, mój kochany; o, tam na lewo — ten duży barak to stołówka. Obejdiesz go i za nim... zapytaj się, każdy ci chętnie pokaże.

Chochriakowa nie było w biurze i Szapowałow długo chodził w ślad za nim tam i z powrotem. Krążył przy stosach desek koło budujących się murów i przechodził po wąskich, uginających się deskach nad głębokimi wykopami. Buty Pietki, które tak starannie wyczyścił rano w pociągu, były teraz całe powalane gliną, cementem i wapnem. Wszędzie odpowiadano mu, że „Aleksandr Siemionowicz niedawno wyszedł”, i radzono, w którą stronę udać się, aby go spotkać. Koszula Pietki zupełnie już przemokła od potu, gdy wreszcie zza belek wieży szybowej — nie tej, przy której rozstał się z Tancjura, lecz innej — doleciał go soczysty i potężny bas.

— Daj tylko trochę czasu — mówił do kogoś Aleksandr Siemionowicz. — A jeżeli chodzi o nich, jakżeby im

się nie chciwo! Widzą przecież, że nabieramy sił. Powiem ci, że szkodnicy, którzy po prostu brużdżą, i partyjni oportuniści, którzy niby to się krzątają — wszyscy oni marzą o jak największych ustępstwach na rzecz wroga... jak ci powiedzieć?... wszyscy oni, mówię ci, z tego samego gatunku. Wszyscy na jedno kopyto. Ja to wy czuwaam !

Szapowałow zrobił kilka kroków i wyszedł z za wysokiego stosu belek. Chochriakow nie od razu go zauważył.

Siedział na drewnianej belce u stóp wieży szybowej. Ubrany był w podniszczone brezentowe ubranie górnicze i skórzaną czapkę z szerokimi skrzydłami. Znajomym ruchem składał ręce, to znowu rozkładał je przed sobą. Widząc ten ruch Pietka uśmiechnął się i jakoś ciepło zrobiło mu się na sercu.

— Wojna, bracie, trwa. Przyjrzyj się — mówił Chochriakow do siedzącego obok górnika; w głosie jego narastały stopniowo nuty gniewu, — Przypatrz się temu, proszę... jak zwlekają z dostawą gazobezpiecznych agregatów. Myślisz, że to może przypadek? Pytasz: kto winien? A to przecie po prostu sabotaż! Jak to się mówi: rzucanie kłód pod nogi? — Aleksandr Siemionowicz zmrużył oczy. — Mobilizujemy masy do wzmożonej pracy. Robotnicy wysuwają własne plany... Jeszcze dzisiaj pojedę do Rejonowego Komitetu Partii! Ty, Nikołaj Fiedotycz, wyślij telegram do WSNCh *, do samego Siergo... Bardzo cię proszę wyślij natychmiast!

Wstał, odwrócił się i nagle spojrzenie jego padło na Pietkę. Szybko rzucił się ku niemu:

— Pietro, przyjacielu! Ach, ty komsomolec!

„Mówi mi: komsomolec! — przemknęło Pietce przez myśl. — Czyżby zapomniał, że sam dał mi rekomendację do partii?”

— Na długo przyjechałeś? A jak tam z nauką? — wypytywał Chochriakow zaglądając w twarz swojemu byłemu wychowankowi. — Powiedz sumiennie: nie zawiodłeś?

* WSNCh — Wyższij Sowiet Nar odnowo Ghaziajstwa — Najwyższa Rada Gospodarstwa Narodowego.

— Z nauką jakoś idzie — odrzekł Szapowałow błyskając białymi zębami. — Można powiedzieć, że rabfak ukończyłem. Dostałem skierowanie na uniwersytet. Na jesień.

— A więc teraz jesteś w całym tego słowa znaczeniu studentem?

— Jesienią będę.

— No, tak, tak!

Aleksandr Siemionowicz klepnął go po ramieniu:

— Trzymaj się teraz, bracie! Mocno się trzymaj!

W tej samej chwili zwrócił się do człowieka w ubraniu górniczym, z którym przed chwilą rozmawiał o telegramie do WSNCh, i rzekł wskazując ruchem głowy na Pietkę:

— Nikołaj Fiedotycz, oto Piotr Szapowałow. W siedemnastym roku wujek jego umarł na tyfus i od tego czasu jest on dla mnie jakby synem. Przewojował razem ze mną całą wojnę domową aż do Perekopu. Obecnie jest studentem. Kandydatem partii. — Skinął głową w kierunku Pietki. — Poznajcie się: to kierownik naszej budowy.

„Ciekawe, ile on ma lat? Może mieć równie dobrze trzydzieści, jak pięćdziesiąt. Trudno się zorientować!” — pomyślał Pietka podchodząc do kierownika budowy.

Nikołaj Fiedotycz miał przyprószone siwizną brwi i całkiem siwe skronie. Pod brwiami uśmiechały się żywe, mądre oczy. Były wesołe i tak ciemne, że miało się ochotę powiedzieć: podobne do czarnych jagód. Podał rabfakowcowi rękę i wymienił swoje nazwisko:

— Osadczij.

Co pewien czas rozlegały się jakieś sygnały. To górnicy pod ziemią pociągali za stalową linę, a na powierzchni młotek, zawieszony na jednej z belek wieży szybowej, dźwięcznie uderzał o żelazo. Według tych sy-

gnałów maszynista wprawiał w ruch windę. Gdy z szybu wynurzał się naładowany kubeł, robotnicy przewracali go i skała z hałasem wysypywała się do zbiornika z desek, a stamtąd — na wagoniki.

Nikołaj Fiedotycz spojrzął na zbiornik i zapytał robotników, ile wózków wyciągnęli od początku zmiany, Potem popatrzał na zegarek i powiedział do Chochriakowa, że pójdzie do stołówki na obiad.

— Może pójdziemy razem? — zaproponował. — Przy okazji nakarmimy gościa.

Poszli razem. Stołówka mieściła się w bardzo długim drewnianym baraku, w którym stało około sto stolików nakrytych obrusami; podłoga z ubitej ziemi była równiutko posypana żółtym piaskiem. Przy niektórych stolikach jedli obiad ludzie w niebieskich kombinezonach.

— To ślusarze i robotnicy montażowi — wyjaśnił Aleksanandr Siemionowicz. — Robotnicy budowlani i górnicy przyjdą później. Wtedy w stołówce zobaczysz — mówił będzie ludzi jak na imieninach.

Przed obiadem wszyscy myli ręce. Do tego celu przeznaczony był osobny, duży pokój przy wejściu.

Otwarte okna osłaniała naciągnięta mocno gaza. Kelnerki w białych fartuszkach, zręcznie balansując tacami, roznosiły tłusty, gęsty barszcz, kawałki pieczonego mięsa z kaszą i szklanki z kompotem.

„Ale karmią robotników, aż miło...” — pomyślał Szapowałow.

Zajęli w trójkę oddzielny stolik.

— To w jesieni wstępujecie na uniwersytet? — zapytał Osadczyj młodego człowieka.

— Tak — odpowiedział Pietka — zgadza się.

— Aha! Ja również, wiecie, studiowałem. To było z górą dwadzieścia lat temu. Nie udało mi się skończyć. Zesłano mnie. A jaki wydział wybraliście?

— Pewnie... — Szapowałow zmieszał się z jakiegoś powodu — pewnie pójdę na chemię.

— Na chemię? — powtórzył Nikołaj Fiedotowicz. — Dziękuję! — rzekł do kelnerki biorąc od niej talerz barszczu. — Wy, Nastieńka, zawsze jak kwiatek. — Po czym znowu zwrócił się do rabfakowca: — Na chemię, to pięknie! Ta nauka ma wielką przyszłość! Słuszny wybór:

Chochriakow położył łokcie na stole i podparł twarz pięściami. Patrzył na Szapowałowa, nie wiadomo — z aprobatą czy ze zdziwieniem.

— Będziesz chemikiem — powtarzał. — No, no! No, no! Chemikiem.

I nagle oczy jego przybrały taki wyraz, jaki miewały w dawno minionych dniach, kiedy malutki Pietka siedział przy elementarzu. Było to pod koniec siedemnastego roku. Chochriakow postanowił pokazywać chłopcu co dzień po jednej literze, ale nazajutrz ten znał już cały alfabet. Myśląc, że uczeń wszystko zapomni i popłacze, Aleksandr Siemionowicz egzaminował go surowo przez dwa tygodnie. „No — mówił — spójrz tutaj. O tu przeczytaj. A tu, co to za słowo? A to co za litera? — i dobrotliwie gładził go po głowie. — Zuch z ciebie — mówił — spryciarz”.

Teraz Aleksandr Siemionowicz spojrzał na rabfakowca spod gęstych brwi koloru słomy i w oczach jego, jak dawniej, zabłyśły iskierki.

— A powiedz no — zapytał — jakie nakłady inwestycyjne przewiduje się w pięcioletce dla przemysłu chemicznego?

Były uczeń zaczerwienił się i milcząc wzruszył ramionami.

— Ile superfosfatu wyprodukuje się w ciągu pięciu lat? Ile kwasu siarkowego?

Szapowałow znowu uniósł ramiona i przecząco potrząsnął głową.

— Jakże to? — zapytał Chochriakow. — Nawet ja to wiem. Nakłady inwestycyjne dla chemii wynoszą... — zmarszczył czoło wysilając pamięć — wynoszą... jeden i sześć dziesiątych miliarda rubli. Ogólny wzrost produkcji

— pięćset dwanaście procent. Superfosfatu według planu... No, dobrze, dobrze! Barszcz wystygnie — jedz, potem pomówimy.

„Nie zajmuje się chemią, pomimo to pamięta! — pomyślał Pietka i w myśli dał sobie słowo, że nauczy się na pamięć całego planu pięcioletniego. — Przecież ten plan jest teraz sprawą najważniejszą w życiu państwa radzieckiego. — Wziął łyżkę i zmieszany pochylił się nad talerzem. Barszcz okazał się smaczny. — Och, zapędzili mnie w kozi róg! A komunista powinien wszystko wiedzieć!”

Osadczyj, w oczekiwaniu na drugie danie, oglądał plakaty na ścianach i miętosił w palcach kawałek chleba.

— Tak, chleb — powiedział, znowu zwracając się do Szapowałowa. — Wielu uczonych rozmyślało nad nim. Znałem pewnego chemika. Zetknąłem się z nim w tajdze I nawet pomogłem mu zbiec z katorgi. Potem znikł bez śladu. Nie wiem, czy umarł, czy wpadł w ręce żandarmów. Dowiadywałem się o niego później, ale nikt nie mógł mi nic o nim powiedzieć. Żadnego śladu — jak kamień w wodę. — Nikołaj Fiedotowicz przestawił solniczkę z jednego miejsca na drugie i strzepnął z obrusa okruchy. — Mówię o tym — rzekł podnosząc głos — ażeby wykazać, jakie interesujące problemy istnieją w chemii. Na przykład człowiek, o którym teraz wspominałem, w 1906 roku... Aha, nie, w 1907... wyprodukował w swoim laboratorium w Leningradzie cukier i mąkę. Leningrad nazywał się wtedy Petersburg. Otóż otrzymał on cukier i mąkę wprost z dwutlenku węgla i wody, bezpośrednim działaniem na siebie składników, za pomocą łańcucha reakcji chemicznych. Rozumiecie?

Szapowałow skończył jeść barszcz. Patrząc na Osadczego, skinął głową na znak, że dobrze zrozumiał. Chochriakow oparł się o krzesło i także słuchał.

— Tak więc — ciągnął dalej Osadczyj — Lisicyń opracował taki projekt. Wykorzystał dwutlenek węgla

zawarty w dymie. Z niego otrzymał skrobię i cukier. Droga syntezy. To przecież nic nie kosztuje. Zdaje się, że wydatki sprowadzały się do prądu elektrycznego, którego trzeba było zużyć dosyć dużo. Mówił o dużym rozchodowaniu energii. Dziwak był z niego. Skryty z usposobienia, miał wielką rudą brodę. Według jego wyliczeń, sztuczne pożywienie byłoby tanie i miało go być tyle, ile się zechce, choćby nawet miliardy pudów. W swoich przyrządach zastosował w jakiś sposób kombinację elektryczności i promieni słonecznych. Szkoda, rozumiecie, że przepadł taki człowiek, a razem z nim taki wynalazek. — Nikołaj Fiedotowicz westchnął. — Wielka szkoda! Oto jakie zagadnienia bywają w chemii! A przecież jest i wiele innych...

Gdy umilkł, Szapowałow wyjął z kieszeni notes i ołówek z blaszaną skuwką. Zdjął skuwkę i zapytał:

— Przepraszam, jak brzmi nazwisko tego uczonego?

— Lisicyń — odrzekł Osadczyj. — Władimir Michajłowicz Lisicyń.

„Lisicyń” — zapisał Szapowałow.

— Wybaczcie, że jeszcze zapytam: a jaka jest literatura na ten temat? Chciałbym przeczytać. Gdzie o tym pisano?

— Gdzie pisano? — Osadczyj uśmiechnął się. — Nigdzie! Pomocników nie miał. Dzienniki jego doświadczeń spaliły się w czasie pożaru, całe laboratorium spłonęło, a on sam zniknął bez śladu. Jeden z moich kolegów, student chemii, widział jego prace. Glebow także widział... Nastieńka — zawołał — co z drugim daniem? Czekamy!

— Idę!

Kelnerka z tacą podchodziła już do stolika.

„Co za Glebow?... — pomyślał Pietka. — Tamten także nazywał się Glebow. To samo nazwisko...”

Po obiedzie Nikołaj Fiedotowicz oznajmił, że ma dużo pracy, pożegnał się i poszedł do biura. Chochriakow za-

raz po wyjściu ze stołówki spotkał wysokiego dryblasa obsypanego białym pyłem wiertacza. Przystanęli, by porozmawiać. Najpierw zatrzymał się koło nich jeszcze jeden robotnik, potem trzeci, czwarty, wreszcie zebrała się spora grupa. Pietka skromnie stał na uboczu i dziwił się wielkiej ilości plakatów porzlepianych na ścianach domu. Były tam różne plakaty. „Bezpieczeństwo pracy — to sprawa wagi państwowej — przeczytał na jednym z nich. — Przestrzegajcie przepisów!" Podszedł do grupy ludzi, którzy obstąpili Chochriakowa, i przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Leksan Siemionycz — narzekał ktoś żalonym głosem. — W warsztacie naprawczym czekaliśmy niedawno dwie godziny na wiertła, Czy to jest dopuszczalne?

— A ja tak powiem — przerwał drugi głos. — My wykonamy plan bez żadnego „ale"! Ale Ogarkow ze swoją brygadą, powiem mu to w twarz... Przodownicy! i jak im nie wstydy?

— Aleksandr Siemionowicz! Jeżeli tam przestawi się belkę, to przejdzie wagon. Zobaczycie!

— A co on mówi? On mówi: poczekajcie trochę. Jak najprędzej tę podłużną... I jak podniesiemy...

Ludzie stojący wokoło Chochriakowa napierali jeden na drugiego. Każdy przystawał, by podzielić się troskami dnia dzisiejszego, myślami, które zrodziły się dopiero co, w czasie ostatniej zmiany. Każdy chciał z nim pomówić, zapytać o coś, poradzić się.

— Towarzysze — usłyszał Szapowałow znajomy bas.

— Jutro odbędzie się narada produkcyjna. Przyjdźcie — to będziemy prowadzić dalej naszą rozmowę. Do warsztatu naprawy wiertel wstąpię sam. Zorientujemy się, który kowal nie umie czy też nie chce... A z brygadą Ogarkowa mówiłem już dzisiaj. Ogarkowcy, wicie, obiecują! No, zobaczymy. Jak będzie trzeba — to pomożemy. A ty, Legostajew, mylisz się. Ty — stary górnik — jakże ci to przyszło do głowy? Nie dla jakiegoś

tam właściciela budujemy kopalnię, lecz dla siebie. Rozumie się, że wszystko powinno być jak najlepsze, bezpieczne... z jak najlepszego materiału i długotrwałe. Naturalnie, pracować trzeba szybko. To jest bezsporne. Szybko i dobrze. Ale ty tę szybkość źle pojmujesz. Śpieszyć się — to nie znaczy kłaść drewniane kliny zamiast cementu. Popracuj i zacementuj, jak należy. No, towarzysze, wybaczcie, ale nie mam czasu. A jutro przyjdźcie na naradę produkcyjną. Przyjdźcie bezwzględnie!

Robotnicy poszli do stołówki. Po chwili Aleksandr Siemionowicz zapytał Szapowałowa:

— Zauważyłeś budowacza, który stał na prawo ode mnie? No, taki młody. Miał za pasem topór w skórzanym pokrowcu.

— Nie — odrzekł Pietka. — A co?

— To jest dopiero chłopak jak się patrzy. Gdy spojrzysz na niego — dusza się raduje. — Chochriakow swoim zwykłym ruchem złożył ręce i natychmiast znowu je rozłożył. — Rośnie nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę. Po prostu w oczach. Nie umiał czytać ani pisać, przyjechał ze wsi, a teraz wygłasza takie odczyty, że człowiek siedzi zasłuchany. O Komunie Paryskiej, na przykład. Nawiasem mówiąc, jesienią on tak będzie się uczył. Wysyłamy go. Wielu jest takich, a każdy — to talent w swoim rodzaju!

Upał stał się nieco mniejszy. Słońce, jak przedtem, lśniło na bezchmurnym niebie, ale od budowli kładły się już długie cienie. Z drugiego końca placu dolatywał częsty stuk. To bezustannie, jak chmara gigantycznych świerszczy, stukwały o żelazo młoty pneumatyczne. Nitowały, zapewne, kotły lub stalowe kratownice.

Aleksandr Siemionowicz zawołał na kogoś i kazał zaprzęgać konie. Potem zaprowadził gościa do swojego pokoju. Mieszkał w tymczasowym baraku niedaleko biura.

Otwierając drzwi rzekł:

— Muszę jechać do Rejonowego Komitetu Partii, a ty, Pietiuńka, odpocznij sobie. Wątpię, czy dzisiaj wrócę. Połóż się tam, na kanapie.

Pietka postawił walizkę przy drzwiach.

Pokój miał dwa okna. Stało w nim biurko z lampą, wąskie żelazne łóżko, czarna, ceratowa kanapa i kilka zwykłych stołków. Koło drzwi — telefon z korbką, którą trzeba kręcić, ażeby do kogoś zadzwonić. Na niepomalowanych ścianach z desek — półki z książkami. W kącie — szafa, na szafie — paczki gazet. W drugim kącie żeliwna muszla z kranem wodociągowym, z którego kapała woda.

Szapowałow podszedł do półek z książkami.

„Dzieła Lenina, które miał już przedtem. A tutaj — nowe, nowe książki... Kiedy on znajduje czas na czytanie?”

Pietka obrzucił wzrokiem grzbiety książek. Był tam i „Analityczny kurs górnictwa”, i „Podręcznik elektrotechniki”, i „Wytrzymałość materiałów”, i „Mechanika losowana”.

— Przecież to wszystko — zdziwił się głośno — to podręczniki używane na wyższych uczelniach!...

Chochriakow, gdy tylko wszedł do siebie, zaraz zdjął brudne ubranie górnicze, powiesił je na gwoździu za szafą i umył się nad muszlą. Był teraz w białej bluzie, białych spodniach i brązowych płóciennych pantoflach.

Usiadł na stołku i zażartował:

— Technika! A jakże inaczej!

Wziął ze stołu papierosa i zapalki, zapalił i znowu uśmiechnął się sam do siebie.

— Przypomniałem sobie pewnego dziwaka, który wcale nie interesuje się techniką... Siadaj! — Aleksandr Sie-mionowicz uderzył ręką w kanapę.

Szapowałow zbliżył się i usiadł.

— Przyjechał do nas, rozumiesz — ciągnął dalej Aleksandr Siemionowicz — kontroler finansowy z Char-

kowa. Taki surowy, nikomu nie wierzy. No, cóż, to jest dobre — czujność i wnikliwość u towarzysza to cenne zalety. Tym bardziej że niedawno zdemaskowano tu organizację sabotażystów. Chodzi sobie ten towarzysz po naszej budowie, marszczy czoło, pokazuje palcem i pyta surowym głosem: „Co to jest? A to?” Wreszcie przyszli na podstację elektryczną — mamy tymczasową podstację, może zauważyłeś, za kompresorownią... On znowu zadaje pytanie: „Co tu jest?” Inżynier, który mu towarzyszył, odpowiada: „Transformatory”. — „A co to takiego transformatory?” — „Widzicie — wyjaśnia mu inżynier — otrzymujemy prąd o napięciu 3300 wolt, a naszym odbiorcom dajemy tylko 220 wolt. Zmniejszamy więc napięcie”. — „Celowo?” — „Oczywiście, że celowo” — odpowiada inżynier. A wiesz, co na to odpowiedział ten towarzysz? — Chochriakow mrugnął i podniósł palec. — Powiedział: „To trzeba zbadać!” Zbadać, rozumiesz — udało mu się! Trafił kulą w płot.

Obydwaj — gospodarz i gość — roześmieli się.

Ktoś zastukał do okna. To woźnica zawiadamiał, że konie czekają.

Aleksandr Siemionowicz podniósł się i wziął teczkę.

— No — rzekł dotykając ramienia Pietki — odpocznij sobie. Jeżeli będziesz głodny, to idź do stołówki... la wyjeżdżam! — I dorzucił stojąc już na progu: — A bez znajomości techniki nie da rady!

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Gdy Szapowałow został sam, przeszedł się najpierw po pokoju, ziewnął — dzisiejszy dzień zmęczył go jakoś — a potem przypomniał sobie rozmowę o planie pięcioletnim. „Trzeba przeczytać i nauczyć się — pomyślał. — U Chochriakowa na pewno coś znajdzie”.

Wśród sterty książek na biurku znalazła się oczywiście odpowiednia broszura.

Długo siedział nad nią, przerzucając kartki.

„Właściwie co to jest superfosfat?”

Trzeba było otworzyć walizkę i wyjąć stamtąd „Kurs chemii ogólnej” Mienszutkina — gruby podręcznik w szarej płóciennej oprawie.

W rabfaku nie uczono chemii prawie wcale — podawano jedynie najniezbędniejsze wiadomości z tego przedmiotu. Szapowałow kupił podręcznik Mienszutkina dopiero, gdy usłyszał o pomyśle Mendelejewa dotyczącym podziemnego zgazowywania oraz o tym, że do zgazowywania węgla potrzebni są chemicy. („Co prawda potrzebni są nie tylko chemicy, ale procesy chemiczne są tu rzeczą najważniejszą”).

Książka okazała się trudna, lecz pociągała go, wabiła urokiem wynalazków i doświadczeń. Przebrnął kolejno przez jeden rozdział, potem przez drugi i trzeci. „To jest naprawdę interesujące — pomyślał. — Co za nauka!”

Teraz ułożył się wygodnie na kanapie, opierając głowę o wałek. Zajrzał do alfabetycznego spisu: — „Superfosfat?” — i przerzucił stronicę: „Produkt działania kwasu na mineralne fosforany”.

Książka drgnęła i łagodnie spoczęła na twarzy Pietki. Przyśniło mu się, że jest w kopalni — jest mu duszno, chce mu się spać, a spać nie wolno. Ktoś mówi do niego: „Odbudujcie kopalnię dla władzy radzieckiej”. Niby cały Donbas leży w gruzach, tak jak, na przykład, było w dwudziestym pierwszym roku, a powracający z wojny domowej żołnierze pracują w szturmowym tempie — zakładają pompy, wypompowują wodę, dźwigają z ruin kopalnie. Pietka pracuje razem z innymi komsomolcami — jest Waśka Tancjura i Aloszka Stognuszenko... czy to sen, czy rzeczywiście nie minęły już te czasy? — trzyma łopatę i oczyszcza przekop z iłu, belek i rozmaitych rupieci. Za pazuchą przydział — dwa żytnie suchary; lampka rzuca mdłe światło... Duszno, chce się spać. Ił ścieka z łopaty. Zaczepnie się i podniesie łopatę, żeby wrzucić ił do wagonika, a łopata jest pusta. Znowu podnosi — i znowu łopata jest pusta. A, żeby ją! Lepiej by

było wiadrem! Przekop jest sklepiony i niski, z kamieni kapie woda... Słysząc: „Kap... Kap... Kap... Kap...”

Szapowałow niespokojnie poruszył się na kanapie.

Nie wiedział, czy to tylko senne widziadła? Przecież zdawało się, że ten okres już przeminął, że w Donbasie dawno skończył się chaos, a wojna domowa była już tyle lat temu. Zdawało się przecież, że uczył się w rabfa-ku... Czyżby to było tylko we śnie? Woda kapie, Aloszka Stognuszenko pcha przed sobą wagonik... Czy to nie on szepcze: „Węgiel — to chleb dla przemysłu”? Nie, oczywiście, że nie on. Jest przecież dwudziesty pierwszy rok. Te słowa widnieją na plakacie, a kopalnia — jakaż to radość! — daje już węgiel! Daje — idą transporty węgla. „Umacniajcie Republikę Radziecką!” — tak powiedział siwy bolszewik Glebow po bitwie w czasie pogrzebu czerwonogwardzistów. Umacniajcie... I przekop staje się szeroki, przestronny, jakiś taki widny, połyskują niteczki szyn, a komsomolcy, ujawszy się za ręce, idą naprzód. Rozległ się stuk windy, zaraz wyjadą do góry...

„Kurs chemii ogólnej” zsunął się z twarzy śpiącego Szapowałowa i upadł na podłogę. Stuknięcie obudziło go. Rozejrzył się — dookoła ciemno, obcy pokój, dwa okna, za nimi latarnie elektryczne płonące jaskrawym światłem.

„Fu, a przecież to był tylko sen!”

Uniósł się i zdał sobie sprawę, że znajduje się w pokoju Chochriakowa. Jak to się wszystko poplątało we śnie! Przecież to rok nie dwudziesty pierwszy, ale dwudziesty dziewiąty. A woda kapie z kranu do muszli.

„I Donbas dźwignięty już z gruzów”

Na ulicy można będzie dowiedzieć się, która godzina, pomyślał, nad drzwiami wejściowymi baraku, w którym mieściło się biuro, zauważył duży zegar.

Gdy wyszedł, owionął go ciepły wiaterek. Zapachniało stepem, doleciał gorzki aromat piołunu. Na ciemnym niebie gwiazdy takie drogie, bliskie i piękne... A dooko-

ła różne odgłosy: to zadzwoni sygnał na wieży szybowej, to zawyje niski głos motoru. Wszędzie latarnie. Gdzieś tam wybucha błękitny płomień spawarki. „Jak u Majakowskiego” — pomyślał:

Na ziemi ognie do nieba...
Niebo od gwiazd aż płowe

Szapowałow spojrział na zegar: wpół do drugiej.

„Ognie do nieba — myślał. — Ożył step doniecki, ożył po nowemu w myśl naszych pragnień. Jeszcze jaki będzie ten Donbas! Z czasem rozpoczniemy i podziemne zgazowywanie. Nie było tego jeszcze nigdzie na świecie, a u nas będzie. Dajcie tylko czas do nauki! Jest nas wielu! Dokonamy tego, słowo honoru, dokonamy!”

Jedno z okien biura było otwarte. Przechodząc obok. Pietka zobaczył stół oświetlony lampą z zielonym abażurem, na stole szklanka brązowej, mocnej herbaty, a nad stosem papierów i rysunków pochylony i ściskający palcami skronie, Osadczij.

„Nie śpi, pracuje. Na pewno stary komunista. To on mi mówił o tym chemiku... jakże go tam... no, jeszcze na zesłaniu”.

Po powrocie do pokoju Chochriakowa Pietka zapalił światło, przystanął na chwilę przed szafą z książkami i wziął książkę Lenina „Co robić?” Otworzył i przeczytał:

„Zwartą gromadką, mocno ująwszy się za ręce, idziemy po urwistej i trudnej drodze. Ze wszystkich stron otoczeni jesteśmy przez wrogów i prawie zawsze musimy kroczyć pod ich ogniem. Zjednoczyliśmy się na podstawie swobodnie powziętej decyzji właśnie po to, by walczyć...”

*

• Majakowski „List z Paryża do towarzysza Kostrowa o istocie miłości”. Przekład Jana Kotta. Wyd. „Książka i Wiedza” 1949 r

* *Lenin — Dzieła wybrane, tom I, „Książka i Wiedza“, Warszawa 1949 r., str. 177.*

„Minęły już — pomyślał -- dawno minęły te czasy. Obecnie partia to już nie gromadka, lecz potężna armia. Ze Stalinem na czele. Twardym krokiem idziemy ku promiennym wyżynom”.

„Zjednoczyliśmy się. na podstawie swobodnie powziętej decyzji właśnie po to, by walczyć...”

„Walczyć”... — Odłożył książkę na miejsce i powiedział głośno:

— Oblicz swoje siły, Pietro. Uważaj, żebyś nie narobił sobie wstydu. Siedem razy przymierz!

I westchnął: „Walczyć na niezbadanych drogach nauki. Uważaj, siedem razy przymierz, czy możesz być przydatny!”

Usiadł na kanapie i zapatrzył się w jakiś daleki punkt. „Im więcej umiesz — myślał — tym większy z ciebie pożytek. Któż może w to wątpić? Wątpić można tylko, czy trafisz do celu, do którego mierzyłeś. »Nie mów hop, póki nie przeskoczysz«. Nęci przecież coś jeszcze poza uznaniem otaczającym nazwisko uczonego. Uznanie i tak należy się każdemu, kto dobrze wykonuje swoją pracę. Więc nie o uznanie tu chodzi. Człowiek nauki może jednym wielkim odkryciem zdziałać więcej niż tysiące innych ludzi. O wiele więcej! Może skrócić lata walki i przybliżyć dni komunizmu. Trzeba tylko mocno wierzyć w swoje siły. Jeśli na przykład w kopalni czy na fabryce czujesz, że ramię w ramię stoją przy tobie towarzysze, to w nauce... przy jakimś problemie stoisz z nim oko w oko sam jeden...”

Ale dlaczego sam? Przecież jesteś bolszewikiem. Ale najgorsze będzie, jeżeli okażesz się niezdara”.

— No! — rzekł uderzając się pięścią po kolanie. — Kto się wilków boi, niech do lasu nie chodzi!

Przypomniał sobie, jak był u Syczugowa chłopcem na posyłki.

„A teraz czytam Lenina i Stalina. Czytam uniwersytecki podręcznik chemii. Poczekajcie, dajcie mi trochę czasu!”

Podszedł do okna i otworzył je szeroko — przedtem otwarty był tylko lufcik. Zobaczył, że niebo pojaśniało, gwiazdy pogasły, a za stepem ukazała się smuga zorzy porannej. Na różowym tle przy samym horyzoncie można było dostrzec daleką hałdę, dobrze mu znane zarysy kopalni Rosyjsko-belgijskiej, jej czarną piramidę ze ściętym wierzchołkiem.

Pietka oparł się o framugę okna, osłonił dłońmi oczy, chroniąc je przed światłem pobliskich latarni i mrużąc powieki spoglądał w dal.

Na horyzoncie czarna piramida ze ściętym wierzchołkiem. A troszkę na lewo widać pagórek, gdzie znajduje się mogiła Glebowa. A jeszcze bardziej na lewo jest miejsce, o którym rozmyślał zeszłej zimy. Patrząc stąd, horyzont wydaje się równy i nie można dojrzeć kotliny.

Ściśle mówiąc, Szapowałow pomyślał o tym po raz pierwszy nie w rabfaku, lecz znacznie wcześniej, zaraz po wojnie domowej. W dwudziestym drugim roku skończył wtedy siedemnaście lat — przypomniał sobie o zakopanych w stepie „szkiełkach”. Przypomniał sobie, jak Terentiew przykazywał Czeriepanowowi, ażeby się nie wygadał i w jak głębokiej tajemnicy wujek wykonał to polecenie. Rudy sztygar zginął i zaraz potem, w tajemnicy przed wszystkimi, wywieziono w nocy z jego pokoju cały wóz jakichś nie wiadomo do czego służących rzeczy i zakopano je w ziemi. Nawiasem mówiąc, jak nazywał się ten sztygar? Większość szklanych przedmiotów stukła się na pewno w drobny mak, kiedy wujek wpychał je z chrzęstem do worków. Ale oprócz worków były jeszcze drewniane skrzynie zabite gwoździami. Ciekawe, co się w nich znajdowało? W ogóle, co to za jakaś dziwna i bezsensowna historia? A gdyby tak rozkopać i popatrzeć, co tam zakopano? Może się wyjaśni, dlaczego te rzeczy ukryto. Może tam jest coś cennego, pożytecznego? A na-

wet po prostu ze zwykłej ciekawości. Przecież to jest interesujące.

Wówczas, w dwudziestym drugim roku, Pietka pomyślał: „Głupstwo! Tyle jest do roboty, a tu po prostu stare rupiecie...”

Pracował wtedy w kopalni jako wozak i, po przeczytaniu podręcznika szkolenia politycznego, uważał, że jest dorosły i że posiadał wszystkie rozumy. Nie ma co ukrywać, że były i takie chwile, kiedy uśmiechał się pełen zadowolenia z siebie. Wydawało mu się, że umie już wszystko, co mu jest potrzebne, że różne mędrki tylko "szukają dziury w całym", a na świecie wszystko jest bardzo proste. Techniki, owszem, trzeba się trochę poduczyć, ale do burżujów i tak umie strzelać, a więcej właściwie nic mu nie trzeba.

Obecnie patrzy na świat zupełnie innymi oczami.

Kiedy siedem lat temu po raz pierwszy przemknęła mu przez głowę myśl o odkopaniu „starych rupiec”, zawstydził się, gdyż wydała mu się wówczas niepoważną. Przecież nie jest już dzieckiem, a zajmuje się głupstwami, Toteż myśl ta odeszła równie szybko, jak przyszła.

Teraz jednak Szapowałow inaczej już odnosił się do ulej. W ogóle ma teraz inny stosunek do wielu rzeczy, Zmądrzał i wydoroślał w ciągu tych jak gdyby nieopstrzeżenie minionych lat.

Zaczął się od tego, że niedługo po zakończeniu wojny domowej, właśnie wtedy, w dwudziestym drugim roku, wyśmiał go Chochriakow. Przyszedł kiedyś na zebranie komsomolskie i zaczął opowiadać o komsomolcu, któremu się wydaje, że „zjadł wszystkie rozumy”. Nie wymieniając nazwiska swojego wychowanka, tak opisał go i tak

trafnie naśladował jego powiedzonka: „głupstwo” i „dziura w całym”, że wszyscy od razu odgadli, kogo ma na myśli, i zaczęli się śmiać, a Pietka siedział czerwony, z oczami utkwionymi w podłogę.

Był wtedy bardzo obrażony na Chochriakowa. Postanowił, że więcej do niego nie pójdzie. Mieszkali wówczas oddzielnie — Pietka w internacie dla młodzieży. Następnego dnia Aleksandr Siemionowicz wezwał go do siebie i powiedział, jak gdyby nigdy nic:

— Nie mogę tu jednej rzeczy zrozumieć! Pomóż mi, Pietiuńka! Chcę się ciebie poradzić. Przygotowuję się do odczytu na temat jedenastego zjazdu R. K. P. Weź no i przeczytaj to sobie. Potem przyjdiesz, to pomówimy. Masz zdrowy rozsądek — doradzisz mi. — Aleksandr Siemionowicz, z filuternym błyskiem w przymrużonych oczach, podał Pietce grubą paczkę wycinków z gazet. — Uważaj, żebyś nie pogubił — dorzucił.

Dużo wody upłynęło od tego czasu. Szapowałow zrozumiał stopniowo, że życie jest skomplikowane i nie układa się tak prosto, jak wzór matematyczny. Stopniowo nabrał chęci do czytania i pojął, że bez głębokiej wiedzy nie można dokonać wielkich dzieł. A w Związku Radzieckim na każdym kroku natrafia się na wielkie dzieła. „Tam — przeczytał w artykule Lenina — niczego nie można dokonać siłą czy naciskiem, sprytem czy energią...” Z tego samego artykułu, którego tytuł brzmiał: „Lepiej mniej, ale lepiej” *. Szapowałow zapamiętał sobie, że trzeba „po pierwsze — uczyć się, po drugie — uczyć się i po trzecie — uczyć się...” Słowa te często powtarzał sobie, rozmyślał nad nimi i pod ich wpływem poprosił o skierowanie do rabfaku.

Zeszłej zimy, kiedy Pietka był rabfakowcem starszego kursu, jak tylko miał wolną chwilę, otwierał nocną szafkę przy łóżku i wyjmował z niej „Chemię” Mienszutkina. Czasem nawet jej nie czytał, a tylko przerzucał kartki książki, gdyż nieraz był zmęczony dniem pracy, „gło-

* „Lepiej mniej, ale lepiej” — Lenin, *Dzieła wybrane*, t. II, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949, str. 1003.

wa puchła" i czytanie czegoś nowego przychodziło z trudnością.

Pewnego wieczoru jego współlokatorzy poszli do kina. Za oknami internatu świecił księżyc, a na szybach połyskiwał szron. Szapowałow siedział sam, przerzucał kartki i oglądał rysunki przyrządów chemicznych. Gdy zobaczył aparat Kippa — trzy szklane kule, jedna na drugiej — od razu przypomniał sobie, że takie same, zupełnie takie same aparaty znajdowały się wśród naczyn szklanych zakopanych w stepie.

Podniecony domysłem, zerwał się z krzesła i zamknął leżącą przed nim książkę.

„To ci dopiero skomplikowana historia! Przecież oni ukryli cały wóz przyrządów chemicznych... całe laboratorium! A, właściwie, w jakim celu?”

Dużymi krokami przeszedł przez pokój i zaczął chodzić po korytarzach rabfaku. Starał się wskrzesić w pamięci wszystkie okoliczności sprawy, jednak nic nie mógł zrozumieć. Wyraźnie przypominał sobie ogoloną twarz rudego sztygara, o zdziwionych, jak gdyby pytających oczach i podniesionych brwiach. Przypomniał sobie całą tragedię, kiedy drużyna ratownicza nie powróciła ze Świętego Andrzeja". A nazwisko tego sztygara brzmiało „Pojarkow". Pojarkow zginął, a Terentiew zatarł ślady, zakopując jakieś tajemnicze laboratorium. Kogóż on się właściwie bał? Biorąc na zdrowy rozum, należałoby przypuszczać, że władz i policji. Ale co się za tym kryło? Dlaczego trzeba było zacierać ślady?

„Gdyby tak odszukać Terentiewa i z nim pomówić!”

Inżynier Terentiew z żoną wyjechał z kopalni w rok po nieszczęsnym wybuchu i nikt nie wiedział dokąd. Jedni mówili, że do Rostowa, drudzy, że do Moskwy, a jeszcze inni zapewniali, że do kopalni złota w Bodajbo czy też gdzieś nad Jeniszej.

Szapowałow nadal tułał się po korytarzach rabfaku. Wszedł na najwyższe piętro, gdzie było ciemno i nie paliła się ani jedna żarówka. Na prawo i na lewo —

drzwi do klas, na wprost — oświetlone księżycowym światłem okno. Wreszcie pomyślał:

„A może kryją się w tym nici jakiejś ważnej sprawy? Może to coś korzystnego dla państwa?”

Potem rzekł sam do siebie: nie ma co krążyć dokoła. Trzeba wykopać i zbadać. Nie jest już przecież dzieckiem, pomyślał, a takie wykopywanie — to nie będzie łobuzowanie ani ciekawość nie mającego co robić gapia. Gdzież tam! Wprost przeciwnie: jeżeli tego nie zrobi, będzie to błędem. Trzeba wyjaśnić wszystko do końca. Trzeba koniecznie wykopać!

Kilka dni później spotkał się ze swoją przyjaciółką Kławą Poleszczuk, studentką technikum pedagogicznego.

Szli trzymając się za ręce. Zapadał zmierzch. Bulwar nadbrzeżny przysypany był śniegiem. Drzewa nastroszyły się i rozczapierzyły gałęzie, na których także leżały płaty śniegu. Rzeka wydawała się błękitniejącą w dali białą równiną.

— No, opowiedz coś — prosiła Kława. — Ciągłe milczysz. — Zdjęła ciepłą rękawicę o jednym palcu. — Och, jakie masz zmarznięte ręce! Daj, zagrzeję ci. O tak. — Wzięła palce Pietki w swoje ciepłe dłonie. Rękawice jej zawisły na przewieszonym przez szyję sznurku. Potem spojrzała na jego szary żołnierski szynel i zauważyła, że szynel rozpruł się na szwie, a przy kołnierzu urwała się haftka. — Chcesz — powiedziała — to pójdziemy do nas, do technikum i posiedzimy tam trochę. Nie zimno ci? Nie przeziębisz się?

— Nie — odpowiedział Szapowałow — nie przeziębuję się. — Obejrzał się i w świetle latarni, które zapłonęły na drugim końcu nadbrzeża, zobaczył niewysokie ceglano ściany byłego zajazdu klasztornego, gdzie mieści się obecnie technikum pedagogiczne. Dziewczęta są w domu, pomyślał, lepiej więc zostać tutaj, we dwoje z Kławą. — Chodź — rzekł — pospacerujemy jeszcze.

— Dostałam dzisiaj stypendium. Może pójdziemy do kina?

— Nie, chodźmy do mostu.

— Nie nudzi ci się ze mną?

— Nie.

— No, to opowiedz coś.

— Uwierzysz, jeżeli ci opowiem o czymś bardzo dziwnym?

— Zależy o czym.

— Jest taka tajemnica, zagadka. Zdaje się, że ja jeden tylko wiem o niej.

— A przyjaźnimy się po dawnemu? Ty i ja?

— Oczywiście, że się przyjaźnimy.

— Więc i ja powinnam wiedzieć o wszystkim, o czym ty wiesz.

— Sam nie rozumiem wszystkiego.

— No to, mów!

Szli zgodnym krokiem, a śnieg chrząścił pod nogami. Kława miała lekko zadarty nos i zaróżowione od mrozu policzki. Na głowie nosiła czapkę z nausznikami - białego w rude plamy, psiego futra. Spod czapki wysuwały się jej podstrzyżone, jasne włosy. Spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się. „Miły chłopiec — pomyślała Kława. — Naprawdę miły!”

— To coś z czasów mojego dzieciństwa — zaczął powoli Szapowałow. — Na kopalni w Donbasie. Posłuchaj. Ale czy cię to interesuje?

- Pewnie, że interesuje!

--- Włóż rękawice, bo ci ręce zmarzną.

I opowiedział jej o stajni na stacji ratunkowej, o katastrofie na „Świętym Andrzeju”, o sztygarze Pojarkowie i o tym, jak wujek Czeriepanow wywiózł cały wóz przyrządów chemicznych i zakopał je w stepie.

— O jej! — westchnęła Kława. — A nie ma już nikogo z tych ludzi? Z tych, którzy by mogli coś o tym wiedzieć.

— Nie ma.

— O jej! A czy nikt tego nie wykopał?

— Nie. Wszystko jest zakopane, tak jak było.

Kława przystanęła, położyła rękę na rękawie szynelu Pietki i podniosła oczy, zaglądając mu w twarz.

— Pietia — rzekła — jedź tam w lecie. To twój obowiązek — rozumiesz? — obowiązek... Nie wolno tego lekceważyć. Poprosisz komsomolców, to ci pomogą. Może to będzie bez znaczenia, ale jednak... jeżeli dla nauki...

— Zrobię to.

— A mnie od razu o tym napiszesz. Będę czekała.

Od tej rozmowy minęło pół roku.

Teraz Szapowałow stał przy otwartym oknie w pokoju Chochriakowa i z zadumą spoglądał na step rysujący się na tle zorzy porannej.

Na horyzoncie — czarna ścięta piramida, hałda kopalni Rosyjsko-belgijskiej. Na lewo — niewielki pagórek z mogiłą Glebowa. A jeszcze bardziej na lewo — to miejsce...

„Zdecyduję się i pójdę tam od razu! Po co zwlekać?”

Przypomniał sobie, że za zarządem, tam gdzie zaczynają się szopy, leży stos łopat. Właśnie takie, jak potrzeba — szpadle, a nie szufle. Można poprosić stróża o wypożyczenie jednej z nich i potem ją zwrócić. Pokój należy zamknąć na klucz.

Okazało się, że przy łopatach nie było stróża.

„To nic, wezmę i tak. Potem przyniosę”.

Na wschodzie, nad rozpalającą się zorzą zawisł obłoczek. Dolny jego brzeg przybrał kolor złota. Przechodząc obok zarządu Szapowałow zobaczył Osadczeego. Ni-kołaj Fiedotowicz nie spał jeszcze. Był w gabinecie i patrzył w okno. Szapowałow usłyszał, jak śpiewał półgłosem:

*Och wy, bra-a-cia mo-i,
T o-wa-a-rzy-sze...*

Pietka prześliznął się tak, że Osadczyj nie zauważył go, Z łopata w ręku skreślił za róg baraku i poszedł w step.

Buty zwilgotniały mu od rosy. Szedł wielkimi krokami, a łopatę założył na ramię jak niegdyś karabin. Oddychał głęboko i równomiernie: cztery kroki — wdech, cztery kroki — wydech. Od południa zawiewał wiaterek. Powietrze wydawało się świeże, wilgotne i lekko słonawe, jak gdyby w tej właśnie chwili napłynęło znad Morza Czarnego. Zorza obejmowała już połowę nieba, barwa złocista przechodziła w pomarańczową, pomarańczowa — w liliową, liliowa — w ciemnoniebieską. W jarach kłębiła się biała mgła.

Szapowałow szedł nie myśląc o niczym określonym.

Uśmiechał się, wymachiwał po żołniersku rękami w takt kroków, całym ciałem chłonał poranek i piękno ziemi. Był szczęśliwy, że żyje, że jest młody, że może tworzyć, budować, uczyć się i kroczyć w szeregach swojego narodu. Przez myśl jego przesunęło się to wspomnienie Kławy, tej kochanej dziewczyny, która znajduje się teraz w kolchozie nad Wołgą, to znowu uniwersytet, na który wstąpi jesienią, to Daniłka Zacharczenko, to znowu to oto niebo, mgiełka nad stepem, gwizd parowozu i dolatujący z oddali łoskot pociągu. Czyż on, Szapowałow, nie jest zespolony w jedną całość z ziemią doniecką, z całym Związkiem Radzieckim i partią, która przeobraziła życie? "Popatrz, jak było i jak jest teraz... Popatrz, jak będzie potem!" I on, i Kława, i Chochriakow, i Daniłka... a Waśka Tancjura? Ałoszka Stognuszenko? A ten Osadczyj? „Na podstawie swobodnie podjętej decyzji?...” Czy znajdzie się ktoś, kto pożałowałby ostatniej kropli krwi? Och, jak dobrze! I ciągle naprzód... naprzód z czystym sercem. A oto, przypuśćmy, nastanie taki sam poranek. On będzie, na przykład, uczonym. Urzeczywistni gorące pragnienie Mendelejewa. On to osiągnie, a naród i partia w tym mu pomogą. Straszliwy niegdyś żywioł — podziemne pożary i wybuchy — będzie służył człowiekowi.

Węgiel będzie się spalał nie w paleniskach kotłów, lecz bezpośrednio na miejscu — w pokładach, gdzie się znajduje. Cały proces będzie kierowany z powierzchni ziemi, a opał otrzymywany rurami już w stanie gazowym. Zamiast pociągów z węglem, przez step pójda przewody gazowe. Donbas komunistycznego „jutra”. Wystarczy tylko chcieć — a przecież on, Szapowałow, mocno chce! Ze wszystkich sił! Ręka w rękę z Kławą. Po szerokiej drodze na spotkanie zorzy... Och, jak dobrze!

Nad horyzontem, jak czerpak napełniony roztopionym metalem, wysunął się rąbek słońca. Pietka wbiegł po pochyłym zboczcu. Zatrzymał się, zdjął łopatę z ramienia, rzucił ją, stuknął obcasami, stanął „na baczność” i spuścił głowę.

Umyślnie nadłożył drogi, ażeby tutaj wstąpić. Przed nim — szary kamienny obelisk. Nie ma na nim żadnych napisów, tylko wyryta jest pięcioramienna gwiazda. U stóp obeliska — wieniec z żywych, niezwiędłych jeszcze kwiatów, przyniesionych pewnie dopiero wczoraj wieczorem. Widocznie ktoś pamięta i opiekuje się grobem.

Początkowo Pietka stał bez ruchu. „Ze wszystkich krańców Związku przelatują wiatry nad mogiłą...” — pomyślał i spojrzał dokoła. Ujrzał całe osiedle kopalni Rosyjsko-belgijskiej, które się tak rozrosło. Ile tam nowych pięknych domów, ile zieleni... Tam, opodal — „Magdalena”. Za „Magdaleną” — kopalnia, przy której jeszcze dotychczas znajduje się stacja ratunkowa. Z boku czernieje ponury stożek „Świętego Andrzeja”. Nie ma tam już żadnego budynku. Część zwała się sama, część rozebrano na drzewo i cegły. I hałda „Świętego Andrzeja” zarosła już pewnie burzanem. A tam, lśniące w świetle słońca żółtością świeżego drzewa, zarysowują się wyraźnie budowle nowej kopalni. Właśnie stamtąd przyszedł. Tam nisko, u stóp pagórka, stały niegdyś sanie, czworo sań — tabor oddziału czerwonogwardzistów...

Szapował znowu obrzucił spojrzeniem obelisk. „On pierwszy powiedział do mnie: »Ty i ja — jesteśmy bolszewikami«...”

Znowu pochylił głowę i powiedział cicho:

— Mamy pięciolatkę, towarzyszu Glebow, a ja w tym roku ukończyłem rabfak.

Po chwili milczenia dorzucił szeptem:

— Jestem kandydatem partii, towarzyszu Glebow.

Jeszcze kilka minut stał nieruchomo, potem poprawił wieniec, podniósł łopatę i zaczął schodzić w dół po pochyłości zbocza. Pod nogami szeleściła stepowa trawa.

Fiodor Mitrofanowicz Kosych, inżynier z działu bezpieczeństwa pracy w kopalni „Numer Cztery”, bardzo się gniewał. Zamiast budować zapasowy kanał wentylacyjny, znowu posłano robotników do pracy przy urządzaniu podziemnej remizy dla elektrowozów. I to się ciągnie już przez trzy zmiany. „To się zda psu na budę” myślał.

— Psu na budę! — krzyknął zdejmując binokle i wkładając je znowu. — Czy rozumiecie, co robicie? Czy zdajecie sobie sprawę?

Przed nim siedział drugi inżynier, Iwan Iwanowicz Popiwałkin, kierownik kapitalnych robót w kopalni. Iwan Iwanowicz Popiwałkin nosił niebieską mundurową czapkę z pozłacanymi młoteczkami na czarnym, aksamitnym otoku. Wyjął z kieszeni papierośnicę, utworzył ją i rzekł przymilnym głosem:

— Może papierosika? Jeszcze tydzień cierpliwości z tym kanałem, Fiodor Mitrofanowicz. Niepotrzebnie się denerwujecie. Nie ma o co...

Iwan Iwanowicz stuknął ustnikiem papierosa o papierośnicę i lekko uśmiechnął się. Dla niego, doświadczonego górnika, jasne było, że kopalnia jest w doskonałym stanie, że nic jej bezpośrednio nie zagraża i że betonowanie kanału nie jest takie naglące. Inna sprawa — zajezdnia. „Taką już ma funkcję, a przy tym jest młody i dlatego się gorączkuje — pomyślał o Kosychu. — A wen-

tylacja w kopalni jest taka, że lepszej nie trzeba. Niepotrzebnie nawet zaprojektowali budowę nowego kanału — tylko zbyteczny wydatek. Można się bez tego obejść".

— Nalegam — rzekł Kosych — ażebyście zdjęli z roboty trzecią brygadę i przydzielili ją do budowy kanału. W przeciwnym razie będę zmuszony...

— Fio-odor Mitrofanowicz! — rzekł Popiwałkin z wyrzutem i ręką, w której trzymał zapalonego papierosa, wskazał stos szarych od pyłu węglowego papierów, które piętrzyły się na biurku. Papier, leżący na samym wierzchu, nosił odciski czyichś palców.

— Spójrzcie — rzekł — mój drogi, na raporty waszych metaniarzy. Czy są jakiegokolwiek ślady, czy oznaki gazu? Nie ma przecież żadnych. Prawda? Wiecie sami, że nie mam dostatecznej ilości robotników, a wisi nade mną zagadnienie trakcji elektrycznej. Musicie się zgodzić, że wasz kanał to sprawa... jakby to ściślej powiedzieć — Iwan Iwanowicz zsunął czapkę na tył głowy, z miłym uśmiechem popatrzył na Kosycha i pomyślał: „Trzeba ostrożnie. Uparty jak osioł” — sprawa... zgodzicie się chyba... nie najważniejsza. W dawnych czasach...

Fiodor Mitrofanowicz zabębnił palcami po stole. Miał okrągłą twarz, o dziecinnie pulchnych policzkach. Wyglądał nie na trzydzieści, ale na osiemnaście lat. O sobie lubił mówić: „My, bezpieczeńiowcy, uważamy” albo: „My, bezpieczeńiowcy, protestujemy”. Słowo „bezpieczeńiowcy” oznaczało specjalistów zajmujących się bezpieczeństwem podziemnej pracy. Teraz binokle powoli ześlizgiwały mu się z nosa. Poprawił je porywczym ruchem. „Ma przed sobą chłystka czy co?! O dawnych czasach... A co to siedmiokrotny współczynnik bezpieczeństwa — możesz zrozumieć? Co o tym sądzisz?” — i chwyciwszy za telefon zaczął kręcić korbką.

— Halo! Halo! Z gabinetem głównego inżyniera! Tutaj Kosych, kanał znowu wstrzymany... Tak... Jest tutaj... Proszę, oddaję mu słuchawkę. — Fiodor Mitrofano-

wicz zwrócił się do Popiwałkina: — Proszę, Iwan Iwanowicz!

Popiwałkin usłyszał gderliwy głos głównego inżyniera: „Niepotrzebnie zrobiliście to. Ile razy powtarzałem, że na pierwszym miejscu stoi podniesienie warunków zdrowotnych pracy. Odwołajcie ludzi”.

Iwan Iwanowicz gniewnie rzucił słuchawkę na widełki telefonu i rzekł podnosząc się z krzesła:

— Szlachetny człowiek tak nie postępuje. Chciałem po przyjacielsku... E-e, wiecie...

Nasunął czapkę na czoło i wyszedł. Wychodząc myślał: „Powariowali wszyscy! Szczeniak! Gdyby tak dawniej... Też wymyślili stanowisko: bezpieczeństwo pracy! Ale jak wybudować w ciągu miesiąca remizę?”

„Obraził się — myślał Kosych. — A niech go wszyscy diabli! Kanał mi jest potrzebny. Jeżeli będziemy ustępować w drobnostkach... Dla bezpieczeństwa jednak nie ma drobnostek! — Wysunął szufladę z biurka i wyjął z niej jakąś grubą książkę. — Tak my jak i medycy powinniśmy zapobiegać chorobie. Do tego potrzebny jest system, bracie — i jaki jeszcze system! Rozpalonym żelazem... Nie można być ze wszystkimi w przyjaźni. Czy jestem dla ciebie psem łańcuchowym, czy co? Im gorzej — tym lepiej!”

Zadowolony z siebie, uśmiechnął się i zaczął przetrzucać kartki książki, by znaleźć wzór na wyliczenie wytrzymałości stalowych lin. Namacał w szufladzie suwak logarytmiczny.

W tej samej chwili ukazał się w drzwiach Waśka Tancjura.

— Ja do was, Fiedia. Można?

Kosych spojrział na nowego krewnego. Ależ podobny do Maryjki! Po prostu jak dwie krople wody. „Moja Maryjeczka”.

— Proszę — rzekł proszę. Siadajcie.

— Fiedia, mam do was prośbę. — Waśka przysiadł na brzeżku krzesła. Nie przyzwyczał się jeszcze do szwa-

gra i czuł się onieśmielony. — Dajcie mi na godzinę lub dwie konia z wozem.

— Cóż wy! Chyba nie macie zamiaru wyjechać?

— Ależ nie. Mamy jedną sprawę... — Tancjura odwrócił się w stronę drzwi i zawołał: — Pietka, chodź tutaj!

Drzwi otworzyły się i wszedł Szapowałow w powalającym ubraniu. Powiedział „dzień dobry!” i zatrzymał się na progu.

— To mój kolega — ciągnął dalej Tancjura. — Wykopał... znalazł coś. Jakaś chemię zakopano jeszcze w czternastym roku. W stepie.

— Jak to, chemię?

Waśka odwrócił się do Szapowałowa, który podszedł do stołu.

— Pozwólcie — rzekł — to wam wyjaśnię, o co chodzi. Widzicie, piętnaście lat temu, w bardzo dziwnych okolicznościach... zakopano do ziemi wyposażenie nieznanego laboratorium. Była w tym jakaś tajemnica. Ktoś tam zginął w czasie katastrofy na „Świętym Andrzeju”, wówczas szybko zatarto ślady... Całe laboratorium, wyobraźcie sobie — do ziemi. Odnalazłem, widzicie, dzisiaj te rzeczy. Raczej to, co ocalało. Chciałbym, ażeby ktoś spojrział na to doświadczonego okiem. Ciekawe byłoby rozwiązać tę zagadkę. Może znajdzie się tam coś pożytecznego. Oto do czego potrzebny jest mi wóz. Razem z nim — Szapowałow pokazał palcem na Tancjura — zawieziemy to wszystko na budowę „Siedem-bis”.

Fiodor Mitrofanowicz słuchał uważnie. Zdjął binokle i potarł pięścią podbródek:

— A dlaczego właśnie na kopalnię „Siedem-bis”?

— Bo tam mieszkam. Z tych, którzy w czternastym roku mieli z tym coś wspólnego, nie ma już nikogo. Nikt nie pozostał. Ja byłem wówczas ośmioletnim chłopcem. Przypadkowo podpatrzyłem i zapamiętałem sobie miejsce.

— A, przepraszam, jaki jest wasz zawód? — zapytał Kosych.

— Razem z nim ukończyliśmy rabfak — odpowiedział Szapowałow wskazując znowu na Tancjurę. — Po prostu bliżej mi było zająć na waszą kopalnię, że tak powiem, po drodze.

..... Halo! — zaczął krzyczeć do słuchawki telefonicznej Fiodor Mitrofanowicz. — Halo! Halo! Stajnia! Zaprzęgnijcie do zwykłego wozu... trzeba przewieźć ładunek. Do zwykłego wozu, mówię. Wystarczy jeden wóz?

— zwrócił się do Szapowałowa. — Podjedźcie — krzyknął znowu w słuchawkę — przed zarząd techniczny! Jestem tu u siebie, w gabinecie. Czekam!

Wstał zza biurka i zaczął spacerować po pokoju.

— Usiądźcie, proszę, towarzyszu Szapowałow. To jest interesujące... No, jakby nie było! — rozmyślał głośno.

— Daleko stąd odkopaliście to? — Fiodor Mitrofanowicz wsunął ręce w kieszenie i zatrzymał się przed rabfakowcami. Był w białych spodniach i ukraińskiej wyszywanej koszuli. Dzięki Maryjce wszystko na nim wydawało się tak świeże, jak gdyby dopiero co wyszło spod żelazka.

— Aha, więc tak. Dziwne! A więc mówicie — podniósł głos i potarł dłonią swój czysto wygolony podbródek — mówicie, że w stepie — całe laboratorium? Kto był zmuszony je zakopać? No, po drodze opowiecie mi wszystko dokładnie. I nie wiecie, co to za laboratorium? Nawiasem mówiąc — Kosych zaczął znowu chodzić po przekątnej pokoju — bawi u nas teraz w delegacji z tego... „Donugła” Bielousow Jemielian Borisowicz. Bardzo wykształcony inżynier. W ostateczności zwrócimy się do niego. Człowiek ukończył dwa fakultety... Przed wojną złożył pracę magisterską... No, zobaczymy na miejscu, jeżeli sam się nie zorientuje. Trzeba będzie sporządzić akt o znalezieniu... Dlaczego nie ma jeszcze konia? Jeżeli

znajdziemy coś, co może się przydać dla kopalni, dla bezpieczeństwa...

— Fiedia — zapytał Tancjura — to wy chcecie z nami?

Szwagier spojrział na niego z uśmiechem:

— Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to pojedę.

— Rozłożył ręce: — Cóż mam z wami zrobić? Dziwy! — Odwrócił się do Szapowałowa. Przypomniał sobie, że w kopalni nie ma przyrządu do sprawdzania wytrzymałości drutu stalowych lin. „Dobrze by było znaleźć, nie trzeba byłoby posyłać drutu do badania!” — A metalowe przyrządy — zwrócił się do Szapowałowa — bardzo tam zardzewiały? Nie ma tam takich ze śrubami? O takich? — Nakreślił palcem w powietrzu niezrozumiały zygzak.

Po upływie kilku minut już jechali przez osiedle. Siedzieli na wozie po dwóch z każdej strony: ich trzech i woźnica — czwarty. Koń biegł klusem, a koła turkotały po jezdni.

Po drodze Pietka zauważył, że w domu, który przedtem należał do Syczugowa, mieści się teraz sklep spółdzielczy. Nad wejściem do byłego sklepu Syczugowa wisiał szyld z ukraińskim napisem: „Kramnicia”. Widać było, że wewnątrz domu przebudowano. Tam gdzie u sklepikarza mieściła się jadalnia, sypialnia i pokój teściowej, obecnie Pietka ujrzał przez okno długie zawalone towarami lady.

„Czy rzeczywiście tak było? — pomyślał o dawnych czasach i najeżył się: — I to jeszcze jak! — W pamięci ożyła teściowa Syczugowa, szturchańce, których nie szczenił mu Pał Pałycz, i pięść samego Syczugowa. — Ale i tak zabraliśmy naboje — przyszło mu na myśl. — Unieszkodliwiliśmy trochę Kozaka”.

Upał zmniejszył się nieco. Słońce chyliło się ku zachodowi. Wóz miękko toczył się po trawie, pozostawiając w tyle osiedle, pagórek, na którego szczycie znajdował się obelisk z gwiazdą pięcioramienną i drugi taki obelisk w

nizinie — tam gdzie pochowano Karaczajewca i Gajfutdinowa, a Glebow wygłosił pamiętną dla Szapowałowa mowę.

Pietka wziął lejce z rąk woźnicy i zaczął sam powozić. Na lewo ciągnął się rozmyty deszczami, kręty wawóz. Przez pewien czas jechali jego skrajem, a potem skręcili w bok. Tam, wreszcie, ukazała się kupa świeżo rozkopanej ziemi, w której — tak jak ją Pietka odchodząc zostawił — tkwiła łopata.

Gdy podeszli do dołu, pod nogami zachrzęściły odłamki szkła. Fiodor Mitrofanowicz przystanął i zaczął oglądać rozłożone na trawie przedmioty.

Leżały tam rozsypane w strzępy worki, kruche kolby, mocne porcelanowe tygle, grube flaszki z dwiema szyjkami i menzurki z grubego szkła. Wszystko to przekształciło się w stos do niczego nieprzydatnych skorup.

— No-o — rzekł rozczarowany — na cóż to się przyda?

— Popatrzcie tutaj — odpowiedział Szapowałow i zeskoczył do jamy. Rozgrzebał ręką glinę, spod której ukazały się wieka skrzyń.

Woźnica przyniósł z wozu drugą łopatę i po dziesięciu minutach wyjęto z ziemi pierwszą skrzynię. Kosych, którego ubranie przypominało już strój kopacza, podważył łopatą wieko skrzyni. Przegniłe drzewo z trzaskiem pękło i wszyscy czterej ujrzeli, że skrzynia jest napełniona dużymi i małymi słoikami. Słoiki zawierały białe, żółte i zielone proszki, który gdzieś zlepił się w jednolitą masę. Papierowe nalepki, które niegdyś znajdowały się na słoikach, wisiały w strzępach i nie można było odczytać ani słowa. Papier i wióry, w które były opakowane słoiki, rozsypywały się przy dotknięciu.

— Chodźmy, wyjmemy dalsze — rzekł inżynier podchodząc do dołu. Wszedł do niego, a za nim Waśka Tancjura.

Wydostali z ziemi jeszcze trzy skrzynie. Były one mniejsze od pierwszej. Otworzyli je również łopatami i uj-

rzeli w nich grube kawałki szkła o dziwnym kształcie. Szkło było dobre, prawdopodobnie optyczne. Były tam również przezroczyste płyty z falistą powierzchnią, kuliste segmenty zgięte jak ścianki cylindra i szlifowane na brzegach, szklane pierścienie.

Rosła kupa gliny wyrzucanej z dołu. Pracowali po dwóch, zmieniając się nawzajem i ocierając brudnymi rękami pot z czoła. Kopali w głąb i wszerz, ale oprócz kamieni nic już w ziemi nie było.

— To chyba wszystko — rzekł woźnica po upływie godziny.

Skrzynie załadowali na wóz. Zapadał wieczór. Na step kładły się długie cienie wozu, ludzi i konia.

— Ileż ja tu czasu z wami straciłem! — rzekł Fiodor Mitrofanowicz i włożył binokle, które od razu ześliznęły mu się z nosa. Wyjął z kieszeni chustkę, wytarł starannie twarz i ręce i znowu włożył binokle, które tym razem już się nie zsunęły. Potem wyjął z kieszeni notes z cieniutkim ołóweczkiem i rzekł: — Przeglądajcie te skorupy, a ja będę zapisywać. Prędszej, proszę. To, co jest całe, kładźcie osobno.

— O co wam chodzi, Fiedia? — nie zrozumiał Tancjura.

— Jak to, o co? — Fiodor Mitrofanowicz wyciągnął palec w stronę rzeczy, które niegdyś znajdowały się w workach, a obecnie leżały na trawie jako stos połykających w słońcu rupieci. — Nie będziemy przecież wieść tych gratów. Sporządzimy przybliżony spis, ustalając według wyglądu odłamków, jakie były naczynia czy przyrządy. To, co jest całe, zabierzemy, oczywiście, z sobą. Tylko pospieszcie się!

Przeglądając stłuczone szkło Szapowałow zauważył odłamki aparatów Kippa i rozgniecione szklane krążki, takie same spodeczki jak te trzy, które schował do kieszeni piętnaście lat temu.

— Jak się to nazywa? — zapytał inżyniera.

— Szkiełka zegarkowe — odpowiedział Kosych zapisując je w notesie.

— Czy to ma jakiś związek z zegarkami?

— Nie, nie ma żadnego. Po prostu naczynie o takim kształcie.

Spośród przedmiotów, które były w workach, znalazło się niewiele nie uszkodzonych: dwa porcelanowe mózdzierze, kilka tygli, butelka z doszlifowanym korkiem i nie wiadomo jakim cudem ocalała mała chłodnica spiralna. Oprócz tego znalazła się rozebrana na części, zardzewiała waga laboratoryjna, jakieś żelazne wałeczki, pogięte, blaszane klosze, a na dodatek przyrządy elektryczne, lampy łukowe. „Własnej roboty — orzekł Kosych — i na pewno bardzo silne, jak do oświetlania ulic”.

Było już ciemno, gdy wracali do kopalni.

— Towarzyszu inżynierze — zwrócił się po drodze Szapowałow do Kosycha.

— Nawiasem mówiąc, nazywam się Fiodor Mitrofanowicz.

— No więc, Fiodor Mitrofanowicz... Czy jest w tym coś ciekawego? Czy przedstawia to jakąś wartość?

— Wartość, pytacie? Sądzę, że nie ma to żadnej specjalnej wartości. Na pewno nie mogę powiedzieć, ale raczej wątpię.

— A czym zajmowali się w tym laboratorium? Co oni robili, waszym zdaniem?

— Kto ich tam wie! Jutro powiemy. Zaprosimy Bieło-usowa i razem z nim...

„Sam się nie orientuje — pomyślał Pietka i spojrzał na sierp księżyca, przed którym, jak gdyby tworząc mahometkańskie godło, błyszczała gwiazda wieczorna, Wenus. — Niech tam. Jedziemy na kopalnię Rosyjsko-belgijską. To nic! Jutro Biełousow ustali, a potem do Chochriakowa”.

Zrobiło mu się teraz lekko na sercu. Doznawał takiego uczucia, jak gdyby zrzucił z siebie wielki ciężar, jak gdyby zakończyła się długa wędrówka, u kresu któ-

rej znalazł drogocenny skarb. Wydawało mu się, że to, co odnalazł, nie może być głupstwem bez znaczenia. Kosych mówi tak po prostu przez nieświadomość. I mimo wszystko on, Piotr Szapowałow, wniesie swój wkład do sprawy ogólnej.

— Jedź ostrożnie! — krzyknął do woźnicy, gdy wóz podskoczył na wyboju.

Siedząc obok skrzyń, podtrzymywał je rękami. „Tajemnica jakiejś produkcji — myślał — wynalazek lub nowy rozdział w nauce. Ale się Kława ucieszy, kiedy dodanie mój list. Niechby to przybliżyło nas chociaż o małej kroczynek do socjalizmu. Chociaż o centymetr. A może jest to rozwiązanie pomysłu Mendelejewa? Zgazowywanie? Mało co może być... a może?”

Dużo, bardzo dużo trzeba się uczyć, ażeby samemu...”

Potężne stare topole wznosiły się ku niebu. Pożółkłe jesienne liście wirowały w powietrzu i powoli opadały. Były to już ostatnie liście. Zbliżał się listopad. Na szerokiej alei, która prowadziła do głównego gmachu uniwersytetu, bielił się gdzieś spadły poprzedniego dnia śnieg.

Aleją szli dwaj starcy i rozmawiali półgłosem. Jeden szurał kaloszami, a drugi postukiwał groźnie laską.

— Karierowicz! — rzekł pierwszy, w czapce obramowanej bobrowym futrem. — He! Młody, a jak szybko wy-skoczył! Posłuchałby pan, profesorze...

— Uczeń Gieorgija Jewgienijewicza Sapogowa — rzekł drugi i stuknął laską, jak gdyby postawił kropkę. — Poza tym, szanowny kolego — stuknął znowu laską — jego rozprawa zwróciła uwagę wszystkich chemików świata. Niepospolita, mówię wam, rozprawa. Tak-s!

— Proszę posłuchać tylko, profesorze. To przecież śmiechu warte! Przybrał pozę Napoleona... Stał i twierdzi, że nie ma jednej nauki światowej. Jest, mówi, nauka burżuazyjna i jest — jako jej przeciwstawienie, zwróćcie uwagę — nauka proletariacka. Po prostu tak

powiedział: proletariacka! He-he-he-he... Wysługuje się! He-he... Pro-leta-ariackal...

Bobrowa czapka zatrzęsała się — staruszek zaniósł się bezdźwięcznym śmiechem.

— Tak-s, powiadam panu! — ciągnął dalej drugi staruszek uderzając laską o ziemię. — Prawda, że młody. Nie ma jeszcze nawet czterdziestu pięciu lat. A myśli zawarte w rozprawie, mówię panu, na miarę Butlerowa! Łomonosowa! Mendelejewa! Niebywała przemiana celulozy, włókna drzewnego! — rzekł głośno i surowo spojrzawszy na swego rozmówcę. — Wykazuje bezspornymi doświadczeniami, że z czasem ludzie otrzymają z drewna żywność. Są wszelkie dane ku temu! Proszę zwrócić uwagę — nie glukozę, lecz skrobię i cukier, do usług. Wysokogatunkowy! Ile się komu spodoba! I do tego przy małych kosztach. To myśl genialna! Tak-s! Pierwszorzędny pomysł!

— To żarty, istne żarty... Mówi, że jedynie proletariacka nauka jest postępową. Tylko ta nauka, mówi, która służy klasie produkującej. Produkującej — proszę zwrócić uwagę! Jaki spry-ytny!

Drugi staruszek przystanął i zjadliwie mrużąc oczy zapytał:

— A czytał pan, szanowny kolego, dzieła tych... no, bolszewików? Na przykład Ulianowa — Lenina?

— Ja? Cóż znowu!... Żartuje pan chyba... — Staruszek w bobrowej czapce odrzucił głowę w tył. — Po co uczoneму polityka?... — Zaniósł się kaszlem i nagle zaczął szeptać pokazując oczyma. — Sz-sz... Popatrz pan, idzie... Nowoupieczony... Karierowicz! Kche-kche! Kroczy!

Z drzwi gmachu uniwersyteckiego wyszedł Grigorij Iwanowicz Zbierowski, nowy profesor, o którym właśnie mówili starcy.

Jeszcze do niedawna był naczelnym inżynierem wielkiego zakładu chemicznego, położonego nad jedną z północnych rzek. Fabryczka ta wyrabiała kalafonię oraz inne produkty drzewne. Na głuchą północ rzuciła Zbie-

rowskiego wojna domowa. W fabryczce, prawie doszczętnie spalonej przez Anglików, pozostał początkowo na miesiąc, potem na pół roku, ale gdy uruchomiono zakład, przyzwyczał się do nowego miejsca i pozostał tam przeszło siedem lat. Urządził laboratorium i bezskutecznie starał się odtworzyć syntezę, którą niegdyś widział u Lisicyna. Potem zarzucił ten projekt i zabrał się do własnych pomysłów. Uporczywie pracował nad rozłożeniem najbardziej skomplikowanego węglowodanu — błonnika — na prostsze i bardziej wartościowe. Szukał takiego sposobu rozkładu, ażeby w jego wyniku otrzymać skrobię i zwykły cukier.

Początkowo doświadczenia nie udawały się. Jednak każdy nowy krok coraz mocniej utwierdzał Grigorija Iwanowicza w przekonaniu, że myśl jego da się urzeczywistnić. Pracując nad chemizmem błonnika, zaczął przysyłać do Moskwy swoje prace naukowe. Zaczęto je drukować i zwrócono na nie uwagę. Autora zaproszono do wzięcia udziału w rozstrzygnięciu niezmiernie ważnego dla gospodarki narodowej problemu przygotowania produkcji syntetycznego kauczuku.

Władze radzieckie ogłosiły wówczas konkurs na najlepszy sposób produkowania kauczuku syntetycznego.

W czasie konkursu stało się jasne, że sposób akademika Lebiediewa posiada szereg momentów dających mu bezspornie pierwszeństwo. Dojrzało zagadnienie surowca. Według metody Lebiediewa — kauczuk miał być otrzymywany ze spirytusu.

Zbierowskiemu i wielu innym specjalistom zadano wówczas pytanie: czy wobec tego nie byłaby celowa produkcja na szeroką skalę przemysłową alkoholu etylowego z drewna?

Grigorij Iwanowicz, jak się to mówi, „nie dał się zjeść w kaszy”. Równocześnie z innymi uczonymi radzieckimi przedłożył swój projekt ulepszenia dawno znanego procesu hydrolizy i rozłożenia błonnika na najprostszy z

węglowodanów — glukozę, którą z kolei można poddać fermentacji i zamienić w spirytus.

Następnie Zbierowski znowu powrócił do swoich poprzednich doświadczeń polegających na szukaniu katalizatorów, które by sprzyjały przemianie błonnika w skrobię. Wyniki doświadczeń wyraźnie rokowały nadzieję. Mógł już jasno sformułować myśl, że należy za pomocą hydrolizy rozłożyć błonnik aż do glukozy, a potem za pomocą reakcji chemicznych budować z cząstek glukozy, podobnie jak dom z cegieł, złożone cząsteczki substancji cukrowych rzędu cukru słodowego i skrobi. Zarysowały się jak gdyby sposoby rozwiązania zagadnienia i udało się znaleźć pierwsze — co prawda całkiem jeszcze niedoskonałe — katalizatory. Zbierowski stworzył ogólną teorię, którą nazwał „przemiana glukozydów typu beta w glukozydy typu alfa”. Teoria ta była tematem jego pracy habilitacyjnej. Marzenie o przeróbce w zakładach chemicznych drewna na produkty żywnościowe wydawało się już bliskie urzeczywistnienia. I oto, po obronie rozprawy, Zbierowski otrzymał katedrę na uniwersytecie jednego z dużych miast prowincjonalnych.

Teraz schodził ze stopni głównego wejścia, lekko kulając na skutek ciężkich ran odniesionych jeszcze na niemieckim froncie. Staruszkowie patrzyli na niego w milczeniu. W ślad za nim szedł wysoki, śniady student pierwszego roku, Piotr Szapowałow.

— Moje uszanowanie — ukłonił się staruszkom Zbierowski dotykając lekko czapki i, nie zatrzymując się, przeszedł obok nich aleją.

Szapowałow dotrzymywał mu kroku.

— Oni tam nic nie wiedzą — mówił. — Inżynier Bielousow zabrał ze sobą próbki do Charkowa. Potem przysłał w liście analizy... To jest wyniki analiz...

— A wy sami pochodzicie z Donbasu? — zapytał profesor.

— Tak, z Donbasu.

— Przy jakiej kopalni mieszkają wasi rodzice?

— Nie mam rodziców — rzekł Szapowałow.

Staruszek w bobrowej czapce odprowadził wzrokiem odchodzącego Zbierowskiego i, pokazując go ruchem głowy drugiemu staruszkowi, szepnął:

— Jak kroczy! U każdego studenta szuka popularności... Przypochlebia się.

A tymczasem Szapowałow opowiadał głośno:

— Byłem wtedy małym dzieckiem, nie pamiętam. W dziewięćset ósmym nastąpił wybuch w kopalni Charitonowa. Ojciec zginął w czasie wybuchu, a matka dostała wtedy pomieszania zmysłów i także wkrótce umarła...

— Charitonowa?

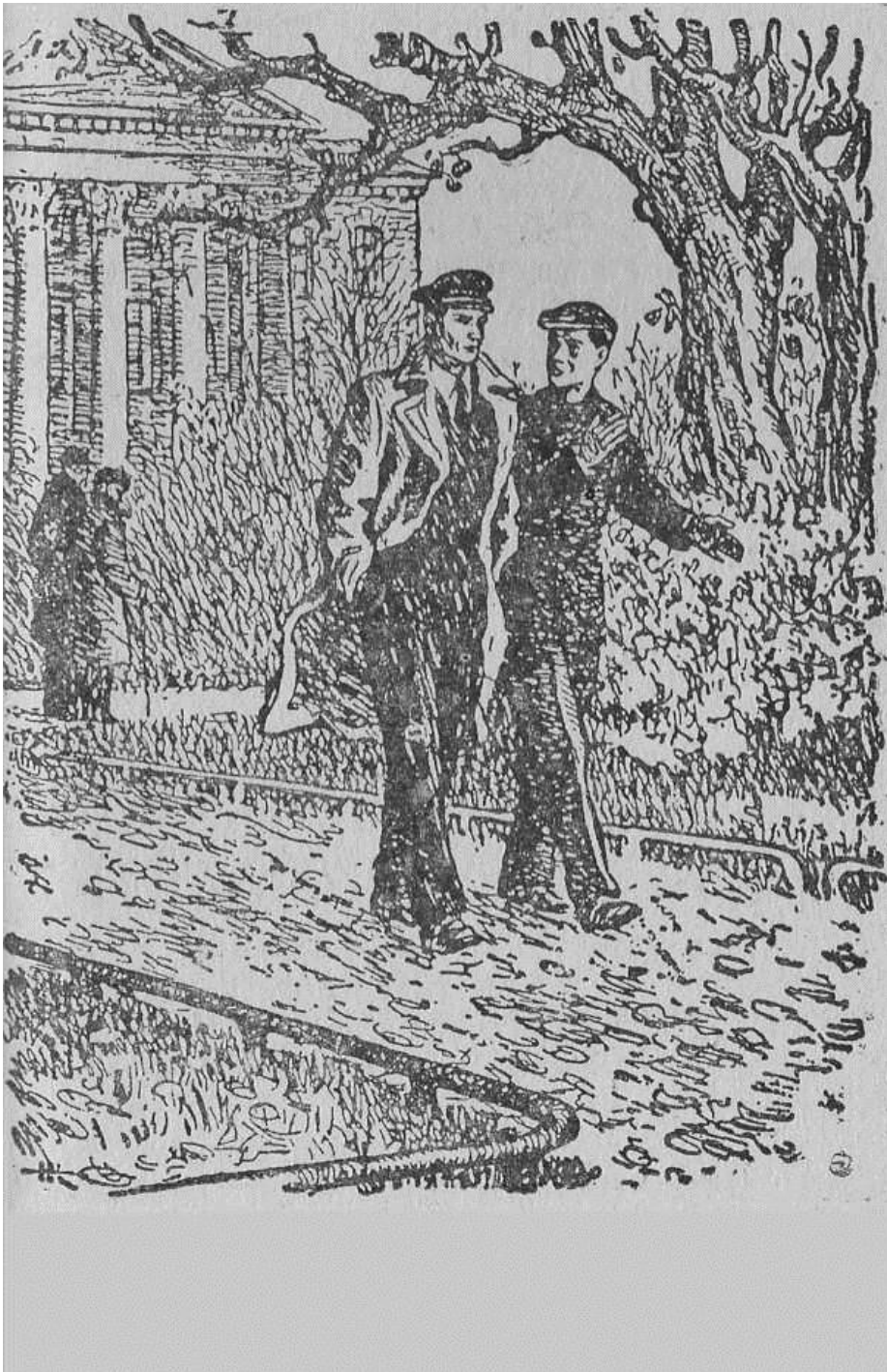
— Tak, Charitonowa.

— To ci dopiero! — zdziwił się Zbierowski. Zwolnił kroku i uważnie spojrzął na studenta. To już nie był młodzieniec — to był dorosły człowiek. Szczupła, mocno opalona twarz wydawała się skupiona i pełna wyczekiwania. Myśli Szapowałowa na pewno były dalekie od tragedii, o której właśnie opowiadał.

Dróżka, na którą skręcili z szerokiej alei, prowadziła do dwupiętrowego murowanego domu, gdzie mieściło się laboratorium uniwersyteckie. W wyobraźni Grigorija Iwanowicza stanął jak na jawie upalny letni dzień, step doniecki, on sam w studenckim mundurze, na biedce, spieszący do Zoi, rozedrgany pióropusz pary, który to pojawiał się, to znikał, wycie tej straszliwej syreny i krzyk otaczającego kopalnię tłumu. Policjanci, opędzając się szabłami, włązili na dach nadszybia, a na ziemi, w odległości trzech kroków od biedki, siedziała młoda, piękna kobieta. Siedziała patrząc szklanymi oczyma i przyciskając do piersi dziecko. Przejmującym głosem ciągnęła jedną niekończącą się, smętną nutę: „I-i-i-i...”

— Towarzyszu profesorze — rzekł Szapowałow, gdy wchodzili już po schodach na drugie piętro — Biełusow brał próbki także z tych słoików, które wam przy-

niosłem. Do analizy. Zawiózł je także do Charkowa. A w wyniku napisali...



Zbierowski zatrzymał go ruchem ręki. Oparł się o poręcz i zapytał:

— Ile lat mieliście wówczas?

„Może to on właśnie — pomyślał — jest tym dzieckiem, które trzymała siedząca na ziemi kobieta...”

— To znaczy kiedy?

— No wtedy, kiedy nastąpił wybuch w Charitonowce.

— Ile? — Szapowałow, zastanawiając się, zwlekał z odpowiedzią. — Dwa lata, trzeci.

— Ta-ak, więc ta-ak... — rzekł przeciągle Grigorij Iwanowicz. Marszcząc czoło spojrzał na Szapowałowa i chwilę milczał. Potem machnął ręką i szybko poszedł po schodach na górę. — Dobrze — powiedział — zajmijmy się waszą sprawą. Czy przynieśliście spis znalezionych rzeczy?

Student wyraźnie ucieszył się. Od razu ożywił się i rzekł:

— I spis, i analizy, które Bielousow przysłał z Charkowa, i jeszcze zdjęcia tych wszystkich pierścieni szklanych i krawców... których jest trzy skrzynie. Spójrzcie, towarzyszu profesorze, na zdjęciach zaznaczyliśmy nawet wymiary. Atramentem. W milimetrach. Inżynierowie nic nie wiedzą. Może wy zorientujecie się.

Zbierowski usiadł przy biurku. — Siadajcie, proszę, obok — i przeczytał podany mu przez studenta, napisany na maszynie spis. Przerzucił wyniki analiz substancji chemicznych i zabrał się do oglądania fotografii nieznanych części szklanych.

— M-tak! Bardzo mądrze! — pomyślał głośno.

Szapowałow trząsknął zamkiem, zapinając, to znowu rozpinając swoją nową teczkę z dermatoidu.

Wreszcie Grigorij Iwanowicz rzekł:

— Słoiki, które daliście mi przedwczoraj, nie zawierają skawalonego proszku. Nie! Znajdują się w nich — o, tam stoją — specjalnie przygotowane ziarna. I to, wicie, o bardzo skomplikowanym składzie. Choć wieloma sposobami przeprowadzałem analizę, zawsze otrzymuję różne wyniki. Gdy badałem je w ciągu dnia, w roz-

tworze znajdował się cukier i dużo glukozy. Gdy przeprowadzałem badanie wieczorem, okazało się, że w próbkach w ogóle nie było węglowodanów. Myślę, że jest to zwykła mieszanina różnych substancji. I to w dodatku nie jednakowa mieszanina. — Ruchem ręki pokazał, jak gdyby coś mieszał i wstrząsał w powietrzu. — Jedne ziarna, widzicie, zawierają jedno, inne — co innego.

— Więc jakże, towarzyszu profesorze — zapytał Szapowałow kładąc teczką na kolanach — cóż to więc było za laboratorium?

Zbierowski wzruszył ramionami:

— Naprawdę nie mogę nic o tym powiedzieć. Prawdopodobnie praca naukowa. — I uśmiechnął się patrząc na zmartwioną twarz studenta. — Inna sprawa, gdyby ocalały papiery i dzienniki doświadczeń. Wówczas rozwiązalibyśmy z wami tę zagadkę. Chociaż parę słów, jakaś nić przewodnia... Wiecie — dorzucił, gdyż zrobiło mu się żal studenta, który na pewno pokładał jakieś nadzieje w odnalezionym przez siebie laboratorium — „ten Sza-powałow — pomyślał Grigorij Iwanowicz — na pewno jest tym dzieckiem z Charitonowki” — wiecie co, zostawimy to zagadnienie otwarte. Znalezione przez was przedmioty są bardzo interesujące. Może to jakiś nieznanym uczony... Czy to nie jest możliwe? A może „kiedyś mnich pracowity — przypomnijcie sobie Puszkina — znajdzie mą pracę wielką, bezimienną...” Może właśnie my okazemy się takimi mnichami? Będziemy szukać. Będziemy kontynuować poszukiwania. Trzeba odnaleźć brakujące ogniwo! Gdy tylko natraficie na coś nowego, przyjdźcie do mnie. Ja z największą przyjemnością... Po prostu jestem ciekawy, wiecie...

— Dziękuję — rzekł Szapowałow. — Patrę na tę sprawę z punktu widzenia korzyści ogółu. Jeżeli może przynieść jakiś pożytek dla społeczeństwa, dla państwa, to trzeba szukać. Jak więc uważacie?

— Trudno przewidzieć. Rozumiecie sami... Raptem może się zdarzyć, że sprawa okaże się czymś pożytecz-

nym. Ale ileż tu jest iksów i igreków w tym jednym równaniu! Jakże je teraz rozwiązać?

Gdy student wziął teczkę pod pachę, uklonił się i chciał odejść, profesor go zatrzymał.

W myślach jego wciąż jeszcze przewijało się wspomnienie dawno minionego dnia: wieża szybowa nad kopalnią Charitonowa, syrena, Zoja biegnie za noszami, wśród tłumu okrzyki „Charitoszkę! Charitoszkę!” — a kobieta, przyciskając dziecko do piersi, siedzi na ziemi i patrzy przed siebie niewidzącymi oczyma.

— Słuchajcie — rzekł, gdy napotkał spojrzenie Szapowałowa. — Jeżeli będziecie mieli jakieś trudności, przyjdźcie do mnie. Nie krępujcie się. I to nie tylko w zakresie mojej specjalności. We wszystkich, nawet osobistych kłopotach. Chętnie zdobię dla was wszystko, co tylko będę mógł...

- Dziękuję.
- Gdzie mieszkacie?
- W internacie numer dwa.
- Otrzymujecie stypendium?
- Otrzymuję.
- To bardzo dobrze. Tak. Doskonale.

Grigorij Iwanowicz zaczął spacerować po pokoju. Był to jego gabinet, ale podobnie jak i w innych pomieszczeniach laboratorium, połyskiwały tam na osobnym stole słoiiki, probówki w podstawkach i waga analityczna. Stały tam również szafy z książkami — cały rząd takich szaf zasłaniał ścianę.

„Pewnie ranny na froncie — pomyślał Szapowałow przyglądając się utykaniu profesora. — Trudno go nazwać mołem książkowym. Wydaje się »swój«. Ale co z tego? Wstyd spojrzeć ludziom w oczy. Odkopałem to diabelstwo, a jaki z tego pożytek? Wychodzi na to, że zajmowałem się zabawkami”.

Westchnął. Przypomniał sobie poranek, kiedy szedł z łopata i wstąpił na mogiłę Glebowa. Przypomniał sobie list, który niedawno dostał od Kławy. I Szapowa-

łow doznał uczucia, że w odnalezionych przedmiotach na pewno kryje się jakiś sens. Jakby to było pięknie: wstąpił na pierwszy rok i od razu dokonał czegoś dla nauki.

„Zabrałeś się do tego, to kuj żelazo i nie ustawaj!”

Zbierowski stał przy stole laboratoryjnym i rozmyślał o czasach, kiedy mieszkał jeszcze w Petersburgu, w mansardzie na bulwarze nadbrzeżnym. W myślach porównywał siebie z tamtych czasów ze studentami nowej epoki. Myślał o Szapowałowie.

„Rozprawiali. W głowie — pele-mele *, jak mówią Francuzi, mieszanina, płatanina. Jak ślepe kociaki. A on nie będzie już rozprawiał o szczęściu jako takim. On zapyta: dla kogo szczęście, dla nas — czy dla nich? Myśmymy się miotali i zdobywali mądrość za wysoką cenę. A on nie ma już żadnego mętliku w głowie. Wszystko proste jak u Euklidesa, po najkrótszej linii. Ale nie, poczekaj, czy oni też nie zapłacili wysokiej ceny? A Charitonowka? Charitonowka — to nie cena? Idzie — a serce i uczucia zaniknął na klucz. A może ma w piersi wielkie serce? Wydaje się zdolny. Jeżeli mu się pomoże — góry z posad ruszy, nie tracąc zbędnych słów”.

— Zwróćcie uwagę — rzekł Grigorij Iwanowicz — jaka jaskrawa zielen. — Wziął z podstawki jedną probówkę i zaniósł do okna. — To są ziarna z waszego słoika. Zauważcie, że woda nie zabarwia się. Tylko substancja ziarna zielenieje w wodzie. W środowisku kwaśnym nie rozpuszcza się.

Szapowałow spojrział: istotnie cała probówka wydaje się zielona. Potem popatrzył na Zbierowskiego, w którego niebieskich, spokojnych oczach odbijały się zielone błyski probówki, i przestępując z nogi na nogę, zapytał:

— Przepraszam, towarzyszu profesorze. Czy znane są wypadki, że ktoś prowadził wielką pracę naukową — mam na myśli pracę o doniosłym znaczeniu — w tajemnicy? W jakichś małych prywatnych laboratoriach?

* *Pele-mele (franc.) — czyt. pel-mel.*

— Dużo bywało takich wypadków — odpowiedział Grigorij Iwanowicz i odstawił probówkę na miejsce.

— Przedmioty, które odkopaliście, z lekka przypominają mi...

Nagle Grigorij Iwanowicz zaczął się nad czymś zastanawiać, pokręcił głową i zdecydował: „Nie, to być nie może”. Widocznie jednak niezupełnie jeszcze rozwiały się jego wątpliwości, gdyż zwrócił się do studenta i zapytał:

— Na pewno wiecie, czyje było to laboratorium?

— Wiem doskonale — odrzekł student. — Należało ono do sztygara — technika. Nazywał się Pojarkow. Pamiętam go. Gdy zginął w kopalni, mój wuj, Czeriepanow, zakopał w ziemi wszystkie jego rzeczy — to właśnie laboratorium. Kazał mu je zakopać kierownik stacji ratunkowej.

— Aha, więc tak. Pojarkow — powtórzył Zbierowski.

— Pojarkow. Czeriepanow — kierownik stacji ratunkowej... A gdzie jest teraz ten kierownik?

— Nie wiadomo. Nie ma już nikogo z tych ludzi!

— Tak, tak. Rozumiem. Siadajcie, dlaczego stoicie?

Grigorij Iwanowicz podszedł do biurka i usiadł w fotelu.

— No, więc pytaliście — ciągnął dalej — czy zdarza się, że prace prowadzi się w tajemnicy. Przypomniał mi się taki wypadek. Zdarza się — i praca przepada bez śladu. Wywarło to na mnie ogromne wrażenie. Byłem wtedy, jak wy, studentem. W dziewięćset siódmym roku w Petersburgu. Mieszkał wówczas w Petersburgu nikomu prawie nie znany uczoney. Niejaki Lisicyń. Dokonał on genialnego odkrycia: syntezy węglowodanów.

Szapowałow przerwał profesorowi:

— Słyszałem o Lisicyń.

Zbierowski aż uniósł się w fotelu:

— Wy?

— Tak, ja.

— Gdzie, kiedy i co właściwie słyszeliście?

— Opowiadano mi zeszłego lata, w kopalni.

— To dlaczego milczycie! — krzyknął Zbierowski.
— Kto opowiadał, co opowiadał? Mówcie do rzeczy!

— Opowiadał o nim kierownik budowy kopalni „Siedem-bis”. Opowiadał, co to był za wynalazek. I że zniknął bez śladu. I że razem Dyli na zesłaniu, na Syberii. W tamtych czasach.

— Co wy mówicie! Na zesłaniu? A ja nie wiedziałem! Na Syberii?

— Tak, na Syberii. Potem uciekł i przepadł bez śladu. Mówię o Lisicyńcu.

— Zmiłujcie się! A kto jest ten kierownik budowy?

— Towarzysz Osadczyj.

— Imię?

— Nikołaj Fiedotowicz.

— Nie mówił wam, czy studiował w Petersburgu?

— Mówił. Był na uniwersytecie. Nie skończył studiów, ponieważ zesłano go. Należy przypuszczać, że za działalność polityczną. Nie znacie go przypadkiem? — zapytał się Szapowałow.

Grigorij Iwanowicz poczerwieniał, wstał z krzesła i położył studentowi ręce na ramionach:

— Nie macie pojęcia, jakie to dla mnie ważne. Takie nowiny... Jestem gotów wycalować was! Mój drogi!

„Cóż znowu — pomyślał Szapowałow — cóż to on...”

Po dwóch tygodniach Grigorij Iwanowicz otrzymał odpowiedź na swój list. Również i Osadczyj ucieszył się, że odnalazł starego, tyle lat nie widzianego przyjaciela — ziomka i współlokatora z poddasza. Odpowiadając Zbierowskiemu, zapisał maczkiem osiem stron. Pisał o latach spędzonych na zesłaniu, o tym, że wrócił legalnie, ale wkrótce znowu musiał się konspirować, co trwało do siedemnastego lutego; o tym, że brał udział w rewolucji i w wojnie domowej; o tym, że był żonaty i że jego żona zginęła na froncie. Niemal na każdej stronicy powracał Osadczyj do wspomnień o innych ziomkach z Niżniego Nowgorodu. O jednych opowiadał, o innych pytał.

Pisał: „Obydwaj z Matwiejewem uważaliśmy, że ty, Grisza, na pewno będziesz uczonym. Tak się też stało. Gratuluję ci z całego serca!”

Zwłaszcza bardzo dokładnie odpowiedział Osadczyj Zbierowskiemu na temat Lisicyna. Opisał wszystko, co tylko zdołał sobie przypomnieć.

„Rozstaliśmy się w ten sposób — pisał — że dzięki pomocy towarzyszy z zesłania zdobyłem dla niego »lewy« paszport. Wymyślili dla niego jakieś nazwisko. Nie pamiętam jakie, ponieważ robiono to wszystko w pośpiechu, a przy tym było to już dawno. Dałem mu jeszcze pieniądze na drogę i z tym paszportem, jako zatrudniony u jakiegoś zmyślnego kupca — wyjechał. Wiem, że do stacji kolejowej dotarł szczęśliwie. A potem nikt go już nie widział”...

„Szkoda” — pomyślał Zbierowski.

Kilka razy przeczytał list. Długo siedział przy biurku, trzymając się rękami za głowę. Wreszcie westchnął i wstał. Wolnym krokiem przeszedł przez pokój i uchylił drzwi. Usłyszał zwykły hałas — to w ogólnej sali laboratorium nawoływali się, głośno rozmawiali i śmieli się studenci pierwszego roku.

— Towarzyszu profesorze — usłyszał — czy można?

Przed nim wyrosła postać studenta.

— A-a, to wy! — rzekł po przyjacielsku Grigorij Iwanowicz widząc przed sobą Szapowałowa. — No, jak tam wasze poszukiwania?

— Przykro mi, towarzyszu profesorze, ale wszystko przeszukałem w pamięci, aby znaleźć jeszcze jakiś szczegół. I nic z tego. Gdyby chociaż jakiś świadek...

— Ta-ak... No, nie martwcie się. Dla was najważniejsze teraz uczyć się. Wejdźcie do gabinetu — dorzucił Zbierowski — zaczekajcie na mnie chwilę. Usiądźcie, proszę.

Profesor wyszedł i Szapowałow został sam w gabinecie.

Na biurku leżała oprawna w skórę książka otwarta na tytułowej stronie — pierwsze wydanie „Podstaw chemii”. Student spojrział na nią i zobaczył na pożółkłym papierze dedykację, a pod nią podpis „D. Mendelejew”, z zakreślasem. Zrozumiał, że pisała to ręka wielkiego uczonego.

Szapowałow zrobił wielkie oczy:

„Tam do diabła! Czyżby sam Mendelejew?”

Wstał z krzesła. Nie wając się dotknąć książki palcami, nie mógł oderwać oczu od rzadkiego autografu.

Czy ktoś może znać przyszłość?

W tej chwili, oczywiście, nie mogło mu przyjść do głowy, że za pięć lat tę właśnie książkę z drogocennym autografem otrzyma w podarunku od profesora Zbierowskiego jego najlepszy uczeń, młody inżynier Piotr Protasowicz Szapowałow.

Teraz student Piotr Szapowałow wstał z krzesła i szeroko otwartymi oczami patrzył na zamaszysty podpis: „D. Mendelejew”.

„Ta sama ręka — pomyślał — napisała kiedyś: zamienić pokłady węgla w gigantyczne gazogeneratory, kierować nimi z powierzchni, tak ażeby ludzie nie potrzebowali wcale opuszczać się pod ziemię”.

Szapowałow znowu usiadł. Oparł się o biurko profesora i obrzucił spojrzeniem masywny żeliwny kałamarz, otwartą kopertę i stos niedbale ułożonych rosyjskich i zagranicznych pism chemicznych. Zauważył leżący pośrodku biurka arkusz papieru z notatkami profesora — znał już jego pismo — i mimo woli przeczytał kilka wierszy.

„Leśne bogactwa naszej ojczyzny — było tam napisane — staną się z czasem nieprzebranymi zapasami żywności. Mocno wierzę, że okres len jest już niedaleki. Wierzę w to dlatego, że nasza nauka, stworzona przez wielkich rosyjskich uczonych minionej epoki, staje się teraz nauką młodej przodującej klasy. Zaś ludziom nau-

ki pomaga nie spotykana w dziejach siła — zespolona i potężna partia bolszewików"...

ROZDZIAŁ II

PASOŻYT

Gottfried Krumreich był niezadowolony ze swojego losu. Lubił porównywać swoje życie z grubą księgą buchalteryjną. Gdy ją otworzysz, to na każdej kartce po prawej stronie księgi ciągnie się niekończący się spis niepowodzeń, przykrości, krzywd i niespełnionych nadziei. Krumreich widział tę księgę niemal na jawie, dużą, kwadratową, w płóciennnej oprawie. Gdy otworzy się ją na chybił trafił i spojrzy na prawą stronę, to po prostu odechciewa się żyć. Każdy nowy dzień dorzuca tam nową stronicą. Co innego, myślał, stronice po lewej stronie książki. Zapisuje się w nich radości i powodzenia. Ale i tam, jak mu się wydawało, nie wszystko układa się pomyślnie. Na białym liniowanym papierze widnieją jedynie nieliczne wyrazy wypisane starym gotyckim pismem. Najczęściej kartki po lewej stronie nie były w ogóle zapisane. Po prostu czyste poliniowane kartki dobrego, glansowanego papieru.

„Mein Gott*, jaki los jest niesprawiedliwy!" — wzdychał Krumreich.

Staruszek kelner postawił przed nim w milczeniu kufel piwa. Pomyślał: „Ten pan tęskni za starymi, dobrymi Niemcami" i rzekł z uprzejmym uśmiechem:

— Bitte schön **.

Inne stoliki w sali były wolne. Przy bufecie stało dwóch dziarskich, wąsatych drabów w brunatnych ubraniach wojskowego kroju. Palili papierosy i flirtowali z ładniutką bufetową, która chichotała. Za oknami padał deszcz.

Krumreich spojrzął na zegarek: do odejścia pociągu pozostawało jeszcze czterdzieści minut. Powolnym ruchem podniósł kufel i zbliżył go do ust. Nagle, nieoczekiwanie dla siebie samego, zakaszłał. Kufel drgnął mu w rękę, piwo zakołysało się i oblało mu spodnie.

„A! Noch einmal rechts *** — znowu prawa strona książki”. — Skrzywił się ze złości. Potem wyjął z kieszeni dokładnie złożoną jedwabną chusteczkę, rozłożył ją i starannie wytarł spodnie.

Drobnymi łykami popijając piwo, zaczął rozmyślać o swoich niepowodzeniach.

Ile lat minęło od tego czasu? Był wtedy młodym, bardzo jeszcze młodym inżynierem. W przededniu wojny... to znaczy, dwadzieścia lat temu z okładem, i to jakim. A jak władał wtedy językiem rosyjskim! Czytał Dostojewskiego i Mereżkowskiego * w oryginale. Tak, tak, to wszystko było... I to wszystko trzeba było umieścić po prawej stronie. Właściwie, od tego czasu zaczęło się.

„A ten nie żyjący już Scyta — ten rudy barbarzyńca. Kiedy nareszcie przestanie wtykać nos w moje sprawy? Przekleństwo”.

Krumreich był przesądny.

Od tego czasu, myślał, wszystko się zaczęło. No i porypało się jedno za drugim: po pierwsze, gdy Emma dowiedziała się, że nie przywiózł z Rosji obiecwanego bogactwa, wyszła za mąż za Heinricha Krause, który miał

* *Mein Gott* (czyt.: *majn Got*) — po niemiecku — *mój Boże*.

** *Bitte schon* (czyt.: *bitte szen*) — po niemiecku — *proszę pięknie*.

*** *Noch einmal rechts* (czyt.: *noch ajnmal rechts*) — po niemiecku — *jeszcze raz na prawo*.

majątek pod Królewcem; po drugie, w pierwszy dzień wojny, w lipcu 1914 roku, firma „Dreger” oznajmiła, że niepotrzebny jej już inżynier, który zna język rosyjski; po trzecie, powołano go do wojska i wysłano na front zachodni, gdzie potrzebni byli ludzie umiejący się obchodzić z gazowymi butlami; po czwarte, umarła w Hamburgu ciotka i spadek, na który czekał tyle lat, pozostawiła nie jemu, lecz jego kuzynce Szarlocie, która i bez tego była już bogata; po piąte, wskutek zmiany kierunku wiatru pod Ypres, o mało nie dostał się w strefę gazów trujących i o mało nie zatruł się na śmierć przy swojej własnej baterii gazów bojowych; po szóste... Co prawda, przypomniał sobie Krumreich, na stronicach po lewej stronie książki też są zapisy: po pierwsze, Heinrich Krause, porucznik marynarki, także poszedł na front; po drugie, Rosjanie zatopili łódź podwodną, którą dowodził Heinrich. Tak więc, owdowiała Emma wreszcie wyszła jednak za mąż — stało się to już po wojnie — za niego, za Gottfrieda Krumreicha. Czyż jednak te skąpe radości mogą przechylić szalę wagi i zrównoważyć długą listę przykrości, które go spotkały?

„Nie powiodło się panu w życiu, Herr Krumreich!”

Spojrzał znowu na zegarek: do odejścia pociągu zostało jeszcze pół godziny. Zastukał w stół zgiętym palcem:

— Kelner, jeszcze kufel piwa!

I znowu westchnął przeciągle.

Jego Emma stała się właścicielką majątku koło Królewca. To znaczy, że i on, Gottfried, stał się ziemianinem. Tylko, mój Boże, jak dalece los jest niesprawiedliwy! Przecież ten majątek nie przynosi prawie żadnego dochodu! Możesz płakać lub bić się pięściami po głó

** Mereżkowski Dmitrij Siergiejewicz (1866—1938) — burżua-zyjny powieściopisarz rosyjski o tendencjach mistycznych. Umarł na emigracji.*

wie. I co rok jest gorzej. Czyżby był głupi? A może leniwy? Nie, tu potrzebny jest kapitał. O, gdyby tak zainwestować w majątek kapitał! Dlaczego jednak inni Niemcy, powiedzmy Rudolf Richter, Hans Stelbrecht albo nawet ten jakaś Wergau — dlaczego tamci wzbogacili się, dlaczego mają akcje, własne fabryki i zapewne milionowe majątki? Czyżby sprawa polegała tylko na tym, że tamtym udało się stanąć bliżej, zdobyć zaufanie samego fuhrera?

Tak, i w tym również nie powiodło się Krumreichowi. Na przykład Wergau przystał do narodowych socjalistów na długo przed zwycięstwem Hitlera, a on, Gottfried, otrzymał legitymację partyjną dopiero, gdy fuhrer był już u władzy. To całkiem co innego! Aż ciarki przechodzą, gdy się pomyśli, że taki Wergau dostał za darmo majątki pożydowskie. Całkiem za darmo!

Krumreich znowu westchnął. A najważniejsze, że nie wiadomo, co stało mu na przeszkodzie, by znacznie wcześniej stać się członkiem hitlerowskiej partii. Przecież już w trzydziestym drugim czy w trzydziestym pierwszym roku słuchał jednej z mów fuhrera w ciasnym lokalu bilardowym na Kaiserstrasse i już mu się wtedy podobała. „Zbudźcie się, Niemcy!” wykrzykiwał wówczas Hitler wyrzucając rękę do przodu. Dlaczegoż on, Krumreich — jakieś złe fatum powstrzymało go chyba od tego — nie został tam wtedy z Wergauem i Stelbrech łyby go kosztowności jakiegoś tam Żyda. Albo nawet kilku Żydów. Trzeba się było tylko zorientować. W porę zorientować.

„O, Donnerwetter *, co za pech!”

Wypił ostatni łyk piwa. Do odejścia pociągu pozostało jeszcze równe dziesięć minut.

Krumreich wstał, spojrzął na plamę na spodniach, która już przeszła, włożył kapelusz i wziął walizkę. Po-

tem z brzękiem rzucił na stół monetę dla kelnera i statecznym krokiem wyszedł na peron.

Przez szklany dach widać było szare niebo i chmury, które zawisły nad Berlinem. Deszcz mżył bez przerwy.

Pociąg stał na pierwszym torze.

Partia wystawia pana na próbę, Herr Krumreich. Ty-le poleceń! No, cóż, nie zawiodą się. Zobaczą, z kim mają do czynienia. Przekonają się, że nie można go porównać z jakimś tam jakającym się Wergauem!

Dotknął marynarki na piersi, w miejscu gdzie znajdowała się kieszeń, a w niej dokumenty oraz pieniądze, i błysnął w uśmiechu złotym zębem. A może po tej podróży los jego się odmieni? — pomyślał. Nie, nie zapomniał jeszcze rosyjskiego języka. A może wydostanie się spod władzy złego losu? Jakżeby było wspaniale! Żeby tak w majątek pod Królewcem móc włożyć choćby dwieście, trzysta tysięcy marek... no, ostatecznie sto pięćdziesiąt tysięcy. Tak! Wszystkiego sto pięćdziesiąt tysięcy!

Wreszcie granica. Stacja graniczna Szepietowka.

— Turysta? — spytał żołnierz straży granicznej w zielonej czapce. Sprawdził papiery cudzoziemca i spojrział mu w twarz.

— Tak, tak, turysta! — z pośpiechem potwierdził cudzoziemiec. Żołnierz zwrócił uwagę, że podróżny powiedział to po rosyjsku. — Turysta, a po rosyjsku mówi się teraz inturist. Ja bardzo jest zainteresowany nowy życie. Nowy, jasny życie w Związek Radziecki. Tak, trzeba powiedzieć nowe życie, to rodzaj nijaki. Zapomniałem trochę. Albo może — nowym życiem. To narzędnik? Czy to tak dobrze?

— Dobrze — rzekł żołnierz i zwrócił dokumenty, które były w porządku.

Wreszcie nadjechał rosyjski pociąg. Na każdym wagonie była biała emaliowana tabliczka z napisem: „Szepietowka—Baku”.

** Donnerwetter — po niemiecku — do pioruna!*

Rozległ się dwukrotny dzwonek, następnie gwizdek parowozu i za oknem wagonu zaczęły się przesuwać oświetlone słońcem, bezkresne pola, nie pocięte na działki poszczególnych właścicieli.

Krumreich nie odrywał od tych pól oczu. Stał w przedziale przy szerokim oknie z lustrzaną szybą. To już nie przypomina tego, co widział w dawnej Rosji, myślał. To nazywa się kołchoz. Bolszewicki kołchoz.

„Barbarzyńcy. To śmieszne! Na co im tyle ziemi? Co innego, jeżeliby pan otrzymał takie pole, Herr Krumreich...”

Wydawało mu się, że właściciele posiadłości sąsiadujących z jego majątkiem, rodowici pruscy junkrzy, odnoszą się do niego z góry nie tylko dlatego, że nie jest urodzonym szlachcicem. To prawda, że nie otrzymał folwarku w spadku. Ale gdyby był równie bogaty, jak na przykład taki von Schlippe...

Przypomniawszy sobie, jak Emma płakała, gdy Frau von Schlippe zaszczyciła ją oschłym ukłonem i nie chciała z nią rozmawiać. Frau Johann von Schlippe, generałowa. To było nieuprzejme z jej strony.

„Czy Emma jest żebraczką albo jakąś tam Żydówką czy Słowianką? O, Herr Krumreich, gdyby pan miał takie pole, takie jak ten bolszewicki kołchoz! Co by wtedy powiedziała Frau von Schlippe!”

Krumreich wyszedł z przedziału na korytarz wagonu i stanął przy oknie. I tutaj także migały stogi siana i widać było te same niezmierzone przestrzenie, to samo błękitne jesienne niebo.

Oto przemknął elewator, wkoło niego szeregiem stoją samochody ciężarowe — widocznie zsypują ziarno.

„Zabawne! Scytowie, chłopcy... Cóż oni mogą, co oni potrafią? Jakież u nich mogą być plony? Psują tylko ziemię...”

Oto znowu elewator, znowu sznur samochodów z ziarnem. Znowu elewator, znowu samochody. Traktor ciągnie cały sznur przyczep także naładowanych workami. Jeszcze jeden elewator — to już czwarty. Jeszcze jeden długi łańcuch ciężarówek...

„Skąd oni mają tyle ziarna?”

Parowozownia, pompa. Pociąg zwalnia biegu.

— Panie konduktorze, jak długo będzie stał pociąg?

— Dziesięć minut.

Krumreich postanowił przejść się po peronie.

Za dworcem widać było rząd dwupiętrowych domów, które wcale nie przypominały chłopskich chałup. Pośród nich widniał piękny, murowany dom z kolumnami. Przed nim zielenił się ogród, w ogrodzie — rzeźbione posągi.

„Tam — pomyślał Krumreich — w tym domu z kolumnami mieszka na pewno tutejszy naczelny bolszewik. Komisarz”.

— Hej, ty! — zawołał na stojącego na peronie chłopca i kiwnął na niego palcem.

— Po pierwsze, nie „hej ty” — odpowiedział chłopiec hardo — a po drugie, czego sobie życzycie?

— Kto mieszka w tym domu?

— Połowa domu to klub kołchozowy, a połowa to żłobek.

— Nie rozumiem. Co to jest „żłobek”?

— No, tam są dzieci kołchoźników. Rozumiecie?

„O, bolszewicy odbierają rodzicom dzieci!”

Kiwając głową, jak gdyby mówił: „Jasne, jasne”, Krumreich wrócił do wagonu. Z tkliwością wspomniawszy swego syna, osiemnastoletniego Ottona, który wiosną przeszedł na drugi rok studiów uniwersyteckich. Zdrowy, silny młodzieniec, całkiem jak jego ojciec w młodości. Tylko że syn nie popełni już błędów ojca i nie przegoni go już jakiś tam Wergau. Od najmłodszych dzieciny Otto zrozumiał, jak trzeba żyć, i pójdzie przez życie przebojem. On, Gottfried, wyszkoli swojego

syna dokładnie. Otto będzie miał chwytne ręce, już on się o to postara. Tak, z Ottona będą ludzie!

W nocy Krumreich spał bez budzenia się, tak uśpiło go łagodne postukiwanie kół. „Resory wagonu są bardzo dobre — pomyślał — na pewno sprowadzone z Niemiec”. Rano, gdy przebudził się, w przedziale było jeszcze dwoje pasażerów: mężczyzna i kobieta.

Usłyszał cichą, przechodzącą w szept rozmowę:

— Zjedz jeszcze kanapkę.

— Jestem już syty — odpowiedział męski głos.

— Z zimną cieleciną albo z serem. A w ogóle to wszystko było całkiem niepotrzebne.

— Dziękuję, ale nie chcę. Co było „niepotrzebne”?

— Wiesz, można było obejść się bez tego. Zupełnie dobrze można było się obejść. A może chcesz mleka?

Krumreich, nie poruszając się, niepostrzeżenie otworzył oczy i spojrzał przez przymrużone powieki.

Naprzeciw niego siedział na kanapie szczupły, śniady pasażer. Jego gładko wygolone policzki miały błękitnawy odcień, a czarne włosy były zaczesane do tyłu. Obok niego stała otwarta walizka z jedzeniem. Z drugiej strony walizki siedziała Frau — zadał sobie pytanie Krumreich — czy Fraulein? * — w szarym wełnianym kostiumie i bluzce z zawiązanym po męsku, białym krawatem, drobna, z zadartym nosem, towarzyszka podróży tego człowieka.

— Jakże obejść się? — mówił do niej pasażer. — No, wyobraź sobie: przecież to jest sprawa, której nie mogę zrozumieć.

— Teraz już nie będziesz mógł jechać na urlop, jak się należy...

— No, to co? Czy do Zbierowskiego to nie to samo, co na urlop?

— Przepadnie skierowanie do sanatorium.

— Oddam komuś innemu.

— A, żeby tę glukozę! Myślisz, że Zbierowski coś z tego zrozumie?

— Jak to, nie zrozumie! Paradoks: gaz opałowy, zgazowywanie węgla i nagle — glukoza! Nie, tego nie można tak zostawić! On jest wybitnym specjalistą. Pojadę.

— Uczyć się?

— A chociażby uczyć się.

— Przez całe życie uczysz się!

— A sama zapisałaś się na studia korespondencyjne. Po co ci to, przecież ukończyłaś technikum pedagogiczne?

— No, ja mam uczniów, więc muszę.

— A mnie to ma być niepotrzebne? Tym bardziej że to chodzi o taki paradoks.

— Myślisz, że to może mieć znaczenie?

— Co, jazda?

— Nie, glukoza.

— Kto ją tam wie. Może nawet wielkie znaczenie. Poradzę się Zbierowskiego.

— Rób, jak uważasz. — Pasażerka uśmiechnęła się i rzekła cieplejszym głosem: — Pamiętasz, jak pierwszy raz opowiadałeś mi o tym, co znalazłeś w stepie? Pamiętasz, jak potem wróciliśmy i naprawiałam ci szynel?

Uniosła się nieco i wyciągnawszy rękę pogładziła proste włosy swojego współtowarzysza. Ten ujął jej rękę, pogłaskał, uśmiechnął się i powiedział:

— Ach, ty moja kochana.

Potem w milczeniu spoglądali w okno. Po chwili kobieta znowu powiedziała szeptem:

— Chodźmy na korytarz, postojmy trochę.

Wyszli z przedziału i ostrożnie, starając się nie stuknąć i nie zbudzić śpiącego, zamknęli za sobą drzwi.

„Frau — pomyślał Krumreich. — Mąż i żona. Dlaczego Słowianki potrafią się tak ładnie uśmiechać?”

* *Frau* — po niemiecku — pani. *Fraulein* (czyt.: *frojłajn*) — panna.

Do tej chwili udawał śpiącego. Teraz zrzucił z siebie koc, szybko ubrał się, wyjął mydło, brzytwę, wodę kołońską i ręcznik, powpychał to wszystko do różnych kieszeni i wyszedł na korytarz. Współtowarzysze podróży nie obejrżeli się, stali rozmawiając przy otwartym oknie.

Po piętnastu minutach podszedł do nich uczesany, ogolony i pachnący.

— Moje uszanowanie — rzekł — dzień dobry! Ja jestem wasz współtowarzysz podróży. Inżynier Krumreich.

— Szapowałow — odpowiedział pasażer, uprzejmie skinął głową i przedstawił: — Moja żona.

— Kławdia Nikiticzna — powiedziała drobna kobietka w szarym kostiumie.

— Dokąd droga prowadzi? — spytał z zaciekawieniem Niemiec. Gdy usłyszał nazwę stacji w Donbasie, zrobił nagle taką minę, jak gdyby chciał kichnąć, ale nie kichnął, lecz wykrzyknął: — Mój serce wzburzył się — bywałem tam! Dawno, bardzo dawno.

Usiadł na podnoszonym miejscu przy ścianie. Przez kilka sekund milczał zadumany i patrzył przed siebie nieruchomymi oczyma, pod którymi zwisały fałdy zwiótczałej skóry. Potem dorzucił:

— Bardzo, bardzo dawno miałem tam dobry przyjaciela. Zginął na wybuch przy „Świętym Andrzeju”. Lepiej chyba powiedzieć: na „Święty Andrzeju” przy wybuchu.

— Kto był waszym przyjacielem? — zapytał Szapowałow stając się nagle czujnym.

Niemiec nie zauważył wyrazu jego twarzy.

— Chciałbym wiedzieć — ciągnął — kiedy wydobyta ciała tych, którzy zginęli od wybuch na „Świętym Andrzeju”? Kiedy odbyło się ich pogrzeb? Czy tak się to mówi po rosyjsku?

— Pogrzeb, chcecie powiedzieć? Wszyscy, którzy wówczas zginęli, pozostali w kopalni. „Świętego Andrzeja” nie odbudowano, jest od tego czasu nieczynny... A kto was interesuje? Ja wówczas...

— Ooo, zostali w kopalni? Nadzwyczajnie!

Krumreich oblizał wargi i spuścił oczy. Przypomniał sobie to, o czym myślał przez tyle lat: wiernego swojego współnika felczera Makara Osipowicza, zmięty list u niego w zanadrzu. Pamięta słowa listu: „Nie mam nawet możliwości przechowywania dzienników doświadczeń. Zastępuje mi je teraz mały notes, który stale noszę przy sobie. Ażeby wyszedł cało z każdej opresji, noszę go w szczelnym, metalowym futerałku”.

„Ten przeklęty Scyta wszystko zabrał ze sobą do ziemi” — pomyślał.

A wtedy w biurze kopalni — przypomniał sobie Krumreich — technik też to potwierdził: „Właśnie tak, jak pan określił, coś w rodzaju papierošnicy. Kieszeń zapiął na agrafkę, a na wierzch włożył brezentową kurtkę...”

„Jeżeli futerał był rzeczywiście szczelny — przemknęło Krumreichowi przez myśl — to może jeszcze można będzie otrzymać zadošuczynienie od losu? Ale jak? Na głębokości trzystu metrów. Niełatwo. Należałoby wziąć koncesję na odbudowanie kopalni. Ale bolszewicy nie dadzą. Nikomu nie dają. I prawdopodobnie nikt o tym nie wie. Inaczej dawno wydobyliby spod ziemi. Czy jednak papier zachował się — oto pytanie. Fantastyczne bogactwo, Herr Krumreich! Ten rudy barbarzyńca...”

— Dlaczego powiedzieliście „nadzwyczajnie”? — zapytał Szapowałow patrząc surowo na siedzącego Niemca. — Kogo znaleźcie spośród tych, którzy zginęli?

— „Nadzwyczajnie” — wyjaśnił Niemiec — to oznacza, jakby to powiedzieć po rosyjsku, „godzien zdziwienia”, to jest „z wielkim ubolewaniem” albo „jest żałosne”. A mój przyjaciel... („Uwaga, Achtung! * To pańska tajemnica, Herr Krumreich! Nie wolno!”) Znałem robotnika

jednego... Przy „Świętym Andrzej” był taki... Nie zanadto stary jeszcze górnik...

— Jak się nazywał?

Niemiec uśmiechnął się dobrodusznie i rozłożył ręce:

— Zapomniałem! To bardzo — bardzo dawno...

Tak! O, tak! Przypomniałem sobie: Iwanow.

„Kto to był Iwanow?” — pomyślał Szapowałow.

Krumreich ciągnął dalej:

— Ja miał czuły serce... Mein Vater ist Tischler, to znaczy po rosyjsku, stolarz. Ja — syn robotnika... Ja — z klasą robotniczą...

Nawiasem mówiąc, ojciec Krumreicha miał dawniej w Hamburgu sklep z meblami.

...Przez otwarte okno wdzierał się wiatr. Pociąg piał się pod górę, a koła stukwały po szynach. Kławdia Nikitczna oparła czubki pantofli o rury ogrzewania parowego, uniosła się nieco i wysunęła głowę przez okno. Słońce oświetliło jej twarz, rozwichrzone jasne włosy i przymrużone oczy.

— Poszedł do wagonu restauracyjnego — rzekł do niej Szapowałow myśląc o Niemcu.

— Podejrzany typ — rzekła Kława.

— A Iwanowa, żebyś mnie zabiła, nie przypominam sobie.

Stanął obok żony i wyjrzał przez okno. Poczul szum wiatru w uszach, jego silne uderzenia w czoło. Odczuł świeżość powietrza, które, pomimo słońca, było po jesiennemu chłodne i od strony parowozu pachniało trochę dymem z węgla.

Tak samo jechali obydwójce pięć lat temu. On i Kława. Był taki sam korytarz w wagonie, taki sam wiatr i takie samo niebo z pierzastymi obłokami. Tak samo stukwały koła...

Wówczas, pięć lat temu, ukończył właśnie instytut chemiczny (wydział odłączył się od uniwersytetu i stał się samodzielny instytutem). Po obronie pracy dyplomowej Szapowałow przygotowywał się do wyjazdu do Donbasu,

gdzie miał objąć posadę. Dzień przed odjazdem otrzymał telegram od Kławy, pamiętny telegram... Umówili się co do tego jeszcze zimą, ale on przyjął telegram jak nieoczekiwane szczęście. A po kilku godzinach przyjechała sama Kława. Całą noc chodzili po ulicach, trzymając się za ręce. Chodzili, uśmiechali się i milczeli. Rozumieli się bez słów. Potem zupełnie niespodziewanie przyszedł na dworzec profesor Zbierowski. Przyniósł bukiet kwiatów, pudełko z cukierkami i książkę w żółtej skórzanej oprawie. Było to pierwsze wydanie „Podstaw chemii” z własnoręczną dedykacją Mendelejewa. „A więc tak wyglądacie — rzekł do Kławy. — No, dziewczyno, poznajmy się. Dbajcie o waszego męża, opiekujcie się nim, bo na to zasługuje...” Szapowałow roześmiał się wówczas w duchu: to śmieszne, że on ma żonę!

Tak samo stali w otwartym oknie wagonu. Tak jak wtedy, pociąg mknął, naprzód, koła stukwały, powietrze było przesiąknięte dymem, a przed nimi — niezmiernie przestronne, błękitne niebo, ukochana praca, strony rodzinne i na zawsze ręka w rękę z Kławą. I taka sama świeżość...

„Niech życie radzieckich ludzi — powiedziała wtedy Kława — będzie podobne do tego wytężonego biegu. Po stalowych szynach naprzód... Ku szczęściu! O jej! Żeby aż świszczał wiatr”.

I rzeczywiście życie w Kraju Rad płynęło dosłownie „naprzód, po stalowych szynach”, z każdym rokiem — ciągle ku lepszemu, ku lepszemu. Zmieniało się oblicze Donbasu. Piotr Szapowałow, na równi z setkami tysięcy innych, przyczyniał się do tego.

Jeszcze jako student marzył o przemianie pokładów węgla w gazy opałowe. Co prawda pierwsze kroki w tym kierunku poczyniono bez jego udziału. W czasie jego studiów grupa młodych entuzjastów przeprowadziła już pierwsze w dziejach próby podziemnego zgazowywania węgla. Była to, oczywiście, niedoskonała jeszcze próba, ale dzięki temu zaczęła urzeczywistniać się myśl

Mendelejewa — myśl Lenina o „jednym z wielkich zwycięstw techniki”. Również i w tej dziedzinie wytyczali już ludzie nowe drogi.

Natychmiast po uzyskaniu dyplomu Szapowałow zajął się organizowaniem laboratorium na doświadczalnym odcinku zgazowywania węgla w rejonie kopalni „Siedem-bis”.

Początkowo zadanie odcinka sprowadzało się do poszukiwania metod zgazowywania. Zarysowały się dwa kierunki pracy. Niektórzy ze specjalistów stali na stanowisku, że trzeba przygotować normalne wyrobisko - szyby, przekopy i chodniki — potem zapalić węgiel, zamknąć kopalnię i, wtłaczając ograniczoną ilość powietrza, uzyskać w zamian gazy opałowe. Młody inżynier chemik, Piotr Protasowicz Szapowałow, stał się od razu zwolennikiem drugiej metody. Zapalił się do sposobu bezszybowego, polegającego na tym, że w pokładach węgla przewierca się szereg otworów. Jedne z nich służą do wdmuchiwania powietrza do zapalonego pod ziemią pokładu węgla, inne — do odprowadzania tworzącego się gazu opałowego.

Początkowo zgazowywanie tym sposobem nie udawało się prawie wcale.

Po przyjeździe z mężem do Donbasu Kławdia objęła pracę nauczycielki w szkole przy kopalni, a Szapowałow z zapalem zabrał się do udowadniania, że sposób bezszybowy jest możliwy do urzeczywistnienia. Podtrzymali go inni inżynierowie, robotnicy, a także kierownictwo odcinka.

Dni i noce spędzał Szapowałow przy stołach laboratoryjnych, maszynach wiertniczych lub nad płachtami rysunków. Szło mu trudno, a nawet bardzo trudno, zwłaszcza w początkowym okresie. Błądząc po omacku, posługując się przypuszczeniami i domysłami, starannie przygotowywał każde doświadczenie. Na tych przygotowaniach mijały miesiące. Miesiące niepostrzeżenie składały się na lata. Ale zarówno trudy młodego kierowni-

ka laboratorium, jak i całego zespołu nie pozostały bezowocne. Obecnie, po przeszło czterech latach wytrwałej pracy, otwory wiertnicze zaczęły dawać gaz tani i nadający się do celów przemysłowych.

Niedawno minęła gorączka „okresu uruchomienia nowych fabryk” i nastąpiła chwila ciszy.

Wykorzystując przerwę w pracy, Szapowałow postanowił zająć się sprawami, na które przedtem nie miał czasu. Nagromadziło się dużo zagadnień, nad którymi należało się zastanowić. Chodziło mu zwłaszcza o stojący w jednej z szaf laboratoryjnych słoik z resztkami nieznannej substancji — jeden z tych, które wujek Czeriepanow zakopał wówczas w stepie. W ciągu tych wszystkich lat od czasu do czasu, choć z rzadka, ale jednak zaglądał tam. Teraz zapragnął wypróbować i samemu zbadać tajemniczą substancję. Obecnie już może się tego podjąć, „Po prostu dla rozrywki — powiedział sobie — przecież ludzie rozwiązują w wolnych chwilach łamiągłówki!” A w duszy, jak za czasów młodości, znowu ożyły mgliste nadzieje: może to coś niezwykłego, nowego, pożytecznego?

Pewnego wieczoru wyjął z szafy zapieczętowany słoik. Nakreślił sobie następujący plan postępowania: po pierwsze, trzeba powtórzyć analizę substancji przeprowadzoną niegdyś przez profesora Zbierowskiego; po drugie, trzeba zbadać, jak reagują tajemnicze ziarna w obecności różnych gazów.

Z pomocą laborantów rozpoczął analizę. Od razu napełnił ziarnami szklaną rurkę i zaczął kolejno przedmuchiwać przez nie strumień tlenu węgla, strumień dwutlenku węgla i strumień metanu. Gazy były czyste i suche. W czasie ich przechodzenia przez rurkę — w ziarnach nie było widać żadnych zmian. Wreszcie Piotr Protasowicz skierował do rurki strumień gazu piorunującego — w zbiorniku gazowym na stole przygotowana była właśnie, dla jakiegoś innego celu, mieszanina powietrza z wodorem. Rurka, zawierająca nieznanne ziarna, niespo-

dziewanie rozgrzała się, a na jej wewnętrznych ściankach zaczęły jedna za drugą tworzyć się i ściekać krople wody. „Jakieś dziwy” — pomyślał Szapowałow i pokazał doświadczenie laborantom. Wyjaśniał im, że zachodzi tam, na pewno, katalityczne, bezpłomieniowe spalanie wodoru. Widocznie wodór, po zetknięciu się z tą substancją, łączy się z zawartym w powietrzu tlenem i tworzy wodę.

— To jest niesłychanie ciekawe! — wykrzyknął Piotr Protasowicz. — Okazuje się, że mamy tu wodorowy katalizator!

Potem zebrali ściekające po ściankach krople i zbadali je — czysta woda. Wtedy powstało pytanie: a może woda zostaje wyparta z substancji samych ziaren? Trzeba je zważyć, powtórzyć doświadczenie, a potem znowu zważyć. Niezmieniona waga ziaren będzie dowodem, że zachodzi tu rzeczywiście katalityczne utlenienie.

Ziarna zważono, a tymczasem okazało się, że w zbiorniku nie ma już gazu piorunującego, gdyż Szapowałow zużył wszystek. — A tu jest mieszanina zawierająca wodór! — rzekł któryś z laborantów i położył na stole butlę z gazem wodnym otrzymanym przy laboratoryjnym zgazowywaniu koksu. W skład gazu wodnego wchodzi tlenek węgla, dwutlenek węgla, wodór, azot i nieco tlenu.

Następnie postanowili przepuścić przez rurkę z ziarnami zamiast gazu piorunującego — gaz wodny.

Wówczas zdarzył się paradoks, o którym Szapowałow mówił dzisiaj z Kławą, a Krumreich słyszał rozmowę, choć nie rozumiał, o co chodziło.

Szklana rurka rozgrzała się znacznie słabiej niż za pierwszym razem, ale za to każde z ciemnych ziaren najpierw jak gdyby zmatowiało, a potem pokryło się białą krystaliczną powłoką. Gdzieniedzie utworzyły się krople wody. Woda widocznie rozpuszczała krystaliczną powłokę, która stopniowo znowu narastała.

Gdy przerwano doświadczenie, zdjęto część białych kryształków i przeprowadzono ich analizę. Szapowałow

stwierdził z niezmiernym zdziwieniem, że była to glukoza. Same ziarna pomimo najstaranniejszych badań nie wykazywały śladów glukozy ani nawet żadnych substancji zbliżonych, zarówno przed doświadczeniem jak i po jego przeprowadzeniu. Zmienił się również ciężar ziaren. Oznaczało to, że kryształki glukozy tworzyły się w czasie doświadczenia, bezpośrednio z gazu wodnego. Jednak takie przypuszczenie wydawało się zbyt śmiałe. Proces tego rodzaju, dotychczas nie notowany w żadnym piśmiennictwie, był uważany za niemożliwy do przeprowadzenia.

Jakże więc nie pojechać do Zbierowskiego, nie opowiedzieć mu o tym dziwnym wypadku, nie poradzić się go?

Najgorsze było, że Szapowałow zbyt późno spostrzegł się, że całą niewielką ilość substancji, która znajdowała się w słoiku, zużyto na doświadczenia i analizy. Przypomniawszy sobie, że jeszcze w przededniu wstąpienia na uniwersytet, po odkopaniu w stepie wyposażenia laboratoryjnego, oddał znalezione przedmioty na przechowanie Waśce Tancjurze, a raczej nie samemu Waśce, lecz jego rodzinie. Były wśród nich, zdaje się, takie same zapieczętowane słoiki. Gdzie one teraz są, czy aby całe? A może wyrzucono je jako bezużyteczne?

Cała rodzina Tancjury przeniosła się sześć lat temu do Kijowa.

— Kława, pojedziemy do Kijowa! — rzekł Szapowałow zaraz po powrocie z laboratorium. Noc zbliżała się już ku końcowi i zaczynało się rozwidniać.

— Do Kijowa? — powtórzyła Kława sennym głosem, unosząc głowę znad poduszki. A po chwili milczenia dodała: — No, cóż, pojedziemy. Ja z przyjemnością.

Była wolna, gdyż w szkole trwały jeszcze wakacje. Pojechali więc, a teraz wracali do kopalni. Zresztą podróż ich nie dała żadnego wyniku. U Tancjurów nie było już ani słoików, ani żadnych innych przedmiotów odkopanych w stepie. Może dali je komuś, a może zostawili na

strychu w dawnym mieszkaniu — nikt z rodziny Tancjurów już tego nie pamiętał.

Piotr Protasowicz westchnął: „Należało się tego spodziewać!”

Zadanie nie zostało rozwiązane.

„Czymże więc zajmował się rudy sztygar?”

Szapowałow nie domyślał się oczywiście, że słoiki z zagadkowymi substancjami związane są z nazwiskiem tego legendarnego Lisicyna, o którym opowiadali Osadczyj i Zbierowski. Tym bardziej nie mógł przypuszczać, że odkrył nowe właściwości ziaren Lisicyna — właściwości, które były nie znane samemu Lisicynowi. Ten, pochłonięty myślą o fotosyntezie, posługiwał się jedynie wodnym roztworem dwutlenku węgla, a nie próbował nigdy działać na ziarna bezpośrednio gazami.

Teraz Szapowałow stał obok Kławy. Wiatr wdzierał się przez otwarte okno wagonu, a koła stukwały wesołym dudniącym rytmem.

Spojrzał na żonę. Kława przymrużonymi oczyma patrzyła w dal, a wiatr igrał pasmami jej jasnych włosów. Spojrzał na nią i pomyślał, z jak czystymi i jasnymi myślami przychodzi ona do uczniów, z jaką ogromną wytrwałością i cierpliwością przesiaduje nad ich zeszytami i nad konspektami swoich lekcji. Jej każda lekcja powinna dla uczniów być — „po stalowych szynach — naprzód”. Wyszukuje dla nich mocne słowa, jasne obrazy... A jak przybiegła wtedy do niego do laboratorium, kiedy zadzwonił do niej... Było wówczas już po północy, laboranci rozeszli się, a on pracował sam jeden i rozsadziło kolbę z kwasem siarkowym, gdy dolewał tam kwasu mrówkowego...

— Kława! — powiedział Piotr Protasowicz głośno, ażeby żona usłyszała, i położył dłoń na jej ramieniu.

— Co, miły?

— Nic, ja tak...

Tymczasem Krumreich siedział w wagonie restauracyjnym. Przed nim stała karafka wódki. Przy tym samym

stoliku siedział łyśy staruszek w sukiennej watowanej kurtce. Staruszek miał czerwony nos i wyglądał na bardzo dobrego. Jadł jajecznicę i ukradkiem spoglądał na Niemca. — Ponieważ pracuję w księgowości... — mówił maczając w jajecznicy kawałek chleba.

— Das ist sehr gut — russischer Schnaps * — rzekł Krumreich i nalał z karafki dwa duże kieliszki. Jeden z nich przysunął staruszkowi zapraszając ruchem: — Prosit, wasze zdrowie, jak się mówi po rosyjsku!

Trącili się kieliszkami. Niemiec upił maleńki łyżeczek i odstawił swój kieliszek na bok. A staruszek westchnął — nie wolno obrażać człowieka — i wypił do dna. „Co za obrzydliwość!” Skrzywił się i, jak się zdaje, upił się od razu.

— Bardzo mnie interesować — ciągnął Niemiec — czy na waszej stacji ratunkowej „Dreger” aparaty jest?

— Niestety, nie mogę ci powiedzieć. Gdybym wiedział, to z przyjemnością... Ale ponieważ pracuję w dziale finansowym, w księgowości „Ugletechnaba“...

— Jest niemieckie aparaty?

— Skądby znowu niemieckie! Rodzime, nasze. Dostajemy z trustu „Technika Bezpieczeństwa”. Tak jest napisane na listach przewozowych.

— So-o — ciągnął Krumreich — bardzo topsze — i znowu podsunął współbiedniakowi pełny kieliszek: — Prosit!

— Czy to nie za wiele? — zapytał staruszek z przestraszeniem.

— Ależ nie — przekonywał Niemiec — nie, bardzo pożyteczne jest.

Staruszek wychylił drugi kieliszek, zakaszał i odsunął talerz z resztką nie zjedzonej jajecznicy. Ze zmętniałymi oczkami przysłuchiwał się temu, co mówił Niemiec, ale głos dolatywał do niego jak gdyby z oddali.

* *Das ist sehr gut — russischer Schnaps — po niemiecku — to jest bardzo dobre — rosyjska wódka.*

— Ofiary na doniecki kopalnia — pytał Krumreich — czy często zdarzają się? — I powtarzał swoje pytanie w najrozmaitszy sposób: — Wybuch gaz, Flotzbrand, chciał powiedzieć, pożary pod ziemią? Nieszczęśliwy wypadek, robotnikom w kopalni kaput, takie smutne, godne ubolewania, liczny jest w waszych kopalniach?

Staruszek nieoczekiwanie zachichotał:

— Ażeby cię diabli... wybuchy... pożary... Wszystko ci się płacze po pijanemu, wszystko ci się płacze. Gdzież te wybuchy, co? Ach, człowieku, golnałeś sobie porządnie! Ach ty, niech cię piorun trzaśnie! — Nieposłuszny język zaplątał mu się. — A wiesz, co to jest wybuch?

Pamiętasz? Szczeniak jeszcze z ciebie, młokos, cóż ty mogłeś widzieć w swoim życiu! — Wytarł chusteczką oczka, które nagle zaszyły mu łzami. — Tak było, było — ze smutkiem ciągnął dalej szeptem — rzeczywiście było. Masz rację, rzeczywiście... Nie będę tego przed tobą ukrywał. Pamiętam, pamiętam jak dzisiaj: w roku, chyba, dziewięćset ósmym na Makariewskiej... Byłem rachmistrzem... Albo na Charitonowskiej... Och, było! Prawdę mówisz!

Krumreich przerwał mu gniewnie:

— A teraz?

— Co „teraz”?

— Wielki nieszczęście na jakiś kopalnia.

— Jakżeby nie bywało? Różnie bywa! No, cóż... no, tak na przykład... Słusznie, choćby taki wypadek! Jakiś miesiąc temu na sąsiedniej kopalni... maszynie Seliwanowowi wrębiarka rzeczywiście przygniotła nogę. Naprawdę przygniotła. Ale kto, pytam się, jest winien? Kto, pytam?

— A wybuch, chcę wiedzieć, pożar?

Staruszek machnął chusteczką i znowu zachichotał:

— Widzę, żeś bardzo pijany! Co z ciebie za bezmyślna jednostka! Tłumaczę ci przecież: owszem, mówię, wtedy w Charitonowce... Bitą godzinę ci tłumaczę! A ty

wszystko płaczesz, człowieku. Słuchać ciebie... A pamiętasz Marię Iwanownę, znasz ją? Jak ona z moją małżonką... Och jak one kwasily ogórki! Nikt im nie dorówna! Ja już, słowo daję... — chciał nabrać widelcem jajecznicę, lecz nie mógł trafić i stukał nim po obrusie, mrużąc coś zupełnie bez związku.

Niemiec patrzył w okno. Pociąg zwolnił biegu.

Tu i owdzie widać było kopalnie. Zaczynało się Zagłębie Donieckie.

Również i kopalnie — ocenił Niemiec doświadczonym okiem — zupełnie nie przypominają tych dawnych, które były wtedy w czternastym roku. Po pierwsze, było ich teraz dużo, znacznie więcej niż wtedy. Po drugie, zamiast skromnych wież szybowych wznosiły się teraz kolosy ze stalowych kratownic i żelbetonu, ciągnęły się linie wysokiego napięcia, gdzieniegdzie dymiły kominy fabryczne, przesuwały się ogrody, ozdobne domy i piękne ulice przykopalnianych osiedli. A po ulicach i w stepie pomiędzy osiedlami — Krumreich nie wierzył własnym oczom — jada tramwaje.

„Barbarzyńcy! Po cóż im to bogactwo!”

Skrzywił się, spojrzął na pijanego rozmówcę, wstał od stołu i poszedł do swojego wagonu. Tam zapytał Szapowałowa:

— Jaki jest Stakanow? Taki? — wyciągnął rękę w kierunku sufitu, a potem szeroko rozłożył dłonie, podnosząc je do poziomu głowy.

— Stachanow? — roześmiał się Piotr Protasowicz.
— Nie, to jest zwykły człowiek.

— A jego uczeń jest liczny? Naśladowca?

— Wielu jest u nas stachanowców.

— Ja nie rozumiał. Proszę pana wyjaśnić: jaka jest metoda...

— Metoda stachanowska?

— Tak! Tak! Stakanow jest inżynier?

— To zwykły robotnik, górnik. A metoda... No, cóż, metoda polega na wysokiej kulturze pracy...

— U rosyjski robotnik?

— Tak, wysoka kultura, wykorzystanie mechaniki, rozczłonkowanie pracy na poszczególne czynności i odpowiednie rozstawienie ludzi. Wszystko obmyśla się wcześniej i nie traci się ani jednej sekundy. A najważniejsze to nateżenie sił dla swojej ojczyzny... i mądra pomoc partii...

— Chciał zarobić wie-el — dużo, dużo pieniądze?

Kławdia Nikiticzna siedziała w przedziale i z nieukrywaną ciekawością obserwowała Niemca. Z uśmiechem dotknęła ramienia męża i powiedziała półgłosem:

— Widzisz go...

A Niemiec stał na progu i powtarzał:

— Nie rozumiem. Nie, nie rozumiem.

Pociąg znowu zbliżał się do jakiejś stacji. Koła zastukały na zwrotnicach. Za oknem przesunęły się białe dwupiętrowe wille, potem szare duże domy z lustrzanymi szybami wystaw sklepowych, bulwar z niewysokimi jeszcze drzewami, dalej kolejka linowa prowadząca do zakładów koksowo-benzenowych i wreszcie olbrzymie nadszybie, podjazd do niego, pomost, sortownie i zbiorniki załadownicze.

— No, Kławoczka — rzekł Szapowałow — to już „Siódma-bis”. Jesteśmy na miejscu — rzekł do Krumreicha i zaczął zdejmować z półki walizkę.

— Co? O-o! Nie może być! Ta stacja? O, mój serce...

Krumreich rzucił się do okna.

Ale dosłownie nic nie przypominało tego, co tu było dawniej.

Znowu doznał nieprzyjemnego uczucia: „Scytowie. Co oni tu pobudowali?”

Kiedyś jechał tędy saniami. Czarnobrody woźnica wioził go przez jednostajny step. Na stację odprowadzał go felczer Makar Osipowicz. „Przedstawiciel światowej cywilizacji, tak, Rosjanie lubią kwieciste frazesy! Ale mi się nie powiodło wtedy — pomyślał Krumreich. —

O mało mnie wtedy nie zadusił ten rudy szaleniec. Ta-
nia synteza węglowodanów... Taki skarb wysliznął mi się
z rąk! Mein Gott, taki skarb! No, gdyby mi..."

Zamiast niskiego budynku stacyjnego, przez okno
wagonu widać było teraz dwupiętrowy murowany dwo-
rzec.

Byli współtowarzysze podróży szli już przez peron.
On niósł dużą walizę, ona — małą walizeczkę.

„Ona jest dużo miłsza niż Emma... Ale jednak Sło-
wianka. Taką, Herr Krumreich, dobrze byłoby dostać na
pokojówkę... A ten to na pewno komisarz bolszewicki".

Znowu dwa dzwonki, gwizdek i pociąg potoczył się
dalej.

Niemiec patrzył w okno. Miał mętne, niebieskawe
oczy, pod którymi zwisały fałdy skóry.

Wydawało mu się, że wśród oddalających się kopalń
widzi ciemny pochyły stożek — hałdę „Świętego Andrze-
ja".

„Gdyby tak przyjść tam jako gospodarz i władca...
Można by wziąć od losu zadośćuczynienie! Ja ci pokażę,
rudy barbarzyńco! — Krumreich pogroził przez okno pal-
cem. — Ja ci!..."

Potem przyszedł mu na myśl Hitler. „Zuch — pomy-
ślał. — Żołnierze maszerowali trzy godziny i Austria — w
rękach fuhrera. To był chwyt! Jeszcze trochę przemasze-
rowali i Czechosłowacja w rękach fuhrera. A tyle się mó-
wi o wschodnich obszarach, o przestrzeni życiowej dla
Niemiec... »Rasa panów«. Może to się wreszcie zi-
ści? Może to nie próżna gadanina?

Donnerwetter! Wtedy żaden Wergau..."

I Niemiec oblizał zeschnięte wargi.

Minęły jeszcze dwa lata.

Wrogie radio zachłystywało się krzykiem: „Z kwatery
główniej fuhrera. Waleczna armia niemiecka wkroczy-
ła do miast..."

Rzeczywiście, faszystowska armia zajęła wówczas
szereg miast radzieckich. Niosła ze sobą śmierć, znisz-

czenie i przemoc, znęcała się i grabiła, uprowadzała ludzi do niewoli.

*

Donbas leżał w gruzach.

Chochriakow sam wysadził w powietrze elektrownię, pompy, dźwigi i nadszybie, unieruchamiając w ten sposób kopalnię „Siedem-bis”. „Nie wolno zostawić wrogowi kopalni”. Płakał siadając obok szofera, który naglił; to z lewa, to z prawa padały niemieckie pociski. „Już? No, już?” — pytał szofer, który włączył bieg i trzymał nogę na sprzęgle: puści pedał i pojedą. Chochriakow spojrział na dymiące szczątki murów i zakrył dłonią oczy. Po chwili rzekł: „Jazda”.

Po tygodniu w osiedlu kopalni „Siedem-bis” zjawił się Krumreich.

Siedział w opuszczonym przez kogoś pokoju. Ubrany był w mundur oficerski. Przed nim na stole stał lakierowany odbiornik radiowy, który mówił ochryple: „Z kwatery głównej fiihrera. Waleczna armia niemiecka...”

— So-o — powiedział Krumreich i z zadowoleniem zatarł dłonie.

Przysunął do siebie duży notes, wyjął z kieszeni wieczne pióro i zaczął pisać.

Przeglądał to, co napisał, i pisał dalej. Słowa wydawały mu się przekonywające — właśnie takie, jak trzeba. Punkt pierwszy: dla zaopatrzenia wkraczającej armii oraz dla zapewnienia transportu niezbędny jest węgiel kamienny. Punkt drugi: wprawdzie pan gauleiter pewnie jest już o tym poinformowany, ale tym niemniej Krumreich donosi, że bolszewicy wysadzili w powietrze i doprowadzili do całkowitej nieprzydatności techniczne wyposażenie wszystkich kopalń. Punkt trzeci...

Z radiodbiornika, który trzeszczał, syczał i miauczał, zagrzmiął marsz wojskowy. Niemiec uśmiechnął się,

zaczął pogwizdywać i, kiwając głową w takt marsza, znowu ujął za pióro.

Punkt trzeci. Zdaniem tutejszych mieszkańców, najłatwiej uda się odbudować dawno porzuconą kopalnię „Święty Andrzej”. Zdanie ekspertów również skłania się ku temu. Punkt czwarty: uważam za celowe utworzenie w rejonie „Świętego Andrzeja” obozu koncentracyjnego. Dwustu, trzystu jeńców, rekrutujących się, najlepiej, spośród donieckich górników, odbuduje kopalnię w jak najkrótszym czasie. Nie będzie to wymagało żadnych wydatków. Zamiast dźwigów i urządzeń odwadniających można będzie wykorzystać żywą siłę. A on, Krumreich — niech pan gauleiter poczyta to za szczególny dowód oddania fuhrerowi — podejmuje się osobiście kierować odbudową kopalni i obiecuje w bardzo krótkim czasie dać walecznej armii niemieckiej dużą ilość węgla. On, Krumreich, nie zawiedzie nadziei pokładanych w nim przez pana gauleitera. Zanim przybędą bataliony górnicze...

Pismo zakończył pozdrowieniem: „Heil Hitler!”

— So-o... — rzekł Krumreich, znowu zacierając ręce.

Co za czasy nastały, myślał. Teraz wszystkie jego sprawy są po lewej stronie książki buchalteryjnej. Skończył się okres niepowodzeń. Im jaśniej rozpała się gwiazda fuhrera, tym cieplej jest i jemu, Gottfriedowi.

Co prawda, przypomniał sobie Krumreich, z dobrem zdobycznym niezbyt mu się udało. Okazuje się, że ci rosyjscy ludzie nie są znów tak bardzo bogaci. Zwyczajne domowe rzeczy. Ale i tego co prawda odesłał do Niemiec kilka wagonów. Nie wszystko musi przecież należeć do jednego Wergaua czy Stelbrechta.

„A serce ma pan czułe, panie Krumreich!”

Kiedy na stacji Znamionka rozstrzeliwano Żydów, przypomniał sobie, że dzieci uprowadzono oddzielnie. Lepiej, jeżeli dorośli są bez dzieci. Dzieci były maleńkie, miały w rękach zabawki. Potem, gdy zasypali rów ziemią, ziemia jeszcze się poruszała. Wtedy Krumreich — co zrobić ze swoim czułym sercem! — podniósł jakąś zakrwa-

wioną lalkę, jakąś pstrą czapeczkę i ozdobił nimi mogiłę. Nie należało tego robić, pomyślał teraz. Przecież to były tylko żydowskie dzieci. Serce Aryjczyka powinno być twarde. Trzeba śmiało oczyszczać obszary na wschodzie. A Słowian też trzeba przetrzebić. Zostawić tylko tych, co są potrzebni do pracy i niezarażeni bolszewizmem. O-o z fuhrerem nie zginiesz.

„Żeby tylko papiery... żeby tylko papiery tego przekłętego barbarzyńcy pozostały nie uszkodzone! A nuż sporządził on naprawdę szczelny futerał? Wtedy pan może stać się pierwszym człowiekiem Niemiec, Herr Krumreich. Pierwszym po fuhrerze!”

Przeszedł się po pokoju i spojrzał w okno. Zapadał zmierzch. Za oknem stał wartownik.

„Synteza węglowodanów — to wcale niezła rzecz. Tak, to światowy koncern. A pan, jako jego właściciel... na czele...”

Zmierzch gęstniał. Robiło się coraz ciemniej.

...Na ulicach miasta, u skrzyżowania dróg, na pędzących pociągach — wszędzie plakaty. „Nasza sprawa jest słuszna, zwycięstwo będzie nasze!”

Z sercem jak naciągnięta sprężyna pełnym nienawiści do wroga i zapominając o zmęczeniu i chłdzie, ludzie, którzy opuścili strony rodzinne, wyładowywali z transportu maszyny. Padał śnieg i wzmagął się syberyjski mróz. Maszyny wywiezionych na wschód fabryk zaczynały pracować pod gołym niebem, a ściany dookoła nich dopiero budowano.

„Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa!”

W listopadzie, gdy hitlerowcy byli już pod samą Moskwą, na Placu Czerwonym odbywała się defilada, w czasie której towarzysz Stalin wygłosił pamiętną dla narodu radzieckiego mowę. Powiedział wówczas: „Wielka misja wyzwolenicza przypadła wam w udziale. Okażcie się godnymi tej misji!”

Mądrym spojrzeniem ogarniał dzień dzisiejszy i jutrzejszy.

Wojska wprost z defilady szły na front, na podmokłe pola.

Na głębokich tyłach — w górach Uralu, na Syberii, Ałtaju, pod słońcem Azji środkowej — formowały się nowe pułki.

Napływały do nich dziesiątki tysięcy ludzi. Niektórzy przychodzili od razu w szynelach. Byli to żołnierze? frontowi, którzy wracali ze szpitali. Znacznie częściej przybywali inni — w cywilnych płaszczach, w porządnej wiejskiej odzieży, w roboczych kożuszkach — młodzież, która nigdy przedtem nie trzymała w rękach karabinu. Przychodzili milczący, skupieni, stawali w szeregu i jeden za drugim powtarzali: „Ja, obywatel Związku Radzieckiego...”

Faszyści myśleli, że naród radziecki to naród, który można oszołomić niespodziewanym napadem, zastraszyć i zgnieść ogromną armią. „Blitzkrieg — naśmiewali się latem czterdziestego pierwszego roku — wojna błyskawiczna”.

Lecz bardzo szybko napotkali nieoczekiwany opór. Po pierwsze, uparcie bronił się obleżony Leningrad. A w każdym lesie, za każdym rogiem czyhali na wrogów partyzanci. Widać było wyraźnie, że wojna przeciąga się. „Skąd się u nich bierze — myśleli z trwogą najeżdźcy — taka wytrwałość? Czy nie żal im życia? Jaka siła ich podtrzymuje?” — zadawali sobie pytanie hitlerowscy generałowie i rzucali na front radziecki lawinę za lawiną doskonale wyćwiczonych żołnierzy.

Pola walki pokrywały się trupami. Płonęły trafione czołgi nieprzyjacielskie.

„Śmierć niemieckim najeżdźcom!”

„Za Ojczyznę! Za Stalina!”

Huczały armaty, wyły silniki samolotów. Pękały pociski i bomby wyrzucając ku niebu fontanny ziemi.

— Ja jeszcze, jako chłopiec, w czasie wojny domowej... — prosił Szapowałow. — Jestem frontowiec. Co ze

mnie za sztabowiec? Towarzyszu pułkowniku, dajcie mi kompanię. Zwykłą kompanię strzelecką!

Pułkownik przecząco pokręcił głową:

— Nie dam. Jesteś gdzie indziej potrzebny. Właśnie tam się nadajesz. — I napisał: „Skierować do pracy w sztabie dywizji”.

— Chciałbym przecież na front...

— To nie jest ważne, dokąd kto chce! — Pułkownik popatrzył surowo. — Na froncie będziesz częstym gościem. To cię nie minie. Ale przedtem jeszcze będziesz miał w sztabie całą furę roboty. Zrozumiano? — Uśmiechnął się po przyjacielsku. — Idź — rzekł — nie ma co się martwić. Obejmij funkcję. Mówisz, że jesteś członkiem partii? Dobrze, pracy ci nie zabraknie. Idź. Bądź zdrow.

Szapowałow zastanowił się kilka sekund i odpowiedział:

— Tak jest, obejmuję funkcję! — Trzasnął obcasami i wyszedł z chaty, w której mieścił się sztab.

„Jak trzeba — pomyślał — to trzeba i tu — do ostatniej kropli krwi”.

Po tygodniu brał udział w układaniu planu operacji bojowej. Z przykrością zrozumiał, że brak mu fachowej wiedzy, aby stać się dobrym oficerem sztabowym. Jego dotychczasowe wiadomości z tej dziedziny okazały się teraz niewystarczające. Prowadzenie wojny stało się obecnie sprawą skomplikowaną. Znaczący, że natychmiast trzeba się zabrać do nauki. Ojczyzna tego żąda.

W dzień Piotr Protasowicz miał całą furę roboty. Ciężka była na wojnie praca codzienna. Siedział nad raportami i sprawozdaniami, chodził i jeździł, wykonywał polecenia pułkownika w jednostkach swojej dywizji. A nocami, po umyciu się zimną wodą, zamiast spać — rozkładał książkę: podręcznik lub nowy regulamin.

Już kilka śmiałych uderzeń na wroga przedsięwzięto z inicjatywy Szapowałowa. Siłami jednego plutonu spa-

lono dwa niemieckie czołgi i zniszczono kompanię esesowców.

Latem czterdziestego drugiego roku kapitan Szapowałow razem ze zwiadowcami przedostał się na tyły faszystów i rozpostarł tam zasłonę dymną. W tym czasie jego dywizja wzięła szturmem niemieckie okopy, a hitlerowcy miotali się, i nic nie widząc wśród dymu, uciekali, potykali się i poddawali.

Pewnego wieczoru siedział przy ognisku.

Zza krzaków od bagna ciągnęło wilgocią. Komary bzykały cienkimi głosami. Obok kapitana dookoła ogniska siedzieli saperzy. Nad ogniskiem grzały się, zawieszane na długim drażku, zakopcone żołnierskie kociołki.

— Przyniesź wiadro wody — rzekł Szapowałow. — Jak ukaże się niemiecki samolot, gasić ognisko.

Żołnierz Jerochin wrócił z wiadrem i spojrział na niebo.

— Gwiazdy... — powiedział nieśmiało, jak gdyby o czymś najtkliwszym, tajemnym. — Takie gwiazdy jak u nas, w Sewastopolu. Jeszcze przed wojną.

Wszyscy siedzący przy ognisku od razu zaczęli wspominać: Sewastopol!

„A jednak go wzięli, przekłęci — jak długo będą jeszcze deptać naszą ziemię?”

Szapowałow westchnął i spojrział w górę. Oto gwiazdy, srebrne i ciche wyglądają spośród obłoków. Całkiem tak samo, jak nad donieckim stepem. Mała Niedźwiedzica, Kassiopea... A oto pełzną jak świecące karaluchy, skradają się jedna za drugą, inne gwiazdy, wrogie, różnokolorowe światełka pocisków świetlnych. To faszystom przywidział się pewnie w ciemności szum silników i strzelają pociskami świetlnymi. Na wszelki wypadek.

— Chatę spalili — mówił ktoś szeptem — a żonę pognali do Niemiec. Tęsknota na wskroś przeżarła serce. Ale teraz już nawet nie o to chodzi, bracia. Trzeba wczuć się w to głębiej. Tu chodzi o to, czy będzie praw-

dziwe życie na ziemi, czy nie. Czy też należy oddać wszystko tym frycom w łapy. Oto najważniejsze pytanie.

Jerochin zauważył, że kapitan odwrócił się i słucha.

„Czy będzie prawdziwe życie, czy nie?”

Wielu spośród żołnierzy odwróciło się w stronę, z której dobiegał szept. Zobaczyli, że Kudriawcew, niegdyś kombajner ze stacji maszynowo-traktorowej, siedzi przed ogniskiem z twarzą opartą na dłoni, z szynem narzuconym na jedno ramię, i mówi patrząc na języki płomieni pod kipiącym kociołkiem. Płomień odbija się w jego oczach, nieruchomych i zadumanych. Na twarzy — ostro zarysowane cienie.

Obok Kudriawcewa siedzi dwóch: poważny, powolny Dudnik i młody Ormianin Gulian. Słuchają, kiwają głowami, patrzą także w ogień, są także zamyśleni.

„Czy będzie prawdziwe życie, czy nie? Oto najważniejsze pytanie”.

Szapowałow przypomniał sobie szaleńczą odwagę, jaką wykazał Kudriawcew, gdy razem z nim rozsnuwał na tyłach wroga zasłonę dymną.

„Jak trafnie wyraził myśl narodu radzieckiego! Nie od

dać prawdziwego życia. I nie oddadzą — pomyślał Szapowałow. — Kochani moi”.

Niedaleko ogniska ktoś zaśpiewał głuchym głosem:

*Ścielą się czarne chmury,
Błyskawic zygzaki miotają...*

Kilka głosów podchwyciło dalej:

W obłoku pyłu ponurym Syreny na alarm wołają.

W kociołkach gotowała się kasza. Jerochin, Dudnik, Kudriawcew i Gulian przysunęli się do ogniska i mieszali ją łyżkami.

— Znacie, towarzysze, moje miasto? — powiedział powoli Dudnik. Podniósł łyżkę do ust, a potem zaczął dmuchać: gorąca! — Nazywa się Wielki Ustiug!

— Dokoła boje — opowiadał Kudriawcew przerywając Dudnikowi. — Wieś nazywała się Mokszeja... Jedzie-my przez wieś, a dzieci krzyczą: „Wujku, daj gazetę!” Okazuje się, że szyją z nich zeszyty. Piszą. Boje — bojami, a w szkole lekcje jak gdyby nigdy nic. Tylko tyle, że w piwnicy. I papieru, widać, im brak. Nawet gazet nie mają pod dostatkiem.

Żyliśmy, tak, żyliśmy przed wojną! W naszym kołchozie na roboczodzień...

Jerochin znowu zaczął swoje:

— A u nas w Sewastopolu zdarzało się...

Nagle w ciemności ktoś krzyknął przeciągle:

— Alarm!

Ludzie przy ognisku zaczęli się uwijać:

— Kociołki! Zabierać kociołki, kociołki! Gulian, bierz swój!

Po chwili rozległ się syk wylanej na ognisko wody i zrobiło się zimno. Widać było teraz tylko gwiazdy na niebie. W oddali warczały motory niemieckich samolotów. Wydawały one specyficzny odgłos przypominający przerywane wycie.

— Przejdą obok, pasożyty.

Warkot samolotów stawał się coraz cichszy, aż w końcu zamilkł zupełnie.

Od strony przednich linii dolatywały salwy karabinów maszynowych.

Wpatrując się w ciemne zarysy krzewów Szapowałow wracał do sztabu dywizji. Ciemno, choć oko wykol. Na lewo — bagna. Tutaj powinno być drzewo z sękiem. Trzeba po omacku znaleźć zgniły pień — będzie do niego ze dwieście kroków — potem skrócić na prawo, minąć rosochatą wierzbę... Nic nie widać!

Raptem z ciemności — ostry okrzyk:

— Stój, kto idzie?

Hasło, odzew — i Szapowałow idzie dalej.

Taka sama ciemna noc, przypomniało mu się, była pod Pierekopem, kiedy przeprawiali się przez Siwasz. Czekali ich spotkanie z wranglowcami, a woda w Siwaszu zimna. W niektórych miejscach po pas, gdzie indziej po pierś. Karabin trzeba było nosić nad głową. „Nie zostawaj w tyle, Pietiuńka — szeptał wtedy Chochriakow — trzymaj się! — I wymyślał szeptem: — Ach, gady cholerne!” Wtedy tak zmarzli, że przestali już odczuwać zimno. Tylko woda pluskała i dzwoniły zęby. Woda była czarna, lekko połyskująca w ciemności. A Chochriakow... „Jak to może być? — pomyślał teraz Szapowałow i westchnął. — Mówiono, że podobno został, by wysadzić w powietrze „Siódma-bis”. Mówiono, że wysadził. No, a co się z nim stało potem? Może bomba trafiła go po drodze? Albo może dostał się do niewoli? Nie, Aleksandr Siemionowicz nie należy do ludzi, którzy się poddają. Cóż więc z nim się stało? Ach, Aleksandr Siemionowicz, Aleksandr Siemionowicz!”

Kława, przypomniał sobie Szapowałow, pisała z Syberii, gdzie pracuje teraz w fabryce wojskowej, że wszelkimi sposobami starała się dowiedzieć czegoś o Chochriakowie. Dowiadywała się już w Narkomacie * Obrony i w Narkomacie Przemysłu Węglowego i w KC Partii. Wszędzie jedna odpowiedź: brak o nim wiadomości. Zaginął więc bez śladu. Ileż tysięcy, setek tysięcy tak zginęło! Pod Sewastopolem marynarze opasywali się przeciwczołgowymi granatami i rzucali się pod nacierające czołgi...

„A ty, Pietro, rzucisz się, jeżeli zajdzie potrzeba?” — „No, cóż, rzucę się”. — „Czyżbyś Kławy nie kochał?” — „Jeszcze jak!” — „Chcesz żyć?” — „Chcę, bardzo chcę. Kocham życie. Jasne, czyste życie. I dlatego, dla takiego właśnie życia rzucę się, jeżeli zajdzie potrzeba.

* *Narkomat — Narodnyj Komisariat — Komisariat Ludowy — późniejsze mnisterstwo (przyp. tłum.).*

Taki paradoks. Tak, moi mili. A do laboratorium niech idzie wtedy kto inny. Niech rosną dzieci radzieckie. Za zwycięstwo komunizmu. Partia zrozumie".

Wreszcie zamajaczyła w ciemności stuletnia wierzba. „Ta?” — pomyślał wpatrując się w jej zarysy i skinął — nie wiadomo czy do siebie samego, czy do wierzby. Pomyślał, że ścieżka, której wcale teraz nie widać, zawraca zyzgakiem, a dalej będzie ziemianka łącznościowców. Nad ziemianką — antena. Nieco na lewo.

— Trzy listy do was, towarzyszu kapitanie — rzekł żołnierz Hreczkin, gdy Szapowałow wszedł do swojego schronu.

Początkowo oczy mrużyły się od światła. Zamiast stołu — wieko skrzyni po maskach przeciwgazowych; na niej — światełko, zwyczajny kaganek zrobiony z puszki od konserw. Knot omazany dokoła mokrą gliną, ażeby benzyna nie wybuchła. Obok — telefon połowy. Drzwi zawieszono płaszczem-namiotem. Na pryczy z żerdzi — stos choiny nakrytej drugim płaszczem-namiotem. Tam było jego posłanie.

— Dowódca dywizji nie dzwonił do mnie? Albo naczelnik sztabu?

— Nikt nie dzwonił, towarzyszu kapitanie.

Przede wszystkim Szapowałow zauważył, że listy są nie od Kławy. Nie jej pismo. A więc... Wziął pierwszy list. „A, to profesor Zbierowski!"

Grigorij Iwanowicz z całego serca wieszował byłemu uczniowi otrzymania odznaczenia wojskowego.

„Słyszałem, że otrzymaliście order — pisał — i jestem przekonany, że zasłużyliście na niego. W ogóle wierzę w Was. Uważajcie na siebie — przydadcie się jeszcze nauce. Często, Piotr Protasowicz, wspominam naszą rozmowę, wtedy gdy przyjechaliście i opowiedzieliście o Waszym niezwykłym doświadczeniu. Mam na myśli doświadczenie z ziarnami Pojarkowa. Muszę przyznać, że wciąż jeszcze upieram się przy swoim domyśle, chociaż

mam słabe na to uzasadnienie. Upieram się na przekór temu, co mówią fakty. Wydaje mi się, że musiał być jakiś związek pomiędzy obydwoma tragicznie zaginionymi pracami — Pojarkowa i Lisicyna. Są to, rzekomo, dwie różne sprawy. Zaginiony wynalazek Lisicyna dotyczył tylko fotosyntezy. Pod wpływem światła odtwarzał w roztworach wodnych reakcje zachodzące w żywym liściu. Natomiast substancja, nad którą pracował w Waszej kopalni poległy technik, jest przypuszczalnie katalizatorem gazowym. To jest zupełnie co innego: ani roztworów wodnych, ani potrzeby światła. Jednak za mało, niestety, wiemy o tych pracach.

Miło mi jest pomyśleć o Waszych dalszych poszukiwaniach, Piotr Protasowicz. Nie martwcie się, że na razie nie udało się Wam przeprowadzić syntezy glukozy. Wystarczy, że zagadkowa substancja Pojarkowa naprowadziła Was na wspaniałą myśl o katalizatorze w reakcji utleniania wodoru. Udoskonalicie go jeszcze, a wówczas nie wątpię, że nauka radziecka znajdzie dla Waszego pomysłu godne zastosowanie. Przed Wami jeszcze całe życie. Poczekajcie, aż skończy się wojna. Życzę Wam zdrowia i jeszcze raz zdrowia".

Z boku, na szerokich marginesach, dopisek drobnymi literami: „My, na tyłach, także pracujemy w miarę sił... Życie samo potwierdziło słuszność hipotezy o możliwości przekształcenia błonnika, to jest glukozydu postaci beta — w produkty żywnościowe — glukozydy alfa. Chcę powiedzieć, że istnieje to już nie tylko na kartkach mojej rozprawy. W zakładach hydrolizowych, w których z drewna otrzymuje się glukozę, a następnie spirytus, przy zmienionym w czasie wojny, wzmożonym tempie produkcji, zauważono nie spotykane przedtem zjawisko: z aparatów wychodzi obok glukozy pewna ilość bardziej skomplikowanych węglowodanów, rzędu cukru słodowego, a nawet skrobi. Co prawda, posiadają one na razie wielką ilość bezużytecznych domieszek. Próbuje wyciągnąć z tego praktyczne wnioski i zbudować spe-

cyjny proces przemysłowy. Podsumowałem wyniki moich doświadczeń i sprawdziłem niektóre z ostatnich recept.

W związku z tym otrzymałem nowe skierowanie. Przenoszę się do Moskwy".

Szapowałow wyobraził sobie Grigorija Iwanowicza: siedzi z łokciami na stole, z twarzą podpartą pięściami. Na starczych policzkach rumieniec, a na głowie srebrzą się faliste włosy. Siedzi i patrzy w zamyśleniu na kolbę z bezbarwnym roztworem. Albo, utykając, podchodzi szybkim krokiem do szafy z książkami. Rozwiewa się jego biały, rozpięty kitel.

Drugi list, który — jak się okazało — był od inżyniera Kosyha, zaczynał się takimi samymi gratulacjami. Kosych pisał, że zarówno on, jak i setki innych inżynierów pracują nad projektami odbudowy kopalń Donbasu. „Ażeby w dniu, w którym z Waszą pomocą powrócimy do Donbasu, projekty odbudowy były już gotowe. Ażebyśmy się nie spóźnili...”

„To mi się podoba!” — pomyślał Szapowałow i zgętył palcem postukał w papier.

— Hreczkin — zwrócił się do żołnierza, który przy tym samym stole czytał gazetę — spójrz, jaka silna jest u nas wiara w bliskie zwycięstwo! Piszą mi, że całą parą przygotowują projekty... odbudowy kopalń w Donbasie. Boją się spóźnić! Rozumiesz?

Hreczkin westchnął i nic nie odpowiedział. Przez myśli jego przemknęły pokurczone, zalane krwią ciała ludzkie. Spuścił oczy i pomyślał ze złością: „Sojusznikom nie pali się. Amerykanie wieprzowymi konserwami chcą walczyć...”

— Mocny jest naród radziecki — dorzucił Szapowałow wkładając list do koperty. — Bardzo mocny!

Trzeci list był od Osadczego.

Osadczyj nic nie pisał o tym, czy jest zdrowy, czy dużo i gdzie pracuje. Za to wspominał, że już drugi rok bezskutecznie poszukuje Chochrfakowa.

„Zainteresuje Was może — czytał dalej Szapowałow — taka nowina. W tych dniach poznałem pewną starszą kobietę, lekarza dentystę. Ewakuowano ją tutaj. Leczyłem u niej zęby. Opowiedziała mi — nawiasem mówiąc, nazywa się Zoja Stiepanowna — że za młodu bywała w Donbasie. Od słowa do słowa wyjaśniło się, że ma brata, zdaje się już zgrzybiałego starca, który był inżynierem górnikiem i pracował dawniej w Charitonowce. Potem, do roku 1915, był kierownikiem — wyobraźcie sobie! — właśnie naszej stacji ratunkowej. Jego nazwisko Terentiew. Stary emeryt mieszkał przed wojną w Fieodozji na Krymie. Obecnie siostra nic o nim nie wie. Nie wie, czy został na ziemiach zajętych przez faszystów, czy też dokądś wyjechał. Od razu, gdy tylko to usłyszałem, pomyślałem o Was. Czy to nie jego poszukiwaliście? Przypominam sobie, że byliście wówczas studentem i znaleźliście w stepie resztki jakiegoś nieznanego laboratorium”.

Szapowałow raz jeszcze przeczytał list.

Przeczytał i ogarnął go smutek. Powoli namacał na sobie skórzany mapnik, który zawsze nosił na przerzuconym przez ramię pasku, i położył go na stole. Spojrzał na przyczepiony do niego kompas. Pod szkłem drżała namagnesowana strzałka. „O, ten azymut — pomyślał i spojrzał w kąt schronu. Widać tam było tylko ścianę z ziemi, mokrą, z grubsza oklepaną łopatą i wolne miejsce pomiędzy słupami podtrzymującymi sufit z okrągłaków. — Tam, w tym kierunku” — pomyślał Piotr Protasowicz i przywidziało mu się, że teraz, tak jak w ten daleki przedwojenny dzień, silnie pachnie piołun, słońce nagrzewa doniecki step, a on idzie z Kławą pod rękę i opowiada jej o sobie: jakim był początkowo niewydarżonym komsomolcem, jak czytał Lenina, jak zaczął marzyć o nauce, jak stopniowo wydoroślał i że należałoby teraz rozwiązać zagadnienie syntezy glukozy bezpośrednio z gazów opałowych, które otrzymuje się spod ziemi przez otwory wiertnicze. Zdawało mu się, że pod

nogami szeleści sucha trawa. Z prawej strony — kopalnia „Numer Cztery”, a z tyłu — „Siódma-bis”. Idą razem przez step, bo Kława chce zobaczyć miejsce, w którym były zakopane worki i skrzynie z przyrządami laboratoryjnymi.

A jakże cieszyła się Kława, kiedy jemu, młodemu inżynierowi, po roku wyteżonej pracy i po przeprowadzeniu wielkiej ilości doświadczeń udało się uzyskać substancję trochę przypominającą ziarna ze słoika „rudego sztygara”! Skład wynalezionej substancji różnił się od składu ziaren Pojarkowa. Nie wytwarzała się, niestety, glukoza, ale wodór w obecności tej substancji doskonale się utleniał tworząc wodę. Pismo „Chemia Radziecka” zamieściło na ten temat duży artykuł. Była to jego pierwsza opublikowana praca. W tym samym czasie gazeta „Socjalistyczny Donbas” zamieściła reportaż o „wybitnych” badaczach naukowych zajmujących się zgazowaniem węgla. Nazwisko „Szapowałow” znalazło się tam nie na ostatnim miejscu. Jakże się Kława cieszyła! A Chochriakow przyszedł wtedy w uroczystym czarnym ubraniu i sztywnym kołnierzyku. Kołnierzyk przeszkadzał mu, więc odciągał go palcami. „No — rzekł — Pietro, a może każesz się tytułować teraz Piotrem Protasowiczem! — gratuluję ci! Ale sprawiłeś mi radość! Po prostu słów mi brak!” Aleksandr Siemionowicz przyciągnął Kławę do siebie i ucałował ją w czoło: „Winszuję ci męża, Kławoczka!” Uśmiechając się wyszedł do przedpokoju i po chwili wrócił z dużą paczką zawierającą — jak się okazało — szampan, owoce i czekoladę. „Zaproś gości — rzekł — laborantów, z którymi pracowałeś. Trzeba to jakoś uczcić. Chcę wznieść toast za talent, za wytrwałość, za dwa pokolenia bolszewików”.

— Towarzyszu kapitanie — zapytał głośno Hreczkin — nie będziecie jeść kolacji?

Szapowałow drgnął i odpowiedział:

— Nie, dziękuję. Jedz sam.

I siedział nadal, zaopatrzony w mokrą ściankę z ziemi.

Zdawało mu się, że właśnie tam, gdzie Chochriakow, Zacharczenko, Kosych i Osadczyj z miłością kładli cegielkę po cegielce, ażeby było lepiej... tam gdzie w zalanej słońcem klasie Kławą opowiadała dzieciom o Czernyszewskim i Dobrolubowie... tam wreszcie, gdzie on sam przez całą noc chodził po stepie, denerwując się, że nie udają mu się doświadczenia z glukozą, i rozmyślając nad rozwiązaniem tego problemu — tam teraz hula pijany faszysta. Jakiś Hans Wurst.

Pięści Szapowałowa zacisnęły się tak silnie, że aż mu posiniały paznokcie.

Wyobraził sobie komin sterczący pośrodku pokrytego gruzami pola. Była tam niegdyś wieś, bogaty kołchoz, lecz teraz wszystko jest zniszczone, spalone. Ocalał tylko jeden, jedyny komin. Wokoło — popiół, odłamki cegieł i straszliwe, zwęglone trupy. Przy życiu został tylko kot. Siedzi na kominie i okrągłymi żółtymi ślepiami patrzy na przechodzącego Niemca — Hansa Wursta.

„Długo będziesz tu grasował, Hansie Wurst?”

Zasłaniający wejście do schronu płaszcz-namiet zakołysał się od wiatru. Odgłosy wojny — trzask automatów, strzały karabinowe i wybuchy min — stawały się coraz głośniejsze. Gdzieś zahuczały armaty; z oddali słychać było ciągły ogień.

Szapowałow podszedł do telefonu. Spojrzał na kartkę leżącą na stole, sprawdził, że dzisiejszy oddział operacyjny nazywa się „Sosna”, i zaczął wzywać:

— Sosna, Sosna, tu Jarzębina. Sosna, co tam u was?

Mówi Jarzębina. Chcę wiedzieć, dlaczego słychać hałas? Gdzie hałasują, pytam.

W słuchawce telefonu rozległ się głos:

— Naciera pudełeczkami. Nie, nie u nas. Słyszycie, Jarzębina? Nie u nas, mówię. Naciska na Tarutina. Pudełeczkami.

Nazwa „pudełeczko” oznaczała w gwarze wojskowejczołg. A Tarutin — Szapowałow o tym dobrze wiedział, to dowódca sąsiedniej dywizji. A więc przeciwnik przystąpił do ataku. Nacieraczołgami na sąsiedni odcinek.

Hreczkin, który już ułożył się do snu i przykrył szynelem, usiadł teraz i spytał:

— Gdzie strzelają, towarzyszu kapitanie?

— Poczekaj! — zbył go ten i palcami dotknął skroni.

„Skądczołgi?” — szybko przemknęło mu przez myśl.

Wywiad stwierdził, że w pobliżu nie ma niemieckichczołgów. A dywizja Tarutina, mówił ich inżynier, którego dzisiaj spotkali, jak na złość nie ma „butelek” przeciwczołgowych. Jak na złość. Właśnie jutro mieli zamiar jechać do magazynu wojskowego po te „butelki”.

Szapowałow znowu chwycił za słuchawkę.

— Wiśnia, Wiśnia! — krzyczał wzywając kogoś.

„Niedorajda — myślał o Wiśni. — Gdyby chociaż wziął od nas...”

Odpowiedziano mu, że nie ma połączenia z Wiśnią, bo przewód został uszkodzony. Wówczas poprosił:

— Dajcie Cedr! — I mówił pochyliwszy się nad stołem: — Towarzyszu Cedr, raportuje Jarzębina. Melduję posłusznie, towarzyszu Cedr, że Tarutinowi jest gorąco, a nie ma limoniady. Melduję, że Tarutin nie ma limoniady. Nie ma również połączenia. Jestem przekonany, że odeprą, ale na wszelki wypadek... to, że rzucają ogóreczki — to dobrze, ale limoniada też by się przydała.

Szapowałow słuchał słów Cedra i jednocześnie otwierał mapnik.

— Ależ, towarzyszu Cedr — oponował proszącym głosem — pozwólcie im podrzucić, mamy dużo. Jestem pewny, że odeprą, ale na wszelki wypadek — lepiej nie kusić licha. — Lewą ręką trzymał słuchawkę przy uchu, a prawą wyjmował mapy z teczki. — Nie będę ryzykował ludzi. Najkrótszą drogą — przejechał paznokciem po mapie — za dwadzieścia minut. No, to jak, towarzy-

szu Cedr? Pozwólcie, bardzo was proszę, bardzo. To, co zależy od nas... zwłaszcza ode mnie...

Po chwili już biegł przez las, podtrzymując wiszący u pasa futerał z rewolwerem. Na skraju lasu, w pewnej odległości od schronów sztabowych, szofer zapuszczał już motor samochodu ciężarowego.

Ciemne pnie drzew rysowały się na pojaśniałym tle nieba. Wschodził księżyc. Nad przednią linią migotała luna. Tu i ówdzie wzbijały się ognie rakiet.

Słysząc było huk artyleryjskiej kanonady.

...Hans Wurst — Szapowałow wcale tego nie podejrzewał — rzeczywiście istniał i był żołnierzem faszystowskim. Ścisłej mówiąc, był to starszy żołnierz — obergefreiter.

Ciężkie boje toczyły się pod Stalingradem.

Odłamek rosyjskiej miny wybił oko Hansowi Wurstowi. Jednak wypadek ten nie zmartwił go wcale, a raczej nawet uradował. Przewieziono go do szpitala znajdującego się w jednym z przykopalnianych osiedli Zagłębia Donieckiego. Tam, mając przedsmak rychłego powrotu do Niemiec, Wurst wyśpiewywał:

*Nie ma kurki, nie ma świnią;
Do widzenia, gospodynią!
Nie ma wódka, nie ma wina,
Do widzenia, Ukraina!*

Dobrze było, myślał, tylko na początku wojny. Wtedy było doskonale! Aż śmiech bierze: „Paf! — powiesz — matka!” — i pogroźisz automatem. A rosyjska baba aż przysiadzie i zblednie ze strachu. Potem powiesz jej: „Jaischen! * Verstehst? Moment!” ** Dość już, uśmiechnął się, niech teraz inni wojują. Oko, to oko. Jest o czym myśleć! Śmieszne! Nie, aż brzuch wtedy bolał z przejedzenia. Kurta pochowali pod Ługańskiem, Karla pogrzebali pod Millerowem... A on, Hans Wurst, pojedzie do domu. Niech i tak będzie, to wcale nienajgo-

rzej. Do domu — przyjemniej niż pod Stalingrad. O wiele przyjemniej!

— „Nie ma kurki, nie ma Świnia...” — śpiewał i chodził po osiedlu. Z okna spozjrzał na niego oficer z twarzą buldoga i sinawymi workami pod oczami.

Oficer patrzył przed siebie: za oknem — jak zwykle, wartownik; w oddali — ruiny wysadzonego w powietrze budynku; czarne niebo — deszcz wisi w powietrzu, pewnie będzie drobny, jesienny, może nawet ze śniegiem. Po błotnistym chodniku, kołyszając się, idzie żołnierz z przewiazanym okiem, wymachuje rękami i coś tam śpiewa.

„Ze szpitala. To nie w porządku. Szwankuje dyscyplina wśród rannych... No, Herr Krumreich...” — pomyślał oficer, ale zaraz beztriosko machnął ręką: a niech tam! Odwrócił się i sam zamruczał jakąś piosenkę:

*Wenn ich in deine Augen sehe...**
W ustach połyskiwał mu złoty ząb.

Krumreich miał poważne przyczyny, ażeby być w tak dobrym humorze. Nie darmo mówił w okresie swej młodości: „Rosja — to kraj cudów”.

Właściwie, nic go już teraz nie obchodzą walki pod Stalingradem ani ci pijani żołnierze. Jest mu nawet obojętne, czy fuhrer zwycięży, czy nie. Jemu osobiście nie są już potrzebne żadne wschodnie obszary. On już wziął swoje. On już zwyciężył!

„Tu są zbyteczne wzniosłe zasady. Dobrze ci tak, rudy barbarzyńco! Dobrze ci tak!”

Krumreich triumfująco tupnął kilka razy, jak gdyby wdeptywał kogoś w błoto.

* *Jaischen* — przekręcone z rosyjskiego słowo *jaiczki* — *ja-jeczka*.

*** Verstehst? Moment! — po niemiecku — rozumiesz, natychmiast.*

Potem spojrzął do okrągłego lusterka stojącego na stole i nagle skrzywił się z obrzydzeniem.

„Schudłeś, Gottfried, i postarzałeś się w ciągu tych ostatnich miesięcy!”

Praca na „Świętym Andrzeju” trwała już osiem miesięcy. Jacy leniwi, tępi i uparci byli ci jeńcy? Prawdziwi rosyjscy chłopci. Na szczęście to wszystko należy już do przeszłości. A jaki niezadowolony był pan gauleiter. „Kiedy wreszcie Niemcy otrzymają wasz węgiel?”

„Tak — przypomniał sobie Krumreich — wszystko to trzeba było przezwyciężyć”.

Wszystko to należy już jednak do przeszłości.

* Wenn ich in deine Augen sehe — po niemiecku — kiedy patrzę w twoje oczy...

Raz były potrzebne pompy parowe — wiadrem nieprędko wypompuje się wodę z kopalni — innym razem znowu tracił wiarę, że notes przechował się pod ziemią w stanie nienaruszonym. Czasami wydawało mu się, że to tylko bezsensowna mrzonka. Lecz myśl ta przerażała go. — Nie — mówił sobie — tak nie można. Nie, po stokroć nie! Zbyt wielka stawka wchodzi tu w grę. Pomyśleć tylko: światowy koncern, syntetyczny cukier i chleb. Jakże się wyrzec swojego marzenia i bajecznych bogactw, które mającą tak niedaleko?

Zdarzało się, że po nocach śnił mu się martwy sztygar, który wyciąga ręce i chce go zadusić. Wówczas Krumreich, cały spocony i drżący, wyskakiwał z łóżka. Opanowując przerażenie, nakładał płaszcz i nie zwlekając jechał wśród nocy do „Świętego Andrzeja”: może kopalnia znowu zawaliła się, może wynikły jakieś nowe przeszkody?

„Dać za wygraną?” — myślał ze smutkiem i z zabo-
bonnym strachem.

Co dzień trzeba było wysilać się na pomysły, aby zmusić jeńców do pracy. Był mu w tym bardzo pomocny podoficer Gabler, człowiek posiadający duże doświadczenie w obchodzeniu się z jeńcami. Tych, którzy źle pracowali, pędził do pracy całkiem nago nawet w czasie mrozów. Ale ani pozbawienie odzieży, ani najokrutniejsze bicie, ani groźba szubienicy — nic nie mogło zwalczyć uporów Rosjan. „Poza tym — myślał Krumreich — oni nie wiadomo dlaczego trochę za często umierali. I to wszystko na złość — wzdychał — leniwe chamy, na złość!”

Toteż do obozu przy „Świętym Andrzeju” trzeba było co miesiąc brać nową partię jeńców.

Wreszcie — miało to miejsce pięć tygodni temu — nastąpiła najszcześniejsza chwila w życiu Krumreicha.

Czując, że nogi się pod nim uginają, a ściśnięte serce utrudnia oddychanie, Krumreich wyrwał z rąk Gable-
ra prostokątny przedmiot, brunatny od rdzy i przypominający płaską cegielkę.

„A więc to tak wygląda... a więc... Ależ on wcale nie jest mały! O jaki ciężki!

Trzęsącymi palcami obmacywał futerał.

Z jednej strony futerał pokryty był warstwą czarnego pyłu. Gdy Krumreich zeszkrobał go trochę paznokciem, pod pyłem ukazała się warstwa stwardniałej żółtawej parafiny. Zeskrobał ją scyzorykiem i ujrzał czystą, nie zardzewiałą blaszaną pokrywkę. Spod niej wysuwała się podkładka gumowa, która tak stwardniała, że ostrze scyzoryka odbijało się od niej ze stukiem.

„Szczelny! Cały!”

Wtedy Krumreich pisnął jak zając — Gabler nigdy jeszcze nie widział swojego zwierzchnika w stanie takiego podniecenia. Przycisnął do piersi futerał i wybiegł ze „Świętego Andrzeja”. Od tego czasu więcej się tam nie pokazał.

„Samo niebo oddało to panu w ręce, panie Krumreich!”

Notes oglądał już w swoim pokoju.

Spełniły się jego wszystkie nadzieje. „Donnerwetter, tu są i opisy doświadczeń, i wzory, i wyliczenia, i rysunki, tylko atrament nieco spłowiał!”

Krumreich siedział nad notesem do północy. Zasłonił okna, drzwi zamknął na klucz, czytał i obliczał coś ołówkiem na kawałku papieru.

„Nie, to znowu nie tak tanio... A ile energii! Nie, to być nie może. O, tutaj pomyliłeś się, Gottfried. Koszt odparowywania roztworu... cztery i siedem dziesiątych... aj-aj-aj, ale to jest podane w pudach rosyjskich!”

Jakaż to była niespokojna noc!

Najpierw dał się słyszeć odgłos dalekiego wystrzału. Potem rozległy się częste strzały i to gdzieś blisko. Wreszcie wystrzelił wartownik pod oknem. Krumreich otworzył drzwi na oścież, a w korytarzu poblady ordynans wyszeptał:

— Russische Partisanen...

— Schowaj to — rzekł do niego Krumreich — do pieca... do ustępu... żeby nie znaleźli... schowaj! — i wsuwał mu do ręki futerał z bezcennym notesem.

Aż zamdlilo go ze strachu. Nie wiadomo dlaczego był przekonany, że partyzanci przychodzą specjalnie do niego, ażeby odebrać mu ten notes. Przyszło mu na myśl, że z partyzantami przyjdzie także rudy sztygar. Położył się plackiem na łóżku i trząsał się ze strachu jak w febrze.

„Z takimi sprawami nie wolno zwlekać” — pomyślał i nazajutrz rano pojechał do oberleutnanta Wickela, do jednej z niezbyt odległych kopalni. Ten szczęściarz ober-leutnant wyjeżdżał dzisiaj na urlop do Frankfurtu nad Menem. Trzeba było wykorzystać tę niecodzienną okazję.

— Parteigenosse * — rzekł Krumreich do Wickela — mam do was takie zaufanie, jak do samego siebie. W tym pakiecie — wyjął z kieszeni obszyte płótnem, prostokątne zawiniątko — znajdują się drogie dla mnie pamiątki rodzinne: fotografie i listy mojej nieboszczki mat-

ki oraz czcigodnej babci. Muszę się przyznać, że boję się przechowywać je tutaj. Rozumiecie — partyzanci! Proszę was... Pamiętajcie mojego syna Ottona? Oddajcie mu, proszę, ten pakiet. Pracuje teraz w „I. G. Farbenindu-slrrie” we Frankfurcie nad Menem. Tylko bardzo was proszę, strzeżcie tego jak oka w głowie... ja was kocham jak syna. Znam rodziców waszej czarującej narzeczonej... Nie pozostanę wara dłużny! Wiem, że jesteście skrupulatnym człowiekiem...

„Tak lepiej” — pomyślał, gdy Wickel zabrał notes do Niemiec. Odprowadził Wickela i po powrocie zaczął układać pismo do gauleitera z zapytaniem, czy nie mógłby otrzymać urlopu; jest chory, nie może pracować, a poza tym w Niemczech — wymyślił to, ażeby wzruszyć gauleitera — rodzinę jego spotkało nieszczęście: cały jego dobytek spłonął w czasie nalotu.

Po upływie kilku dni Krumreich spostrzegł się i pożałował, że wysłał przez Wickela oryginał, a nie odpis notesu. Nie zdążył zrobić odpisu, a trzeba było. Kto wie, co się może stać. „To lekkomyślność z pana strony, panie Krumreich”.

Życie w kopalni obrzydło mu.

Wreszcie Otto odtelegrafował: „Wickel oddał paczkę. Co z nią zrobić?” Ojciec znowu wysłał telegram do syna: „Strzeż jak najcenniejszego skarbu”.

A na stalingradzkim froncie sprawy wyglądały, zdaje się, nienadzwyczajnie. „Czyżby tak trudno było sforsować Wołgę?”

Gdy Krumreich, z podniesionym kołnierzem płaszcza, wyszedł, by przespacerować się po ulicy osiedla, zza węgła wysunął się rosyjski chłopiec. Spojrzał łobuzersko zuchwałymi oczyma i krzyknął:

— Pan, Wołga? Pan, Wołga, Wołga?

„Zastrzelić szczeniaka” — pomyślał Niemiec i chwycił za rewolwer, ale chłopiec zniknął bez śladu.

* *Parteigenosse* — towarzyszu partyjny — zwrot Używany w partii hitlerowskiej.

I dopiero dzisiaj... tak, dzisiaj może powiedzieć: to wszystko należy już do przeszłości!

Wenn ich in deine Augen sehe...

Niech tam, niech sobie idzie za oknem ten pijany żołnierz z przewiazanym okiem. Niech śpiewa.

Dzisiaj rano przyniesiono kopertę od gauleitera: „Proszę bardzo, panie Krumreich, jeżeli pańską rodzinę spotkało takie nieszczęście, jeżeli pana dobytek... Heil Hitler!”

Do Niemiec!

Do Niemiec, a tam — synteza węglowodanów!

Walizka już spakowana. I za pół godziny podjedzie samochód. I miejsce już zamówione w oficerskim wagonie.

„Zobaczysz, ty rudy barbarzyńco! Zobaczysz!”

Właściwie teraz już nic go nie obchodzą walki pod Stalingradem. Wydawało mu się już nawet obojętne, czy fuhrer zwycięży, czy nie. On, Krumreich nie potrzebuje już obszarów wschodnich. On już swoje dostał.

„Światowy koncern, syntetyczny cukier i chleb...”

Od czasu do czasu Niemcy „wyczesywali” las. Kiedy odkomenderowywali do tej akcji duże siły — nie znajdowali żadnych partyzantów. A małe grupy żołnierzy faszystowskich, tabory i pojedyncze samochody po prostu jak gdyby zapadały się pod ziemię. Wyznaczeni przez hitlerowców w sąsiednich wsiach sołtysi i policjanci znikali bez śladu. Nic dziwnego, że taki las cieszył się u nich złą opinią. Na prowadzących tamtędy drogach postawili nawet ostrzegawcze czarne tabliczki z białymi napisami: „Partisanen!”

Spadł pierwszy śnieg. Gałęzie dębów ugięły się pod jego ciężarem. Z ciemnych, gęstych zarośli unosił się ledwie dostrzegalny dymek i zaraz rozwiewał się na wietrze.

Przed Chochriakowem, dokoła żelaznej beczki zastępującej w ziemiance piec i roztaczającej przyjemne ciepło, rozmieściło się sześciu czy siedmiu ludzi w różnym wieku i rozmaicie ubranych. Jedni przykucnęli, inni stali, gdyż nie mieli gdzie usiąść w ciasnej ziemiance.

— Towarzysze! — rzekł Chochriakow. — Zebrałem was, komunistów oddziału... Jednym słowem, ważne wiadomości. Daj, Konstantin, zapalić.

Wziął podany woreczek z tytoniem i zaczął skrecać papierosa, spoglądając na obecnych spod krzaczastych brwi. Policzki miał, jak zawsze, gładko wygolone. Wydawało się, że nie jest stary, chociaż w rzeczywistości przekroczył już pięćdziesiąt pięć lat.

— Sytuacja — ciągnął — zmieniła się gruntownie. Obecnie, w związku z rozpoczęciem ofensywy pod Stalingradem, Komitet Obwodowy Partii dał wytyczne... Towarzysze, trzeba teraz bić wroga i nie dawać mu odechnąć! Rozszerzymy teraz, na ile tylko zdołamy — हुआ wzburzony bas Chochriakowa — zakres naszej akcji. I jeszcze więcej, niż zdołamy. Towarzysze, wróg będzie teraz uciekał, a my na jego tyłach...

Drzwi rozwarły się szeroko i, z obłokiem zimnej pary, wcisnął się do ziemianki człowiek w białym kitlu ochronnym. Zrzucił płócienny kapiszon, dziarsko przyłożył dłoń na płask do czapki i, patrząc wesołymi oczyma, zaraportował:

— Zadanie wykonane, towarzyszu dowódco! — I opuszczając rękę, dorzucił: — Most — w drzazgi. Doczekaliśmy się chwili, gdy przez most przejeżdżał pociąg. Dwadzieścia trzy wagony niemieckich żołnierzy i oficerów. I most, i pociąg za jednym zamachem. Grzmotnęło, że aż kurz poszedł! A wartowników usunęliśmy zawczasu.

W ziemiance zapanowała cisza. Jakiś brodacz wstał zza pieca, dotykając głową sufitu. Ubrany był w zdobyczny frencz mysiego koloru. Potrząsnął olbrzymią pię-

ścią i poruszył wargami — na pewno chciał coś powiedzieć.

— Poczekaj, Konstantin — wstrzymał go Chochriakow. — Zuchy! — rzekł zwracając się do człowieka w ochronnym kitlu: — Te durnie nie wiedzą, z jakim narodem rozpoczęli wojnę. Przeciwno jakiej sprawie, przeciwko jakiej solidarności, przeciwko jakiej partii... Durnie! Co? — I znowu spojrzął na człowieka stojącego w drzwiach: — Świetnie, że razem z pociągiem! Moje uznanie!

Gdy Otto Krumreich dowiedział się o nagłej śmierci ojca, najpierw uronił łzę, a potem pomyślał: „Sam jest sobie winien. Nie musiał jechać do Rosji. Trzeba się mocniej trzymać »I. G. Farbenindustrie«“.

Przyjemnie mu było pomyśleć, że rosyjscy partyzanci nie przedostaną się do Frankfurtu nad Menem i że pracowników „I. G. Farbenindustrie" nie powołują do woj-ska. A ojciec... to przykre, oczywiście, ale cóż robić! Był już niemłody. No, rok wcześniej, rok później.

Emma inaczej przyjęła wiadomość o śmierci męża. Krzyknęła złamanym głosem:

— Boże mój, a takie piękne rzeczy przysyłał stamtąd! Cóż teraz z nami będzie?

Emma mieszkała w swojej podkrólewieckiej posiadłości i pilnowała rosyjskich „dziewuch", które przydzielono zmarłemu mężowi. „Takie wstrętne, nieznośne leniuchy — myślała — mają jedną tylko zaletę, że nie trzeba im płacić i jedzenie dla nich niewiele kosztuje".

Była oszczędną i zapobiegliwą gospodynią. Nie powierzała nikomu nawet klucza od szopy, w której przechowywano owies dla koni. Nie opuszczała swojej posiadłości od początku wojny i nie miała zamiaru jej opuszczać. Po pierwsze, dzięki „dziewuchom" i męzowskim paczkom, interesy majątku rozwijały się coraz lepiej. Po drugie, wydawało się jej, że właśnie teraz należy unikać życia w miastach — słyszy się ciągle, że tu zrzucano bomby, a tam był nalot samolotów. To straszne! Kie-

dyż wreszcie nadejdzie to zwycięstwo? Przy tym nieustannie niepokoila się o los Ottona.

Kiedy Niemcy — z nakazu Hitlera — okryły się żałobą po poległych pod Stalingradem, Emma również była w żałobie. Nazywano ją wdową po „poległym bohaterze”.

Co za szczęście, wzdychała, że Otto nie jest na wschodnim froncie! Teraz gdy skończy się wojna, syn jej będzie bogatszy niż ten biedny nieboszczyk Gottfried. Majątek przynosił coraz większe dochody. Jeżeli chłopiec będzie się sam zajmował gospodarstwem...

Tymczasem „chłopiec”, którego ojciec tak wychował, uważał się za stworzonego nie dla jakiegoś tam niewielkiego majątku. W życiu — uczył go niegdyś ojciec — trzeba starać się złapać dobry kasek, a w miarę możliwości nawet najlepszy. Ażeby to się udało, trzeba być śmiałym i przewidującym.

Otto „zorientował się”, że dopóki jest wojna, nie wolno tracić posady w „I. G. Farbenindustrie”.

W tym samym laboratorium, w którym pracował Otto, portierem był staruszek nazwiskiem Ritz, weteran poprzedniej wojny. Wiedzano, że w dziewięćset czter nastym roku Ritz został ranny w nogę i dostał się do niewoli rosyjskiej, gdzie przebywał trzy lata. Tam wyleczył się, pracował i nauczył się mówić i czytać po rosyjsku.

Obecnie kierownik laboratorium doktor Freundlich odnosił się do staruszka z nieufnością. Również i wielu laborantów przejawiało w stosunku do niego podejrzliwość. Zauważyli oni, że gdy była mowa o fuhrerze, Ritz milczał, jak gdyby nabrał wody do ust. Zapewniali, że ktoś widział w jego rękach podejrzaną książkę — rosyjskie wiersze. A poza tym, gdy zaproponowano Ritzowi wstąpienie do partii narodowo-socjalistycznej, ponieważ pracuje przecie w takim laboratorium, stary odmówił kategorycznie. Uzasadnił to tym, że ma mało pieniędzy i zarobki nie pozwalają mu na płacenie składek członkowskich.

Jeszcze jesienią, gdy żył Krumreich-ojciec i kiedy przysłał dziwny telegram: „S. trzeź jak najcenniejszego skarbu”, Krumreich-syn z ciekawością przeglądał otrzymany notes. Rosyjskiego tekstu nie mógł zrozumieć, ale z rysunków i wzorów wywnioskował, że jest to opis doświadczeń na temat fizjologii roślin. Wzruszył wówczas ramionami: „Co też ojcu strzeliło do głowy? Za- leży mu pewnie na większych płonach w majątku”.

Pomyślał wtedy, że oddanie książki do tłumaczenia — to zbyt cenny wydatek.

Dopiero po upływie kilku miesięcy od śmierci ojca, Otto przypomniał sobie, że Ritz zna język rosyjski. Niech przeczyta i opowie — za to nie trzeba będzie mu zapłacić.

Pewnego razu, pełniąc nocny dyżur, młody Krumreich wszedł do pokoiku portiera.

— No, co słyhać, staruszkę? — zapytał.

Ritz podniósł się z miejsca i odpowiedział z szacunkiem:

— Danke schon *. Jakoś się żyje.

— Czy moglibyście przeczytać kilka stron po rosyjsku? Chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi. — Otto wyjął z kieszeni notes w skórzanej, popękanej okładce.

— Ale skądże, panie laborancie! — zawołał Ritz z przestrawieniem. — Zapomniałem. Na pewno nie potrafię.

— Popróбуйте jednak. Spójrzcie.

Portier włożył okulary i długo oglądał wyblakłe, spłowiałe litery.

— Wzory sam rozumiem — mówił tymczasem Otto, siadając przy stole. — Tu są cyfry, rysunki — to widzę. Ależ nie bójcie się. Tłumaczcie śmiało. Nie powiem nikomu!

Stary portier bezdźwięcznie poruszał wargami. Tak minęło pół godziny.

** Danke schon — po niemiecku — dziękuję pięknie.*

— Panie laborancie! — rzekł wreszcie. — Na mój rozum... Ta-ak... Ersatz! * Tu są recepty, jak zrobić Ersatz-cukier i Ersatz-makę. Jeżeli temu wierzyć — dorzucił z uśmiechem i oddał notes laborantowi — cukier z powietrza. Z dymu.

Gdy Krumreich-syn wychodził już na korytarz, starzec krzyknął w ślad za nim:

— Ersatz!

Krzyknął i westchnął: „Kiedy wreszcie skończą się te Ersatz-czasy? Chciałoby się już zjeść nie Ersatz, lecz prawdziwą niemiecką parówkę i popić ją kuflem bawarskiego piwa. Mój Boże!”

Po chwili Otto znowu wrócił:

— Bardzo was proszę, staruszkule, zachowajcie to w tajemnicy.

— Niech pan będzie spokojny, panie laborancie! Niech pan będzie spokojny!

Lecz Otto Krumreich nie mógł już być spokojny. Przeciwnie, od tego dnia stracił spokój.

„Natychmiast oddam do tłumaczenia — postanowił najpierw, lecz po chwili pomyślał z przestraczem: — Jeżeli to jest opis jakiegoś wynalazku, to tłumacz na pewno przywłaszczy go sobie. Ubiegnie mnie i opatentuje. Do tego nie wolno dopuścić”.

Wziął z biblioteki słownik rosyjsko-niemiecki i przez kilka tygodni, sam — słowo po słowie — tłumaczył tekst notesu. Aż schudł przez te przedrostki, końcówki, siedem przypadków... Dopiero wtedy zrozumiał, ile pracy kosztowało ojca opanowanie tego „azjatyckiego” języka. Jednak nie obeszło się bez pomocy Ritza. Wieczorami Otto przychodził do niego i prosił o przetłumaczenie tego czy innego zdania.

Stopniowo sens telegramu ojca: „Strzeż jak najcenniejszego skarbu” stał się dla niego jasny.

* *Ersatz* — po niemiecku — namiastka.

Teraz Krumreich-syn z zadowolenia strzelał palcami i mruzczał piosenkę:

Wenn ich in deine Augen sehe...

Oto, myślał, doskonały kasek dla niego! Oto jego przyszłość!

W przypiływie zachwytu nie mógł się powstrzymać i opowiedział o notesie swojemu najlepszemu przyjacielowi Lotharowi Kolchorsterowi, który także pracował w „I. G. Farbenindustrie”. „Niech to zostanie między nami” — prosił. Lothar obiecał. A po trzech dniach doktor Freundlich wezwał Ottona Krumreicha do swojego gabinetu, poprosił, by usiadł, i rzekł:

— Wiecie, że według prawa wynalazki pracowników są własnością firmy. To jest mądre i słuszne. Być może jednak, że zrobimy dla was wyjątek. Nie sami przecież dokonaliście tego odkrycia? W każdym razie, panie Krumreich... — Freundlich spojrzał na laboranta surowo, a po chwili namysłu wyjął z szuflady biurka jedno cygaro i podał mu je — w każdym razie nie popełnicie błędu, jeżeli pokażecie mi posiadane przez was dokumenty... na temat syntezy węglowodanów — dokończył szeptem.

Otto zbladł i jękając się zaczął mówić, że to nie on, lecz jego matka, która mieszka w swoich dobrach pod Królewcem, ma rzeczywiście jakieś należące od dawna do ojca papiery, są one jednak zdekompletowane, nie tworzą całości i dlatego nie można ich wykorzystać.

— A wasza matka — przerwał mu Freundlich — nie zgodzi się na ich sprzedaż?

— Zapytam się — odpowiedział laborant.

Na tym rozmowa się skończyła.

Tego samego dnia, pod wieczór, doktor Freundlich przeprowadził jeszcze jedną rozmowę. Połączył się telefonicznie z „neutralnym” państwem — Szwajcarią, a

tam zażądał połączenia z jednym z dyrektorów „neutralnej” firmy „I. G. Chemie”.

Należy wspomnieć, że szwajcarska firma „I. G. Chemie” ogłosiła się „neutralną” i „niezależną” dopiero w przededniu wojny. Przedtem była uważana za filię koncernu „I. G. Farbenindustrie”. A amerykańscy spekulanci silnie związani z „I. G. Farbenindustrie”, również przed rozpoczęciem wojny, zawczasu, organizowali swoją firmę „General Anilin and Film”.

Szwajcarska „neutralna” firma była w czasie wojny jak gdyby pośrednikiem, ogniwem łączącym właścicieli „General Anilin and Film” w U S A i „I. G. Farbenindustrie” w Niemczech.

— Mister Brown — krzyczał Freundlich do słuchawki telefonicznej — halo, mister Brown! Potwierdziły się, mówię, informacje potwierdziły się. Częściowo się potwierdziły! Nie, materiały są kompletne... Mówię — nie, nie! Ależ skąd! Może pan na mnie polegać!... Nie, coś znowu! Zapewniam pana. Mister Brown, przecież nigdy nie zawiodłem pana zaufania... Równoległe? Ale po co! Zapewniam pana, że mam większe szanse... Halo! Szanse, mówię, szanse! Równoległe... Zobacz pan, że mnie się uda. Proszę wierzyć w naszą życzliwość! Będziecie... jak to... all right! * Bez wątpienia! Innych pośredników nie potrzeba... Nie, po co? Halo, halo! Będzie pan mógł osądzić na podstawie wyników. Nigdzie nie ucieknie. No, słowo uczciwego człowieka... Cha-cha-cha! Znowu pan żartuje!

Po upływie kilku minut od chwili gdy doktor Freundlich odwiesił słuchawkę, pomiędzy Szwajcarią a Frankfurtem nad Menem odbyła się jeszcze jedna rozmowa telefoniczna. Tym razem Walter Brown z zarządu „I. G. Chemie” wezwał do telefonu jakiegoś nieznanego mieszkańca Frankfurtu nad Menem o trudnym do zapamiętania nazwisku. O czym była mowa, tego Freundlich nie powinien był wiedzieć.

* *All right (czyt.: ol rajt) — po angielsku — wszystko w porządku.*

W nocy znowu był nalot i bombardowano miasto. Uległa zniszczeniu cała dzielnica, niedaleko domu, w którym Otto Krumreich wynajmował mieszkanie. Siedząc w schronie przeciwlotniczym, wstrząsanym hukiem wybuchów, Otto niepokoił się przede wszystkim o notes i zeszyt z niemieckim tłumaczeniem drogocennego tekstu. Jedno i drugie zostało w jego biurku w laboratorium. A jeżeli się spalą? A jeżeli ktoś je ukradnie? Jak można było je tam zostawić, robił sobie wyrzuty. To przecież jego los, bogactwo, które samo wpadło mu w ręce.

Wszedł ze schronu — noc była ciemna, straszna. Powietrze było przesycone dymem i kurzem. Ulice — jak wymarłe. Szedł po omacku i tylko uważnie patrząc w górę mógł dostrzec, że niebo było nieco jaśniejsze od czarnych zarysów domów.

— Halt! — zaszczekał przed nim czyjś ochrypły głos.

Przed oczyma błysnęło oślepiające światło latarki kieszonkowej, błysnęło i zgasło. Czyjeś ręce — Otto mógł tylko domyślić się, że obok niego stało aż trzech ludzi — chwyciły go i obszukały jego kieszenie.

— Gdzie papiery? — spytał ten sam głos.

— Jakie papiery? — wybełkotał Otto.

— Twój wynalazek. Cukier, chleb.

Otto milczał. Doznawał uczucia, jak gdyby serce jego ścisnęły zimne kleszcze.

— Jeżeli piśniesz — usłyszał i poczuł na karku dotknięcie jakiegoś metalowego przedmiotu — to kula w łeb. Odpowiadaj: gdzie papiery?

Metalowy przedmiot silniej wpił mu się w kark.

— No?

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, gwałtownie przysiadł, uderzył kogoś głową w brzuch i rzucił się do ucieczki. Z tyłu zabłysło światło i rozległ się huk wystrzału. Kula oparzyła i drasnęła go w ramię. Lecz wła-

śnie w świetle rozblęskiej z tyłu latarki ujrzał przed sobą otwarte drzwi jakiegoś domu, wpadł w nie i namiętnie schodził. W ciągu sekundy wbiegł na czwarte czy piąte piętro. Tam zaczął walić pięściami do drzwi czyjegoś mieszkania. Mieszkańcy byli w domu i wpuścili go. Krzyczał, że gonią go bandyci, prosił, żeby go ratować, bronić, schować, zadzwonić na policję.

Dopiero o świcie powrócił do domu.

Stanął na progu i wydał okrzyk zdziwienia. „Cóż się tu działo?” — pomyślał.

Zobaczył pootwierane szafy i walizki, powyciągane ze stołów szuflady, a wszystkie rzeczy leżące w kupie na podłodze, pewnie deptano je nogami. Tylko portret ojca pozostał na dawnym miejscu! Ze ściany spoglądała arogancka twarz Krumreicha-seniora.

„Naturalnie, szukali papierów. Wszystko przetrząsnęli...”

Otto długo stał z oczyma wbitymi w ziemię i pytał sam siebie:

„Kto to mógł być? Ritz, oczywiście! A może Lothar? Och, Boże!”

Opamiętał się, wybiegł na ulicę. Pędem przybiegł do laboratorium. Z pasją nacisnął guziczek dzwonka w bramie. Odepchnął Ritza, który mu otworzył, przebiegł przez korytarz i zerwał plombę z drzwi swojego pokoju, który na noc plombowano.

Jest notes i zeszyt.

„Wszystko, dzięki Bogu, na swoim miejscu!”

Osunął się na krzesło jak gdyby omdlał. Trzęsącymi się palcami wsunął notes i zeszyt do wewnętrznej kieszeni marynarki.

„Co teraz począć?”

Po kilku godzinach wszedł do gabinetu doktora Freundlicha. Wszedł i powiedział:

— Pan doktor życzył sobie otrzymać papiery, o których była mowa...

— Tak jest — rzekł doktor z ożywieniem.

— To proszę o urlop. Pojadę do Królewca, do posiadłości mojej matki.. Wezmę od niej papiery i przywiozę je panu.

— Bodaj nawet dzisiaj — ucieszył się Freundlich.
— Proszę bardzo!

— Właśnie proszę o wyjazd dzisiaj.

Otto był pomysłowy. Wykombinował, że dopóki pracuje w „I. G. Farbenindustrie”, nie może wziąć patentu na swoje nazwisko, bo mu go sądownie odbiorą. To znaczy, że trzeba zaczekać na koniec wojny. Trzeba tylko do tego czasu starannie schować notes i zeszyt. Teraz, nikomu o nich ani słowa! Niech tymczasem będą w majątku, niech sobie leżą spokojnie w kasie ogniotrwałej, w sypialni matki. Tam będą zupełnie bezpieczne. A gdy wróci z urlopu, powie Freundlichowi, że matka zniszczyła papiery. Powie: „Rad bym panu oddać przysługę, ale na nieszczęście matka myślała, że to niepotrzebne bruliony”. Niech poleżą do lepszych czasów!

— Więc niech pan jedzie dzisiaj — ucieszył się Freundlich. — Heil Hitler!

— Heil Hitler! — odpowiedział Otto zrywając się z miejsca i dorzucił: — Już dawno chciałem zwrócić pańską uwagę, panie doktorze... Ten portier Ritz... pamięta pan, jak się wymawiał: „Nie mam pieniędzy na składki członkowskie”? A tymczasem — widziałem na własne oczy — jak kupował sobie margarynę! Więcej nawet: kupił sobie nową kamizelkę! A w ogóle — jak można w takim laboratorium...

— So — kiwał głową doktor z głębokim namysłem — so... sam też tak myślę. Trzeba z tym skończyć. Po prostu trzeba zawiadomić gestapo!

— Poza tym — ciągnął dalej Otto — jeżeli pan pozwoli... Wprawdzie nie w pańskim laboratorium, panie doktorze. Ale z pańską opinią liczy się nawet pan prezes zarządu koncernu... sam pan Hermann Schmitz...

— O co panu chodzi?

— Chcę zakomunikować, że pracownik oddziału farmaceutycznego „I. G. Farbenindustrie” Lothar Kolchorster — to wróg nowego ładu. Jest to człowiek chyttry i ostrożny. Ale skrycie, w głębi duszy, nawet o fuhre-rze bez szacunku...

— Jakie nazwisko pan wymienił?

— Lothar Kolchorster.

Doktor zapisał w terminarzu: „Lothar Kolchorster, oddział farmaceutyczny I. G.”

Za godzinę Otto Krumreich pojechał na dworzec.

U matki spędził tydzień. Potem wrócił do Frankfurtu nad Menem, ale doktor Freundlich już nie mógł się z nim zobaczyć. Policja zawiadomiła go telefonicznie:

— Pana podwładny — mówili przez telefon — laborant Krumreich został zamordowany w swoim pokoju... Kto jest mordercą? Na razie nie wiadomo. Jak mówią, dopiero poprzedniego dnia powrócił z urlopu. Czy to prawda? Tak, zabili go w nocy. Proszę wybaczyć, ale będziemy zmuszeni pana niepokoić. Przyjedzie do pana sędzia śledczy. To zresztą — uspokoili go — zwykła formalność. Zada panu kilka pytań. Dziesięć minut czasu... Tak, tak, prosta formalność. To zawsze tak bywa. To zwykła sprawa.

Wschodni front nie cieszył teraz Hitlera.

Z każdym miesiącem słabły siły faszystowskie, a krzepła potęga Związku Radzieckiego.

Ludzie radzieccy bili się za ukochaną Ojczyznę, walczyli z tymi, co zadali jej niezliczone cierpienia. Dlatego byli nieustraszeni, dlatego zwyciężali. Wielomilionowy naród — Czerwona Armia i jej potężne zaplecze, które nie szczędząc sił pracowały dla sprawy zwycięstwa — był jedną olbrzymią, zaciśniętą pięścią. Cały naród radziecki żył jedną namiętnością, a duszą jego była partia bolszewicka. Ona to zespoliła wszystkich, kierowała wysiłek każdego w jeden, wspólny nurt, uzbrajała w mądrość i dawała natchnienie, stawiając wzniosłe cele. To-

też ciężkie, nieznośnie ciężkie razy spadały teraz na głowy faszystowskich najeźdźców.

„Czasy, kiedy klika hitlerowska — powiedział w tym czasie towarzysz Stalin — robiła dużo hałasu z powodu zdobycia przez Niemców panowania nad całym światem, zostały już daleko poza nami. Obecnie, jak wiadomo, Niemcy już nie marzą o panowaniu nad światem, myślą tylko, jakby uratować własną skórę”.

Przeliczył się Hitler. Grubo się przeliczył.

Mijały miesiące i front wschodni przysuwał się coraz bliżej ku granicy niemieckiej.

Wreszcie nadszedł czas, kiedy Armia Radziecka wygnała wrogów z ziemi ojczyściej. Jak szczury z tonącego okrętu, tak opuszczali Hitlera jego sojusznicy.

Zaniepokojone sukcesami Związku Radzieckiego, Anglia i USA, które dotychczas zwlekały z wystąpieniem, wysadziły swoje wojska na kontynencie europejskim. Skryte marzenie o klęsce „bolszewików” nie ziściło się. Rządy Anglii i Ameryki postanowiły, dopóki jeszcze nie jest za późno, zagarnąć bodaj część Europy.

Niemcy walczyły, ściśnięte kleszczami dwóch frontów: wschodniego i zachodniego. Czerwona Armia przekroczyła granice swojego państwa. Niosła ze sobą wyzwolenie dla milionów uciemnionych w Rumunii, w Bułgarii, na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Polsce.

A Emma Krumreich po dawnemu żyła w swoim majątku i długo nie mogła uwierzyć, że „bolszewicy” lada dzień wtargną do Niemiec. Dopiero gdy Czerwona Armia weszła do Prus Wschodnich, gdy dały się słyszeć odgłosy kanonady artyleryjskiej, a drogami popłynęły strumienie uciekinierów, dopiero wtedy gdy na zwykłym wozie z bagażem przejechała obok jej domu Frau Johann von Schlippe, Emma zapłakała i zrozumiała, że trzeba uciekać.

W zamieszaniu zniknęły gdzieś rosyjskie „dziewuchy”. Rozbiegła się służba. Nawet konie zniknęły ze stajni.

Emma płakała bezsilnymi starczymi łzami.

— Chodźmy — rzekła do niej pokojówka Matylda. Tylko one dwie zostały w opustoszałym majątku: pokojówka i dziedziczka.

Emma spojrzała w okno i ujrzała, że na dziedziniec wchodzi esesowcy, depczą przyprószone śniegiem klomby i przed samą werandą, w miejscu gdzie tak lubiła latem pijać kawę, ustawiają niezgrabny, sześciolufowy miotacz min, przywieziony na samochodzie.

— Boże! — jęknęła.

— Frau, zaklinam panią, chodźmy! — krzyczała Matylda. — Frau, Frau! — I popychała gospodynię do drzwi.

Bardzo blisko rozległ się huk wystrzałów. Na dziedziniec wjechał drugi samochód z minami.

Emma zbladła i, narzuciwszy na ramiona przysłane przez Gottfrieda z Rosji popielicowe futro, wybiegła w ślad za Matyldą.

Za rogiem domu rozerwał się rosyjski pocisk. Z okien z brzękiem posypały się szyby. Zimny wiatr pędził po asfalcie kłujące śnieżynki.

Emma zwolniła kroku i obmacała kieszenie: „Boże mój! — pomyślała. — Nawet pieniędzy nie wzięłam ze sobą. Tylko klucz od kasy ogniotrwałej. Może się wrócić?”

Tymczasem na dziedzińcu zawył sześciolufowy miotacz min i znowu rozerwał się rosyjski pocisk. Posypały się gruzy i drzazgi.

Emma biegła za Matyldą, o niczym już nie myśląc i osłaniając głowę rękami. Wokół nieustannie rozlegał się huk. To z prawej, to z lewej strony wzbijały się w górę obłoki czarnego dymu, podobne do wielkich rozgałęzionych drzew. W powietrzu gwizdały odłamki.

Gdy zabrakło jej już sił do dalszego biegu, Emma obejrzała się. Przed oczyma mignął jej z dala tak dobrze jej znany pagórek, a na nim — znajomy spiczasty, dachówką kryty dach. Nagle połowa dachu jakoś dziwnie uniosła się w górę, buchnął kłęb dymu, dał się słyszeć

ponowny huk i dom — Emma zobaczyła to na własne oczy! — osiadł, rozpełzł się i zamienił w kupę gruzów. Dymiące szare rumowisko...

— Gottfried! — krzyknęła. — Otto! — i usiadła na śniegu.

...Znów podnosiły się słupy dymu, znowu grzmiały wybuchy. Radziecka artyleria niszczyła posiadłość

Krumreichów ostrzeliwując esesowski sześciolufowy miotacz min.

W odległości dwóch kilometrów, za nasypem szosy oficer artylerii wydawał rozkazy:

— Za radziecką ojczyznę... ognia!

Pociski padały celnie. Z posiadłości Krumreicha nie pozostał już kamień na kamieniu.

— No — rzeki oficer — jeszcze jeden...

Żołnierz, niosący pocisk, położył go na ziemi, wyjął z kieszeni ołówek i pośpiesznie napisał — skrobiąc na metalu: „Każdemu według zasług!”

Ten pocisk również był celny i zburzył ostatni kawałek stojącego jeszcze muru.

ROZDZIAŁ III W RĘCE NARODU

Minał rok, drugi, trzeci i mieszkańcy Moskwy przestali wspominać zaciemnione ulice, ciemnoniebieskie żarówki w bramach, wycie syren, słowa spikera przez radio: „Obywatele, alarm lotniczy. Obywatele...”

Wszystko to należało już do dalekiej przeszłości.

Życie burzliwie płynęło naprzód.

Zmieniał się również zewnętrzny wygląd Moskwy: tam gdzie wczoraj jeszcze stał rozpadający się domek, dziś wznosi się obłożony granitem pałac; tam gdzie wczoraj promienie słońca nagrzewały goły asfalt chodnika, dziś zielenią się czterdziestoletnie lipy.

Właśnie to sadzenie lip szczególnie podobało się Kławie. Wydawało jej się bardzo interesujące. Kława jest nową mieszkanką Moskwy, gdyż Szapowałowowie zamieszkali tutaj dopiero od zeszłej zimy. Jakże więc nie rozglądać się wokoło z zaciekawieniem!

Nawiasem mówiąc, starzy mieszkańcy stolicy także zatrzymywali się i przyglądali — oni również nie widzieli nigdy, jak się przesadza duże drzewa.

Ogromną, obsypaną liśćmi lipę przewożono jak pokojowy kwiatek; korzenie wraz z ziemią były umieszczone w wielkiej skrzyni. Do ciężarówki, na której stało drzewo, podjeżdżał motorowy dźwig, który zdejmował skrzynię z lipą — na pewno bardzo ciężką — i łagodnie opuszczał ją do przygotowanego dołu. Następnie skrzynię rozbijano, wyciągano deski i dół zasypywano.

— O, jak ładnie! — rzekła Kława, gdy zaczęto polewać ziemię wodą z przewodów sieci ulicznej.

— Cóż w tym wielkiego, obywatelko, drzewo jak drzewo — rzekł stojący obok niej, gadatliwy staruszek. —

Ale jak przesuwali gmach Mossowietu lat temu... niech sobie przypomnę...

— Pójdziemy, Kława — rzekł Szapowałow.

Kława spojrzała na dźwig, na ciężarówkę z lipami i wzięła męża pod rękę.

Po wojnie przez krótki tylko okres czasu przebywali w Donbasie, gdyż Zbierowski domagał się ciągle przyjazdu swego byłego ucznia, a praca u profesora była teraz taka niezwykła, taka śmiała, że przynosiła zaszczyt każdemu chemikowi, który brał w niej udział. W dodatku praca ta odpowiadała obecnym planom Szapowałowa.

Po wyjściu z wojska Piotr Protasowicz zajął się doświadczalnym zgazowywaniem węgla, a jednocześnie powrócił do myśli o sztucznym wytwarzaniu glukozy. Ponownie rozpoczął doświadczenia. Chciał stworzyć nie spotykany dotąd proces produkcyjny. Nęcił go następujący schemat: złoże węgla zgazowuje się i pod ziemią tworzą się gazy opałowe; gazy — marzył — idą rurociągiem do specjalnej fabryki, w której przetwarza się je na glukozę. Byłoby to tańsze i korzystniejsze dla państwa niż hydroliza drewna, bowiem z taniej glukozy można otrzymać tani alkohol, będący surowcem do produkcji syntetycznego kauczuku. Ale nie tylko alkohol! W ogóle myśl otrzymywania taniej glukozy z gazów opałowych jest bardzo nęcąca. Cenny to wkład w gospodarkę państwową.

„A perspektywy na przyszłość! Przecież Zbierowski przekształca jedne węglowodany w drugie. Żeby tak zrobić z czasem zwykły cukier z węgla. Byłoby wcale niezłe! Albo, powiedzmy, skrobię”.

Doświadczenia, którym Piotr Protasowicz poświęcał po wojnie cały swój wolny czas, dawały według jego słów „niezgodne z prawem” wyniki. Przygotowywał mnóstwo różnych katalizatorów, wypróbowywał dziesiątki ich — działając na nie mieszaniną metanu, tlenku węgla, wodoru, dwutlenku węgla i powietrza. Z reguły nie otrzymywał z gazów żadnej glukozy. W rurce, w której zachodziła reakcja, tworzyły się tylko krople najczystszej wody. Bywały jednak z tej reguły szczęśliwe wyjątki. Dwa czy trzy razy krople te zawierały ślady jakiejś substancji organicznej o budowie cukru; a raz zdarzyło się, że rozpuszczona substancja posiadała własności glukozy: papierek zwilżony niebieskim płynem Fehlinga poczerwieniał pod wpływem kropli roztworu. Skład chemiczny zastosowanego wówczas katalizatora nie przypominał w ogóle składu ziaren ze słoika „sztygara Pojarkowa”. Im bardziej skład katalizatora zbliżał się do Pojarkowskich ziaren, tym gorsze stawały się wyniki. Po-

mimo najbardziej usilnych starań Szapowałowowi nie udało się

jednak powtórzyć doświadczenia tak, aby płyn Fehlinga znowu poczerwieniał.

Zastanawiając się nad nieznanymi pracami „rudego sztygara” oraz nad swoimi dwoma czy trzema udanymi doświadczeniami, Piotr Protasowicz doszedł do wniosku: po pierwsze, że zagadnienie syntezy glukozy bezpośrednio z gazów — jest do urzeczywistnienia; po drugie, że problem ten należy rozwiązać w zespole ludzi, którzy opanowali wszystkie subtelności chemizmu węglowodanów.

W tym czasie Zbierowski pisał do niego na kopalnię prawie co tydzień: „Przyjeżdżajcie!”

Jakżeż można było nie przyjąć takiego zaproszenia?

Jednym słowem, Szapowałowowie zamieszkali w Moskwie.

— Nie żal ci porzucać Donbasu? — zapytała Kława owego zimowego poranka, gdy wszystko było już przygotowane do wyjazdu. Sama, dopiero co wróciła ze szkoły z zaczerwienionymi od płaczu oczyma. Przekazała swą klasę innej nauczycielce i pożegnała się z każdym uczniem z osobna.

Piotr Protasowicz nie od razu odpowiedział jej wówczas. Poskrobał paznokciem szron na oknie, chuchnął na szybę. Szron odtajał i utworzyło się niewielkie kółko, przez które ujrzał zabudowania oddziału „Podziemgaz” — zabudowania, które zostały zniszczone przez Niemców, lecz po wojnie już je odbudowano. Ujrzał drogę prowadzącą do kopalni „Czwartej”, dawniej „Rosyjsko-belgijskiej”. Droga wydaje się pusta, ale kopalnia wydobywa już więcej węgla niż przed wojną, a pięć razy więcej niż przed rewolucją; nawiasem mówiąc, naczelnym inżynierem jest tam Wasilij Tancjura. Za zaśnieżonymi dachami zabudowań ujrzał Szapowałow nadszybie kopalni „Siódma-bis”. „Tam — pomyślał — po dawnemu pracuje Chochriakow. Odbudowuje i rozbudowuje. Okazało się,

że pozostał przy życiu i wojnę przeżył w partyzantce. Teraz twierdzi, że »Siódma-bis« będzie najlepszą kopalnią na świecie". Piotr Protasowicz odwrócił się od okna, popatrzył na Kławę i rzekł:

— Dlaczego, nie żal? Jeszcze jak!

Obecnie, po upływie kilku miesięcy szli pod rękę ulicą Gorkiego. Kława postukiwała obcasikami i oglądała się, zainteresowana dźwiękiem zdejmującym z ciężarówki czterdziestoletnią lipę.

Szapowałow szedł ze spuszczoną głową i rozmyślał w duchu: „Z opilków sosnowych wydzielono pięćdziesiąt trzy procent błonnika. Ale jakieś fermenty * na pewno pozostały. Dlatego też tworzą się niepożądane izomery...**"

Nawet we śnie, poprzedniej nocy widział skrobię, całą górę skrobi, która w oczach przekształciła się nie w pożądany cukier słodowy, lecz w nieprzydatny dla ludzkiego organizmu, szkodliwy izomer — celbiozę. Teraz również Piotr Protasowicz szedł i rozmyślał o tym samym.

Myśl o izomerach, tworzących się obok pożytecznych produktów podczas doświadczeń nad przeróbką drewna, niepokoiła wszystkich pracowników laboratorium Zbierowskiego.

Profesor Zbierowski prowadzi pracę na wielką skalę. Na pierwsze wejrzenie wydaje się, że to tylko drobnostka. Grigorij Iwanowicz znalazł wreszcie substancje, w obecności których dawno znany proces hydrolizy celulozy —

* *Ferment — jest to substancja wydzielana przez żywą komórkę i współuczestnicząca w pewnej określonej reakcji chemicznej (przyp. aut.).*

* *Izomery — związki o jednakowym składzie, różniące się między sobą tylko kolejnością rozmieszczenia atomów w cząsteczce. Substancje izomeryczne, o jednakowym składzie chemicznym, posiadają różne własności fizyczne oraz różne działanie biologiczne (przyp. aut.).*

rozkład błonnika za pomocą wody na najprostszy węglowodan — glukozę — przebiega zupełnie inaczej. Po pierwsze, hydroliza zachodzi w zwykłej, niezakwaszonej wodzie bez zużycia kwasu siarkowego, po drugie, zachodzi ona szybciej niż w nowoczesnym zakładzie hydrolizowym. A wreszcie, po trzecie — i to jest najważniejsze — cała otrzymana glukoza przekształca się natychmiast w bardziej złożone związki, spośród których główne miejsce zajmuje cukier słodowy, który w końcu procesu przetwarza się w skrobię.

Spółeczeństwo radzieckie od razu oceniło przyszłość nowego odkrycia. Jeszcze w czasie wojny utworzono specjalne laboratorium celem zgłębienia i udoskonalenia nowej metody.

Trwające od kilku lat doświadczenia wykazały, że substancje Zbierowskiego nie zużywają się, że mogą służyć całymi latami, a chemiczny rozkład błonnika, zachodzący w ich obecności, prowadzi do przekształcenia go w skrobię. Jeżeli jednak zatrzymuje się reakcję w odpowiednim momencie, nie doprowadzając jej do końca, to zamiast skrobi otrzymuje się patokę lub cukier słodowy.

Uzyskać z drewna wysokogatunkową żywność! To oczywiście wielkie osiągnięcie. Dotychczas zakłady hydrolizowe wyrabiają z odpadków drzewnych jedynie spirytus, niezbędny do produkcji syntetycznego kauczuku, oraz czystą glukozę mającą techniczne zastosowanie, na przykład przy wykończaniu tkanin. A tutaj — perspektywa masowej produkcji artykułów żywnościowych! Będzie to miało duże znaczenie zarówno na północy, gdzie znajdują się bezkresne lasy iglaste, jak na południu, gdzie olbrzymie eukaliptusy rosną już nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę. Czyż dadzą się wylizczyć obecnie wszystkie możliwości, które odkryje przyszłość?

A grunt, że się tanio kalkuluje!

Jednakże prędzej się mówi, niż robi. Trudna jest droga — przewidział to profesor Zbierowski — od kolb i probówek do nie spotykanych dotychczas fabryk skrobi drzewnej. Powstały przeszkody które z trudem pokonywano. W tym samym naczyniu, w tym samym roztworze, w którym zachodziła hydroliza celulozy, tworzyły się obok skrobi i cukru niezliczone izomery — węglowodany o innych, często nieprzydatnych własnościach. Trzeba było zahamować wszystkie uboczne reakcje procesu, przekształcić wszystkie niepotrzebne izomery wyłącznie w skrobię i cukier.

Osiągnięto już pewne wyniki. Zrealizowano niektóre przekształcenia. Lecz pozostał jeszcze ogrom całkowicie nietkniętej pracy.

O tym właśnie rozmyślał Szapowałow idąc z Kława. „Maltoza i celobioza — myślał — cukier słodowy i jego marny izomer. Drobne zmiany potrzebne są w strukturze cząsteczki, aby przekształcić celobiozę w maltozę. Niby błahe, a jednak... masz tobie. W obydwu występuje połączenie reszt d-glukozy, o konfiguracji glikozydowo-piranooidowej, w postaci estrów...”

— Pietka — trąciła męża Kława — ktoś ci się kłania!

Koło pomnika Puszkina sprzedawano kwiaty. Pomnik

znajdował się jeszcze na dawnym miejscu, na Twierskim Bulwarze. Wysoka kobieta w jasnym letnim płaszczu, trzymająca w jednej ręce teczkę, a w drugiej — kupiony bukiet konwalii, z uśmiechem spoglądała na Szapowałowa i przyjaźnie kiwała mu głową.

— Witajcie, Sofia Pawłowna! — rzekł Piotr Protasowicz napotykając jej wzrok. Uśmiechnął się do niej i przystanął. — Nie znacie się? To Kława Nikiticzna, moja żona. A to, Kławoczka, Sofia Pawłowna, nasz współpracownik naukowy.

— Co się dzieje! — rzekła Sofia Pawłowna i podsunęła Kławie swój bukiet. — Cudne konwalie, powąchajcie, pachną jak w bajce. Takie konwalie przypominają mi zawsze... Co się dzieje! — Zwróciła się do Szapowałowa.

— Grigorij Iwanowicz jest zupełnie wytracony z równowagi. Coś strasznego, jaki zmartwiony. Znowu przyjechał technolog z zakładu doświadczalnego.

— Celobioza? — współczująco zapytała Kława.

— I wy także już wiecie? Oczywiście, że celobioza! Ale najważniejsze, że znowu amyloid. Można robić papier pergaminowy zamiast cukru. Grigorij Iwanowicz miał nadzieję... nie tyle sam Grigorij Iwanowicz... Słuchajcie, dokąd teraz idziecie?

— Ja, do laboratorium — odpowiedział Szapowałow.

— Dziś pracuję od drugiej. A Kława — nachylił się w stronę żony — mnie odprowadza.

— Mówię więc technologowi — ciągnęła dalej Sofia Pawłowna — że za rok, dwa wszystko będzie w porządku. Tam gdzie jeden nie da rady, to przecież kolektyw, wspólnie... Wziąć by chociaż pod uwagę waszą rozprawę, Piotr Protasowicz. Przy sposobności, jak sformułować dokładnie jej temat? Fruktozydy z glukozydów?

Szli w trójkę po bulwarze. Dzwoniły tramwaje; zza chmurki wyjrzało słońce i aleja pokryła się wzorzystymi cieniami liści.

— Pracę nazwałem „Otrzymywanie fruktozydów z substancji glukozydowych”.

— Widzicie więc: wy atakujecie w centrum, a ja z flanki. Tak się mówi po wojskowemu? Przecież jesteście oficerem. Wspólną wołą... Kolektyw — rzekła Sofia Pawłowna, powąchała kwiaty i westchnęła — liczy przecież trzydzieści cztery osoby... Trzydziestu czterech radzieckich ludzi...

Kława przysłuchiwała się w milczeniu, spoglądając od czasu do czasu to ku górze na prawo — na ogoloną,

dużą, opaloną twarz męża, to ku górze na lewo — na twarz wysokiej kobiety. Pomyślała o niej: „Z charakterem! Osiągnie to, co zechce”.

— Takie kadry. Z nimi możemy górę ruszyć z posad! Mam na myśli nasze laboratorium — ciągnęła kobieta.

Miała grube jasne warkocze, upięte w koronę. Zatrzepotała rzęsami i spojrzała znów na Szapowałowa.

Piotr Protasowicz uśmiechnął się lekko — Kława знаła ten uśmiech trochę zakłopotany i dobronudszny, jak gdyby Szapowałow nie zgadzał się z czymś, ale wiedząc, że ma rację, nie chciał sprawiać rozmówcy przykrości.

Zwrócił się do Sofii Pawłowny z zapytaniem:

— Wybaczcie, ale kto nam poradził zastosowanie metody znaczonych atomów?

— Napisali o tym ze Swierdłowska — odpowiedziała Sofia Pawłowna. — Jeszcze zeszłego lata. Z uniwersytetu.

— Wybaczcie — zapytał jeszcze raz Szapowałow mrużąc figlarnie oczy — a kto pierwszy zwrócił uwagę na stosowanie odpowiednich temperatur?

— Nie pamiętacie? Ach, racja, nie pracowaliście wtedy z nami! To robotnicy zakładów hydrolizowych pod Irkuckiem. Napisali do nas o tym kilku robotników. Sprawę tę omawialiśmy w laboratorium. Grigorij Iwanowicz wtedy... W ogóle w listach... Ciekawe...

— Tak — ucieszył się Szapowałow. — Tak! A wy mówicie, że jest nas trzydzieści cztery osoby. Nas jest — zmiłujcie się, Sofia Pawłowna! — nas jest — rozłożył szeroko ręce jak Chochriakow — o tyle! — I przystanął z uśmiechem. — A trzydzieści cztery to tylko na pierwszej linii frontu! Tylko na pierwszej. Oto, Sofia Pawłowna, styl pracy, który poprowadzi nas w przyszłość...

Kława lekko zmarszczyła czoło. Zmarszczki przesunęły się ku górze. Oczyma błyszczącymi nieukrywaną dumą popatrzyła na Piotra Protasowicza. Przypomnia-

ła sobie, jaki małomówny i kanciasty był w rabfaku. Przypomniała sobie jego zziębnięte ręce bez rękawiczek i dziurawy szynel. „Obecnie posiada umysł dojrzały i twardo stoi na ziemi. Słusznie; zaplecze nauki to cały naród radziecki. Nawet bardzo słusznie. Śmieszne! Niechby jakiś samotny uczony posiadał nawet siedem klepek... Ty więcej dokonasz, Pietia! Ty, a raczej my, wszyscy razem...”

— O jej — ocknął się Szapowałow spojrzawszy na nadjeżdżający autobus. — Muszę pędzić, spieszyć się, Grigorij Iwanowicz czeka!

W tym samym czasie Grigorij Iwanowicz spojrział na zegarek i także pomyślał o Szapowałowie.

Chodził powoli po swoim gabinecie, tam i z powrotem od szafy z encyklopedią do okna. Na podłodze leżał duży tekiński dywan, głuszący odgłos kroków. Bezdzwicznie i równomiernie poruszało się za drzwiczkami z lustrzanym szkłem wahadło starego ściennego zegara. Zza jedwabnej story, w kolorze kości słoniowej, padał na biurko promień słońca oświetlając oprawiony w brązie, kryształowy kałamarz rzucający na sufit drgający tęczyowy odbłask.

Grigorij Iwanowicz chodził po pokoju i myślał o tym, że Szapowałow jest człowiekiem, który niezwykle wytrwale umie dążyć do celu; tym odznaczał się jeszcze jako student. Umie on również trafić po nitce do kłębka. Koncepcja Szapowałowa o możliwości istnienia śladów fermentów roślinnych, nie usuniętych przy oczyszczaniu drewna i wywołujących uboczne procesy w reakcji — to myśl zdrowa i chyba jedynie słuszna. Ten właśnie kierunek należy obrać, ażeby zręcznie rozwiązać zagadnienie. Będzie to wspólny wysiłek. Tym lepiej. Niech będzie wspólnym wysiłkiem — tak będzie pewniej. „W ogóle — rozmyślał profesor — mamy w laboratorium dobrych pracowników. Naradzają się między sobą i pomagają jeden drugiemu — można śmiało powiedzieć — naprawdę dobrzy koledzy. Za dawnych czasów

mało było takich; dawniej każdy pilnował swojego garnka. Gdy przyjdzie Piotr Protasowicz, trzeba będzie wspólnie opracować główne tezy sprawozdania. Akademia Nauk nagli. Trzeba napisać jeszcze dzisiaj.

Jeszcze dzisiaj — pomyślał Zbierowski zatrzymując się i bębniąc palcami po parapecie okna. — A także przygotować tezy prac badawczych na temat enzymów, fermentów... Ale dlaczego jeszcze nie przyszedł? Już kwadrans po drugiej!"

A tymczasem Szapowałow był już w laboratorium i stał w hallu, rozmawiając z jakimś żołnierzem.

Gdy tylko zjawił się w drzwiach, nieznajomy żołnierz (widocznie zdemobilizowany — bo bez naramienników), rozmawiający szeptem z dyżurującym woźnym, obciągnął bluzę, przepisowo wybijając krok skierował się do Piotra Protasowicza i stając na baczność zameldował:

— Od Miroszniczenki, kierownika garażu z kaliningradzkiego okręgu — i podał zaklejoną kopertę.

Następnie wyjął z kieszeni drugą kopertę, grubszą, zawiązaną sznurkiem i zalakowaną. Na obydwu kopertach widniał napis: „Laboratorium profesora Zbierowskiego. Na ręce profesora lub partyjnej organizacji przy laboratorium".

— Powiedzieli mi, że jesteście partorgiem — dodał żołnierz. — Pozwólcie zapytać, czy tak jest?

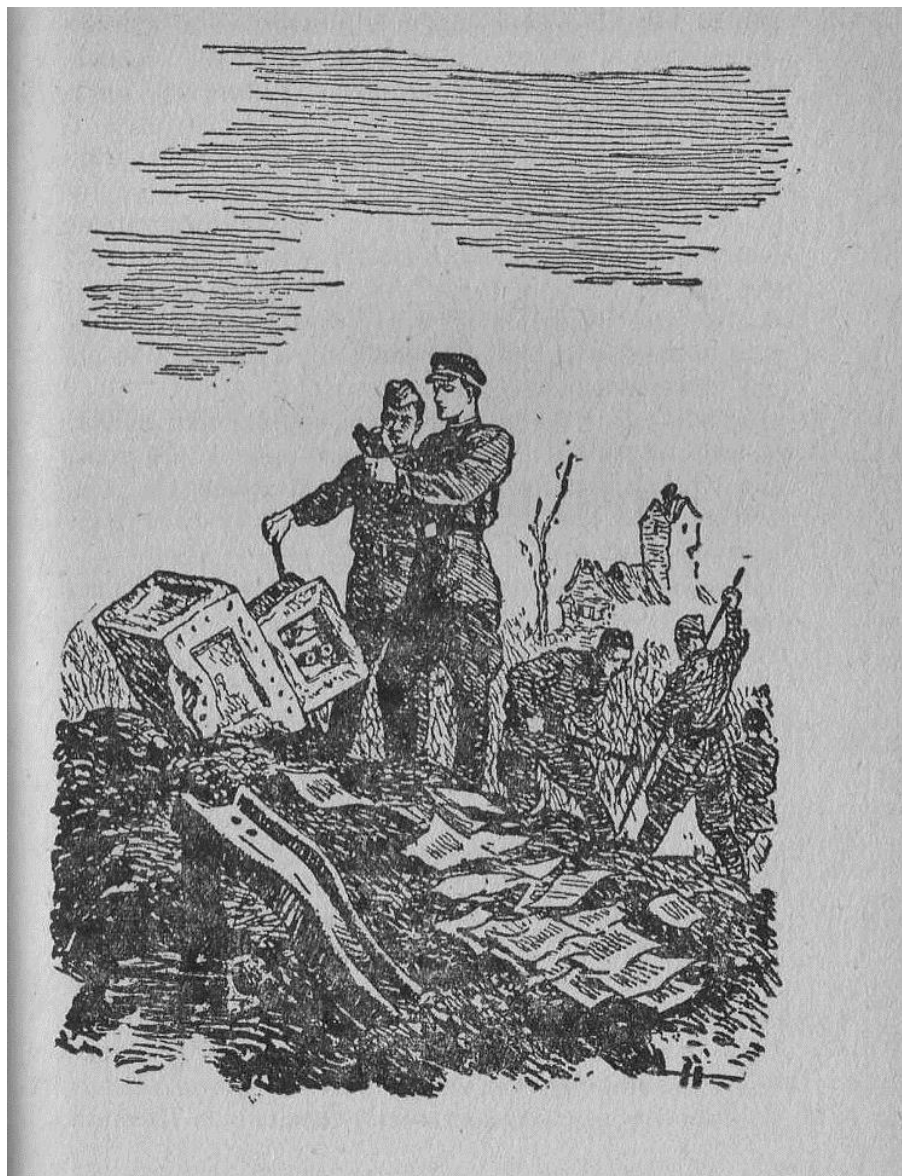
— Tak jest — odpowiedział Szapowałow. Pomyślał: „Kto to jest kierownik garażu Miroszniczenko? Czyżby i on interesował się hydrolizą? Dziwne!"

Piotr Protasowicz rozerwał pierwszą kopertę. Spojrzał z ukosa na żołnierza.

— Jedziecie na urlop? — zapytał. — Wstąpiliście po drodze?

— Nie — odpowiedział żołnierz. — Skierowano mnie służbowo do fabryki samochodów w Gorkim i polecono doręczyć wam te koperty.

— Czyżby specjalnie?



— Towarzysz technik-mechanik nie mógł wysłać pocztą, gdyż nie znał dokładnie waszego adresu. Polecił mi was odnaleźć. Ledwo znalazłem. — Żołnierz uśmiechnął się. — Przyjechałem jeszcze wczoraj. Wybaczcie...

— Aha — rzekł Szapowałow i zaczął czytać.

„Drodzy towarzysze — pisał nieznajomy człowiek. — Nie wiem, może niepotrzebnie was niepokoją. Jed-

nak każdy radziecki obywatel, w tych warunkach, postąpiłby tak samo.

Dla wyjaśnienia, opowiem wszystko od początku. Zdarzyła się taka historia. Szoferzy naszego garażu postanowili pomóc sąsiedniemu kołchozowi w budowie elektrowni. Zrozumiałe, że na fundament i ściany potrzebny był tłuczeń. A tutaj na każdym kroku ruiny starych niemieckich budynków. A więc zaczęliśmy rozbierać jakiś niemiecki dwór, rozbity »w drobny mak«.

Wśród gruzów i różnych rupieci znaleźliśmy kasę ogniotrwałą. Była gruntownie zniszczona, spłaszczona prawdopodobnie od wybuchu; zardzewiałe żelazo było popękane w wielu miejscach. Nasi szoferzy — dobrzy ślusarze — otworzyli ją jednak w mgnieniu oka. Myślę, że nieraz przenikała tam woda deszczowa. Zawartość kasy składała się po większej części z rozmokłych i nieprzydatnych na nic pieniędzy hitlerowskich, akcji i papierów wartościowych. Wszystko to szoferzy natychmiast wyrzucili. Ale w kasie znalazł się również notes z notatkami w języku rosyjskim. Raczej połowa notesu, gdyż — wprawdzie okładka ocalała, ale dolna część wszystkich kartek zgniła i rozsypała się w proch przy pierwszym dotknięciu.

Wybaczcie, ale nie jesteśmy chemikami i możemy się, oczywiście, mylić. Oglądając rozpadające się kawałki kartek pomyśleliśmy, że — diabeł wie! — a nuż znajdują się tam ważne dla nauki wiadomości. Zdaje się, że jest tam mowa o sztucznym otrzymywaniu skrobi i cukru.

Powtórnie przeglądając wyrzucone z kasy papiery znaleźliśmy zeszyt, a raczej kilka kartek z zeszytu zawierających przekład rosyjskiego tekstu notesu na język niemiecki. Pozostałe kartki zeszytu zmieniły się w papkę. Notes zachował się w lepszym stanie, gdyż był umieszczony w metalowym futerale, co prawda bardzo zardzewiałym.

Znaleziony notes zainteresował przede wszystkim szoferów, którzy otworzyli kasę. Oni właśnie zwrócili

uwagę na ewentualną wartość naukową notatek i zameldowali mi o tym. Postanowiłem to wam przesłać.

Jeżeli skierowałem go pod złym adresem — to proszę was, towarzysze, o przekazanie materiałów do właściwych rąk. Zawiadomcie nas o rezultatach; będzie nam przyjemnie, jeżeli nasze odkrycie okaże się choć trochę pożyteczne dla nauki i państwa.

Mechanik Miroszniczenko.

Gdy Szapowałow wszedł do gabinetu Zbierowskiego, profesor siedział za biurkiem i temperował ołówek.

— Grigorij Iwanowicz — krzyknął Szapowałow — popatrzcie! — I położył na biurku notes w brunatnej, przypominającej korę sosnową, okładce wydzielającej ostry zapach pleśni.

Zbierowski podniósł wzrok i zapytał ze zdziwieniem:

— O co chodzi?

Zobaczył, że Piotr Protasowicz jest czerwony ze wzruszenia i często mruga oczyma; w jednej ręce ma plik papierów i koperty z czarnymi lakowymi pieczęciami — a drugą wskazuje na leżący na biurku notes.

Profesor wziął notes i otworzył. Zeschnięta okładka zachrzęściła, jak gdyby się łamiąc. Zapach pleśni stał się jeszcze silniejszy.

W dolnej części okładka była pusta. Tylko w górnej zachowały się poźółkle, rozsypujące się w palcach połówki kartek, pokryte wyblakłym, miejscami ledwie widocznym pismem. Drobnе literki tekstu przeplatane były wzorami.

Grigorij Iwanowicz przerzucił kilka kartek na chybił trafił i przeczytał:

„...koszty zużycia energii. W rękach narodu znajdują się biliony pudów skrobi i cukru. A więc, główne fazy produkcji: właściwa synteza i odparowywanie roztworów...”

Wszystko było pisane z „twardymi znakami” i literą „jat” *. Pospiesznie przerzucił kilka kartek i ponownie przeczytał następujące słowa:

„...synteza węglowodanów na wielką skalę przemysłową. Teoretyczne wyliczenie zużycia energii... ale niezmiernie niski współczynnik efektu użytecznego każe powrócić do myśli o częściowym wykorzystaniu promieni słonecznych...”

Ponownie przerzucił kartki i przeczytał na początku notesu:

„W 1905 roku udało się już kierować procesem — otrzymywać dowolnie glukozę, sacharozę lub skrobię. Jesienią zaś 1907 roku, gdy doświadczenia zostały przemocą przerwane...”

Szapowałow usiadł w fotelu — głębokim, miękkim skórzanym fotelu — i spoglądając od czasu do czasu na Zbierowskiego, przeglądał kartki wypełnione rozmazanym niemieckim pismem. Angielski znał znacznie lepiej, niemiecki rozumiał słabo. Obecnie nie mógł się w ogóle skupić ze wzruszenia.

— Grigorij Iwanowicz — zapytał wreszcie — co to znaczy: verbindenden? *

— Czy rozumiecie, co to jest? — rzekł Zbierowski szeptem. Podniósł notes na dłoni i wskazał na niego palcem drugiej ręki. — Skąd to macie? — Twarz profesora miała niemal wyraz przestachu. — Przecież to Lisicyń, rozumiecie! Tyle lat... To wynalazek Lisicyń! Tak! No, mówcie prędzej! Skąd to macie?

— Proszę bardzo — rzekł Szapowałow, nie wiadomo dlaczego również szeptem, i podał Grigorijowi Iwanowiczowi list nieznanego technika. — Z kaliningradzkiego obwodu... Tu jest napisane. Proszę.

— Kaliningradzki okręg — Królewiec?

— Zupełnie słusznie. Dawne Prusy Wschodnie.

** Litery używane w pisowni rosyjskiej przed rewolucją, które usunięto po wprowadzeniu nowej pisowni.*

** Verbindenden — po niemiecku — łączącym; od verbinden — łączyć.*

— Boże, dokąd go zanosło! To Lisicyń — nie ma żadnych wątpliwości! A ja tak szukałem... Boże! — wykrzykiwał Zbierowski. — Pomyśleć tylko! To znaczy, że wyemigrował do Niemiec... Dajcie to, co tam macie po niemiecku! — Wskazał na papiery w rękach Szapowałowa, na zapisane kartki i koperty. — Dajcie, przeczytam wszystko po kolei.

— Przeczytajcie najpierw list!

— Jaki? Aha, ten?

— Nie, tamten, co leży przed wami na stole.

— A więc to tak. A więc wyemigrował... wyemigrował...

Profesor kilkakrotnie przeczytał list i wyblakły urywek niemieckiego tekstu. „Zrozumiałe — domyślił się — zły przekład z rosyjskiego”. Wziął znowu notes. Bał się przewracać kartki, gdyż były słabe, kruche i rozpadały się przy dotknięciu. „Nie wolno ich ruszać — pomyślał Grigorij Iwanowicz. — Trzeba postępować ostrożnie. Należy najpierw przekazać je specjalistom, żeby je zabezpieczyli, podkleili”. Nacisnął guziczek dzwonnka i wezwał sekretarza.

— Dowiedźcie się, proszę — rzekł — w Muzeum Historycznym lub w Instytucie Historyczno-archiwalnym... Należy zabezpieczyć ten oto stary dokument. Trzeba się dowiedzieć, gdzie to będzie można wykonać.

„Cierpliwości — myślał — cierpliwości!” — i oglądał leżące na biurku strzępki papieru. Dopiero teraz wypadły z notesu. Widoczne były na nich litery i części wzorów chemicznych. Żał było patrzeć, jak łamią się, jak niszczeję te drogocenne kartki i jak po prostu w oczach ginie wiersz po wierszu.

— Żeby jak. najszybciej zabezpieczyli — dodał. — Te kawałeczki papieru weźcie także. Zapakujcie razem. Sami nie dotykajcie. Głową odpowiadacie za notes: bardzo cenny!

Tego dnia Zbierowski wyszedł z laboratorium wcześniej nawet niż zwykle. W zamyśleniu błądził po ulicach. Wsiadł do pierwszego lepszego trolejbusu i rzekł konduktorowi: „Do końca”. Jechał patrząc w roztargnieniu przez otwarte okno. Przypomniawszy sobie: „Nazywał się Władimir Michajłowicz.

Znalazł się ślad. Ale on sam na pewno nie żyje!”

Trolejbus mknął naprzód. Przez okno wiał ciepły wiatr, przygrzewało słońce, migały auta, ludzie i piękne nowe domy.

Oto Dworzec Białoruski. A oto szosa Leningradzka, jak piękna aleja wśród zieleni i z rzadka rozsianych wielopiętrowych gmachów.

„Droga do Leningradu” — przypomniał sobie Zbierowski.

„Z bujną rudą brodą — pomyślał. — Nazwał mnie kolegą, nacisnął wyłącznik... Oślepiające zielone światło. I od razu próba z roztworem Fehlinga. Proszę — glukoza!”

Za oknami trolejbusu przewinał się olbrzymi stadion, stacja metra, potem następna stacja. Po niebie, jak srebrna jaskółka, przemknął samolot.

— Nie ruszaj wujaszka! — rzekła młoda kobieta do siedzącego na jej kolanach chłopczyka.

Chłopczyk dotknął palcami pleców profesora, cofnął rękę, popatrzał na jego siwe włosy i rzekł do matki:

— Dziadunio.

— Dziadunio — zgodziła się matka. — A ty nie ruszaj. Nie wolno dotykać.

Grigorij Iwanowicz poruszał wargami i bezdźwięcznie rozmawiał sam ze sobą.

— Straszne były czasy... — szeptał. — Kupiec Obrosi-mow... Zaszczuli, wygnali na obczyznę. A my, nic. E-e, ale czasy się zmieniają. Co to teraz będzie! Tak!

Pomyślał o notesie. „Żeby go móc już jak najszybciej uważnie przeczytać i powtórzyć opisane w nim doświadczenia. To może dużo zmienić w gospodarce pań-

stwa. Jeszcze więcej niż otrzymywanie skrobi z błonnika. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Niemcy nie wykorzystali tych notatek? Ależ nie — przypomniał sobie Grigorij Iwanowicz — ktoś tłumaczył je na niemiecki. Dosłowne, nieumiejętne tłumaczenie. A może doświadczenia wykonywane według notatek z notesu nie udają się? Może wszystko okazało się nonsensem i właśnie dlatego Niemcy zarzucili je? Albo nie dali sobie z tym rady?"

Z niepokojem obejrzał się na chłopczyka obejmującego matkę za szyję. I w duchu zadał sobie pytanie: „Czy nie łączy się to ze sprawą niejakiego Bely?"

Przypomniała mu się „skandaliczna historia” doświadczeń Anglika Bely. Twierdził on przez kilka lat — a wszyscy uczeni początkowo mu uwierzyli — że dokonuje w laboratorium syntezy węglowodanów z wody i dwutlenku węgla w taki sam sposób, w jaki zachodzi ona w roninach. Jednak na konferencji Faraday Society, która odbyła się latem 1931 roku, okazało się, że Bely nie otrzymywał w swoim laboratorium żadnych węglowodanów; wszystkie jego poprzednie doniesienia okazały się więc bredniami. „Nazwiska Lisicyń — pomyślał Zbierowski — nikt nie zna. Ale notes ten niewątpliwie należał do niego: tekst rosyjski i daty zgadzają się. Przecież notes ten mógł w jakiś tajemniczy sposób wpaść w ręce Bely'ego. A nuż próbował on powtórzyć doświadczenia Lisicyńa i to mu się nie udało? Nikt — westchnął Grigorij Iwanowicz — niestety, nie może tego wiedzieć!"

Zbierowski raz jeszcze westchnął z żalem, rozejrzał się i stwierdził, że już nie jedzie trolejbusem, lecz stoi na chodniku. Nie zauważył nawet, że wysiadł na jakimś przystanku. „Ech — pomyślał — niech tam!” — i machnąwszy ręką wsiadł do następnego trolejbusu. W dalszym ciągu snuł domysły o Lisicyńie. Wyobrażał sobie, że Lisicyń zamieszkał na przykład w Niemczech i tam umarł, a jego notatki dostały się komuś w spadku. Albo, powiedzmy, inaczej: żył w nędzy i musiał je komuś sprzedać.

Albo nie tak — przypuśćmy, że Lisicyń... Wydaje się, że nie pobudki osobiste... nie, bynajmniej nie osobiste...

Wreszcie i ten trolejbus zatrzymał się. Pasażerowie tłumnie wysiadali. Zbierowski wstał z miejsca i, zatopiony w myślach, wyszedł na szosę. Znalazł się w parku przy Dworcu Rzecznym i oglądał delikatną jak koronka kolumnadę, tarasy przypominające pokłady okrętowe i umieszczone w ścianach fajansowe medaliony, podobne do kół ratunkowych. Uśmiechnął się: piękny jest ten Dworzec Reczny. Jakże zmieniła się Moskwa! Obszedł klomb i lekko utykając poszedł w dół asfaltowym chodnikiem.

Po Chimkińskim basenie płynął motorowiec „Michaił Kalinin”. Powierzchnia wody marszczyła się pod wpływem wiatru i lśniła milionami tańczących słonecznych plam. Wiatr świeży, wilgotny i pachnący rozwił się nad Zbierowskim siwe włosy.

Pomyślał: „Wołga” i obudziło się w nim dawno uśpione wspomnienie. Wydawało mu się, że ubrany w studencki mundur stoi na stromym brzegu obok zamku w Niżnim Nowgorodzie i rozmyśla o tym, że pokłócił się na zawsze z Zoją Terentiewą, która wychodzi za męża za jakiegoś lekarza, i o tym, że Krestownikow jest zdrajcą, Osadczyj na zesłaniu i że zupełnie rozpadła się cała, tak niegdyś zgrana, grupa współziomków...

Rozległ się głos potężnych głośników umieszczonych na budynku dworca:

— Nadajemy pieśni ludowe.

Grigorij Iwanowicz usłyszał:

W dół po Wo-o-łdze rze-ce...

Głosy były głębokie i harmonijne i śpiew brzmiał niegorzej niż przed wielu laty śpiew ziomków Zbierowskiego na poddaszu.

Z Ni-iz-niego No-wgo-ro-du-u...

Zbierowskiemu przypomniały się wieczory petersburskie. Coraz wyraźniej ożywało w pamięci poddasze, kuchenne schody, dom na Francuskim Bulwarze.

„Matwiejew śmiał się wtedy: nowa era!”

Profesor stał teraz, kiwał głową i patrzył na przybijający do brzegu motorowiec. Wydawało mu się, że siedzi i śpiewa w gronie swoich ziomków, że dopiero co opowiedział towarzyszom studentom o laboratorium tajemniczego brodatego uczonego. A ci, jak gdyby to było zupełnie niedawno, sprzeczekali się z nim i nie chcieli mu wierzyć.

Pieśń rozlewała się szeroko i wolno, jak Wołga w dolnym swym biegu.

Przy-stro-jo-na-ló-ó-dź...

Serce Grigorija Iwanowicza załomotało w piersi. Napłynęła fala młodzieńczego entuzjazmu: pomyśleć sobie tylko — przekształcenie błonnika, synteza węglowodanowi Nie dziś, to jutro — sztuczny cukier i chleb!

„A ja — pomyślał z bijącym sercem — znajduję się teraz w samym centrum wydarzeń. Nie marzę, lecz pracuję! Pracuję konkretnie”.

Z głośników dobiegało:

M-knie-e ja-ak strza-a-ła...

„Jeżeli doświadczenia z syntezą udadzą się — myślał Grigorij Iwanowicz — to naród nasz będzie jeszcze bogatszy i jeszcze silniejszy stanie się Związek Radziecki...”

Wiatr rozwiewał długie, siwe włosy. W młodzieńczo błyszczących oczach odbijało się słońce. Zbierowski spojrział przed siebie — na całej przestrzeni basenu, aż do dalekich, zielonych brzegów, migotały i iskrzyły się złociste punkciki.

„Inne czasy — inne możliwości. To, co wtedy było niemożliwe, to, o czym marzył Lisicyn... My to stworzymy, za wszelką cenę! My, ludzie nowej epoki!”

Na peronie pojawili się marynarze z motorowca. Jeden z nich ujrzał staruszkę w jasnoszarym, letnim ubraniu i eleganckich półbutach. Spojrzął i powiedział głośno:

— Rozmarzył się!

Pozostali marynarze również popatrzyli na staruszkę.

Profesor, uśmiechając się bez powodu, spoglądał na wyłoczone słońcem zwierciadło wody, słuchał radia i cicho podśpiewywał:

Dzia-a-iskich wioś-la-a-rzy Sie-e-dzi czter-dziestu dwó-óch...

...Nastała wczesna jesień. W końcu września spadł śnieg, który leżał kilka tygodni nie topniejąc. Potem pierwszy śnieg znikł i nastąpiły długotrwałe bezśnieżne mrozy. Gdzieniedzie, szczególnie na peryferiach Moskwy, pojawił się nawet kurz. W czasie mrozu nie można było polewać ulic, tak jak latem. Zimny kurz unosił się nad asfaltem i skrzypiał w zębach przechodniów.

Prawdziwa zima nastąpiła dopiero po nowym roku.

W lutym rozpoczęły się zamiecie śnieżne.

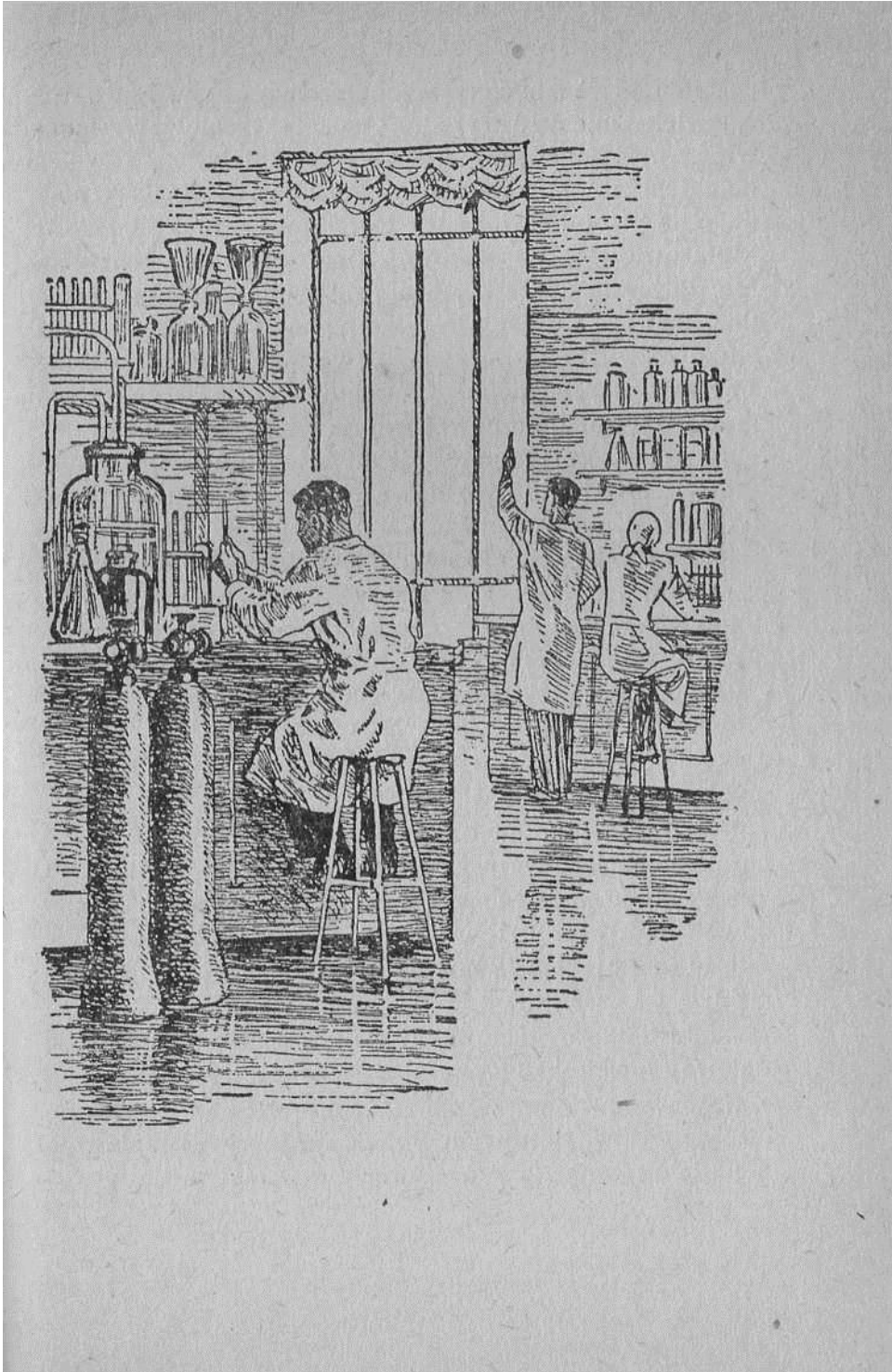
Szapowałow widział z okna laboratorium pociemniałe niebo i chmury krążących w powietrzu płatków śnieżnych, za którymi jak w gęstej mgłę rysowały się niewyraźne sylwetki domów.

Cały środek sali laboratoryjnej zajmował duży kwadratowy stół o dwóch poziomach; nad normalnym blatem znajdowała się nieco mniejsza, kwadratowa półka, oparta na metalowych podstawkach. Wzdłuż ścian stały również stoły otaczając salę niemal ze wszystkich stron. Stoły te były wąskie i długie. Przestrzeń pod nimi, aż do podłogi, wypełniały liczne drzwiczki.

Ileż różnorodnych przedmiotów znajdowało się na tych stołach!

Tu połyskiwało cieniutkie szkło, porcelana i platyna naczyń laboratoryjnych oraz kolbki nie większe niż pudełko od zapalek; tam znów piętrzyły się duże butle z różnokolorowymi płynami. W skomplikowanych, błyszczących niklem i miedzią przyrządach, podobnych do metalowych ośmiornic — coś bezustannie gotowało się, bulgotało i syczało. Na umieszczonych na ścianie, białych tarczach zegarów poruszały się czarne strzałki, to

drgając jak gdyby z przestachu, to posuwając się spokojnie i płynnie. Spoza drzwiczek pod stołami dochodził szum motorów i lekkie klaskanie pasów pędnych.



Laborant otworzył termostat znajdujący się w kącie pokoju i szczypcami wydobywał gorące tygle. Drugi, a raczej druga (Szapowałow miał dwoje pomocników) siedziała na wysokim stołku i mrużąc oczy patrzyła w rurkę aparatu przypominającego mikroskop. Gdy laborantka dotykała śrub, na aparacie zapalała się czerwona lub zielona lampka.

Szapowałow stał przy oknie. Za szybami wirował, pędził śnieg.

Myślał o obronie swej rozprawy, która ma odbyć się za dwa miesiące; o tym, że centralnym zagadnieniem procesu przemiany drewna w skrobię jest pokonanie znikomej, jakby się wydawało, różnicy między budową cząsteczki celobiozy i cukru słodowego. Przemiana błonnika w skrobię odbywa się także kosztem znikomego, jak się wydaje, przesunięcia atomów wewnątrz ich złożonych cząsteczek. W wyniku jego właśnie pracy — chemiczna przebudowa posunie się naprzód. Cukier słodowy zostanie przekształcony w cukier buraczany. Radziecki człowiek zmienia przyrodę. Cząsteczki celulozy, stanowiące przedmiot prac zespołowych, stały się również obiektem takiej przebudowy. I można powiedzieć, że poddają się przebudowie! „Jak to dobrze — pomyślał Piotr Protasowicz — tak pracować, tworzyć i mieć przekonanie, że to dla dobra ludzi, dla rozkwitu radosnego życia na ziemi. Amerykanie — przypomniał sobie — znowu odrzucili w Radzie Bezpieczeństwa pokojowe propozycje Związku Radzieckiego. Churchill wygłosił oburzającą mowę wzywając do nowej wojny. Naszym zadaniem jest obrona pokoju. Obronić, nie dopuścić do nowych nieszczęść, ażeby nie było łez, ażeby nikt nie ginął niepotrzebnie, ażeby praca ludzka przyczyniała się do przyszłego dobrobytu, a nie służyła sprawie nędzy i zagłady”.

— Sprawie nędzy i zagłady — powtórzył szepcąc. Skrzywił się i jak gdyby odwracając się od czegoś

mrocznego i splamionego krwią, przerzucił się myślami na zalane słońcem, zielone pola, na drogie sercu przestrzenie Związku Radzieckiego. „Niedługo uruchomimy produkcję skrobi drzewnej — pomyślał. — Gdyby jeszcze udała się synteza...”

Szapowałow dotknął dłonią zimnej szyby. Za szybą mrok, zamieć. Przyszedł mu na myśl notes Lisicyna. „To rzeczywiście jakiś rebus! Krzyżówka! A nawet tylko połowa krzyżówki. Strzępy kartek. Grigorij Iwanowicz nie śpi, nie je, przez całą noc nie wychodził z laboratorium. Schudł, od czasu jak z tą syntezą...”

— Jesteście u siebie, Piotr Protasowicz? — rozległ się śpiewny głos kobiety.

Szapowałow obejrzał się i zobaczył Sofię Pawłownę stojącą za dwupiętrowym stołem, na którym znajdowało się wiele różnych przyrządów. Była w białym kitlu, wysoka i uśmiechnięta. Grube, jasne warkocze miała owinięte dokoła głowy.

— Dzień dobry, Alosza! — powiedziała do laboranta. Kiwnęła głową laborantce o okrągłej twarzy i surowych oczach: — Dzień dobry, Ninoczka!... Piotr Protasowicz, potrzebny mi jest produkt numer sto dwanaście. Pożyczcie mi półtora grama. Numer sto dwanaście „b”. Podobno macie go tu.

— I wam także potrzebne jest to „b”? — zaśmiał się Szapowałow.

— A cóż to, jestem gorsza od innych?

Substancje otrzymywane w swoim laboratorium nazywali „produktami” i rozróżniali je według numerów. Dla większej przejrzystości do numeru produktu z tematu „Proces otrzymywania skrobi drzewnej” dodawali literę „a”, do numeru produktu z tematu „Synteza węglowodanów” — literę „b”.

Wynalazkiem Lisicyna zajmował się osobiście Zbirowski wraz z trzema laborantami. Formalnie praca nad syntezą węglowodanów nie wchodziła w zakres obowiązków Sofii Pawłowny ani Piotra Protasowicza i wielu in-

nych pracowników laboratorium. Jednakże pracą tą przejęty był cały kolektyw. Mówiono o niej często, wielu próbowało „na własne ryzyko” rozwijać doświadczenia Grigorija Iwanowicza, sprawdzać i uzupełniać niektóre szczegóły.

W laboratorium w każdy czwartek odbywały się konferencje. Utarło się, że o ósmej wieczorem wszyscy zbierali się w gabinecie profesora, omawiali nowości naukowe i swoje prace za ubiegły tydzień oraz, jeżeli zachodziła potrzeba, pomagali sobie wzajemnie radami.

Na każdej konferencji Grigorij Iwanowicz opowiadał szczegółowo o swoich doświadczeniach. Wypowiadał swoje myśli i obawy. Nie wstydził się mówić o błędach, bezowocnych poszukiwaniach — wszystko przedstawiał zebranym do oceny. Z zapartym oddechem słuchali zebrani słów profesora. Dziesiątki uważnych oczu błyszczało. Następnie rozpoczynała się ożywiona dyskusja, przeciągająca się często do północy. Zebrani pili herbatę, jedli kanapki i wspólnie omawiali dalszą pracę.

W zeszły czwartek Grigorij Iwanowicz powiedział:

— To jasne... zrozumcie mnie: są dwie strony medalu. Jedna strona — to zagadnienie teoretyczne o doniosłym znaczeniu. Czysta nauka, nowe reakcje. Chwilowo zapomnijmy o tym i popatrzmy na drugą. Tutaj decydują o wszystkim rubel i kilowatogodziny. Strona ekonomiczna, współczynnik skutku użytecznego. Przypuśćmy, że, opierając się na strzępach tych notatek, uda się nam odtworzyć absolutnie wszystkie jego doświadczenia — tu zastukał w biurko, w którego szufladzie znajdowały się notatki Lisicyna. — Ale cóż z tego, jak to się odbije na życiu praktycznym? Czy synteza będzie tak korzystna, jak pisał — tu profesor położył na biurku zaciśnięte pięści — jak pisał i twierdził Władimir Michajłowicz Lisicyn? Dotychczas posiadam, niestety, tylko szkic przybliżonej kalkulacji i, muszę przyznać, daje ona smutny wynik.

— Zbierowski obrzucił słuchaczy spojrzeniem i westchnął.

— Trzeba — rzekł — spojrzeć prawdzie w oczy. Obawiam się, że synteza nie wytrzyma konkurencji z produkcją rolną. Oto czego się obawiam. Nie, wytrzyma konkurencji ani z produkcją rolną, ani z przyszłymi fabrykami skrobi drzewnej. Mówię otwarcie: tego się boję.

— A czy my mamy zamiar konkurować? — zapytał wtedy Szapowałow unosząc brwi. I sam sobie odpowiedział: — Nie, my chcemy nie konkurować, lecz harmonijnie współpracować! Tylko przy zgodnej współpracy...

— Ależ, Grigorij Iwanowicz — przerwała mu głośno Sofia Pawłowna, która siedziała w ten czwartek obok profesora — Lisicyń opisuje przedpotopowe świece Jabłoczkowa. A ileż nam dała od tego czasu nauka radziecka... jaką przewagę posiadamy teraz! Chociażby lampy jarzeniowe. Przecież wy używacie lamp jarzeniowych! Czy Lisicyń mógł marzyć o podobnych lampach?

Sofia Pawłowna mówiła prawdę. Zbierowski stosował w czasie doświadczeń wynalezione przez radzieckich uczonych lampy jarzeniowe, które dawały dużą oszczędność prądu elektrycznego. Nie można ich nawet porównać z „rozzrutnymi” świecami Jabłoczkowa.

Zbierowski odchylił się w tył w fotelu, uśmiechnął się z pobłażliwością starych ludzi i rzekł:

— Zobaczy-ymy... Okaże się z czasem! Jarzeniowe...

I dodał ostro, już bez uśmiechu:

— Wbrew faktom niczego się nie dokona.

Przesunął szklanke z ostygłą herbata, zamieszał łyżeczką i mówił dalej, patrząc w szklanke, jak gdyby rozmawiał sam ze sobą:

— Nie odtworzyliśmy połowy zaginionych recept. Mamy to jeszcze przed sobą. Ale niepokoi mnie co innego. Gdy się to czyta po raz pierwszy, wszystko wydaje

się cudowne. Wprost kuszące! Teoria określa zużycie energii... ażeby otrzymać, powiedzmy, tonę cukru... potrzebna jest energia otrzymywana na przykład ze spalania pół tony węgla. Czyż może być lepiej? A jednak, moi drodzy — Zbierowski nachmurzył się lekko — należy oczekiwać, że suma strat będzie olbrzymia. Sama zasada fotosyntezy...

— Czyżby Lisicyń nie uwzględniał strat? — zapytał ktoś z głębi pokoju.

Profesor spojrział na pytającego. Był to młodszy pracownik naukowy Pimenow, człowiek skromny, o nierzucającej się w oczy powierzchowności. Siedział podścianą wśród innych pracowników, z przechyloną na bok głową. W ręku na wysokości podbródka trzymał zapalnego papierosa.

— Właśnie w tym sęk, że uwzględniał! — odpowiedział Grigorij Iwanowicz i głośno uderzył ręką w stół: — Widział to czule miejsce! Rozumiał!

— I co myślał zrobić?

— Pytacie co? Otóż w całym notesie przewija się jedna myśl, która mi nie odpowiada: — Grigorij Iwanowicz odsunął szklanke — myśl skombinowania światła elektrycznego z promieniami słońca. To pomysł „domorośły"! Bo jeżeli jest mowa o promieniach słonecznych, to znaczy, że potrzebne byłyby olbrzymie aparaty — Zbierowski szeroko rozłożył ręce i uniósł je nad biurkiem, jak gdyby pokazując, jak wielkie powinny być aparaty — w których proces będzie przebiegał powoli jak całe życie w carskiej Rosji. Za czasów Lisicyńa — wy nie pamiętacie tych czasów — praca ludzka prawie nic nie kosztowała i nie brano jej pod uwagę: nie spiesz się, siedź przy aparatach i czekaj! Wydajność gospodarki rolnej była również znacznie niższa niż obecnie. Wtedy, oczywiście, synteza mogła konkurować z rolnictwem. Niewątpliwie mogła. Ale proces, który wydawał się korzystny przed czterdziestu laty, obecnie przy naszym tempie produkcyjnym — profesor potrząsnął uniesionymi rękami — przy naszych

obecnych osiągnięciach... Weźmy na przykład taką krzaczastą pszenicę akademika Łysenko! Proces ten... — Grigorij Iwanowicz umilkł nagle, opuścił powieki i zakończył półgłosem, znowu jak gdyby mówiąc do siebie samego: — Szkoda by było oddać ten wynalazek do archiwum nauki! Gdyby tylko można w jakiś sposób zmniejszyć współczynnik strat energetycznych... pragnąłbym tego z całego serca.

„Dlaczego — do archiwum? Śmieszne!” — pomyślał Szapowałow.

— Teraz odpowiem wam, Piotr Protasowicz — rzekł Zbierowski zwracając się do niego. — Syntetyczne węglowodany zajmą właściwe miejsce w gospodarce narodowej dopiero wtedy — chociaż nie podoba się wam wyraz „konkurencja” — gdy wspólnie znajdziemy sposób otrzymywania ich taniej niż... przynajmniej początkowo, niż cukier buraczany. Bo w innym wypadku nie mają one żadnego praktycznego sensu. Wyraziliście się w następujący sposób: „Nie konkurować, lecz harmonijnie współpracować”. Co przez to rozumiecie?

Sofia Pawłowna spojrzała ukradkiem na zegarek — jedenasta: już późno! — i przeniosła wzrok na Piotra Protasowicza, jak gdyby pytając: „Czy sprawa jest dla was jasna?”

Wszyscy obecni w gabinecie również spojrzeli na Szapowałowa.

„Lisicyń — myślał w tym momencie Zbierowski — był optymistą i fanatykiem. Wierzył, że to będzie tanie. Drogę od próbek do skali fabrycznej jednak przedstawił sobie mgliście. Był wszakże zdolny i jakże wytrzymały! Prawda? A co by to było, gdyby to było w naszych czasach!”

„Cóż znowu, Grigorij Iwanowicz! — myślał Szapowałow. — To zagadnienie trzeba ująć szerzej!”

W czasie konferencji wszyscy mówili siedząc, Piotr Protasowicz wstał jednak z krzesła.

— Pozwólcie — rzekł — że zacznę z innej strony. Partia uczy nas patrzeć w sedno sprawy, oczyma działacza politycznego, i rozpatrywać każde zjawisko z punktu widzenia teorii marksistowsko-leninowskiej. Spróbujmy spojrzeć właśnie w taki sposób. Oto — złożył palce, jak gdyby trzymał w nich szczyptę soli — nasza praca nad celulozą, synteza skrobi, cukru... z dwutlenku węgla i wody. A to — wykonał szeroki ruch ręką od lewej strony ku prawej — największe sukcesy socjalizmu, przodująca biologia, agrotechnika, twórczość ludzi radzieckich natchnionych geniuszem Stalina, którzy krok za krokiem ujarzmiają przyrodę, przekształcają ją i zmuszają do służenia człowiekowi. W naszej ojczyźnie pustynie stają się kwitnącymi ogrodami, a urodzaj wzrasta... wzrasta z roku na rok — bez miary! To jest nasza nauka, to nasi radzieccy ludzie!

Szapowałow uśmiechnął się, przerwał i odetchnął głęboko, jak gdyby powiał mu w twarz wiatr od pachnących, zielonych pól, jak gdyby przygrzało wiosenne słońce. Nawet fałdy na czole wygładziły mu się na chwilę.

— A co się dzieje tam — mówił dalej — na drugim krańcu kuli ziemskiej? — Ruchem ręki wskazał posadzkę pod nogami. — Kapitaliści... szykują bomby atomowe, pragną rozpętać nową zbrodniczą wojnę... wojnę dla wyniszczenia części ludzkości. Zatracili wszelki wstyd — Piotr Protasowicz podniósł głos — ze śmietnika historii wyciągnęli, jako swój sztandar, nauki wstecznika Malthusa.

Wzrok Szapowałowa spotkał się ze wzrokiem Zbierowskiego, który słuchał uważnie, opierając się łokciami o biurko i obejmując twarz rękami. Zbierowski skinął głową: „Zrozumiałe... Mówcie dalej!”

Malthus żył półtora wieku temu i był duchownym w Anglii. Broniąc interesów bogaczy, Malthus wpadł na absurdalny pomysł i napisał książkę o tym, że głód, choroby, wojna — wszystkie nieszczęścia powodujące śmierć ludzi — są jakoby korzystne dla ludzkości. W

książce swojej twierdził, że przyrost naturalny jest za duży, ziemia, rzekomo, zbyt gęsto zaludniona i nie może dostarczyć ludziom odpowiedniej ilości pożywienia. Książką tą chciał Malthus oszukać robotników i chłopów, wezwać ich, by byli cierpliwi, i mówił im: „To nie bogacze was grabią — to sama przyroda daje wam zbyt mało; do niej też miejcie pretensje”. Teraz, po stu pięćdziesięciu latach współcześni amerykańscy rabusie przypomnieli sobie „teorię” Malthusa. „Przypomnieli sobie — pomyślał Grigorij Iwanowicz — i ucieszyli się”. „O jak to dobrze — pomyśleli — za pomocą tej teorii wygodnie będzie przekonywać robotników, by godzili się z nędzą i nie buntowali się, a lud nie przeszkadzał w przygotowaniach do nowej wojny. Według tej teorii wojna nie jest przecież szkodliwa dla ludzkości”. „To wspaniała rzecz — twierdzą amerykańscy spekulanci — zniszczyć kilkaset milionów zbędnych gęb! W to mi graj dla tych potępieńców! A ci, którzy pozostaną przy życiu, podzielą pomiędzy siebie wszystkie bogactwa ziemi. Jakże wspaniale im będzie!”

— Czyż to nie zbrodnicza teoria? — gniewnie zapytał Szapowałow. — Nie bredzenie, nie śmierdząca przyłota dla ogłupiania prostaczków? Już Marks i Engels pisali o tej, za przeproszeniem, teorii... że jest „nikczemna i podła” nie mająca nic wspólnego z prawdą, że Malthus dla dogodzenia swoim panom niegodziwie „fałszuje naukę”. Pamiętacie? Już Lenin pisał: z rozwojem kapitalizmu „zwiększyła się nie trudność wyprodukowania żywności, lecz trudność uzyskania żywności przez robotnika...” Czyż tak nie jest? Przypomnijcie sobie: ażeby podnieść ceny, kapitaliści niszczą — topią w morzu — setki tysięcy ton pszenicy, podczas gdy obok głodują bezrobotni. Jedną ręką niszczą, a drugą piszą: „Ziemia rodzi zbyt mało”.

Piotr Protasowicz stał pośrodku pokoju i pokazywał ruchami, jak to robią kapitaliści: lewą ręką — jak gdyby rzucał coś na podłogę, prawą — jak gdyby pisał.

Zbierowski myślał dalej: „Pięknie powiedział to o Malthusie i zupełnie niegłupie to porównanie z syntezą”.

Ożywił się, spojrzął na Szapowałowa i zapytał:

— Mówicie o znaczeniu syntezy w przyszłości?

— Ja? — odpowiedział Piotr Protasowicz. — Nie, mówię również o jej znaczeniu w chwili obecnej. Najjaśkrawszym przykładem niedorzeczności „teorii” Malthusa jest nasz Związek Radziecki, nasza radziecka nauka. Widzimy, że wytwórcze siły przyrody są niewyczerpane. Wiemy i możemy sprawdzić to na dowolnym przykładzie, chociażby pszenicy krzaczastej: dzięki twórczej myśli ludzkiej, tam gdzie był jeden kłos, obecnie powstał pęk kłosów. I z roku na rok, na każdym kroku, do czegokolwiek biorą się radzieccy ludzie, mnożą się bogactwa ziemi! Słusznie, towarzysze? Oczywiście, że słusznie! A teraz wróćmy do amerykańskich maltuzjańczyków. Wykorzystują oni „teorię” Malthusa... jako środek do otumaniania ludowych mas i ukrycia swoich niecnych zamiarów. A każdy nowy dowód z naszej strony, obalający kłamstwa maltuzjańczyków — to jeszcze jeden cios zadany ich przygotowaniom wojennym, to wkład w sprawę walki o pokój. Rozpatrzmy nasze sukcesy w pracy nad błonnikiem, rozpatrzmy syntezę węglowodanów — Szapowałow znowu złożył palce, jakby chciał wziąć szczyptę soli — właśnie z takiego punktu widzenia. Oto do czego zmierzam, Grigorij Iwanowicz — zwrócił się do Zbierowskiego.

Profesor siedział w poprzedniej pozycji, z twarzą opartą na dłoniach. Sofia Pawłowna uniosła się nieco i słuchała obserwując Szapowałowa uważnymi szarymi oczyma. W gabinecie zapanowała cisza, wszyscy słuchali w napięciu. Obok Pimenowa ktoś wstał z miejsca i przeszedł na palcach; natychmiast rozległo się: „Sz-sz-sz...”

Przez zamknięte okno dobiegł przytłumiony odgłos przejeżdżającego tramwaju.

— Oto do czego zmierzam — ciągnął po krótkiej przerwie Szapowałow. — Mówicie, że syntetyczne węglo-

wodany nabiorą znaczenia tylko wtedy, gdy będą mogły konkurować przynajmniej z cukrem buraczanym. Pragnę zaznaczyć, że jeżeli istnieją przesłanki naukowe... a przesłanki takie, jak widzimy, istnieją... to czyż my, bolszewicy, nie zdołamy opanować syntezy? Jeżeli trzeba będzie — osiągniemy to. Jeżeli weźmiemy się do pracy ze wszystkich sił, to będziemy mieli tanią żywność syntetyczną... Nie takie trudności pokonywaliśmy! A teraz pytanie: czy chcemy, ażeby synteza już teraz, w naszym małym laboratorium, okazała się równie tania, jak, na przykład, proces otrzymywania skrobi drzewnej? Oczywiście, że to jest pożądane! Jeżeli jednak nie potrafimy od razu — nie od razu buduje się miasta — zwróćcie uwagę... ważny jest sam fakt odkrycia. Już sama możliwość, fakt naukowego uzasadnienia możliwości wykonania takiej syntezy przypomni raz jeszcze o nieograniczonych zasobach ziemi. Wiemy z całą pewnością, że zasoby te są nieprzebrane. Jednakże oprócz tego udowadniamy obecnie, że w przyszłości człowiek będzie mógł czerpać pożywienie zewsząd i to — nie mówiąc już o przeróbce drewna — nawet z węgla, z gazów opałowych, z powietrza, z dymu, z kredy, z marmuru i z wapieni, w dowolnej ilości, ile dusza zapragnie, niezależnie od liczebności mieszkańców ziemi. Bogactwa przyrody nie wyczerpią się — trzeba tylko umieć z nich korzystać! Powtarzam: dajemy jeszcze jedno bezsporne świadectwo! My głosimy życie — mówił Szapowałow i głos jego zabrzmiał uroczyście. — Głosimy życie, głosimy obfitość i wszędzie, czy to w gospodarce rolnej, czy w biologii, czy też w chemii, wszędzie znajdujemy źródła rozwoju i rozkwitu ludzkości, źródła doprawdy niewyczerpane! Życie i twórcza praca zwyciężają wszędzie! Wszystkie drogi prowadzą do komunizmu! A ci, którzy głoszą śmierć — znowu wskazał pod nogi na posadzkę — zostaną zmieceni przez życie... zdeptani w proch... i zapomnieni przez ludzkość na zawsze!

Piotr Protasowicz machnął ręką i zamilkł.

Przeszło kilka dni od czasu konferencji, na której wygłosił tę mowę. W ciągu tych dni Wasilisa Leontiewna — sekretarka Zbierowskiego — nazywana żartem Wasilisa Przemądra, chociaż nie odznaczała się specjalną mądrością, na prośbę pracowników zrobiła na maszynie jeszcze pięć odpisów notesu Lisicyna. Początkowo chodziła po pozwolenie do profesora. Profesor odpowiedział: „Róbcie”. Przepisane egzemplarze wraz z odbitkami rysunków i wzorów („Pokwitujcie odbiór” — mówiła przy tym Wasilisa Leontiewna) zabrali pracownicy natychmiast do swoich pracowni.

I oto za oknem lutowa zamieć. Za szybami krążą i mkną płatki śniegu. Szapowałow stoi przy oknie, a Sofia Pawłowna — wysoka, uśmiechnięta, w białym fartuchu z jasnymi warkoczami upiętymi w koronę dookoła głowy — przyszła i prosi:

— Potrzebny mi jest produkt numer sto dwanaście. Pożyczycie półtora grama? Numer sto dwanaście „b”. Podobno go macie.

— Wam także potrzebny jest „b”? — roześmiał się Piotr Protasowicz.

— Cóż to, czy jestem gorsza od innych?

W pracowni znajdowało się również dwoje pomocników Szapowałowa: laboranci Alosza i Nina. Pracowali w milczeniu. W skomplikowanych aparatach z przeplecionych rurek, podobnych do metalowych ośmiornic, coś bulgotało. Spod stołów dochodził szum motorów i lekkie klaskanie pasów pędnych.

— Szkoda — rzekła Sofia Pawłowna — że Grigorij Iwanowicz prowadzi „Syntezę węglowodanów” poza planem. Jaką obsadę daliby nam na taki temat! Tracimy tylko czas.

— A ja i wy to nie obsada?

— Ale, jednak...

Wyjęła z kieszeni złożony we dwoje bloczek.

— Popatrzcie, Piotr Protasowicz.

W pracowni zrobiło się ciemno, nie wiadomo, czy z powodu zmierzchu, czy wzmagającej się śnieżycy.

— Zapal światło, Alosza — poprosił Szapowałow

Pod sufitem jasnym światłem zapłonęły matowe kule

— niebo za oknem przybrało ciemnogrnatową barwę. Szapowałow podszedł do dwupiętrowego stołu, wysunął stołek dla Sofii Pawłowny i sam usiadł na drugim.

— Przeczytaliśmy notatki Lisicyna w trójkę: Pime-now, ja i Taras Tarasowicz — objaśniła Sofia Pawłowna. — Ułożyliśmy program naszych doświadczeń, omówiliśmy możliwe warianty. Popatrzcie, proszę.

Szapowałow ujrzał kilka kartek zapisanych fioletowym atramentem; niektóre wiersze przekreślone czerwonym ołówkiem; zamaszystym charakterem Zbierowskiego wstawione były wzory, kilka wierszy tekstu i cała jedna strona.

— A więc już pokazywaliście Grigorijowi Iwanowiczowi?

— Pokazywaliśmy. Mam jeszcze jedno pytanie, Piotr Protasowicz. Słyszałam, jak profesor wymienił nazwisko „Pojarkow”. Czym zajmował się ten Pojarkow?

- Pojarkow? Nikt nie wie dokładnie! Był taki człowiek, Prace jego podobne do prac Lisicyna przypadły zupełnie bez śladu. Jest jednak zasadnicza różnica w ich metodzie pracy: Lisicyn prowadził fotosyntezę, podczas gdy Pojarkow działał gazem na katalizatory bez udziału światła. Jest to, nawiasem mówiąc, jedyna wiarygodna wiadomość o pracach Pojarkowa.

— I nic więcej?

— I nic więcej. Żył w Donbasie, zginął w czterna-stym roku.

Piotr Protasowicz długo przerzucał kartki bloczka. Sofia Pawłowna spojrzała na laborantkę, dziewczynę o surowym spojrzeniu i gładko przyczesanych włosach, i zapytała cicho:

— Jak tam wasze sprawy, Ninoczka?

— Otrzymałam — odpowiedziała Nina. Oczy jej złagodniały i uśmiechnęły się po dziecięcemu. — Z gazem, łazienką i wszystkimi wygodami. Winda i balkon. W nowym domu.

— Winszuję! Przyjdę do was na oblewanie mieszkania.

— Naprawdę przyjdziecie, Sofia Pawłowna? Naprawdę?

— To jest przecież — przerwał Szapowałow — program na dwa lata. — Uderzył dłonią w bloczek, podniósł głowę i zwrócił się do Sofii Pawłowny: — Zdajecie sobie sprawę, ile tu jest doświadczeń? Wyobrażacie sobie?

— Owszem. Zupełnie dobrze sobie wyobrażam.

— Zdajecie sobie sprawę? Ta-ak...

— Nie podoba się wam plan prac?

— Dlaczegożby nie? Jak to mówią... „gęsta sieć”!

To dobre.

— Grigorij Iwanowicz obiecał, że gdy skończymy z „Procesem skrobi drzewnej”, przejdziemy całkowicie na „Syntezę”. Całe laboratorium. Słyszeliście o tym? Jeździł do akademii w tej sprawie.

— Nie skończymy wcześniej niż w przyszłym roku.

— No, to co, tymczasem obmyślimy wszystko.

— Ta-ak...

— Cóż wy ciągle „tak” i „tak”? Z czym się nie zgadzacie? Mówcie wprost!

— Nic, ja tak sobie.

Sofia Pawłowna wstała ze stołka i wsunęła bloczek do kieszeni kitla.

— Jeżeli „tak sobie” — rzekła — to dajcie sto dwaście „b”. Muszę iść — doświadczenie w toku. Wybaczcie, ale nie mam czasu. No — uśmiechnęła się i poruszyła palcami — dajcie.

Szapowałow nasypał jej do suchej próbówki trochę czarnego proszku, odprowadził gościa i znowu podszedł do okna.

Przypomniał sobie, że taka sama śnieżycą zerwała się wtedy, gdy pietrogradzcy czerwonogwardziści wyładowywali się z transportu. Śnieg sypał tak, jak teraz. Na przodzie Glebow... Ile lat miał wówczas Glebow?

„Młody, a siwy, wyglądał jak staruszek. Podarował szalik. »Ja i ty — rzekł — jesteśmy bolszewikami«".

Piotr Protasowicz dotknął czołem zimnej szyby. Nie opuszczało go uczucie niepokoju: jak gdyby jakaś myśl przemknęła mu przez głowę i znikła. Koniecznie należy odszukać ją w pamięci. Koniecznie.

Pomyślał, że może w programie doświadczeń Sofii Pawłowny jest coś nie w porządku. Trzeba rozważyć każdy punkt. A jak pomyślnie przekształcili wspólnie ze Zbierowskim cukier słodowy w trzcinowy! W czym tkwi istota ich powodzenia? W tym, że nie naśladowali przyrody. Trzeba uczyć się u przyrody, ale uczyć się nie po to, ażeby ją naśladować. Twory człowieka są znacznie doskonalsze! Czyż można porównać szybującego w powietrzu jastrzębia z samolotem odrzutowym? Błyskawicę — szaloną siłę piorunu — z posłusznym przepływem prądu elektrycznego w przewodach? Tak samo odkrycie Lebediewa — jego kauczuk. Poprzednicy chcieli otrzymać kauczuk, naśladowując przyrodę, i powtarzali w laboratorium proces zachodzący w kauczukonośnych roślinach. Lebediew natomiast porzucił utorowaną drogę i stworzył własną metodę, nie taką, jak proces, który zachodzi w przyrodzie, lecz taką, jaka jest wygodna dla człowieka... Lisicyń opracował fotosyntezę, naśladownictwo żywego liścia... Odtwarzać, krok za krokiem, recepty z rozpadających się strzępów zmurszałych kartek notesu — to program na dwa, trzy lata...

— Tak — rzekł głośno Szapowałow.

„Na dwa, trzy lata. Zdamy, jeżeli ta rozwydrzona sfora zza oceanu nie oszaleje i nie rozpęta jakiejś brudnej awantury, i nie rzuci się na łeb na szyję do bójkii".

Szapowałow wyobraził sobie nagle zniszczone wsie, ruiny domów, zwęglone trupy; dom już nie istnieje, pozostawia

stał tylko komin. Z żywych istot ocalał tylko kot. Siedzi na kominie i patrzy okrągłymi oczami na wrogiego żołdaka z automatem w ręku, depczącego popiół zgliszcz...

Szapowałow zmarszczył czoło i potarł je palcami. Skóra na czole była zimna jak szyba okienna. Za oknem — noc, ulica oświetlona latarniami, a pod każdą latarnią aż do samej ziemi stożek białych, wirujących w powietrzu, śnieżnych płatków. Poprzez śnieżną mgłę przeświecało dalekie, zielone światło sygnałowe. Zielone światło zgasło — zapaliło się żółte, zgasło żółte — zapaliło się czerwone.

„Nie, wojny nie będzie! — doszedł do wniosku Piotr Protasowicz. — Wygramy bitwę o pokój! Wygramy dlatego, że z nami są uczciwi ludzie wszystkich krajów świata. Wygramy dlatego, że jesteśmy komunistami. Wygramy dlatego, że pragniemy szczęścia ludzkości, dążymy do jej dobrobytu! Nasza twórcza praca i nasza radziecka nauka — to jak gdyby kaganiec dla dzikich zwierząt. Im więcej zrobimy... I tu także — do ostatniego tchu! Z błonnikiem wkrótce uzyskamy wyniki — to doskonale. Dodać do tego syntezę — to jeszcze lepiej. Tamci poszukują narzędzi śmierci, a my — chleba. Chleb — to życie, a życie zawsze zwycięża!”

Znowu przycisnął twarz do szyby i spoglądał na światła sygnałów.

Myśli płynęły.

„Wynalazek Lisicyna — to naśladownictwo przyrody”.

Szereg nieuniknionych i wielkich strat odbije się niekorzystnie na przyszłej produkcji. Przekazywanie energii w postaci światła — to bardzo niewygodny sposób. To, co udaje się w skali kosmicznej — nie da efektu w rękach człowieka. Inaczej przedstawia się sprawa z substancją wynalezioną przez tajemniczego sztygara Pojarkowa. Ale co właściwie robił ten Pojarkow? Czyżby właśnie przeprowadzał syntezę glukozy? Czy też mo-

że jest to sprawa uboczna, przypadkowa? Ale jak znakomicie się udało! Otrzymywanie glukozy bezpośrednio z gazów, bez światła, kosztem energii innej reakcji chemicznej — jednoczesnego tworzenia się wody. Światło zostało zastąpione ciepłem wydzielającym się podczas spalania wodoru. Metoda zupełnie niepodobna do syntezy odbywającej się w żywych liściach.

„Ale zaraz, zaraz... Czy istnieje w przyrodzie chociażby coś zbliżonego do takiego wyniku?”

Piotr Protasowicz sam sobie odpowiedział na to pytanie twierdząc kiwnięciem głowy. Przypomniał sobie, że w glebie żyją bakterie nitrifikacyjne. Nawiasem mówiąc, działalność ich jest pożyteczna dla człowieka, gdyż wzbogacają glebę w azot; w wyniku chemicznych reakcji tworzą one wokół siebie kwasy: azotawy i azotowy. Przyswajają azot z powietrza i przekazują go roślinom. Bakterie te żyją absolutnie bez światła, jednak w komórkach ich znajdują się zwykle węglowodany. A więc synteza węglowodanów w przyrodzie jest możliwa bez światła? Jest możliwa! Ale skąd się bierze potrzebna do tego energia? Otóż bakterie nitrifikacyjne wykonują pracę, związaną z utlenieniem związków azotu, tylko po to, aby otrzymać wyzwalającą się przy tym energię. Energia ta zostaje z kolei zużyta na syntezę węglowodanów z dwutlenku węgla i wody. Węglowodany te są niezbędne dla życia bakterii.

„Ciekawe! — rozmyślał w dalszym ciągu Piotr Protasowicz. — Ale i w tym wypadku nie wolno ślepo naśladować. Trzeba stosować rozumowanie dialektyczne: to, co jest dobre w pewnych warunkach, nie nadaje się w warunkach zmienionych. Z tego wynika, że otrzymuje się glukozę, którą sam widziałem na ziarnach Pojarkowa. Kryształy rosły po prostu w oczach! W procesie tym nie ma żadnych strat. Idealny proces. Energia utleniającego się wodoru — zamiast światła... Widzisz, braciszku, jaki efekt można otrzymać — zabębnił palcami po szybie — energia chemiczna zamiast energii świetlnej”.

Szapowałow przypomniał sobie własne doświadczenie, podczas którego otrzymał krople wody zmieniające barwę płynu Fehlinga. W doświadczeniu tym stosował katalizator wodorowy, którego skład sam opracował.

„Były, bezwzględnie, ślady glukozy. Prawie tak, jak u Pojarkowa. Lecz najtrudniejsze będzie osiągnięcie tego, co nie śniło się nawet żadnemu Pojarkowowi, a mianowicie otrzymywanie nie glukozy, lecz cukru i skrobi. Pomogą w tym wypadku substancje Zbierowskiego. Otrzymywanie węglowodanów w ich obecności... Nie z gazów opałowych, lecz z dwutlenku węgla i wody. Oto jedynie racjonalna droga! Nie fotosynteza, lecz chemosynteza bez strat energetycznych. Prościej i taniej! Znacznie prościej i taniej!”

— Piotr Protasowicz — usłyszał za sobą głos laboranta Aloszy — nie chcielibyście przejrzeć wyników?

Alosza i Nina stali obok stołu. Byli już bez fartuchów. Nina włożyła okrągłą futrzaną czapeczkę i szykowała się do wyjścia.

— Co? — zapytał Szapowałow i spojrzał ze zdumieniem. Nie mógł zrozumieć, o co właściwie chodzi. Wreszcie domyślił się: — Aha, skończyliście pracę? Dobrze, jutro przejrzę. Do widzenia, szczęśliwej drogi! Idźcie, przyjaciele, idźcie. Do widzenia!

Gdy pozostał sam, nie ruszył się z miejsca, lecz stał dalej, spoglądając w ciemność za oknem. Żrenice jego wydawały się duże i błyszczące. Odbijało się w nich światło latarni ulicznych.

Zamieć ustała, Szapowałow stał pocierając od czasu do czasu dłonią czoło. Następnie gwałtownym ruchem głowy odrzucił włosy do tyłu, odwrócił się do stołu, uśmiechnął się zmrużonymi oczyma i zaczął zręcznymi i wprawnymi ruchami przygotowywać nowe doświadczenie. Wyjął z szafy słoiki i rozstawił je na stole, obok nich postawił naczynia wagowe, kilka kolb i jakieś szklane, spiralne przyrządki. Zapalił palnik gazowy. Zatrzymał się na chwilę i westchnął, już bez uśmiechu.

— No — rzekł półgłosem — zobaczymy, co z tego wyjdzie! Połączenie pomysłu Pojarkowa, Zbierowskiego i Lisicyna z moim... Spróbujemy!

Otworzył pierwszy słoik i wyjął pincetką duży kryształ.

„Od tego — pomyślał — rozpocznie się długi łańcuch reakcji. Synteza węglowodanów bez udziału światła... Bez strat energii! Niezliczone zasoby żywności — z dwutlenku węgla i wody!”

ROZDZIAŁ IV

NIEPRZEBRANE ZASOBY

„Moskwa jest zadziwiającym miastem. Można w nim długo mieszkać i nigdy się nie znudzi. Wszędzie natrafia się na jakąś nową i przyjemną niespodziankę. Z roku na rok Moskwa staje się coraz piękniejsza” — myślała Kławdia Nikiticzna.

Taka, na przykład, ulica jak wiele innych i domy przy niej pochodzące jeszcze z kupieckich czasów, dwu- i trzypiętrowe. A gdy się przyjdzie i popatrzy po miesiącu lub dwóch — za drewnianym parkanem dźwigi dostarczają już materiał na ósme piętro. Buduje się olbrzymi blok zajmujący cały czworobok między ulicami. Ściany bloku wyklada się granitem. To samo dzieje się na wielu ulicach, we wszystkich dzielnicach miasta. Buduje się wszędzie. Niedługo powstanie trzydziestodwupiętrowy kolos! Albo, na przykład, metro. Cóż może być wspanialszego od moskiewskiego metra? Każda stacja jest dziełem sztuki, każda jest w swoim rodzaju nieprze-

ści-gniona. Po prostu jakieś czarodziejskie pieczary... Czy takie pieczary mogły się śnić bajkopisarzom z dawnych lat? Niedawno przybyły nowe stacje. Kławdia pojechała z Piotrem Protasowiczem, by obejrzyć uruchomiony niedawno pierwszy odcinek dużego pierścienia od stacji Kurskiej do Parku Kultury. Jakie żyrandole znajdują się na stacji Kurskiej, jakie świecące kryształowe kolumny, po prostu prawdziwe światło dzienne. A wszędzie — rzeźby w marmurze, błękitna i połączona ceramika, rzeźbione grupy, brąz. Każda stacja — to podziemny pałac. Jeszcze piękniejszy od tych, które buduje się na powierzchni. Nie chce się po prostu wychodzić. Patrzą i serce zamiera z zachwytem.

„Rzeczywiście — myślała Kławdia Nikiticzna — ludzie chcą, aby otaczało ich piękno. Pracują, tworzą, budują. Rozwinęły się, rozkwitły ich talenty i zupełnie inny jest ich sposób myślenia. Każdy pracuje teraz nie dla siebie, lecz dla wszystkich. Obecnie z każdym rokiem trudniej jest opowiadać dzieciom o życiu w starej Rosji. Opowiadasz w klasie i czujesz, że dzieci nie mogą sobie już tego wyobrazić, nie rozumieją. W klasie siedzi oparta o ławkę Swietłana Krutikowa, córka stachanowca z fabryki obuwia, w nakrochmalonym fartuszkach, z dużą kokardą we włosach. Słucha cichutko opowiadania o minionej władzy pieniądza, o życiu w domach noclegowych i lepiankach, o niewolniczej pracy przymusowej, o człowieku zaszczutym nędzą, a oczy jej wyrażają nieme pytanie: »Jakże oni nie mogli się domyślić, o co chodzi? Dlaczego to znosili? Czy naprawdę tak było?« Świetłana uczy się i czyta o tym, ale w życiu nic podobnego nie widziała. Jak to dobrze, oczywiście, że nic takiego nie widziała! Jasne życie oczekuje ją w przyszłości! Przyszłość szybko mknie na jej spotkanie, przybliżyła się gwałtownie, jest wszędzie: i w metro, i na budowach słychać jej krok po fabrykach, w bohaterских czynach i twórczości naszych ludzi.

Choćby tu w laboratorium u Pieti...”

W środy i soboty lekcje Kławdii Nikiticzny kończyły się wcześniej. Zdarzało się, że wracała do domu, śpiesznie sama zjadała cokolwiek — Piotr Protasowicz ostatnimi czasy wracał z laboratorium późno, dopiero po północy, po obiedzie czytała gazety, następnie znowu ubierała się i udawała do swego okręgu wyborczego. W tym czasie zbliżały się wybory do Rady Najwyższej ZSRR i Kławdii zlecono agitację wyborczą w okręgu, do czego zabrała się z zapałem.

Pomagało jej w tym doświadczenie nauczycielskie. Wyczuwała bezbłędnie, z kim, kiedy i o czym należy rozmawiać. Kiedy wyjaśnić „ordynację wyborczą”, kiedy opowiedzieć o bezrobociu w Anglii, o sądach Lyncha w Ameryce lub o tym, jak buduje się nowe sanatoria pod Moskwą.

Dzisiaj była już u wyborców. Obeszła kilka mieszkań.

„Dosyc na dzisiaj! — pomyślała Kławdia Nikiticzna. — Do jutra” — i, schodząc po schodach, rozmyślała o ludziach, z którymi pożegnała się przed chwilą.

W czterdziestym siódmym mieszkaniu chłopczyk, uczeń zdaje się z szóstej klasy, poparzył sobie ręce, próbując zrobić silnik odrzutowy do latającego modelu samolotu. Teraz chodzi z obandażowanymi palcami. Dawno już prosi ją i powtarza stale, gdy Kławdia Nikiticzna do nich przychodzi: „Dowiedzcie się u waszego męża, jaka jest recepta na palną mieszanke, która by się raz zapalała, a raz gasła. Wasz mąż jest chemikiem, na pewno więc mi poradzi. Nie bójcie się, teraz będę ostrożny. Opracowałem specjalną zasadę i muszę ją sprawdzić”.

Nie wiadomo dlaczego przyszło na myśl Kławdii Nikiticznie, że pies u Iwaszczenki nazywa się Cotangens. Iwaszczenko nosi rogowe okulary, ma niedużą siwą bródkę i jest z zawodu sztukatorem. Ojciec Kławdii Nikiticzny był również sztukatorem. Wspomnienie o nim sprawia jej ból, pamięta, że był nieszczęśliwy, wiecznie pijany, rozczochrany i wymyślał brzydkimi sło-

wami. Tymczasem Iwaszczenko uczy się w wolnych chwilach filozofii. Nosi znaczek laureata nagrody stalinowskiej i otrzymał premię za nowy, ekonomiczny sposób tynkowania.

Był szary, pochmurny dzień. Niepostrzeżenie skończyła się jesień, znowu nastąpiła zima i zaczął się nowy rok. Zima, a na jezdni i chodnikach czysto wymieciony asfalt. Przy skrzyżowaniu bieleje kupa śniegu. Obok niej stoi ciężarówka „ZIS”, nad którą sterczy żuraw maszyny do zbierania śniegu. Śnieg leży wąskimi pasmami na gzymsach domów. Śnieg widoczny jest również na posągu chłopki, zdobiącym budynek z drugiej strony ulicy. Tworzy on jak gdyby biały beret na głowie posągu i puszystą chustkę na ramionach.

Obok chodnika, odbijając się w lustrzanych szybach wystaw, niemal bez szmeru przejechał, jak gdyby płynąc, jasny, piękny trolejbus.

Widząc na wystawie książki, Kławdia Nikiticzna zatrzymała się. Zapragnęła je obejrzeć. Ubrana w gładkie brązowe futro i wysokie gumowe boty podeszła do wystawy i przeglądała tytuły książek. W kącie wystawy zauważyła znajomą książeczkę:

P. SZAPOWAŁOW
KANDYDAT NAUK CHEMICZNYCH
OTRZYMYWANIE FRUKTOZYDÓW Z SUBSTANCJI
GLUKOZYDOWYCH

„Jego rozprawa — pomyślała o mężu Kławdia Nikiticzna i uśmiechnęła się. Potem westchnęła: — Ciągłe zajęty. Prawie wcale nie widzujemy się”.

Przypomniała sobie jego niedawne wyjazdy służbowe. Zeszłego lata i jesienią Piotr Protasowicz kilkakrotnie jeździł do zakładów hydrolizy i przeprowadzał doświadczenia nad zmianą procesu w kierunku otrzymywania w aparaturze fabrycznej skrobi zamiast glukozy. Trzeba

przyznać, że doświadczenia te nie dały dobrych wyników, gdyż okazało się, że istniejąca aparatura nie na-

daje się, a dla nowej technologii procesu potrzebne są nowe urządzenia. Obecnie Piotr Protasowicz ma roboty powyżej uszu. Po pierwsze — razem z grupą inżynierów projektuje pierwszą w historii fabrykę skrobi drzewnej, po drugie — z dawną zawziętością prowadzi nadal doświadczenia na temat syntezy. Niedługo znowu wyjedzie do kopalń Zagłębia Podmoskiewskiego w sprawach Radzieckiego Komitetu Obrońców Pokoju — przypomniała sobie Kławdia Nikiticzna. Związki zawodowe i organizacja partyjna wysłały go na własną prośbę do pracy w Komitecie. Pracuje w Komitecie, tak jak wszędzie, nie szczczędając sił, a gdy tylko wróci do Moskwy, znowu zasiądzie na szesnaście godzin na dobę w swoim laboratorium. O doświadczeniach na temat syntezy powie: „Trzeba się spieszyć — bardzo, bardzo się spieszyć”.

Przypomniała sobie, że kilka dni temu zapytała męża:

— Kochany, jesteś na pewno bardzo zmęczony. A może chciałbyś... tak jak dawniej, pójść razem w step i pomarzyć głośno?

— Aha — rzekł Piotr Protasowicz.

— Śmieszni byliśmy, prawda?

— Prawda.

— Patrz, życie jednak wyprzedza marzenia...

Rozmowa zaczęła się w czasie kolacji. Piotr Protasowicz właśnie wrócił z laboratorium. W ciągu ostatniego roku schudł trochę. Przyglądając mu się uważnie, żona zauważyła, że jest bledszy niż zwykle, a zmarszczki na czole pogłębiły się nieco.

— Zmęczony jesteś — powtórzyła. Cicho westchnęła i milczała chwilę. Odwróciła się pogrążona w jakichś myślach, po czym podniosła oczy. — Pietia — rzekła cicho — nie gniewaj się, ale ja jednak nie rozumiem. Dziwię się, dlaczego ty czy nawet sam Zbierowski nie napiszecie artykułu do gazety? — Kławdia Nikiticzna patrzyła pytająco. — No, dlaczego nie piszecie? O waszych sukcesach wie zaledwie garstka ludzi!

— Dziwna jesteś!...

— Znowu swoje: „Dziwna jesteś”! A ja ci powiem, że nie ma w tym żadnego sekretu, powinienes to zrozumieć. Ludziom można przysporzyć dużo radości. Niech każdy człowiek przeczyta, niech się cieszy z triumfu nauki!... Otwórz, proszę, puszkę konserw... Wasza praca zbliża się do końca. Zrozum, że wszyscy powinni o tym wiedzieć!

„Sprawa ta jest bliska każdemu. Gdyby tak można było opowiedzieć o tym wyborcom” — myślała i mrużąc oczy spoglądała na męża szukającego w kredensie noża do otwierania konserw.

— Jeszcze daleko do końca — odpowiedział Szapowałow siadając znowu do stołu. Uniósł nóż nad pokrywką puszki, przebił ją jednym uderzeniem i mówił dalej: — Jak to mówią: „siedem razy odmierz, zanim raz odkroisz”. O błonniku ogłaszaliśmy drukiem już coś niecoś.

— Coście ogłosili? Same szczególiki, o jakichś tam glu-kozydach. Trzeba przedstawić zagadnienie w całej okazałości. Słowami zrozumiałymi dla ogółu. Trzeba napisać o żywnościowych zasobach ludzkości, a przede wszystkim o syntezie.

— Właśnie i ja mówię o syntezie. Poczekaj, aż otrzymamy trwale wyniki w skali przemysłowej. Wówczas zaczniemy bić w wielkie dzwony. Od razu na cały świat. Głos Związku Radzieckiego. A przedwczesnym brzękaniem możemy się tylko ośmieszyć przed ludźmi.

— Już drugi rok udają się doświadczenia, a ty mówisz: przedwcześnie.

— Kiedy dopiero zaczyna się właściwa praca.

Błaszane wieczko puszki odgięło się w jego palcach jak kartka papieru.

— I jeszcze jak się zaczyna!... Proszę bardzo, gotowe.

— Podsunał żonie talerz z pudełkiem konserw. Skrzyżował na piersi duże, silne ręce i uśmiechał się szczęśliwym, lekko zakłopotanym uśmiechem.

— Rozumiesz, Kławdia — rzekł — niekiedy sam nie wierzę, że otrzymujemy takie wyniki. Wydaje mi się nieraz, że wszystko to pryśnie jak bańka mydlana... A tymczasem — udaje się. Przejrzysz całą literaturę w pamięci i nie znajdziesz o tym nigdzie żadnej wzmianki... u żadnego autora. A u nas w laboratorium wszystkie te reakcje już zachodzą. Zachodzą, jak gdyby nigdy nic!

— Ugryzł kawałek chleba i mówił dalej z pełnymi ustami. — Zachodzą, jak gdyby nigdy nic! Można nakreślać już pewne założenia...

— Jedz z masłem — powiedziała Kławdia Nikiticzna.

— Daj, nasmaruję ci.

„Zbytńia skrupulatność — pomyślała — jakież znowu założenia, jeżeli doświadczenia dawne już się udają?”

Przecież widziała na własne oczy! Jeszcze zeszłej wiosny, gdy wstąpiła kiedyś do męża do laboratorium, pokazali jej próbówki z cukrem i skrobią otrzymaną z gazów spalinowych. A próbówek takich było tam kilkadziesiąt. Aż krzyknęła wówczas z zachwytem. Spróbowała smak i przekonała się, że rzeczywiście: skrobia jak skrobia, a cukier jak cukier. W jej wyobraźni stanęły obrazy przyszłego dobrobytu: pola i ogrody będą się zieleniły, jak dotąd, a w fabrykach — tysiące worków produktów otrzymanych na drodze przemian chemicznych. Jedne produkty za pomocą przeróbki włókna drzewnego, drugie — drogą syntezy. Synteza z dymu, z bezużytecznych gazów!

Kławdia Nikiticzna z wielką niecierpliwością oczekiwała dnia, kiedy ukażą się gazety z nagłówkami: „Nowe zwycięstwo nauki radzieckiej”. W dniu tym na pewno świąteczne tłumy wypełnią ulice, na placach zabrzmie muzyka, promienie reflektorów zawirują wesołą

karuzelą i sklepią się jak namiot na nocnym niebie Moskwy.

„A może słusznie, że jeszcze nie publikują? Może to naprawdę za wcześnie? On musi lepiej wiedzieć. »Oficer nauki« — pomyślała Kławdia o mężu, ale zaraz zarumieniła się i zagryzła wargi ze wstydu — przecież »oficer nauki« to pompatyczny frazes. Tak nie można".

Wiedziała doskonale i była dumna z tego, że mąż jej odgrywa niepoślednią rolę w pracy nad otrzymaniem sztucznych węglowodanów. O tym jednak, że do niego należy pomysł, aby zamienić proces Lisicyna innym, znacznie wygodniejszym, dowiedziała się Kławdia dopiero od Sofii Pawłowny. Sam Piotr Protasowicz skromnie to przemilczał. Pomysł jego polegał na tym, ażeby reakcje zachodzące w świetle ze stratami energii zastąpić innymi, bardzo zbliżonymi, lecz zachodzącymi w ciemności bez żadnych strat. „My pracujemy — mówił Sza-powałow o swoich sukcesach. — U nas reakcje zachodzą. Nasz proces będzie znacznie tańszy".

„Zrozumiałe — pomyślała Kławdia Nikiticzna. — To zespół utalentowanych uczonych. Rozwiązali zagadkę tych potarganych połówek kartek. Rozwiązali i udoskonalili. Kolektyw jest zgodny, sprawy osobiste nie przesłaniają spraw ogółu".

— Powiedz mi, Pietia, a gdyby nie przypadek, gdyby naczelnik garażu nie przysłał ci tego notesu — czy wtedy nie wynaleziono by u nas żywności syntetycznej?

— Jak możesz powiedzieć „nie wynaleziono by"? Jakże to jest możliwe? — Szapowałow uniósł brwi i położył widelec na obrusie. — Wszystko jest kwestią czasu — powiedział przekonywająco. — Na wszystko przychodzi właściwa pora. Prędzej czy później nauka doszłaby do takiej syntezy. Sama przez się. Rozumiesz? — Znowu ujął widelec i uśmiechając się, lekko kiwnął głową. — Tak, tak! Prędzej czy później! Wtedy gdy dojrzałaby konieczność. Znalezienie notesu przyśpieszyło tylko

sprawę i podsunęło nam pomysł. Rozumiesz: przyśpieszyło o kilka lat.

— Tylko przyśpieszyło?

— Oczywiście, w ogólnych zarysach tylko przyśpieszyło.

Nad stołem płonęła silna lampa pod dużym jasnożółtym abażurem. Połyskiwały talerze i szklanki znajdujące się na stole. Kławdia Nikiticzna przyglądała się ręce męża. Ciężka, duża pięść. Nigdy nie przyszłoby nikomu na myśl, że człowiek ten nie pracuje fizycznie. Przy świetle widać nabrzmiałe, jak postronki, żyły. Dawniej — uświadomiła sobie — żyły nie występowały mu tak wyraźnie. Na pewno jest bardzo zmęczony. Ten różowy znak — to ślad oparzenia kwasem. Dużo pracuje i pokonuje wszystkie trudności z zapalem i talentem. Ręka jego zmieniła się w ciągu piętnastu... nie, szesnastu lat. Przeżyli ze sobą już prawie szesnaście lat. Jeżeli nie liczyć wojny. Albo dwadzieścia, jeżeli uwzględnisz, że cztery lata byli w rozłące.

„Miły mój...” — pomyślała i w milczeniu położyła dłoń na jego ramieniu.

Od tego czasu minął prawie tydzień.

Teraz Kławdia Nikiticzna stoi przed wystawą księgarni i przypomina sobie niedawną rozmowę. Za grubym szkłem znajoma książka: „P. Szapowałow, kandydat nauk chemicznych...”

Obok przejeżdżają jeden za drugim auta i trolejbusy. Po chodniku, nie zatrzymując się, śpieszą przechodnie.

„Otrzymywanie fruktozydów z substancji glukozydowych”.

W lewym, dolnym kącie wystawy — znajoma oprawa. Pośrodku — kolorowy portret akademika Pawłowa, otoczony książkami. Na kolorowym portrecie wysokie czoło, śmiejące się starcze oczy, wąsy, siwa, lekko rozdwojona kwadratowa broda. Pod portretem napis „wyjątek z listu Pawłowa do radzieckiej młodzieży”. Wzrok Kławdii Nikiticznej przenosi się na napis:

„Pamiętajcie — przeczytała Kławdia Nikiticzna — że nauka żąda od człowieka całego jego życia. Gdybyście mieli nawet dwa życia, to i Lego by wam nie starczyło. Nauka wymaga od człowieka wielkiego wysiłku i wielkiego zapędu. Bądźcie pełni zapędu w waszej pracy i w waszych badaniach!”

Znała te słowa na pamięć. Powtarzał je często Piotr Protasowicz jako młody chemik, jeszcze w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku.

Kławdia stała przed wystawą i czytała dalej:

„Nasza ojczyzna otwiera przed uczonymi rozległe horyzonty. Trzeba przyznać, że w naszym kraju nauka znajduje szerokie zastosowanie w życiu. Szerokie w najwyższym stopniu!

Po co mówić o sytuacji młodego naukowca u nas? Przecież wszystko jest tu tak jasne. Młody uczonek wiele otrzymuje, ale też wiele wymaga się od niego. Dla młodzieży i dla nas jest sprawą honoru, by nie zawieść nadziei, które pokłada w nauce nasza ojczyzna”.

Kławdia Nikiticzna popatrzyła znowu na dolny, lewy kąt witryny z książkami. Uśmiechnęła się i przyjaźnie skinęła jej głową, jak gdyby mówiąc: „Ja i ty wierzymy, że nauka nas nie zawiedzie. Tak, wierzymy!”

Zapłonęły światła w białych matowych kulach z napisem „przejście”, umieszczonych na niewysokich słupkach. Kule nabrały barwy herbaty z mlekiem. Zapaliły się również duże uliczne latarnie. Zapadał zmierzch.

Przejeżdżający samochód błysnął reflektorami.

Zagubiona w tłumie przechodniów Kławdia Nikiticzna szła zamyślona przez ulicę. Bez określonego celu skręciła w jakąś uliczkę, a następnie minęła duży plac.

W tym domu, wiedziała Kławdia, znajduje się zagraniczne poselstwo. Wzrok jej prześliznął się po oknie. Ujrzała nad firanką sufit ze sztukaterią i część ściany, na której znajdowała się mapa. Pokój był jasno oświetlony. Ludzi nie było widać, gdyż zakrywała ich firanka, tylko po mapie przesuwiał się cienki koniec drewnia-

nej pałeczki. Ktoś przeprowadził linię przez Związek Radziecki i opuścił pałeczkę w dół — w miejscu gdzie znajdują się Chiny.

Kławdia Nikiticzna szła dalej. Uśmiechnęła się w duchu: „Nie mogą przyjść do siebie. Podżegacze wojenni boją się, kombinują!” W tym momencie przypomniała sobie wyborców ze swojego okręgu — robotników, urzędników, gospodynie, staruszków — inwalidów. Różnią się między sobą, ale nie ma pomiędzy nimi ludzi obojętnych. Każdy z nich uważnie i z radością śledzi zwycięstwa narodu chińskiego, wyzwolenczą walkę Vietnamu, sukcesy demokratycznych Niemiec. „Co nowego powiecie, towarzyszeko agitatorze? — pytali w każdym mieszkaniu. — Gazety czytaliśmy już, czy nie ma czegoś jeszcze nowszego?”

Rzeczywiście, jak bardzo zmieniła się teraz sytuacja na całym świecie. Zmienia się z godziny na godzinę. Prawie połowa mieszkańców ziemi buduje wolne, świadome życie. Druga zaś połowa to wrzący kocioł. Ścianki kotła drżą pod wpływem wewnętrznego ciśnienia...

„Jak gdyby dygotał tuż przed samym wybuchem!” — myślała Kławdia Nikiticzna.

Zatrzymał ją czerwony sygnał świetlny. Przepłynęła obok niej lawina samochodów. Cierpliwie przeczekała i przeszła przez ulicę. „Dokąd właściwie idę?” — zastanowiła się.

„Chemiczne wytwarzanie żywności — to także zwycięstwo sił postępu. Czy Pietia nie opowie o tym w Komitecie Obrońców Pokoju?”

Oto budynek laboratorium.

„Nie — pomyślała Kławdia Nikiticzna — nie trzeba wchodzić”. Przyszła przypadkowo, mimochodem, po drodze. Śmieszne, po co wchodzić? I wolnym krokiem zaczęła spacerować po chodniku. Chodziła i spoglądała w okna zasłonięte storami.

„Wsiądę zaraz do tramwaju” — pomyślała.

W jednym z okien na jasnym tle story zarysował się cień — sylwetka człowieka o dużym, powiększonym profilu. Cień poruszył się, podniósł równie wielką rękę i potrząsnął nią przed twarzą.

„Gabinet Zbierowskiego — domyśliła się Kławdia Nikiticzna idąc do przystanku tramwajowego. — Na pewno sam profesor”.

Długi, całkowicie metalowy wagon tramwaju zatrzymał się cicho. Otworzyły się podwójne drzwi, Kławdia weszła i usiadła w miękkim fotelu. Gdy wagon ruszył, obejrzała się i śpiesznie starła rękawiczką szron, który osiadł na szybie. W oddali mignęło oświetlone okno i cień głowy ludzkiej.

„Na pewno profesor”.

W tym czasie Zbierowski stał w swoim gabinecie przy biurku. Żarówka stojącej lampy wystawała spod abażuru i cień Zbierowskiego padał na storę.

— Mendelejew! — wykrzykiwał Grigorij Iwanowicz. — Mendelejew i Timiriazjew — najwięksi badacze przyrody! Proszę tylko zwrócić uwagę, jak... U Lisicyna występuje to samo założenie wypaczające jego teoretyczne wywody. Píše on, że pod wpływem chlorofilu i światła dwutlenek węgla rozkłada się na tlen i węgiel. Tlen jakoby uchodzi całkowicie do atmosfery, a węgiel łączy się z wodą, tworząc węglowodany... Dopiero radzieccy uczeni, stosując metodę izotopów, wyjaśnili tę sprawę! Nie dwutlenek węgla rozkłada się, ale woda!

Przed profesorem trochę z boku siedział naukowy pracownik, Pimenow. Było tylko ich dwóch w gabinecie. Pimenow zapytał:

— Badania były przeprowadzone z tlenem o ciężarze atomowym siedemnaście?

— Nie, osiemnaście. Z izotopem tlenu o ciężarze atomowym osiemnaście. Okazało się, rozumiecie, że nie jest tak, jak wyobrażał to sobie Lisicyn. Część znaczonych atomów, to jest cięższych od zwykłego tlenu... Znajdowały się one w składzie specjalnie przygotowane-

go dwutlenku węgla, którym otoczyliśmy liście roślin. No, i gdzieśmy je znaleźli po doświadczeniu? W atmosferze? Nie, w roślinach, w cząsteczkach węglowodanów! W ten sposób radzieccy ludzie wnieśli poprawkę do poglądów Lisicyna. My z wami to już widzimy! — krzyknął znowu w podnieceniu Zbierowski. — Metoda znaczonych atomów! Patrzcie, w jaką broń zaopatrzyła nas radziecka nauka!

— Przepraszam, Grigorij Iwanowicz, zapomniałem, jak brzmi jego nazwisko?

— Czyje?

— Tego uczonego, który metodą izotopów badał procesy zachodzące w żywym liściu.

— Jego nazwisko! M-m-m... Tu właśnie widzicie ciekawą cechę naszej nauki. Jak brzmi jego nazwisko? No, powiedzmy, ci dwaj wspólnie... przeczytajcie ich prace. Są one, zdaje się umieszczone w sprawozdaniach Akademii Nauk za czterdziesty pierwszy rok. Jednak oprócz nich pracowali i inni. Weźcie, na przykład, nasze laboratorium. Czy możecie dokładnie ustalić, kto jest autorem tej czy innej koncepcji? Czy możecie określić, gdzie kończą się prace Szapowałowa, a zaczynają się wasze, moje lub na przykład Sofii Pawłowny? Nie, mój drogi, wszystko to jest pracą wspólną. Obecnie u nas niemożliwe jest zorientować się, gdzie „moje”, a gdzie „twoje”. I czy to jest w ogóle potrzebne?

Grigorij Iwanowicz figlarnie zmrużył oczy, zamilkł i wreszcie usiadł w fotelu.

Gdy Kławdia Nikiticzna wróciła do domu, zastała na schodach przy drzwiach mieszkania roznosiciela depesz — starego listonosza w mundurowej czapce.

— Czy tutaj mieszkacie, obywatelko? Zmęczyłem się, już trzeci raz tu przychodzę. — Wsunął jej do ręki ołówek. — Podpiszcie! Dla obywatela Szapowałowa.

Depeszę przeczytała dopiero kilka minut później. Najpierw weszła do przedpokoju, zapaliła światło, zdjęła płaszcz, śniegowce i kapelusz. Obejrzała się w lu-

strze, stwierdziła, że ma zarumienione po spacerze policzki, i palcami poprawiła włosy. Pomyślała, że depeşe lepiej niech sam Pietia otworzy. Ale od razu przyszło jej na myśl, że może to coś pilnego, i szybko otworzyła depeşe.

Na dole widniał podpis „Chochriakow”.

Treść telegramu była następująca: „Dowiedziałem się opóźnieniem stop gratuluję stopnia naukowego stop dumny jestem stop podnoszę puchar dwa pokolenia komunistów”.

Kławdia Nikiticzna powoli złożyła kartkę z naklejo-nymi paseczkami tekstu. Uniosła brwi ze zdziwieniem: co on pisze o dwóch pokoleniach? Czyżby tylko dwa pokolenia?

„Nie ma tu nic pilnego — postanowiła. — Absolutnie nic. Pietia przeczyta w wolnej chwili po powrocie. Żebym tylko nie zapomniała zapytać go, czy wykonywanie modelu motoru odrzutowego grozi uczniowi niebezpieczeństwem. Nie trzeba chyba go zachęcać. I tak ma już całe ręce w bandażach”.

Położyła depeşe na brzegu stołu.

Z niewiadomego powodu przypomniało jej się opowiadanie męża o jego dzieciństwie, o młodości, o szkielekach rudego sztygara i o zakopanych w stepie przyrządach laboratoryjnych.

„Jeszcze jako chłopiec marzył o wynalazkach”...

Znowu przypomniała jej się sylwetka — powiększony cień na storze w oknie.

„Pracują — pomyślała z szacunkiem o mężu, o Zbierowskim i o innych w laboratorium. I nagle uświadomiła sobie: — Dzisiaj jeszcze trzeba sprawdzić zeszyty szóstej »b«. Ach, jaka ja jestem! Jutro trzecia lekcja!”

Tymczasem w laboratorium praca szła rzeczywiście pełną parą. W pracowni Sofii Pawłowny zachodziła fotosynteza, to jest dokładne odtworzenie doświadczeń Lisicyna. Używane obecnie aparaty nie przypominały jednak warstwowych filtrów Lisicyna. Aparaty Sofii Paw-

łowny były znacznie doskonalsze niż narysowane w notesie. Wyglądały jak grube pęki rurek w statywach. Jaskrawo świecące rurki — to lampy jarzeniowe, a przez rurki napełnione zielonymi przezroczystymi ziarnami przepływała woda z dwutlenkiem węgla. Tam tworzył się cukier i skrobia.

Na długim stole, umieszczonym w środku pokoju, stało z dziesięć takich aparatów. Ściśle mówiąc, widoczne były tylko zakrywające je ciemne osłony, podobne do dużych skrzyń o dziwnych kształtach. Na osłonach, jak białe krążki, widniały tarcze różnych przyrządów pomiarowych; z dołu do góry biegły do nich spirale przewodów.

Przy innych stołach, umieszczonych wzdłuż ścian, siedziało na wysokich stołkach czterech laborantów. Szybko i cicho mieszało coś w kolbach, rozcierali w moździerzach i ważyli na wagach.

— Nieźle idzie — rzekła Sofia Pawłowna do profesora.

Gdy Zbierowski zbliżył się do środkowego stołu, Sofia Pawłowna podeszła tam również. Nachyliła się i popatrzyła na drgające na tarczach strzałki, na poziom ręki w manometrach, zajrzała pod stół, gdzie znajdowały się butle z dwutlenkiem węgla — skomplikowane nagromadzenie żelaznych zbiorników, rurek, zaworów i cylindrów. Następnie nacisnęła ręką dźwignię wystającą spod stołu. Od razu zaczęła unosić się osłona jednego z aparatów i, oświetlając cały pokój, błysnęło szmaragdowe światło. Lampy pod sufitem jakby przygasły, a na stole zajaśniało zielone słońce. Zbierowski zmrużył oczy i przysłonił je dłonią.

— Nieźle — rzekła Sofia Pawłowna. Wydawało się, że jej fartuch, szyja, twarz i ciężkie owinięte wokół głowy warkocze — wszystko to jest oślepiająco zielone.

Nagle zrobiło się ciemno — zielone słońce pod osłoną zgasło i po chwili znowu zapłonęło jaskrawym światłem. Po sekundzie znowu zgasło i znowu zapłonęło. I ciągle tak samo — aparat migotał bez przerwy. W notesie

Lisicyna znajdowała się wzmianka, którą na konferencji w laboratorium uznano za zupełnie słuszną, że światło powinno kolejno następować po ciemności, tak jak dzień po nocy. Zmianę uzyskiwano za pomocą automatycznego urządzenia.

— Wyłączcie — rzekł wreszcie Zbierowski.

Gdy wyszedł na korytarz, przed oczyma wirowały mu czerwone kręgi.

Dzisiaj rano przyszła do niego grupa studentów i prosiła o pokazanie syntezy. Grigorij Iwanowicz osobiście oprowadził ich po całym laboratorium. „Po tym samym korytarzu — pomyślał — szli hurmem, pełni radości życia chłopcy i dziewczęta”.

Zbierowski pokazywał im doświadczenia i mimo woli wspominał siebie — nieśmiałego, jękającego się, w zniszczonym studenckim mundurze — jak z czcią spoglądał na brodate oblicze Lisicyna i jego dostatni surdut! Dawno, jakże dawno to już było! A wiosna była wówczas wczesna, słońce grzało, tak jak latem, przyleciały ptaki, a wieczorem kałuże pokrywały się cienką skorupą lodu, który wesoło chrzęścił pod nogami. Noce były tak gwiazdziste, tak jasne, że żadnemu zapóźnionemu przechodniowi nie chciało się odrywać oczu od nieba. Pamięta, że patrzył wtedy na gwiazdę Alkor. Poszedł obeerzecz spalony dom, w którym mieszkał Lisicyn. A może to nie wtedy, tylko jesienią? Padał śnieg, wiatr wdzierał się w rękawy szynelu... tak to bywa... Tak... A jednak pożyteczna praca nie ginie. „Jak pisał Puszkina — pomyślał Grigorij Iwanowicz. — »Nie zginie wasz bolesny trud«.

I po Lisicynie zniknąłby z pamięci wszelki ślad, gdyby nie jego wynalazek. A trud był to rzeczywiście bolesny. Żandarmi, katorga... tułaczka na obczyźnie... Wspaniała praca: nie dla siebie, lecz dla wszystkich.

Wielkie serce posiadał ten człowiek. Wyprzedził epokę. W nauce to tak, jakby żył w naszych czasach”.

Przed oczami nie migają już Zbierowskiemu czerwone kręgi. Grigorij Iwanowicz potarł dłonią czoło i lekko

kulejąc poszedł korytarzem. Szedł powoli i zaglądał do otwartych drzwi. W tej pracowni przeprowadza się analizy, tutaj pracuje Pimenow, tam znowu siedzi nad mikroskopem pracownik naukowy Jelena Nikołajewna. Profesor minął wszystkie pracownie i skierował się prosto do Szapowałowa.

Piotr Protasowicz zajmował dwa pokoje zapchane stołami i przyrządami. Już w korytarzu słychać było dołatujący stamtąd hałas. Spośród wielu odgłosów wybijał się łoskot pompy elektrycznej.

Zbierowski w milczeniu stanął na progu i obrzucił wzrokiem obydwie pokoje oddzielone od siebie tylko szerokim lukiem.

Ujrzał trzech laborantów, którzy jak ślusarze, w kłódkach zabrudzonych rdzą, z kluczami do nakrętek w rękach, montowali nowy aparat, ustawicznie zaglądając do rysunku. Jeden z nich z triumfem zastukał paznokciem w papier, podczas gdy pozostali dwaj, jak gdyby zawstydzeni, zaczęli starannie zakręcać jakieś nakrętki na żeliwnym cylindrze.

„Zdolna młodzież” — pomyślał Zbierowski i przeniósł wzrok w głąb pokoju. Ujrzał tam szereg przyrządów ustawionych na zsuniętych stołach i poruszających się jak jedna skomplikowana maszyna. Obok stołów stały na podłodze wysokie kolumny z wentylami bezpieczeństwa. Gdzieś czerniły się i szumiały różnymi głosami małe motorki. Nad przyrządami, jak misterna koronka — siatka miedzianych i szklanych rurek, na której, podobne do węzłów, gęsto rozsiane zawory i kurki. Błyszczą miedź i szkło, błyszczą lakier na żelaznych częściach. Zza stołów donosi się wibrujący huk — to na fundamencie pracuje potężna pompa próżniowa. Obok, na ścianie, aż do sufitu — marmurowa tablica z dużą ilością lamp sygnałowych i wyłączników dźwigniowych. Pięciu laborantów, nie tych zajętych ślusarską robotą, lecz innych, w nieskazitelnie białych fartuchach, z naprężoną uwagą wpatrywało się w wskazówki manome-

trów i liczników. Spiesznie wpisywali dane do notesów, dotykali kranów, regulowali. Stali naokoło stołów z przyrządami, a ręce ich poruszały się bezustannie.

Grigorij Iwanowicz przez kilka minut przyglądał się z zachwytem ich pracy.

„Synteza chemiczna — myślał obserwując zwinne, wprawne ręce. — Gdy opowiada się komuś, że zachodzi w obecności katalizatorów bez światła, prawie bez strat energetycznych — nikt nie wierzy. Na przykład, akademik Kryga. Poczekaj, przyjdzie czas, opublikujemy. Przecież to, lichy wie, co za bogactwo! Głosimy erę obfitości. Doskonale to powiedział”.

Spojrzał w ką, gdzie znajdowało się biurko Szapowałowa. Zobaczył jego szerokie i lekko zgarbione plecy. Piotr Protasowicz nachylił się i liczył coś w świetle stojącej lampy, przesuwając palcami suwak logarytmiczny.

Zbierowski znowu spojrzał na przyrządy.

„To, że są skomplikowane, to głupstwo — pomyślał. — Tak zawsze bywa w pracy doświadczalnej. Później się je uprości”.

Myśląc o tym, podszedł do Szapowałowa i zapytał z uśmiechem:

— Co słyhać, Piotr Protasowicz?

— Nic specjalnego — odpowiedział Szapowałow również z uśmiechem i wstał wyprostowując się po wojskowemu. — Nic specjalnego, Grigorij Iwanowicz, liczę.

— A co liczycie?

— Taras Tarasycz podsunął nam jedną myśl... I zaplątaliśmy się... Trzeba teraz znaleźć wyjście z sytuacji. Znowu produkt numer dwa tysiące siedem.

— Ksyloza? — zapytał Grigorij Iwanowicz.

— Oczywiście ksyloza. Spodziewam się cukru bu-raczanego — powinno być pół na pół glukozy i fruktozy, a tu, nie wiadomo skąd, ksyloza... Alosza! — zawołał Szapowałow. — Przynieś ostatnią próbkę.

Jeden z laborantów, dawny pomocnik Piotra Protasowicza, szcęknał wyłącznikiem dźwigniowym, odszedł

od przyrządów, przy których pracował, otworzył szafę pod ścianą i wyjął stamtąd szklany słoik wypełniony białym proszkiem. Było tego około dwa kilogramy. Przystanął przyciskając słoik do piersi.

— Proces kaprysi — powiedział cicho Piotr Protasowicz. — Albo wszystko jest niemal w porządku, albo znowu — proszę! — Wziął od Aloszy słoik i podał go Zbierowskiemu. — Dwadzieścia trzy procent domieszek. Cukier buraczany i licho wie co za uboczne bisacharydy. Już mam powyżej uszu tych izomerów!

Zbierowski postawił słoik na stole i oglądał rozsypa-
ne na dłoni ziarnka proszku. Gdy opuścił głowę, kosmyk śnieżnobiałych włosów opadł mu na pomarszczone czoło.

— Jakie są wahania temperatury? — zapytał.

— W setnych stopnia, a nawet w tysięcznych.

— Może właśnie te tysięczne... — Zbierowski wsy-
pał ziarnka z dłoni z powrotem do słoika — powodują
tworzenie się izomerów?

Szapowałow pomyślał chwilę, spojrzął w milczeniu
na profesora i odpowiedział:

— Nie — i zaczerwienił się z niewiadomego powo-
du. Potem dodał: — Nie, obawiam się, że przyczyna tkwi
zupełnie gdzie indziej.

— Gdzie mianowicie?

— Można zabrać? — zapytał Alosza wyciągając rę-
kę. w kierunku stołu.

— Tak, tak, proszę!

Alosza zabrał słoik i odszedł.

— Skłaniam się do myśli — ciągnął dalej Piotr Pro-
tasowicz — do... do nieprzyjemnej dla mnie myśli. Wido-
cznie niesłusznie upierałem się. Jeszcze latem ostrzegęła
mnie Sofia Pawłowna, że coś jest nie w porządku w struk-
turze katalizatora. Obawiam się, że miała słuszość. A
ja jej nie usłuchałem. Teraz zbieram owoce... podobne
do tego! Jednym słowem, pospieszyłem się i nie przemy-
ślałem we właściwym czasie wszystkiego tak, jak trze-

ba. No, cóż — dodał twardo — do omyłek trzeba się otwarcie przyznawać!

— Na czym właściwie polega omyłka?

— Pozwólcie, Grigorij Iwanowicz, że jutro wam to zreferuję. Chciałbym przedtem sprawdzić i upewnić się.

— Jak chcecie...

Grigorij Iwanowicz zacisnął wargi. Początkowo spoglądał na Szapowałowa z ukosa, zmartwionym a zarazem trochę obrażonym wzrokiem, potem odwrócił się i popatrzył wprost na niego. Wreszcie zbliżył się i położył mu rękę na ramieniu.

— Nie przejmujcie się — rzekł. — Każdemu się to może zdarzyć! Znaleźliście błąd? Przyczynę powstawania tych niepożądanych... izomerów? No i doskonale! Znaleźliście, więc teraz razem go usuniemy.

— To przykre, Grigorij Iwanowicz, nie dotrzymać terminu. I to z własnej winy!

— Przykre? Słusznie, przykre. Czy następstwa omyłki są poważne?

Piotr Protasowicz nie odpowiedział. Stali naprzeciw siebie. Ręka profesora spoczywała na ramieniu byłego ucznia, a niebieskawe, lekko wyblakłe, starcze oczy spoglądały łagodnie i współczująco. Rozumiał widocznie stan wewnętrzny swego ucznia, którego zmarszczone czoło wyglądało się powoli. Nagle, opanowując w sobie uczucie przykrości, Szapowałow uśmiechnął się.

— W najgorszym wypadku — rzekł — stracimy... powiedzmy, półtora miesiąca. Ale mam nadzieję, że uda się to nadrobić. Tak, da się jakoś nadrobić, Grigorij Iwanowicz. Za to nie będzie izomerów. Skończymy z kapryсами procesu!

Zbierowski zdjął rękę z jego ramienia i pomyślał: „Dziwne, ale czy to ja jego uspokajam, czy on mnie?”

Staruszek westchnął w milczeniu. Minęła krótka chwila.

— Widzieliście, ziarna bez chlorofilu otrzymane wczoraj przez Sofię Pawłówną — zmienił temat — zostały

wyprodukowane według recepty z notesu Lisicyna. A jak działają!

— Nasz katalizator jest lepszy. Już sprawdzałem — rzekł Szapowałow i dodał: — Wiecie, że to ciekawe. Wziąłem z pięć gramów u Sofii Pawłowny i badałem według własnej metody, przepuszczając przez ziarna mieszaninę dwutlenku węgla i wodoru. Otrzymałem identyczny wynik jak wtedy z ziarnami Pojarkowa. Powstają kryształy glukozy.

— Znowu zachodzi podobieństwo?

— W tym wypadku — nie podobieństwo, ale jedno i to samo.

Zbierowski zmarszczył czoło, usiadł na krześle i krzyknął niemal z gniewem:

— Proszę! A wy mówicie, że Pojarkow nie był kontynuatorem prac Lisicyna. Jesteście tego pewni?

Piotr Protasowicz uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Dzień pracy drugiej zmiany w laboratorium zbliżał się ku końcowi. W głębi drugiego pokoju dwaj laboranci otworzyli drzwi szafy, zdjęli z półek szklane słoiki i przesypywali znajdujący się w nich biały proszek do zwykłych płóciennych worków. Gdy napełnili kilka worków, zawiązali je sznurkiem, a następnie jeden laborant pomógł drugiemu zarzucić worek na plecy. Laborant z stołów z przyrządami, przeszedł przez pokój i zniknął w korytarzu. Po chwili zjawiał się bez worka i zaraz znowu wyszedł zabierając następny.

Szapowałow popatrzył i skinął w jego stronę.

— Trzydniowa produkcja — rzekł do Zbierowskiego. — Łącznie sto dziesięć kilogramów.

— A co się dzieje u nas w magazynie? — zapytał Grigorij Iwanowicz.

— Zrobiło się bardzo ciasno. Trzeba dokądś wywieźć.

— Chodźmy popatrzeć!

Zamknięte zwykle drzwi na końcu korytarza były teraz na oścież otwarte. Profesor z Piotrem Protasowiczem weszli tam i zatrzymali się. Przed nimi widniało wąskie przejście, oświetlone żarówką. Po prawej i po lewej stronie znajdowały się pod ścianami stosy równo ułożonych, szczelnie wypchanych worków.

— Ta-ak... — rzekł przeciągle Zbierowski oglądając stos worków. — Jednak dużo!

— Najważniejsze, że to ni pies, ni wydra — odpowiedział Piotr Protasowicz. — Skrobia — dotknął worków leżących na prawo — zmieszana z ksylanem i celotriozą. Komu to się przyda? A cukier posiada olbrzymią ilość różnych domieszek, po prostu bukiet...

— Skrobię z celotriozą wezmą na klej. Wasilisa Leontiewna już to uzgodniła.

— Wezmą? Na zdrowie! To rzeczywiście — klej.

Przez chwilę stali w milczeniu. Grigorij Iwanowicz westchnął głośno i popatrzył na swojego byłego ucznia.

— Czy zauważony błąd — zapytał — odnosi się tylko do struktury katalizatora? Czy też wpłynie również na konstrukcję przyrządów?

— Nie, na konstrukcję przyrządów nie powinien wpłynąć.

— Ta-ak... Dobrze! Bardzo dobrze! Wasz ostatni układ aparatów jest bardzo pomysłowy!

— Układ jest udany — uśmiechnął się Szapowalow — ale to nie jest mój pomysł. Opracował go Taras Tarasycz wspólnie z Pimenowem i Jeleną Nikołajewną. Ja pomagałem tylko radami... jakies tam drobnostki.

— To wszystko jedno. Trzeba będzie go jednak zmienić. Układ, a właściwie konstrukcję przyrządów. Wielka szkoda, gdyż spowoduje to znowu stratę czasu. Wydawało się, że konstrukcja była wcale udana...

— Więc dlaczego ją zmieniać?

— Po co tu stoimy? Chodźmy! Wiem, że nie macie czasu. A zmienić trzeba, zaraz wam powiem dlaczego. — Grigorij Iwanowicz przepuścił przed sobą Szapo-

wałowa i wyszedł za nim. — Dniem i nocą — mówił, gdy szli korytarzem — myślę o naszych dziennikach doświadczeń. Sądzę i jestem prawie w dziewięćdziesięciu pięciu procentach pewny, że jeżeli rozczłonkujemy ogólny bieg potoku, to przy syntezie skrobi uwolnimy się od wielu dokuczliwych izomerów. Drobiny zdążą wówczas uformować się w całości, oczywiście w wypadku gdy katalizator będzie w porządku. Spróbujcie tak zrobić. Jestem pewien, że otrzymacie czysty produkt, wolny od domieszek. Jeżeli chcecie, to mogę polecić Tarasowi Tarasowiczowi wykonanie takiego doświadczenia.

Zatrzymali się w korytarzu.

— Nie, dziękuję — rzekł Zbierowski, gdy Szapowałow ujął klamkę, by otworzyć przed nim drzwi. — Pójdę do siebie. Sądzę, że lepiej będzie, jeżeli konstrukcją aparatu zajmie się Taras Tarasowicz. Odciaży was to i będziecie mogli, nie rozpraszać się, pracować nad usunięciem kaprysów katalizatora. Korzystajcie śmielej z recept Li-sicyna. Przyswajajcie sobie jego metodykę i przystosowujcie ją do naszego procesu, wszędzie gdzie to się tylko da.

— Mam niepłonną nadzieję, Grigorij Iwanowicz, że niedługo wszystko u mnie będzie w porządku.

— No, życzę powodzenia! Do jutra. — Zbierowski wyciągnął rękę i przez chwilę trzymał w niej dłoń Szapowałowa. — Wiecie, Piotr Protasowicz — rzekł patrząc w ciemne, skupione oczy swego byłego ucznia. Zauważył zmarszczki na jego czole. — Wiecie... Minie miesiąc... powiedzmy dwanaście miesięcy i — wyobraźcie sobie — przestawimy naszą syntezę na tory przemysłowe... na produkcję masową. Wyobraźcie sobie, jaka przyszłość przed nami. Do tego czasu nasza fabryka skrobi drzewnej... Co? Tania sztuczna żywność! Nie zdarza wam się — Grigorij Iwanowicz przycisnął obie pięści do piersi — że brak wam tchu, gdy pomyślicie o tym? Serce tłucze się w piersi — nie odczuwacie tego?

W Sztokholmie odbywała się trzecia sesja Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju. Przewodniczył wybitny francuski uczonec Joliot-Curie. Na sesji opracowano ogólny plan działania w walce o pokój i uchwalono tekst apelu do uczciwych ludzi wszystkich narodów. „Domagamy się bezwzględnego zakazu broni atomowej, jako oręża napaści wojennej i masowej zagłady ludzi” — brzmi apel. Następnie podkreśla się z ostrą i surową prostotą: „Będziemy uważali za zbrodniarza wojennego rząd, który by pierwszy zastosował broń atomową przeciwko jakiemukolwiek krajowi”*.

Stały Komitet wezwał wszystkich pokój miłujących ludzi do podpisania apelu.

Szapowałow miał ochotę pojechać na sesję do Sztokholmu, ale delegacja radziecka była nieliczna i nie został włączony w poczet delegatów. Śledził więc pracę sesji z wiadomości telegraficznych, a następnie słuchał sprawozdań członków delegacji po ich powrocie do Moskwy.

„Powodzenie walki o pokój — myślał — zależy przede wszystkim od pokojowej polityki Związku Radzieckiego i jego pokojowej działalności. Pokojowej — a więc wrogiej i strasznej dla podżegaczy wojennych. Lecz powodzenie wielkiej sprawy rozstrzyga się również poza naszymi granicami. Rozstrzyga się wolą wielu prostych ludzi, którzy już wiele wycierpieli i dlatego nie chcą ginąć nie wiadomo za co. Im silniej zewrą swoje szeregi — myślał Piotr Protasowicz — tym pewniejsze będzie zwycięstwo pokoju. To jest ważny, bardzo ważny odcinek pracy...”

Ciągnęło go na ten, trudno dostępny dla radzieckiego obywatela, odcinek pracy. Wydawało mu się, że on, Piotr Szapowałow, przydałby się tam, gdzie strajkują dokerzy odmawiający wyładunku statków z bronią, gdzie odbywają się demonstracje na znak protestu przeciwko amerykańskim przygotowaniom wojennym, gdzie prześladują człowieka za samą tylko niechęć do przygotowywanej wojny. Znalazłby ważne słowa i rozsądne dowody, potrafiłby przekonać wahających się i przycią-

gnać na stronę obrońców pokoju nowe zastępy zagranicznych przyjaciół.

Zdarzyło się wkrótce, że Piotra Protasowicza wezwano do Radzieckiego Komitetu Obrońców Pokoju i zapytano, czy nie zgodzi się pojechać jako gość i przedstawiciel Radzieckiego Komitetu do jednego z państw Ameryki Łacińskiej na narodowy Kongres Obrońców Pokoju.

Propozycja była niespodziewana. Myśli Piotra Protasowicza były bardzo dalekie od wydarzeń w krajach Ameryki Łacińskiej. Rzadko nawet myślał o nich. A tu nagle — masz tobie! — taka podróż!

W pierwszej chwili zmieszał się trochę i zapytał:

— A jak tam się jedzie?

— Jak? Zwyczajnie — samolotem. Najlepsza droga przez Londyn, Wyspy Azorskie i Portoryko. To jest stała linia komunikacji lotniczej. Ale trzeba wyjechać pojutrze. Zgadza się? Dajcie paszport, to załatwimy wizy.

Szapowałow wyjął z kieszeni paszport i oczyma wyobraźni ujrzał podobną do jaskrawo wymalowanego płótna, wielką mapę półkul, taką jaka wisiała niegdyś na ścianie w rabfaku. Ocean Atlantycki lśni głębokim błękitem. Punkty pośrodku — to Wyspy Azorskie. Nad równikiem w Południowej Ameryce — Portoryko. Przypomniały mu się książki postępowych pisarzy: Alfreda Warela i Pablo Nerudy. Książki mówiące o ciężkiej pracy południowo-amerykańskich robotników na plantacjach, o ich walce z kapitalistami, o poniżeniu ludzkiej godności...

— Ale ja nie znam hiszpańskiego języka!

— Głupstwo! Pojedziecie we dwójkę z reżyserem filmowym Gonczarowem. On trochę rozumie po hiszpańsku. Zresztą znajdą się tłumacze, więc możecie się nie przejmować. A może chcecie przeczytać otrzymany przez nas list, w którym zapraszają nas na ten Kongres?

Piotr Protasowicz zobaczył list napisany po hiszpańsku na maszynie na długim arkuszu papieru, opatrzony dziesiątkami podpisów. Ostatnie zdanie było napisane dużymi literami z mnóstwem wykrzykników.

— Co to znaczy? — zapytał.

To znaczy „Nasz naród nie chce wojny i nigdy nie będzie walczył przeciw Związkowi Radzieckiemu!”

Minęły dwa dni. Piotr Protasowicz z Gonczarowem, którego poznał dopiero wczoraj, pojechali do Wnukowa i tam wsiedli do samolotu.

Do Londynu dolecieli pomyślnie.

Na lotnisku w Londynie oczekiwał ich urzędnik radzieckiego poselstwa. Przywitał się z nimi i, machnąwszy z wściekłością ręką, opowiedział, że otrzymali telegraficzne zawiadomienie o anulowaniu wiz i cofnięciu zezwolenia na wjazd przez rząd państwa, do którego się udawali. Wizy zostały wydane w Moskwie przez przedstawiciela tegoż państwa. Rząd niby usprawiedliwia się i żałuje, że nie może jakoby inaczej postąpić. W rzeczywistości jednak Widać w tym najwyraźniej łapę amerykańskich dyplomatów.

— Radziecki Komitet Obrońców Pokoju telegraficznie prosił, ażebyśmy zawiadomili was o konieczności powrotu. Nie udała się wasza podróż! To bardzo smutne, ale lepiej wracać stąd, niż lecieć nic nie wskórawszy z powrotem przez ocean. Zresztą nie dostaniecie nawet teraz miejsc w samolocie, ażeby tam polecieć.

Łatwo powiedzieć: „Nic nie wskórawszy”! Czy po to wyjeżdżali z Moskwy? Czyż nie oczekują ich tam za oceanem? Czyż nie chcą usłyszeć pozdrowień, które za ich pośrednictwem przekazał naród radziecki?

— Bzdury! — rzekł Szapowałow. — Głupstwa jakieś! Słuchajcie — zwrócił się do urzędnika poselstwa — czyżby nie można było przewyciężyć tego szaleństwa? Przecież to jest szaleństwo!

Dyplomata odpowiedział gestem: „Cóż można porządzić!”

Stali w trójkę w milczeniu.

Jedną z asfaltowanych ścieżek zbliżała się do nich grupa angielskich funkcjonariuszy policji.

Piotr Protasowicz widział w myślach gorące niebo nad plantacjami, bat w rękach dozorca w białym korkowym hełmie. Garść bobu w kociołku. Czyjeś brunatne, zgięte. plecy...

Gonczarow zacisnął zęby, tak że pod skórą policzków widać było poruszające się żuchwy, i stał wyłamując sobie ze złości palce.

— W najlepszym wypadku — rzekł urzędnik poselstwa — pozwolą wam dzień lub dwa pozostać tu w Londynie dla obejrzenia miasta. Niech jeden z was pójdzie ze mną, chociażby wy — dotknął rękawa Gonczarowa. — Pogadamy z policjantami... Jak lecieliście, nie bardzo kołysało?

Szapowałow pozostał sam. Ujrzał lądujący niedaleko samolot, z którego wysiadło kilku amerykańskich oficerów. Władczo postukując obcasami, skierowali się po asfaltowej drodze do budynków dworca lotniczego.

— Idziemy telefonować! — krzyknął z daleka Gonczarow.

Gonczarow i urzędnik poselstwa odeszli od angielskich policjantów i skierowali się w tę samą stronę, co Amerykanie. Policjanci stali w zwartej grupie, rozmawiali o czymś i przyglądali się Szapowałowowi.

„Jakie to przykre!” — pomyślał Szapowałow. Westchnął, odwrócił się od funkcjonariuszy policyjnych i zaczął spacerować po asfaltowej alei, wysadzonej strzyżonymi drzewami.

„Jechaliśmy, ażeby przekazać braterskie słowa... A ci tchórze bali się nas wpuścić!”

Wśród umundurowanych policjantów znajdował się człowiek w cywilnym ubraniu. Kiwnął pozostałym głową — widocznie na znak zgody — i wolnym krokiem zbliżył się do Piotra Protasowicza. Dotknął ręką kapelusza i rzekł po rosyjsku bez śladu obcego akcentu:

— Jestem tłumaczem. Proszono mnie, abym wam powiedział, że ministerstwo przypuszczalnie nie zezwoli na wasz pobyt w mieście. Ale jest jeszcze trochę

czasu do powrotnego samolotu i jeżeli macie ochotę zjeść obiad...

Tuż obok nich zahuczały motory i zagłuszyły głos tłumacza. Wielki samolot pasażerski, jeden z wielu znajdujących się na lotnisku, ciężko potoczył się po ziemi i coraz szybciej oddalając się, niepostrzeżenie oderwał się od niej. Wkrótce znajdował się już nad dachami budynków i mknął dokądś na tle szarych obłoków. „Może na Wyspy Azorskie, do Portoryko?” — pomyślał Piotr Protasowicz i przerzucił wzrok na Anglika.

— Gdzie nauczyliście się po rosyjsku? — zapytał.

Na twarzy Anglika utworzyły się głębokie fałdy, sięgające od nosa do podbródka. Bezbarwne oczy patrzyły nieruchomo, z utajoną ciekawością.

— Jestem Rosjaninem — burknął niespodziewanie. — Wychowałem się w Rosji. — I dodał już chętniej, szybko i prawie przyjaźnie: — Ojciec mój wyemigrował tutaj w osiemnastym roku i przyjęliśmy angielskie obywatelstwo. Panie... wybaczenie, nie znam pańskiego nazwiska... przepraszam za natarczywość — ciągnął tłumacz cichym, monotonnym głosem, spiesząc się z niewiadomego powodu i zerkając w stronę funkcjonariuszy policji stojących w odległości pięćdziesięciu kroków — panie, jesteście rodakami... spotkaliśmy się tu... mówią, że jesteście uczonym... prawda?

— Mam z tym coś niecoś wspólnego.

— Czy zgodzicie się — pozostanie to naturalnie między nami, tylko na mój własny użytek — odpowiedzieć na kilka pytań? Tak mnie interesuje wszystko, co się dzieje w Rosji!

— To zależy od pytań.

Fałdy na policzkach tłumacza poruszyły się.

Piotr Protasowicz przypomniał sobie, że na „Magdalenie” był kiedyś inżynier Dubiago, a dyrektorem kopalń był Przebyszewski. W osiemnastym roku uciekli z rodzinami za granicę. „Właśnie taki może być na przykład synem Dubiagi lub Przebyszewskiego”.

„A niech go! — zachnął się w duchu Szapowałow. I znowu zalała go fala złości: — Cofnęli wizy, pomyśleć tylko co za świństwo...”

Uwagę Piotra Protasowicza zwrócił niemłody już robotnik w białym fartuchu. Był to stróż, który szedł z wiadrem w rękę po sąsiedniej, równoległej alei, zatrzymywał się przy każdej śmietniczce, wywracał ją przesympując niedopałki do wiadra, obmiatał śmietniczkę szczoteczką i szedł dalej.

— Weźmy na przykład naukę — mówił tymczasem tłumacz. — Czy to prawda, że całą nauką kieruje u was sztab generalny, a cel jest jeden — bomba atomowa, podboje i temu podobne?

— Nie, to nieprawda — odpowiedział Szapowałow. — W Związku Radzieckim nauka służy celom pokojowym. Nie zapominamy oczywiście o niebezpieczeństwie napadu na nas i potrafimy napad ten odeprzeć, ale w pierwszym rzędzie...

— O, oczywiście, jasne, jasne! Weźmy jednak poszczególne wypadki. Powiedzmy, wy. — Tłumacz patrzył na Szapowałowa bezbarwnymi oczyma i mówił dalej ostrożnie i przymilnie: — Niech się pan nie gniewa... No, rodak spotkał się z rodakiem, jak to mówią — tete-a-tete *... Myślę, że wy, na przykład, na pewno zajmujecie się sprawami wojskowymi?

— Ja? — uśmiechnął się Szapowałow. Nawet uczucie złości minęło na chwilę: „Zabawne! Patrzcie go, czego szuka!” — Dobrze, na przykład ja. Zajmuję się — rzekł przekonywająco — otrzymywaniem produktów żywnościowych na drodze chemicznej. Ażeby ludzie pracy mieli tyle chleba, ile piasku w morzu... Ażeby wszystko było niebywale tanie, aby obfitość...

— Co wy mówicie! Czy to jest możliwe?

— W państwie radzieckim jest możliwe.

* *tete a tete* — (franc.) czyt.: *tet a tet* — znaczy tyle, co „twarzą w twarz”.

- A z jakiego surowca produkujecie tę żywność?
- Tego nie musicie wiedzieć.
- Ta-ak...
- Właśnie tak.
- Jak piasku w morzu, powiedzieliście?
- Powiedziałem.

Piotr Protasowicz wsunął ręce w kieszenie, odwrócił się i zaczął znowu obserwować stróża. Starzec w fartuchu szedł sąsiednią aleją i zbliżał się, wywracając nad wiadrem jedną śmietniczkę po drugiej.

Tłumacz uniósł kapelusz.

- Pozwólcie, że pożegniam was na razie!

Wkrótce głos jego rozległ się znowu. Rozmowa prowadzona była po angielsku. Z daleka słyhać było urywki zdań.

„Też mi rodak...” — pomyślał Piotr Protasowicz z niechęcią.

„Rodak” stał pomiędzy angielskimi policjantami. Widocznie powtarzał treść rozmowy lub usprawiedliwiał się. Być może, że rozmawiając we własnym imieniu z cudzoziemcem, naruszył przepisy i teraz musiał się tłumaczyć. Mówiąc spoglądał w stronę Piotra Protasowicza.

Tymczasem stary robotnik z wiadrem znajdował się już w odległości kilku kroków od policjantów, pomiędzy nimi a Szapowałowem.

Ręka jego ze szczoteczką wzniesiona, ażeby szybkim okrągłym ruchem obmieść śmietniczkę, zawisła w powietrzu. Staruszek przysłuchiwał się, wyciągając szyję. Wydawało się, że nie chce uronić ani jednego słowa.

— Tyle, ile piasku na brzegach oceanu — mówił po angielsku tłumacz.

- O — o! — wykrzyknął jeden z policjantów.

Dozorca odwrócił głowę i spotkał się ze wzrokiem cudzoziemca. Oczy starego Jamesa były okrągłe, uważne i spoglądały z pełnym szacunku zdziwieniem. Przełożył szczotkę do lewej ręki, a prawą zdjął czapkę z głowy.

Przestępując z nogi na nogę stał zwrócony twarzą do przybysza i nie spuszczał z niego wzroku, ukłonił się nisko, prawie do pasa. Piotr Protasowicz w odpowiedzi skinął mu głową.

...Po upływie dwóch, trzech minut stary James niósł napełnione śmieciami wiadro. Niósł i myślał — pewnie już setny raz dzisiaj — o swojej wnuczce, maleńkiej, chorowitej Kate. Chudnie z dnia na dzień, a on nie ma pieniędzy, aby kupować dla niej śmietankę i masło.

„Trzy szylingi i sześć pensów — obliczał coś w myśli. — Jeszcze jeden szyling i dwa pensy. Śmiesznie rozumuje mister Blackwood. A w Rosji na pewno każdy, jeżeli chce, to może kupować śmietankę i masło choćby codziennie na śniadanie. Chleba u nich będzie tyle, ile piasku na wybrzeżu oceanu. Nieprawdę mówił mister Blackwood. Czy chleb — to bomby atomowe i karabiny maszynowe? Sam widzisz, że oni mają nie tylko bomby atomowe! Mają zdrowy rozsądek i chleb stawiają na pierwszym miejscu”.

James westchnął, dotknął obwisłych, siwych, pożółkłych od tytoniu wąsów i spojrzał na niebo. Strzępy obłoków mknęły po bezmiarze błękitu. Wiał świeży, wschodni wiatr.

„Trzeba było podejść do niego — pomyślał staruszek o Szapowałowie — i powiedzieć: Sir! Gdybyście zwiedzili ruiny domów tam, gdzie kiedyś znajdowała się City, najbardziej ruchliwa dzielnica Londynu — ruin tych nikt nie odbudowuje — zrozumielibyście wtedy, co się dzieje w sercu starego Jamesa, którego syn zginął od faszystowskiej bomby w pierwszym roku wojny i któremu pozostała jedynie chora na gruźlicę wnuczka. Zrozumielibyście wtedy, co się dzieje w sercu... trzeba to opowiedzieć ludziom w Rosji”.

...Strzępy obłoków mknęły po bezmiarze błękitu. Od kontynentu wiał świeży wschodni wiatr.

Ten porywisty, wiosennie świeży wiatr długo nie zmieniał kierunku. Przeszła jedna niedziela, potem druga.

Pewnego razu wieczorem do małego pokoju na poddaszu wszedł nieznajomy człowiek. Kate siedziała na podłodze i bawiła się, usiłując zrobić ze starej szmaty coś podobnego do lalki. Dziadek James uniósł się ze stołka. Na drugim stołku leżały przed nim dziurawe dziecięce buciczki, kawałki skóry, dratwa, drewniane szewskie gwoździe, szydło, ostry nóż i młotek.

— Dzień dobry! — rzekł przybyły kłaniając się. — Przyszedłem do was w pewnej sprawie. Nie domyślacie się pewnie, co za ważna sprawa sprowadziła mnie do was?

Nie, James oczywiście nie domyślał się.

— Jestem z Brytyjskiego Komitetu Obrońców Pokoju.

O tak, James słyszał o Komitecie! Staruszek zakrzętnął się, zrzucił na ziemię buciczki wnuczki oraz swoje szewskie narzędzia i podsunął gościowi zwolniony stółek.

Gość opowiedział krótko o bombach atomowych, o niegodnej polityce rządu brytyjskiego, o amerykańskich przygotowaniach do wojny i zapytał:

— Czy zgadzacie się złożyć swój podpis pod apelem? Wszyscy uczciwi ludzie podpisują.

Dlaczego miałby się nie zgodzić! Sprawa jest jasna! Staruszek ujął zeszywniałymi palcami podane mu wieczne pióro i, rozkładając szeroko łokcie, starannie wypisał swoje nazwisko na arkuszu papieru. Widniał już tam cały szereg podpisów.

— A dużo ludzi w Londynie — zapytał — nie chce podpisać tego apelu?

— Zdarzają się — odpowiedział gość.

— Na pewno tacy, jak mister Blackwood — westchnął James.

Kate stała przy stole, przyglądała się i przysłuchiwała. Jej dziadunio szarpnął wąsy, spojrział na nieznajomego i ze smutkiem pokiwał głową:

— Tak, tak, tacy jak mister Blackwood, który zebrał wszystkich robotników mieszkających w tej dzielnicy i przemawiał do nas. Z jego słów wynika, że Rosja — Związek Radziecki — rzekomo lada dzień napadnie na nasze wyspy. Przepadnie wtedy stara, dobra Anglia! Więc powinniśmy ich uprzedzić... Tylko, kto uwierzy mister Blackwoodowi? Nie spieszy się pan? — zapytał staruszek.

— Nie bardzo pan się spieszy? Chce pan, to panu coś opowiem.

James wydobyl z kieszeni fajkę i zaczął napychać ją tytoniem, Następnie opowiadał zmiatając ze stołu rozsypane okruchy tytoniu: na lotnisku był w przejeździe pasażer ze Związku Radzieckiego. Policjanci mówili o nim, że pracuje naukowo nad tym, aby każdy pracujący miał dostateczną ilość różnorodnego pożywienia. Chleba, na przykład, będzie tyle, ile piasku na brzegu morza

— Idź i bierz, ile dusza zapragnie. I to ma być ta superbomba? Jaka piękną pracą zajęty jest ten człowiek!

— Stalin — zakończył James szeptem — daje mu pieniądze na taką pracę.

Na pewno dym z fajki dostał mu się do oczu, gdyż napłynęły łzami.

Wstając ze stołka i żegnając się z gościem, staruszek przemówił zupełnie cicho, jak gdyby niepewnie:

— Czy nie mogę... sir, powiedzcie... czym potrafię przysłużyć się Komitetowi Obrońców Pokoju? Nie jestem znowu taki zgrzybiały, chyba jeszcze...

Gość zatrzymał się gwałtownie i zmrużył oczy. Następnie podszedł do staruszka, położył mu rękę na ramieniu i uśmiechnął się jasnym, dobrym uśmiechem.

— Chcecie służyć wielkiej sprawie? — zapytał. — All right, stary przyjacielu! Widzicie, ilu nas jest? Chodźcie, będziemy razem zbierać podpisy.

„Dziesięć, dwanaście miesięcy — mówił Grigorij Iwanowicz — i przekształcenie celulozy według naszego schematu oraz syntezę węglowodanów przestawi się na tory przemysłowe". Do zakończenia pracy trzeba było jednak więcej niż rok.

Zahuczały armaty i nastąpiły wydarzenia w Korei, przynosząc wstyd faszystowskim władzom Ameryki. Znowu krew połała się strumieniami. Nowa burza zawisła nad światem. W walce przeciwko wojnie okrzepły postępowe siły narodów. W walce tej brał udział każdy uczciwy człowiek. Brał w niej udział również i profesor Zbierowski.

Czas mijał niepostrzeżenie. Profesorowi wydawało się, że na dworze jest jeszcze lato, a tymczasem była już zima. To znów rozpoczął jakieś doświadczenia zimą, a gdy pewnego dnia podszedł do okna — na drzewach zieleniły się już liście.

Jednak każdy następny rok nie był podobny do poprzedniego. Liście zielenią się obecnie również i w młodych lasach nadwołżańskich, gdzie do niedawna szeleścił tylko suchy wschodni wiatr w wypalonym stepie. Tam gdzie wczoraj jeszcze była bezwodna pustynia, dzisiaj otwierają się śluzy obfitujących w wodę kanałów? gdzie w ciągu wieków spokojnie płynęły potężne rzeki, obecnie wznoszą się tamy największych na świecie elektrowni.

Praca Zbierowskiego posuwała się naprzód powoli, lecz pomyślnie.

Zbliżał się już do końca montaż drugiej fabryki skrobi drzewnej, znacznie potężniejszej niż niedawno puszczona w ruch pierwsza. Druga fabryka będzie produkowała oprócz skrobi również cukier rafinowany, otrzymywany z włókna drzewnego.

Do laboratorium niejednokrotnie przyjeżdżał przewodniczący Akademii Nauk i przedstawiciel KC Partii.

Nie brakowało niczego. Nawet budynek laboratorium jakoś niepostrzeżenie się powiększył. Gdy zrobiło się ciasno, nadbudowano od razu dalsze piętro.

Nastał wreszcie uroczysty dzień, w którym wyznaczona komisja, składająca się z uczonych różnych specjalności, miała zapoznać się z jednym z największych wynalazków, zbadać go wszechstronnie i donieść rządowi radzieckiemu, że masowa synteza węglowodanów jest już możliwa.

Grigorij Iwanowicz oczekiwał gości w laboratorium. Był oczywiście podniecony.

— Przygotujcie, proszę, przemówienie — powiedział do swego pomocnika Piotra Protasowicza, który otrzymał niedawno stopień doktora. — Ja biorę na siebie wszystko pozostałe. Proszę was, ażeby przemówienie było takie — Zbierowski zrobił znaczący ruch wzniesionymi w górę palcami — efektowne i mocne! I nie zapomnijcie, proszę, o historii wynalazku.

Szapowałow udał się do gabinetu, ażeby przygotować przemówienie, a Grigorij Iwanowicz w rozpiętym fartuchu, którego poły rozwiewały się tak, jak dawniej i utykając, jak zwykle, lecz podniecony, uśmiechnięty i rozmowny, chodził nieustannie po korytarzach i pracowniach. Szybko i młodzieńczo wbiegał z piętra na piętro, wszędzie zaglądał, wszędzie zaprowadzał porządek. Wszedł nawet na strych, gdzie nigdy przedtem nie bywał.

— Co to jest? — zapytał.

— Niepotrzebne części starych przyrządów — odpowiedział kierownik gospodarczy.

— Ta-ak... To ja was poproszę, żeby przykryć to starannie brezencikiem, ażeby porządnie wyglądało. Tak nie należy zostawiać, wydajcie zarządzenie... Trzeba, ażeby wszystko błyszczało!

— Tak jest! — odpowiedział kierownik gospodarczy i wychylając się przez poręcz schodów spojrzął w dół.

Na dole robotnicy wnosili krzesła; z korytarza na lewo pośpiesznie przygotowywano salę do posiedzenia. Mnóstwo krzątaniny.

„A tutaj — pomyślał — jeszcze rupiecie na strychu... Ale co ma strych z tym wspólnego?”

Schodząc po schodach, Zbierowski dotknął ręką nieskazitelnie czystego parapetu: czy nie jest zakurzony?

A tymczasem kończył się krótki kwietniowy dzień i słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Ukośne promienie ześliznęły się z parapetu i jaskrawymi smugami rozciągnęły się na ścianie.

Takie same smugi światła utworzyły się na ścianie wagonu jednego z pędzących w kierunku stolicy ekspresów motorowych, znajdującego się w odległości około dwustu kilometrów od Moskwy.

Tęczowy odbłask szlifowanego brzegu szyby padł na twarz Chochriakowa. Aleksandr Siemionowicz jechał do Moskwy na zaproszenie ministra przemysłu węglowego.

Minister wezwał kierowników przodujących kopalń, a Aleksandr Siemionowicz był dyrektorem sławnej kopalni „Siódma-bis”.

Kopalnia ta słusznie stała się obecnie dumą całego Zagłębia Donieckiego. Załoga „Siódmej-bis” wykonała na długo przed terminem plan drugiej powojennej pięcioletki i obecnie wykonuje już plan trzeciej pięcioletki.

Na „Siódmej-bis” osiągnięto niezwykłą wprost wydajność pracy. W kopalni stosuje się najbardziej skomplikowane, najdoskonalsze urządzenia. Pracuje tam niewielu górników, lecz wszyscy posiadają wykształcenie techniczne. Każdy tylko obsługuje grupę maszyn. Nie ma tam nawet drewnianych stemplowań. Tam gdzie umocowywano dawniej ręcznie dębowe stemple, kroczą teraz pod ziemią stalowe nogi automatycznych urządzeń umacniających. Wygodnie i bezpiecznie. Po przenośniku węgiel płynie niekończącym się potokiem. Ludzie z innych kopalń przyjeżdżają popatrzeć, jak zorganizowano

pracę na „Siódmej-bis”, nauczyć się i w podobny sposób zorganizować pracę u siebie.

Chochriakow siedział na kanapie z książką na kolanach i od czasu do czasu spoglądał przez lustrzane szyby. Siedział i myślał o przeczytanej książce, którą przysłano mu do recenzji. W książce podane były warunki, w jakich zgazowywanie warstw węgla pod ziemią jest korzystne lub niekorzystne. „Na przykład — rozmyślał — »Siódma-bis« daje węgiel bogaty w koks i potrzebny zakładom metalurgicznym. Zrozumiałe, że wydobywamy go na powierzchnię. Autor słusznie twierdzi, że takiego węgla nie należy zgazowywać. To nie jest zwykły opał... A za wschodnim skrzydłem kopalni — przypomniał sobie Chochriakow — tam gdzie zresztą był kiedyś doświadczalny odcininek zgazowywania, znajdują się cienkie pokłady węgla. Wydobywanie go jest niewygodne i drogie, a sam węgiel, ze względu na swój skład, nie przedstawia wartości ani dla metalurgii, ani dla przemysłu chemicznego. Tutaj więc — to samo wykazuje książka — istnieją wszelkie warunki, ażeby spalać węgiel na miejscu i otrzymywać z otworów wiertniczych gaz opałowy. Na takich właśnie pokładach — pomyślał — rozwija się obecnie podziemne zgazowywanie. Problem, który przestał być problemem...

Mądra książka, nadaje się dla studentów" — zawyrokował Aleksandr Siemionowicz i z roztargnieniem spojrział w okno.

Minęli już Tułę, obecnie mijali Sierpuchów. Ekspres, nie zatrzymując się, pędził od Kurska do Moskwy. Sierpuchów, jak gdyby przefrunął obok i znikł.

Wagon miękko kołysał. Koła postukiwały ledwo dosłyszalnie. Za oknem migały pola, ogrody i osiedla. Gdzieś niedaleko paliły się latarnie. Na niebie — złotawy brzeg obłoku, cienkie różki młodego księżyca i wieczorna gwiazda — Wenus.

— Nie macie ochoty włączyć radia? Nadają turniej szachowy — rzekł konduktor zaglądając do przedziału.

— Nie, dziękuję — odpowiedział Chochriakow. Popatrzył wokoło i ujrzał, że zapada już zmierzch.

Coraz częściej mijali oświetlone gmachy fabryk. Niebo było wiosennie ciemne i gwiaździste. Przed nimi — zbliżająca się luna niezliczonych świateł. Coraz ich więcej migąło za oknami wagonu. Przesuwały się wysokie, wielopiętrowe domy. I wreszcie — Dworzec Kurski. Moskwa. Pociąg zatrzymał się łagodnie.

Poza naradą u ministra — Chochriakow miał do załatwienia w Moskwie mnóstwo własnych spraw, miał też mnóstwo planów. Po pierwsze, chciał obejrzeć najnowsze eksponaty w Muzeum Politechnicznym i posłuchać nowej opery w Teatrze Wielkim. W ciągu najbliższych dni uda mu się pójść wszędzie. Po drugie, oczekuje go spotkanie z Osadczym, z którym nie widział się bardzo dawno. Zaprzyjaźnili się ze sobą jeszcze wtedy, gdy budowali razem „Siódmą-bis”. Teraz rzadko piszą do siebie. Dwa tygodnie temu przyszedł list, w którym Nikołaj Fiedotowicz Osadczyj wspomniał mimochodem, że wybiera się do stolicy. Właśnie wtedy Chochriaków otrzymał wezwanie ministra i zdecydował się również udać do Moskwy. Wysłał więc do Osadczego telegram: „Spotkajmy się”. A po trzecie, czyż można być w Moskwie i nie zobaczyć się z Szapowałowem, dawnym wychowankiem Pietką? Obecnie jest doktorem, laureatem nagrody stalinowskiej! I znowu pracuje nad czymś nadzwyczajnym, nowym, niezwykłym.

Aleksandr Siemionowicz, z lekką walizką w ręku, wyszedł na plac i podszedł do postoju taksówek. Poprosił szofera, ażeby odwiózł go do hotelu na Kalanczewce przy Dworcu Kazańskim. Hotel był nowy, wielki, przeszło dwudziestopiętrowy. Ten właśnie hotel podał Osadcemu jako miejsce spotkania.

W hotelu zapytali: „Osadczyj? — i zajrzeli do kartoteki. — Tak, jest tu taki. Niedawno przyjechał. Wam także potrzebny jest pokój? Siadajcie, proszę, zaraz przygotowujemy, chwileczkę!”

Usiadł w fotelu. Zauważył, że w głębi hallu chodzi kilka wind. Co chwilę rozlega się trzask drzwi i z windy wychodzą ludzie. Oto znowu otworzyły się drzwi i ukazał się niemłody już, ogolony człowiek w brązowym płaszczu i filcowym kapeluszu. Spod kapelusza widoczne były siwe włosy, ale oczy błyszcząły jak u młodzieńca... „Tak, to jest na pewno Nikołaj Fiedotowicz!”

Chochriakow rozpromienił się, wstał i zrobił kilka kroków po miękkim dywanie. Zdjął rękawiczkę i wyciągnął szeroką dłoń:

— Witajcie, drogi towarzyszu Osadczyj! A więc narzecie!... — Osadczyj zatrzymał się, mrużąc oczy.

— Gołąbku — wykrzyknął — Aleksandr Siemionowicz!

Obydwaj śmieli się radośnie, mówili i przerywali sobie nawzajem.

Po upływie pół godziny wyszli z hotelu. Jeden był w płaszczu, a drugi — w czarnym górniczym szynelu ze złotymi młoteczkami i gwiazdkami na naszywkach. Wiadac od razu, że dyrektor kopalni pierwszego stopnia.

— Pójdziemy razem — namawiał Osadczyj.

— Nie wypada — odpowiedział Chochriakow — nie znam tu nikogo. Ty idź, a ja cię tylko odprowadzę.

— Dziwak z ciebie, człowieku! Mówię ci, że to mój stary towarzysz. Znam go jeszcze z czasów, kiedy był nieśmiałym studentem. Zrozum, jaką nowinę mu przyniesiemy! Wstrząsająca!

— Ale on jednak jest profesorem Zbierowskim, uczonym o sławnym nazwisku. Nie mogę zjawić się tam ni z tego ni z owego. Co innego — ty. Tak, ty idź, a ja pójdę lepiej do swego wychowanka. Wierz mi, że on również zainteresuje się bardzo tym, co mu powiem.

Nawiasem mówiąc, Aleksandr Siemionowicz często słyszał o Zbierowskim od Szapowałowa. Widział jego fotografię, którą niedawno zamieszczono w gazecie obok Piotra, gdy otrzymali równocześnie nagrody stalinowskie za skrobię i cukier z drewna.

Za każdym razem czytając lub słysząc nazwisko Zbierowskiego Chochriakow marszczył czoło. Leciutko, ledwo dostrzegalnie, ale z widocznym niepokojem. Teraz także zmarszczył je. Wydawało mu się — nie mógł sobie tego dokładnie przypomnieć — że kiedyś, wiele lat temu znał jakiegoś Zbierowskiego.

„Sądząc z podobizny — to zupełnie nieznamy starszek. Zbierowski... A właściwie, czy mało jest ludzi o tych samych nazwiskach? Ale Pietka zainteresuje się... Lisicyń to źródło jego pracy! Jego poprzednik!”

— Nie upieraj się — rzekł zdecydowanie Osadczy i wziął Chochriakowa pod rękę.

Przystanęli zagradzając drogę na chodniku tak, że przechodnie potrącali ich albo schodzili na jezdnię.

— Mówię ci, chodźmy do Grigorija! Piotra Protasowicza także wezwiemy. Zobaczysz, jak przyleci. Niech tylko szepnę pół słowa. — Osadczy z chytrym uśmiechem dotknął piersi w miejscu, gdzie znajduje się wewnętrzna kieszeń płaszcza. — Można — dorzucił — zadzwonić do niego. Przyjedzie natychmiast. Od razu obydwoh oszołomimy nowinami. Na fotografii — znowu dotknął płaszcza — Lisicyń jak żywy. Zresztą w ogóle... Zwłaszcza oczy są podobne! Któż mógł pomyśleć, że sprawa przyjmie taki obrót? No, chodźmy. Po co się sprzeczać?... O, tam trolejbus!

Grigorija Iwanowicza nie było w domu.

Zza drzwi wyjrzała jasnowłosa dziewczynka w rogowych okularach. Nie poznając Osadczygo, którego dawno nie widziała, rzekła niezbyt uprzejmie:

— Tatusz będzie dzisiaj zajęty do wieczora. Prosił, żeby nawet telefonicznie... Jeżeli jest jakaś sprawa do niego, to proszę jutro.

— Ta-ak — powiedział przeciągle Nikołaj Fiedotowicz. — Aha! Więc jutro.

— Ojciec prosił, jutro — rzekła dziewczynka i zamknęła drzwi.

Chochriakow od razu ożywił się i zaczął popychać swojego współtowarzysza ku wyjściu.

— Do Pietki — mówił — do Pietki chyba pójdziemy! Lecz również i Szapowałowa nie było w domu. Gości przyjęła Kławdia Nikiticzna. Gościnnie usadowiła ich na kanapie i zaczęła częstować cukierkami. Na stole stało żelazko elektryczne i leżała rozłożona suknia. Kławdia sprzątnęła to wszystko i odniosła do drugiego pokoju. Zadawała Chochriakowowi szereg pytań na temat Donbasu, wreszcie zapytała:

— Czy dysponujecie czasem?

— Mam być jutro u ministra o dwunastej w południe — odpowiedział Aleksandr Siemionowicz.

— A więc dzisiaj jesteście wolni? To wspaniale!

— Dlaczego „wspaniale”?

— Dzisiaj będzie w laboratorium coś niezwykłego. Jestem także zaproszona. Więc chcę wam zaproponować, żebyśmy poszli we trójkę. Będą demonstrować swoją syntezę. Piotr ze Zbierowskim. Przed akademikami.

Aleksandr Siemionowicz spojrział na Osadczego. Ten szybko kiwnął głową i uśmiechnął się znacząco, jak gdyby chciał powiedzieć: „O-o, ale im zrobimy niespodziankę! Aha, jak na zawołanie! Pójdziemy, naturalnie pójdziemy i to czym prędzej!”

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu — rzekła Kławdia Nikiticzna — to zadzwonię do Pietki i uprzedzę go, ażeby przygotowali przepustkę. U nich bardzo tego przestrzegają — zaśmiała się już w sąsiednim pokoju — pod tym względem jest u nich bardzo surowo, pilnują ich po prostu jak skarbu. Musimy się pospieszyć. Czasu pozostało niewiele.

Jednak nie udało jej się szybko być gotową do wyjścia. Znowu chwyciła żelazko — trzeba było skończyć

prasowanie sukni — a w przedpokoju dzwonek za dzwonkiem. Najpierw przyszła matka jednej uczennicy i ze szczegółami opowiedziała, jak jej córka zwichnęła sobie nogę na boisku sportowym i że z tego powodu nie będzie mogła przez kilka tygodni uczęszczać do szkoły. „Czy nie można by — pytała — zorganizować dla niej lekcji w domu? Byłoby przykro, gdyby dziewczynka pozostała w tyle za swoimi koleżankami”. „Nie pozostanie — uspokoiła ją Kławdia Nikiticzna. — Niech spokojnie poleży w łóżku. Nauczyciele będą po kolei ją odwiedzać. W takich wypadkach zawsze się tak robi”.

Zaledwie gospodyni wyprowadziła gościa, gdy znowu w przedpokoju rozległ się dzwonek. To przyniesiono z księgarni zamówione książki. Znowu dzwonek — pytają, jakie skierowania na wczasy są potrzebne jej i Piotrowi Protasowiczowi. Potem zadzwonił telefon! Przypominali, że jutro odbędzie się ocena nowego podręcznika na posiedzeniu sekcji naukowej w Instytucie Pedagogicznym i niezbędna jest jej obecność.

Gdy wróciła do prasowania, okazało się, że żelazko było wyłączone i ostygło. A suknia była zmięta i nie można pójść w nieprasowanej. A może, żeby było prędzej, nie przebierać się? Albo wyjąć z szafy inną suknię?

Krótko mówiąc, do laboratorium przyjechali za późno.

Obydwie sale, w których znajdowały się duże urządzenia do syntezy, mieściły się na drugim piętrze. Gdy Chochriakow z Osadczym i Kławdią Nikiticzną tam wchodzili, naprzeciw im wyszedł gwarny tłum ludzi. Na korytarz wysypało się około sto osób.

Wyszedł również Grigorij Iwanowicz otoczony grupą zapewne najznakomitszych dzisiejszych gości.

Grigorij Iwanowicz promieniał. Wyczuwało się, że jest szczęśliwy. Mówił z podnieceniem, żywo gestykulując. Nagle ujrzał przed sobą Osadczego i klasnął w dłonie:

— Nikołaj, i ty też przyszedłeś? Dziękuję ci! Dziękuję!

Nawet nie zastanowił się, w jaki sposób mógł się tu znaleźć jego stary przyjaciel. Jak gdyby Nikołaj nie mieszkał na Syberii, lecz gdzieś w pobliżu, w Moskwie. Bo czyż to nie jest zwykły porządek rzeczy, że na taką uroczystość. przyjaciele przychodzą, aby winszować?

— Wybacz, mój drogi, i poczekaj chwilę... Już mi się dzisiaj — zaśmiał się i przesunął dłonią po siwych włosach — w głowie kręci. Widzisz tych wszystkich? To z akademii. Szkoda, że nie byłeś na pokazie syntezy!... Sofia Pawłowna — zawołał oglądając się — proszę was, zademonstrujcie jeszcze raz — Nikołaj Fiedotowicz spóźnił się! Prędziutko, raz dwa, zanim się zbierzemy!

Zbierowski trącił po przyjacielsku Osadczego i pobiegł z uśmiechem, by dogonić idących po schodach.

Wszyscy odeszli. Zostało tylko ich czworo: Chochriakow, Kławdia Nikiticzna, Nikołaj Fiedotowicz i nieznamna kobieta z upiętymi, ciężkimi, jasnymi warkoczami.

— No, cóż — powiedziała kobieta. — Obejrzymy chociaż jedno. Na przykład syntezę skrobi. Proszę — zaprosiła wskazując najbliższe drzwi.

Goście poszli za nią. Chochriakow przestąpił próg i rozczarował się trochę. Z listu Szapowałowa wyobrażał sobie szklane, fantastycznie skomplikowane aparaty. A tu nic nie ma fantastycznego. Wygląda jak zwykły oddział zakładów chemicznych.

Ujrzał obszerną salę, oświetloną jasnymi lampami. Sala była wysoka „dwuświatlna”. Pośrodku — około dzieśięć prostopadle ustawionych cylindrów wykonanych, najprawdopodobniej, z aluminium. Wysokość każdego z nich znacznie przekraczała wzrost człowieka. Pomiędzy nimi prowadziły przewody rurowe biegnące przez całą salę. Jedne rury były grube, inne — cieńsze. Grube rury połączone były z wentylatorami, cienkie — z pompami. Wszędzie widniały tarcze przyrządów pomiarowych. Wentylatory i pompy posiadały niewielkie, zwykłe silniki

elektryczne. Nieco dalej — dwa zbiorniki gazowe. Ażurowe stalowe kratownice podtrzymywały duży zbiornik z umieszczonym na dnie mechanizmem rozładowniczym.

Na ziemi pod zbiornikiem umieszczony był lekki przenośnik taśmowy.

— I tutaj przeprowadza się syntezę? — zapytał basem Aleksandr Siemionowicz.

— Widzicie urządzenie do syntezy skrobi — odpowiedziała Sofia Pawłowna. — To już jest urządzenie na skalę przemysłową.

Nacisnęła kilka wyłączników, lekko zahuczały wentylatory i zaczęły pracować pompy. Wtedy ją objaśniać, jak wprawny przewodnik wycieczek:

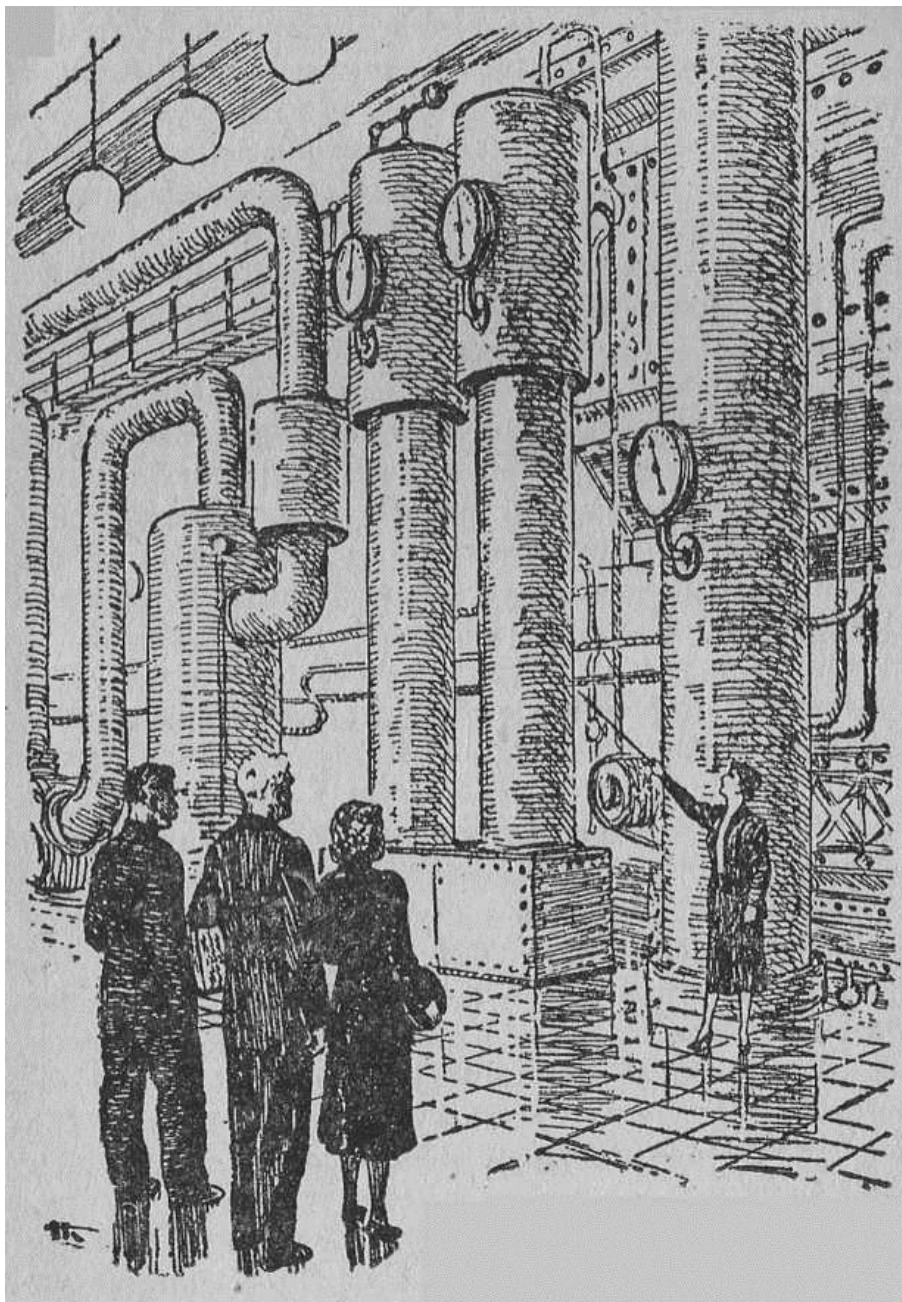
— Tutaj spalamy węgiel. Zamiast pieca może być, oczywiście, palenisko kotła parowego lub każde inne źródło dwutlenku węgla. Dla uproszczenia — wzięła do ręki drewnianą pałeczkę i wskazała nią w stronę ściany — postawiliśmy zwyczajny piec. W nim — jak mówiłam — spala się zwykły węgiel.

Kławdia Nikiticzna spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, pod samą ścianą stał piec. Rzeczywiście, pała się w nim kawałki zwykłego węgla. Pięknie się pała. Jest gorąco.

— Tą rurą przechodzi dym — ciągnęła dalej Sofia Pawłowna — i wchodzi do tej kolumny. Następuje tu oczyszczenie dymu z cząsteczek stałych i zanieczyszczeń smolistych. Potem oczyszczone gazy wtłacza się do następnej kolumny. Tam — pałeczka w jej ręku zakreśliła falistą linię — przechodząc przez kaskady zimnej wody, mieszanina gazowi rozpuszcza w niej swój dwutlenek węgla. W dalszym ciągu, resztkę gazu — o w tym oto przewodzie — bez dwutlenku węgla, a tym samym już niepotrzebną, usuwa się za pomocą wentylatora. Rozumiecie, towarzysze?

Goście przytaknęli: — Rozumiemy!

— Wobec tego słuchajcie dalej — mówiła dźwięcznym głosem. Wyciągnęła pałeczkę w stronę dwóch, rozsze-



zonych w górnej części i połączonych ze sobą przy podłodze, kolumn: — Tutaj zwykła woda rozkłada się pod wpływem prądu elektrycznego na wodór i tlen. Tę stratę energii wykorzysta się później w procesie syntezy

niemal w stu procentach. O, tutaj! — rzekła Sofia Pawłowna postukawszy pałeczką po błyszczącej powierzchni następnej kolumny. — Jedna rura — jak widzicie — doprowadza wodę z dwutlenkiem węgla, druga — wodór. Ta trzecia doprowadza także tlen. Cała kolumna — koniec pałeczki przesunął się z dołu do góry — jest napełniona ziarnami katalizatora, mieszczącego się w układzie porowatych, jak plastry w ulu, płyt... Odejdę na chwilę od tematu i powiem kilka słów o naszym katalizatorze. W jego obecności wodór łączy się z tlenem, tworząc wodę. Wyzwala się przy tym energia, która z kolei umożliwia syntezę, to jest wzajemne oddziaływanie dwutlenku węgla i wody, wielostopniowy łańcuch reakcji chemicznych, w wyniku których powstaje skrobia. — Sofia Pawłowna opierała się teraz o pałeczkę jak o laskę. — Interesująca jest historia katalizatora — rzekła. — Jego niedoskonałym prawzorem była substancja otrzymana ponad pół wieku temu przez nieznanego uczonego Lisicyna. Lisicyn chciał na wielką skalę odtworzyć...

Osadczyj podniósł rękę, jak gdyby mówiąc: „Chwileczka, poczekajcie!”

Z zagadkowym uśmiechem zaczął w milczeniu rozwijać płaski, podobny do zeszytu pakiet, który trzymał w ręku. Okazało się, że zawiera on dużą fotografię na paspartout, obciętym ze wszystkich stron, prawdopodobnie nożyczkami. Na odwrocie była pieczętka fotografa: „St. Petersburg”.

— Co to jest? — zapytała Sofia Pawłowna i obydwie z Kławdią Nikiticzną przysunęły się, by popatrzeć.

Ujrzały poźółkłe zdjęcie, a na nim grupę złożoną z czterech młodych ludzi w pozycji siedzącej i trzech stojących za ich krzesłami. Młodzi ludzie byli ubrani w jednokolorowe mundury studenckie z błyszczącymi guzikami, naszywkami i naramiennikami.

— Oto Lisicyn — wskazał Osadczyj na studenta stojącego z prawej strony.

Student na zdjęciu miał wysokie czoło, zamyślane, jak gdyby zdziwione oczy i brwi wygięte ostrymi łukami.

— Więc tak wyglądał! — zawołała Kławdia Nikiticzna. — Nigdy nie przypuszczałam... On tu jest przecież studentem!

Sofia Pawłowna zmrużyła oczy i rozważała coś w myśli.

— To chyba będzie zdjęcie z dziewięćsetnego roku — rzekła — nie późniejsze. A może wcześniejsze. Czy to na pewno Lisicyń? — I spojrzała na Osadcze: — Skąd macie ten nabytek? Czy są dowody autentyczności?

Nikołaj Fiedotowicz długo nie odpowiadał. Ze skupieniem patrzył to na fotografię, którą trzymał za rożki, to w głąb sali — na przyrządy do syntezy. Mogło się wydawać, że porównuje jedno z drugim. Wreszcie westchnął lekko, zaczął zawijać zdjęcie w papier i rzekł nie zwracając się specjalnie do nikogo:

— Znałem go osobiście. Potem wszystko wyjaśnię.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Osadczyj czuł na sobie spojrzenie Sofii Pawłowny — spojrzenie lustrujące jego siwiznę i zmarszczki i pytające: „A ileż wy macie lat?”

— Mówcie dalej o kolumnie, w której odbywa się synteza przynaglił z uśmiechem. — Więc następuje reakcja pomiędzy wodą a dwutlenkiem węgla. Za pomocą katalizatora. To jest jasne. A co dalej?

Po chwili zwłoki Sofia Pawłowna znowu podniosła pałeczkę i powiedziała poprzednim tonem:

— Woda za pomocą katalizatora reaguje z dwutlenkiem węgla. Tworzy się skrobia. Słuchajcie — spytała głośniej, raz jeszcze zwracając się do Osadcze: — a Grigorij Iwanowicz widział tę fotografię?

— Jeszcze nie — odpowiedział Osadczyj.

— Pokażcie mu ją koniecznie... Przechodząc przez kolumnę — znowu postukała pałeczką — dwutlenek węgla przekształca się w płatki skrobi, które unosi stru-

mień wody. To jest najprostszy wariant procesu. Można proces przeprowadzać także pod dużym ciśnieniem, co jest znacznie korzystniejsze. Tutaj jednak, celem zdemonstrowania, uprościliśmy ten schemat i ciśnienie jest niewielkie. A więc przez tamtą rurę przepływa woda już z płatkami... Zobaczmy...

W biegnącej z dołu do góry rurze, do której podeszła Sofia Pawłowna, znajdował się niewielki kran. Sofia Pawłowna wzięła pałeczkę pod pachę, pochyliła się, podniosła z podłogi czystą kolbę, podstawiała ją pod kran i na chwilę go otworzyła. Kolba napełniła się białym płynem.

— Zwróćcie uwagę! — głos Sofii Pawłowny zabrzmiał tak, jak gdyby chodziło o coś niespodziewanego i radosnego zarazem. — Płyn wydaje się biały od pływającej w nim wielkiej ilości cząstek produktu. Pozostało jeszcze oddzielenie ich od wody, co następuje — postawiła kolbę i pokazała ruchem głowy — tam, w tym dużym zbiorniku. Woda przecieka tam tak powoli, że skrobia ma czas osiąść na dnie. Osad można wydostać za pomocą mechanizmu śrubowego, zwanego w technice ślimakiem...

Towarzysze — spostrzegła się nagle i spojrzała na zegarek — czyśmy się nie spóźnili?

— Dokąd mielibyśmy się spóźnić?

— Ma się przecież zacząć odczyt.

Chochriakow, który dotychczas słuchał w milczeniu z tak naprężoną uwagą, że aż silnie zacisnął wargi, zadał teraz pytanie. Chciał się dowiedzieć, jaka jest wydajność urządzenia na dobę. Sofia Pawłowna odpowiedziała: półtora do dwóch ton.

— Mówię o urządzeniu laboratoryjnym — dorzuciła szybko. — Są projekty na urządzenia dające pięćdziesiąt i sto ton na dobę. Może być więcej lub mniej, w zależności od ilości dwutlenku węgla... Wybaczcie, towarzysze — szybko podeszła do zbiornika, skąd rozległ

się trzask wyłączników. — Kończę pokaz. Produkt wydobywa się za pomocą mechanizmu śrubowego...

Taśma przenośnika poruszyła się i zaczęła płynnie prześlizgiwać się na rolkach. Posypały się na nią grudki białej masy, przypominające gęstą kaszę manną.

— To jest skrobia, towarzysze!

Białe grudki utworzyły długą, moką dróżkę. Było ich dużo. Staczały się z góry po rynience, spadały na poruszającą się taśmę i przesuwał się razem z nią.

— Syntetyczna skrobia!... Chodźmy, towarzysze, chodźmy. Bo się spóźnimy!

• •

Pierwsze rzędy, utworzone z foteli, zajęli honorowi goście. Dalsze rzędy krzeseł — zespół pracowników laboratorium wraz z pozostałymi zaproszonymi.

Szapowałow jedną ręką opierał się o stół nakryty czerwonym sukniem, drugą zaś, w której trzymał kawałek kredy, pokazywał coś na zapisanej wzorami czarnej tablicy. Mówił blisko czterdzieści minut bez przerwy. Głos miał już z lekka ochrypnięty.

Pod sufitem jasno świeciły się żyrandole.

Była to trudna, teoretyczna część odczytu.

— Glukozydy — mówił Piotr Szapowałow — są zwykle, w przeciwieństwie do monosacharydów, niezdolne do przekształceń tautomerycznych. W naszych warunkach — nakreślał na tablicy wygiętą w kształcie łuku strzałkę i połączył nią dwa wzory — działanie atomów wodoru w jednym z momentów procesu przypomina działanie, które widzieliśmy jeszcze przy pracy nad przekształceniem błonnika...

Osadczyj starał się słuchać, potem jednak zrezygnował — „i tak nie rozumiem! — pomyślał. — A niech tam, powiem Grigorijowi...” i zaczął szeptem rozmawiać

ze Zbierowskim. Na kolanach Grigorija Iwanowicza leżała fotografia z obciętym passe-partout.

— A pisać do ciebie nie chce — szeptał Osadczyj nachylając się do ucha przyjaciela.

— Nie chce? — powtórzył Zbierowski śledząc wzrokiem wzory, które pisał Szapowałow.

— Nie, w żaden sposób. Kazała tylko oddać ci tę fotografię.

Mowa była o Zoi Stiepanownie Terentiewej — starszce, kobiecie z ich pokolenia, dyrektorce kliniki dentystrycznej w jednym z dużych miast Syberii. Przyjechała tam w czasie wojny, jesienią czterdziestego pierwszego roku. Przyzwyczała się do nowego miejsca i postanowiła tam pozostać. Mieszkał tam również stary bolszewik Nikołaj Fiedotowicz Osadczyj, który był kierownikiem technikum przemysłowego. Zoja Stiepanowna знаła go, gdyż kiedyś leczyła mu zęby. Czasami spotykali się w Radzie Miejskiej lub po prostu na ulicy i wtedy gawędzili ze sobą. W rozmowach wyszło na jaw, że obydwójce znają Grigorija Iwanowicza Zbierowskiego.

Około półtora miesiąca temu, rozmawiając z nią o głośnych teraz pracach profesora, Nikołaj Fiedotowicz wspomniał nazwisko „Lisicyń”. „Jaki Lisicyń? — zapytała Zoja Stiepanowna, ze zdziwieniem unosząc brwi. — Czy to nie ten, który razem z moim zmarłym bratem ukończył Akademię Górniczą?” — „Lisicyń był inżynierem górnikiem” — rzekł Osadczyj. „Inżynierem górnikiem? No, więc oczywiście, to on! — zawołała. — Zmiłujcie się! Przecież z tym nazwiskiem jest związana taka romantyczna, a zarazem, jakby powiedzieć, tragiczna historia!” I wtedy Osadczyj usłyszał historię Lisicyńa: o tym, że był sztygarem na stacji ratowniczej, że ukrywał się pod cudzym nazwiskiem, że wytrwale pracował nad jakimś wynalazkiem i przed wszystkimi, nawet przed swoim przyjacielem Terentiewem, bratem Zoi Stiepanowny, strzegł tajemnicy swoich badań naukowych. O tym, wreszcie, że zginął podczas wybuchu w kopalni w

dziewięćset czternastym roku. „Nie myślałem nawet, że miał takie zamiary... Któż mógł przypuszczać?”

Zestawili daty. Zgadzały się! „To on! Na pewno on! Chodźcie do mnie — zaprosiła go Zoja Stiepanowna. — Pokażę wam fotografię, która zachowała się wśród papierów nieboszczyka brata”.

Osadczyj przywiózł tę fotografię Zbierowskiemu.

Pół godziny temu, gdy Grigorij Iwanowicz dowiedział się, że Lisicyń pod nazwiskiem „Pojarkow” był sztygarem w Donbasie, aż pobladł i krzyknął ze zdziwienia. W tej samej właśnie chwili Szapowałow rozpoczął swój odczyt i patrzył na audytorium, dziwiąc się w duchu, dlaczego Grigorij Iwanowicz wcale nie słucha. A profesor siedział obok gości i oglądał fotografię.

Podobizna Lisicyńa — studenta, chociaż było to dziwne, nie wywarła na Zbierowskim specjalnego wrażenia. Wydawało mu się, że student ten mało przypomina tego brodatego uczonego, który niegdyś powiedział mu: „Chodźmy, kolego”, i którego obraz na zawsze zachował się w jego pamięci. Jednak profesor długo patrzył na zdjęcie. „Chyba tylko czoło — pomyślał — takie samo, czoło człowieka pogrążonego w rozmyślniach!” Wreszcie zauważył na fotografii, po lewej stronie — Terentiewa. Zaraz go można poznać. Iwan Stiepanowicz, brat Zoi. Po prostu uderzające podobieństwo do siostry. Do świadomości Grigorija Iwanowicza dotarło zdanie — wyraźnie zabrzmiał głos Szapowałowa:

— Czterowartościowy węgiel, który zamyka łańcuch. Zdanie to zmieniło bieg myśli Zbierowskiego. Położył fotografię na kolanach i zaczął śledzić wzory wypisywane na tablicy ręką Szapowałowa.

Chochriakow, który siedział tuż obok, patrzył uważnie na swego byłego wychowanka i wsłuchiwał się w każde wypowiedziane przez niego słowo. Na czarnych aksamitnych naszywkach kurtki dyrektora kopalni uroczyście połyskiwały złote gwiazdy i skrzyżowane młoteczki, na rękawach — wyszyte złotymi nićmi kąty, a na

piersi — jedna nad drugą, pięć barwnych wstążeczek orderowych. Aleksandr Siemionowicz siedział z wyrazem skupienia na dużej, pooranej zmarszczkami twarzy.

Nikołaj Fiedotowicz nachylił się do ucha profesora i szeptał przeszkadzając mu w słuchaniu:

— Kazała ci oddać. A napisać do ciebie nie chciała.

— Zoja Stiepanowna? — powtórzył Zbierowski i niepostrzeżenie dla samego siebie przestał słuchać z uwagą referatu. Przed oczyma miał znowu fotografię.

Terentiew. Jak dwie krople wody podobny do Zoi — tej, z którą razem jechał do kopalni, tej w jasnej sukni... Był letni poranek i żegnał się z nią, stojąc na gan-ku...

Osadczyj przestał szeptać. Nie wiadomo który raz przypatrywał się Lisicynowi na zdjęciu. Oparł się o ramię Zbierowskiego i westchnął.

— Reszty glukozydowe — mówił Szapowałow do słuchaczy — przekształcają się z postaci beta piranoidowej — w alfa piranoidową. Łącząc się nawzajem, tworzą najpierw krótkie łańcuchy, potem łańcuchy te wydłużając się...

Niezrozumiałe rzeczy. Nikołaj Fiedotowicz nie wnikał w nie i nie usiłował wnikać: nie jest chemikiem. Słowa przechodziły więc mimo uszu.

A z fotografii spoglądał na niego Lisicyn.

Stopniowo ożywały przed nim dawno zapomniane obrazy. Jak gdyby wiatr zaszumiał wśród wierzchołków cedrów, zapachniało wilgocią, gnijącym igliwem i żywicą. Podwórze chaty ogrodzone żerdziami.

Siedzi, przywidziało się Osadczemu, Władimir Michajłowicz Lisicyn, na ramionach ma podarty kożuszek, na nogach posmarowane dziegciem łapcie; ma sterczącą rudą brodę. Siedzi i przekłada na ziemi kamyczki,

tworząc z nich wzorzysty pas: jasny kamyczek — ciemny, jasny — ciemny.

Mówi o katordze, o zniszczonym przez żandarmów laboratorium. Mówi — Osadczyj zapamiętał to sobie: „Synteza dla przyszłej Rosji”. Potem przyszedł sołtys, Daria wybiegła: „Co ty, chłopie, co?”

„Jeden wnuk Darii — pomyślał Nikołaj Fiedotowicz — jest teraz wykształconym hodowcą zwierząt futerkowych i prowadzi fermę soboli. Drugi wnuk — to kołchoźnik, »Bohater Pracy Socjalistycznej«. Tam gdzie była chałta, teraz biegnie linia kolejowa. A Kieszkę zabili kołczakowcy w czasie wojny domowej, gdy był w partyzantce”.

*

* *

...Ziębniesz tu jak bezużyteczny grzyb — wydawało mu się na zesłaniu. A przeminęło jak wichur: bolszewickie podziemie, październik dziewięćset siedemnastego roku, walka o władzę radziecką. Został działaczem gospodarczym — budował wraz z innymi fabryki i kopalnie.

Przed najazdem faszystów posłano go na partyjną robotę, potem do pracy w technikum. A jakich sobie wychowali następców — zakochać się można! Spojrzeć tylko na ludzi dokoła...

— Synteza Lisicyna — to tylko fragment — ciągnął dalej Szapowałow. — Nam udało się rozstrzygnąć zagadnienie w całości. Ze wszystkich możliwych wariantów wybraliśmy tylko najracjonalniejsze i najkorzystniejsze dla człowieka...

Osadczyj spojrzał teraz na mówcę z ojcowską niemal tkliwością. Patrzył na niego badawczo, lecz zatopiony we własnych myślach, nie słuchał tego, co mówi.

Osadczyj miał siwą głowę, jego rzadkie włosy zaczesane były do tyłu, a czoło — poorane zmarszczkami. Lecz oczy — stwierdził Zbierowski obejrzawszy się — by-

ły takie, jak dawniej ciemne, wesołe, przypominające czarne jagody.

„Oto jacy są — myślał Osadczyj — oni, ludzie radzieccy! Patrzcie — oto jakie jest życie, któreśmy przeżyli! Moi kochani!”

Tymczasem Piotr Protasowicz położył kredę na stole i, odwróciwszy się plecami do tablicy, mówił rzucając słowa głośno i wyraźnie:

— Kończąc przegląd prac laboratorium, chciałbym zwrócić szczególną uwagę na naszą młodzież, na naszych laborantów, którzy razem z nami szukają i znajdują nowe drogi i niezwykle rozwiązania, na tych, bez których udziału praca nasza nie osiągnęłaby pomyślnego zakończenia. Każdy z nich — mówił Szapowałow — okazał się podczas tej pracy wiernym synem partii bolszewickiej. Jestem przekonany, że każdy z nich będzie kontynuował sławne tradycje nauki radzieckiej. Wymienię ich nazwiska — z uśmiechem wyciągnął rękę. — Oto — Ale-ksiej Wasilijewicz Barinow, oto — Ługowa Nina Jemielianowna...

W sali zahuczały burzliwe oklaski. Wiele osób odwróciło się i patrzyło w stronę, którą wskazywał mówca.

Osadczyj ocknął się i również popatrzył. Zobaczył dziewczynę o surowym spojrzeniu i młodego człowieka czerwieniącego się ze zmieszania.

Zbierowski trącił Osadczego łokciem i szepnął:

— Pomyśl sobie, co za dzieje!

— Dzieje czego? — nie zrozumiał Nikołaj Fiedotowicz.

— Dzieje wynalazku oczywiście! — Profesor dotknął palcem fotografii, na której Lisicyń — student — gołowąs z wygiętymi łukami brwi stoi za krzesłem.

— I jeszcze pozwolę sobie zwrócić waszą uwagę — ciągnął Szapowałow, gdy ucichły oklaski — na niezwykle dzieje takich wynalazków, jak przekształcanie celulozy w skrobię i cukier albo jak synteza produktów żywnościowych z dwutlenku węgla i wody. Tylko my jesteśmy

w stanie uczynić te wynalazki dorobkiem mas. Mówiąc „my”, mam na myśli społeczeństwo na wysokim poziomie organizacyjnym, wkraczające w świetlaną erę komunizmu. Mogę to udowodnić przez wykazanie przeciwnictwa. Przypuśćmy — mówił — że opis procesu dostałby się do jednego... — uczynił szybki ruch w bok — do jednego z krajów kapitalistycznych.

Chochriakow słuchał z wyrazem uwagi i dumy zarazem. Kławdia Nikiticzna siedziała nie poruszając się. Oczy siedzącego w pierwszym rządzie sędziwego akademika połyskiwały spod krzaczastych brwi przyjacielskim uśmiechem.

— Jakie namiętności rozgorzałyby tam od razu — wykrzyknął Piotr Protasowicz — co za burza by się zerwała! Jedni spośród potentatów, zabijając, grabiąc, przegryzając gardło, staraliby się zawładnąć wynalazkiem, inni — zniszczyć go zupełnie. A tych ostatnich byłoby bardzo dużo: właściciele ziemscy, obszarnicy, magnaci przemysłu żywnościowego, wszyscy ci, dla których pojawienie się wielkiej ilości taniej żywności byłoby bodźcem do walki na śmierć i życie. Toteż nasza synteza — dodał Piotr Protasowicz potrząsając głową i opierając się rękami o stół — nie miałaby tam żadnych szans powodzenia.

Ogarnął wzrokiem słuchaczy. Oto Taras Tarasycz, oto Kławdia („kochana moja”) między Sofią Pawłowną a Pimenowem, a tam, w trójkę obok siebie — Grigorij Iwanowicz, Osadczyj i Chochriakow. W pierwszych rzędach — akademicy. Wszyscy patrzą i widać, że czekają niecierpliwie na to, co powie dalej.

— W końcowej części odczytu — powiedział powoli — zatrzymam się na naszych zespołowych propozycjach na temat najlepszego wykorzystania syntezy. Przede wszystkim podkreślam, że chodzi nie o zastąpienie produkcji rolnej procesem chemicznym, lecz o połączenie jednego z drugim. Jak sobie to wyobrażamy? Bardzo prosto! Cukier buraczany — rzekł — może zostać

zupełnie wyparty przez cukier sztuczny. Jasne, że cukier sztuczny nie jest ani trochę gorszy... a za to wielokrotnie tańszy. Również i nasza syntetyczna skrobia, a nawet skrobia z celulozy jest tańsza od zwykłej skrobi. Czyż jednak ziemia nasza nie jest dość bogata? Czy nie jest dość płodna? Czy nie rośnie na niej piękna, pachnąca pszenica? Czy plony, które nam daje, nie mogą wystarczyć potrzeby człowieka? Nie, towarzysze — Szapowałow zrobił przed sobą ruch ręką, jak gdyby coś przecinając — nie — mówił — zastąpić ludziom pożywienie... pszenicę czy żyto chemicznie czystą skrobią... nie, ani teraz, ani w przyszłości takiej konieczności nie ma i nie będzie! Nie, towarzysze! Znacznie skromniejszą rolę wyznaczamy nowemu produktowi. Myślę o skrobi syntetycznej. Można jej wytworzyć bardzo dużo. Będzie stanowiła wspaniałą bazę dla niebywałego dotąd rozwoju hodowli bydła. Skrobia, a oprócz tego cały ogromny nadmiar taniego cukru...

Piotr Protasowicz zauważył, że echo w głębi sali powtarza w przerwach jego słowa.

— I tak — ciągnął dalej — na radzieckich polach po dawnemu będą się chyliły ciężkie kłosa złotej pszenicy, owoce w sadach będą napełniać się aromatycznym sokiem i po dawnemu dojrzewać będą najrozmaitsze warzywa. Po dawnemu i jeszcze wspanialej niż dawniej! Ale i to inne także się przyda, towarzysze! Pomogą w tym nasi miczurinowcy i łysenkowcy, którzy stworzą nowe rośliny, szczególnie bogate w witaminy... w substancje potrzebne, aby uzupełnić w pożywieniu bydła chemicznie czystą skrobię. A w całym niezmiernym kraju — zatoczył ręką krąg tak szeroko, jak tylko mógł — przy każdej fabryce, w której spala się paliwo, przy każdej większej elektrowni cieplnej, powstaną urządzenia do przeprowadzania syntezy. A wiecie, towarzysze... że jeżeli nawet zapomnimy na chwilę o wykorzystaniu celulozy... to sama synteza da setki milionów, a z czasem — miliardy pudów! I nawet więcej! Niepomierne wię-

cej!... Pomyślcie przecież: dwutlenek węgla można otrzymać nie tylko przy spalaniu torfu czy węgla kamiennego... można go uzyskać ze skorupy ziemskiej — z dolomitów, wapieni, przez rozkład gór kredowych i wysp koralowych. Jest to kwestia przyszłości, trzeba tylko znaleźć odpowiednie do tego celu źródła energii. Nie trzeba nawet specjalnie szukać. Naród radziecki ma jej duże zasoby. Wszystkie węglany, nawet kamienie, towarzysze, nawet kamienie można przekształcić w pełnowartościowe produkty żywnościowe. Takie możliwości daje nam synteza!

Podniósł rękę do góry i głos jego zabrzmiał uroczyście.

— Każdy dzień — rzekł — otwiera przed ludzkością coraz to nowe horyzonty. Nauka, wydzwignięta przez bolszewików na niedostępne przedtem wyżyny, wieździe ludzi pracy do nieosiągalnego dawniej dobrobytu. Synteza węglowodanów, powtarzam, to tylko jeden fragment tego zagadnienia. To tylko jedna z wielu, bardzo wielu... owocujących gałęzi potężnego drzewa nauki radzieckiej. Towarzysze — głos Piotra Protasowicza stopniowo wzmacniał się — nie można zmierzyć, wyczerpać lub ograniczyć tych skarbów i bogactw, które zdoła stworzyć wolna praca ludzka. A my pamiętajmy, towarzysze, że naszą pracą jest wolna, że nasza nauka osiągnęła swoje wyżyny dzięki partii, dzięki jej sile i zespoleniu, dzięki jej mądrym przywódcom... i jeszcze, towarzysze, dzięki temu, że pod przewodem partii miliony ludzi radzieckich z samozaparciem obroniło przed wrogiem — gdy zaszła tego potrzeba — nasze ukochane, potężne komunistyczne państwo, nad którym powiewa sztandar Lenina-Stalina.

Na kilka sekund zastygł w bezruchu, jak gdyby podtrzymując nad głową niewidoczny glob ziemski. Potem powoli opuścił rękę i rzekł już zwykłym głosem:

— Na tym, towarzysze, pozwólcie, że zakończę mój odczyt.

W sali zerwała się burza oklasków, a on szedł przejściem pomiędzy krzesłami, chusteczką ocierając spoconą twarz. Szedł ze swoim nieśmiałym, jakby nieco zakłopotanym uśmiechem.

W tej samej chwili — wokół nadal rozbrzmiewały oklaski i okrzyki — Alosza Barinow nachylił się do ucha Niny Ługowej i szepnął:

— Rozkładać wapienie energią atomową. Stworzyć gigantyczne podziemne zbiorniki gazu. Dwutlenek węgla — dla syntezy węglowodanów!

— Tak myślisz? — zapytała Ługowa i przymrużyła oczy.

— Nie, dopiero mam zamiar pomyśleć.

— Na serio?

— Na serio.

— Ale dużo gazu ujdzie do atmosfery.

— Polepszy to tylko klimat na ziemi. I to wszystko.

Nina uważnie spojrzała na Aloszę. Oczy jej złagodniały i nabrały cieplejszego wyrazu.

— No, cóż — rzekła — chyba warto. Chcesz — to zaczniemy razem. Usiądziemy, zrobimy wyliczenia, przejrzymy literaturę. Chcesz?

Uśmiechnęła się i zdecydowanym ruchem wyciągnęła do Aloszy rękę.

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA ZBURZONE NADZIEJE

Rozdział	I	—	RURECZKI.....
„	II	—	ŚNIEŻNE SZCZYTY.....
„	III	—	CHLEB I CUKIER
„	IV	—	DOM NA NADBRZEŻNYM BULWARZE .
„	V	—	GOŚCIE
„	VI	—	WIELKI KSIĄŻĘ.....
„	VII	—	KATASTROFA.....

CZEŚĆ DRUGA

STARE PRZEMIJA, NOWE NADCHODZI

Rozdział	I	—	kopalnia Charitonowa...
„	II	—	ODLUDNE ŚCIEŻKI.....
„	III	—	ZNOWU OD POCZĄTKU.....
	IV	—	POD ZIEMIĄ.....
„	V	—	PIETKA SZAPOWAŁOW . .
„	VI	—	W DROGĘ.....

CZEŚĆ TRZECIA „GŁOSIMY ERĘ OBFITOŚCI.

Rozdział	I	—	DROGA ROZSZERZA SIĘ
„	II	—	PASOŻYT
„	III	—	W RĘCE NARODU.....
„	IV	—	NIEPRZEBRANE ZASOBY